William Wharton

Tato

(Tłumaczyła Jolanta Kozak)

Kobietom mojego życia będzie poświęcone,
mojej matce i siostrze, i córkom, i żonie

A jego ojciec
Jest synem mojego ojca.

DRUGA POŁOWA ZAGADKI

Rozdział 1

AAA CON jest pierwszą pozycją w książkach telefonicznych większości dużych miast Ameryki. Firma ta organizuje dostawy samochodów, angażuje ludzi do przewiezienia wozu z miejsca na miejsce.

Z Billym, moim synem, czekamy w biurze AAA CON w Los Angeles. Badania lekarskie mam już za sobą, wpłaciłem pięćdziesiąt dolarów kaucji, wypełniłem kwestionariusze i złożyłem referencje. Billy jest za młody, żeby prowadzić; dolna granica wieku - dwadzieścia jeden lat. Samochód już nam wyznaczyli i teraz czekamy tylko na podstawienie.

Billy jest bardzo przejęty, bo trafił nam się lincoln continental. Aż się boję mu powiedzieć, że nie będzie prowadził. Nie należę do osób szczególnie odpowiedzialnych, ale taki odpowiedzialny to jeszcze jestem, szczególnie kiedy w grę wchodzi cudzy pojazd wart piętnaście tysięcy dolarów.

A więc przejadę się przez cały wielki kraj - i wcale mnie to nie zachwyca.

W biurze jest ponuro. Wszystkie te biura są jak bary szybkiej obsługi: na dywany czy staranniejsze umeblowanie nie wydaje się tutaj ani grosza. Obliczam, że na każdym samochodzie ekspediowanym w drugi koniec kraju zarabiają jakieś sto dolarów.

W końcu zwalisty typ zza kontuaru wywołuje nasze nazwisko. Pyta, jaką trasę wybieramy, i zgadza się na 15-70-76. Jest to trasa najmniej uczęszczana przez ciężarówki z racji wysokiego, nie ukończonego przejazdu w Loveland. Potem już prawie do końca czteropasmówka.

Mamy dostarczyć wóz do Filadelfii, gdzie kiedyś mieszkałem, a później lecimy samolotem do Paryża. Naszym prawdziwym domem jest Paryż, już od piętnastu lat.

W pół godziny później odbieramy wóz. Wóz nie jest nowy, ma co najmniej dwa lata, rudobrązowy, z czarnym winylowym dachem - wygląda wystrzałowo, istna gangsterska limuzyna. Odbiorcą ma być niejaki Scarlietti - kto wie, czy nie przykładamy ręki do mokrej roboty.

To już chyba dwudziesty raz, jak będę jechał przez całe Stany. Ponad połowę wycieczek odbyłem właśnie holując cudze samochody.

Raz dostarczaliśmy jasnożółty chevy impala z otwieranym dachem. Był to czas mody na odkryte wozy, przed klimatyzacją i wyposażeniem stereo. Dzieciaki poprzywiązywaliśmy skakankami, żeby nie wyleciały, i pomknęliśmy jak strzała z zachodu na wschód, przeważnie 66-ką, dach złożony, wiatr świszczę, słońce prosto w twarz. Dzieciaki mogły się z tyłu prać, wrzeszczeć, bawić, rozrabiać do woli - my nie słyszeliśmy nic. Dla Vron i dla mnie było to prawie jak miodowy miesiąc.

Poza tym chevy niewiele palił. Za to przy tym lincolnie stracę jak nic ze trzydzieści dolców na dokupywanie benzyny. Ale przynajmniej będzie nam wygodnie: przelecieć trzy tysiące mil samochodem, przez cały kraj, w osiem dni - to nie żarty, a i ja robię się już trochę za stary na takie imprezy.

Jak już wsiądziemy, najgorsze będzie za nami. Najpierw jednak musimy zabrać rzeczy i pożegnać się z Mamą. Billy też się denerwuje. Obaj wiemy, że to niełatwe zadanie - z Mamą nie ma łatwych zadań - a zważywszy na ostatnie wydarzenia, zanosi się na szczególnie ciężką przeprawę.

Wyprowadzamy naszą olbrzymią, kasztanowatą szalupę na Colby Lane. Nie jest to wóz pomyślany do poruszania się po wąskich, staroświeckich uliczkach dzielnic willowych. Tato przed dwudziestu pięciu laty kupił tu posesję za dwa tysiące sześćset dolarów. Dom wybudował sam, co go kosztowało mniej niż sześć tysięcy. Całość musi być warta co najmniej osiemdziesiąt.

Parkujemy na podjeździe i wchodzimy do środka. Mama odsztyftowała się, jak nie wiem co - jak na osobę, która w ciągu ostatnich pięciu miesięcy przeszła dwa zawały, wygląda fantastycznie. Ale po oczach widać, że płakała. Jest blada i w nowy dla siebie, charakterystyczny sposób powłóczy nogami. Jakby miała ołów w tyłku, a jednocześnie balansowała książką na czubku głowy.

Z miejsca zaczyna płakać i pytać, co ona pocznie, kiedy mnie nie będzie; w kółko powtarza, że zostanie sama jak ten palec, bo jej zdaniem Joan - czyli moja siostra - bimba sobie na to, czy Mama żyje, czy nie.

Narzekań Mamy słucham, odkąd żyję, a szczególnie od kilku ostatnich miesięcy. Ciągle mi się zdaje, że się w końcu na nie uodpornię - po pięćdziesięciu latach najwyższy czas - a jednak jeszcze czasem boli. Kiedy naprawdę słucham tego, co mówi, nie wytrzymuję. Tym razem stoję sztywno i staram się nie słyszeć.

Czekam, aż się wygada. Jeszcze raz jej powtarzam, że inaczej być nie może. Muszę wracać do domu. Za długo już nie widziałem Vron i Jacky'ego. Nie mogę do końca życia zajmować się nią i Tatą. Mama to wszystko wie - sto razy maglowaliśmy ten temat.

Billy stoi z tyłu i słucha. Pstryka klawiszami kanałów telewizora, szukając byle czego, żeby tylko grało. Nie mam mu tego za złe. Mama dalej swoje. Kiwam głową i przenoszę bagaże do samochodu. Mama wciska nam jeszcze dziecinne pudełko śniadaniowe pełne lekarstw, żebyśmy wiedzieli, że nas kocha, że się o nas troszczy i że jesteśmy od niej zależni.

W końcu jakoś udaje nam się odjechać.

Dalszy ciąg jest jeszcze gorszy. Suniemy wzdłuż Colby do domu opieki, gdzie przebywa Tato. Zaledwie o jedną przecznicę od willi rodziców. Specjalnie tak wybraliśmy, żeby Mama miała blisko. Najpierw przeprowadziliśmy eksperyment z innym domem, ale w końcu stanęło na tym. Ma swoje wady, ale za to Mama może tam wpadać, kiedy zechce. Dla Taty to pewnie nie najlepiej, ale trudno jej było tego odmówić.

Parkujemy za rogiem. Wchodzimy. Nigdy w życiu nie przywyknę do tego zapachu: mieszanina smrodu z męskiej ubikacji i schroniska dla zwierząt. Kiedy miałem szesnaście lat, pracowałem u weterynarza, który leczył małe zwierzęta. Przychodziłem rano i szlauchem wypłukiwałem z klatek psie i kocie gówno z całej nocy. Tu panuje kombinacja tych właśnie zapachów, plus woń ogólnego rozkładu, degrengolady.

Nigdy tak do końca nie rozumiałem słów degrengolada i korupcja. Kiedy byłem mały,

wołaliśmy: siki, gówno i korupcja. Teraz rozumiem. Korupcja oznacza uleganie procesowi korupcji - rozkładu przez bakterie. Ci biedni, starzy ludzie podlegają korupcji, gniciu, rozkładowi. Skutek: degrengolada; zużyli się, skończyli, już są na nic.

Takie zapachy są nie do zwalczenia. Nie zabije ich żaden kwas karbolowy, żadne żrące mydło, żaden aerozol na świecie. To woń śmierci, odchodzenia z powrotem do ziemi, które jest dla nas wszystkich nieuchronne.

Dom prowadzi rodzeństwo, brat i siostra, z pochodzenia Niemcy. Ludzie niezrównanej dobroci. Naturalnie, że to, co robią, robią za pieniądze, i to niemałe. Najtańsza opłata dobowa za łóżko wynosi dwadzieścia pięć dolarów. Ale ja bym tego za żadne pieniądze nie wytrzymał tak dzień w dzień, noc w noc. Nie dałbym rady.

Informują mnie, że Tato nadal leży w tym samym pokoju, ale pewnie nas nie pozna: dostał środki uśmierzające. Pogodziłem się i z tym: teraz dla Taty nie ma nic lepszego jak środki uśmierzające - wszystko jest dobre, byle mu ulżyć. Praktycznie, trwałe prawdy nie obowiązują. Nie ma już dla Taty miejsca na tym świecie. Poznałem definicję starości: starzy jesteśmy wtedy, kiedy większość ludzi wolałaby, żebyśmy już nie żyli. Idziemy korytarzem, zaglądamy do sal. Podglądamy kruche, wynędzniałe skorupy istnień ludzkich: ludzi z rurkami tlenowymi podłączonymi do nosa, z cewnikami wystającymi spod szlafroków. Siedzą w wózkach inwalidzkich albo na łóżkach, wsparci sztywno o sterty poduszek. Nie ma jeszcze wieczora, ale wszyscy ubrani są jak do spania. Niektórzy zgarbieni, z uchem tuż przy głośniku słuchają radia, inni gapią się w ekrany telewizorów - rozdziawione usta, przeważnie bez zębów. Niektórzy wyglądają ku nam, kiedy mijamy ich sale, czepiają się nas wzrokiem jak więźniowie wyzierający z celi. Czuję się nieprzyzwoicie zdrowy i młody, czuję przed sobą niewyczerpany zapas przyszłości. A jak się przy mnie musi czuć Billy, dziewiętnastolatek?

Tato leży po męskiej stronie korytarza - przestrzeganie tej zasady tutaj to czysta farsa. Leży w gigantycznej niby-kołysce. Pokój jest zaciemniony, story zaciągnięte. Tato ma oczy otwarte, wlepione w sufit.

Jest i współlokator - głuchy, uśmiecha się do nas. Celowo go tu położyli, bo Tato czasami krzyczy przez sen.

Tato spędził tu już dwa tygodnie. Tydzień temu musieli go wziąć awaryjnie do szpitala: zaczął się odwadniać.

Patrzę na niego z góry. W jakimś sensie jest już martwy. Skórę ma żółtawą, ale bez jednej zmarszczki. Na początku bardzo schudł, potem trochę nabrał ciała, ale teraz znów jest jak szkielet.

Pochylamy się nad nim nisko. Mówię cześć. Usłyszał, odwraca wzrok, ale nie poznaje nas. Ogląda nasze oczy, całkiem jak niemowlę albo pies: niczego się nie spodziewa, jest jakby biernie zafascynowany samym okiem. Rytmicznie zaciska i rozwiera pięści, mnąc kołdrę i prześcieradło, jak to już teraz robi prawie ciągle. Odruch nerwowy. Czasami zaciska zęby i mocuje się z pościelą, ciągnąc do siebie z obu stron, jakby chciał zetknąć brzegi. Ale chwilowo nie jest zbyt aktywny - gmera tylko palcami, może udowadnia sam sobie, że jego palce to wciąż jeszcze obiekty fizyczne, że on sam jeszcze jest i żyje. Patrzy gdzieś przeze

mnie i mówi drżącymi ustami:

- Siku mi się chce.

To całkiem do Taty niepodobne. Nigdy nie używał takich słów. Ciężko go oglądać w tym stanie, słyszeć, jak mówi “siku" przy Billym. Gdyby wiedział, co robi - nigdy by sobie na to nie pozwolił - nawet do mnie by tak nie powiedział.

Odciągamy klamrę dla opuszczenia bocznej ściany łóżka, pomagamy Tacie spuścić nogi. Narzucam mu szlafrok na ramiona, na stopy nasuwam kapcie. Tato jest w skarpetkach. Jeszcze nie założyli mu cewnika. Mam nadzieję, że jak najdłużej da się utrzymać taki stan. Tato jest bardzo czuły na punkcie spraw intymnych; cewnik dobiłby go raz-dwa. Fakt, że siostry muszą to sprawdzać i zmieniać, jest dla Taty czymś uwłaczającym. Na szczęście nie wprowadzają cewnika do środka, tylko zakładają na penis coś w rodzaju kondoma, z rurką odprowadzającą do woreczka - przynajmniej nie boli.

Razem z Billym unosimy Tatę, a on czepia się nas kurczowo. Ma wciąż bardzo silne palce, dłonie i ramiona, chociaż bez przerwy gwałtownie mu drżą. Z naszą pomocą po asfaltowoszarych płytkach podłogi szura do małej łazienki. Ustawia jedną stopę przed drugą, ale potrzebuje do tego nadludzkiej koncentracji. W łazience pochyla się nad sedesem, wsparty obiema dłońmi o ścianę. Nie patrzy na nas, patrzy w sedes. Spluwa do środka, ale wysikać się nie daje rady.

Stoimy, czekamy - nic z tego. Billy spogląda na mnie. Spuszczam wodę w nadziei, że to Tacie pomoże, ale on tylko jeszcze raz spluwa. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek spluwał - a może całe życie popluwał chyłkiem do sedesu - spluwacz klozetowy? Tak Bogiem a prawdą, to nigdy, aż do ostatnich miesięcy, nie widziałem nawet, żeby wchodził do ubikacji.

Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie odholować go z powrotem do łóżka. Ale kiedy próbujemy go zabrać, Tato chwyta się z całej siły rury nad sedesem. Zaciska dłonie tak kurczowo, że aż knykcie mu bieleją. Próbuję rozewrzeć jego pięści.

- Tato, puść. Tato, puszczaj rurę.

Nic z tego. Nawet na mnie nie spojrzy, tylko jeszcze mocniej napiera i zaciska zęby. Próbuję otworzyć mu dłoń odwodząc po jednym palcu - jak z dzieckiem, kiedy złapie człowieka za brodę. Nagle, ni stąd, ni zowąd, Tato puszcza i zaciska dłonie wokół innej rury. Tym razem jest to rura z gorącą wodą; na pewno parzy mu dłonie, ale on trzyma kurczowo, z maniacką furią. Billy ciągnie za drugą rękę.

- Dziadek, daj spokój, puszczaj! No, puszczaj, mówię ci.

Już, już mam się poddać i wezwać kogoś na pomoc, kiedy udaje nam się oderwać Tatę od rury. Odwracamy go twarzą ku nam. Tato natychmiast zapomina o rurach. Próbujemy przemanewrować go na korytarz, ale wtedy on jak zwykle zaczyna się guzdrać: ogląda framugi drzwi, przesuwając po nich dłonią z góry na dół, jakby to było coś całkiem nowego, czego dotychczas nie znał. A przecież ten człowiek wybudował własny dom, od fundamentów aż po dach, a stolarką zajmował się od dzieciństwa. Ostatnio jest rzeczą prawie niemożliwą przeprowadzić go spokojnie w pobliżu drewnianej framugi, ale w końcu jakoś nam się to udaje.

Dowlekamy go do łóżka, sadzamy, zdejmujemy szlafrok i kapcie, pomagamy się

położyć. Tato jak zwykle boi się opuścić głowę. Podkładam mu pod nią swoją dłoń i wolno opuszczam na poduszkę. Jest bardzo napięty. Intensywnie wpatruje się w sufit, a jego usta poruszają się, dygoczą, otwierają się i zamykają, odsłaniając zęby w pośpiesznym, niekontrolowanym rytmie.

To nie do wiary, ale Tato ma własne zęby, i to wszystkie. Siedemdziesięciotrzyletni człowiek z idealnie pięknymi zębami - może trochę pożółkłe i odsłonięte przy dziąsłach, ale plomby ani jednej. Ja sam straciłem już sześć zębów, a Billy też ma kilka usuniętych, trzy przetoki zatkane złotem i zalepione porcelaną. Gdyby zrobić rentgen czaszki Tacie i Billy'emu, nie sprawdzając przy tym innych szczegółów, każdy by powiedział, że młodszy jest Tato.

Tato nadal gapi się w sufit. Gładzę go po głowie, próbuję uspokoić. Tato łapie mnie za rękę i ściska z całej siły. Ściska mocno, jakby znacząco, po chwili jeszcze raz. Lubię myśleć, że tymi dwoma uściskami ręki Tato po raz ostatni coś mi przekazał.

Wychodzimy. Ledwo się trzymam na nogach. Z jakiejś kretyńskiej przyczyny bardzo nie chcę, żeby Billy widział, jak płaczę.

Stajemy w drzwiach i kogóż to widzimy pod drzewem, jak nie Mamę. Jest blada i ciężko dyszy. Podbiegamy do niej obaj. Mama trzyma w ręku to przeklęte pudełko z lekarstwami. Zapomnieliśmy je zabrać.

Wkłada pod język pigułkę digoxiny. Widać, że jest w kiepskiej formie, aż poszarzała na twarzy. Z trudem wysapuje opowieść o tym, jak to mozolnie pięła się ulicą, co chwila przystając i łykając pigułki, żeby nas dogonić. Nie wytrzymuję.

- Mamo, przecież to nie jest aż tak ważne. Lecisz za nami z pudełkiem proszków - to czyste szaleństwo! Zabijesz się przez takie głupstwa.

Ale Mama nie mogła nie przyjść. Wiedziała, że jesteśmy tak blisko, na drugim końcu ulicy, z Tatą - a jej tam nie ma. Nie mogła wysiedzieć w domu.

Pomagamy jej wsiąść do samochodu i odwozimy z powrotem. Kładę ją do łóżka, zmuszam do połknięcia dziesięciomiligramowej tabletki valium. Raz jeszcze odbywamy scenę pożegnania.

Daję Billy'emu znak, żeby wsiadał do wozu. Mamie mówię, tak kategorycznie, jak tylko potrafię, że muszę jechać i koniec. Całuję ją na do widzenia, odwracam się i wychodzę. Joan znalazła w końcu kogoś, kto będzie do Mamy przychodził dwa razy na tydzień, a sama Joan też będzie ją odwiedzała dwa razy, ale i tak czuję się winny aż po samo dno duszy.

Zaplanowaliśmy sobie, że ruszymy prosto na Vegas, pokonując jak największy kawał pustyni w ciągu nocy. Latem na pustyni jest piekielnie gorąco, nawet w klimatyzowanym samochodzie.

Kłopoty zaczynają się jeszcze grubo przed pustynią. Dwadzieścia mil przed San Bernardino zaczyna nam migać wskaźnik napięcia. Jedyne wyjście to zawrócić: może i dojechalibyśmy do Los Angeles, ale dalej ani, ani.

Wjeżdżam do znajomego warsztatu na Pico Boulevard. Wysiadł regulator napięcia, trzeba go wymienić, a to - części plus robocizna - minimum sto dolców. Jasny gwint!

Dzwonię do AAA CON i mówię, co się stało. Każą mi zadzwonić do właściciela, na jego rachunek. Dzwonię. Właściciel chwilę marudzi, ale w końcu wyraża zgodę. Co oznacza, że płacimy z własnej kieszeni, ale po dostarczeniu wozu dostaniemy forsę z powrotem. Mechanicy mówią, że wóz będzie gotowy na rano. Scarlietti dorzuca nam przy okazji parę dni ekstra na dostarczenie samochodu.

Do Mamy jechać nie możemy. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś zasnął w pokoju na tyłach: zbyt wiele przykrych wspomnień, ciężkich nocy. Moja córka, Marty, mieszka niedaleko warsztatu, więc idziemy do niej.

Marty daje mi dwie aspiryny i lokuje w małżeńskiej sypialni. Słyszę, jak w drugim pokoju Marty, jej mąż Gary i Billy oglądają telewizję - wznowienie *Misji nie do wiary*.

Przeraźliwie chce mi się płakać. Dwa razy wychodzę do łazienki i siadam na sedesie - ale tak samo jak Tato nie mógł się wysikać, tak ja nie mogę się rozpłakać. Rzucam się krzyżem na łóżko i nareszcie mnie bierze: śpię, jak zabity.

Marty z Garym śpią na podłodze, a Billy na kanapie. Jedyne łóżko w domu mam wyłącznie dla siebie. Sympatyczne te nasze dzieciaki, nie ma co.

O siódmej wszyscy jesteśmy na nogach. Śniadanie. I Gary, i Marty muszą być w pracy na ósmą.

Dzwonię do warsztatu: wóz gotowy, ale rachunek przekracza nasze oczekiwania o dwadzieścia pięć dolarów. Idziemy odebrać grata.

Suniemy wzdłuż Wilshire Boulevard. W duchu żegnam się z Los Angeles, z wszystkimi jego sztucznościami i lukrowaną twardością. Nie mogę powiedzieć, żebym wyjeżdżał z żalem: to był ciężki pobyt. Wiem, że będę tęsknił za Joan, ale z tym już nauczyłem się żyć.

Jedziemy prosto w słońce, na wschód. Potem dalej, przez San Bernardino i górą nad przesmykiem.

Kiedy zjeżdżamy na drugą stronę, kierując się na Vegas, o jakieś sto dwadzieścia mil za L. A., olbrzymie psisko wypada nam prosto pod maskę. Wciskam hamulce, ale nie od razu zaskakują i o mało nie koziołkujemy. Szczęście, że ruch jest nieduży, bo tylne koła wpadają w poślizg, a psa i tak potrącamy. Walnęliśmy go lewą stroną z przodu, a odbił się na prawo. Hamuję na poboczu i obaj biegniemy zobaczyć.

Pies kręci się w kółko, zad ma całkiem zmiażdżony. Powinien już paść trupem, a żyje i kręci się; wyje. Nie da się tego spokojnie oglądać ani słuchać. Pies kłapie zębami, więc podejść nie możemy. Dopiero po blisko pięciu koszmarnych minutach uspokaja się i zdycha. Nie ma obroży ani blaszki identyfikacyjnej, więc ściągamy go na pobocze, w krzaki. Owczarek alzacki, duży jak wilk. Bierzemy szpatułkę do opon i używając jej jako łopatki kopiemy w piasku płytki grób. Wierzch przykrywamy zeschłą trawą i chrustem.

Na masce wozu nie ma śladu zderzenia. Niewiarygodna jest różnica między maszyną a zwierzęciem. Musieliśmy go walnąć albo oponą, albo zderzakiem. Wsiadamy do samochodu i przez następne sto mil prawie się nie odzywamy.

Dalej, jakieś czterdzieści mil od Vegas, na wzgórzach przy szosie, odbywają się

zawody motocrossowe. Billy'ego to bardzo ciekawi, więc się zatrzymujemy. Ja zostaję w wozie. Cała ta impreza wydaje mi się naciągana, jałowa, ordynarna - ale dla Billy'ego to fantastyczna sprawa. Wszystko, co pociąga Billy'ego, rzeczy niedokończone, przypadkowe, klimat tymczasowości, hałas, zapachy, przypomina mi o tym, o czym pamiętać nie chcę. Gdy byłem w jego wieku, miałem tego wszystkiego po dziurki w nosie - starczy na całe życie i jeszcze trochę. Im jestem starszy, tym bardziej cenię sobie wygodę i złudną myśl, że wszystko da się przewidzieć.

Po dziesięciu minutach Billy wraca, oczy mu błyszczą z przejęcia: zobaczył jakiś nowy czterotakt, nigdy jeszcze takiego nie oglądał.

W godzinę później wjeżdżamy do Vegas. Miasto przeżyło właśnie powódź. Pałac cesarski oblepiony jest gliną aż po tarasy. Parkingi zmieniły się w skorupy zasychającego błota. Najlepszy dowód, że Vegas - kurek z wodą pośrodku pustyni - jest wbrew naturze.

To niesamowite widzieć, jak ten sztuczny świat, pokryty grubym, zasychającym, szarym błotem, zarysowuje się i kruszy od słońca, niczym choinka na śmietniku, na której szych wciąż jeszcze błyszczy.

Parkujemy na samym skraju pobocza i pędzimy szukać schronienia przed słońcem. Jest już dobrze po południu. Ciężkie jak ołów słońce wali nas na odlew po ciemieniu. Musi być ze sto stopni w cieniu, albo i lepiej.

Wkraczamy w nagły, szokujący chłód. Błocimy kremowożółte i krwistoczerwone dywany, brniemy w półmrok. Słychać zgrzyty i podzwanianie automatów do gry. Woń zamrożonego powietrza miesza się z ciężkim zapachem perfum, forsy i lęku. Zanurzamy się w rozlazłą atmosferę tego wynaturzonego, spasionego nadziejami, beznadziejnego świata.

Postanawiamy, że każdy może wrzucić do automatu dolara pięciocentówkami. Billy traci swój przydział w pięć minut. Twierdzi, że prawdopodobieństwo zerowej wygranej przy wrzuceniu dwudziestu pięciocentówek jest prawie żadne - a jednak udaje mu się to osiągnąć. Ja chciałbym się pozbyć swojego dolara jak najprędzej, ale okazuje się, że mam przeciwny problem niż Billy: nie wiadomo kiedy uzbierało mi się ponad dwadzieścia dolców w monetach pięciocentowych - pełne ręce i wypchane kieszenie. Całymi garściami oddaję je Billy'emu na przegranie. Muszę stąd wyjść jak najszybciej. Czuję wewnętrzny bunt wobec wygranej, nie chcę stąd wynieść ani centa.

Przegranie wszystkiego kosztuje nas godzinę ciężkiej pracy. Parę razy mieliśmy już tylko głupie pięćdziesiąt centów - a wtedy ja rozbijałem bank. Dzwonki dzwoniły jak na alarm, a dziewczęta w baletowych spódniczkach biegły mi na pomoc. Bogu dzięki, że Billy ma takiego pecha, bo inaczej sterczelibyśmy tam po dziś dzień, krwawymi dłońmi pompując maszyny i wygarniając drobne z rynienki.

Wychodzimy z powrotem w żar słońca i ruszamy dalej, rozglądając się za czymś do jedzenia. Obaj szukamy restauracji meksykańskiej, żeby sobie po raz ostatni na Dzikim Zachodzie zafundować *taco* - w końcu jednak staje na lokalu pod szyldem Pizza Hut. Wchodzimy - znów klimatyzacja, obrusy w kratkę. Wypijamy do spółki kufel piwa i zjadamy po pizzy. Powoli zaczynam czuć, że może wreszcie naprawdę stąd wyjeżdżam - wracam do domu.

Kiedy znów ruszamy, jest już po trzeciej. Prujemy szybko, żeby przed zmrokiem dojechać do Zion. Znam tam dobry motel, zaraz przy wjeździe do parku. Niestety - Zion pomyliło mi się z Bryce. Mijamy miejscowość, o której myślałem, i dopiero o jedenastej w nocy docieramy do Bryce. Wszystkie restauracje pozamykane, motelu znaleźć nie możemy. Naprawdę, dałem dupy jak sam lord - ale Billy nie narzeka, przynajmniej nic nie mówi.

Wreszcie trafiamy tuż przed zamknięciem na mały barek. Kelner przyrządza nam kanapki z wieprzowiną i majonezem. Do tego po piwie. Dzwoni też na jakiś camping w Bryce, gdzie, okazuje się, mają wolne miejsca. W podróżowaniu fantastyczne jest między innymi to, że człowiek przekonuje się, ilu jest na świecie dobrych, uczynnych ludzi.

Wjeżdżamy w lesisty kawałek na terenie parku; nocleg w domku campingowym kosztuje czternaście dolarów. Biorę prysznic w nadziei, że to mnie uspokoi. Jestem rozdygotany, podminowany. Mam trochę seconalu, ale nie łyknę, póki naprawdę nie będzie już wyjścia. Mam też valium. Dzięki ostatnim przeżyciom stałem się lekomanem. Przedtem nigdy w życiu nie zażyłem środka uspokajającego ani nasennego.

Kładę się i postanawiam dać sobie godzinę na zaśnięcie. Jeżeli przez godzinę nie zasnę, trzeba będzie coś zrobić. To moja ostatnia świadoma myśl.

Rozdział 2

Było tuż po Nowym Roku. Ferie Bożego Narodzenia spędzaliśmy na wsi, w *moulin*.

Moulin to stary młyn wodny, który kupiliśmy przed dziesięciu laty i odremontowaliśmy gruntownie. Stoi w prowincji Francji zwanej Morvan. Spędzamy tam prawie każde lato i większość ferii zimowych.

Pogoda była niebywale ciepła jak na zimę w tych okolicach. Malowałem w plenerze. Wymaga to włożenia trzech par skarpet i rękawic, ale za to światło jest doskonałe. Malowanie zimowego pejzażu, kiedy nie pada śnieg, ma w sobie coś szczególnego. Kolory są wtedy stonowane, wyciszone, za to kształty widać znacznie wyraźniej.

Ustawiłem się na drodze do lasu, w którym Billy pobudował chatkę. Mam stąd piękny widok na naszą wieś z pasmami wzgórz na horyzoncie. Z lewej strony pejzaż zamyka para wysokich topoli, z prawej zaś nad krętą drogą w dół pochyla się rozłożysta lipa. Szkicuję kompozycję poziomą w formacie około dwóch stóp na trzy.

Jest tak ciepło, że farba nie gęstnieje, tyle że ja sam zmarzłem, więc ruszam do domu na *vin chaud*. Na plecach niosę skrzynkę z przytroczonym blejtramem. Nie spieszę się; wyobrażam sobie, że wchodzę we własny obraz - aż tu nagle widzę, że Jacky, nasz najmłodszy, pędzi drogą w moim kierunku. W ręku trzyma niebieską kartkę.

Nawet z tej odległości poznaję, że to francuski telegram. Francuzi używają stenografii i prawie nie sposób ich odczytać. Jestem tak staroświecki, że telegram automatycznie wzmaga we mnie produkcję adrenaliny, zwłaszcza na takiej zabitej deskami wsi. Czuję się bezbronny, wystawiony na cios - nie mam się jak przygotować.

Stawiam skrzynkę na ziemi. Jacky ma na sobie wysokie buty i kurtkę z kapturem. Wyleciał z domu nie zapiąwszy guzików.

- Tatuś! Mamusia kazała ci to dać.

Podaje mi telegram. Przytulam syna i zapinam mu kurtkę. Nie mam najmniejszej ochoty otwierać tego przeklętego świstka.

Jacky nie pyta, czy może zobaczyć obraz. Żadne z naszych dzieci nie interesuje się tym, co robię. Równie dobrze mógłbym pracować dla IBM. Tatuś pracuje - i starczy. Zarzuca na plecy drewnianą skrzynkę, gdzieś wychodzi i maluje obrazki za pieniądze.

Podnoszę pudło i obaj ruszamy w stronę domu. Ziemia stwardniała, ale nie ma na niej lodu. Otwieram telegram; to od siostry.

MAMA MIAŁA POWAŻNY ATAK SERCA STOP CZY MOŻESZ PRZYJECHAĆ STOP CAŁUJĘ JOAN

Tego się nie spodziewałem. Matka zawsze wydawała mi się na swój sposób niezniszczalna.

Wracamy do młyna, pokazuję telegram Vron. Siadam, ale nie jestem już głodny. Trzeba będzie pojechać, to oczywiste. Joan nigdy nie wpada w panikę. Jeżeli twierdzi, że sprawa jest poważna, to tak jest.

Z pomocą Vron pakuję walizkę. Vron wspaniale potrafi zachować spokój, podtrzymać na duchu - to ona, bez wątpienia, reprezentuje w naszym stadle głos rozsądku. Ja cały czas nie bardzo mogę uwierzyć w to, co robię. Mam opuścić to ciche piękno i w jeden dzień przenieść się do Los Angeles, do Palms, na ślepą uliczkę, gdzie mieszkają moi rodzice. Staram się zachować spokój, staram się nie przestraszyć Jacky'ego. Mówię mu, że babcia zachorowała i muszę do niej pojechać. Ośmiolatkowi niełatwo pojąć, co to znaczy. Nie umie sobie wyobrazić, jak długo mnie nie będzie - prawdę mówiąc, ja też nie umiem.

Vron podwozi mnie na pociąg do Paryża, skąd łapię bezpośredni lot Air France do Los Angeles. Osiemset pięćdziesiąt dolarów za bilet wycieczkowy od dwudziestu jeden do czterdziestu pięciu dni. Ładna mi wycieczka! Ale cena sporo niższa niż za bilet normalny.

Telegrafowałem z Paryża podając numer lotu, więc wychodząc z samolotu wcale się nie dziwię, że Joan i jej mąż Mario już na mnie czekają.

Ładujemy mój bagaż do ich campingowego volkswagena. Joan i Mario zawsze jeżdżą albo campingówką, albo furgonetką: mają piątkę dzieci. Wyjeżdżamy na Sepulveda i wtedy dopiero Joan zaczyna mi opowiadać, co się stało.

Wpadła któregoś dnia do rodziców, ale nie było ich w domu. Korzystając z okazji, odkurzyła mieszkanie i umyła parę okien. Później jednak zaczęła się niepokoić. Pewnie wyszli po zakupy, ostatnio prawie w ogóle nie bywają poza domem, ale zakupy nie powinny trwać tak długo.

Joan jedzie pod halę targową. Rodzice rzeczywiście tam są. Mama siedzi na ławce przy Hali Udanych Zakupów, blada jak ściana. Tato, jakby nie wiedział, co robić, i nie bardzo wierzył w to, co się dzieje, w kółko pakuje i rozpakowuje zakupy w bagażniku samochodu.

Joan jest przerażona wyglądem Mamy. Odwozi rodziców do domu ich samochodem, własny pozostawiając na parkingu. W domu poleca Tacie rozpakować zakupy, a sama odwozi Mamę do szpitala na ostry dyżur. Mama nie chce jechać do szpitala. Jest hipochondryczką: lubi doktorów, ale szpitala się boi.

W szpitalu natychmiast stwierdzają niedrożność naczyń wieńcowych. Błyskawicznie przenoszą Mamę na oddział intensywnej terapii i podłączają do monitorów, kroplówki i tlenu. Podają środki uspokajające i na rozcieńczenie krwi.

Tej samej pierwszej nocy w szpitalu miała poważny zawał. Jeżeli już człowiek musi mieć zawał, najlepiej go przechodzić na oddziale intensywnej terapii. Lekarze mówią Joan, że zawał był rozległy i gdyby Mama dostała go poza szpitalem, nie miałaby szans na przeżycie. Wyniki ostatnich badań jeszcze nie nadeszły, ale wiadomo, że Mama utraciła funkcje znacznego odcinka dolnej lewej komory serca.

Na szczęście Mama żyje, ale diagnoza nie jest zbyt optymistyczna.

Jedziemy prosto do domu rodziców. Joan chciała, żebym przyjechał między innymi po to, aby się zająć ojcem. Wygląda na to, że bardziej martwi się o ojca niż o Mamę. Ja tak samo. Nie wiem, skąd oboje mamy przeświadczenie, że Mama zawsze sobie da radę, ale mamy je - i już, bez sensu. Może to tylko odruch obronny.

Tato czeka na nas przy oszklonych drzwiach. Jestem przekonany, że ilekroć usłyszał

przejeżdżający samochód, wstawał i wyglądał. Podajemy sobie ręce: w naszej rodzinie mężczyźni się nie obejmują. Tato nie płacze, ale oczy ma załzawione, a twarz pożółkłą. Jest zdenerwowany, ręce mu się trzęsą.

Siada w swoim bujaku tuż przy drzwiach, ja tymczasem wnoszę bagaż do środkowego pokoju w przeciwległym końcu halu. Tato wygląda o wiele bardziej krucho, niż kiedy go ostatni raz widziałem. Minęły prawie dwa lata. Nie, żeby się postarzał, czy nawet schudł - po prostu jest mniej żywotny.

Joan zapowiadała mi po drodze, żebym bagatelizował atak Mamy, jak tylko potrafię, bo Tato odchodzi od zmysłów ze strachu. Wypijamy więc po szklance mętnego muszkatu, który w domu moich rodziców uchodzi za wino. Kupują go w galonowych dzbanach i odlewają po trochu w karafkę ze sztucznego kryształu. To jeden z ukłonów Mamy w stronę elegancji. Nie jest to jeszcze najgorsze paskudztwo, jeżeli się do tego żuje grzankę z serem, tylko że słodkie jak ulepek. Kto nie lubi wina, może to znieść - coś pośredniego między lemoniadą waniliowo-karmelową a koktajlem Manhattan, czyli whisky z wermutem.

Siedzimy. Tato nie był jeszcze w szpitalu, Joan powiedziała mu, że nie ma odwiedzin. Dlatego wychodząc muszę się chyłkiem wydostać tylnymi drzwiami i wyprowadzić wóz rodziców przez patio. Mają ramblera, rocznik 1966, całe dwadzieścia pięć tysięcy mil na liczniku. Jedenastoletni wóz, a w takim stanie, jakby zszedł prosto z wystawy. Rodzice okrywają go folią, nawet pokrowce na siedzeniach są powleczone plastikiem. W środku jest klimatyzacja, radio, hamulce ze wspomaganiem, układ kierowniczy i kontrolny ze wspomaganiem. Kiedy się go prowadzi, to jakby wdepnąć w przeszłość. Dzięki automatycznej zmianie biegów sunie gładziutko jak po maśle, a przy tym, jak na mały samochód, ma niebywałą moc silnika. Tato kupił go, kiedy się jeszcze interesował samochodami, jako swój ostatni wóz - samochód dla emerytów. Zaryzykował i naprawdę trafiło mu się cacko: prosta, klasyczna linia, ścięty tył.

W hallu szpitalnym jakaś miła kobieta tłumaczy mi, jak trafić na oddział intensywnej terapii.

Chyba nikt nie jest w stanie przywyknąć do szpitala, poczuć się tu swobodnie - może tylko lekarze i pielęgniarki. Do wyboru tylko ból albo śmierć.

A jednak ten szpital jest jakiś inny, nowoczesny. Na podłogach leżą dywany, a na wszystkich piętrach lecą z głośników wiązanki melodii. Nie ma się tu tego szpitalnego wrażenia “białe kafelki i linoleum". Nawet nie pachnie szpitalem - raczej hotelem. Albo winda: przy wsiadaniu ciche “dzyń", samoobsługa, muzyka. Muzyka gra na wszystkich piętrach: wszędzie przez cały czas słychać te same kojące melodie.

Śledząc plansze z napisami, dostaję się na oddział intensywnej terapii. W recepcji przedstawiam się, pytam, czy mogę odwiedzić matkę. Mówią mi, że jej stan jest ciężki i należy oszczędzać jej silnych wzruszeń. Tłumaczę, że przyjechałem aż z Paryża. Odbywają krótką naradę. Staje na tym, że mogę wejść, ale muszę się zachowywać bardzo spokojnie.

Ostrożnie posuwam się wzdłuż rzędów kabinek. Wszyscy chorzy są podłączeni do aparatury i szczelnie pozamykani, większość leży nieprzytomna. To rzeczywiście ostatni przystanek przed grobem, współczesna wersja indiańskiego domu śmierci.

Nie wiem, czego się spodziewać: przez dwa lata człowiek potrafi się bardzo zmienić, nawet bez zawału. Zobaczyć kogoś w tym wieku po długim niewidzeniu, to zawsze szok. Wiem, że wszyscy się zmieniamy - dzieci, Vron, ja sam - ale patrzymy na siebie tak często, że tego nie dostrzegamy.

Zaglądam - jest Mama. Chyba odkąd byłem dzieckiem, nie widziałem jej w łóżku. Jako osiemnastolatek wyszedłem z domu do wojska, a wcześniej nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nawet wszedł do sypialni rodziców, przynajmniej odkąd skończyłem dziesięć lat. Teraz ją widzę: łóżko uniesione, od nosa biegnie rurka z tlenem, monitory, kroplówka, cewniki. Nad wezgłowiem komputerowy ekran z ciągłą notacją kardiogramu i czerwonym punkcikiem pomiaru pulsu, skaczącym w około calowych odstępach. Mama wygląda jak astronauta, któremu się nie powiodło.

Cerę ma zielonkawobiałą, oczy zamknięte, twarz-maska.

Z twarzą Mamy jest dziwna rzecz. Zostają na niej linie i ślady wszystkich min, głównie wyrażających niemiłe uczucia: surowe grymasy podejrzliwości, podłużne zmarszczki niezadowolenia i żalu. Wszystkie wyryte są głęboko, nawet gdy twarz jest rozluźniona. A jednocześnie jest w tej twarzy coś młodego. Mama przyciemnia sobie włosy, a włosy ma bujne, mocne, odwrotnie niż Tato. Twarz Taty jest gładka, atłasowogładka, ale z włosów pozostały tylko białe kępki nad uszami.

Mama nie za bardzo się maluje, w sam raz jak na siedemdziesięcioletnią kobietę. Nigdy nie wyglądała na swój wiek. Patrzę na nią i widzę, że nawet tak chora, być może umierająca, nie wygląda na dużo więcej niż pięćdziesiąt pięć.....

Siadam na krześle przy łóżku i obserwuję aparaturę, która usiłuje mi przekazać, co się dzieje. Wiem, że w centralnej dyżurce mają monitory z tym samym zapisem. Ciekawe, co musiałoby się stać, żeby tu pędem zbiegli.

Obserwuję częstotliwość pulsu: wzrasta do 87, spada do 83, wzrasta do 92. Nigdy nie przypuszczałem, że puls może być tak nierówny. Czy to z powodu serca?

Gapię się w ekran, a równocześnie tak jakby i w siebie. I nagle słyszę jej głos.

- Więc jednak przyjechałeś. Znaczy, że jestem bardzo chora.

Cała Mama. Najpierw reprymenda, zwątpienie w mój przyjazd, a zaraz potem litość nad samą sobą. Pochylam się i całuję ją w zwrócony do góry policzek.

- Nie jest z tobą tak źle. A w ogóle to przyjechałem głównie w innej sprawie.

Nic głupszego nie mogłem powiedzieć! Mama nawet nad grobem nie da się tak łatwo nabrać. Trudno nabrać człowieka, który nawet prawdę traktuje podejrzliwie.

- Nie kłam, Jacky.

Przymyka oczy i powoli zaczyna snuć własną udramatyzowaną wersję historii zawału. Powinna pisywać seriale. Prawie wszystko umie sprzedać ciekawie, a sobie samej przydziela fantastyczne role pierwszoplanowe.

- Tatuś zupełnie nie wiedział, co robić... Siłą woli trwam przy życiu, uspokajam tatusia, że to tylko lekka niestrawność. A cały czas modlę się do świętego Judy, patrona beznadziejnych przypadków. Wtedy jak spod ziemi wyrasta Joan i ratuje mi życie.

Z niechęcią oddaje sprawiedliwość Joan, ale zaraz się wycofuje, mówiąc, że

McCarthy'owie, czyli jej rodzina, są zawsze świetni w momentach kryzysowych, za to Tremontowie natychmiast się łamią. Dzięki Bogu, że Joan ma zdrową krew McCarthych.

Teraz następuje scenariusz tego, co mówili Mamie lekarze. Gdyby rzeczywiście rozmawiali z nią tyle, ile relacjonuje, nie miałaby kiedy oka zmrużyć, a w całym szpitalu stanęłaby robota.

Wszyscy się tu zachwycają, jaka Mama jest silna, jaką ma w sobie siłę woli - jakby była o połowę młodsza. Mama uważa to pewnie za obelgę: nikt, kto jest o połowę od niej młodszy, nie ma takiej siły woli.

Ale przyznaje się do strachu.

Potem zaczynamy planowanie, przygotowanie kolejnej sceny.

- Tatusiowi ani słowa o zawale, pamiętaj! Powiedz mu, że to jakieś wewnętrzne dolegliwości. On w to uwierzy, Jacky, bo kiedyś miałam operację macicy. Więc powiedz mu, że to tylko sprawy wewnętrzne.

Spodobał się jej ten pomysł.

- Jeszcze jedno, Jacky: żebyś ani słowem nie wspominał o raku. Wiesz, że tatuś panicznie boi się raka.

Nie mam pojęcia, co ma do tego rak, ale kiwam głową. Pogadam z Joan i razem zdecydujemy, ile powiedzieć Tacie. Musi wiedzieć, że Mama przeszła zawał. Zawał serca to nie to samo co operacja macicy. Człowiek po takim ataku, nawet jeżeli go przeżyje, do końca życia zostaje zawałowcem.

Teraz jednak nie ma sensu tłumaczyć tego wszystkiego Mamie. Przez chwilę jeszcze siedzę i obserwuję ją. Na przemian traci i odzyskuje przytomność, chwilami rzuca się we śnie. Raz ściąga monitor i natychmiast do sali wbiegają trzy pielęgniarki. To dopiero jest pogotowie.

Mama jest osobą bardzo czynną, nawet przez sen: jest nerwowa i porusza się szybko. Pielęgniarka mówi mi, że już czwarty raz ściągnęła monitor. Tym razem zabezpieczają go na wszystkie sposoby - klejem i przylepcem od łokcia po przegub. Więcej nie da się zrobić, chyba żeby go jej przybili gwoździami. Kroplówka to całkiem oddzielny problem.

Wychodzę i ze zdumieniem stwierdzam, że wcale mi się nie zbiera na płacz. Czuję głównie onieśmielenie i jakiś szczególny niepokój. Patrzeć, jak ścięło Mamę z nóg, to jakby widzieć stare, znajome drzewko, które piorun powalił w poprzek drogi.

Wracam z mocnym postanowieniem zachowania dobrej miny. W rodzinie zawsze odgrywałem rolę żartownisia, komedianta, błazna.

Wiem, czego się ode mnie oczekuje, w takiej roli nabywa się dobrego wyczucia. Parkuję samochód Taty trochę dalej, na ulicy, i ostatni kawałek do domu przebywam piechotą. Zazwyczaj parkujemy wóz na podjeździe albo na patio. Tato wita mnie w drzwiach.

- Gdzie auto, Johnny?

- Widzisz, Tato, byłem w szpitalu. Kiedy tam zajechałem, Mama akurat kończyła się pakować, gotowa do drogi. Lekarz poradził jej wziąć urlop i trochę wypocząć, tak że Mama jest właśnie w drodze do Palm Springs. Zostawiłem jej samochód, a sam wróciłem

autobusem.

Nie, to okrucieństwo, Tato mi wierzy. Ucieszył się, że Mama już zdrowa, ale jest zdruzgotany wieścią, że jedzie do Palm Springs bez niego. Joan przepycha się przede mnie i wygląda na ulicę.

- Jack, jesteś niemożliwy! Samochód, Tato, stoi na ulicy. Skaranie boskie mieć takiego syna.

Tak czy owak, najgorsze za nami. Z trudem biorę się w garść.

Telewizor włączony. Siadam w złotym fotelu - fotelu Mamy. Transmitują mecz Angels - Oakland. Oakland, naturalnie, prowadzi. Tato wie, że byłem w szpitalu, ale stara się nie robić z tego wielkiej sprawy.

- Co powiesz o Mamie, Johnny? Jak wygląda? W porządku? I zaraz prawie na tym samym oddechu:

- Kiedy wraca do domu?

- Mama czuje się świetnie, ale jeszcze jakiś czas potrzymają ją w szpitalu. Kazała cię pozdrowić i ucałować w oba policzki.

Tato nie pyta, co Mamie jest. Zdaje mi się, że woli nie wiedzieć. Spoglądam na Joan usadowioną na kanapie, a ona przykłada palec do ust.

W milczeniu oglądamy mecz. Oakland prowadzi różnicą pięciu punktów.

Joan wstaje bezszelestnie, wskazuje palcem na pierwszą sypialnię na zapleczu i znika z pokoju. Sypialnię tę nazywamy “na tyłach", bo mieści się z tyłu za salonem, kuchnią i łazienką; naprawdę jest to sypialnia boczna.

Z tyłu domu jest jeszcze jedna sypialnia, prawdziwa sypialnia na tyłach. Dom ma kształt litery L, której podstawa wychodzi na ulicę. Tam właśnie, we frontowej części, mieści się salon-jadalnia. Dłuższe ramię litery L biegnie po lewej w głąb podwórza, z prawej strony dobudowane jest patio. W tym skrzydle mieszczą się kolejno: kuchnia, łazienka - tyłem do siebie - sypialnia środkowa, czyli pierwsza na tyłach, i prawdziwa sypialnia na tyłach w samym końcu hallu. Właściwie jest jeszcze jedna sypialnia, w ogrodzie: ją też nazywa się czasami sypialnią na tyłach. W domu moich rodziców są wyłącznie sypialnie na tyłach, żadnych innych się tam nie uznaje.

Joan czeka na mnie. Zostawiam mecz w sytuacji: pierwsza i trzecia baza obstawiona, aut dla Angels - i wstaję, jakbym wychodził do łazienki. Tato i Mario nie podnoszą na mnie wzroku.

Wchodzę do sypialni i cicho zamykam drzwi. Joan wyciągnęła się na łóżku, siadam na podłodze.

W dzieciństwie stworzyliśmy sobie z Joan własny świat, w obronie przed tym, co dziś nazywamy nędzą umysłową. Nędza umysłowa to wieczna podejrzliwość wobec wszystkiego, co nietypowe, nieznane i nie przyjęte, a także wiara, że co nie jest praktyczne, nie może być dobre.

Joan ma teraz piątkę dzieci. Jest urodzoną matką; należy do tych niebywałych kobiet, które naprawdę bawią się z dziećmi. I to nie tylko gdy dzieci są małe. Joan bawi się ze swoimi cały czas. Ma dwudziestoczteroletniego syna, absolwenta Yale z wyróżnieniem, i z

nim też się ciągle bawi. Można ich często zastać na podwórzu, jak grają w kulki albo strzelają z wiatrówki.

Matka mówi wtedy, że Joan jest “trzepnięta".

- Patrzcie, ta trzepnięta znowu tarza się po ziemi z dzieciakami, a te dzieciaki większe od niej.

“Trzepnięty" to w języku Mamy tyle co idiota. Tak mi się przynajmniej zdaje, nigdy nie pytałem. Ktokolwiek robi coś, czego Mama nie pochwala, natychmiast zostaje “trzepniętym". Wymawiając to słowo, Mama na dodatek fuka przez nos. Joan jest trzepnięta (fuk!), bo bawi się z własnymi dziećmi. “Nigdy nie będą jej szanowały. Jak Boga kocham, one się do niej odnoszą jak do równego sobie!"

Ze mną też nie przestała się bawić po dziś dzień. Ja mam pięćdziesiąt dwa lata, ona też pod pięćdziesiątkę, ale każde nasze spotkanie to jedna wielka zabawa. Gra opiera się na głębokim wzajemnym zaufaniu. Co to za zabawa w chowanego z podglądaniem? Albo czy można swobodnie i wesoło bawić się na huśtawce z kimś, komu się nie ufa?

- Co myślisz o stanie Mamy, Jack?

Śmieje się, kiedy jej cytuję powitalne słowa Mamy. Przyznaję, że nie byłem zachwycony jej wyglądem.

- Lekarz mówi, że trzeba poczekać i stwierdzić, jak poważne są zmiany. Joan milczy przez chwilę.

- Martwię się o Tatę. Mogłabym zabrać go do nas, ale tu mu lepiej - może przynajmniej krzątać się po ogrodzie i oranżerii.

Kiwam głową.

- Jak długo możesz zostać?

- Mam bilet powrotny od dwudziestu jeden do czterdziestu pięciu dni.

- Powinno wystarczyć. Mam nadzieję. Przekręca się na bok i zrzuca buty.

- Nie martw się, Joan. Zostanę z Tatą. Jakoś sobie poradzimy. U siebie we Francji jestem najnowszym modelem gosposia domowego.

Joan posyła mi swoje słynne “szczere spojrzenie".

- Jesteś pewien? Wiesz, że z ojcem jest właściwie jak z dzieckiem.

- Nic się nie martw. To w końcu także mój ojciec, nie tylko twój.

- Jesteś kapitalny.

Joan streszcza mi typowy porządek dnia. Mówi, że najważniejsze to trzymać się ustalonego biegu rzeczy. Matka wprowadziła tu harmonogram, dzięki któremu całe ich życie jest nie kończącą się rutyną.

- Po pierwsze, Mama wstaje wcześnie i robi gimnastykę. To dla niej najlepsza pora dnia, ma wtedy cały dom dla siebie. Koło dziesiątej zanosi Tacie kawę, podaje mu pigułki na ciśnienie, witaminy i inne leki, które akurat uznaje za stosowne zaaplikować. Poranna kawa jest prawdziwa, nie bezkofeinowa.

Widzisz, Jack, Tacie przez tych ostatnich osiem lat udało się żyć w złudzeniu, że odbywa przedłużony urlop, że prędzej czy później będzie musiał wrócić do pracy. Każdy

dzień stara się przeżyć tak, jakby to był dzień ostatni.

Wymienia nazwy leków, które Tato bierze. Niektóre znam; szprycują go medykamentami dosyć solidnie. Przychodzi mi do głowy, żeby spróbować go namówić na medytacje, może nawet na jogę. Sam tymi sposobami obniżam sobie ciśnienie. Przywiozłem aparat do pomiaru ciśnienia, zbadam Tatę, kiedy będę mierzył sobie. Ta reserpina, którą mu każą brać, to straszne świństwo, właściwie trucizna.

Joan recytuje dalszy ciąg codziennej rutyny, do której należy obowiązkowe oglądanie seriali telewizyjnych typu “samo życie". Obiecuję jej, że i to postaram się wytrzymać, a jednocześnie już kombinuję gorączkowo, jak takie życie ubarwić. Nie potrafię nie wtrącać się w cudze sprawy. Co do Taty, chciałbym go zwłaszcza odciągnąć od tych trzygodzinnych spektakli “z życia wziętych" w samym środku dnia. To straszne marnotrawstwo - mieszkać w Kalifornii, pod takim wspaniałym słońcem, i godzinami przesiadywać w czterech ścianach gapiąc się na ruchome kolorowe kreski. Przecież - mój Boże! - niecałe dziesięć minut od domu mają ocean.

- Jeszcze jedno, Jack: Tata od czasu do czasu pracuje w warsztacie, ale utracił dawną koordynację ruchów i to go doprowadza do szału. Pamiętasz, jak kiedyś nie było rzeczy, której by nie naprawił? Teraz nawet uruchomienie swojej własnej maszynki do golenia sprawia mu kłopoty.

Łzy napływają jej do oczu, spuszcza wzrok.

- On mnie zaczyna uważać za złotą rączkę, bo potrafię mu złożyć maszynkę: oczyścić, wymienić ostrze, takie tam drobiazgi.

- Bo ty naprawdę jesteś złota rączka!

Kiedy byliśmy mali, Joan, czteroletnia, jeździła na wrotkach jak szatan, a ja, chociaż miałem już siedem lat, nie potrafiłem nawet ustać na tych piekielnych kółkach. Na rowerze dwukołowym też nauczyła się jeździć wcześniej ode mnie. Kiedy na Gwiazdkę dostałem Małego Konstruktora, to Joan się nim bawiła. Tak było.

- Staraj się pomagać mu, Jack, pomagać nie budząc w nim jednocześnie poczucia niezaradności. Wszystko jest dobrze, dopóki się nie zirytuje.

Joan wstaje z łóżka, wsuwa buty.

- Lepiej stąd chodźmy, nim pomyślą, że daliśmy nogę z domu.

Mecz trwa. Oakland bije przeciwnika na głowę. Wchodzimy do pokoju tuż po tym, jak Rollie Fingers oddał wspaniale celny rzut. Oglądamy powtórkę.

Joan i Mario wychodzą przed końcem meczu. Zostaję sam na sam z Tatą. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byliśmy sami. Obserwując końcówkę meczu, przebiegam w pamięci wszystko, co mi mówiła Joan. Gotować i prowadzić dom potrafię na trzy z plusem, ale przeraża mnie perspektywa zastąpienia Tacie Mamy.

Joan przed wyjściem naszykowała kolację, więc około wpół do siódmej idę do kuchni podgrzać jedzenie. Nakrywam dla dwóch osób. Tato siada na swoim zwykłym miejscu, na końcu stołu, a ja tam, gdzie zawsze siadałem - po jego lewej ręce. Nie siadam na miejscu Mamy, od strony kuchni, chociaż tak byłoby wygodniej.

Tato mnie obserwuje. Ustawiam na stole masło, sól, pieprz, talerze, kładę noże, widelce, łyżki. Wyjmuję gorące danie z piekarnika i przenoszę na talerz pośrodku stołu.

- Gdzie się nauczyłeś gotować, Johnny?

Tato na ogół mówi do mnie Johnny, czasami, bardzo rzadko! John. Nie wiem, od czego to uzależnia. Mama zawsze nazywa mnie Jacky. Ja sam zmieniłem sobie imię z Johnny-Jacky na Jack, kiedy poszedłem do ogólniaka. Ale w domu Jack się nie przyjął. Nie wiem, dlaczego rodzice zwracają się do mnie różnymi imionami, ale tak jest: jakbym dla każdego z nich był inną osobą.

- To nie ja gotowałem, Tato. To Joan. Ja tylko podaję. No, bierzmy się do jedzenia.

Wiem, że Tato mi nie uwierzył. Ponieważ przynoszę jedzenie z kuchni, więc nie ulega wątpliwości, że sam je gotowałem. Przecież jedzenie gotuje się w kuchni. Tato sam tę kuchnię projektował, sam instalował piecyk, zlew, lodówkę, sam porobił kredensy, sam dokonuje wszystkich napraw. Ale używanie kuchni to dla niego ciemna magia. Z kuchni potrafi zrobić mniej więcej taki sam użytek jak z odrzutowca - przy budowie odrzutowców u Douglasa robił przez dwadzieścia lat.

Jedzenie pyszne. Potem jeszcze trochę oglądamy telewizję. W przerwach na rozgłośnie lokalne i reklamy wyskakuję do kuchni i zmywam. Powoli taszczę swoje rzeczy do sypialni na tyłach, tej w ogrodzie. Zabieram kilka koców. Tato obserwuje mnie cały czas.

- Ja bym się tam nie kładł, Johnny, piekielnie zimno i wilgoć. Lepiej ci będzie nocować tutaj. Na noc tylko lekko przykręcam ogrzewanie, będzie ci ciepło.

Szczerze mówiąc, lubię spać w zimnym pokoju. U rodziców jest mi zawsze za gorąco, a poza tym oni używają koców elektrycznych. Ja nigdy. Nawet w Kalifornii mam się nieswojo, kiedy nie czuję na sobie we śnie ciężaru koca - cieniutki koc elektryczny budzi we mnie poczucie zagrożenia. Wiem, że jest ciepły, ale przy tym jakiś niestosowny. Tego wszystkiego nie mogę jednak powiedzieć Tacie: poczułby się urażony.

Poza tym, wiem przecież, o co chodzi. Tato się boi. Najchętniej zabrałby mnie do łóżka, ale taka propozycja nigdy nie przejdzie mu przez gardło, nawet gdybym się zgłosił na ochotnika. Nie spał sam chyba od czasu, jak Mama ostatni raz leżała w szpitalu - z górą trzydzieści pięć lat temu. To go przeraża. No i co ja mam robić? Przecież nie wezmę go za rękę, nie odprowadzę do łóżka i nie przebiorę z piżamę.

- No jak, Tato, uderzymy w kimono?

Podnosi się z ociąganiem i wyłącza telewizor. Przekręca termostat o jeden stopień w dół. Sprawdza wszystkie drzwi i okna, czy dobrze pozamykane. To jego rutynowe czynności, o których dobrze wiem. Gasi wszystkie światła poza małą lampką w hallu. Wychodzi do sypialni.

Postanawiam nocować w bocznej sypialni; nie mogę zostawić go samego w takim stanie. Pozamykam klapki grzejnika, zamknę drzwi i otworzę okno.

Ledwie się położyłem, Tato puka i uchyla drzwi.

- Johnny, nie mogę znaleźć piżamy. Nie wiem, gdzie Mama trzyma bieliznę.

Na bosaka idę za nim do sypialni. Stoi tam szafka i komoda z trzema szufladami. Przeglądam szuflady i raz-dwa trafiam na piżamę. Mama zainstalowała się w górnej

szufladzie, środkowa przeznaczona jest dla Taty, a w dolnej leżą swetry. Wręczam Tacie piżamę. Patrzy na mnie jak na cudotwórcę.

Jeszcze raz mówimy sobie dobranoc. Tato prosił, żebym nie gasił lampki na półce w hallu. Chce mnie jeszcze zatrzymać -byleby nie zostać samemu w tej sypialni. Gdybym był rzeczywiście wrażliwym, kochającym i troskliwym synem, zaproponowałbym mu, żeby się przeniósł spać do bocznego pokoju, a sam zanocowałbym tutaj. To ogromne, puste łoże bez matki śmiertelnie Tatę przeraża. Trudno zawsze wiedzieć, jak postąpić.

Rozdział 3

- Hej, Tato, obudź się! Tato!

Jezu, może on nie żyje? Oddycha; rany Boskie, jak on oddycha, istna kołatka śmierci.

- Dawaj, Tato, rusz się. Ósma godzina!

To według prawdziwego czasu, czasu na Pacyfiku. Jeszcze nie przeszliśmy na czas górski. Tato jęczy i przewraca się na drugi bok. Może jednak nie umarł. Po tych ostatnich zafajdanych przejściach mógłby z powodzeniem dostać ataku serca albo udaru mózgu. Przyglądam mu się z bliska - wygląda w porządku.

Biorę prysznic; hałasuję przy tym i walę przedmiotami, ile wlezie. To całkiem do Taty niepodobne: na ogół to on zrywa się pierwszy i wyrzuca z łóżek całą rodzinę. Wychodzę z łazienki wycierając się ręcznikiem.

- Hej, Tato, ruszaj się. Pora wstawać.

Jakby był w pestkę zalany. Teraz już naprawdę zaczynam się niepokoić. Co ja zrobię, jak mi tutaj wykituje, w tej dziurze zabitej deskami? Siadam na krawędzi łóżka i potrząsam nim z całej siły.

- Hej, Tato! Nic ci nie jest?

Jęczy i otwiera oczy. Wzrok gdzieś mu ucieka, znów się przewraca na drugi bok.

- Starczy tego dobrego. Wstajemy. Już prawie wpół do dziewiątej.

W końcu zwiesza nogi i siada na brzegu łóżka. Zawisa w tej pozie jak pusty worek. Ale obudził się, żyje.

Wziął prysznic i już jest dobrze. Ruszamy natychmiast, śniadanie zjemy gdzieś po drodze. W ten sposób przejedziemy się jeszcze w chłodzie poranka. Żeby tak dał mi poprowadzić, o rany: marnujemy tę rakietę wlokąc się pięćdziesiąt pięć na godzinę. Tato jedzie jak za karę: przygarbiony nad kółkiem, naburmuszony. Dookoła otwarte drogi, drzewa, wysokie pustkowie nieba, a on nawet nie spojrzy, cały w napięciu, w oczekiwaniu najgorszego.

Przy takiej maszynie można się spokojnie rozwalić w fotelu - niech, cholera, jedzie sama. Wszyscy najlepsi kierowcy twierdzą, że prowadząc wóz trzeba się odprężyć, wyczuć szosę. Piłować silnik wielkiej mocy na tych prędkościach to po prostu kryminał.

Kiedy mamy znowu wsiadać, proszę jeszcze raz.

- Wybacz, Bill, ale nie.

- Dlaczego? Mam prawo jazdy.

- Daj spokój, Bill. Nie stać nas na takie ryzyko; gra nie warta świeczki.

No i turlamy się dalej. Przez boczne okienko wyglądam na odpływający pejzaż. Nie mogę patrzeć, jak on prowadzi, bo zwariuję. Ojciec ma szybki refleks; nawet nie reaguje zbyt gwałtownie, ale jakoś tak, że za każdym razem się denerwuję. Jest tak śmiertelnie poważny; gdy się z nim jedzie jako pasażer, człowiek sam staje się spięty. Za grosz frajdy.

Tato jest dobry w drobiazgach. Na ogół mówi się o artystach, że żyją na luzie i niczym

się nie przejmują. To nie on. Potrafi się uprzeć jak osioł. Jak wtedy, kiedy pomylił Bryce i Zion. Taki był pewny swego. Minęliśmy świetne miejsce, to, o które, wiedziałem, przez cały czas mu chodziło, ale on miał własną koncepcję i nie było siły: klapki na oczach.

Może się starzeje. Chyba na tym właśnie polega starzenie: człowiek się robi bardziej zawzięty.

I Mama, i Tato od jakiegoś czasu zachowują się staro.

Mama bardzo przycichła, unika silniejszych, nowych wrażeń. Wystarczy, żebym pierdnął albo beknął przy stole, a robi z tego wielką aferę. Przestali być na bieżąco, nie adaptują się w nowym życiu.

To pożegnanie z dziadkiem - o Jezu, ponura sprawa. Tato jak zwykle zachował się po swojemu: robił dobrą minę do złej gry. A babcia jest taka męcząca. Chyba nie umie nic zrobić dla drugiego człowieka, nie oczekując czegoś w zamian. Życie to dla niej jedna wielka gra w Monopoly.

Tato znów nastawił radio. Łapiemy tylko kowbojskie piosenki albo szumy. Lokalne stacje nic przyzwoitego nie nadają, a i tak jedziemy przeważnie przez pustkowie. Powinniśmy się gdzieś zatrzymać i kupić kasetę z przyzwoitą muzyką - jacyś Stonesi, jakiś Dylan albo Doors, coś porządnego.

Mam jeszcze w zanadrzu sto pięćdziesiąt dolców, ale żal mi wydawać na głupią kasetę. Każdy grosz niedługo mi się przyda, a nie chcę żebrać o forsę. On jeszcze nic nie powiedział. Wie, że nie wracam na uczelnię, ale na ten temat jeszcze ani słowa - na razie.

O Jezu! Będziemy wyprzedzać ciężarówkę. Nie ma nic gorszego, niż kiedy on wyprzedza ciężarówki. Nawet się nie wychyli, dopóki droga nie jest czysta po horyzont. Cholera, za nami nic nie jedzie, co najmniej o kilometr.

Po raz dziesiąty sprawdza boczne lusterko. Skaczemy! Już się stało: mozolnie dryfujemy wzdłuż wielkiego, dwuczłonowego wozu. Facet całkiem zgłupiał: patrzy w dół, jak suniemy, może ze dwie mile na godzinę szybciej od niego. Pewnie myśli, że mamy tylko trzy cylindry sprawne. Gdyby Tato wcisnął gaz do dechy, wyskoczylibyśmy przed tamtego w trzy sekundy. Ale nie: jedziemy sobie spacerowo, oszczędzamy na benzynie. Muszę się rozluźnić.

Rozdział 4

Na drugi dzień rano budzę się o wpół do dziewiątej jakby lepiej zgrany z rzeczywistością. Ta dziewięciogodzinna różnica czasu całkiem mnie rozkłada.

Szykuję śniadanie. U nas w domu nie pija się specjalnie dużo kawy, ale u rodziców tak. Bogu dzięki, że nie są prawdziwymi kawiarzami: nie mielą, nie palą, nie filtrują, tylko piją rozpuszczalną.

Kuchnia jest elektryczna, płaskie ślimakowate fajerki. Nie wiem, czy najwyższa temperatura to będzie 1, czy 6. Próbuję 6. Zaglądam do szuflady w kredensie koło jadalni i rzeczywiście leży tam kartka z listą leków, które Tato zażywa - tak jak Joan obiecała. Wybieram pigułki i na podstawie listy ustalam, ile czego rano, ile w obiad, ile przed snem. Na razie robię to sam, ale Tato będzie w końcu musiał przejąć ten obowiązek na siebie.

Po śniadaniu jestem gotów do rozmowy o stanie zdrowia Mamy. Zgodziliśmy się z Joan, że najlepiej jak ja wszystko Tacie powiem.

Aha, to niesamowite, ale Tato jest przekonany, że pracuję dla rządu w jakiejś komórce wywiadu. Pomysł ten przyszedł mu do głowy już z dziesięć lat temu. Bezpośrednio nigdy do niego nie nawiązuje. Czasami tylko spojrzy na mnie chytrze, porozumiewawczo i zapyta; “Jak tam robota, John?"

Chyba trudno mu pogodzić się z myślą, że dorosły mężczyzna może zarabiać na życie malowaniem obrazków. Przekracza to jego wyobrażenie o racjonalnym działaniu.

Mama nie ma z tym żadnych trudności: zawsze będę dla niej zatwardziałym hippisem. Noszę brodę, mieszkam w Paryżu i na pewno się narkotyzuję. Mama spisała mnie na straty. Tacie jednak potrzebne jest jakieś usprawiedliwienie i wymyślił sobie właśnie takie.

Joan uważa, że to najlepszy dowcip na świecie. Raz nawet przysłała mi pod choinkę dorosłych rozmiarów strój Zorro, który własnoręcznie uszyła, oraz dziecięcy zestaw “Mały detektyw" z przyborami do zdejmowania odcisków palców i lupą.

Z początku próbowałem dementować to dziwaczne posądzenie, ale wkrótce uznałem, że niech będzie. W końcu, do cholery - on to robi dla mnie. Teraz odpowiadam tylko: “Wszystko gra, Tato". Na ogół wystarcza, nigdy nie rozwijamy tematu.

Zbieram pigułki, nalewam kawy w filiżankę Taty i pukam do drzwi sypialni. Postanawiam, że nie podam mu kawy do łóżka. Wołam przez zamknięte drzwi:

- Tato, pora wstawać, kawa czeka.

- Już, już, Johnny, już lecę.

Stojąc tak, uświadamiam sobie, że znowu w coś gramy.

Tato urodził się w roku 1904. Dla ludzi z tego rocznika pierwsza wojna światowa zakończyła się, gdy mieli lat czternaście, a druga wojna światowa - przynajmniej w USA - zaczęła się, kiedy mieli lat trzydzieści siedem. Tato nie walczył na wojnie.

To mu jakoś nie daje spokoju. Na pewno wie, że miał szczęście, że się wywinął, ale za to nigdy nie zaznał “męskiego życia" w polu. I to go gnębi.

Tato nie wyszedł z domu rodzinnego, póki się nie ożenił, a potem ster rządów przejęła

Mama. Zawsze żył w środowisku zdominowanym przez kobiety, nigdy sam i nigdy wśród innych mężczyzn.

Wszyscy jego bracia niedługo wytrwali w kawalerstwie. Jeden brał udział w pierwszej wojnie światowej. Sporo też polowali. Tato przez wiele lat chciał mnie wziąć na polowanie ze swoim ojcem i braćmi, ale Mama nawet nie chciała o tym słyszeć.

- O nie! Chyba że sami będziecie sobie prać ciuchy i śmierdzącą bieliznę. A poza tym nie życzę sobie w domu żadnych cuchnących rękawic z sarniej skóry ani indiańskich mokasynów. Tyle wam powiem!

Każdej jesieni paczka, do której należeli wszyscy moi kuzyni ze strony Tremontów, spotykała się w Maine. Na ogół trafiali sarnę, czasem niedźwiedzia. Dzielili mięso i wyprawiali skóry u dziadka. Kuzyni nieraz opowiadali mi o czatach w głębokim, zimnym lesie, o graniu w karty, o piciu piwa. Czułem, że to nas dzieli, że ja sam nigdy nie wyrosnę na prawdziwego mężczyznę.

Kiedy więc teraz maszeruję przez hall i pukam do jego drzwi - bawimy się w wojsko. Dlatego mówię: “Pobudka, wstać, majtki naciągać". Nie jest to, co prawda: “Puszczać fiuty, łapać buty" - ale zawsze domowy odpowiednik. Tato wychodzi w piżamie i kapciach, szura nogami po drodze do łazienki.

Przedtem nigdy nie szurał; zastanawiam się, czy to nie wynik drobnego udaru.

Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że Tato czuje, że się starzeje, a starzy ludzie powłóczą nogami, więc i on tak samo zaczyna. W porannym szuraniu kapciami po chodniku jest coś, co odpowiada jego poczuciu “prawidłowości".

Wychodzi z łazienki i kieruje się w stronę jadalni.

- Może byś się najpierw ubrał, Tato? Jajka będą dopiero za chwilę. Patrzy na mnie szklanym wzrokiem.

- Gdzie masz okulary, Tato?

- Nie mogłem znaleźć, Johnny.

Idę z nim do sypialni: okulary leżą tam, gdzie je położył przed spaniem, na nocnym stoliku. Powinienem się pewnie cieszyć, że je w ogóle zdjął. Szkła powleka kremowa mgiełka. Zabieram okulary do łazienki i zmywam szkła ciepłą wodą. Sam nie troszczę się przesadnie o własne okulary, ale jak już obraz mam zamazany, to je przecieram.

Stojąc przy łóżku, Tato kilka razy ostrożnie zakłada oprawkę za uszy. Zawsze się skarżył, że od okularów boli go nos i uszy, więc musi zmieniać oprawki - czasami nosi w ogóle bez, czasem metalowe, z metalowych zmienia na plastikowe i z powrotem. Okulary zaczął nosić dobrze po pięćdziesiątce i nigdy się do nich nie przyzwyczaił.

Kawa stygnie. Wiem, że Tato czeka, żebym mu wyszukał ubranie. Wczorajsze leży na podłodze koło łóżka, tak jak je rzucił. Podnoszę je, sztuka po sztuce, i rozkładam na łóżku.

- Proszę, Tato. Możesz włożyć to, co wczoraj. Jeszcze nie brudne. Patrzy na mnie bacznie, przekrzywia głowę.

- Nigdy nie noszę tych samych rzeczy przez dwa dni pod rząd, Johnny. Mama by mnie zabiła.

Nie skarży się, po prostu stwierdza fakt. Ja sam nie jestem fanatykiem codziennego zmieniania bielizny.

Rozglądam się i po chwili znajduję czystą bieliznę. Tato nosi spodenki firmy Dacron i podkoszulki, jakich się używało przed wynalezieniem T-shirts. Wyglądają jak góra od staromodnego kostiumu kąpielowego: wąskie szelki na ramionach i duże dziury pod pachami. Do wnętrza wczorajszego podkoszulka przypięty jest szkaplerzyk Przenajświętszego Serca. Tato wciąga czysty podkoszulek i maca ręką na piersiach.

- Gdzie mój szkaplerzyk, John?

Jakby myślał, że do każdej koszulki ma wmontowany szkaplerz. Odpinam i podaję mu. Męczy się z zapięciem jak diabli; widać, że jeszcze nigdy tego nie robił. Zapina w wielkim skupieniu, ściągając tkaninę dookoła, przekłuwa, wygładza fałdy. Poklepuje szkaplerzyk trzy - cztery razy i uśmiecha się. Dumny, że nie wpiął go sobie w skórę na piersiach. Podaję mu z szafy koszulę i spodnie, wyciągam czyste skarpetki.

- Wiesz, Tato, powinieneś się nauczyć, gdzie co leży. Mama jest chora i nie może już robić wszystkiego za ciebie. Uśmiecha się szeroko, skwapliwie.

- Masz słuszność, Johnny. Wszystkiego się nauczę. Zobaczysz.

Idę do kuchni i podgrzewam kawę. Smażę jajka. Pigułki leżą koło talerza Taty. Czekam, aż wyjdzie z sypialni, trwa to w nieskończoność. Na co on potrzebuje tyle czasu?

Opieram się mocno o Milly i myję jej wymię do czysta ciepłą wodą. Wymię jest ciężkie, żyła mleczna nabrzmiała. Świeża woda paruje z jędrnych różowych cycków w mgliste, młode światło poranka. Podstawiam wiadro, przysiadam na zydlu i otwieram śpiewny rytm mleka o metal. Z każdym kolistym uściśnięciem wymienia moje palce stają się cieplejsze.

Kiedy Tato przychodzi, serwuję jajka ze skwarkami. Tato siada i patrzy na nie jak na dziwaczne jedzenie z kosmosu.

- A płatki?

- Będą. Ale najpierw zjemy jajka.

- Ja z rana tyle nie jadam, Johnny.

- Raz spróbuj, Tato. Nabierzesz sił na cały dzień. Kawa i rogalik to mało, nawet z tymi wszystkimi witaminami.

Cholera, przecież on musi coś zjeść na śniadanie, przynajmniej sok z pomarańczy, jajko.

Dziobie od niechcenia nie naruszając żółtka, dopóki nie zje białka, na koniec wyciera usta serwetką. Trze, jakby chciał zedrzeć sobie wargi. A to na pewno płócienna serwetka: świeże płótno do każdego posiłku. Joan specjalnie mi przypominała, ale o tym akurat sam pamiętałem.

Tato rozpiera się wygodnie i wypija filiżankę wystygłej kawy.

- Teraz Mama włączyłaby adapter i słuchalibyśmy muzyki.

Adapter stoi tuż przy stole. Staromodny, skrzyniowy Magnavox. Nad talerzem ma skośną pokrywę. Odnajduję właściwe pokrętła i uruchamiam go. Płyta była już założona. Zamykam pokrywę. Zamknięty wygląda jak kredens: od przodu plecionka z metalizowanego materiału z wkomponowanymi drewnianymi zakrętasami.

Śpiewa Bing Crosby, “Ciekawe, co się stało z Sally". Głęboki, rezonujący ton, trochę niewyraźny, ale przyjemny. Wszystkie te nowe odbiorniki stereo i hi-fi odtwarzają bardzo czysto, bardzo precyzyjnie, ale ja słyszę w ich muzyce szary, okopcony, bezbarwny plastik. Ta niebywała akuratność, tranzystorowa doskonałość! Mrukliwy, mroczny, drewniany głos starego Binga działa na mnie kojąco. Każdy miłośnik stereo pewnie zwinąłby się w kulkę i skonał na miejscu, ale dla mnie to brzmi jak trzeba. Siedzę i razem z Tatą popijamy kawę.

Płyta się skończyła; sprzątam ze stołu. Zaczynam nalewać gorącej wody do zlewu. Tato przyszedł za mną do kuchni. Patrzy mi przez ramię, jak szprycuję pieniący płyn do gorącej wody. Oskrobuję talerze i zanurzam je w mydlinach.

- Wiesz co, John, to bym chyba umiał robić.

- Pewnie że tak, Tato, a co w tym wielkiego? Z jednej strony nalewasz gorącą wodę z pianą, z drugiej masz wodę do płukania. Szorujesz naczynia tam, gdzie masz gorącą i pianę, opłukujesz, stawiasz na suszarce.

Patrzy na mnie i notuje w pamięci. Nalega, żebym wyszedł z kuchni, a on skończy zmywanie - byłaby to jego pierwsza praca domowa: zmycie naczyń po śniadaniu we dwóch.

Biorę się do zamiatania. W domu jest odkurzacz, ale ja wolę pozamiatać. Szczotkę znajduję w kotłowni. Zaczynam od sypialni na tyłach. Mama jest z tych, którzy odkurzają dzień w dzień. Dywany będą musiały przywyknąć do nowych obyczajów.

Zmiatam wszystko na kupki. Kiedy już zmiotę dość, robię stosik i idę dalej. Dom moich rodziców obliczam na cztery kupy śmieci. Nasze mieszkanie w Paryżu jest na trzy, łódź na dwie. Młyn jest jedno- albo dwustosowy - zależnie od tego, ile się nabrudzi. Na wsi wszystko szybciej się brudzi, ale jest to ziemny pył, nie sadze i zanieczyszczenia przemysłowe jak w Paryżu. U rodziców brud jest w pół drogi między wiejskim a miejskim, ale zdecydowanie na cztery kupy.

Rozglądam się za Tatą, pewien, że znajdę go w ogrodzie albo w oranżerii. Ale Tato dalej tkwi w kuchni i zmywa w zaciętym skupieniu. Ciekawe, którędy błądzą jego myśli.

Przy studni maty ptaszek zadziera ogonek, pikuje ostro w dół, po czym wybija się aż pod niebo; pochylam się i spuszczam wiadro do wody.

Podkradam się cicho i obserwuję go. Ujmuje każde naczynie po kolei, skrupulatnie szuka śladów brudu, następnie zmywa, plamka po plamce. Byłby szczęśliwy mając do dyspozycji mikrometr, centryfugę i sterylizator. Szoruje, jakby chciał zetrzeć deseń w kwiatki. Kiedy wreszcie uzna, że naczynie jest czyste, zanurza je w wodzie do płukania co najmniej dziesięć razy.

Rzecz w tym, że sprawia mu to przyjemność, bawi się wodą. Podoba mu się zmywanie, ciepła woda, zimna woda.

Tato we wszystkim potrafi stać się superperfekcjonistą. Czuję, że jeszcze chwilę popatrzę i oszaleję. Mama też zawsze nad tym bolała. Sporo odziedziczyłem po Mamie, aż mi się nie chce wierzyć.

Mama utrzymuje, że wszystko musi robić sama, bo Tato robi z igły widły, co ją doprowadza do rozstroju nerwowego. Możliwe, że on nadal wie, co to znaczy cieszyć się tym, co się robi, a my z Mamą już tylko odfajkowujemy czynności jak leci. Wycofuję się z kuchni.

Czasami Mama mówi na Tatę “Parowozik". To jedno z jej ulubionych przezwisk. Jest jeszcze “pan Zróbtosam" i “złota rączka".

Wreszcie Tato uznaje, że zakończył zmywanie. Naczynia są czyściutkie jak do reklamy telewizyjnej, tylko że Tacie nawet nie przyjdzie do głowy, że przez słowo “pozmywać" rozumie się zazwyczaj coś innego. Po takich drobiazgach widać różnicę między kimś, kto już miewał do czynienia z kuchnią, a kimś, kto nie miał z nią do czynienia jeszcze nigdy. To samo obserwowałem u naszych dorastających dzieci i licznych przyjaciół, którzy się przewinęli przez nasze życie.

Mówią “pozmywam" i rzeczywiście na tym się kończy: “pozmywali". Często nawet nie doszorują garnków. A już na pewno nie przetrą szmatą kuchenki, nie umyją zlewu, nie zetrą stołu i szafek. I nie pochowają na miejsca masła, soli, pieprzu, przypraw, deseczek do krajania. Pewna młoda kobieta zostawiła nam w zlewie brudną wodę. Miała dwadzieścia pięć lat i rwała się do małżeństwa. Po tym zdarzeniu jakoś przestałem ją lubić: wylazło ze mnie staropanieństwo.

Więc tłumaczę Tacie, co i jak. Naśladuje wszystko, co robię, cały czas w zadziwieniu kręcąc głową.

- Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczył, Johnny? W wojsku? Jeżeli Tato nie potrafi sobie wytłumaczyć źródła moich umiejętności, zawsze uważa, że nabyłem je w wojsku.

- Pewnie tak, Tato.

Myślę teraz czasami o nieszczęsnych oficerach i podoficerach, próbujących jakoś utrzymać w ryzach hałastrę osiemnasto- i dziewiętnastoletnich samców. Ja dostaję rozstroju nerwowego mając w domu jednego czy dwóch. Całe to zamiatanie, słanie łóżek, służba w kuchni, na którą tak wszyscy psioczyliśmy, to przecież były najzwyklejsze domowe zajęcia.

Nie chcę być źle zrozumiany: wierzę, że czystość jest cnotą, ale ja z nią specjalnie nie przesadzam, a Vron ma takie samo nonszalanckie podejście do brudu jak ja.

Za to moja Matka to typ skrajnie przeciwny. Maniaczka czystości. Brud i diabeł to dla niej jedno i to samo. Matka miała specjalną szczoteczkę do zębów, którą czyściła szpary między deskami w podłodze. Jej zdaniem szpary te były siedliskiem (jej własne określenie) brudu i zarazków. W domu w Filadelfii mieliśmy podłogi z desek we wszystkich pomieszczeniach prócz kuchni i piwnicy. Raz na miesiąc Mama wyskrobywała z nich siedliska zarazków. Zbierała je na kupkę i zostawiała, żebyśmy po powrocie do domu mogli wszyscy podziwiać, ile to nanosiliśmy do mieszkania.

Mama ma też hopla na punkcie okien. Okna myje się u niej raz na tydzień, czy to

potrzebne, czy nie. Kiedy byłem dzieckiem, nie wolno mi było zbliżyć się do okna na odległość mniejszą niż długość jednej stopy. Ilekroć Mama zauważyła, że mógłbym nachuchać na szybę albo dotknąć jej palcem, wpadała w panikę. Najdrobniejsza smuga - a ona już pędziła z Windexem, kawałkiem gazety i miękką szmatką.

Teraz wychylanie się przez okno, przytykanie nosa do szyby i odciskanie na niej śladów ust jest dla mnie jedną z największych przyjemności. Uwielbiam pisać i rysować na zapoconych oknach. Wszystkie moje dzieci są okiennymi paprakami i specjalistami od mazania palcem po szybie. Czasami trudno cokolwiek zobaczyć przez nasze okna.

Ale po dziś dzień, zbliżając się do okna, za każdym razem muszę przełamywać barierę maminego gniewu. Takie drobiazgi trzymają się człowieka do końca życia.

Po sprzątnięciu kuchni, zasiadamy z Tatą w salonie. Tato podnosi się, żeby włączyć telewizor, ale proszę go, żeby tego nie robił. W tym domu ledwie zasiądzie się w salonie, automatycznie włącza się telewizor, tak jak się zamyka drzwi wchodząc do łazienki.

Nie bardzo wiem, jak poruszyć temat; omijaliśmy go starannie przez cały ranek.

- Widzisz, Tato, powinieneś wiedzieć, że Mama jest naprawdę poważnie chora.

Cały się napina. Obserwuję jego oczy. Patrzy na mnie i jest w tym spojrzeniu coś żałosnego; szykuje się na najgorsze.

- Czy ona jeszcze żyje, Johnny?

- Pewnie, że żyje, Tato, ale miała zawał serca, nie bardzo poważny, ale dosyć. Jej serce już nigdy nie wróci do normy. Nie będzie mogła, na przykład, harować tak jak dotąd.

Tato kiwa głową. Widzę, że nie dociera do niego to, co mówię.

- Zawsze jej powtarzam, że się przepracowuje, Johnny. Przemęcza się.

- Masz rację, Tato. Teraz ty będziesz musiał przejąć wiele obowiązków domowych. Nauczę cię różnych drobiazgów. Joan będzie przychodziła na większe sprzątanie, pranie, zakupy, ale codzienne obowiązki - na przykład gotowanie, porządkowanie rzeczy, proste sprzątanie - będą należały do ciebie.

Teraz już słucha, słucha, ale nie pojmuje.

- Poza tym, Tato, będziesz musiał opiekować się Mamą. Wiesz, jaka Mama jest: zabije się, jeżeli nie będziemy na nią uważać. Musisz jej bardzo pilnować.

Cały czas kiwa głową, ale patrzy nie na mnie, tylko w podłogę. - Tak, to potrafię. Ty mi tylko powiesz, co i jak mam robić, i jakoś sobie poradzę.

- Teraz pojedziemy odwiedzić Mamę. Pamiętaj, że jest chora, nie wygląda najlepiej. Najważniejsze, żeby jej nie przestraszyć ani nie zmartwić. Musimy ją przekonać, że we dwóch świetnie sobie radzimy.

Przyglądam mu się bacznie. Chłonie każde moje słowo. Ja jestem kapitanem i wydaję rozkazy.

- Sam wiesz, Tato, jak dalece Mama jest przekonana, że nikt oprócz niej nie potrafi się tobą należycie zająć. Musimy jej udowodnić, że umiesz sam zadbać o siebie.

Tato wolno kręci głową na nie, przesłaniając dłonią swój charakterystyczny wstydliwy uśmieszek.

- Dobra myśl, Johnny, świetna myśl; nabierzemy ją.

O rany!

Nagle widzę, że Tato ubrał się, owszem, ale się nie umył. Załamał mu się harmonogram dnia, czy co, przecież normalnie jest człowiekiem bardzo skrupulatnym. Mama powiedziałaby teraz: “Idź, Jack, umyj się", a wtedy on poszedłby się umyć. Potem Mama powiedziałaby: “A teraz się ubierz". Nie wydawałem stosownych dyspozycji.

Mówię mu więc, żeby się jeszcze raz rozebrał i poszedł myć. Potem włożymy lepsze ubranie i pojedziemy do szpitala.

- Postaramy się wyglądać elegancko. Mama lubi, jak się odsztyftujesz, Tato.

Elegancja w pojęciu Mamy to skrzyżowanie George'a Rafta z Johnem Bolesem. Tato nosi kapelusz z szerokim rondem i marynarkę z szerokimi klapami. Ponieważ ta moda wraca, Mama będzie zmuszona wymyślić Tacie nowy kostium - może wąskie krawaty, sztywne kołnierzyki i wąskie klapy. A może taki będzie mój garnitur na starość.

Ale znam schemat. Tato ma włożyć prążkowany krawat ze spinką, złoty zegarek na rękę, ma mieć czyste paznokcie i płaskie wyglansowane półbuty na skórzanej podeszwie.

Wyciągam, co trzeba, i rozkładam na łóżku. Czuję, że zachowuję się jak świnia. Ubrałem go, a teraz, w niecałe dwie godziny później, znowu go rozbieram. Jak lalkę z kartonu.

Tato pyta, czy nie powinien się wykąpać.

- Zwykle kąpię się raz na tydzień, Johnny; taki stary człowiek jak ja nie bardzo się brudzi.

- Umyj tylko twarz i ręce, Tato, wyczyść paznokcie i wyszoruj zęby. To starczy.

Ani myślę go myć i ubierać. Ani myślę podtrzymywać mu ręce i namydlać pod pachami. Jeszcze czego! Sam nie wiem, co mnie jeszcze czeka.

Trudno przywyknąć. Tato był zawsze bardzo zaradny. Nie sądzę, żeby to była starość. Popadł w letarg, w inercję, w bezradność. To całkiem niezła metoda przetrwania: jak ktoś chce za ciebie robić, niech robi. Tylko że Tato zatracił potrzebę samodzielności. Jest bezwolny.

Powoli, boleśnie, myje się i ubiera. Wreszcie przychodzi, w przekrzywionym krawacie, ale powstrzymuję się od zwrócenia mu uwagi. Wyprowadzam samochód. Tato upiera się, żebym przed startem rozgrzewał go pięć minut. W tej kwestii mam wielki szacunek dla wyczucia Taty.

Tato i prowadzenie samochodu to cała długa opowieść. Prowadził od szesnastego do siedemdziesiątego roku życia. Nigdy nie miał wypadku, nigdy nie korzystał z ubezpieczenia. Rok w rok, póki nie oddał prawa jazdy, przejeżdżał średnio ponad pięćdziesiąt tysięcy mil.

W dniu swoich siedemdziesiątych urodzin poszedł po odnowienie prawa jazdy i wpadł w popłoch. Pisemny zdał bez trudu, ale ze względu na podeszły wiek chcieli mu zrobić egzamin praktyczny. Gdy to usłyszał, oddał prawo jazdy instruktorowi i wyszedł.

Zachował się bez sensu, bo przecież sam przyjechał wozem na egzamin. Jeździł prawie codziennie. Po prostu się speszył. Był zdenerwowany i przerażony.

W każdym społeczeństwie współzawodnictwa i porównań na jednego zwycięzcę przypada kilkuset przegranych. Tato dość wcześnie przyswoił sobie ideę podziału świata na szefów i podwładnych. Siebie uważa za podwładnego. Mnie natomiast zalicza do kategorii szefów. Nie potrafię go przekonać, jakie to śmieszne. Nikomu nie każę dla siebie pracować i na samą myśl o tym ogarnia mnie obrzydzenie.

- Nie, Johnny, szef to jest szef, a podwładny to podwładny. Ty jesteś szefem. Masz wszystkie cechy szefa.

Instruktor od nauki jazdy, który po prostu wykonuje swoją pracę, też jest dla Taty szefem. Tato sztywnieje ze strachu, zwraca prawo jazdy i więcej nie siada za kierownicą.

Do tego jest przekonany, że nigdy by nie zdał egzaminu: już się nie nadaje, zbyt wiele rzeczy przegapia, takich rzeczy, które stają się przyczyną wypadków drogowych.

- Widzisz, John, dobry kierowca wie, kiedy przestaje być dobrym kierowcą.

Z Mamą jest jeszcze inna historia. Nauczyła się prowadzić dopiero pod czterdziestkę, chociaż Tato usiłował ją nauczyć od czasu, jak się pobrali. Sam, mając siedemnaście lat, zmontował sobie samochód z rupieci. To dopiero był pojazd - nie miał nawet przedniej szyby. Słyszałem o nim legendy, a nawet widziałem zdjęcie. Ciotka Truda opowiadała, że ich ojciec, czyli mój dziadek, kategorycznie zakazał wszystkim siostrom Taty wsiadać do tego samochodu.

Kiedy byliśmy mali, rytualnym obrządkiem niedzielnych popołudni były mamine lekcje nauki jazdy. Mieliśmy wówczas forda 1929. Tato kupił wrak za piętnaście dolarów i sam doprowadził go do stanu używalności. Piętnaście dolarów to była wówczas tygodniowa pensja pracownika Biura Inwestycji. W dzieciństwie uważałem, że prowadzenie samochodu to jedna z najtrudniejszych umiejętności na świecie.

Tato w kółko powtarzał: “Nie denerwuj się, Bess, spokojnie, wszystko będzie dobrze". My z Joan siedzieliśmy z tyłu, przerażeni, skuleni, od czasu do czasu tylko wystawialiśmy głowy i chichotaliśmy. Najlepszy numer Mamy polegał na wrzuceniu biegu wstecznego przy starcie. Rozlegał się zgrzyt i hurkot przekładni, a nas wciskało w oparcia przednich foteli. Mama się z żadnym autem nie patyczkuje, z ludźmi też nie.

Mama jest hipernerwowa, nie potrafi zgrać działania własnego umysłu z działaniem ciała. Miewa gwałtowne napady płaczu, podczas których zarzuca Tacie okrucieństwo. Kilka razy wyskoczyła z samochodu. Wtedy Tato jechał wolno obok niej, namawiając, żeby wsiadła z powrotem, a ona szła nie zważając na niego i szlochając.

W Kalifornii wreszcie zrobiła prawo jazdy. Facet, który zaliczył jej egzamin, popełnił gruby błąd. Mama to istny postrach szos. Czy to możliwe, żeby człowiek miał zbyt szybki refleks? Ona ma zanadto bujną wyobraźnię, przynajmniej jak na kierowcę. Bez przerwy kręci kierownicą w lewo i w prawo, tak że samochód jedzie wężykiem. W rękach Mamy auto nabiera własnego zdania, całkowicie przeciwnego jej opiniom. Mama ponadto przemawia do samochodów i wygłasza ciągły komentarz na temat wszystkich kierowców w polu widzenia.

Mimo to, a może właśnie dlatego, nie potrafi zachować koncentracji na szosie. Miała już całą serię stłuczek i skasowała jeden wóz. Istny cud, że nikogo nigdy nie przejechała ani

sama nie odniosła poważniejszych obrażeń.

Kiedy Tato przestał prowadzić, rodzinnym kierowcą została Mama. Tato nawet w najgorszej formie jest dziesięć razy lepszy niż Mama w najlepszej. Jest to w pewnym sensie obraz całego ich związku. Mama, w swoim zapędzie do dominowania, przejęła władzę. Została szefem. Tato, ze swoją nieśmiałością, delikatnością, wrażliwością i nadmiernie rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności, stopniowo oddawał jej cugle. Może to jest w ogóle powszechne zjawisko. Kiedy człowiek jest naprawdę dobry w jakiejś dziedzinie, nigdy się za bardzo nie pcha - po prostu nie musi.

Mimo to, nadzór nad sprawnością techniczną samochodu jest do dziś w rękach Taty. To on pilnuje, żeby w chłodnicy zawsze była woda, i regularnie wymienia olej. Utrzymuje właściwy poziom ciśnienia w oponach i co sześć miesięcy robi gruntowny przegląd silnika.

Jedziemy do szpitala. Ciekaw jestem, czy Tato potrafi pokazać mi drogę. Dziesięć lat temu przeszedł w tym samym szpitalu operację woreczka żółciowego i sporo się najeździł tam i z powrotem.

Ale zupełnie nie umie pilotować, jest jak dziecko. Przestał myśleć kategoriami ulic i kierunków, obserwuje tylko obiekty przesuwające się za oknem. Pytam, którędy najlepiej jechać, a on wzrusza ramionami.

- Nie wiem, zawsze prowadzi Mama.

Co za niebywałe odwrócenie ról. Do rodzinnych żartów zawsze należały opowieści o tym, jak to Mama nigdy nie wie, gdzie jest. Raz naprawdę się zgubiła w odległości czterech ulic od domu, bo skręciła w złą stronę. Poszła na posterunek policji, żeby zapytać, jak ma trafić. Coś z tego przeszło na mnie: też łatwo się gubię.

Zaczynam czuć wyraźnie, że Tato funkcjonuje na niespełna jednej czwartej swoich możliwości. Intuicyjnie wyczuwam, jak to się dzieje i jak łatwo mogłoby się przytrafić mnie samemu. To przerażające, że zespół rezygnacji i braku wiary w siebie może człowieka osłabić bardziej niż jakikolwiek uszczerbek fizyczny.

Postanawiam zmusić Tatę, żeby wymieniał nazwy ulic. Chcę siłą wyciągnąć jego umysł z podwórka domu, który wzniósł własnymi rękami w ślepym zaułku bezpiecznie wtulonym w ramiona gigantycznych autostrad. Jadąc, wskazuję ulice i zachęcam Tatę do podawania ich nazw.

Nagle, w środku gry, uświadamiam sobie, że on myśli o czymś zupełnie innym. Emituje silne wibracje jak powietrze zamarłe przed burzą.

- To dobry szpital, John, związek go poleca. Kiwam głową i skręcam w lewo na De Soto.

- Tylko że tam pracuje kupa czarnuchów i nie tylko czarnuchów - Japońców też. Milknie i patrzy na mnie.

- Ale to i tak dobry szpital, Johnny.

Siłą powstrzymuję reakcję. Nie chciałbym się wdawać w dyskusję na tematy rasowe, zwłaszcza teraz.

W szpitalnej portierni przyjmuje nas przystojna czarnoskóra kobieta. Pamięta mnie z wczorajszego dnia.

- Witam, panie Tremont. Pańska matka świetnie się dzisiaj czuje.

Jestem mile zaskoczony, że kojarzy nie tylko mnie, ale i całą sytuację. Szczerze mówiąc, kiedy byłem tu wczoraj sam, nawet nie zauważyłem, że recepcjonistka jest Murzynką. Pamiętam, że była ładna, uprzejma, sprawna w działaniu - ale nie zauważyłem, że jest czarna. Teraz uderzyło mnie to tylko z powodu wypowiedzi Taty w samochodzie; tak to już bywa.

Tato uśmiecha się, ale jakoś tak szczególnie, jakby przyglądał się okazowi w klatce w zoo. Recepcjonistka rzeczywiście siedzi w klatce, w klatce ze szkła - może to częściowo wyjaśnia zachowanie Taty, a może w ogóle działa tu tylko moja fantazja.

Ruszamy w stronę windy, brnąc przez nieustanny potok muzyki.

- Znasz ją, Johnny?

- Rozmawialiśmy, kiedy wczoraj przyszedłem do Mamy.

- Naprawdę sympatyczna.

- Tak, wygląda na bardzo porządną osobę. Tato kręci głową i przemawia do podłogi:

- Świat się zmienił, Johnny, nie dałbyś wiary, jak ten świat się zmienił.

Wsiadamy do windy. Tato denerwuje się coraz bardziej; twarz mu zbielała, ręce drżą. Obejmuję go za ramię.

- Nie denerwuj się, Tato, wszystko gra. Oni się tu Mamą opiekują najlepiej jak umieją. Ma tu przede wszystkim to, czego jej najbardziej trzeba: przyzwoity wypoczynek.

Mijamy wyłożone chodnikami niebieskie korytarze z obrazami nieposkromionej fantazji na ścianach. Docieramy do oddziału intensywnej terapii. Znowu Murzynka. Pytam, czy możemy widzieć się z Mamą. Murzynka sprawdza w zapisie. Nie ma przeciwwskazań, ale wizyta musi być krótka. Obchodzimy dyżurkę i już jesteśmy w kabinie Mamy. Mama nie śpi, patrzy, jak wchodzimy.

Tato całuje ją, a ona płacze. Tato też zaczyna płakać. Robi mi się nieswojo. Mama i Tato nigdy nie obnosili się ze swoimi uczuciami. Nie przypominam sobie, żebym widział, jak się naprawdę całują, z wyjątkiem cmoknięcia w policzek na pożegnanie czy powitanie. Rozmawialiśmy o tym kiedyś z Joan. Próbowaliśmy też przypomnieć sobie, kiedy Mama nas przytuliła albo pocałowała, jeszcze w dzieciństwie. Żadne z nas nie pamiętało takiego incydentu.

Mama miała w młodości straszne przeżycie. Była jednym z dziesięciorga dzieci; całą rodziną mieszkali w amfiladowym domu z trzema sypialniami w południowej Filadelfii. Mama miała dwie siostry o imionach Rose i Anne. Spały we trzy w jednym łóżku; Mama, najmłodsza, pośrodku. Rose i Anne w ciągu jednego roku zmarły na gruźlicę, na którą wówczas mówiło się galopujące suchoty.

Mama przez całe życie była przekonana, że i ona ma gruźlicę. Najgorsze w całej historii było to, że Rose, która umarła jako druga, zmarła w objęciach Mamy. Mama próbowała przytrzymać ją wychyloną w oknie w gorący letni dzień, żeby mogła nabrać powietrza. Rose dostała nagłego wylewu i zmarła w parę minut. Mama, podówczas czternastoletnia, doznała tak zwanego “załamania nerwowego". Już nigdy nie wróciła do szkoły.

Przez całe życie Mama panicznie lękała się zarazków. Nigdy nie całowała nas w usta, ani siostry, ani mnie. Ilekroć zdarzyło jej się kogoś pocałować, natychmiast ścierała pocałunek jak szminkę - ścierała zarazki.

Mama wyciąga ręce, chce, żebym podszedł i ją pocałował. Całuje mnie w same usta i nie ściera. Może teraz, kiedy ma umrzeć, zarazki przestały się liczyć. Tato stoi wpatrzony w nią, łzy ciekną mu po twarzy. Mama rzuca mu szybkie spojrzenie.

- On wygląda wspaniale, Jacky. Idealny z ciebie syn. Co byśmy bez ciebie robili? Podciąga się w łóżku.

- Dobrze się czujesz, Jack? Zażywasz pigułki na ciśnienie?

- Tak, tak, Bette, czuję się świetnie. Wyobraź sobie, że Johnny umie gotować, sprzątać i w ogóle - jak prawdziwa żona.

Mama rzuca mi krótkie, niemal gniewne spojrzenie.

- Postarajcie się jakoś we dwóch przetrzymać trudny okres. Ja stąd niedługo wyjdę. Jadajcie u McDonalda, w zamrażarce też jest jedzenie.

Mama zaczyna recytować szczegółową litanię potraw, które Tato lubi i które mu nie szkodzą na żołądek. Żadnej cebuli, żadnego czosnku, w ogóle żadnych przypraw oprócz soli. Pozostają więc różne wersje hamburgerów albo z kluskami, albo ze sztucznym puree kartoflanym z proszku.

Przez cały czas posłusznie kiwam głową. Pewnie rzeczywiście zużyję całe zapasy z zamrażarki, ale odżywiać się w ten sposób nie mam zamiaru. Całkiem możliwe, że Mama jest najgorszą kucharką na świecie. Nie chcę kontynuować jej tradycji. Lubię gotować i cenię różnorodność w posiłkach; jeżeli będzie trzeba, będę gotował dwa razy, raz dla Taty, raz dla siebie. Ale jestem pewien, że Tato rozsmakuje się w mojej kuchni. Biedak z górą pięćdziesiąt lat przeżył na diecie typu “szpital dla ubogich".

Tato gapi się na Mamę, jakby mu się w głowie nie mieściło, że Mama leży w łóżku i zostaje tutaj, w szpitalu, zamiast zerwać się do roboty. Dla niego musi to być jeszcze gorsze niż dla mnie. Kiedy już mamy wychodzić, całuje ją jeszcze raz. Nie udaje mu się powstrzymać pytania:

- Kiedy wracasz do domu, Bette? Jak myślisz, ile to jeszcze potrwa?

Mama odwraca się i częstuje mnie swoim słynnym Znaczącym Spojrzeniem. Jest to bardzo specjalne spojrzenie. Z jednej strony stara się niby ukryć grymas, na ogół grymas dezaprobaty, przed osobą, o którą chodzi, ale robi to tak ostentacyjnie, że wszyscy muszą zauważyć - zabieg dramaturgiczny w stylu Sary Bernhardt adresowany do publiczności w ostatnim rzędzie balkonu. Tym razem patrzy na mnie, unosi brwi i wywraca oczy. Chce przez to powiedzieć: “On jest beznadziejny, niczego nie rozumie".

Właściwie ma rację, tylko że Tato stoi tuż obok i wszystko widzi. Albo jest to z jej strony niebywałe okrucieństwo, albo brak wrażliwości. To samo robi w stosunku do mojej siostry, do naszych dzieci, do mnie - nigdy nie potrafiłem się z tym pogodzić.

- Zrozum, Mamo, ojciec naprawdę nie może się doczekać, kiedy wrócisz do domu. To całkiem naturalne, wszyscy byśmy tego chcieli. Chcielibyśmy, żebyś stąd wyszła jak najprędzej.

Staram się ignorować jej idiotyczne sygnały.

- Teraz będziesz musiała wszystko robić wolniej i spokojniej. Słuchaj, co ci mówią lekarze. Będziesz zdrowa, ale musisz zmienić tryb życia. Miałaś zawał, trzeba teraz przestać ganiać i żyć jak kłębek nerwów.

Oczy Mamy nabiegają łzami.

- Jak mam tak żyć, to w ogóle nie wiem, czy warto, Jacky. Skoro nie mogę postępować, jak chcę, to co za sens? Gryzę się w język - po co ją zasmucać, to nic nie pomoże.

- No już dobrze, Mamo. Ale słuchaj, co ci mówią lekarze. Oni najlepiej wiedzą i wypiszą cię, kiedy już będziesz w dobrej formie.

I wtedy Mama zasuwa nam bombę:

- Właściwie to ja wcale nie jestem pewna, czy to był zawał. Skąd lekarze mogą to na pewno wiedzieć? Czułam się jak przy kolce gazowej.

To musiało nastąpić, ale trzymam język za zębami. No bo co tu można zrobić?

Całuję ją na do widzenia i wychodzimy.

Ledwie wsiadamy do samochodu, Tato zaczyna.

- Johnny, jak myślisz, kiedy ona przyjdzie do domu?

- Powinna poleżeć w szpitalu, ile się da. Im dłużej będzie leżała, tym zdrowsza wyjdzie.

- Pewnie masz słuszność, Johnny, pewnie masz słuszność.

Ale sam nie wierzy w to, co mówi.

Wieczorem niewiele robimy. Trochę oglądamy telewizję, potem wyciągam z szopy ogrodowej swój stary motocykl honda 175 i wyprowadzam go na patio. Wymaga gruntownego czyszczenia i strojenia silnika, odstał w szopie prawie dwa lata. Tato idzie popracować do oranżerii. Potrafi się tam krzątać godzinami, to jego intymny mały świat.

Słońce polega w ciszy nad stodołą Iry.

Codziennie o kęs wcześniej, kawałek na prawo.

Tam właśnie noc się kończy, zaczyna się ranek.

Rozdział 5

Chyba się zdrzemnąłem, bo głowa nagle mi podskakuje i krajobraz jest już inny; wyżej, nie tak sucho.

Mam tylko nadzieję, że nie będziemy poruszać tematu, co dalej ze mną; przynajmniej na razie. On nigdy nie zrozumie, dlaczego się urwałem z Santa Cruz. Odwalił całą papierkową bitwę o stypendium, wybrał uczelnię, pozbierał moje wyniki ze szkoły średniej, a ja - po pierwszym roku - wszystko to odrzucam. Chwilami sam nie bardzo siebie rozumiem.

Żeby on raz jeden zobaczył, jak tam naprawdę jest! Jeden wielki żłobek. Santa Cruz to dom starców dla młodzieży.

Mało się nie porzygałem, kiedy tam zajechałem na motorze po dziesięciu dniach spędzonych na szosie. Przyjeżdżam oblepiony błotem od stóp do głów, cały dobytek mam w sakwach przy siodełku. I oczom własnym nie wierzę. Ze wszystkich stron ciągną furgonetki i limuzyny z aparaturą stereo, systemami nagłaśniającymi, dywanami, pluszowymi misiami, dziesięciobiegowymi rowerami, rakietami tenisowymi, kijami do golfa, kostiumami do szermierki, ciuchami, które przelewają się z waliz. W pale się nie mieści, ile ci ludzie przywlekli ze sobą chłamu. Wyglądało jak na szkolnym bazarze kupno-sprzedaż-wymiana.

No i ten szurnięty facet, z którym dzieliłem pokój, Flash. Matka, rodzona matka, mi go wybrała. Wypełniła kwestionariusz z wyszczególnieniem cech osoby, z którą, jej zdaniem, chciałbym dzielić pokój. Trudno uwierzyć, ale w Santa Cruz nawet na to mają specjalne formularze. Mama zaznaczyła, że chciałbym mieszkać z kimś, kto ma dobry sprzęt stereo, interesuje się elektroniką, motocyklami i bieganiem. Wiem, bo wygrzebałem ten formularz w kancelarii; ciekaw byłem, jakim cudem mi się to przytrafiło.

Dali mi faceta z naprawdę fantastycznym sprzętem stereo, geniusza prawie w dziedzinie elektroniki. A do tego pełna szajba. Po pierwsze, rower trzyma zawieszony na blokach pod sufitem i zabezpieczony monstrualną kłódką. Sam tę kłódkę zaprojektował i zmontował. Do roweru przyczepiona jest kartka z napisem:

KRADNĄC TEN ROWER, KRADNIESZ NAJLEPSZY ROWER NA ŚWIECIE, ZABEZPIECZONY NAJLEPSZYM ZAMKIEM NA ŚWIECIE I NAJLEPSZY DETEKTYW ŚWIATA BĘDZIE CIĘ ZA TO ŚCIGAŁ DO KOŃCA ŚWIATA.

Wiadomo, że lepszej zachęty złodziejowi nie potrzeba. Kończy się tym, że musimy stale zamykać drzwi. W Santa Cruz nikt oprócz nas nie zamyka drzwi na klucz, nawet na klamkę nie zamykają!

Flash ubiera się na czarno. Nosi czarne podkoszulki, czarne dżinsy, czarne skarpetki, czarne kalesony, czarne buty, czarną piżamę. Ma długie czarne włosy, które sczesuje równo dookoła, na twarz też, ale ciemię strzyże na zapałkę i widać mu tam białą skórę głowy - to jedyny biały kawałek, jaki mu widać. Wygląda jak postać z komiksu “Mad".

Nie pamiętam, żeby Flash bywał na zajęciach, z wyjątkiem egzaminów. Wychodził z pokoju, tylko żeby pojeździć na rowerze albo kupić coś do żarcia. W Santa Cruz tak jest: nikt

człowieka nie pilnuje. Rób, co chcesz. A równocześnie cały czas masz poczucie winy, że robisz za mało. W zaliczeniach obowiązuje system “zal." albo nic, co znaczy, że albo się zdało, albo rzecz idzie w niepamięć. Oblać nie sposób. A mimo to jest to żłobek dla supermanów - jak oranżeria do hodowli sekwoi. Szczerze mówiąc, dużo lepiej czułem się w tej nadętej amerykańskiej szkole w Paryżu - człowiek przynajmniej miał szansę nie zdać.

Akademiki w Santa Cruz są bardzo dziwne. W porównaniu z nimi mieszkać w internacie w Paryżu to tak, jakby żyć samemu w górskiej grocie. Wszyscy wszystkim lezą do pokojów, a po trzech tygodniach zaczyna się nieustający nocny koncert. Światła się paliły bez przerwy, nie było jednego kąta, gdzie by panował półmrok, nie mówiąc o ciemności. Czasami zamykałem oczy, żeby sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy jest ciemno. Wychodziłem o trzeciej na dwór i patrzyłem na akademik. Cały gmach wibrował od hałasu i świateł, spalały się kilotony elektryczności. A na drugi dzień na zajęciach ci sami ludzie mówili o ekologii i ochronie przyrody.

Żeby się od tego oderwać, przenoszę się - prawie dosłownie - do biblioteki. Podłapuję tam nawet stałe zajęcie i to mi jakoś pomaga utrzymać resztkę zdrowych zmysłów. Ci ludzie nie mają chwili samotności. Prace semestralne piszą w bałaganie, hałasie i smrodzie. A smród, jak Boga kocham, ścina z nóg. We wszystkich pokojach podłogi są gęsto zasłane papierami, żarciem, brudnymi skarpetami, ciuchami, książkami. Każdy w tym brodzi po kostki. Ludzie szwendają się na wpół ubrani - istne zoo, za grosz prywatności.

Tato jeszcze się nie połapał, dlaczego nie chcę tam wracać. Tato ma jedną dziwną cechę: nie rozmawia o takich rzeczach. W ogóle potrafi rozmawiać z ludźmi, to znaczy - prowadzić konwersację: świetnie opowiada, wygłasza gówniane wykłady o malarstwie jako formie porozumienia - ale nigdy nie rozmawia o rzeczach istotnych. Ma skłonność do ignorowania wszystkiego, co mu niemiłe. Mama też taka jest.

Ale przecież musimy to ruszyć, prędzej czy później, tylko że ja nie mam zamiaru zaczynać.

Tak naprawdę to chciałbym pisać. Pisanie jest czymś, co lubię robić. Tato z tego samego powodu zajął się malarstwem. Wiem, że nawijać umiem lepiej niż przeciętny człowiek, a to już coś. Najpierw spróbuję napisać powieść albo może scenariusz, wszystko jedno. Potrzebna mi tylko chata i trochę ciszy. Może się wtedy sprężę i coś zrobię dla odmiany. Boże Święty, dni przeciekają mi przez palce, a nie mam się czym pochwalić.

Może Debby jednak przyjedzie. Podobałoby jej się w mojej chacie. Debby ma Berkeley po dziurki w nosie, no i fajnie by było mieć pod ręką dobrą kobietę.

Jedyny kłopot, to skąd brać pieniądze. Nie dadzą mi *cartede travail*. Przez ten zafajdany wspólny rynek nie ma siły, żeby Amerykanin znalazł legalną robotę we Francji. Może się wynajmę do wykopów buraka cukrowego. Mówią, że można przy tym zarobić do tysiąca dolców miesięcznie. Z paru tysięcy na rok wyżyłbym z łatwością. Stary Debby też coś tam dorzuci.

- Tato, stańmy gdzieś na śniadanie. Padam z głodu.

Kiwa głową. Już coś wykombinował. Niedługo przejedziemy z Utah do Kolorado. Gdzieś przed nami są Rockies, ale jeszcze ich nie widać.

Kiedy prułem szosami na swoim yamasaki, byłem o wiele bliżej wszystkiego niż teraz. Poznałem każde wybrzuszenie na drodze, wszystkie wyboje. Każdą milę wessałem w siebie, a potem, po kawałku, wypluwałem. Trzymałem się kierownicy, zęby mi dzwoniły, czułem, jak nerki skaczą w środku. Nocami byłem do niczego. Dwa razy sikałem krwią. Spanie w towarzystwie komarów i moskitów też było istnym piekłem. Wziąłem co prawda namiot, ale bez moskitiery. Muszę być uczulony na moskity: co rano budziłem się spuchnięty jak balon. Samo trzymanie kierownicy i przerzucanie biegów paluchami obrzmiałymi jak serdelki było nie lada sztuką.

- Tato, może byśmy tak otworzyli okno? Wnerwia mnie to zimne powietrze z puszki.

- Dobra myśl. Pustynię już minęliśmy. Wciska guziki i oba okna zaczynają się opuszczać - potęga bioniki. Wiatr dmucha nam w twarze i owiewa nas dookoła.

- Tak dużo lepiej, Bili. Mnie wystarczy, że wsiądę w taką puszkę, i już nie wiem, na jakim świecie żyję.

Pół godziny później zatrzymujemy się na pączki i kawę.

O Jezu! W pale się nie mieści! Kilka pączków, dwie kawy, a rachunek - ponad dwa pięćdziesiąt!

Świat to naprawdę jedno wielkie szambo. Człowiek zaharowuje się do upadłego po to jedynie, żeby się utrzymać na powierzchni. Przeciętna pensja wystarcza właściwie tylko na wynajęcie kawałka dachu nad głową, na coś do garnka i coś na grzbiet - często z drugiej ręki. A bez pracy żyć się nie da - błędne koło. Wystarczy spojrzeć na Gary'ego i Marty: klucz rzucony w morze.

Cyrk kwadratowy.

Rozdział 6

Nazajutrz po wizycie w szpitalu biorę się za swoją hondę. Przede wszystkim rozkładam gazety, żeby nie zatłuścić i nie zaświnić podłogi. Zdejmuję rurki gaźnika, potem wyciągam wtyki, oczyszczam je i ustawiam. Motor stał na kołach tak długo, że oba wtyki zapleśniały. Turlam go w tę i z powrotem na włączonym biegu, żeby sprawdzić, czy silnik się nie zablokował, ale wszystko gra, tłoki chodzą.

Czyszczę końcówki i reguluję przepływ najlepiej jak potrafię bez przyrządów. Mechanik ze mnie jak z koziej dupy trąba, ale lubię się pogrzebać w prostej maszynie, jak ta na przykład - ta nie przerasta jeszcze moich możliwości, a zajęcie tego rodzaju robi mi w tej chwili tak dobrze jak żadne inne.

Tato przychodzi popatrzeć, co robię. Zawsze był tak świetnym majsterklepką, że nawet teraz czuję się przy nim nieswojo. Moje dwie lewe ręce do mechaniki przeszły do rodzinnej legendy. Przez całe życie nazywali mnie “Siekierka", bo wszystko, co wymagało sprawności manualnej, rozpadało się w moich rękach. Dopiero po pięciu latach spędzonych poza domem przekonałem się, że moje zdolności manualne były słabe tylko w porównaniu z Joan i z Tatą.

Tato staje nade mną. Robię wykład na temat wspaniałości maszyny, jaką jest motocykl: nic nadzwyczajnego, prosty silnik na kółkach - idealne rozwiązanie do podróży po lądzie, najlepszy środek lokomocji zaraz po skrzydłach. Wiem, że zdaniem Taty mężczyźnie w średnim wieku nie przystoi balansować na dwóch kółkach, a poza tym jest to niebezpieczne.

Kluczyk wisi tam, gdzie go zawiesiłem: na drzwiach szopy. Zakładam akumulator, który jednak - jak się należało spodziewać - jest całkiem zdechły. Pakuję go w bagażnik samochodu i jedziemy z Tatą do najbliższej stacji obsługi na ekspresowe ładowanie. Mówią, że to potrwa godzinę.

- No dobra, Tato, jak już mamy czekać, to chodźmy do baru naprzeciwko na piwo.

Patrzy na mnie.

- Co?

- Tam jest barek, wypijemy po kufelku, żeby nam się nie nudziło.

- Myślisz, że można?

- Jasne, przecież obaj skończyliśmy dwadzieścia jeden lat, nie ma przepisu, który by nam zabraniał wdepnąć po południu do baru. W końcu po to są bary.

Bar jak bar: półmrok, lekka klimatyzacja, pomruk starego wentylatora w oknie. Lubię wejść do baru za dnia, szczególnie tutaj, w Kalifornii. Wysokie białoniebieskie niebo i ta dziwna martwota wszystkiego dookoła szybko mnie przygnębiają. Z ulgą nurkuję w mroczną, gęstą atmosferę baru.

Siadamy w kubiku. Bar jest typowy: kilku stałych klientów przy kontuarze i co najmniej jeden dyżurny zawadiaka do zaczepiania poobiednich gości.

- Co będziesz pił, Tato?

- Napiłbym się piwa, ale przecież w domu, w lodówce, mamy zimnego piwa, ile kto chce.

Zamawiam dwa piwa i pytam Tatę, czy nie wolałby usiąść przy barze.

- Myślisz, że można?

- Pewnie, chodźmy.

Wdrapujemy się na wysokie stołki, barman jednym pchnięciem przesuwa do nas po kontuarze miseczkę orzeszków.

- Doliczają za orzeszki, John?

- Na ogół nie, Tato, chyba że inflacja mocno ich tutaj rąbnęła.

Biorę całą garść, a Tato nieśmiało ujmuje w palce jeden orzeszek.

Tato mówi, że z górą pięćdziesiąt lat nie był w barze, ostatni raz przed ślubem. Przygląda się ludziom, wykorzystując do tego lustro za barem. Zerka na kobiety; jedna miło się do niego uśmiecha. Tato szybko odwraca wzrok i wpatruje się pilnie w swoje piwo.

- Często bywasz w takich barach, John?

- W Paryżu właściwie nie ma barów, tylko kawiarnie. Można posiedzieć, napić się kawy albo piwa, ale to całkiem nie tak jak tutaj; czasami siedzi się na powietrzu. Jest inaczej. Nie potrafię długo wytrzymać, żeby nie wejść do którejś z ulubionych kafejek.

Mina Taty świadczy o tym, że nie jest do końca pewien, czy to aby nie coś zdrożnego. Zerkam na zegarek: zostało nam prawie pół godziny. Próbuję naciągnąć Tatę na opowieści, jak to było, zanim się ożenił, kiedy pracował w stolarce na Hog Island razem ze swoim ojcem i braćmi. Ale nic z tego. Trudno powiedzieć, czy nie pamięta, czy po prostu nie chce o tym mówić. Zapomniał nawet, kiedy wujo Harry mieszkał z nami w Filadelfii. Dla mnie był to bardzo ważny okres w życiu, trudno mi się pogodzić z tym, że Tato nie pamięta.

Wiem, że Vron świetnie pamięta różne rzeczy, które robiliśmy razem, rzeczy, których ja sam nie pamiętam; to samo jest ze mną. To okropne, ale w pewnym sensie wszyscy jesteśmy samotni.

Odbieramy akumulator, jedziemy do domu i zamontowujemy go w motocyklu. Obracam kluczyk, kopa - i silnik natychmiast zaskakuje. To wspaniałe uczucie uruchomić motor na nowo - przywrócić przedmiot do życia.

Robię parę kursów ulicą w tę i z powrotem. Tak długo stał na kołach, że zieje czarnym dymem i strzela z rury wydechowej, ale po chwili się uspokaja. Zajeżdżam pod dom i parkuję na podjeździe. Motor powarkuje miarowo na jałowym biegu.

Zbliża się pora obiadowa, przez moment myślę o restauracji, ale postanawiam, że po przygodzie z barem dosyć atrakcji jak na jeden dzień. Tato przegapił swoje seriale i pęta się po domu popatrując na zegar, co chwila włącza i wyłącza telewizor. Istotny fragment jego codziennego życia dzisiaj nie nastąpił. Tato doszedł do tego stanu, że świat telewizji jest dla niego prawdziwym życiem. To moja wina, że dzień poszedł na straty.

Postanawiam mu to wynagrodzić smacznym obiadem. Penetruję zamrażarkę i odkrywam w niej dwa całkiem przyzwoite kotlety. Przyrządzę jedną ze swoich ekspresowych specjalności. Rozmrażam kotlety i duszę je w sosie przyrządzonym z zupy grzybowej w

proszku. Do tego dodaję odrobinę wina, trzymam garnek na małym ogniu przez godzinę, pod przykrywką. Wychodzi bardzo smakowite danie - coś pośredniego między stekiem a gulaszem. W prodiżu za szklaną ścianką rozmrażam paczkę frytek, otwieram też puszkę groszku. Bawię się znakomicie. Tato jest w ogrodzie, podlewa, potem idzie do oranżerii. Cały czas wyglądam, czy nic mu się nie stało, ale z chwilą gdy wchodzi do oranżerii, staje się dla mnie niewidzialny.

Naprawiam w szopie łopatę; zamykam trzonek w imadle; gładki orzech, wygładzony odciskami dłoni jak czas.

Nakrywam do stołu i wołam Tatę. Tato znów jest zdziwiony, że wynoszę z kuchni prawdziwe jedzenie, w dodatku gorące i na talerzach.

Pyta, czy w sosie nie ma cebuli, zapewniłem go, że nie ma. Proponuję, żebyśmy się napili piwa do obiadu.

- Upijemy się, jak będziemy tak bez przerwy pić piwo, John.

- Nie znam człowieka, któremu by zaszkodziły dwie butelki piwa. Napijmy się, Tato, humor nam się poprawi.

Wypijamy więc po piwie do obiadu, a po obiedzie pijemy kawę. Podaję w miarę mocną - moc kawy rozpuszczalnej zależy tylko od tego, ile łyżeczek wsypie się do wrzątku - żadna filozofia.

Tato jak zwykle słodzi jedną płaską łyżeczkę cukru, miesza starannie chyba z minutę, po czym opukuje łyżeczkę o brzeg filiżanki aż do ostatniej kropelki. Ostrożnie unosi filiżankę, wywijając przy tym wargi jak koń albo osioł u wodopoju. Dmucha delikatnie, zanim wypije pierwszy łyk. Wargi ma wyjątkowo wrażliwe na gorące płyny.

Odchyla, głowę i zagląda do filiżanki; sypie jeszcze dwie łyżeczki cukru, powtarza zabieg mieszania i opukiwania. Tym razem wysiorbuje kawę aż do dna, jakby sączył calvados albo dobrego burgunda.

- Rany Julek, John - to rozumiem, to jest kawa. Bezkofeinowa? My z Mamą prawdziwą kawę pijamy tylko rano.

Zapewniam go, że bezkofeinowa.

- Ale mocna, niech cię diabli. Taką piją w wojsku?

- Nie, we Francji, Tato. We Francji pija się bardzo mocną kawę w maleńkich filiżaneczkach, najczęściej bez śmietanki i bez mleka.

- Obym tylko mógł spać w nocy po tej kawie.

Pozmywawszy, jedziemy do szpitala. Tym razem Tacie udaje się już podać nazwy kilku ulic. Powoli wraca mu pamięć. Tłumaczę, że może się przecież tak zdarzyć, że będzie musiał sam odwieźć Mamę do szpitala.

- Ale ja nie mam prawa jazdy, John.

- W razie nagłej konieczności to nie ma znaczenia, Tato. W sytuacji kiedy w grę wchodzi życie ludzkie, nikt cię nie będzie aresztował.

Powinienem go namówić, żeby mnie przewiózł kilka razy po ulicy dla wprawy.

Mama biadoli. Nie pozwalają jej oglądać telewizji. Telewizor wisi na ścianie na wprost łóżka, ale siostry nie chcą dać Mamie zdalnego wyłącznika. Pyta mnie też, czy nie mógłbym załatwić, żeby jej zdjęli monitory.

- Ja od tego oszaleję, Jacky. Te głupie zielone kreski cały czas wiją się przed oczami, a ta czerwona kropka bez przerwy mruga i wyświetla cyfry. Święty by nie wytrzymał.

Tłumaczę, że puls, że elektrokardiogram, że pielęgniarki muszą cały czas obserwować.

- Przekonasz się: oni tu ze mnie robią królika doświadczalnego! Wiedziałam od początku! Jak ja mam wracać do zdrowia w takich warunkach? Robią na mnie eksperymenty. Człowiek im płaci, nie wiem jakie pieniądze, a oni w nosie mają, czy żyje, czy umrze. Tato kręci głową.

- Ty, Bette, najlepiej rób, co ci mówią lekarze. Oni się na tym znają. Musisz mieć do nich zaufanie.

Kiedy już mamy iść, Tato znów się wyrywa. Miałem nadzieję, że go w porę wyciągnę, ale nie udało się.

- Kiedy wracasz do domu, Bette?

Mama znów patrzy na mnie znacząco. Nie tylko unosi brwi, ale przy tym powoli, jakoś tak nieprzyzwoicie, puszcza do mnie lewe oko. Tato dostrzega to i kurczy się w sobie.

- Nie martw się, Tato. Mamie nie jest tu źle, a do domu wróci, jak tylko lekarze uznają, że przyszła stosowna pora. Teraz Mama rusza do ataku.

- Możesz mi wierzyć, że nikomu bardziej niż mnie nie zależy, żeby stąd jak najprędzej wyjść.

Mama upiera się, żebym porozmawiał z lekarzem na temat jej hipotezy, że to była niestrawność. Obiecuję umówić się na rozmowę.

Po powrocie do domu wyliczam Tacie, czego będzie musiał się nauczyć.

- Nigdy tego nie spamiętam, Johnny. Nie zapominaj, że ja mam słabą pamięć.

Biorę się do sporządzania list. Wypisuję je drukowanymi literami, flamastrem, na kartkach formatu pocztówkowego. Jak programowanie komputera. Wszystko sprowadzam do tak-nie, włączyć-wyłączyć, system dwudzielny. Staram się, żeby instrukcje były proste i jednoznaczne. Na przykład pod “Zmywanie naczyń" wyliczam kolejno zabiegi konieczne przy zmywaniu. Wychodzi tego trzydzieści siedem punktów: wcisnąć do wody porcję płynu pieniącego, wyciągnąć korek z odpływu, odcisnąć gąbkę, itd. Kartkę wywieszam nad zlewozmywakiem. W instrukcji “Odkurzanie" wymieniam wszystkie przedmioty wymagające odkurzenia i miejsce przechowywania szmatki do kurzu - instrukcja kończy się słowami: “odwiesić szmatkę na haczyk w szafce w przedpokoju".

Bawię się świetnie; Tato łapie ducha sytuacji. Nie jest urażony. Cieszy się, że mu mówię, co ma robić, jasno i wyraźnie, tak, żeby nie miał okazji do popełnienia błędu. Znów

odzywa się w nim syndrom szef-podwładny.

Na przenośnej tabliczce wywieszam serię kartek z opisami zajęć w takiej kolejności, w jakiej powinny być wykonywane w ciągu dnia. Tato wszędzie chodzi z tą tabliczką. Na noc kładzie ją sobie na nocnym stoliku koło łóżka.

Nazajutrz rano sam się ubiera, ściele łóżko i wychodzi do łazienki - w furażerce na głowie. Szura kapciami przez hall zatopiony w lekturze tabliczki. Widok jest żałosny i komiczny zarazem, ale Tato szczęśliwy - jakby się wybierał na poszukiwanie skarbów. Wieczorem, w przerwach między oglądaniem telewizji, przegląda kartki na tabliczce i zadaje mi pytania.

- To nic trudnego, na pewno sobie poradzę.

Zaczynam go też przygotowywać do opiekowania się Mamą. Boję się, że po moim wyjeździe Mama może dostać w domu następnego zawału. A w ciągu tych pierwszych minut tak wiele można zrobić. Sztuczne oddychanie metodą usta-usta i zewnętrzny masaż serca mogą przesądzić o życiu albo śmierci. Tato musi się nauczyć tych zabiegów.

Próbuję mu o tym powiedzieć, ale czuję w nim jakiś opór wewnętrzny: Tato nie chce mieć nic wspólnego z taką stresową sytuacją. Ja się jednak nie poddaję. W tej sprawie nie mogę się z nim cackać.

- Patrz, Tato, ja ci wszystko pokażę. Będziesz musiał tylko trzymać się instrukcji. Uparcie unika patrzenia mi w oczy.

- Mnie tego nauczyli w wojsku, Tato. W ten sposób uratowano życie setkom ludzi.

Wolałbym go nie okłamywać, ale trudno, idę na całość. Oddychanie metodą usta-usta i masaż serca robiłem raz w życiu, we Francji, pewnej staruszce, która i tak już nie żyła. Całą swoją skromną wiedzę na ten temat czerpię z podręcznika *Merck Manual*.

Kiedy w telewizji następuje przerwa w programie i lecą reklamy, udaje mi się nakłonić Tatę do położenia się przed telewizorem. Kładzie się i krzyżuje ręce na piersiach jak nieboszczyk. Uporczywie wlepia wzrok w sufit, na mnie nie patrzy. Klękam obok, wsuwam mu ręce pod kark i unoszę głowę.

- Teraz, Tato, otwórz usta i wystaw język.

Wykonuje polecenie. Chwytam za podbródek, jednocześnie unosząc głowę i odpychając ją w tył; palcami zatykam nozdrza. Tato patrzy mi prosto w oczy. Przez cały czas relacjonuję na głos tok czynności, głosem - jak mi się zdaje - cichym i opanowanym.

- I teraz, Tato, przykładam usta do twoich ust i oddycham za ciebie.

Zaczyna się wyrywać. Kręci głową i przewraca się na bok.

- Nie, tak nie rób! Gramoli się na kolana.

- Nie miałem zamiaru naprawdę tego zrobić, Tato. Chciałem ci tylko wyjaśnić.

Kładę się na dywanie i proszę, żeby teraz on mnie ujął tak jak ja jego przed chwilą. Na siłę wprowadzam jego rękę pod swój kark i wywalam język na brodę. Drugą rękę Taty lokuję tak, żeby mógł mi zatkać nos. Ręce tak mu się trzęsą, że mało mi tego nosa nie urwie. Co chwila ukradkiem zerka w telewizor, czy przypadkiem program nie zaczął się na nowo. Spuszcza wzrok.

- I to się robi przy ludziach, John?

- Oczywiście, możliwe, że kiedyś będziesz musiał zrobić to Mamie. Gdyby jej się zdarzył następny zawał, trzeba przede wszystkim siłą wtłoczyć powietrze do płuc, żeby tlen dotarł do mózgu. Dla Mamy będzie to jedyna szansa na przeżycie.

Tato wyciąga się na podłodze. Następnie z wysiłkiem wstaje na nogi i cofa się rakiem do bujanego fotela.

- Może to i pożyteczne, John, ale wygląda nieprzyzwoicie. Mówisz, że mężczyźni mężczyznom też tak robią? Może jednak Pan Bóg czasami życzy sobie naszej śmierci.

Daję spokój; oglądamy telewizję. Rozumiem, co Tato czuje, ale będzie musiał to przemóc: sprawa jest zbyt poważna. W następnej przerwie postanawiam zademonstrować mu pobieżnie zewnętrzny masaż serca. Jeszcze raz namawiam, żeby położył się na podłodze.

- Uważaj, Tato: wykonując oddychanie metodą usta-usta, należy równocześnie przeprowadzić zewnętrzny masaż serca. Chodzi o to, żeby znów zaczęło bić. Musisz naciskać z całej siły, raz na sekundę, dokładnie pośrodku klatki piersiowej.

Pochylam się i nasadą dłoni rytmicznie uciskam mu mostek, mniej więcej dwa razy lżej, niż tego wymaga skuteczna stymulacja serca, ale dość mocno, żeby pojął, o co chodzi.

- Ejże, to boli! Kobiecie to by naprawdę sprawiło ból: uderzałbyś w same... w same... piersi.

- Nic by nie poczuła, Tato, bo byłaby nieprzytomna. Chyba lepiej zarobić parę siniaków niż przenieść się na tamten świat?

Tato unosi się na jednym łokciu.

- Ona by mi na to nigdy nie pozwoliła, Johnny. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym ją tak uderzył. Ja nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Nie mógłbym tego zrobić.

- Będziesz musiał, Tato. To może być sprawa życia lub śmierci.

Wznawiają program. Znów o jakimś superbystrym delfinie, kto chce, niech wierzy. Tato z westchnieniem sadowi się w bujaku. Dyszy ciężko i zerka na mnie z ukosa, jakby cudem wyrwał się z łap oszalałego seksmaniaka.

Korzystając z tego, że zajął się telewizją, wynotowuję wołami na kartkach numery telefonów szpitala, służby pożarnej, najbliższego pogotowia i Joan. Kartki przyczepiam na ścianach nad oboma aparatami: nad tym w dużym pokoju i nad tym w sypialni. Najgorsze, że Tato niechętnie korzysta z telefonu. Ciężko go namówić nawet na to, żeby podniósł i potrzymał słuchawkę, kiedy ktoś do niego dzwoni. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem, żeby sam wykręcał numer. W domu dawniej nie mieliśmy telefonu. Rodzice założyli sobie aparat dopiero tutaj, w Kalifornii. Sam nienawidzę telefonów, ale, u Boga Ojca, w tym rozproszonym świecie nie da się bez nich żyć.

Niełatwo będzie nauczyć Tatę wykręcania numeru i przekazywania do słuchawki komunikatu alarmowego. Staram się jak najbardziej to uprościć. Nad każdym aparatem wywieszam wypisany na maszynie tekst:

ZGŁASZAM ZAWAŁ SERCA. OFIARA JEST NIEPRZYTOMNA. PROSZĘ NATYCHMIAST PRZYJECHAĆ. ADRES 10 432 COLBY LANE, W PALMS SKRĘCIĆ NA OYERLAND.

Każę Tacie powtarzać to tak długo, za uczy się na pamięć. Przy odłożonej słuchawce ćwiczymy do skutku nakręcanie numeru Joan. Następnie ja wychodzę do sypialni i dzwonię do Joan. Uprzedzam ją, że Tato za chwilę zadzwoni, żeby przećwiczyć komunikat alarmowy. Joan obiecuje, że poczeka przy aparacie.

Odkładam słuchawkę i idę do łazienki. Kiedy wracam do dużego pokoju, Tato z powrotem ogląda delfiny. Zwalam się przed nim na podłogę i tak leżę z rozrzuconymi ramionami.

- Uwaga, Tato, jestem Mama i właśnie dostałem zawału. Zadzwoń do Joan i przekaż jej wiadomość. Podnosi się i staje nade mną.

- Nic ci nie jest, Johnny?

- Nic a nic. Zrób to, co ćwiczyliśmy.

Pada na kolana i zaczyna pchać mi rękę pod głowę, windując ją do góry i odpychając w tył.

- Nie, Tato. Najpierw zadzwoń do Joan i zawiadom ją, co się stało.

Podnosi się z wysiłkiem i idzie do aparatu. Nakręca numer, nie unosząc przy tym słuchawki.

- Weź słuchawkę, Tato.

Bierze słuchawkę, przykłada ją do ucha, ale za to teraz nie nakręca numeru.

- Nakręć numer, Tato.

Trzyma słuchawkę do góry nogami, kabel wyrasta mu z ucha.

- Do góry nogami, Tato.

Przestawia telefon na stole do góry nogami.

- Nie telefon, Tato, słuchawka. Obróć ją tak, żeby kabel szedł do dołu.

Gwałtownie odrywa słuchawkę od ucha, gapi się w nią, po czym wolno obraca jak należy. Uśmiecha się. Teraz koncentruje uwagę na kartce przytwierdzonej do ściany.

- Pamiętaj, Tato. Najpierw dzwoń do Joan. Nie po karetkę, nie po straż pożarną, nie do szpitala. Dzwoń do Joan.

- Tak, wiem, John. Do Joan.

Zaczyna kręcić numer. Każdą cyfrę nakręca z wielką pedanterią, trzyma palec w otworze w obie strony. Z podłogi słyszę sygnał w słuchawce. Bogu dzięki, to głos Joan. Staram się coś usłyszeć. Tato trzyma słuchawkę parę cali od ucha.

- Halo, Tato?

- Och! Cześć, Joan, jak się masz, miło cię słyszeć. Sufleruję z podłogi.

- Przekaż jej wiadomość.

- A, właśnie, Joan, Johnny chciał z tobą porozmawiać. Chce mi oddać słuchawkę, ale sznur jest za krótki.

- Nie, Tato, ty jej przekaż wiadomość. Wiadomość, pamiętasz?

- Tak, tak, już pamiętam, Joan? Johnny leży tu przede mną na podłodze i mówi, że jest Mamą i że dostał zawału.

Przestaję być pewien, czy Tato nie stroi sobie żartów. Wstaję i przejmuję słuchawkę.

- Halo, Joan, zgadnij, kto mówi.

Nie potrafię z niej wydębić jednego sensownego słowa. Tak się wciągnąłem w opracowanie mojego niezawodnego planu, że przestałem dostrzegać, jakie to wszystko jest komiczne. Też zaczynam się śmiać, a Tato siedzi w fotelu i uśmiecha się do mnie. Zadowolony, że wszyscy się śmiejemy.

Ćwiczymy ten dramat obyczajowy tak długo, aż Tato wykonuje rolę bez zarzutu. Dzwonię na pogotowie z pytaniem, czy możemy zrobić pozorowane wezwanie telefoniczne. Pogotowie jest skłonne do współpracy. Potem Tato spędza pół godziny na otwieraniu drzwi: czeka na karetkę.

Nazajutrz posłanie łóżka znowu zabiera mu godzinę. Zaglądam, co on tam robi tak długo. Starannie wygładza każdy fałd, posuwając się przy tym na kolanach, sprawdza, czy narzuta zwisa równo ze wszystkich stron. Próbuję go nauczyć, że koce można jednym ruchem ściągnąć do góry, upchnąć pod poduszki, naciągnąć narzutę i całość wygładzić. Narzuta jest szydełkowana, w małe gruzełki tworzące promieniście rozchodzące się romby.

Tato martwi się, że na prześcieradle pod spodem na pewno zostały załamki. Coś okropnego. Ma głupie dwa prześcieradła, koc elektryczny i narzutę, a potrafi go to zająć na godzinę.

Stąpam powoli, z ciężkim jutowym workiem przytroczonym do pasa. W odstępach jednej stopy wyciskam kijem dołki w mokrej ziemi, wrzucam sadzeniak i przydeptuję nogą. To tak jak wsuwać jajka pod wysiadującą kwokę.

Poddaję się. Jego to cieszy: przynajmniej ma jakieś zajęcie. A ja mam więcej czasu dla siebie. Korzystając z tego, że jest zajęty łóżkiem, zabieram się do ćwiczeń jogi. Już wchodzę w rutynę Mamy.

Dwa lata temu Mama zobaczyła, jak ćwiczę jogę, i zrobiła z tego wielki dramat: że to pogańska hinduska religia, że mnie ekskomunikują. Chciała, żebym zaraz poszedł do księdza i się wyspowiadał. Od tego czasu, ilekroć ich odwiedzam, praktykuję jogę przy drzwiach zamkniętych.

Tato się ubiera. Przy pomocy instrukcji wyszukuje sobie ubranie, myje się i ogólnie doprowadza do ładu. Przychodzi na śniadanie. Jemy jajka na szynce. Serwuję mu też płatki. Włączam muzykę. Po śniadaniu Tato zmywa i sprząta kuchnię z instrukcją w ręku, a ja zamiatam i układam wszystko na miejscach. Przy nas dwóch nie ma tu właściwie nic do roboty. Szoruję ajaxem umywalkę i wannę w łazience, sedes też.

Uczę Tatę, że brudną bieliznę, koszule i skarpetki ma odkładać do kosza na brudy w łazience, pokazuję, gdzie wieszać spodnie. Już nawet wie, że swetrów należy szukać w dolnej szufladzie.

Podczas kolejnej jazdy do szpitala Tato pilotuje mnie przez całą drogę. Zaczyna mu się podobać nowo odkryta zdolność uczestniczenia w tym, co się dzieje. Zaczyna nawet

zadawać pytania - jak się mieszka w Paryżu, jak Jacky radzi sobie w szkole.

Mama jest odurzona. Nie wiem, czy podali jej jakieś leki, czy też jest to normalne następstwo zawału. Zamówiłem się na rozmowę u jej lekarza, doktora Coe.

Zostawiam Tatę przy Mamie i schodzę na dół do gabinetu doktora Coe. To młody gość, taktowny i rozsądny. Robi mi krótki wykład na temat tego, co zdarzyło się Mamie, pokazuje kardiogramy i objaśnia znaczące szczegóły. Wskutek arteriosklerozy nastąpiła blokada i do serca dochodzą zbyt małe ilości krwi. Wszystko zależy od tego, jak poważne są zmiany chorobowe i jak dalece serce Mamy potrafi sobie z nimi poradzić. Jeżeli będzie naprawdę źle, może spróbują bypass, ale w Mamy wieku to nie jest wskazane. W odczuciu doktora Coe najlepiej poprzestać na długim wypoczynku w łóżku i środkach farmakologicznych.

Kilka razy powtarza, że sprawa jest niebezpieczna i ryzykowna.

Jestem podbudowany postawą doktora Coe, ale zgnębiony stanem Mamy. Kiedy wracam do niej na salę, jest już bardziej przytomna. Opowiadam, że rozmawiałem z lekarzem i widziałem wszystkie kardiogramy. Nie ulega wątpliwości, że przeszła zawał, nie ma się co oszukiwać. Mówię, że wszystko będzie w porządku, jeżeli usłucha wskazówek lekarza.

Musi więcej odpoczywać, mniej się wszystkim przejmować. I tak przez całe życie zbyt ciężko pracowała.

Oczy jej wilgotnieją, przybiera minę “po moim trupie".

- Jak ja mogę odpoczywać, Jacky? Kto by się zajął ojcem? Wiesz, jaki ojciec jest.

- Nic się nie martw. Pracujemy nad tym. Jak wrócisz do domu, Tato wszystko będzie robił za ciebie. Dzisiaj rano sam zasłał łóżko i pozmywał naczynia. Uczę go gotować. Podlewa ogród i pielęgnuje trawnik. Wszystko będzie jak najlepiej.

Teraz dopiero Mama płacze, płacze jak bóbr.

- Co ty mi tu opowiadasz! Pojedziesz z powrotem do tych swoich bitników, a Joan jest zajęta własną rodziną. Ten jej King Kong, nadęty makaroniarz, nigdy nie pozwoli, żeby Joan przychodziła do nas częściej niż raz na tydzień. Nawet jej nie pozwala zadzwonić do matki, chociaż ja płacę rachunek, żeby to jej nic nie kosztowało. Ja tam swoje wiem, mnie nie oszukasz!

Milczę. Tato pochyla się nad Mamą. Cierpi z powodu jej łez; Mama dotąd nieczęsto płakała.

- Słowo honoru, Bette, przekonasz się, że jest inaczej. Ja się naprawdę staram i dopnę swego. Nic się nie martw, damy sobie radę.

Trzy sekundy milczenia.

- A jak myślisz, Bette, ile to jeszcze potrwa, zanim przyjdziesz do domu?

Nawet nie samo pytanie jest najgorsze, tylko ta błagalna nutka w jego głosie. Mama posyła mi teatralne spojrzenie przez łzy.

- Nie denerwuj się, Tato. To jeszcze trochę musi potrwać. Doktor sam nam powie, jak przyjdzie czas. Jedna doba pobytu Mamy tu, na intensywnej terapii, kosztuje ponad dwieście dolarów. Naprawdę nikt tu nikogo nie trzyma dłużej, niż to absolutnie konieczne. Kiedy serce się ustatkuje i zacznie lepiej pracować, przeniosą Mamę na inny oddział, a potem do domu.

Urządzimy jej mały prywatny szpital w bocznej sypialni.

Mama znowu płacze.

- Jak mam tak żyć, to już wolę umrzeć. Do końca życia mam zostać kaleką, ciężarem dla wszystkich? To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe, że akurat mnie to spotkało. Zawsze o siebie dbałam, gimnastykowałam się, stosowałam racjonalną dietę bogatą w witaminy, wszystko robiłam - i wszystko na nic. To niesprawiedliwość.

Święta prawda. W naszym domu jedzenie nigdy nie było wielką frajdą. Pamiętam z dzieciństwa, że do każdego posiłku były obowiązkowo trzy jarzyny. Nie dość tego: musieliśmy pić wywar z tych jarzyn. O jedzeniu myślałem z przerażeniem: woda po fasoli szparagowej, woda po szpinaku, woda po zielonym groszku, woda po marchwi - człowiek siadał do posiłku i wszystkie te wody już przed nim stały, w oddzielnych szklankach. Nic nie pomagało - ani sól, ani pieprz, ani ketchup - wszystkie smakowały jak pomyje. Matka przestrzegała picia tych wód, jakby to był sam eliksir życia; była zagorzałą zwolenniczką Bernarra Macfaddena. Tato nie brał tych świństw do ust. Dziadek i wujo Harry, póki mieszkali z nami, też się zawsze jakoś wymigali, ale my z Joan nie mieliśmy wyjścia.

Poza tym, codziennie rano musieliśmy pić tran. Zdaje się, że gdyby kolega Bernarr oznajmił, że krowie siki są zdrowe dla człowieka - witamina KS - Mama zaczęłaby latać z filiżanką za krowami. Kiedy już bardzo krzywiliśmy się na tran, wystarała się o specjalny gatunek z dodatkiem mięty, jak oleista guma do żucia. Trzymała to świństwo w soku pomarańczowym: po powierzchni soku pływały tłuste, miętowe oka tranu.

No i jeszcze drożdże piwne. Codziennie rano czubata łyżka świństwa o smaku zbutwiałych liści i pleśni. To też zawierało ponoć jakieś witaminy. Mama wiedziała o witaminach, zanim je jeszcze wymyślono. Swoje życie - a i nasze też - układała w myśl zasady “żyjemy wiecznie". Znacznie wyprzedziła swoje czasy. A dzisiaj, w dobie sklepów racjonalnego żywienia i zwariowanych dietetyków, jest o wiele większą hippiską niż ja.

Ma rację, to niesprawiedliwość. Nigdy się z tym nie pogodzi, ja wiem. Już teraz kombinuje, jak by tu zatrzeć ślady po zawale. I ani jej w głowie leżenie w łóżku, mogę się założyć. Już widzę, jak wynajduje jakąś wariacką gimnastykę na serce. Tak w ogóle to jest wspaniała cecha, ale Mamę może załatwić na dobre.

Wracamy z Tatą do domu akurat na początek serialu. Wychodzę do sypialni w ogrodzie i padam. Powoli zaczynam odczuwać zmęczenie. Po przebudzeniu sporządzam kilka dalszych instrukcji dla Taty. Rozbijam na punkty sprzątanie łazienki, rozmrażanie lodówki i jeszcze parę czynności.

Odcinek serialu kończy się i Tato zaprasza mnie do swojej oranżerii. Ma wspaniałą rękę do hodowli roślin - potrafi wyhodować je z najmniejszych szczepków, zwłaszcza rośliny nie kwitnące. Hoduje całą masę wymyślnych roślin o różnobarwnych liściach. Przy każdej tkwi tabliczka z łacińską nazwą, datą i miejscem, gdzie Tato roślinę znalazł.

Istna dżungla. Tato pobiera szczepy liści i gałązek z każdego ciekawszego krzaka czy innej rośliny, jaka mu się napatoczy. Na Hawajach zebrał ich co najmniej sto. Przywiózł je do

domu w walizce, zawinięte w wilgotne ręczniki. Założę się, że Mama nie była tym uszczęśliwiona, ale w tej sprawie na Tatę nie ma mocnych. I jakoś udaje mu się z tych mikroskopijnych pędów wyhodować całe rośliny - czasami z jednego głupiego listka albo kawałka łodygi.

Zmontował w oranżerii unikalny nawadniacz, drobno rozpylający wodę. Nawadniacz jest sprzężony z aparatem do pomiaru wilgotności, więc włącza się automatycznie, utrzymując stale w pomieszczeniu wilgotny klimat dżungli. Tam nawet pachnie jak w dżungli: człowiek spodziewa się, że zaraz zaskrzeczy mu nad uchem papuga albo małpa zapiszczy z gęstwiny pnącej się w oranżerii. Czuję się tam bardziej u siebie niż w domu.

Podwiązywanie pomidorów. Poskręcane łodygi, porośnięte meszkiem, pająkowate, wiotkie i łamliwe. Ciężkie od ciemnych liści, kwiatów i ledwo zawiązujących się owoców. Owiewa mnie mocny, cierpki, zielony zapach. Ostrożnie unoszę pełzające po ziemi łodygi, obracam je troskliwie ku ciepłemu słońcu, wiążę ziemię z niebem.

W ogrodzie Tato sadzi drzewka avocado, trzy odmiany, tak że u rodziców w domu avocado jada się przez okrągły rok. Rośnie tam też cytryna i drzewo zwane przez Tatę “sałatką owocową". Drzewo to jest brzoskwinią, na którą Tato przeszczepił gałęzie brzoskwini nektarowej i moreli. Teraz rodzi wszystkie trzy owoce równocześnie: wygląda jak drzewo z obrazów Hieronima Boscha.

Tato ma również warzywnik. Sadzi kapustę, buraki, pomidory, sałatę, rzodkiewki, marchew - same łatwiejsze warzywa. Warzywnik utrzymuje dla zabawy - mówi, że wszystko, co tutaj rośnie, taniej jest kupić w sklepie niż wyhodować, ale jemu sprawia to wielką przyjemność, kiedy może przynieść do kuchni własnoręcznie wyhodowane jarzyny.

Po kolacji dzwoni do nas Marty. Właśnie wróciła od ginekologa i upewniła się, że jest w ciąży. Próbowali bezskutecznie przez dwa lata; Marty jest taka przejęta, że ledwo może mówić. Wpadam w ekstazę. Zostanę dziadkiem! Oddaję słuchawkę Tacie, żeby i jemu mogła się pochwalić. Tato trzyma słuchawkę z dala od ucha, nasłuchuje, uśmiecha się szeroko i kiwa głową. Właściwie nic nie mówi, wydaje tylko radosne pomruki i pochrząkiwania, ale uśmiecha się. W oczach zbierają mu się łzy, spływają po zewnętrznych krawędziach policzków. To musi być dla niego wspaniałe: przyszły pradziadek, świadomość, że jego życie ma dalszy ciąg.

Odkładamy słuchawkę i patrzymy sobie w oczy. Obaj uśmiechamy się jak idioci i ocieramy łzy. To wielka chwila, zbyt wielka na słowa.

Tato włącza telewizor, ale ja nie mam specjalnie ochoty na przyglądanie się, jak Mel Griffin udaje, że mówi tylko i wyłącznie do mnie. Roznosi mnie; chciałbym coś zrobić, żeby się rozładować. - Chodź, Tato, pójdziemy to oblać!

- Jak to - pójdziemy, Johnny?

- Znam takie jedno miejsce, Tato. W Venice, nazywa się Kurna Chata. Jedźmy tam.

- Co powiedziałeś? Jak się nazywa?

- Kurna Chata, Tato. K-U-R-N-A.

Izba Handlowa z Santa Monica podniosła kiedyś z racji tej nazwy taki raban, że zdjęto szyld.

W Kurnej Chacie mają nagłośnienie stereo, muzyka wibruje jak w dyskotece, ale jest świetna: z lat dwudziestych po country western, rock i wycia elektroniczne. Za kwaterkę piwa płaci się pół dolara, w co wliczona jest prażona kukurydza i fistaszki w dowolnych ilościach. Stoi tam baryłka pełna prażonych fistaszków w łupinach i stale czynny automat z prażoną kukurydzą. Można by pewnie całkiem nieźle wyżyć na samym piwie, pop-cornie i fistaszkach: masa białka, węglowodanów - a kukurydza to poza tym zielenina.

Ale najlepsze są tam ściany i sufity. Całe pokryte napisami, oblepione i poobwieszane kolekcją najdziwniejszych eksponatów. Są żeliwne piecyki, bobsleje, lalki-olbrzymki, rowery, popsute zegary, części samochodowe - wszystko pomalowane w psychodeliczne kolory.

W piątki i soboty wieczorem ludzie tam tańczą, przeważnie na bosaka. Podłogi wysypane są calowej grubości warstwą trocin, więc pachnie jak w cyrku: pot, fistaszki i trociny. Różowawe światło bez przerwy pulsuje. Lubię takie lokale z dobrą, niewymuszoną atmosferą: krzyżówka upadłego wiktorianizmu i angielskiego pubu przekształconego w pop. Jest w tym i coś z dawnego westernowego baru.

Ruszamy. To blisko plaży, jakieś dziesięć minut od domu rodziców. Tato zatrzymuje się w progu i patrzy.

- Rany boskie, Johnny, ci ludzie powariowali. Popatrz tam. Pokazuje palcem. Z sufitu zwisa lalka, głową w dół, całkiem łysa, w dodatku pomalowana na niebiesko.

- Co to ma oznaczać?

- Nic, Tato. To tylko dekoracja.

Biorę z baru kwaterkę ciemnego piwa i dwa oszronione kufle. Manewruję Tatę do mojego ulubionego kubika na tyłach sali, doskonale usytuowanego pod względem aparatury stereo. Siedząc tam, człowiek czuje, że muzyka wyrasta mu z głowy. Nabieram w garście kukurydzy i fistaszków i rozprowadzam je po stole. Blat jest udekorowany laminowanym obrazkiem dziewczyny w bardzo kuszącej pozie. Tego akurat nigdy dotąd nie zauważyłem. Z Tatą widzę wszystko inaczej - to tak jakby pójść z dzieckiem do zoo.

Patrzymy na ludzi. Odchodzą spore przepychanki i flirty; towarzystwo wyłącznie dżinsowo-podkoszulkowe. Niby nie wolno tu wejść poniżej dwudziestu jeden lat i ostro tego przestrzegają, ale dziewczyny wyglądają na młodsze. Z drugiej strony, dla mnie teraz już prawie każda kobieta poniżej czterdziestki wygląda jak dziecko.

Tato gapi się jak sroka w gnat. Zapomniał nawet o piwie.

- O raju, Johnny, to lepsze niż Fayes Theatre w Filadelfii z dawnych czasów.

Odrzuca głowę i śmieje się. Kiedy się śmieje, ma zwyczaj zasłaniać usta dłonią, zakrywając zęby. Obaj z Tatą mamy furtki między zębami, i to całkiem znaczne, szerokości

około pół zęba. Tato jest bardzo czuły na tym punkcie. Jego ojciec też miał przerwę w zębach. A ja jestem przekorny, a może próżny, i swoją się szczycę. Traktuję ją jak znamię męskiej linii naszego rodu. A jednak ani Billy, ani Jacky nie odziedziczyli furtki w zębach; odziedziczyła ją za to Marty, co nas kosztowało niezły majątek u ortodonty. Mnie tam podoba się furtka w zębach u kobiet, ale nie można nakazać dziewczynie, żeby coś takiego całe życie hodowała, jeżeli nie chce.

Tato tak się wstydzi swoich rozsuniętych zębów, że nigdy nie uśmiechnie się ani nie roześmieje bez zasłaniania ust. Teraz też - szczerzy się za parawanem własnej dłoni.

Sączymy piwo powoli, prawie godzinę, słuchając muzyki i przyglądając się ludziom. Do domu wracamy koło dziesiątej. Obaj jesteśmy zmęczeni i jakoś udaje nam się zasnąć bez włączenia telewizora.

Nazajutrz wszystko zaczyna się jak najlepiej. Słyszę, jak Tato krząta się u siebie, ubiera się, ściele łóżko. Robię jogę i zamiatam. Tato wychodzi z sypialni przed dziewiątą. Nawet sam bierze sobie lekarstwa, po czym zasiada ze mną do dużego śniadania. Wszystko robi już mniej więcej o połowę szybciej. Prościej siedzi, szybciej je. Pamiętam, że kiedy był młodszy, pałaszował wszystko jak wilk; ciekawe, czy mu to wróci.

Odbywamy nawet całkiem przyzwoitą konwersację przy stole. Rozmawiamy o malarstwie. Przed laty podarowałem Tacie zestaw malarski. Było tam wszystko, co potrzeba, nawet dwa płótna średniej wielkości.

Tato wziął się wtedy za malowanie i wykonał serię najmarniejszych obrazów, jakie w życiu oglądałem. Oprawił je i podarował Mamie, teraz wiszą w ich sypialni.

Rzecz w tym, że Tato nie skorzystał z płócien, które mu dałem. Powiedział, że je oszczędza - pewnie na dzieło swojego życia. Kupił sobie gotowe blejtramy, kiepskie bawełniane płótno naklejone na karton, rozmiarów mniej więcej sześć na dziewięć cali. Dla Taty obraz to nic innego jak malowana fotografia. Dlatego maluje obrazy wielkości fotografii. I maluje je z fotografii. Żadną siłą nie mogłem go nakłonić do malowania z natury albo z wyobraźni. Tacie potrzebny jest model, który da się zmierzyć.

Na jednym obrazku wymalował Indianina przędącego na pionowo ustawionym wrzecionie pośrodku pustyni - i to, powtarzam, na płócienku nie większym od zdjęcia. Przypuszczam, że Tato jest mistrzem dwudziestego wieku w używaniu pędzla o trzech włoskach. Ten jego indiański obrazek stanowi wybitny wzór koordynacji oko-ręka, ale jako obraz jest zdecydowanie do niczego.

Wykonał też dwa obrazki systemem “połącz punkty". To coś dla niego. Te dwa obrazki mają nawet przyzwoite rozmiary, jakieś dwanaście na osiemnaście cali. Jeden przedstawia Serce Przenajświętsze, a drugi Matkę Boską. Je również Tato oprawił w ramy i zawisły w bocznej sypialni, nad łóżkiem, w którym śpią rodzice. Tu również Tato popisał się doskonałym rzemiosłem, doskonałą kompozycją kolorów, a także idealnie utrzymał się w konturach. Oba malowidła mogą służyć za modele zestawu “Maluj razem z nami".

Teraz jednak, przy śniadaniu, Tato wyznaje mi, że z jego karierą malarską koniec. Okazuje się, że próbował namalować jedną ze stacji misyjnych San Fernando. Dla niego to

gigant - prawie fresk - piętnaście na dwadzieścia cztery cale. Przez sekundę łudzę się nadzieją, że Tato istotnie odwiedził San Fernando, ale nie, to była znów tylko fotografia. Tato mi ją pokazuje: jest cała pomierzona i podzielona na kwadraty. Strach się zabierać do takiego obrazka. Nie wiem, czy ja sam stworzyłbym kompozycję z takiego bigosu. Na pierwszym planie kępa krzaków, prawie połowę fotografii zajmuje puste niebo Kalifornii. Pomiędzy krzaki a niebo wciska się żółtawy budynek z suszonej w słońcu cegły, ustawiony pod kątem do planu zdjęcia. Co gorsza, wzdłuż bliższej widza ściany budynku biegną łuki. Rzut ukośny z lewej strony pierwszego planu do prawego rogu - praktycznie nie do zakomponowania.

Tato opowiada mi, jak się namęczył z tymi łukami. Kompozycja mało go obchodzi, ale te łuki doprowadzały go do szału. Perspektywa jest dla Taty czarną magią.

Po zmyciu naczyń idziemy obejrzeć nieszczęsne malowidło. Tato je schował, żeby Mama nie widziała. Obraz przedstawia brunatne bazgroły z wielkimi zielonymi bulwami na pierwszym planie.

Podrysowuję go trochę, chcąc pokazać Tacie, jak poprawić łuki, i napomknąć przy okazji o zjawisku perspektywy, tylko że w ogóle niemożliwe jest namalować cokolwiek na podstawie takiego gównianego zdjęcia. Nie ma nic gorszego niż malowanie z fotografii: aparat fotograficzny spłaszcza obraz, gubi trójwymiarowość ludzkiego widzenia.

Strasznie mnie korci, żeby napisać do Vron o wnuczku, ale Marty na pewno zechce to zrobić sama - to jej dziecko. Hamuję się z wielkim trudem.

Tato wychodzi do oranżerii. Przesiaduje tam godzinami.

Teraz właśnie ziemia jest najlepsza, tak pulchna, że łopata zagłębia się po stylisko, ale nie bagnista. Świeża gleba rozstępuje się, lśniąc w tych miejscach, gdzie mocno przycisnęła ją łopata.

Odwiedzamy Mamę i mówimy jej o Marty. Mama przyjmuje nowinę jakby nigdy nic, jakby się tego od dawna spodziewała. Może kiedy człowiek balansuje na krawędzi śmierci, narodziny nie wydają mu się już taką wielką sprawą. Może nawet czuje się zepchnięta na drugi plan. Wracamy, ale mnie wciąż nosi, więc wychodzę za dom popracować jeszcze trochę przy motocyklu. Po skończeniu wpadam na myśl, żeby zabrać Tatę na przejażdżkę. Zabawnie byłoby poturlać się wolniutko na plażę w Venice. Może taka jazda trochę by Tatę rozruszała.

Okazuje się, że w domu są dwa stare kaski. Wygrzebuję je z garażu. Tato nie spuszcza mnie z oka.

- Tato? Co byś powiedział na przejażdżkę motorem nad ocean? Pogoda piękna, jedźmy obejrzeć zachód słońca. Tato z przerażeniem patrzy na motor.

- Sam nie wiem, trochę bym się bał.

- Jak się boisz, to nie jedźmy. Spróbujemy tylko raz dookoła ulicy, zobaczymy, jak ci się spodoba.

Pomagam mu zapiąć kask pod brodą. Nie wiem, czemu ten kask tak do Taty nie pasuje - wcale nie wygląda w nim na motocyklistę, prędzej już przypomina Charlesa Lindbergha w starego typu skórzanej pilotce. Poza tym kask przygina głowę Taty do przodu, jakby szyja nie wytrzymywała takiego ciężaru.

Wskazuję na siodełko, kopię w pedał. Pokazuję Tacie, jak ma wsiąść. Mówię, żeby objął mnie ramionami w pasie i mocno trzymał.

- A nie mógłbym się przytrzymać jakoś inaczej?

- Tak jest najlepiej, Tato. Przechylaj się wtedy, kiedy ja, jakbyśmy byli jedną osobą.

Obejmuje mnie, kopię sprzęgło, delikatnie wrzucam pierwszy bieg. Wyjeżdżamy sprzed domu i turlamy się wolniutko w tę i z powrotem po ślepych uliczkach. W ogóle nie wychodzę poza drugi bieg. Zajeżdżamy wreszcie pod dom, zatrzymuję motor.

- No, Tato, jak było?

- Nie gorzej niż jechać na rowerze. Od dziecka nie jeździłem na dwóch kołach.

- Zaryzykujesz wycieczkę do Venice? Pojedziemy bocznymi drogami, ominiemy wielki ruch.

- Ja bym się nawet zgodził, Johnny, ale, rany boskie, co by Mama powiedziała, gdybyśmy mieli wypadek? Chichocze i poprawia kask.

- Ona tam w szpitalu, a my trupy.

- Nic się, Tato, nie martw, nie zabijemy się. Od dwudziestu lat jeżdżę motocyklem. Bezpieczniej niż w samochodzie. Tato gramoli się z powrotem na siodełko. Zapinam kask.

- Cała rzecz w tym, Tato, że większość motocyklistów to wariaci. Gdyby ci sami ludzie prowadzili samochody, mieliby bez przerwy wypadki samochodowe.

Kopię pedał, ale silnik nie zaskakuje. Przyduszam go co nieco.

- W samochodzie człowiek zabija się o kierownicę, o przednią szybę i deskę rozdzielczą, rozwala sobie twarz, ponieważ przy wypadku wóz staje w miejscu, a człowiek dalej wykonuje ruch do przodu. Na motocyklu nie masz się o co rozkwasić: wylatujesz w powietrze, a zanim walniesz o ziemię, zawsze zdążysz trochę wytracić szybkość.

Słucham sam siebie i decyduję, że czas najwyższy skończyć wykład. Tato obejmuje mnie w pasie i znowu chichocze.

- Ty, John, powinieneś diabłu sprzedawać święte obrazki.

Odrzuca głowę w tył i zanosi się serdecznym śmiechem - nie zakrywa ust dłonią, nie może, bo trzyma się, żeby nie stracić życia.

Powolutku przejeżdżamy przez Palms. Popołudnie jest piękne, słońce stoi nisko przed nami. Droga biegnie przez niewielkie pagórki, prawie jak trasa dziecinnej kolejki w wesołym miasteczku. Podjeżdżamy jednym zboczem, zjeżdżamy drugim. Mijamy tor golfowy w Palms i całe Lincoln. Wjeżdżam w Rose Avenue i parkuję przy molo.

Spacerem idziemy nad ocean: całkiem niezła fala, mgiełka wody rozpryskuje się w górze, rozbija światło słonecznych promieni. Wzdłuż granicy piasku biegnie ścieżka rowerowa, dobrze zaprojektowana w nietrudne, wężowate zakręty.

Kaski wetknęliśmy pod pachę, wyglądamy jak para bezrobotnych rycerzy. Ludzie wychodzą z wody, dzieciaki na piasku grają na bongo, a jakiś pijak próbuje tańczyć do rytmu.

Nastrój jest sielski i mam nadzieję, że Tato naprawdę wypoczywa, a nie zmaga się z sytuacją.

Zatrzymujemy się, żeby posłuchać muzyki. Razem z bębenkami gra kilka gitar. Jak na plaży w tropikach - wierzyć się nie chce, że o głupie osiem ulic w głąb lądu biegnie Lincoln Boulevard, pełen samochodów, konfekcji i tysięcy plakatów gwałtem domagających się uwagi przechodnia. Tato odwraca się do mnie.

- Wiesz co, Johnny, ja się chyba minąłem z powołaniem. Wydaje mi się, że byłbym dobrym hippisem.

Spacerujemy po molo. Ciekawe, że mówią na to molo, chociaż to zwykły deptak z betonu i nie na słupach - taka ulica bez samochodów przez piach. Może i kiedyś była pomostem z drewna albo lądowym przejściem z molo na wybrzeże atlantyckie. A może to tylko ja mówię molo?

Dochodzimy do kafejki pod nazwą Fruits and Nuts. Prowadzi ją para młodych ludzi, Tony i Shelly. Podejmują nas jak najważniejszych gości na świecie. Pytają o Mamę i doradzają zioła na wzmocnienie serca. Częstują nas sokiem z marchwi w ogromnych szklanicach. Sok ten wyciskają sami ze świeżej marchwi; robią go w sokowirówce i jest słodki, nie to co mamina jarzynowa wodzianka. Tato zerka na mnie kątem oka, popija sok z marchwi i uśmiecha się od ucha do ucha. Tony nosi brodę i długie włosy związane do tyłu w ogonek. Stuprocentowy hippis - twój wróg.

Opowiada Tacie o ziołach regulujących ciśnienie. Sam bym sobie takich kupił - wszystkiego jestem gotów spróbować. Tony daje mi te zioła, za darmo. Robi mi się tak głupio, że kupuję chociaż trochę jabłek i bananów - Tony zapewnia nas, że są świeże i smaczne. Scyzorykiem kroi jabłko na ćwiartki, żebyśmy się mogli we czwórkę podzielić.

Nie chce się od nich wychodzić. Idziemy dalej, żując ćwiartki jabłka. Nikt na świecie nie chrupie jabłek tak hałaśliwie jak Tato; w zębach Taty jabłko brzmi jak najwspanialsza potrawa wszechczasów.

- Przemili ludzie, John, to twoi znajomi?

- Nie. I nie mam pojęcia, jak im się opłaca ten interes -przecież oni wszystko rozdają za darmo. Tato wgryza się w kolejne jabłko z torby.

- Może i tak są bogaci. Może prowadzą ten kramik tylko dla zabawy.

- To całkiem możliwe.

- Chociaż nie wyglądają na bogatych.

Nakładamy kaski, gramolimy się na motor i powoli wracamy do domu. Za nami słońce jeszcze czerwieni horyzont. Zapada balsamiczny wieczór, taki, jaki od czasu do czasu zdarza się w Kalifornii, kiedy mgła znad wybrzeża opada dopiero po zachodzie słońca.

Ledwie weszliśmy do domu, dzwoni telefon. To Marty. Chcą razem z Garym zadzwonić do Vron i przekazać jej wielką nowinę. I żebym ja przy tym był. Mówię im, żeby przyszli do nas, mamy podwójny aparat.

Przychodzą akurat, kiedy kończymy jeść. Oczy Marty błyszczą z przejęcia. Dzwonimy linią automatyczną i natychmiast uzyskujemy połączenie. Marty zaraz po pierwszych słowach wybucha płaczem. Siedzę przy drugim aparacie, w sypialni. Jak dobrze

jest słyszeć głos Vron. Vron też chyba płacze, a ja na pewno. Płaczemy do siebie na odległość z górą sześciu tysięcy mil, za pośrednictwem satelity i kosztuje to nas dziesięć dolarów. Kiedy wreszcie kończymy, a ja wracam do salonu, widzę, że Tato stoi z okularami w garści i wyciera oczy. Patrzy na mnie.

- Co my tak płaczemy, Johnny?

To rozładowuje sytuację, wszyscy zaczynamy tańczyć i skakać. Przed wyjściem Marty i Gary'ego pijemy toast winem.

Tato włącza telewizor. Marty przyniosła mi książkę, o którą prosiłem. Próbuję czytać, ale co zacznę, Tato mi przerywa. W tym domu czytanie jest zajęciem nagannym. Mama specjalizuje się w paleniu wszystkich gazet i czasopism na drugi dzień po tym, jak trafiają do domu. Dla Mamy nie ma różnicy między papierem a opadającymi liśćmi - taka sama plaga, z którą nieustannie trzeba walczyć. Książka to tylko papier: przeczytałeś - spal. Trzymać książki w domu to to samo jakby nie słać łóżka. Poza tym czytanie rozmiękcza mózg, niszczy wzrok i zaraża protestanckimi albo komunistycznymi bzdurami.

Tato ma trochę zbliżony stosunek do czytania, chociaż z innych pobudek. Jego ojciec, a mój dziadek, zawsze twierdził, że czytanie to zajęcie dla dziewcząt. Swoje córki wykształcił, posłał na wyższe uczelnie, za to synom pozabierał książki, skoro tylko osiągnęli odpowiedni wiek do nauki rolnictwa, stolarki i obróbki metali. Dziadek uważał, że mężczyźni tworzą świat, a kobiety go zapamiętują i przekazują następnym pokoleniom. Jest to pogląd mocno zakorzeniony w rodzinie mojego ojca.

Około wpół do jedenastej wymykam się do sypialni. Nie wiem, jak długo jeszcze Tato ogląda Johnny Carsona.

W trzy dni później Mamę przenoszą z intensywnej terapii na zwykły oddział. Od doktora Coe dowiaduję się, że w szpitalu poleży jeszcze dwa tygodnie. Wszystkie badania wykazały, że przeszła poważny zawał serca i rekonwalescencja będzie długa i mozolna.

Tato natomiast poprawia się z dnia na dzień. Jest już właściwie w pełni samodzielny. Którejś niedzieli wybieramy się na łódź z moim kumplem i żaden z nas nie dostaje morskiej choroby. Pływamy co prawda nie dłużej niż godzinkę czy dwie w basenie przybrzeżnym, a i dzień jest wyjątkowo spokojny.

Właśnie na łódce zauważam, że Tato się nie ogolił. Nie pamiętam, żebym widział u niego zarost więcej niż półdobowy. W drodze do domu pytam go, czy przypadkiem nie dostał jakiejś wysypki, a może opuścił jeden punkt instrukcji toaletowej. Patrzy mi w oczy, akurat skręcamy w Jefferson Boulevard.

- Nie, Johnny, cerę mam zdrową.

Przejeżdża dłonią po tarce na twarzy. Odczekuję chwilę, bo nie wiem, jak to delikatnie powiedzieć.

- Pytam, Tato, tylko dlatego, że chyba zapomniałeś się dzisiaj ogolić. Uśmiecha się i podnosi dłoń, żeby zasłonić usta.

- Wiesz, John, nigdy nie widziałem swojej brody. Zacząłem się golić, kiedy miałem piętnaście lat i od tego czasu golę się codziennie rano. Nawet przed ślubem, nawet kiedy z

tatą i z całą paczką chodziliśmy na polowania, też się goliłem, w zimnej wodzie. Chciałbym chociaż raz zobaczyć siebie z brodą. To chyba nic złego - jak uważasz? Mama przecież leży w szpitalu, a jak wróci do domu, to zgolę.

Zdumiewa mnie moja własna reakcja. Martwię się, co powiedzą sąsiedzi. Może pomyślą, że robię z Taty wariata.

A potem nagle dostrzegam sedno sprawy. Wybucham śmiechem. Tato też się śmieje. Zaśmiewamy się obaj, aż do samego domu. Jak słowo daję, ci sąsiedzi pomyślą sobie, że nie zanadto przejmujemy się maminym zawałem.

Oglądamy mecz Dodgerów. Potem Tato sam zaczyna rozmowę. Że zawsze był za Angelami, bo po stronie Dodgerów jest za dużo czarnych. Natychmiast mam ochotę wycofać się z rozmowy; nie chciałbym popsuć dobrej atmosfery, która między nami zapanowała. Ale Tato chce mówić; coś go gryzie.

- Wiesz, John, jak byłem mały, zaraz jak przyjechaliśmy z Wisconsin na Wschodnie Wybrzeże, mieszkaliśmy w południowo-zachodniej części Filadelfii. Tam w pobliżu mieszka masa Murzynów. Nam nie było bezpiecznie zapuszczać się w niektóre okolice, a my z kolei zatłuklibyśmy na śmierć każdego czarnucha, który by przeszedł na zachód od ulicy Sześćdziesiątej albo na północ od Woodlawn Avenue. To była jakby wieczna wojna.

Głównie z tego powodu przenieśliśmy się do Upper Darby. Byłem bardzo niezadowolony, że mieszkam o pięć mil od rodziny, ale baliśmy się tych czarnuchów. Tylko kościół Świętego Barnaby prowadził szkołę bez czarnych i szczyciliśmy się tym; wtedy nawet księża mówili o tym z dumą.

Przerywa. Ciekaw jestem, co chciałby ode mnie usłyszeć.

- No i widzisz, Johnny, a teraz mówią nam w kościele, że musimy o tym wszystkim zapomnieć. Nasz proboszcz mówi, że to grzech śmiertelny żywić takie uczucia. Jak Boga kocham, Johnny, ja osobiście nic nie mam przeciwko czarnuchom, tylko że mrowie mi łazi po plecach, kiedy o nich pomyślę: to jak u psa - kiedy się zezłości albo zlęknie, sierść mu staje dęba. I założę się, że te czarnuchy czują do mnie dokładnie to samo.

Kiedy idziemy z Bette do kościoła Świętego Augustyna, zawsze szukamy miejsca jak najdalej od czarnych i od Meksykanów. Bo przy tym całym “znaku pokoju" trzeba się uśmiechać i podawać ręce ludziom stojącym obok, a my zwyczajnie nie umiemy się przemóc, żeby to zrobić z Meksykaninem albo z czarnym.

Człowieka się nie da zmienić z dnia na dzień. Wyznaję wszystko księdzu na spowiedzi, to on mi mówi, żebym się modlił o miłość i miłosierdzie.

I ja się modlę, Johnny, ale nic z tego nie wychodzi. Naprawdę, strasznie bym nie chciał iść do piekła tylko za to, że nie mogę z siebie wykrzesać miłości do czarnego. To niesprawiedliwe. Człowiek w młodości zachowuje się tak, jak od niego oczekują, a potem nagle zmieniają się zasady.

Milknie. Nadal nie wiem, czego ode mnie chce. Cieszę się, że sam nie mam tego problemu - nie tylko z rasizmem, ale w ogóle z tym zamartwianiem się, czy ktoś o mnie powie, że jestem dobrym człowiekiem, czy nie. Ludzie za łatwo rezygnują z władzy nad własnym życiem.

Szykuję małą przekąskę: piwo, frytki, precelki. Tato już-już ma włączyć telewizor, ale powstrzymuje się i siada w bujaku; ja zajmuję złoty fotel Mamy.

- Wiesz co, Tato, z tym zapuszczaniem brody jest tylko jeden kłopot: Mama dostanie ataku, jak ją odwiedzimy. Nie możesz się tak pokazać w szpitalu.

Tato uśmiecha się przebiegle, wstaje i wychodzi do łazienki. W parę minut później przychodzi z powrotem w maseczce chirurgicznej na twarzy, oczy mu się świecą.

- Mama to zakłada, kiedy farbuje sobie włosy. Powiemy jej, że złapałem jakiegoś wirusa i nie chcę jej zarazić.

Krztuszę się piwem i pędzę do zlewu. Tato za mną, przerażony. Znów patrzę na niego - wygląda jak szacowny chirurg. Zważywszy na paniczny lęk Mamy przed zarazkami, wybieg jest diabelnie chytry.

W szpitalu z maską idzie nam jak z płatka. Tato wyćwiczył nawet całkiem wiarygodne pociąganie nosem i kaszel. Broda rośnie mu jak szalona. Po tygodniu przestaje być swędzącą szczecinką i zaczyna się wić. Jest kręcona i zbita jak włoski łonowe, sztywna. Najdziwniejsze, że barwę ma szpakowatokasztanowatą. Na głowie Tacie zostało niewiele włosów, same siwe. Trochę czarnych ma jeszcze w brwiach i to wszystko, co mu pozostało z oryginalnego uwłosienia.

Broda to coś zupełnie innego. Raczej ciemna niż szpakowata. Tato wygląda przynajmniej o dziesięć lat młodziej, niebywale żywotnie.

Co i raz przyłapuję go, jak się sobie przygląda w łazienkowym lustrze. Broda wspaniale okala jego rozdzielone zęby. Z trudem się do niej przyzwyczajam. To tak, jakby Tato cofnął się o całe pokolenie - jakbyśmy się stali rówieśnikami.

Joan wpada w zachwyt. Gładzi brodę, Tato uśmiecha się przy tym, Joan całuje go z dubeltówki. Zaśmiewa się do rozpuku, kiedy jej demonstrujemy sztuczkę z maską chirurgiczną. Martwi się tylko, że Marna i tak prędzej czy później nas nakryje.

Przez cały ostatni tydzień regularnie bywamy z Tatą wieczorami w Kurnej Chacie. Rozpijamy kwaterkę piwa i świetnie się bawimy oglądaniem ludzi: to sto razy lepsze niż telewizja. Prowadzimy nawet coś w rodzaju konwersacji. Rozmawiamy o Mamie, o jej zdrowiu i o tym, jak urządzić wszystko w domu, żeby miała wygodnie. Tato zaczął wysuwać własne pomysły. Instaluje domofon między boczną sypialnią, gdzie będzie Mama, a sypialnią na tyłach; przeprowadza nawet kabel do sypialni w ogrodzie. Urządzenie jest prymitywne, typu skautowskiego, ale działa.

Raz Tato napędza mi potwornego stracha dzwoniąc w środku nocy. Tłumaczył się, że chciał sprawdzić, czy sygnał jest dość głośny, żeby obudzić śpiącego. Dzieje się to o trzeciej nad ranem, kiedy Tato budzi się na nocne sikanie. Urodzony kawalarz, nie ma co.

Kilka razy zabieram Tatę w odwiedziny do Gary'ego i Marty. Mało się odzywa, ale widać, że chętnie słucha rozmów. Rozmawiamy głównie o przyszłym dziecku i zdrowiu Mamy. Nie oglądamy telewizji.

Nadchodzi dzień zabrania Mamy do domu. Wszystko przygotowaliśmy. Rano Tato

wychodzi z łazienki gładko ogolony, bez słowa. Przywozimy samochodem Mamę, która cały czas gada z prędkością dziesięciu mil na minutę. Jak nic dostanie następnego zawału, jeszcze zanim ją dowieziemy do domu.

Kładę ją do łóżka, zaciągam story i nalegam, żeby się zdrzemnęła. Dotąd nie uświadamiałem sobie, jaka to będzie wielka odpowiedzialność pielęgnować ją w domu. Gdyby cokolwiek się stało, do szpitala jest ponad kwadrans drogi.

Czuję większą panikę niż Tato. We dwóch siadamy na werandzie, pijemy piwo i jemy kanapki. Tato pyta, kiedy, moim zdaniem, będzie mógł znowu spać z Mamą. Tego w ogóle nie brałem pod uwagę.

Natychmiast po drzemce Mamy zastaję ją siedzącą na brzegu łóżka: próbuje włożyć szlafrok. Chce iść do toalety, upiera się, że nie będzie siadała w łóżku na basen. Żadne moje słowo jej nie powstrzyma. Idziemy przez hall, powolutku. Mama jedną ręką przytrzymuje się ściany, a drugą mnie. Wmanewrowuję ją do łazienki, wyrzuca mnie brutalnie i zatrzaskuje drzwi.

Krążymy z Tatą pod drzwiami, słyszymy, jak sika po ściance sedesu, rozlega się odgłos spuszczanej wody. Czekamy, ale Mama nie wychodzi. W końcu Tato nie wytrzymuje.

- Bette? Wszystko w porządku?

“Bette" wymawia jak “pety".

- Dobrze, dobrze. Nie pilnujcie mnie tak, to mnie denerwuje.

Otwiera drzwi. Umalowała się i podkręciła włosy na lokówki. Odwagę to ona ma, ta moja matka, gorzej ze zdrowym rozsądkiem.

Jest z dnia na dzień lepiej. Mamie wracają rumieńce - a może to tylko róż. Mamy za to kłopoty z utrzymaniem jej w łóżku. Znowu by chciała rządzić. A jednocześnie skarży się, jak jej ciężko oddychać.

Trzeciego dnia wyprowadzamy ją na werandę. Dzień jest ciepły, bezwietrzny, a Mama już dość się nasiedziała w inkubatorze. Zdaje się, że dobrze jej to robi; leży w słońcu, próbuje się odprężyć.

Gotuje przeważnie Tato. Jest z siebie słusznie dumny. Rano wstajemy przed ósmą i - na zmianę - jeden zamiata, a drugi szykuje śniadanie. Okazuje się, że Tato jest również namiętnym zamiataczem. Biedną Mamę doprowadza to do szału, każe nam używać odkurzacza, mówi, że tylko przenosimy brud z miejsca na miejsce i że wszędzie jest pełno kurzu.

Pod koniec tygodnia uzbierała się kupa rzeczy do prania. Tato zgłasza się na ochotnika do automatycznej pralni samoobsługowej. Prosi, żebym go tam tylko podwiózł i pokazał, co robić. Joan proponowała, że zajmie się naszym praniem, ale Tato chce to zrobić sam.

W czasie drzemki Mamy zawożę Tatę do centrum handlowego i demonstruję mu obsługę automatów w pralni. Bywał tam już z Mamą, ale niezbyt pilnie uważał.

Okazuje się, że pralnia to jest właśnie to, co Tata lubi najbardziej. Sprawność i przewidywalność skutków działania daje mu niebywałą satysfakcję. Radzę mu, żeby jeżeli się znudzi, pochodził po sklepach albo przespacerował się do kręgielni. Zostawiam go samego.

Całą godzinę ma spędzić sam w wielkim świecie.

Kiedy wracam do domu, Mama już nie śpi. Pyta, gdzie Tato.

- W pralni, robi pranie.

- O Matko Boska, Jacky, przecież on nie umie! Zabierałam go tam ze sobą, ale tylko zawadzał. Jedyne, co potrafi, to bez końca wygładzać prześcieradła, żeby nie było ani jednej zmarszczki - ja od tego dostaję szału.

- Poradzi sobie, Mamo, zobaczysz.

Mama tylko fuka gniewnie, zaliczając mnie tym samym do wielkiej i wciąż rosnącej rzeszy “trzepniętych".

- Przekonasz się. Doda bielinki do kolorów albo wytnie jakiś inny głupi numer. Przecież Joan obiecywała robić pranie, wy dwaj mieliście się do tego nie mieszać. Ona i tak niewiele więcej robi.

- Będzie dobrze, Mamo, a poza tym Tato ma jakieś zajęcie. Joan ma i tak dość na głowie.

A jednak Mama zaraziła mnie swoją nieufnością. Co prawda nie ruszam natychmiast po Tatę, ale popatruję na zegarek. To tak, jak wysłać dziecko pierwszy raz po zakupy: kusi człowieka, żeby za nim pójść.

Wychodząc mówię Mamie, że jak tylko wrócimy, przygotuję lunch. Widzę, że Mama jest niespokojna: życie domowe wymyka się spod jej kontroli. Jeszcze trochę, a zrobi jakieś głupstwo.

Tato siedzi w pralni nad wysuszonymi i poukładanymi w koszu rzeczami. Posortował je nawet na rzeczy Mamy, moje i swoje. Wierzyć się nie chce. A jaki dumny z siebie: siedzi i cmokta malinowego lizaka.

- Rany Julek, John, było fantastycznie. Poszedłem zobaczyć, jak grają w kręgle. Sam nie grałem od czasu, kiedyśmy grywali z Irą Taylorem na Sześćdziesiątej Dziewiątej - dobre trzydzieści lat temu. Zapomniałem, jaka to świetna zabawa. Pomyśleć, że mieszkamy o głupie dwie ulice stąd, a ja ani razu nie byłem w kręgielni. Człowiek raz wejdzie w kierat pracy i od razu zapomina, jak można się bawić. Kosztuje tylko piętnaście centów za kolejkę. Stać nas na to, a czasu mam aż nadto. Jeszcze nie jestem za stary.

Pakuję czyste rzeczy w firmowe torby.

- Możemy tu przyjść pograć, Tato. Ja też sto lat nie grałem w kręgle.

Pakujemy ciuchy do samochodu, Tato kończy lizaka. Lepiej, żeby nie wpadał do domu z lizakiem w ustach - tego już by Mama nie przeżyła. Zajeżdżamy samochodem pod ganek i zaczynamy rozładowywać. Mama wyszła z łóżka, otwiera boczne drzwi. Obaj z Tatą wnosimy rzeczy do domu. W kuchni stwierdzam, że Mama naszykowała lunch.

Chwilę stoję w milczeniu, zastanawiając się, jaką obrać taktykę. Nie chcę traktować Mamy jak dziecka, nie chcę też, żeby widziała, że jestem zły. Postanawiam pogodzić się z faktami. Nie umiem znaleźć innej metody na skuteczne wyleczenie Mamy z tego typu nierozważnych pomysłów.

I tak biegną nam dni. Mama do wszystkiego się wtrąca: nie ma rzeczy, którą Tato i ja

robilibyśmy jak należy. Skarży się nawet, że Tato na noc nie myje zębów.

- Musisz go dopilnować, Jacky. On tylko machnie z przodu raz-raz, a o reszcie w ogóle nie pamięta.

I to mówi o człowieku, któremu nie brakuje ani jednego zęba. Mama wszędzie z tyłu ma mostki. Z początku staramy się z Tatą jeszcze bardziej. Zamiatamy, odkurzamy elektroluksem, wykładamy papierem kubły na śmiecie, szorujemy wannę i umywalkę, ścieramy kurze, trzepiemy chodniki, wszystko, co się da - i wszystko nie tak.

Joan wpada z wizytą; opowiadam jej, co się dzieje. Joan śmieje się i siada na chwilę.

- To ty, Johnny, jeszcze nie wiesz, że Mamy nikt nie zadowoli? Myślałam, że wiesz. Przychodzę tu co tydzień na duże sprzątanie, okna, podłogi. I wiem, że po moim wyjściu Mama zrobi wszystko jeszcze raz, umyje po raz drugi każde okno, cały czas dogadując pod nosem. Cała Mamy przyjemność w tym, żeby przekonać siebie i wszystkich dookoła, że nikt niczego nie zrobi lepiej od niej. Ludzkość dzieli się na dwie kategorie: Bette McCarthy i reszta świata. Reszta świata to dyletanci i flejtuchy. Nie przejmuj się, Jack, naucz się z tym żyć. Przecież dobrze się z Tatą bawicie - niech wam to starczy. Z Mamą wygrać się nie da.

Do diabła, przecież ja to wszystko wiem. Tylko w zachwycie nad postępami Taty całkiem o tym zapomniałem.

Joan nie może się nadziwić, jaki Tato się zrobił energiczny, pełen życia. Wierzyć się nie chce, że to ten sam człowiek. Opowiadam Joan o niektórych naszych eskapadach: o Kurnej Chacie, żeglowaniu, jazdach na motorze. Joan mówi, że to wspaniałe, ale lepiej, żeby Mama się nie dowiedziała.

- Ona by mu zatruła życie, Johnny. A już, broń Boże, żeby się kiedykolwiek dowiedziała o tej brodzie. Dosyć się nasłuchałam na temat twojej brody. Drugiej już by Mama nie przeżyła.

Oboje chichoczemy. Mama drzemie. Tato w oranżerii.

Orka pod darń, świeże rozstępy ziemi, gęsto, bruzda w bruzdę, kępki trawy i rżyska znaczą głębokość bruzd. Jimmy ciągnie gładko, powoli; pochylam się, napieram, ale tylko tak, żeby odwrócić wierzchnią warstwę gleby; zamieniamy pole w płat sztruksu.

Nazajutrz rano w łazience widzę, że wanna została wyszorowana. Tego już za wiele. Jeżeli istnieje lista czynności niewskazanych dla sercowca, szorowanie wanny musi na niej zajmować jedną z pierwszych pozycji. Mama jest na werandzie, razem z Tatą wystawiają się do słońca. Idę do nich.

- Mama! Myłaś wannę?

- Jacky, to było istne koryto, całe w brudnych obwódkach, wszędzie ślady, pochlapane. Widać, że wy dwaj wychodzicie z wanny po kąpieli i żaden się nie obejrzy: zostają po was włosy i zaschnięte mydliny. Mogę być chora, ale w stajni mieszkać nie będę.

- Przesadzasz, aż tak źle nie było. Właśnie szedłem szorować. Wystarczyło poczekać głupie dziesięć minut. Dla dziesięciu minut i paru włosków na wannie ryzykujesz życiem.

Zaczynam się gorączkować jak wariat.

- Tato i ja staramy się jak możemy, a ty przez cały czas tylko utrudniasz. Oświadczam ci, Mamo, że jeżeli nie wrócisz do łóżka i nie zwolnisz obrotów, tak jak ci kazał lekarz, jutro odlatuję do domu. Jeżeli nie zadowala cię to, co my robimy, wynajmij zawodową pielęgniarkę. Rób sobie, co masz do zrobienia, ale ja nie będę więcej znosił twoich fanaberii.

Mama patrzy na mnie, po chwili zaczyna płakać.

- Co mi z życia, jeżeli nie mogę zrobić najgłupszej rzeczy we własnym domu? Dobrze wiesz, że on niczego nie potrafi. Dramatycznym gestem wyrzuca ramię w kierunku Taty.

- Joan w ogóle nie przychodzi, a ty tylko czekasz, kiedy będziesz mógł wrócić do Europy, do tych swoich cudzoziemców.

Odwracam się na pięcie i wchodzę do domu. Mama dalej się awanturuje. Tato idzie za mną. Przygotowuję lunch. Tato jest zmartwiony; nie on jeden.

- To nie jej wina, Johnny, staraj się ją zrozumieć: jej jest trudno się odprężyć, wiesz, jaki ma charakter.

- Ja wszystko wiem, Tato. Tylko zapamiętaj: tu nie chodzi o rozpieszczanie, o to, czy postawi na swoim, czy nie - ona może umrzeć z byle powodu. Nie mam zamiaru patrzeć, jak się zabija przez głupią dumę i nieposkromioną żądzę panowania.

Ty też, Tato, musisz zacząć się jej przeciwstawiać, dla jej własnego dobra i swojego też. Tu nam nie wolno popuścić. Jeżeli ona zamierza nadal szorować wanny, nie ma szans, żeby przeżyła. Ja nie żartuję.

Trudno powiedzieć, czy moja tyrada do niego dotarła. Przeraził się tak bardzo, że wpadł w dawne potakiwanie połączone ze służalczym zaglądaniem w oczy, syndrom szef-podwładny.

- Masz rację, Johnny, masz absolutną rację. Ja z nią pomówię. Ona tam teraz płacze, sama, nieczęsto płacze, płacz też na pewno szkodzi na serce.

- Na pewno mniej niż mycie wanny.

Czy będziemy musieli jej pilnować cały czas? Rany boskie! Niosę na werandę kanapki, piwo i colę dla Mamy. Mama dalej ma czerwone oczy, ociera łzy. Na mnie nawet nie spojrzy.

- Posłuchaj, Mamo. Swoim niemądrym zachowaniem przeraziłaś Tatę śmiertelnie. Ja już nie powiem ani słowa. Jeżeli masz ochotę w tej chwili wejść na dach i postepować - będę tu siedział i klaskał z podziwu. Chcesz polecieć po szczotkę ryżową i wyszorować trawnik - proszę cię uprzejmie.

A kiedy znowu dostaniesz zawału, zrobię, co będę mógł, spróbuję cię po raz drugi na czas dowieźć do szpitala i może znów ci uratują życie. A jeżeli nie - załatwię formalności pogrzebowe i zatroszczę się o Tatę. Tyle o mnie. Nie zamierzam traktować cię jak niemowlaka! Jesteś dorosłą kobietą, nie zdziecinniałą staruszką, i masz prawo decydować o własnym życiu. Chcesz się zabijać - twoja sprawa.

Przerywam na chwilę, żeby dobrze dotarło. Mama już na mnie patrzy.

- Zrozumiałaś mnie, Mamo? Ode mnie nie usłyszysz już słowa nagany. Rób ze swoim życiem, co chcesz - twoja rzecz. Sądzę, że masz więcej zdrowego rozsądku, niż to dotychczas okazywałaś. Sądzę, że tak naprawdę to chcesz żyć, tylko po prostu lubisz napędzać Tacie i mnie śmiertelnego stracha. Bierz się do jedzenia.

Nastrój się poprawia. Teraz Mama musi udowodnić, że nie jest taka głupia. Tylko że jej pojęcie o tym, co może robić bez szkody dla zdrowia, jest bardzo mgliste. Żal mi Taty, bo cały obowiązek pilnowania spada na niego. Ja tylko z niedowierzaniem kręcę głową, kiedy Mama ściele łóżko albo pierze bieliznę, ale nie mówię nic.

Marty telefonuje prawie co wieczór z propozycją, że mnie zastąpi, jeśli chcę. Mówię jej, że nie trzeba: wiem, jak jej trudno dogadać się z Mamą, a i Mamę prawie wszystko w Marty irytuje. Najbardziej to, że jest młoda i żyje własnymi sprawami.

Po dwóch tygodniach nadchodzi dzień zawiezienia Mamy na badania kontrolne. Przed wizytą dzwonię do lekarza z prośbą, żeby Mamę obsztorcował, ponieważ jest zbyt aktywna.

Doktor urządza wspaniałą scenę, ale ja widzę, że opór w Mamie nie zelżał. Na zdjęcie rentgenowskie, które jej lekarz podsuwa, ledwo spojrzy. Doktor wyciąga kardiogramy, wynik morfologii krwi, pokazuje na wykresach, która część serca jest u Mamy zaatakowana - wszystko na nic, groch o ścianę. Ona po prostu nie chce wiedzieć. Po wizycie, kiedy odwożę Mamę na parking fotelem inwalidzkim, odwraca się do mnie i mówi:

- Wiesz co, Johnny, to chyba żaden lekarz. A już na pewno nie specjalista od serca. Widziałeś, jaki on nosi pas i jakie obcisłe portki? Jeszcze jeden hippis. Byle chłystek może teraz ukończyć akademię medyczną. W ogóle to pewno jeszcze stażysta, nie może mieć trzydziestki.

Robię jej gorzki zawód, gdyż nie odzywam się na to ani słowem. Przez całą drogę do domu Mama nie schodzi z tematu, nie zostawia suchej nitki na doktorze Coe i całym szpitalu Perpetual. Potem zaczyna wykład o czarnych pielęgniarkach. Wszystkie chwyty dozwolone.

Ja się tylko uśmiecham, kiwam głową jak imbecyl i koncentruję uwagę na prowadzeniu wozu. Mama bez przerwy naciska hamulec i wciska dźwignię sprzęgła. Słowo daję, na drugi raz wsadzę jej worek na głowę i będę wiózł na tylnym siedzeniu.

W domu Mama z miejsca zaczyna rozwodzić się przed Tatą, jaki to niegroźny był jej zawał, właściwie nie wiadomo, czy to w ogóle był zawał. Wcale nie powtarza słów doktora - mówi jedynie to, co sama chciała usłyszeć. Prawdziwą wersję przekażę Tacie później, nie chcę jej znów doprowadzić do płaczu. Tato ma rację: płacz nie może dobrze robić na serce.

Po lunchu Mama idzie na całość.

- Popatrzcie, jak ten dom obłazi z tynku. Ogród zarasta, nikt nie piele. Okna zaświnione. Odkąd przyszłam ze szpitala, nie jedliśmy ani jednego racjonalnego posiłku. Tato nie zażywa regularnie leków, źle wygląda, a gania tak, że tylko patrzeć, jak znowu dostanie ataku.

Nie przypominam sobie, żeby Tata miał kiedykolwiek jakiś atak.

Próbuję ją uspokoić, że Tato doskonale sobie ze wszystkim radzi i dobrze się odżywia. Wszystko na nic. Rzeczywistość wymyka się spod kontroli Mamy, co wprawia ją w stan

bliski paniki: zagrożona została sama istota jej życia.

Tato istotnie się oddala, nabiera niezależności. Taka jest prawda. Przychodzi, żeby swoim nowym, pogodnym tonem zapytać, jak Mama się miewa i co mógłby dla niej zrobić. Mamę to dręczy: role się odwróciły za szybko, za łatwo. Tato przynosi jej wodę w szklance, podaje leki, poprawia łóżko, reguluje koc elektryczny, wykonuje masaże i na wszelkie sposoby stara się ułatwić jej rekonwalescencję. Mama się temu sprzeciwia każdym swoim działaniem. Uwikłała się w nieprzewidziany podwójny potrzask.

Tato też coraz lepiej gotuje. Nie jest to kuchnia na serio, ale też i dom rodziców nigdy nie znał prawdziwego gotowania. Tato robi zupy z puszki i zapieka kanapki w tosterze. Kilka obiadów przyrządza od początku do końca sam, bez pomocy; nic specjalnie trudnego - gulasz jagnięcy, groszek z puszki, tłuczone kartofle albo kotlety, fasola z puszki i frytki z mrożonki - ale wszystko smaczne.

Zdarza się, że Tato idzie czasami do sypialni zobaczyć, co z Mamą, i zapomina zdjąć fartuch. Mama dostaje od tego białej gorączki. Zaczynam podejrzewać, że Tato robi to specjalnie: kuchenny fartuch, tak samo jak czapka-pilotka, stał się symbolem jego autorytetu. Wiem też, że dla Mamy jest to gorsze niż przemęczanie się, ale trzeciego wyjścia nie umiem wymyślić. Prędzej czy później będę musiał stąd wyjechać, a Joan nie może przecież robić wszystkiego.

Joan trochę się martwi, ale też nie widzi wyjścia. Tato musi przejąć ster rządów. Z zawodową pielęgniarką byłoby jeszcze gorzej. W tej sprawie z Mamą nie ma dyskusji: żadnych obcych osób w domu.

I tak mija jeszcze jeden tydzień. Forma Taty zwyżkuje z dnia na dzień, za to Mama zrzędzi i robi wszystko, czego jej nie wolno. Zbliżają się siedemdziesiąte trzecie urodziny Taty. Umawiamy się, że urządzimy z tej okazji cichą uroczystość, tylko dla nas czworga: Joan, ja, Tato i Mama. Staramy się trzymać Mamę z dala od przygotowań, ale jest to bardzo trudne zadanie. Gdy piekę tort urodzinowy, Mama zrzędzi, że zaraz puszczę z dymem cały dom; upiera się, żebym kupił gotowy tort u Van de Kampa. Tyle razy otwiera piecyk, że cholerne ciasto w końcu siada. Święty by nie wytrzymał. Co najmniej dziesięć razy holuję ją z powrotem do łóżka. Mama jest bliska płaczu. Cytuję:

- Kto wie, czy to nie ostatnie urodziny, które obchodzę z mężem, a ty chcesz sam wszystko zrobić. Ja siebie znam, czuję się świetnie, skąd ty możesz wiedzieć, jak się czuję... - I tak dalej.

Joan kupuje Tacie flanelową piżamę w niebieskie paski, a od Mamy przy okazji zapinany sweter. Ja ofiarowuję Tacie nową ciemnozieloną czapkę lotniczą. Chciałem mu kupić kanarka trylującego, ale nigdzie takich nie mieli: zaraza z Newcastle praktycznie wytrzebiła kanarki w Ameryce.

Tato z wielką ochotą pomaga przy torcie. Pieczemy tradycyjnie, od początku do końca, nie z ciasta w proszku. Tacie się w głowie nie mieści, że wystarczy zmieszać mąkę, cukier, jajka, mleko, masło i sól, dodać trochę zapachów i proszku do pieczenia - i wychodzi ciasto. To straszne, jak szybko większość mężczyzn oddala się od zabawnych stron życia. Po

klapnięciu pierwszego tortu pieczemy drugi i składamy je razem.

Przyjęcie jest niezwykle udane. Uroczyście kroimy tort, trochę zanadto zbity, ale pyszny. Tato jednym i potężnym dmuchnięciem gasi wszystkie świeczki: siedem dużych i trzy małe. Z wielkim ceremoniałem rozpakowuje wszystkie prezenty po kolei: każdym najpierw potrząsa, sprawdza, czy grzechocze, zgaduje, co jest w środku, wymieniając najbardziej absurdalne przedmioty i z uporem maniaka rozsupłuje każdy węzeł oraz pieczołowicie składa papiery. Dopiero kiedy starannie złoży opakowanie, bierze się za następny prezent. Nie chce uronić ani grama przyjemności.

- Szybciej, Jack, otwieraj, nie baw się tymi papierami, przecież nie będziemy tu sterczeć do nocy. Tato odwraca się do Mamy z uśmiechem.

- Dlaczego nie, Bette? Możemy siedzieć i do nocy, dzisiaj jest mój dzień, aż do nocy.

Mówi to miło i z uśmiechem, a jednak pierwszy raz od ponad dwudziestu lat słyszę, żeby Tato sprzeciwił się Mamie. Joan rzuca mi znaczące spojrzenie. Znacząca mina Joan polega na zaciśnięciu ust i szerokim rozwarciu oczu, tak szerokim, że widać białka dookoła tęczówek. Joan kilkakrotnie kiwa głową, po czym wciąga głowę w ramiona. Tłumaczy się to jako: “No nie, coś podobnego!"

Ponieważ nie udało mi się znaleźć kanarka, ofiarowuję Tacie szwajcarski nóż wojskowy, który dostałem od Billy'ego na pięćdziesiąte urodziny. Mam nadzieję, że Billy nie weźmie mi tego za złe. Taki nóż zapewnia człowiekowi poczucie równowagi ducha. Ten, który ofiarowuję Tacie, ma trzynaście ostrzy i przyborów, w tym szkło powiększające, kościaną wykałaczkę, nożyczki, szczypczyki, pilnik, dwa płaskie ostrza, dwa śrubokręty (zwykły i Phillipsa), otwieracz do puszek, otwieracz do kapsli, korkociąg i szpikulec. Tato jest zauroczony, otwiera wszystko naraz. Nóż stroszy się jak jeż. Mama, zgodnie z naszymi oczekiwaniami, przebąkuje coś o “trzepniętych", a my troje śmiejemy się w głos.

- Zobaczycie, że nim dzień się skończy, on sobie urżnie palec. Mama martwi się też praniem flanelowej piżamy: flanela tak długo schnie.

Później Tato znika w łazience i wraca w piżamie, w nowym swetrze i w czapce lotniczej na głowie. Staje przed nami uśmiechnięty, otwiera w nożu lupę i zerka przez nią jak przez lorgnon.

Mama oświadcza, że to tylko dowodzi, jak Tato z dnia na dzień popada w starczą demencję i że niedługo skończy tak jak jego syn. Tato mówi, że w pasiastej piżamie czuje się jak clown albo jak więzień. Odśpiewuje kawałek swojej ulubionej piosenki:

Ach, gdybym skrzydła miał anioła,

Więzienny mur przeleciałbym

I w ukochanej mej ramionach

Na resztę życia bym się skrył.

Głos ma nieco drżący, ale silny. Nie fałszuje. Nie pamiętam, żebym słyszał jego śpiew od czasu, kiedy nam w dzieciństwie śpiewał kołysanki na dobranoc.

Tej nocy chcą spać razem. Przenoszę się z pokoju w ogrodzie do sypialni bocznej, a Mama z Tatą idą spać do sypialni na tyłach. Tato uśmiecha się i mówi, że to najpiękniejszy prezent urodzinowy. To już jak na niego bardzo śmiała uwaga; Joan wybucha śmiechem, Tato oblewa się rumieńcem.

W środku nocy budzi mnie brzęczyk koło łóżka. Podnoszę słuchawkę, ale Tato już stoi w drzwiach pokoju; w przyćmionym świetle jego twarz jest kredowobiała.

- Mama mówi, że chyba znowu ma atak, Johnny. Wygląda strasznie.

Wyskakuję z łóżka i pędzę do ich sypialni. Mama jest blada i zlana potem, ale przytomna. Mówi, że czuje straszny ból i ucisk w klatce piersiowej. Płacze. Podaję jej digoxin, ale nie pomaga. Teraz muszę zrobić wszystko to, do czego przygotowałem Tatę. Zostawiam go z Mamą i mówię, żeby krzyczał, gdyby straciła przytomność.

Najpierw dzwonię po karetkę, potem do szpitala, żeby ich uprzedzić o naszym przyjeździe.

Wracam do sypialni. Mama nadal przytomna, ale ma straszliwe bóle. Płacze. Zdaje mi się, że płacze przede wszystkim z rozczarowania i upokorzenia: przecież już prawie się jej udało przestać wierzyć w zawał. No i boi się.

Karetka przyjeżdża w niecałe dziesięć minut. Wchodzą z noszami i z tlenem, natychmiast podłączają Mamie tlen. Pielęgniarz mierzy ciśnienie, kręci głową i mówi, że musimy się spieszyć. Wynosimy Mamę na noszach do karetki; mówię, że pojadę z nimi i pytam Tatę, czy on też chce jechać. Tato odpowiada, że nie, zostanie w domu i będzie się modlił.

Z wirującym pomarańczowym światełkiem na dachu, na sygnale, pędzimy karetką przez czerwone światła Palms. W szpitalu kierujemy się od razu na oddział nagłych wypadków, kładą Mamę na intensywnej terapii. Zostaję w poczekalni izby przyjęć.

Po pół godzinie jakiś młody lekarz schodzi z góry i pyta o mnie. Wyjaśnia, że Mama przechodzi następny zawał, robią, co w ich mocy. Ja tu już nic nie poradzę, powinienem iść do domu. Gdyby zaszły istotne zmiany, będą do mnie telefonować, dodaje lekarz. Czyli gdyby Mama zmarła.

Strasznie chce mi się sikać, idę do toalety. Zerkam w lustro i widzę, że jestem prawie tak blady jak Mama. Do tej chwili nawet nie zdawałem sobie sprawy, że działam w szoku. Poza tym czuję się winny z racji przyjęcia urodzinowego i tego, że pozwoliłem im spać razem. Dałem się Mamie nabrać. Siebie samą też zresztą chyba nabrała. Niezwykle trudno jest określić granice.

Do domu jadę taksówką. Tato czeka w drzwiach. Ciągle w piżamie; miał jednak dość przytomności umysłu, żeby włożyć sweter, a także nową czapkę. Płacę taksówkarzowi i wchodzę do domu.

- Co z nią, Johnny? Jak się czuje?

Tato jest na granicy płaczu, w garści trzyma różaniec.

- Nie jest źle, Tato, nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Położyli ją z powrotem na oddziale intensywnej terapii. Lekarze robią wszystko, co potrzeba. Mają wszystkie urządzenia reanimacyjne.

Odprowadzam Tatę do jego sypialni i pomagam mu położyć się do łóżka. Pod moją nieobecność pościelił je swoim pedantycznym sposobem. Gaszę światło i zamykam drzwi. Już mam dzwonić do Joan, ale hamuję się. Wszystko dzieje się poza nami. Nic tu nie poradzimy, a Joan musi się wysypiać. Czuję się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Wracam do łóżka i jakimś cudem udaje mi się zasnąć.

Nazajutrz rano dzwonię do szpitala: bez zmian. Omawiam sprawę z Tatą. Tato wydaje się być w dobrej formie: żadnych symptomów apatii, tak jak to było za pierwszym razem. Śledzi tok zdarzeń, zgłasza chęć współpracy.

- To, Tato, musi być nauczką dla nas obu. Nie wolno nam jej słuchać. Mama świadomie odrzuca myśl, że jest chora, więc nie możemy jej wierzyć. Musimy ją bronić przed nią samą.

Tato potakuje ruchem głowy.

- Racja, John, za nią trudno nadążyć. Człowiek nigdy nie wie, co ona naprawdę sobie myśli.

Dzwonię do Joan i opowiadam, co się stało. Jest przerażona, ma takie same skrupuły jak ja. Umawiamy się w szpitalu. Tato mówi, że zostanie w domu, posprząta w kuchni i popracuje w oranżerii. Lepiej go nie nadwerężać.

Mama jest pod silnym działaniem leków, wszystkie monitory włączone. Kroplówka, cewnik, cały zakład pracuje na pełnych obrotach, żeby ją utrzymać przy życiu. Pielęgniarki nas pamiętają. Mówią, że doktor Coe badał Mamę i prosi nas do gabinetu.

Schodzimy na dół. Doktor twierdzi, że Mama bez wątpienia przeszła kolejny zawał, ale nie tak poważny jak pierwszy. Pyta, czy przeżyła jakiś wstrząs albo sytuację stresową. Mówię mu o przyjęciu urodzinowym i spaniu razem z Tatą. Kręci głową.

- Musimy z nią bardziej uważać, panie Tremont. Powinien pan dopilnować, żeby nie miała zbyt dużo emocji. Jej serce nie wytrzyma wielu takich napięć.

Po drodze do domu idziemy z Joan na pizzę. Oboje jesteśmy zgnębieni. Próbujemy wymyślić, co tu robić. Nie okiełznamy jej, Tato tym bardziej nie. Proponuję usunąć z domu wszystkie urządzenia do sprzątania, żeby nie miała do nich dostępu. Brudne ubrania będę trzymał pod kluczem w ogrodowej sypialni. To tak jakby chować żyletki przed potencjalnym samobójcą. Joan kręci głową.

- Widzisz, John, my nie możemy jej zabronić żyć własnym życiem. Przynajmniej do tego ma jeszcze prawo.

Nie jestem przekonany. Trudno mi tak po prostu założyć ręce.

Joan mówi, że będzie przychodziła dwa razy na tydzień i za każdym razem spróbuje doprowadzić dom do stanu nieprzyzwoitej czystości. Obiecuję kupić jej szczoteczkę do zębów, żeby mogła szorować szczeliny między deskami podłogi.

Rozmawiamy o moim bilecie: już prawie wyczerpałem limit czterdziestu pięciu dni. Joan mówi, że jeżeli tylko zgodzę się jeszcze zostać, ona i Mario pokryją część kosztów

normalnego biletu powrotnego. Wie, że mnie ciągnie do domu, ale co robić?

Na drugi dzień zabieram Tatę w odwiedziny do Mamy. Mama jest przytomna, ale nadal silnie odurzona lekami. Rozkleja się. Tato też płacze, przerażony jej wyglądem i samopoczuciem. Za pierwszym razem nie oglądał najgorszego. Mama mówi słabym, rwącym się głosem:

- Skoro od jednych głupich urodzin dostaję zawału, to po co mi w ogóle żyć? Nie chcę być całe życie inwalidką i żyć tylko po to, żeby nie umrzeć.

Po chwili wahania wykładam ostatnią kartę atutową:

- Przemawia przez ciebie rozpacz, Mamo. Im więcej tak mówisz i myślisz, tym mniej ufności okazujesz Bogu. Nie dość, że ci to przeszkadza w rekonwalescencji, ale jeszcze narażasz na szwank swoją duszę nieśmiertelną. Poza tym dręczysz Tatę.

Mówiąc to czuję wstręt do siebie, ale sytuacja jest alarmująca. Jeżeli Mama postanowi, że nie chce dłużej żyć, nic na świecie nie zmusi jej do życia.

Tato patrzy na mnie, jakbym był okolicznym rozlepiaczem plakatów, który się nagle zdemaskował jako niebezpieczny przestępca z siekierą w ręku.

- Mówiąc tak, Mamo, popełniasz grzech pychy, obrażasz Boga i jego niezbadane wyroki.

A co mi tam, to na pewno i tak nic nie da, ale warto spróbować. Mama, rozdarta między uporem a zbawieniem, powoli się uspokaja. Wybór ma w końcu niewielki.

Wracamy z Tatą do dawnych zwyczajów. Tato znów nabiera wigoru. Znowu panują między nami kumplowskie układy. Przy Mamie było to ciągłe gonienie w piętkę: człowiek gimnastykował się, jak mógł, żeby ją zadowolić, i ciągle czuł, że nie spełnia oczekiwań.

Przede wszystkim zbudowaliśmy poręcz przy schodach z bocznych drzwi na werandę. Praca dobrymi narzędziami, w dębowym drewnie i na słońcu działa nadzwyczaj kojąco.

Później, po odniesieniu leżaków i zakręceniu deszczownic w ogrodzie za domem, stoimy zapatrzeni w coraz niższe słońce.

- Johnny, a może byśmy tak pojechali nad morze popatrzeć na zachód słońca? Aż podskakuję na taką okazję.

- Niezła myśl, trochę się rozerwiemy.

Tato idzie do domu po marynarkę, a ja zaczynam rozgrzewać samochód. Tato wraca, z kaskami motocyklowymi.

- Nie ma sensu wlec samochodu, John, myślałem, że pojedziemy na motorze.

Wkładamy więc kaski i turlamy się do Venice. Na plaży Tato ściąga buty i podwija spodnie; idziemy samym brzegiem morza. Słońce zachodzi łagodnie, powoli, łuna czerwieni dopiero się zbiera. Morze jest spokojne; rozległe, obłe wały fal. Odpływ. Słońce odbija się na mokrym piasku obmywanym uciekającą wodą koło falochronów.

Mijamy innych spacerowiczów i nielicznych biegaczy po zdrowie. Z każdym wymieniamy uśmiechy i pozdrowienia. Seter irlandzki bawi się i biega z młodą dziewczyną; dziewczyna rzuca mu za falochron patyki, kamienie i muszelki. Magiczna chwila: okazja, żeby zapomnieć, jakie ciężkie potrafi być życie.

Mówimy niewiele. O takich kradzionych radościach, niezasłużonych, nieplanowanych, nie trzeba wiele rozmawiać.

Już prawie siódma, a nie przygotowaliśmy w domu nic na kolację. Proponuję, żebyśmy zjedli w restauracji pod nazwą Buffalo Chips, tuż obok Kurnej Chaty. Właścicielami są ci sami ludzie, panuje tam podobna atmosfera. Właściwie z jednego lokalu do drugiego można przejść korytarzem na zapleczu.

Jedziemy tam, znajduję miejsce do parkowania tuż na wprost wejścia. W Kurnej Chacie już sprawdzają dowody osobiste, bo to sobota wieczór. Młodzież ma z nas pewnie niezłe widowisko: pięćdziesięcioletni wujek na dziesięcioletnim motocyklu, z siedemdziesięciotrzyletnim ojcem na garbie. Dwóch chłopaków podchodzi do nas, kiedy ustawiam motor w stojaku.

- Lepiej sprawdźcie, czy macie przy sobie dowody, tutaj poniżej dwudziestu jeden lat nie wpuszczają.

Tato powoli zdejmuje kask, dalej siedząc okrakiem na motorze. Uśmiecha się.

- Coś ci powiem, synu. Od wielu lat pracuję nad tym, żeby wydorośleć. To już moja czwarta runda w dochodzeniu do pełnoletności, ale dalej nie wiem, jak to się właściwie robi.

Śmiejemy się i podajemy sobie ręce. Chłopcy obiecują przypilnować motor.

Specjalnością zakładu są grzanki, od podobnych do pizzy po stek. Największy rarytas to grzanki z pieczenia wołową. Zamawiamy dwie takie i kwaterkę piwa. Pieczeń podają tu z dobrą porcją chrzanu. Obaj z Tatą przepadamy za chrzanem. Rozmawiamy chwilę o włoskich ulicznych handlarzach chrzanu z Filadelfii.

Publika zachowuje się tak samo swobodnie jak w Kurnej Chacie. Śmiechy, wygłupy, zalecanki. Po jedzeniu przechodzimy tyłami do Kurnej Chaty. Trafiają nam się dwa wysokie stołki przy ścianie, skąd dobrze widać tańczących. Przynoszę jeszcze jedną kwaterkę piwa i zasiadamy w centrum chaosu.

Widzę, że pchają się do nas kontrolerzy dokumentów i bramkarze. Wyławiają i sprawdzają co młodszych klientów. Podchodzą do nas.

- Aaa, mamy was!

To ten wyższy, potężny, ze sterczącymi na boki krzaczastymi wąsami.

- Od razu wiedziałem, że wchodzicie do restauracji tylko po to, żeby się tutaj przemycić.

Uśmiecha się.

- Dobra, obejrzymy twój dowodzik, bracie.

Tato patrzy na niego, uśmiecha się; śmieje się w głos.

- Będziesz nas musiał wsadzić do kozy, synku, nie mamy żadnych dokumentów. Ja już nie prowadzę samochodu, a ten tutaj mój synalek mieszka na stałe w Paryżu, to jest we Francji, wiesz?

Jak to przyjemnie słyszeć Tatę przemawiającego z taką dumą i godnością.

Śmieją się i idą dalej. Powoli dopijamy piwo. Zbliża się jedenasta i dochodzę do wniosku, że pora ruszać do domu. Parę osób dowiedziało się o motocyklu i wychodzą popatrzeć na nasz odjazd. Pomagam Tacie dopiąć kask, bo trzęsą mu się ręce. Zapinam swój,

kopię starter, silnik zaskakuje za pierwszym razem.

Jedziemy w chłodzie, na luzie. Tato jest coraz lepszym pasażerem: pochyla się na zakrętach, nie szamocze się ze mną.

Kiedy nazajutrz rano przychodzi na śniadanie, widzę, że znów się nie ogolił. Nic nie mówię. Około drugiej będziemy u Mamy, a do tej pory to już naprawdę będzie widać. Tato zmywa, ja zamiatam. Potem idziemy sprzątać jego warsztat.

Nigdzie nie widziałem takich świetnych narzędzi jak u Taty. Każde ma swoje miejsce na ścianie, z wymalowaną sylwetą, żeby było widać, czego brak. Narzędzia, które nie wiszą na ścianach, spoczywają w metalowych kasetach z rozsuwanymi szufladkami. Stara skrzynia ciesielska Taty też tu jest, wszystko w dawnym porządku - i młot Stanleya na drewnianym trzonku, i trzy piły firmy Deitzen: dwie poprzeczne, jedna podłużna. Tato zawsze lubił narzędzia i umiał się nimi posługiwać. Narzędzia Taty są same w sobie biografią i historią.

W warsztacie pytam Tatę, co zamierza zrobić z Mamą i z brodą. Numer z maską chirurgiczną drugi raz nie przejdzie. Tato mówi, że po prostu powie Mamie, że zapuszcza brodę.

- Do licha ciężkiego, John, jak ona sobie obcina i farbuje włosy nie pytając mnie o zdanie, to dlaczego ja sobie nie mam zapuścić brody, skoro tak mi się podoba?

- Ale Tato, ona tego nie przeżyje.

Tato rzuca mi znad stołu uważne spojrzenie.

- Naprawdę tak uważasz, Johnny? Nie chciałbym mieć jej na sumieniu.

Mówi to takim tonem, jakby całą sprawę dokładnie przemyślał i jednak, mimo wszystko, postanowił jeszcze Mamę oszczędzić.

- No dobrze, wobec tego się ogolę. Powiem jej o tym później, jak będzie w lepszej formie.

Potem wracamy do domu i Tato goli się przed wyjściem do szpitala.

Rozdział 7

I dalej wleczemy się średnio pięćdziesiąt pięć na godzinę. Tacie się chyba zdaje, że jest we Francji i prowadzi tę swoją blaszaną puszkę renault 4L.

Właściwie po cholerę ta Ameryka jest taka duża. Powinna się podzielić na kilka państw. Wtedy moglibyśmy mieć państwo surowych zasad dla purytanów i nadętych nowoangielskich liberałów na pomocnym wschodzie, gdzieś pośrodku byłaby kraina osiadłych rolników, na południu można by urządzić staromodne państwo o ustroju niewolniczym dla ludzi, którzy na to lecą, Teksas byłby państwem militarno-faszystowskim, a Kalifornia razem z częścią Oregonu stanowiłaby państwo zabawy i rozrywki.

Sądząc po mapie, prawie wcale się nie posuwamy. Tato pokazuje palcem miasto o nazwie Glenwood Springs i oświadcza, że tam dobrze będzie dzisiaj zanocować. Jutro mamy przejeżdżać przez Vail, duży ośrodek narciarski, gdzie dekował się Ford w czasach, gdy powszechnie uchodził za prezydenta. To piękna okolica: różowe złomy skalne ze smugami fioletu, nawet trochę skały granitowej, prawie czarnej.

Przez resztę popołudnia piłujemy naprawdę zdrowo. Dochodzi do tego, że Tato raz nawet przekracza sześćdziesiątkę.

Znowu zaczynam myśleć o uczelni, może przygotowuję się w ten sposób do wielkiej rozmowy, którą musi zakończyć nokaut i wyniesienie z ringu.

UCSC - Uniwersytet Kalifornijski. My nazwaliśmy go “Usia-siusia". Wszyscy studenci byli tacy nieciekawi, banalni, szajbusowato-naiwni. A równocześnie ciągle natykałem się na czarne pasy karate, mistrzów łucznictwa, mistrzów szachowych. Z jednym frajerem, który był ze mną w tej samej grupie na biologii, grałem raz w tenisa: walił takie ostre piłki, że nawet nie dawałem rady ich dotknąć. Każdy by się nabawił trwałego kompleksu niższości.

Za to na zajęciach, myślałem sobie, biję ich o głowę. Ja jeden zadaję inteligentne pytania, wykładowcy zwracają się do mnie. Ale kiedy przyszło do egzaminów, zostałem daleko w tyle. Ciężko wygrać z tymi kalifornijskimi robotami, mało brakowało, a oblałbym pierwsze ćwierćrocze. Nie miałem pojęcia, jak tu trzeba zasuwać. W tej rozleniwionej, nonszalanckiej Kalifornii ludzie kują jak maniacy.

I dobrze wiedzą, na czym polega zdawanie egzaminu. Specjalizowali się w tym. Tymi bzdurami, których prawdopodobnie i tak nie byłoby w testach, w ogóle się nie przejmowali. Mieli stuprocentowe wyczucie tego, o co ich będą pytać. I uczyli się jedynie tego, nie myśląc specjalnie, czego się uczą, a potem recytowali jak z nut.

Z początku starałem się każdą rzecz zrozumieć. Zadawałem pytania, analizowałem. Ale na Usiasiusia nie ma miejsca na pytania i rozumowanie. Nie ma o tym mowy! Cały potencjał umysłowy idzie na zdawanie egzaminów. Może i co nieco potem zostaje w głowie, kiedy się już resztę wyleje - jak w garnku do gotowania.

Wszystko mi jedno, ja już mam dosyć. Nie wiem, co ten cały sztuczny chów ma wspólnego z życiem. Na co człowiekowi świstek z napisem, że studiował, lizał dupy

profesorom i opierdalał się przez cztery, sześć czy osiem lat?

Mogę dalej mówić, że studiuję. Kto mnie sprawdzi? Powiem, że skończyłem studia, powiem, że mam stopień doktora - nikt się nie pokapuje. Nie zadzwonią tam przecież, żeby sprawdzać.

Zwykle kiedy się idzie do pracy, trzeba wypełnić kwestionariusz zatrudnienia. Będę pisał, że mam tytuł naukowy - dwa tytuły naukowe, a co, jak szaleć to szaleć. Mam tytuł doktora fizyki i jeszcze tytuł doktora chemii.

Nie ma na świecie wielu ludzi, którzy by potrafili zadać inteligentne pytanie z tych dziedzin. Nawet mało który fizyk by mnie zagiął. Oni tak wcześnie wpuszczają się w wąskie specjalizacje, że jeden fizyk może nie mieć zielonego pojęcia o sprawach, którymi się zajmuje drugi. Jeden może na przykład zajmować się szczegółowym badaniem mikroskopijnego odcinka szczeliny powstałej przy odpadaniu kwarka ze ścianki neutronu i za diabła nie znać się na tym, co robi fizyk od optyki. Przy tym ani jeden, ani drugi, nie pamięta już nic z fizyki ogólnej. W razie potrzeby powiem po prostu - “To nie moja dziedzina". Poświęcę trzy dni, wyryję się na pamięć dwudziestu dowodów - i jestem w domu.

Skombinuję porządną drukarkę, podrobię sobie dyplom jak malowanie i zmyślę garść nazwisk, żeby go nimi podpisać. Rupert Crutchins, Part Faley, i tak dalej. Albo zaprzyjaźnię się z kimś, kto pracuje w sekretariacie uczelnianym, poproszę, żeby mi przysłał zestaw fotokopii bezimiennych papierów i wykazów stopni, postawię sobie średnią 4.0; zrobię tak, żeby to wywierało wrażenie - nie będzie na mnie mocnych.

Pewnie i tak skończę jako robotnik w przemyśle: pomogę firmie Exxon zarobić kolejny miliard albo dwa - co mi za różnica.

Jakie to wszystko głupie. Przecież jak coś umiesz, to umiesz

- nie umiesz, to nie umiesz. Co ma do tego szkoła i papierki?

W Oregonie sprawdziłem się jako drwal. Podałem nazwę pewnego zakładu mówiąc, że tam poprzednio pracowałem. Nikt nie sprawdzał.

Oczywiście, że przez kilka pierwszych dni dawałem plamę za plamą: pewnie myśleli, że mają do czynienia z kompletnym idiotą. Ale minął pierwszy tydzień i pracowałem nie gorzej od innych.

Kłopot w tym, że jest to cholernie niebezpieczne zajęcie. Bądź co bądź zarabia się te osiem dolców na godzinę. W trzecim tygodniu oberwałem tak, że aż straciłem przytomność. Kiedy zapora się usunie i kłody zaczynają się toczyć, trzeba natychmiast wiać spod spodu, bo zmiażdżą na placek. W dwa dni później znowu mnie powaliło. Poszedłem się zwolnić. Ale że byłem już wprawnym pracownikiem, zaproponowali mi podwyższenie stawki, jeżeli zostanę.

Ludziom można wcisnąć każdy kit. W Portland pracowałem jako szkutnik. Powiedziałem im, że poprzednio budowałem łodzie w Los Angeles. Zakład szkutniczy w L. A. znalazłem w książce telefonicznej w bibliotece.

W życiu nie robiłem łodzi, nawet z papieru. Na sam widok łódki dostaję morskiej choroby. Ale otrzymałem tę pracę. Kazali mi piaskować mahoniowe klocki i wygładzać papierem ściernym szklane włókno. Potem awansowałem na wycinacza płaskich form ze sklejki za pomocą laubzegi. W każdym z tych zajęć człowiek już po godzinie wie wszystko,

co musi wiedzieć.

Nie rozumiem tylko, jak można przy takiej robocie spędzić całe życie. Nic dziwnego, że ludzie kończą jako sklerotycy podłączeni do rurki z glukozą.

Do Glenwood Springs docieramy przed zmierzchem. Rockies wyrastają przed nami jak ściana. Kiedy się za nie wyjedzie, słońce wygląda, jakby wpadło w pułapkę po tamtej stronie gór - jakby po przeciwnej stronie, aż do Wschodniego Wybrzeża, było już całkiem ciemno.

Trafiamy na hotel wbudowany w podnóże góry. To staromodny prawdziwy hotel, nie motel. Hall z powycieranymi chodnikami, dębowy kontuar recepcji i dzwonek na służbę. Jest nawet regularnych rozmiarów stół bilardowy. Cena mniej więcej ta sama co w motelu, więc postanawiamy zaszaleć. Chyba nigdy jeszcze nie spałem w tradycyjnym amerykańskim hotelu.

Pokój jest staromodny, małżeńskie łoże i grube, żeliwne kaloryfery na parę wodną pod oknami. W ostre mrozy musi tu być zimno jak w psiarni. W łazience stoi autentyczna wanna na kocich łapach. Kąpiemy się jeden po drugim, ciepłej wody ile dusza zapragnie. Zwykle myję się pod prysznicem, ale tu nie ma prysznica. Napełniam wannę aż po samą krawędź, leżę unosząc się w wodzie. Napuszczam wody tak gorącej, jak tylko mogę wytrzymać, a potem dochładzam ją stopniowo, aż robi się całkiem zimna.

Wysycham przy oknie, kiedy Tato bierze kąpiel. Sądząc po odgłosach, nalał wody po kostki, cała kąpiel trwa góra pięć minut. On się zawsze ze wszystkim tak spieszy.

Na dole wypożyczamy kije bilardowe. Grywałem trochę w klubie w Cowell, kiedy jeszcze byłem na studiach: wybitny nie jestem, ale gram przyzwoicie. Pukamy na zmianę. Tato przyjmuje niesamowite pozy, jakby chciał tym cholernym kijem przedźgać stół na wylot, ale trafia celnie. Ja przy nim jestem zero. Gdzie on się, u diabła, tak nauczył grać w bilard? Może w wojsku.

Obaj nie możemy już patrzeć na pizzę. Naprzeciwko hotelu jest pizzeria, ale po drugiej strome rzeki odkrywamy restaurację specjalizującą się w stekach. Zjadamy po kotlecie ze skwarkami i kukurydzą w kolbach. W restauracjach rzadko podają kukurydzę w kolbach. Za to rachunek opiewa na prawie dwanaście dolarów. I jak tu wyżyć przy takich cenach jedzenia?

Kiedy wracamy do hotelu, Tato ledwie patrzy na oczy. Wkłada tę swoją idiotyczną dreso-piżamę i pakuje się do łóżka. Zasypia natychmiast, chrapiąc jak parowóz, aż go muszę przewrócić na bok.

Ze stolika w hallu ściągnąłem pismo “Mad"; wyciągam się na drugim łóżku. Włączam telewizor w rogu, bardzo cicho. Jest tylko jeden kanał; dają film kowbojski z kretyńską kowbojską muzyką. Chyba bym zwariował, gdyby mi tu przyszło mieszkać na stałe. Już po dziesięciu minutach nudzę się jak mops: tego “Mada" też już czytałem dwa lata temu. Poszedłbym gdzieś na miasto, nad rzekę, ale za bardzo jestem zmęczony.

Chciałbym się w końcu dowiedzieć, co ja, do cholery, mam ze sobą robić?

Rozdział 8

Następnego dnia, akurat kiedy robię śniadanie w kuchni, przychodzi Tato, jeszcze w piżamie.

- Johnny, coś ze mną nie w porządku, mógłbyś spojrzeć do łazienki?

Idę zobaczyć, o co chodzi, a tu cała muszla sedesowa pełna krwi! Odwracam się do Taty.

- Co się stało?

Patrzę, czy się przypadkiem gdzieś nie skaleczył. Tato przerażony wpatruje się w sedes.

- Nie wiem. Sikam, patrzę, leci krew.

Wpadam w panikę. Duże ilości krwi zawsze wywołują u mnie nadprodukcję adrenaliny.

- Cholera, Tato, najlepiej zaraz jedźmy z tym do lekarza. Może coś się tam w środku popsuło od tych wszystkich kłopotów, i tak dalej.

Patrzy mi w oczy.

- Nie uważasz, że to może być rak albo coś takiego, prawda?

Tato śmiertelnie obawia się raka. Jego ojciec umarł w strasznych bólach na raka wątroby, dwie siostry zmarły na raka piersi - to chyba u nich rodzinne.

- Na pewno nie, Tato. Ale żeby się niepotrzebnie nie denerwować, zapiszemy cię do urologa - i tak po południu wybieramy się przecież do Mamy.

Mama wydaje się jakaś bardziej pogodzona z losem. Obiecuje, że będzie słuchała lekarza i naprawdę zacznie na siebie uważać. Jest zadowolona, że zrobiłem jej wtedy ten wykład: nie myślała o całej sprawie pod tym kątem.

- A poza tym, Jacky, ja przecież muszę żyć - ze względu na niego.

Po odwiedzinach u Mamy idę z Tatą do kliniki urologicznej. Mamie nic nie mówimy. Dają nam buteleczkę i kierują do łazienki. Pokazuję Tacie, jak ma nasikać do butelki, po czym gumką mocuję karteczkę. Tato jest zdenerwowany, ale obiecuje mi, że zrobi, co trzeba.

Po paru minutach wychodzi uśmiechnięty: butelka jest pełna moczu. Mocz ma kolor różowawy, ale nie wygląda tak źle jak rano w sedesie. Pielęgniarka ogląda butelkę i kieruje nas natychmiast na ostry dyżur.

Nazajutrz wiozę Tatę do lekarza na dziewiątą. Zostaję z nim, nie idę do Mamy. Nie rozerwę się przecież, a Tato jest chwilowo ważniejszy. Tato się denerwuje, jest blady, mało mówi. Po dziesięciu minutach z gabinetu wychodzi potężny, przystojny Murzyn. Mówi, że teraz pan doktor przyjmie Tatę. Pytam, czy ja też mogę wejść. Spogląda na Tatę i kiwa głową.

Doktor ma na nazwisko Santana. Mówi, że trzeba będzie zrobić cystoskopię. Niestety, wiem, co to za sztuczka: piekielny ból. Pytam, czy naprawdę nie dałoby się tego uniknąć.

- To podstawowe badanie. Dopóki nie zajrzymy do wnętrza pęcherza, nie da się stwierdzić nic na pewno.

Tato jest tak zdenerwowany, że drży na całym ciele. Wychodzimy do poczekalni, gdzie ma po nas przyjść Sam - tak się nazywa ten potężny Murzyn. Tato chce wiedzieć, co go czeka.

- To naprawdę nic takiego, Tato. Wsuną ci małą cienką rurkę w otwór na końcu penisa - przez tę rurkę zajrzą do środka.

- Czyli tam, którędy sikam?

- No właśnie. Na końcu tej rurki jest maleńka lampka, dzięki której można zajrzeć do pęcherza i stwierdzić, co się tam dzieje.

- To musi strasznie boleć, Johnny!

- Tak, to boli. Ale nie ma innego wyjścia, trzeba zrobić badanie.

Wychodzi Sam, każe nam przyjść jutro na ósmą rano. Od szóstej wieczorem Tato ma nic nie jeść.

Zabieram go prosto do domu. W tym stanie absolutnie nie możemy pokazać się Mamie, a boję się zostawić Tatę samego. Jest z każdą chwilą coraz bardziej roztrzęsiony.

W domu po parę razy na godzinę pyta, kiedy jedziemy na badanie. W kółko czyta proste wskazania, które dał mu na karcie Sam. Bardzo chce wszystko zrobić, jak należy, a jednocześnie umiera ze strachu. Ja sam staję się pomału kłębkiem nerwów. Za długo już jestem z dala od własnego życia i brak mi codziennego wsparcia Vron.

Dzwonię do Marty i chwilę z nią rozmawiam, ale to nie pomaga. Już, już mam ją prosić, żeby odwiedziła Mamę, ale przecież wyszłaby z tego tylko jedna wielka katastrofa.

Skoro tylko Tato dowiedział się, że ma nic nie jeść, robi się głodny jak wilk. Czuję, że w tej sytuacji nie powinienem przy nim jeść, więc też chodzę głodny. Jak dwa zgłodniałe wilki buszujemy po domu, co dziesięć minut zerkając do lodówki.

Wyciągam Tatę z łóżka wcześnie, bez śniadania i pędzimy do szpitala. Sam już czeka. Zabiera Tatę, żeby go przygotować do badania. Ja idę do doktora Santany. Wyjaśniam mu, że ojciec bardzo boi się raka. Proszę, żeby, jeżeli się okaże, że to coś poważnego, rozmawiał z Tatą bardzo ostrożnie. Santana ogląda zdjęcia rentgenowskie i zapewnia mnie, że dobrze wie, jak postępować w takich przypadkach. Wychodzę i siadam w poczekalni. Sam z Tatą przechodzą do ambulatorium. Pytam Sama, czy podczas badania mam być przy Tacie, ale on uśmiecha się sympatycznie i mówi, że nie sądzi, żeby to było konieczne. Tato jest spokojniejszy; pomimo uprzedzeń rasowych oddał się w ręce Sama. Uznał jego naturalny autorytet. Autorytet Sama bierze się z jego prezencji.

Doktor Santana wychodzi do mnie, kiedy Sama i Taty już nie ma. Pytam, co jego zdaniem Tacie dolega. Doktor przejeżdża otwartą dłonią po włosach.

- No, wie pan, tak może się objawiać wiele schorzeń; podejrzewam niewielkie guzki w pęcherzu. Pytanie, czy są złośliwe.

- Po cystoskopii będzie pan mógł to stwierdzić?

- Właściwie też nie, ale będę wiedział, czy trzeba je wycinać, czy nie. Krwawienie niezbyt dobrze rokuje. Powtarzam raz jeszcze:

- Bardzo pana proszę, doktorze, jakakolwiek będzie pańska diagnoza, proszę to ojcu

podać bardzo delikatnie. On się bardzo przejmuje. To człowiek niezwykle wstydliwy: już samo to, że ktoś czyni zabiegi wokół jego penisa, jest dla niego wielkim szokiem.

- Proszę się nie martwić, panie Tremont, jesteśmy bardzo ostrożni, szczególnie ze starszymi pacjentami.

Wchodzi tam, gdzie jest Tato. Dalej siedzę w poczekalni. Słyszę Tatę przez drzwi. Próbuje się powstrzymać, ale dochodzą mnie jego bolesne postękiwania. Cystoskopia to nie przelewki. Po jakimś kwadransie Sam i Santana wychodzą z gabinetu. Sam daje mi znak ręką i mówi, że teraz mogę wejść.

Tato jest bladozielony na twarzy. Oczy zaszły mu łzami. Siedzi na krawędzi stołu Gurneya.

- Do licha, Johnny, to naprawdę boli.

- Wiem, Tato, sam to kiedyś miałem.

- W wojsku?

- Nie, później. Robili mi to w Niemczech, kiedy tam mieszkaliśmy. Wtedy myślałem, że to Niemcy chcą się na mnie zemścić.

- Wiesz, Johnny, sam mam nadzieję, że nie będą mi tego więcej robić. Drugi raz bym nie przeżył.

Naciąga spodenki i upycha penis, owinięty kawałkiem gazy; widać krew. W miarę jak się ubiera, podaję mu kolejne rzeczy.

Kiedy dopinam Tacie koszulę, wchodzi znowu doktor Santana. W ręku trzyma przenośną deszczułkę do notowania.

- No, panie Trement, trzeba się będzie tym zająć.

Tato patrzy na Santanę, przenosi wzrok na mnie, głos mu drży:

- Co to znaczy “zająć", Johnny? O czym on mówi? Myślałem, że właśnie skończył się zajmować.

Po czym Tato kieruje się do wyjścia.

- To znaczy, że właśnie zapisuję pana na zabieg chirurgiczny, panie Tremont.

Stojąc za plecami Taty, daję Santanie rozpaczliwe znaki, ale on mnie ignoruje. Tato szuka wzrokiem otuchy, więc uśmiecham się do niego na siłę. O Jezu, jak trudno się uśmiechnąć, kiedy człowiek odchodzi od zmysłów ze strachu. Santana mówi dalej:

- Tak, okazało się, że ma pan tam niewielkie guzki, które będziemy musieli usunąć. Dostaniemy się do nich przez kanał moczowy, tak jak dzisiaj. Właściwie trudno to nazwać operacją. Proszę się nie bać, panie Tremont, to nic poważnego.

Dobre sobie. Proszę się nie bać. Tato już prawie nie żyje ze strachu. Oklapł wewnętrznie, wyraźnie pogrąża się w głęboki szok. Ten Santana opuścił chyba wszystkie wykłady z “duchowej pielęgnacji chorego".

Santana uśmiecha się i wychodzi. Tato stoi jak wryty, nic nie mówi. Jak on bezbronnie wygląda...

- Czy on chciał przez to powiedzieć, że ja mam raka, Johnny? Guzki. To brzmi jak rak.

Śmieję się, jakbym nic głupszego w życiu nie słyszał.

- Coś ty, Tato! Masa ludzi żyje z guzkami i dobrze. On te twoje chce wyciąć tylko na wszelki wypadek.

Myślę tak szybko, jak się da. Chciałbym go uspokoić, natchnąć pewnością siebie, przechytrzyć, postawić na nogi.

- To tylko niewielkie cysty, Tato, takie same jak Mama miała już sto razy. Dlatego badanie nazywa się cystoskopia. Gdybyś miał raka, już by cię stąd dzisiaj nie wypuścili, natychmiast trzeba by było ciąć i operować.

O Boże, żal bierze, jak on na mnie patrzy: jak bardzo chce wierzyć, jak bardzo się boi. Kończę go ubierać; ręce tak mu drżą, że nie jest w stanie sam zawiązać butów.

Idziemy do gabinetu Santany. Tato siada, a ja staję za oparciem jego krzesła. Santana siedzi przy biurku, ciągle jeszcze ogląda rentgeny. Próbuję pochwycić jego spojrzenie, ale bez skutku.

W końcu podnosi wzrok i mówi:

- Załatwione, panie Tremont, zapisałem pana na dziesiątego marca, trzeba się za to wziąć jak najszybciej.

To za jakieś dwa tygodnie. Tato siedzi, kiwa głową. Znowu przemawia do niego szef, a co powie - to święte. Mimo śmiertelnego przerażenia, Tato kiwa głową, uśmiecha się, zasłania usta dłonią - całe przedstawienie.

Mam ochotę pomówić z Santaną o jego gruboskórności, ale jeszcze silniejsza jest potrzeba jak najszybszego wyprowadzenia Taty ze szpitala. To potworne, że po raz drugi uciekamy nie widząc się z Mamą, ale Mama natychmiast by Tatę przejrzała. Tylko tego jej potrzeba.

I co ja teraz mam robić? Przede wszystkim chcę pomówić z Joan. Najpierw jednak pomogę Tacie trochę się uspokoić. Zabieram go do domu, nalewam nam obu po szklance muszkatela. Włączam teleturniej. Tato siedzi w bujaku, nie patrzy na telewizję.

- Johnny, powiedz, ale tak z ręką na sercu: myślisz, że to coś poważnego?

- Przecież gdyby było poważne, Tato, nie czekaliby dwa tygodnie, prawda? Na pewno nie. Masz zwyczajną głupią cystę. Sam wiesz, ile takich cyst wycięli Mamie. To nic wielkiego. Przestań się martwić.

Dobrze, że przynajmniej mnie słucha.

- Aha, cysta, zwyczajna cysta.

Tak trzymać.

- No właśnie, zwyczajna cysta, nie ma się czym przejmować.

Łżę jak pies. Przecież nic nie wiem: to może być wszystko, ale nie ma sensu, żeby się przez dwa tygodnie zadręczał.

Próbujemy oglądać telewizję. Ludzie siedzą jedni nad drugimi w czymś, co przypomina wielką, trójwymiarową planszę do gry w kółko i krzyżyk. Kabinki zapalają się na zmianę i ludzie próbują pokonać jedni drugich w odpowiadaniu na pytania. Tato mamrocze, właściwie sam do siebie.

- To tylko cysta, nic takiego. Nie ma się czym przejmować, tylko cysta.

Chwilami odwraca głowę i patrzy przez okno na samochód, a mnie się zdaje, że widzi

tam coś więcej. Potem odwraca się do mnie z uśmiechem.

- To tylko cysta. Nie ma się czym przejmować. Głupstwo.

Szkoda, że ten zakuty łeb, Santana, nie może tu teraz przyjść i zobaczyć, co się dzieje z Tatą. Powtarzam kłamstwo o tym, że cystoskopia to badanie wykrywające cysty. Tak naprawdę to nie wiem, skąd się wzięła nazwa cystoskopia, ale bardzo dobrze się składa, że akurat tak się nazywa.

W końcu Tato zaczyna się pomału odprężać, kilka razy nawet całkiem naturalnie się uśmiecha. Idę na całość i na kolację smażę dwa wielkie schaboszczaki. Do tego po piwie, później kawa. Zajadamy, aż nam się uszy trzęsą, Tato jest zachwycony. Już wraca do siebie, odzyskuje wiarę we własne siły, nadrabia straty. Próbujemy wieść męską rozmowę, przynajmniej na tyle, na ile to w tej chwili możliwe. Z Tatą to ciężka sprawa. Nawet nie dlatego, że on jest ojcem, a ja synem - po prostu miał skromne doświadczenia.

Wkrótce po kolacji Tato kładzie się do łóżka; jest wykończony. Ja siadam w salonie i włączam telewizor. Trafiam na stary film, który naprawdę mi się podoba, “Stało się nocą" z Clarkiem Gable i Claudette Colbert. Możliwe, że to najbardziej romantyczny film w historii kina.

Potrzebuję kobiecej czułości, miłości. Tęsknię, nie z nie zaspokojonego pragnienia - naprawdę tęsknię. W byciu z kobietą jest coś szczególnego, wspólnota najbardziej naturalnej części życia. Już ponad miesiąc śpię sam, nie mam się z kim dzielić, po prostu sam w pustym łóżku.

Zasypiam w bujanym fotelu, budzę się o brzasku. Nawet nie zrzuciłem butów. To do mnie niepodobne. Biorę prysznic. Potem starannie wycieram ściany i szoruję wannę do ostatniej plamki. Tak to jest, kiedy się przestaje z Mamą. Człowiek przez cały czas pilnuje, żeby było starannie. Oto cała historia mojego dzieciństwa: ciągłe starania o to, żeby o włos uniknąć reprymendy.

Zaklinam Tatę, żeby Mamie nie wspominał ani słowem o swojej operacji; ja sam to zrobię, delikatnie, w ostatniej chwili. Powiemy jej, że Tacie usuwają cystę, ale dopiero jak będzie miał iść do szpitala.

Kiedy Mama wraca do domu, lokuję ją znowu w środkowej sypialni. Wypożyczyłem specjalny materac z przymontowaną pompką: podobno zapobiega powstawaniu odleżyn. Wypożyczyłem też aparat tlenowy, na wszelki wypadek. Tym razem jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Mam własny ciśnieniomierz, potrafię zmierzyć tętno i temperaturę. Nie jest to może oddział intensywnej terapii, ale jego bliski domowy odpowiednik. Po cichu odczytuję Mamie domowy dekret o zamieszkach: żadnych wyskoków. Tym razem wydaje się skłonna do posłuszeństwa.

Mama wpadła na szatański pomysł urządzenia potrójnej rocznicy ślubu. Przypuszczam, że wymyśliła to leżąc w szpitalu. Złote wesele rodziców odbyło się co prawda trzy lata temu, Joan i Mario zaliczyli srebrne w styczniu tego roku, a dwudziesta piąta rocznica mojego ślubu z Vron wypada w czerwcu, ale co to szkodzi - Mama kategorycznie postanowiła urządzić wielki jubel, póki jestem u nich, mimo że Vron przecież nie przyjedzie z

Paryża. Joan twierdzi, że to może Mamie poprawić samopoczucie - taka akcja jest bardzo w jej stylu. Na jubileusz pięćdziesięciolecia Joan uszyła Mamie suknię ślubną. Odbyła się msza, ponowne ślubowanie, pełny zestaw atrakcji. Nie przyjechałem wtedy, uznając, że to wyrzucanie pieniędzy, więc teraz mam poczucie winy i popieram projekt.

Na dwa dni przed operacją Taty urządzamy bal przebierańców. Mario, Tato i ja ubieramy się w garnitury, białe koszule, krawaty. Joan i Mama wkładają ślubne suknie. Joan upiekła trzypiętrowy tort i przybrała go zachowanymi jeszcze z własnego wesela figurkami panny młodej i pana młodego. Reszta dekoracji też jest z jej wesela: składane srebrne dzwoneczki i serpentyny z białej bibułki. Dekorujemy jadalnię.

Mario i ja na zmianę trzaskamy zdjęcia Polaroidem. Uwieczniamy wzajemne wpychanie sobie tortu do ust. Cały czas udajemy, że Vron też jest z nami. Joan i Vron wychodziły za mąż w tej samej sukni. Nasz ślub odbył się w pięć miesięcy po weselu Joan i Maria, dzięki czemu Vron zaoszczędziła na sukience.

Joan oczywiście zachowała tę suknię i właśnie ma ją teraz na sobie. Na chwilę wypada z roli i pakuje mi do ust kawał tortu weselnego. Ponieważ fotografujemy Polaroidem, możemy natychmiast obejrzeć gotowe zdjęcia. Wygląda, jakby Vron tylko przypadkiem się na nich nie znalazła. Na jednym zdjęciu Mario sfotografował mnie z wyciągniętym w bok ramieniem, jakbym nim obejmował plecy Vron. Mario mówi, że wykadruje rękę i nikt się nie pozna, ale paralaksy nie skoryguje, więc do dziś wyglądam na tym zdjęciu, jakbym obejmował niewidzialnego człowieka.

Wszystko to odbywa się we wtorek wieczorem, a Tato ma być operowany w czwartek. Kiedy teraz wspominam, widzę całą niesamowitość sytuacji: może Mama miała jakieś przeczucia. Nikt by nie poznał po zdjęciach, że dosłownie znosiliśmy Mamę z łóżka, robiliśmy parę ujęć i kładliśmy ją z powrotem w ślubnej sukni i tak dalej. Wolę nie myśleć, co by na to powiedział doktor Coe.

Mimo moich zastrzeżeń, Tato i Mama śpią tej nocy razem w małżeńskim łóżku. Tato przyrzeka, że będzie się zachowywał jak należy; z chęcią założyłbym mu knebel i kaftan bezpieczeństwa. Oczywiście okazuje się, że Mama wszystko już wie o operacji Taty: nie utrzymał języka za zębami. Przypuszczam, że jeżeli się przez pięćdziesiąt lat nie miało przed sobą nawzajem żadnych tajemnic, to trudno jest nagle utrzymać sekret.

Mama domaga się wyjaśnień. Mówię, że Tato ma cystę, że w moczu pojawiła się krew, więc zawiozłem go do szpitala. Zapewniam ją, że to nic strasznego, tylko cysta na ścianie pęcherza, którą wykryto podczas cystoskopii.

Mama głośno wsysa powietrze przez zęby, kiedy wymieniam nazwę cystoskopia: wie coś na ten temat. Odkąd mnie urodziła, ma wieczne kłopoty z pęcherzem. Tego mi nigdy nie daruje: “popsułem ją". Pamiętam z dzieciństwa, że kiedy mi to mówiła, czułem się winny, żałowałem, że to zrobiłem. Setki razy nasłuchałem się o tym, jaki mam wielki łeb. Oglądałem się w lustrze i nabierałem coraz większej pewności, że mam dwa razy większą głowę niż każdy inny człowiek. Istotnie, noszę kapelusz rozmiar 7 i pół, ale to przecież jeszcze nie makrocefalia.

Wskutek porodu Mamie opuścił się pęcherz i trzeba go było chirurgicznie podciągać. Zawsze był mały, a teraz jest do tego stale napięty; Mama regularnie pobiera zabiegi rozciągania pęcherza; to boli.

Moje narodziny były dla Mamy tak okropnym przeżyciem, że po powrocie do domu oświadczyła ojcu, że więcej dzieci mieć nie będzie. Starczy jedno, ona już dostała za swoje. Ojciec ma ją od tej chwili zostawić w spokoju. Ponieważ są bogobojnymi katolikami, o środkach antykoncepcyjnych nie ma mowy.

Z początku Tato ulega: udało jej się napędzić mu potwornego stracha. Rezygnują ze współżycia na prawie pół roku. Mieszkali wówczas w jednym domu z wujem Edem i ciotką Mary. Urodziłem się w pierwszych dniach listopada, toteż przez całą zimę Mama wieszała na dworze pieluchy, które zamarzały na sznurze, co było jej metodą zwalczania wysypki niemowlęcej. Przez pierwsze trzy miesiące życia miałem stale kolki gazowe.

Ale Tato jest normalnym facetem o lekko nadnormalnych potrzebach seksualnych. Uświadomiłem to sobie dopiero niedawno. Po sześciu miesiącach wraca z pracy i wręcza Mamie jakiś przedmiot owinięty w papier. Jest to pięknie rzeźbiony spinacz do bielizny, nie sprężynowy, tylko starego typu, na wcisk. Tato ma smykałkę do rzeźbienia w drewnie: przerobił ten spinacz na ludzika, z rękami, dłońmi, palcami, wszystkim co potrzeba. Na dołączonej karteczce napisane jest: “Oto mężczyzna, jakiego ci potrzeba. To nie ja".

Mama zrozumiała aluzję. Przez całe życie nie rozstawała się ze spinaczem, a karteczkę trzyma do dziś w cedrowej skrzynce ze skarbami, razem z dziecięcymi książeczkami zdrowia, metrykami urodzin, szpitalnymi opaskami z rączek dzieci, obligacjami wojennymi, obligacjami na rzecz obrony kraju, obligacjami oszczędnościowymi.

Ale Mama dalej się boi, więc wyłudza środek antykoncepcyjny od niejakiej pani Hunt z drugiego końca ulicy. Dlaczego takie coś ma być w zgodzie z naukami Kościoła, a prezerwatywa nie - nie mam pojęcia. Inna rzecz, że Mama miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Ale cały czas karmi mnie piersią, więc pewnie i tak nie zaszłaby w ciążę.

Antykoncepcja pani Hunt polega na zażywaniu co rano łyżeczki środka wybielającego. Po kilku dniach tej terapii robię się zielony i cherlawy; jak się czuje Mama - nie wiem. Kiedy dostaję konwulsji, Mama pędzi ze mną do lekarza. Lekarz ani w ząb nie może dojść przyczyny. Pyta, czym Mama mnie karmi. Mama mówi, że głównie piersią, tylko trochę dokarmia odżywkami dla dzieci. Doktor postanawia dać pokarm do badania. Pyta, czym się ostatnio odżywiała i czy przypadkiem nie piła dużo alkoholu. Mama w końcu przyznaje się, że pociągała środek wybielający. Założę się, że lekarz spadł z krzesła, kiedy to usłyszał.

Skoro tylko odstawiła wybielacz, mnie się poprawiło. Nie wiem, jakie metody stosowali potem. Przez trzy lata udawało im się uniknąć ciąży, więc pewnie coś tam robili. Jeżeli Tato zakładał gumę przed położeniem się do łóżka, Mama mogła udawać, że o niczym nie wie.

Człowiek naczytał się takich historii w irlandzko-amerykańskich powieściach, ale one się naprawdę dalej zdarzają i to nagminnie. Ludzie niczego się nie uczą: działają, jakby

naprawdę lubili się torturować na wszystkie możliwe sposoby.

Wracając do rzeczy: Mama wie sporo na temat cystoskopii, ale nie jest ani w połowie tak przerażona, jak się tego spodziewałem. Za to Tato ledwie żyje ze strachu.

Tego samego dnia zawożę Tatę do szpitala na próbne badania i przygotowanie do operacji. Mama się rozkleja, więc Joan przychodzi, żeby z nią posiedzieć. W szpitalu odprowadzam Tatę do sali, w której ma leżeć, i pomagam mu ułożyć rzeczy w szafce. Pokazuję, gdzie jest ubikacja, i podaję szpitalną koszulę. Zagaduję kilka pielęgniarek po kolei; chciałbym je uczulić na to, jak bardzo Tato się boi, ale to w większości tylko fachowe wykonawczynie zawodu. Słuchają, co się do nich mówi, ale działają rutynowo i zbyt wiele mają do roboty, żeby zajmować się każdym pacjentem oddzielnie.

Tatę peszy szpitalna koszula, wolałby mieć własną piżamę, ale to niedozwolone. Koszula jest długa, od karku do pośladków rozcięta z tyłu, bez guzików.

- I ja mam tak chodzić, Johnny? Pokazywać tym wszystkim pielęgniarkom gołe plecy?

Chciałbym go jakoś podnieść na duchu, ale nie umiem; nie wiem, czemu szpitalne koszule szyje się właśnie tak. To uwłacza ludzkiej godności. Musi istnieć jakieś inne rozwiązanie. Wydają miliardy dolarów na budownictwo szpitalne i lekarzy, liczą sobie setki za dobę w szpitalu, a koszul używają wciąż tych samych, co podczas Wojny Domowej.

Lokuję Tatę w łóżku i demonstruję mu, jak włączać i wyłączać telewizor. Tato znajduje program, który mu się podoba, i zaraz robi się mniej strasznie. Żegnam się z nim i obiecuję, że przyjdę znowu, jak się tylko da.

Od pielęgniarki dowiaduję się, że dzisiaj na noc zaczną mu podawać środki uśmierzające, a operacja odbędzie się z rana. Mamie mówię w domu, że wszystko poszło świetnie. Mama nie chce leżeć w łóżku; mówi, że nie może spać, tylko ciągle myśli. Chce przyjść do pokoju na telewizję.

Mógłbym przenieść telewizor do niej, ale Mama chce siedzieć w bujanym fotelu.

Widać, że czuje się osamotniona, a przy tym jest taka potulna, że pomagam jej wstać z łóżka i podkładam poduszki pod głowę w fotelu. Pod stopy daję jej krzesło. Nadają program Lawrence'a Welka.

On naprawdę robi przysiady z głośnym wyliczaniem: “iii.... rraz - i dwa - i trzy..." Usiłuję myśleć perspektywicznie. Jak będę widział świat mając lat siedemdziesiąt? Kto będzie moim Lawrence'em Welkiem? Co będzie mi się podobało? Na pewno coś takiego się znajdzie, jakaś sztuczka, która mnie będzie ciekawić i wprawiać w dobry nastrój, chociaż dla dzieci i wnuków będzie śmieszna i nie do zniesienia. Patrzę i słucham. Mama zaśmiewa się z grubiańskich dowcipów i gagów. W kółko powtarza, że Lawrence Welk świetnie się trzyma jak na swój wiek, a jak przepięknie tańczy - chociaż przecież jest dokładnie w wieku Taty.

Potem oglądamy film, po filmie odstawiam Mamę do sypialni. Układam ją w łóżku i podaję valium.

Wracam do salonu. Już mi się nie chce oglądać telewizji.

Piszę list do Vron. Próbuję jej przekazać, jaki jestem sam, jaki się czuję oderwany od

rzeczywistości. Tęsknię do swojego miejsca, do znajomych rzeczy. Czuję się jak dorosły ptak, który na siłę gramoli się z powrotem do oblepionego odchodami ubiegłorocznego gniazda. Czuję też, że nic mi się nie udaje, że jestem bezsilny, że Vron zrobiłaby tu wszystko dziesięć razy lepiej niż ja.

Idę sprawdzić, co z Mamą. Śpi jak zabita. Wkładam piżamę i idę do łóżka. Myślę o Tacie, który leży teraz sam w szpitalu. Myślę o tym, jak szybko wszystko potoczyło się z pieca na łeb.

Na drugi dzień przychodzi Joan. Postanawiamy zmieniać się przy Mamie i na zmianę chodzić do Taty. Ja pierwszy. Tato siedzi w łóżku i wygląda nieźle; mówi, że w ogóle nic nie poczuł, nawet nie wiedział, kiedy go operowali. Boli go tam w dole, ale to wszystko.

Jest ciekawy, czy zabieg się udał; czy nie ma raka. Bardzo się tym przejmuje.

- Dowiedz się, dobrze, John?

Obiecuję pomówić z doktorem Santaną, zapewniam Tatę, że na pewno wszystko jest w porządku. Przechodzę do kliniki urologicznej i udaje mi się złapać Santanę w gabinecie. Odnosi się do mnie z pewną rezerwą, ale natychmiast przystępujemy do sedna sprawy.

- No cóż, panie Tremont, otrzymałem właśnie wyniki z laboratorium: wykryto kilka guzów złośliwych. Mam nadzieję, że wyciąłem wszystkie, ale trzeba będzie przeprowadzić chemoterapię. Naświetlać nie będziemy, to nie dla pacjenta w wieku pańskiego ojca.

- Czyli to na pewno rak.

- Tak, wyjątkowo złośliwa odmiana. Szczęście, że w porę dokonaliśmy interwencji chirurgicznej.

- Bardzo pana proszę, doktorze, cokolwiek pan zamierza zrobić, niech pan nie wspomina ojcu o raku. Jest przewrażliwiony na tym punkcie i bardzo się boi.

- Ależ panie Tremont, pan nie ma pojęcia, ile taki stary człowiek potrafi znieść. Dzieci nie doceniają własnych rodziców.

Niepokoi mnie taka jego postawa. Wygląda na to, że nie rozumie albo nie chce rozumieć.

- W tym przypadku jest inaczej, doktorze. Ojciec śmiertelnie boi się raka.

- Szok nie powinien wystąpić: zabieg był stosunkowo prosty, trudno go nawet nazwać operacją.

Powtarzam mu, najdosadniej jak potrafię, że byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby powstrzymał się przed poinformowaniem Taty, że ma raka. Chyba słyszał, co przed chwilą mówiłem.

Wracam do Taty. Mówię mu, że zdaniem doktora wszystko poszło świetnie. Tato nie pyta mnie wprost, czy to rak, więc nie muszę kłamać, chociaż jestem na to gotów.

W domu opowiadam Mamie, że zastałem Tatę w świetnym i optymistycznym nastroju. Potem wychodzę z Joan do dużego pokoju i powtarzam jej, co mi powiedział doktor. Joan, tak samo jak ja, bardziej się martwi tym, jak Tato zniesie tę wiadomość, niż samym rakiem.

Po wyjściu Joan do szpitala Mama dopytuje się, o czym rozmawialiśmy: kłamię, że

mówiłem Joan to samo co jej.

- Dobrze, Jacky, a teraz powiedz mi prawdę. Czy to coś poważnego? Czy on ma raka?

Zazwyczaj jestem niezłym, a nawet dobrym łgarzem, ale Mama ma bezbłędną intuicję.

- Mamo, przecież powiedziałbym ci, gdyby to było coś poważnego. Lekarz mówi, że usunęli cystę i na tym koniec.

To nawet niezbyt dalekie od prawdy, ale czuję, że Mama wciąż coś podejrzewa.

Wraca Joan. Tato pytał ją, co wie, i powiedziała mu to samo co ja. Przyjął do wiadomości i ucieszył się, że już po wszystkim.

Mama też koniecznie chce go odwiedzić. Sama niespełna tydzień jest w domu, a już się rwie z powrotem do szpitala. Joan i ja poddajemy się - jeżeli tak właśnie ma ochotę umrzeć, proszę bardzo. Joan musi wracać do domu, żeby nakarmić swoją hałastrę; daję jej słowo, że sam sobie świetnie poradzę.

Szykuję obiad, cały czas uważając, czy Mama nie wymknie się z sypialni, żeby sprawdzić, jak jej syn-idiota puszcza kuchnię z dymem.

Mama nie chwali posiłku, ale i nie krytykuje. Po obiedzie idziemy do jej pokoju: Mama mówi mi, w co chce się ubrać. Wyciągam garderobę z szuflad i szaf. Mama mówi, że ubierze się sama, kiedy ja będę zmywał. Wycierając stół, słyszę, jak szura kapciami do łazienki. Telefonuję do szpitala z pytaniem, czy mogą przygotować fotel inwalidzki.

Kiedy odkładam słuchawkę, Mama wychodzi z łazienki. Nikt by nie uwierzył, że to chora osoba. Mama jest mistrzynią kamuflażu. Napuszyła sobie włosy, włożyła wysokie obcasy. Jest taka z siebie zadowolona, że aż dostała rumieńców: wygląd zewnętrzny to dla niej ważna sprawa. Mam ochotę jeszcze raz zadzwonić do szpitala i odwołać fotel inwalidzki. To będzie śmiesznie wyglądało - pchać na wózku osobę, która wygląda jak okaz zdrowia.

Ale trwa to tylko chwilę. Mama zrobiła wejście, ale już blednie pod makijażem. Sadzam ją w bujanym fotelu.

- Siadaj, Mamo, odetchnij. Brałaś valium?

Kiwa głową. Nigdy się nie dowiem, czy brała, czy nie.

- Masz przy sobie digoxin?

Wyciąga fiolkę z torebki. Nie odzywa się: za bardzo jest zmęczona, a może ją boli. Z Mamy twarda sztuka.

Uruchamiam samochód i wyprowadzam go z patio. Zamykam drzwi i siedząc w wozie próbuję pedał gazu, żeby dać Mamie czas na dojście do siebie. Kiedy wracam do domu, już jest na nogach; pomagam jej wsiąść do samochodu. Nie chce wyciągnąć się na tylnym siedzeniu, chce siedzieć z przodu. Wyjmuje klapki na oczy, które nosi do spania, zakłada je. Piekielnie chytry pomysł. Mama mnie bije na głowę. Dopóki nie wykonam jakiegoś gwałtownego manewru, jest całkowicie bezpieczna.

Jadę jak jednoosobowy karawan w godzinach szczytu. Kilku facetów ze zdumieniem zagląda przez szybę, co to za kretyn jedzie prawym pasem z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Widzą starszą damę w czarnych, nieprzezroczystych okularach, siedzącą sztywno na przednim siedzeniu i obojętną na wszystko dookoła. Próbuję ją zagadywać, ale zamknęła się

w sobie. W końcu olśniewa mnie myśl, że ona się po prostu broni przed płaczem. Może jednak Mama jest czarownicą - to by niejedno wyjaśniało.

Fotel na kółkach już czeka; pomagam Mamie wysiąść i pcham ją przez parking, przez recepcję, do windy. Mama odwraca do mnie głowę.

- Ciarki mnie przechodzą, jak tu wracam, Jacky. Kiedy myślę o chorobie, widzę tylko czarnuchów i żółtków.

Dojeżdżamy na piętro Taty. Mam nadzieję, że zastaniemy go we śnie albo w stanie odurzenia lekami. Wystarczy, żeby Mama go zobaczyła, przekonała się, że żyje, i możemy iść.

Wtaczam wózek do pokoju Taty i z miejsca czuję, że coś tu jest niedobrze. Chętnie odkręciłbym fotel o sto osiemdziesiąt stopni i wywiózł stąd Mamę natychmiast. Tak trzeba było zrobić, ale sam popadłem w stan lekkiego szoku.

Tato nie śpi. Jeszcze jak nie śpi! Oczy ma wybałuszone tak, że widać całe białka dookoła niebieskich tęczówek. Spogląda na nas, kiedy wchodzimy, ale nic nie wskazuje na to, żeby nas poznawał. Palcami mnie pościel, cały czas wpatrzony w drzwi.

Podchodzę szybko i biorę go za ręce: są lodowate. Patrzy na mnie przelotnie - nic, maleńkie, skupione źrenice. Jakaś pielęgniarka mija drzwi; Tato gwałtownym szarpnięciem odwraca głowę.

Znów patrzy na mnie i usta zaczynają mu drżeć. Drży na całym ciele, chce coś powiedzieć. Pochylam się tuż nad nim, żeby usłyszeć. Głos, który się z niego wydobywa, jest urywany, płaczliwy, niski, nabrzmiały lękiem.

- Co to jest? Co to tam jest?

Nie wiem, czy wywozić Mamę, czy uspokajać jego.

- To nic, Tato. Jesteś w szpitalu, nic się złego nie dzieje. Jesteś bezpieczny.

Patrzy mi w oczy, nie wierzy ani we mnie, ani w to, co mówię. Mama podjechała bliżej, obok mnie. Jakoś wysiadła z fotela i wpycha się przede mnie. Pochyla się i całuje Tatę. On też ją całuje, wydymając wargi jak małe dziecko w parodii pocałunku. Mama nie płacze - jeszcze nie - szepcze coś Tacie do ucha.

- Jack, kochany, jak się czujesz, dobrze?

Bierze w dłonie jego twarz. Tato wpatruje się w nią okrągłymi oczami dziecka. Uśmiecha się, ale to nie jest prawdziwy uśmiech: to drżący uśmiech dziecka, które uśmiecha się na komendę. Mama przytula jego głowę do piersi i obiema dłońmi gładzi łysinę.

- Kochany mój, co się stało?

Patrzy na mnie z rozpaczą, po jej policzkach toczą się pierwsze łzy. Bezgłośnie, samymi ustami, pyta:

- Co jemu jest, Jacky?

Nie wiem, co robić. Wyglądam na korytarz, posyłam dramatyczne sygnały w stronę dyżurki. Mama może tu lada chwila paść trupem. Ile może znieść jedno serce? Mnie samemu serce skacze do gardła. Nie potrafię się zmusić do odciągnięcia Mamy od Taty.

Żadna pielęgniarka nie przychodzi. Trzymam Tatę za ręce, Mama trzyma go za głowę. Tato się nie wyrywa. Trzymamy go tak w nadziei, że oprzytomnieje. Jego już nie ma, to pusta

skorupa człowieka - kimkolwiek był, już go nie ma.

Cały czas próbuje patrzeć na drzwi. Boi się odbicia w szybie. Pokazuję mu, że to nic takiego, tylko szyba w drzwiach, w której odbija się światło. Przesuwam po niej ręką, cały czas tłumacząc. Tato nie pojmuje. Jego lęk dawno przekroczył granice racjonalnego myślenia. Wreszcie przychodzi pielęgniarka. Zatrzymuję ją w drzwiach.

- Co się stało?

Patrzy na mnie chłodno, z wyższością.

- A bo co? Coś niedobrze?

- Czy on dostaje jakieś silne środki odurzające? Spogląda w kartkę.

- Nie, właściwie żadnych. W jego przypadku nie ma takiej potrzeby.

- Więc co się z nim dzieje? Nie poznał nas, jest w szoku.

Pielęgniarka przepycha się bezceremonialnie obok mnie. Mama ciągle trzyma Tatę za głowę. Pielęgniarka rzuca okiem na fotel inwalidzki.

- Co to tutaj robi?

Gryzę się w język. Żadnych scen.

- Moja matka jest chora na serce, zaledwie pięć dni temu wyszła ze szpitala.

Tamta patrzy na Mamę, nachyla się i bierze Tatę za przegub, żeby mu zmierzyć puls, po czym nasuwa mu opaskę i mierzy ciśnienie. Czuję, jak mnie dławi, jak zawsze, kiedy nie potrafię nawiązać kontaktu z drugą osobą.

A jednak ciśnienie i tętno dały jej do myślenia. Zagląda Tacie w oczy i dotyka czoła. Mama zaczyna szlochać. Podchodzę do niej.

- Co to może być, Jacky? On jednak mnie nie poznaje. Co się mogło stać?

- Uspokój się, Mamo, siadaj tutaj. Siostra sobie poradzi. Pewnie naszprycowali go lekami i jest na wpół przytomny. Wiesz, jak to jest po znieczuleniu.

Boże, jak trudno jest ją okłamać. Ale pozwala odprowadzić się na fotel inwalidzki. Wiem, że muszę ją stąd jak najszybciej zabrać i odwieźć do domu. A może lepiej byłoby zostawić w szpitalu? Jeżeli teraz nie dostanie następnego zawału, to już chyba nigdy. Podchodzę blisko do pielęgniarki i mówię szeptem:

- Odwiozę matkę do domu i wrócę. Chcę się bezzwłocznie widzieć z doktorem Santaną.

Patrzy na mnie wzrokiem miernoty, która ma w rękach władzę.

- Doktor Santana widział już po południu pańskiego ojca. Teraz nie ma go na terenie szpitala. Zaczynam czuć, czym to pachnie.

- Proszę, aby szpital natychmiast wezwał doktora Santanę. Proszę mu powiedzieć, że w stanie pana Tremonta nastąpiły istotne zmiany i że jego syn, doktor Tremont, żąda natychmiastowej konsultacji.

Czuję, że nadeszła pora, aby wykorzystać tytuł doktora. Na słowo “doktor" w oczach pielęgniarki pojawia się błysk.

Dwadzieścia lat temu współpracowałem przy opracowywaniu analizy postaw pielęgniarek. Próbowaliśmy ustalić, dlaczego jedne potrafią wytrwać w zawodzie, a inne nie. Badania finansowała Amerykańska Wyższa Szkoła Pielęgniarstwa: chodziło im o to, żeby nie

brać na szkolenie osób nie kwalifikujących się do zawodu. Badania były wnikliwe i trwały trzy lata. Stwierdziliśmy, że długoletniemu wykonywaniu zawodu pielęgniarki sprzyjają dwa czynniki: kompleks ojca i skłonności sadystyczne. Uczelnia nie opublikowała naszych wniosków.

Widzę, że wobec tej dziewuchy automatycznie przybrałem postawę ojca. Stałem się dla niej jednym z białych fartuchów. Teraz już na pewno zadzwoni po Santanę.

Z hallu szpitala dzwonię do Joan. Mówię jej w skrócie, co się dzieje, i pytam, czy mogłaby trochę posiedzieć z Mamą. Joan mówi, że będzie u Mamy za pół godziny. Przez całą drogę do domu Mama płacze, a ja staram się ją uspokoić. Z trudem hamuję własną panikę i irytację, więc uspokajanie idzie mi jak po grudzie. Joan zrobi to lepiej: przynajmniej nie widziała Taty. Kładę Mamę do łóżka i daję jej dwie tabletki valium. Zarzuca mi, że robię z niej narkomankę, ale ja mam wewnętrzne przekonanie, że teraz za wszelką cenę muszę ją uśpić. Joan przychodzi tuż po tym, jak Mama zażyła pigułki. Wchodzi do sypialni, a Mama na jej widok znów się rozkleja. Joan tuli ją do siebie i patrzy na mnie ponad jej plecami. Po niej też już widać, że się boi: mam chyba straszną minę. Zostawiam je i idę do łazienki. Wyglądam okropnie. Przyczesuję włosy, myję ręce i twarz. Joan wychodzi z sypialni dokładnie w chwili, gdy zamykam drzwi od łazienki.

- Co się stało, Jack? Mama mówi, że Tato zwariował. Co jest?

- Nie wiem, Joan. Jadę tam z powrotem. Jeżeli moje podejrzenia są słuszne, Santana powiedział Tacie, że ma raka, i Tato doznał szoku. Kazałem im ściągnąć Santanę do szpitala.

Znów wkładam marynarkę.

- Uważaj na Mamę. Nie wiem, jakim cudem ona to przeżyła. Nie wiem, jak ja sam to przeżyłem.

- Ty też nie wariuj. Masz pięćdziesiąt dwa lata, pamiętaj. Nie udawaj chojraka.

Kiedy docieram do szpitala, Santana jest już w pokoju u Taty. Razem z nim dwie pielęgniarki. Odwraca się do mnie.

- O co chodzi, panie Tremont? Nie widzę u pańskiego ojca żadnych oznak drastycznego pogorszenia. Patrzę na Tatę, potakuje głową z uśmiechem: “Tak jest, szefie".

Budzi się we mnie nadzieja, że zaczął na nowo kontaktować, ale wciąż wydaje się odurzony.

- Tato, pamiętasz, że Mama była dzisiaj u ciebie?

Wlepia we mnie wzrok, żadnej odpowiedzi. Nawet nie mruga powiekami. Znowu zaczyna kiwać głową. Spojrzenie i uśmiech kieruje do Santany.

- To mi nie wygląda na normalne zachowanie, doktorze. W moim pojęciu sprawa jest poważna. Ojciec mnie nie poznaje, nie poznał własnej żony.

Dopiero to dociera do Santany. Przy użyciu latarki zagląda Tacie w oczy, sprawdza tętno. Pochyla się nad Tatą.

- Panie Tremont, to ja, doktor Santana. Wie pan, kim jestem? Tato znowu swoje. Kiwa głową, uśmiecha się, powtarza:

- Czuję się doskonale, tak jest, panie doktorze, czuję się doskonale. Dziękuję. Santana

prostuje plecy, zwraca się do mnie.

- Rzeczywiście, jest w stanie szoku.

Wysyła pielęgniarkę po jakieś leki. Mnie daje ręką znak, żebym z nim wyszedł na korytarz. Jakby nabierał rozsądku.

- To typowe dla starych ludzi, panie Tremont. Często popadają w tego rodzaju opóźniony szok, nawet po drobnym zabiegu chirurgicznym. Wie pan przecież, że ojciec był leczony na arteriosklerozę.

Kiwam głową. Usiłuję się pohamować, przemyśleć rzecz do końca.

- To forma uwiądu starczego...

Przerywam mu.

- Nie okazywał symptomów starczej demencji, kiedy tu przyszedł, doktorze. Dlaczego miałby tak nagle w nią popaść?

Santana przesuwa dłońmi po włosach, wzdycha.

- Demencja starcza to dziwne zjawisko: potrafi się nasilać i cofać. Wystarczy, tak jak tutaj, sytuacja stresowa i wyskakuje natychmiast. Za mało jeszcze wiemy na ten temat.

Uznaję, że jeżeli mam go spytać, to teraz.

- Doktorze, czy pan powiedział mojemu ojcu, że ma raka?

Wybałusza na mnie oczy i cofa się o krok. Już nie musi nic mówić.

- Tłumaczyłem panu, panie Tremont, obowiązek etyczny nakazuje mi być szczerym wobec pacjenta.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że mimo moich ostrzeżeń na temat tego, co może się zdarzyć, przyszedł pan i wszystko mu powiedział?

Wyciągam palec w stronę Taty.

- Niech pan spojrzy na skutki swojej etycznej szczerości.

Patrzę mu prosto w oczy. Mówię szeptem, ale jestem wściekły. Santana jest niskiego wzrostu, znów cofa się o krok: może się lęka o całość swoich dłoni chirurga.

- To może mieć równie dobrze podłoże fizjologiczne, panie Tremont. Być może w wyniku operacji lub anestezji nastąpiło obniżenie poziomu dopływu krwi do mózgu, co wywołało taką właśnie reakcję. Jestem przekonany, że wypoczynek i właściwa terapia lekowa sprawią, że wszystko wróci do normy. Proszę się nie martwić.

Mam wielką ochotę dać mu w ryj, ale się hamuję. Jestem zanadto wzburzony, żeby działać skutecznie.

Jeszcze pół godziny zostaję z Tatą, próbując nawiązać z nim kontakt, ale bez skutku. To w ogóle nie jest mój ojciec. Nie zostało w nim nic, co tworzyło osobowość Taty. Jego głowa, wciągnięta w ramiona, ma w sobie coś z małpy. Tato robi coś, czego nigdy nie robił: bez ustanku gładzi i maca wszystko dookoła. Pociera wargi jedną o drugą, wykrzywia się, uśmiecha i mamrocze absolutnie bez sensu. Naoglądałem się już w życiu nienormalnych ludzi, ale nigdy nie byli to moi bliscy, ludzie, których kocham.

Jadę do domu. Mówię Joan, że stan Taty jest bez zmian, że rozmawiałem z lekarzem. Proszę, żeby teraz ona wybrała się do Taty - może ją pozna. Joan relacjonuje, że Mama

zachowywała się nieźle, ale jest strasznie roztrzęsiona: ubzdurała sobie, że Tato zwariował.

Joan wychodzi, ja idę do Mamy. Joan pozaciągała wszystkie zasłony. Mama ma na głowie kompres. Kompres jest w naszej rodzinie lekarstwem na wszystko; nawet jeżeli nie masz gorączki, kładź kompres na czoło. Zdaje się, że służy głównie jako sygnał “Źle się czuję". A jednak Mama naprawdę wygląda niedobrze. Siadam przy niej na łóżku. Mama podejmuje wątek, który od tej chwili już stale będzie nam towarzyszył.

- W tej rodzinie jest kupa wariatów, Jacky. Jeden kuzyn tatusia był głuchy, Orin, jego brat, też miał coś z głową...

Orin to jeden z moich wujów - trzeba przyznać, że spory oryginał.

- A ten Joey - perkusista w zespole jazzowym? Jego też w końcu musieli oddać do domu wariatów.

Syn Orina, Joey, miał poważny wypadek motocyklowy, z pęknięciem czaszki, po którym musiał odnawiać prawo jazdy.

Mama gada i gada. Wygląda na to, że ustaliła dokładną listę wszystkich Tremontów z ostatnich trzech pokoleń. Wywleka nawet kuzyna dziadka, który w młodości, w Wisconsin, przechodził przez płot ze strzelbą w ręku i przestrzelił sobie żuchwę, tak że już nigdy potem nie mógł normalnie jeść. Dokonał żywota jako pustelnik w głębi lasu.

Mama rozpatruje wszystkie warianty. Na jej listę trafiają wszyscy członkowie rodziny ojca, którzy w jakikolwiek sposób odbiegali od normy.

Nie spieram się z nią, ale moim zdaniem rodzina ojca jest co najmniej w normie. Ani jednego samobójstwa, rozwodu, morderstwa.

Wszyscy przez całe życie ciężko pracowali. W zasadzie nie ma w tej rodzinie alkoholików - może z wyjątkiem wuja Pete'a, ale wuj pracował do siedemdziesiątego roku życia, więc trudno go nazwać prawdziwym alkoholikiem - po prostu lubił wypić. Wszyscy najbliżsi kuzyni ze strony ojca, a jest ich prawie trzydziestka, żyją z pracy własnych rąk. Państwowe przedsiębiorstwo ubezpieczeniowe nieźle zarobiło na Tremontach.

Mama przechodzi do opowieści o Tacie. Jaki to zawsze był dziwaczny, jak to już przed ślubem ciotka Truda, starsza siostra Taty, ostrzegała Mamę przed małżeństwem z nim.

Wyobrażam sobie te ostrzeżenia! Tremontowie to banda dowcipnisiów, a Mama nigdy nie znała się na żartach ani na zabawie. Vron jest taka sama. Nie warto żartować, bo ona i tak nie podejmie gry, najwyżej wpadnie w złość. Poza tym Mama potrafi czasami zapamiętać coś, co się powiedziało żartem, weźmie to na serio, a potem użyje przeciwko człowiekowi. Podejrzewam, że tak właśnie było z określeniem Taty przez ciotkę Trudę jako “dziwaka".

Na dodatek - o mój Boże! - Mama ubzdurała sobie, że Tato jest nie całkiem biały. Mój dziadek, ojciec Taty, był półkrwi Indianinem amerykańskim z plemienia Oneida, jednego z plemion irokezkich. Dla Mamy jednak Indianin to po prostu czarnuch. Ojciec istotnie ma skórę ciemniejszą od Irlandczyka, piękne pełne usta i zęby jak łopaty. Ma też wydatne kości czołowe i policzkowe. Z wiekiem staje się coraz bardziej podobny do Indianina ze starej pięciocentówki.

Na domiar złego, Mama przyjaźni się z niejaką Fanny Hogan. Nie znam ordynarniejszej baby. Przyjaźnią się z Mamą od dwudziestego roku życia. Fanny ma tubalny,

niski, chrapliwy głos. Rozwiodła się z mężem, którego najpierw wysłała do domu wariatów, a jedyną córkę wyrzuciła z domu, kiedy dziewczyna miała szesnaście lat. Odtąd żyje całkiem samotnie. Jako dziecko nienawidziłem tej baby i bałem się jej.

Przez całe lata Fanny organizowała Mamie życie: mówiła jej, jak się ubierać, wybierała jej chłopaków. Mama lubi, żeby ktoś nią komenderował, bo wtedy ma na co narzekać. Zdaje się, że to dość popularny model konstrukcji psychicznej. Kiedy Mama poznała Tatę, Fanny Hogan stała się zazdrosna.

Najpierw naopowiadała Mamie, że Tato z pewnością ma sporą domieszkę krwi murzyńskiej i że Mama urodzi małe Murzyniątka. Ktoś tam się musiał wślizgnąć kuchennymi drzwiami - to jej słowa. Radziła Mamie sprawdzić, jak wygląda kręgosłup Taty: na pewno jest na końcu ciemnożółty albo brązowy. Mama specjalnie wyciąga Tatę na randkę na plażę, żeby obejrzeć jego plecy, ale oboje noszą kostiumy jednoczęściowe, więc podstęp na nic.

Kiedy wreszcie przychodzi noc poślubna, już w łóżku, Mama co chwila zapala światło i zerka na plecy Taty, żeby sprawdzić, czy nie wyszła za czarnucha.

Zawsze w głębi duszy uważała, że poślubiła mężczyznę z defektem genetycznym. No i teraz nareszcie wyłazi szydło z worka.

Nie chcę się denerwować. Wiem, że Mama broni się w ten sposób. Jest tak niepewna własnej wartości, własnej ciągłości, wszystkiego, czym jest, że wali po oczach na wszystkie strony; a im bardziej się boi, tym jest nieznośniejsza.

Szkoda, że jako dziecko nie rozumiałem tego lepiej. Póki wszystko się dobrze układa, Mama jest miła i łagodna. Ale skoro tylko poczuje się zagrożona, nie można z nią wytrzymać. Kiedy jest zazdrosna, kiedy się czuje nie dość kochana lub za słabo doceniana, staje się niemożliwa.

Przez godzinę siedzę i słucham. Trzymam język za zębami: Mamie jest potrzebne to, co teraz robi. Przygotowuje się na śmierć Taty. Jeżeli zdoła sobie wmówić, że Tato jest nic niewart, jakoś to zniesie. Przynajmniej tak sobie tłumaczę jej tłumaczenia. Ale kto to wie, co się w niej naprawdę dzieje?

Joan wraca ze szpitala. Mama w końcu zasnęła, mogę więc przejść do dużego pokoju. Joan płacze.

- To straszne, Jack. Co mu właściwie jest?

Powtarzam jej to, co mi powiedział doktor.

- Nie, Johnny, to coś więcej. Z nim jest bardzo niedobrze. Śmiertelnie się czegoś boi, nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak się bał.

Joan mówi na mnie Johnny w sytuacjach stresowych: ostatni raz zdarzyło się to, kiedy poroniła w piątym miesiącu podczas wizyty u nas, we Francji. Johnnym byłem, kiedy oboje byliśmy mali.

Joan pomału się uspokaja. Wymyślam, co mogę, żeby ją podnieść na duchu. Tak strasznie potrzebuje pocieszenia, że gotowa jest uwierzyć we wszystko.

W końcu dochodzimy do wniosku, że najlepiej będzie, jak Joan wróci do domu. Ja się zajmę Mamą. Rano odwiedzę Tatę i natychmiast zawiadomię Joan, jak z nim jest.

Później dzwonię do Marty i opowiadam jej oględnie, co jest z Tatą. Marty zaczyna

płakać i słuchawkę przejmuje Gary. Mówię im, żeby się w to w ogóle nie mieszali. Oni mają urodzić dziecko. Tato to teraz wyłącznie moja sprawa.

- My z mamą nie planujemy już więcej dzieci, więc oddacie nam największą przysługę, jeżeli swoje wydacie na świat, jak przystało.

Próbują protestować, ale ja się upieram. Obiecuję, że gdybym potrzebował pomocy, będę głośno krzyczał. Przysięgam na wszystkie wydania Biblii. Ta sprawa należy do mnie i do Joan.

Rozdział 9

Rano idziemy do Pizza Hut i zjadamy jajka z szynką. Kiedy Tato płaci, ja jadę samochodem na stację benzynową. Na obrotowym regaliku widzę ośmiościeżkowe taśmy. Postanawiam się szarpnąć i kupić Dylana.

Sprawdzam wodę, olej i akumulator. Ten silnik ma moc lokomotywy. Akumulator jest wielkości skrzynki na jabłka, a bak olejowy taki długi, że mało sobie karku nie skręcę, kiedy trzymając jeden koniec sondy szukam oleju na drugim. Cała ta piekielna maszyneria ciągnie dwadzieścia dwa galony benzyny na setkę.

Prześcignęliśmy prawie wszystkie ciężarówki, jedziemy teraz wijącą się szosą przez piękne okolice. Wyciągam moją taśmę, nastawiam muzykę. Dostrajam kolumny głośników i muzyka opatula nas szczelnie ze wszystkich stron. Zerkam w bok, jak Tato zareaguje, ale on jak zwykle siedzi zgarbiony nad kierownicą, oczy w słup.

Opuszczam oparcie fotela i patrzę w bok na przepływający krajobraz. Im wyżej wjeżdżamy, tym niebo robi się bardziej niebieskie, powietrze jest ostre i czyste. Wśród drzew przeważają sosny, coraz mniej liściastych. Fantastyczne jest to nagłośnienie w samochodzie, prawie jak słuchawki. Wyłączam się i daję nieść muzyce.

Puszczam taśmę kilka razy w kółko. Nawet niegłupio pocięta. Ośmiościeżkowe mają tę wadę, że każda ścieżka gra dokładnie dwadzieścia minut, nigdy nie wiadomo, gdzie wypadnie przerwa.

Kiedy po raz kolejny zaczyna się druga piosenka, Tato pyta, czy nie moglibyśmy na chwilę wyłączyć magnetofonu. Niech mu będzie. Nie chcę się kłócić, ale trudno mi tak całkiem utrzymać język za zębami.

- Nie lubisz Boba Dylana, Tato?

Na moment odwraca do mnie wzrok i uśmiecha się tym swoim uśmiechem od medytacji jogi.

- Bob Dylan jest w porządku, Bill, tylko że dwie godziny bez przerwy to lekka przesada.

- No wiesz, Tato, to są mądre piosenki. On śpiewa o rzeczach, o których każdy powinien od czasu do czasu pomyśleć.

- Tylko na chwilę, bardzo cię proszę, Bill. Potem możemy znowu posłuchać. W ciszy suniemy do przodu. Gęste milczenie.

- Bob Dylan jest sto razy lepszy od tych wyjców w stylu mafioso: Deana Martina, Binga Crosby'ego, Franka Sinatry czy Perry'ego Como - tych wszystkich, których wy z mamą tak strasznie lubicie.

Nie odzywa się.

- Tamci łapią jeden kretyński temat, jakieś “I love you" albo “Kiss me" i żyłują go do upadłego. Zgroza!

Chyba w ogóle nie słyszy, co do niego mówię. Jak chce, potrafi się kompletnie zamknąć.

- Spróbuję ci wyjaśnić, o co chodzi, Bill. Po pierwsze, dla nas potwornie długo wszystko było takie łatwe. Ludzie z mojego pokolenia zaczynali się żenić i stabilizować w początkach trzydziestoletniej prosperity. Większość naszych znajomych to dzisiaj półemeryci, z domkiem na wzgórzu, basenem i cadillakiem.

Kurczę, wtedy każdy miał szansę, byle był biały, niezupełny idiota i chociaż trochę się starał. W tym wszystkim wyrastaliście wy, nasze dzieci. Kto by się przejmował walką o to, co przecież zawsze miał. Przywykliśmy do półgodzinnych sesji pod prysznicem, puszystych, dwumetrowych ręczników, codziennej zmiany bielizny, czterech kółek, zamrażarek pełnych żarcia, do stereo, i tak dalej. A do tego wszystkiego obowiązuje jeszcze ten przymus “kształcenia się".

O cholera, blisko mierzy! Nie znasz ty, Billy, swojego starego.

- Dzisiejsze dzieci, widzisz, chcą słuchać o ciężkich czasach, o twardych ludziach. O tym właśnie, co im mówią tacy goście jak Bob Dylan. Dylan, wiesz, nazywa się naprawdę Zimmerman, pochodzi z Hibbing, miasteczka koło Duluth w Minnesota. Śpiewa w dialekcie Tennessee, bo Tennessee uchodzi za dialekt ludzi twardych, ubogich, przyziemnych. Tak naprawdę to on naśladuje Woody'ego Guthrie naśladującego obdartego farmera z Appalachów. Kiedy śpiewa to, co śpiewa, bynajmniej nie poci się na plantacji kukurydzy. Siedzi w studio nagrań, otoczony ekipą techników. Są wśród nich różni specjaliści, z blenderami, tłumikami, wzmacniaczami, którzy miksują i kleją do kupy całe to jego wycie. Wszystko jest w pełni skomputeryzowane; nawet sam Dylan nie słyszy siebie tak, jak to w końcu wychodzi.

Technika mi tu będzie zgrywał! Przecież on, cholera, nawet “Jingle Bells" na organkach nie zagra bez fałszowania. Bożego Narodzenia boję się jak ognia. Ojciec co roku wyciąga skądś organki i zarzyna wszystkie kolędy po kolei. Ile jeszcze do Filadelfii?

- Ale tak powinno być, Bill. Po prostu ja nie mam ochoty wysłuchiwać narzekań na ciężkie czasy, mnie to nie interesuje. Dylan to dla mnie jeszcze jedna gwiazda estrady, jak Crosby, Sinatra albo Como. Za to mu płacą, żeby śpiewał, czego ludzie chcą słuchać. Dylan wypracował sobie głos w sam raz, ponury, ale nie wulgarny - całkiem wiarygodny głos skarżącej się nędzy. To sympatyczny, dobrze nadziany Żydek, z którego zrobiono wielkie wydarzenie artystyczne.

Milknie. Modlę się, żeby to już był koniec. Schowam tę taśmę na dno plecaka - nie ma, nie było.

- Coś jeszcze, Bill. Ten głos. Nie mówię o akcencie z Tennessee, tylko o samym głosie. Ten głos mi uwłacza. Jakby ktoś do mnie mówił przez zaciśnięte zęby. Nie czuję, żeby należał do człowieka myślącego, z którym można pogadać i rozwiązać problem. W tym tonie jest nienawiść, nienawiść do wszystkiego.

O kurczę! Widzę, że na tej wycieczce nie posłucham już sobie Dylana. Szkoda tylko, że nikt mi nie odda moich ośmiu dolców.

Wleczemy się za sznurem ciężarówek pod górkę przez Loveland. Stary ani myśli wyprzedzać, więc telepiemy się z prędkością trzydzieści-trzydzieści pięć. Samochód zaczyna się grzać. Na tej wysokości, w środku lata, każdy silnik chłodzony wodą może sprawiać

kłopoty.

Wreszcie szosa się poszerza i dojeżdżamy do Vail. Vail jest ilustracją amerykańskiego pojęcia “miasteczka jak z obrazka", tak jak ta miejscowość w Austrii, gdzie jeździliśmy na narty, kiedy byłem mały, tylko pięć razy większe. Przypomina mi Santa Cruz - styl Park Narodowy Dwudziestego Wieku - wyłącznie drewno i szkło.

Zatrzymujemy się po benzynę, potem wchodzimy do restauracji. Zamawiamy grzanki z jajkiem i prawdziwy syrop klonowy. Polewam nim cały talerz i czekam, aż wsiąknie. Do tego dużo masła. We Francji nie można dostać klonowego syropu.

Kiedy wracamy na szosę, znów zakładam do magnetofonu swoją taśmę. A co! Zainwestowałem osiem dolarów, nie wyrzucę jej teraz przecież. Ustawiam głośniki, ale cicho, i chowam się w muzykę. Za oknem jest pięknie: słońce jak dzwon, po obu stronach głębokie doliny, wszędzie sosny. Obserwuję gromadzące się górą wielkie cumulusy i cały otwieram się na muzykę.

Nie mam pojęcia, o czym teraz może myśleć Tato. Siedzimy w jednym samochodzie, ale on wygląda, jakby był o tysiące mil stąd. Rozmowa nie ma sensu: nasze rozmowy do niczego nie prowadzą. On pewnie jeszcze nie może się pozbyć tego całego kalifornijskiego syfa.

Nie wiem dlaczego, ale zupełnie nie umiem oszczędzać forsy. Nazbieram, nazbieram - i nagle nie ma. Czasami myślę, że mam dziurawe kieszenie: jest forsa, sięgam do kieszeni - ani grosza, jakby mi się przyśniło.

Zatrudniłem się w stoczni budowy jachtów; sypiam w tak zwanym hotelu robotniczym, próbuję jakoś związać koniec z końcem - aż tu przychodzi list od Mamy, że Tato wyjechał do Kalifornii, bo babcia miała zawał. Jadę za nim; może się na coś przydam.

Okazuje się, że babcia już wyszła ze szpitala, za to dziadek rozłożył się na całego. Coś mu pstryknęło, sfiksował. Nie wie, kto ja jestem, ojca też nie poznaje. A Tato wygląda okropnie: od czasu kiedy go ostatnio widziałem, stracił chyba z piętnaście funtów. Blady, łysieje, posiwiał jeszcze bardziej, minę ma wiecznie zatroskaną. Zajmuję pokój ogrodowy; Tato śpi w bocznym.

Udaje mi się wytrzymać tam ponad tydzień, potem Tom przyjeżdża z Santa Cruz. Też nie ma nic do roboty, za to ma samochód. Moi starzy mają tu działkę, czterdzieści akrów na wzgórzu w Topanga Canyon i tam właśnie przenosimy się z Tomem. Tom ma niesamowite stereo na baterie i namiot.

Wodę dowozimy samochodem, a zakupy robimy na targu w Topanga. Pożyczyłem od Taty jego małą hondę 175 i jeździmy nią sobie po ścieżkach przeciwpożarowych, unikając strażników. Parę razy się wyłożyłem i trochę pokiereszowałem motor - wklęśnięcie w baku, wygięty pedał hamulcowy i złamana dźwignia sprzęgła. Bak wyklepuję, psikam lakierem, pedał odginam, dźwignię wymieniam - i nikt by się nie połapał.

Kiedy Tato jedzie do dziadka do szpitala, ja zostaję z babcią. Ta kobieta jest absolutnie kopnięta. Przez cały dzień nic tylko: “Czemu nie zgolisz tej brody, przed kim ty się chowasz?" albo: “Dlaczego masz takie długie włosy?", albo: “Jeżeli już musisz nosić włosy

jak dziewczyna, to je przynajmniej czasem umyj".

Marudzi bez chwili przerwy. Któregoś dnia przychodzi do mnie z nożyczkami: “Pozwól, Billy, zetnę ci przynajmniej ten sterczący kosmyk nad uchem". Uchylam głowę. “Przestań, nie bądź niemądry, daj sobie chociaż wyrównać na karku".

Poza tym czasami wchodzi do sypialni, kiedy ja już śpię, a i ona od dawna powinna być w łóżku. Wślizguje się na palcach i szpera po całym pokoju.

Innym razem znowu przetrząsa całą moją bieliznę: wszystko wrzuca do wanny i pierze. Niby miała zawał i tak dalej, a pierze moje gacie. Jeszcze dogaduje, że żadna panna nie zechce chłopca w brudnej bieliźnie. Co za mentalność!

Dalej: pyta, czy ja na pewno wiem, jak się należy podcierać. Czekam, czy mi przypadkiem nie pokaże. Poucza, żebym używał kilku poskładanych odcinków papieru po kolei i wycierał do tyłu, a nie do przodu między nogami, do tego co najmniej trzy razy. Niewiarygodne! Za grosz poczucia intymności. Nie mam pojęcia, jak Tato to znosi - mieć taką matkę!

W końcu nie wytrzymuję. Tato gdzieś poszedł malować, a ta mnie molestuje całe popołudnie: czy chodzę do kościoła, czy spałem już z kobietą, czy mam stałą dziewczynę. Wygarniam jej, że mnie doprowadza do szału, że już doprowadziła do szału Tatę i że to pewnie przez nią dziadek stracił rozum. Dostaje spazmów, wychodzi do swojej sypialni i trzaska drzwiami.

Kiedy Tato wraca, mówię mu, co zaszło.

- Zwariowałeś, Billy? Wiesz przecież, że ona jest chora.

Słyszę, że nie jest wściekły, tylko przerażony. Ja sam się czuję jak szmata, ale już naprawdę przebrała się miarka. Tom wyjechał z powrotem do Santa Cruz, namiot mi zostawił. Jakby już było bardzo niedobrze, mogę się zawsze wynieść z powrotem w góry. Tom zamierza zostać psychologiem.

Psychologów jest już od cholery i trochę, wszystkiego jest po dziurki w nosie. Za dużo inżynierów, za dużo chemików, za dużo lekarzy, za dużo dentystów, za dużo socjologów. A za mało ludzi, którzy potrafią naprawdę coś zrobić, którzy wiedzą, co robić, żeby ten świat funkcjonował.

Kiedy tak o tym pomyśleć, tak jak to jest naprawdę, to - o Jezu! Weźmy całe społeczeństwo: sto procent. Z tego połowa ma poniżej lat osiemnastu albo powyżej sześćdziesięciu pięciu, czyli ci nie pracują. Zostaje pięćdziesiąt procent do roboty. Połowa z tego to kobiety. Niektóre pracują, więc powiedzmy, że zostaje trzydzieści procent. Dziesięć procent z tych trzydziestu to lekarze, prawnicy, socjologowie, psychologowie, dentyści, urzędnicy, artyści, pisarze, nauczyciele, pastorzy, księża, rabini - nikt z nich niczego nie produkuje, świadczą jedynie usługi dla ludności. Czyli zostaje nam dwadzieścia procent. Co najmniej dwa do trzech procent żyje z niczego; albo obcina kupony, albo ma wielkie majątki. A więc siedemnaście procent. Z tego siedem procent stanowią bezrobotni - najczęściej z własnej woli. W rezultacie otrzymujemy wynik dziesięć procent: dziesięć procent ludzi wytwarza całą żywność, buduje domy, naprawia drogi, zakłada elektryczność, pracuje w kopalniach, montuje samochody, wywozi śmiecie - czyli wykonuje całą czarną robotę. Całą

prawdziwą robotę.

Każdy się rozgląda za jakąś sztuczką, żeby tylko nie pracować. A najgorsze, że ci, co robią, zarabiają najmniej forsy.

Wiem, że nie ja pierwszy to odkryłem, ale myślę, że Marks też tylko patrzył, jak by tu się wymigać od roboty, tak samo Lenin - dwóch bumelantów z klasy średniej.

Niech sobie Tom wraca do domu, niech zostaje psychologiem. Powiększy armię specjalistów od opowiadania ludziom, że poczucie winy bierze się z tego, że człowiek gra w życiu nie swoją rolę. Specjalistów, którzy sami z sobą nie umieją sobie poradzić.

Ciekawe, gdzie ja w tym wszystkim pasuję.

Rozdział 10

Nazajutrz dzwonię do doktora Ethridge'a. Od piętnastu lat jest lekarzem Taty w szpitalu Perpetual. Centrala i pielęgniarki parę razy odprawiają mnie z kwitkiem, ale w końcu uzyskuję połączenie.

Wyjaśniam, co się stało. Ethridge natychmiast wpada w rolę.

- Ach, proszę pana, takie rzeczy zdarzają się nagminnie. Doktor Santana doskonale zna się na swojej robocie, to doskonały specjalista. Odwiedzę dzisiaj rano pańskiego ojca, od dawna jest moim pacjentem. Wie pan, że obaj pochodzimy z Wisconsin? Trzeba chyba spojrzeć prawdzie w oczy, panie Tremont, że to początki starczej demencji. Wciska mi ten sam kit co Santana.

- Tak nagle, doktorze, gwałtowny atak uwiądu starczego? Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

- No cóż, pański ojciec już od jakiegoś czasu tracił pamięć.

Nie popuszczam.

- Ależ, doktorze, ojciec szedł na operację w stanie pełnej świadomości, a teraz... Niech go pan najlepiej sam zobaczy. Milknę, on nic nie mówi.

- Czy pozwoli pan, doktorze, że będę panu towarzyszył dziś rano u ojca?

Chwila ciszy. Może rozmawia ze mną przez telefon, a jednocześnie coś czyta albo pisze.

- Nie, nie, to niepotrzebne. Zajrzę do pańskiego ojca w czasie porannego obchodu, a po lunchu zadzwonię do pana.

Odkłada słuchawkę.

Mówię Mamie, że rozmawiałem właśnie z doktorem Ethridgem, który twierdzi, że wszystko będzie dobrze, że nie powinniśmy się martwić. Mama, naturalnie, chce koniecznie odwiedzić Tatę.

- Nie, Mamo, doktor mówi, że trzeba wstrzymać wizyty: Tacie jest teraz potrzebny spokój i leki. Za bardzo się denerwował, za bardzo przeżywał operację; starszemu człowiekowi nie tak łatwo się przestawić.

- Wszystko byłoby dobrze, Jacky, gdybyśmy go tylko mogli zabrać do domu.

Jest przekonana, że jeżeli uda nam się wyrwać go ze szpitala, wszystko się odwróci. Ona się nim zajmie, do czego jest przecież nawykły, “zamiast żeby go macały jakieś tam czarnuchy".

- Przecież ty się nim, Mamo, zająć nie możesz. Gdybyśmy sprowadzili go do domu, musiałbym to robić ja, a z dwojga złego już na pewno lepszy jest szpital.

Doktor Ethridge dzwoni dopiero o czwartej.

- Widziałem pańskiego ojca i istotnie stwierdzam u niego zachwianie równowagi psychicznej. Rozmawiałem też z doktorem Santaną, który twierdzi, że pan podważa jego kompetencje zawodowe.

To mnie ruszyło.

- Panie doktorze. Doktor Santaną popełnił kardynalny błąd, mówiąc mojemu ojcu, że ma raka, mimo moich wielokrotnych ostrzeżeń w związku z panicznym lękiem ojca przed tą chorobą. Rezultat tego błędu sam pan widział. Ojciec popadł w ten stan bezpośrednio po rozmowie z doktorem Santaną.

- Panie Tremont, decyzje w tych sprawach należą do lekarza. Skoro pański ojciec korzysta z naszego szpitala, powinien pan zaufać naszym zawodowym osądom.

I zaczyna się tyrada na temat “my się znamy na swoim fachu". Słucham cierpliwie, może się zmęczy.

Naprawdę jestem teraz gotów machnąć ręką na Ethridge'a, na Santanę, na cały Perpetual, całe to bagno - i zacząć wszystko od nowa. Ale nie zdecyduję się na to: jestem za mało pewny siebie, za bardzo się denerwuję, za bardzo się boję.

Tato leży w szpitalu już piąty dzień. Siedzę przy nim, ile tylko mogę. Joan zmienia mnie przy Mamie. Z doktorem Santaną rozmawiam codziennie, a on coraz bardziej się denerwuje. Nie ma dnia, żebym nie zażądał przeprowadzenia testów neurologicznych i psychiatrycznych, obserwacji. Przegryzam się przez nowy egzemplarz *Merck Manual*, zakupiony w bibliotece medycznej UCLA: szukam jakiegoś sensownego wytłumaczenia tego, co się stało.

Z personelem szpitalnym jestem na noże. Jednocześnie staram się w domu, przy Mamie, zachować spokój, zapewniam ją, że sprawa przybiera coraz pomyślniejszy obrót.

W szpitalu ciągle mi powtarzają, że wszystko minie, kiedy Tato wyjdzie z szoku. Tato jednak nadal pozostaje w stanie głębokiego niepokoju, roztrzęsienia, oddalenia do rzeczywistości. Stracił panowanie nad odruchami fizjologicznymi. Karmić go trzeba łyżeczką, co nie jest łatwe. Nie ma za grosz apetytu, chudnie w oczach. Jakby utracił wszystkie funkcje zmysłowe.

Pielęgniarki są zbyt zajęte, żeby w niego wmusić dostateczną ilość pokarmu. Kiedy ja oferuję się przejąć karmienie, nie zgłaszają najmniejszych obiekcji. Bywa, że zjedzenie małego posiłku trwa u Taty dwie godziny. To gorsze niż karmić półroczne niemowlę. Tato przygryza łyżkę tak, że z trudem wydobywam mu ją z ust. Kręci głową. Najdłużej trwa czekanie, aż przełknie. Upycha kęs w policzku, jak chomik, czasem wypluwa. Unika mojego wzroku, cały czas wpatruje się w łyżkę albo w przestrzeń, ale nigdy we mnie. Mówię do niego bez przerwy: o tym, co je, o Mamie, o Joan, cokolwiek mi ślina na język przyniesie. Całkowity brak reakcji.

Szpital zaczyna popierać pomysł Mamy, że może Tato dojdzie do siebie w domu. Powoli zaczynam przyznawać im rację.

Wiem jednak, że nic z tego nie będzie, dopóki Mama jest na miejscu. Musiałaby się przenieść do Joan, a to ciężka sprawa. W końcu jednak wydarza się coś, co zmusza mnie do podjęcia decyzji.

Kłopot z Tatą polega w dużej mierze na tym, że Tato stale się wierci, kręci, próbuje uciekać. W dodatku bez przerwy szarpie cewnik. Po kilku pierwszych dniach zasznurowują go w czymś w rodzaju kaftana bezpieczeństwa. Wiąże się to na plecach, a przy mankietach są

klapki, które można naciągnąć na dłonie. Tato ma względną swobodę ruchów, natomiast nie może złapać za cewnik.

Mocuje się z tym kaftanem bez ustanku: żal patrzeć na jego zmagania, jest jak szczenię na smyczy. Podczas karmienia zdejmuję to z niego, ale cały czas patrzę mu na ręce.

Pielęgniarki obawiają się też, że Tato dostanie odleżyn. Szybko traci na wadze, a wiercąc się i szamocząc bez przerwy ociera pośladki i plecy, już całą skórę tam sobie pozdzierał.

Poczynając od czwartego dnia, podczas zmiany pościeli, sadzają go na krześle przy łóżku. Dają mu tak posiedzieć godzinę do dwóch, żeby przewietrzył plecy, przy czym cały czas jest zabezpieczony kaftanem.

Któregoś wieczoru przychodzę na ostatnie karmienie i ze zgrozą stwierdzam, że Tato jest dalej przywiązany do krzesła. Widać wyraźnie ślady defekacji i udało mu się jakimś cudem wyrwać cewnik, więc jest cały przesiąknięty własnym moczem. Przekręcił się tak, że jedna ręka uwięzła mu pod bocznym oparciem krzesła. Zablokowane krążenie: ręka jest sina. Szpitalna koszula podjechała mu aż do pępka i od pasa w dół jest nagi.

Jestem wstrząśnięty. Klękam przy nim; nogi ma lodowate. Wszystko to dzieje się na oddziale chirurgicznym nowoczesnego szpitala, nie w dziewiętnastowiecznym przytułku dla umysłowo chorych. Nie mam pojęcia, od jak dawna już tak siedzi, ale nogi i stopy są całe w czerwonych i białych plamach, mocz na nich zdążył pozasychać.

Naciskam dzwonek i podnoszę raban. Wbiega jakaś pielęgniarka, którą ochrzaniam jak święty Michał diabła. Pomaga mi odwiązać Tatę i zmienić mu koszulę. Układamy go w łóżku. Bardzo chciałbym go jakoś pocieszyć, ale on chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Na drugi dzień wygarniam Ethridge'owi i Santanie. Obaj mówią, że w zwykłym szpitalu trudno się troszczyć o pacjenta w takim stanie jak mój ojciec. Oświadczam, że zabieram ojca do domu, ponieważ Perpetual nie zapewnia mu należytej opieki.

Wracam do domu i staram się unikać Mamy. Chyłkiem wymykam się z puszką piwa do ogrodowej sypialni. Popijam w cichości, próbuję myśleć. Chciałbym zrobić to, co będzie najlepsze dla Taty i dla Mamy, a nie po prostu dać upust własnej złości.

Układam Mamę do drzemki i dzwonię do Joan. Staram się relacjonować jak najprościej, bez artystowskiej egzaltacji, bez dbałości o efekt. Kiedy kończę, następuje długa pauza. Joan płacze.

- To straszne, Jack. Musimy coś zrobić. Mama ma rację: trzeba go zabrać do domu. Potrafiłbyś się nim zająć, gdyby Mama przeniosła się do nas?

- Chyba tak, na pewno zrobię to lepiej niż oni tam w szpitalu. Tylko czy ty sobie poradzisz z Mamą - jest przecież Mario, i w ogóle. Wiesz, jaka Mama jest.

- Poradzimy sobie. Ulokuję ją w pokoju Maryellen, tuż koło łazienki, i będę jak najwięcej trzymać w łóżku. Mario może pracować w garażu albo w ogrodzie. Zresztą, przez te inspekcje placów zabaw dla dzieci i tak nie ma go w domu do szóstej. Mario wszystko rozumie, już ty się nie martw.

A więc postanowione. Kiedy Mama się budzi, mówię jej, co i jak. Chce zostać ze mną i pomagać przy Tacie. Jestem nieugięty. Tłumaczę jej, że to niemożliwe. Dla niej to murowany kolejny zawał, a obojgiem naraz to już naprawdę nie dam rady się zająć. Może wpaść z wizytą, kiedy Tato poczuje się lepiej.

Pomagam jej spakować rzeczy. Wsiadamy do samochodu, Mama wkłada klapki na oczy, a ja wiozę ją do Joan przez Sepulveda, nie autostradą.

Kiedy nazajutrz przychodzę odebrać Tatę, rzuca się na mnie siostra przełożona. Olbrzymia baba, typ matrony. Opowiada z detalami, jak to wczoraj wylali tamtą pielęgniarkę. Ale ja się nie dam tak łatwo udobruchać. Każę jej zejść z drogi. Ci ludzie tutaj myślą wyłącznie o własnych interesach.

Przełożona woła sanitariusza. Tłumaczę mu, jak ma mi pomóc. Kiwa głową i udaje, że słucha. Wspólnymi siłami dopełniamy dzieła. Sanitariusz pomaga mi przebrać Tatę w piżamę i szlafrok. Resztę osobistych rzeczy Taty zabieram w papierową torbę. Popędzam przełożoną, żeby mi wydała zaświadczenie o wypisie ze szpitala i sprowadziła wózek inwalidzki. Noszowy puszcza do mnie oko: oto właściwy człowiek na właściwym miejscu. Wspólnie wmanewrowujemy wózek do windy. Tato siedzi cały drżący, coś mamrocze, gniecie szlafrok palcami. Trudno uwierzyć, że kiedyś był pełnosprawną ludzką istotą. Nawet palce rąk i nóg popodkurczały mu się, a głowa opada, jakby była zbyt ciężka. Przypomina rysunek Van Gogha z domu dla obłąkanych - portret człowieka, który chowa twarz w pięściach. Z tym że Tato nawet do tego nie ma wystarczającej kontroli ruchów.

Toczę go w wózku inwalidzkim na parking i wtłaczam bezwładnego do samochodu. Tato jest całkowicie obojętny na to, co się dzieje. Wiozę go do domu.

Praktycznie trzeba go nieść przez ogródek, po schodkach i do środka. Co prawda ustawia stopy na przemian, ale nie utrzymuje na nich własnego ciężaru: to jakby prowadzić gigantyczną lalkę. Tato jest w starej pilotce, która się przekręciła na bakier. Kiwa głową, coś mamrocze, niepomny na otoczenie.

Postanawiam przebrać go w dzienne ubranie. W końcu nie jest chory, tylko otumaniony. Jestem pewien, że z chwilą kiedy odzyska poczucie własnej tożsamości, będzie dobrze. Zabieram go do sypialni na tyłach, sadzam w fotelu, przebieram. Wkładam mu spodnie, niebieską koszulę, rozpinany sweter, ten od Mamy, i drugą czapkę, tę, którą dostał ode mnie.

Tato sięga ręką w górę, chwyta czapkę i rzuca ją na podłogę. Potem schyla się po nią i omal nie spada z fotela. Wkładam mu czapkę z powrotem na głowę. Tym razem jej nie rusza. Może - taką mam nadzieję - ogrzanie głowy poprawi cyrkulację krwi i ożywi jakieś neurony w jego mózgu. Czepiam się każdej szansy.

Holuję Tatę do dużego pokoju i sadzam w bujanym fotelu. Z ulgą widzę go na starym miejscu, po tych wszystkich dniach, które spędził przywiązany do sterylnego szpitalnego łóżka. Nie wiem, czy jemu to dobrze robi, ale mnie na pewno podnosi na duchu. Zewnętrzny wygląd rzeczy wiele dla mnie znaczy, kto wie, czy nie zbyt wiele; może dlatego zostałem malarzem, żeby przekształcić rzeczywistość na własną modłę.

Czepiam się myśli, że jeżeli tylko uda się nam dalej postępować tak, jakby wszystko

było w porządku, Tato włączy drugi bieg i powróci na właściwy kurs.

Idę do kuchni i zaczynam szykować typowy lunch rodziców: grzanka z serem, i do tego coś ostrego, parę krakersów Ritza i szklanka piwa. Co chwila biegam doglądać Taty. Siedzi sztywno, ze wzrokiem utkwionym w zegar nad telewizorem.

Wnoszę kanapki i rozkładam blat między jego fotelem a Mamy. Zawsze go używają podczas oglądania telewizji. Kiedy tak biegam w tę i z powrotem, Tato kilkakrotnie wychyla się z fotela, jakby chciał wstać, ale nie potrafi zatrzymać bujaka i opada z powrotem.

Włączam telewizor na jeden z ich ulubionych programów “dla kucharek". Rodzice sami je tak nazywają. Tato wpatruje się w telewizor z wyrazem kompletnego braku zrozumienia.

Pochyla się nieco do przodu i wolno wyciąga rękę, jakby chciał wziąć coś z powietrza o jakieś pół metra od twarzy. Powtarza to kilka razy, w końcu przestaje.

Wsuwam mu w dłoń szklankę z piwem, ale on nic. Patrzy na szklankę, patrzy na mnie. Jakbyśmy nie mieli z sobą nic wspólnego, nic z przynależności do jednego gatunku, nie mówiąc już o pokrewieństwie. Pamiętam pokazy szympansów, które przyuczono do picia z filiżanki i jedzenia z talerza: zachowywały się bardziej po ludzku niż mój ojciec teraz. Gapi się tępo w szklankę z piwem i nie ma zielonego pojęcia, do czego służy. Nakrywam jego dłoń swoją, zaciskam wokół szklanki i powoli unoszę do jego ust; dłonie Taty są zimne, drżące. Przechylam szklankę, piwo wlewa mu się do ust. Mniej więcej połowa spływa po bokach, ale resztę Tato połyka. Opuszczam jego rękę ze szklanką i czekam, co będzie.

Nic. Wyjmuję mu szklankę z dłoni, a na jej miejsce wkładam pół grzanki. Potem znów zginam mu ramię i przesuwam ku ustom, ale Tato zaciska wargi z całych sił.

Kroję więc kanapkę na małe kwadraciki i tym razem szczęście mi dopisuje: Tato otwiera usta, żuje, przełyka. W ten sposób pakuję w niego pół kanapki. Tato rozsmakowuje się, widać, że to jest coś, co lubi. Jeszcze raz próbuję z piwem. Tym razem idzie nam lepiej, z tym że Tato nie rozróżnia między jedzeniem a piciem: żuje piwo. Mało brakowało, a odgryzłby brzeg szklanki. Następnym razem postanawiam dać mu w kubku.

Telewizja pokazuje *Szpital Miejski*. To jeden z ulubionych seriali rodziców, ale ja akurat nie jestem w nastroju do oglądania właśnie tego. Tacie chyba wszystko jedno, co jest na ekranie: śledzi ruch i kolory. Szukam po kanałach, aż wreszcie trafiam na program Dinah Shore. Tato ogląda tak, jakby patrzył w kalejdoskop: widzi ruch, słyszy dźwięk, to go uspokaja i trzyma w jednym miejscu, ale chyba nic poza tym.

Gadam do niego bez przerwy: o telewizji, o czymkolwiek, on jednak nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Ogarnia mnie niepokój: cierpliwość nie jest moją mocną stroną, szczególnie kiedy nie czuję wsparcia z drugiej strony. Opowiadam o Joan, o jej dzieciach, o Vron, o naszych dzieciach, o Mamie, o tym, co zapamiętałem z czasów jego pracy w elektrowni, a potem u Douglasa. I nic.

Telewizja jest dobra w dzień, ale wieczorem zaczynają się problemy. Kolorowy ekran rzuca refleksy na dywan.

Rodzice mają w salonie dywan w obłędny wzór. Matka kupiła go twierdząc, że na

takim nie znać brudu. Jest to dywan w maleńkie kolorowe plamki - czerwone, zielone, brązowe, pomarańczowe i żółte - jak płótno szalonego pointylisty, tyle że nie przedstawiające żadnego obrazu.

Miganie blasków z ekranu na tym dywanie wprawia Tatę w istny szał. Co chwila ześlizguje się z fotela na ziemię, maca dywan albo usiłuje skubać światła i cienie, wygładzać je ręką.

Klękam obok niego. Przejeżdżam ręką po dywanie, tłumacząc, że to nic, próbując go uspokoić. Kilka razy dźwigam go z powrotem na fotel, on jednak uparcie znów się ześlizguje.

W końcu ulegam: niech będzie, jak chce, krzywdy sobie nie zrobi, a przynajmniej ma jakieś zajęcie, lepsze od siedzenia w fotelu. Czołga się na kolanach, głaszcze, trze dywan. Zapadła już noc i robi się dziwnie. Tato nie wydaje żadnych dźwięków, słychać tylko tarcie dłoni o dywan. Przypomina mi się, jak Tato uczył Joan i mnie polerować monety.

To potworne widzieć go pełzającego na czworakach, ale co mogę zrobić? Życie nie przygotowało mnie do podobnych sytuacji. Siedzę po ciemku, ogłupiały, a on czołga się po podłodze milczącego domu. Wiem, że należałoby wziąć się za kolację, ale nie potrafię się zmusić do wykonania żadnego ruchu.

Na każdy nagły dźwięk czy zmianę światła z telewizora Tato odskakuje i kuli się, podciągając do pozycji siedzącej. Oto człowiek pierwotny, człowiek, który jeszcze nie stanął na dwóch nogach. Przeraża go każda zmiana, nie rozumie, co się wokół niego dzieje. Jakby przybył z innej planety, z innej gwiazdy: ten świat jest mu całkowicie obcy. Jest dojrzałym stworzeniem o określonych zdolnościach motorycznych, ale bez cienia pojęcia, co z nimi czynić. Czymkolwiek jest, cokolwiek tworzy jego intelekt, pozostaje bez związku ze światem zewnętrznym. Utracił zdolność rozumienia świata, racjonalnego myślenia. Wycofał się w najodleglejsze zakamarki własnego umysłu.

Kucam i wpatruję się w światło nowego dnia. Myślę o tym, że wszyscy w domu jeszcze śpią, bezpiecznie zagrzebani w innych, wewnętrznych światach. Skowronki wylatują spomiędzy traw, fruwają tuż nad wierzchołkami trzcin. Kołują, obracają się w powietrzu, łowią poranne owady. Prawie jak jaskółki.

Zaczynam podejrzewać, że może nastąpiło u niego jakieś poważne uszkodzenie mózgu, które trwale zniszczyło większe partie szarych komórek.

Czepiam się myśli, że gdyby odzyskał kontrolę nad pracą pęcherza i jelit, byłby to wielki krok do przodu. Co godzina wyprowadzam go do łazienki. Czasem skutkuje, zwłaszcza z sikaniem. Wyjmuję i ustawiani mu penis, ale on chce trzymać sam. Z grubsza trafia do sedesu; tylko kiedy się zdekoncentruje, ochlapuje ścianę. Wolę już po nim wycierać, niż ingerować w tę jedyną przyjemność. Mocz ma barwę w zasadzie normalną, bez krwi, ale cuchnie pod niebiosa.

Na kolację jemy niewiele: frytki i hamburgery. Karmię Tatę frytkami po jednej, a

kotlet kroję na drobne kawałki. Zjada mniej więcej pół porcji.

O dziesiątej wieczorem prowadzę go do sypialni. Przemeblowałem pokój tak, żeby mógł w nim sypiać bezpiecznie; zazwyczaj ustawienie jest tu symetryczne: łóżko pośrodku ściany, po obu stronach nocne stoliki. Po stronie Mamy komoda, po stronie ojca szafa. W nogach łóżka toaletka, z blatem pod oknem. Odkąd pamiętam, było to tradycyjne ustawienie mebli w naszym domu.

Poprzestawiałem. Oba nocne stoliki dałem na jedną stronę łóżka. Łóżko dosunąłem bokiem pod ścianę. Trzema krzesłami zablokowałem Tatę przed wypadnięciem na podłogę. Mam nadzieję, że w ten sposób będzie bezpieczny. W szpitalu miał łóżko z bocznymi ściankami.

Rozbieram Tatę i wkładam mu piżamę. Nie mocuje się ze mną; jest nerwowy i niespokojny, ale pozwala mi manewrować swoimi kończynami. Stał się wyjątkowo wrażliwy na dotyk, a może to ja jestem mniej delikatny, niż sądziłem, bo kilka razy, podczas zdejmowania spodni albo wkładania rąk w rękawy, pojękuje i stęka, jakbym mu zadawał ból.

Odsuwam dwa z blokujących krzeseł i układam Tatę w pościeli.

Niełatwo go nakłonić, żeby się rozluźnił i położył. Wolno opuszczam mu głowę, aż wreszcie spoczywa na poduszce. Wpatruje się w różowy sufit, oczy ma szeroko otwarte, prawie nie mruga, jakby coś z napięciem obserwował.

Zaczynam dochodzić do wniosku, że pozycja leżąca stała się dla niego naturalna: może utracił zdolność poruszania się w przestrzeni. Może leżąc widzi wszystko odwrócone o dziewięćdziesiąt stopni - co było górą, teraz jest na wprost - i nie potrafi do tego przywyknąć. To tak, jakby przekręcić do góry kamerę filmową. Usiłuję myśleć jego kategoriami, wejść w niego.

Jego oczy zaczynają wędrować po układzie świateł i cieni na suficie, jak gdyby to był cały nowy świat, co najmniej tak interesujący jak świat pionowy. Widzi jak niemowlę. Gdyby to nie był mój ojciec i gdybym nie był tak zaangażowany emocjonalnie, uznałbym to pewnie za fascynujące zjawisko. Kształty, cienie, barwy i ruchy postrzega zapewne w oryginalny, subiektywny sposób, tak jak chciałby je widzieć artysta i jak ich nigdy zobaczyć nie potrafi.

Układam go więc w pościeli i krzyżuję ręce na piersi. Naciągam kołdrę. Dla ochrony materaca włożyłem pod prześcieradło foliowy obrus, nie jestem jednak pewien, co z kocem elektrycznym. Czy Taty nie porazi prąd, jeżeli zmoczy się w nocy?

Zdejmuję koc elektryczny i narzucam dwa zwykłe pledy wyciągnięte z komody. Przed odejściem nalewam wody do szklanki, unoszę Tacie głowę i podaję przepisane leki plus pięć miligramów maminego valium. Mówię dobranoc i wychodzę, z nadzieją, że jakoś to będzie.

W bocznej sypialni przebieram się do spania. Potem przechodzę do salonu. Szukam czegoś do czytania; nie ma nic, prócz szmatławca Hearsta “Herald-Examiner". Robię sobie małą przekąskę i zasiadam w bujaku poddając się torturze serii artykułów o morderstwach, gwałtach i spiskach komunistów mających na celu destrukcję tkanki moralnej Ameryki. Po pół godzinie idę sprawdzić, co z Tatą. Zerkam ostrożnie przez uchylone drzwi, dbając o zachowanie absolutnej ciszy. Taty nie ma.

Nie wierzę własnym oczom. Otwieram drzwi na oścież i zapalam światło. Łóżko puste! Pokój pusty! Rzucam się z powrotem do hallu i zaglądam do łazienki. Nie ma go! Sprawdzam pokój środkowy, ale i tam go nie ma. Ulotnił się! Przystaję na moment, próbując odzyskać oddech. Zaglądam do kuchni, potem znów do salonu.

Nie wiem, co mi w końcu podsuwa myśl, żeby zajrzeć pod łóżko - i tam on jest. Nie śpi, cicho pojękuje. Powinienem był to usłyszeć, kiedy go szukałem w sypialni, ale szukałem tak intensywnie, że nic nie słyszałem. Tato jęczy i usiłuje przekręcić się na brzuch. Leży na boku, napierając ramieniem na sprężyny łóżka. Łóżko jest niskie, nie może się obrócić.

Próbuję złapać go za nogi, ale odkopuje moje ręce. Na plecy też nie mogę go ściągnąć, bo się zaklinował. Ciągnę go za ramię, ale wtedy jęczy głośniej. Sam się już prawie zaklinowałem pod tym łóżkiem. Ogarnia mnie klaustrofobia. Wyłuskuję się na zewnątrz, żeby zacząć jeszcze raz.

Nie chcę przesuwać łóżka w obawie, że zgniotę Tatę. Unoszę je za jeden róg i podtrzymuję w górze mając nadzieję, że Tato przekręci się na brzuch. Kiedy jednak ostrożnie opuszczam łóżko z powrotem, robi się jeszcze gorzej. Tato skulił się na boku w pozycji embrionalnej, a do tego złapał się w sprężyny. Jęczy coraz głośniej i postękuje z bólu. Natychmiast znów unoszę łóżko.

- Przewróć się, Tato, przewróć się! - wołam i znowu opuszczam łóżko. Teraz już jęczy i krzyczy na całego: miażdżę go! Unoszę łóżko. Mam uraz stawu biodrowego i nie wiem, jak długo tak wytrzymam.

Przyciągam stopą jedno krzesło. Podholowuję je bokiem ku sobie, a jednocześnie winduję łóżko, aż sprężyny spoczywają na krześle. Cały drżę, spociłem się jak ruda mysz. Siadam na podłodze dla złapania tchu.

Zaglądam pod łóżko: Tato dalej leży skulony, ale łóżko już nie opiera mu się na ramieniu. Nie wiem, czy zasnął, ale przynajmniej przestał jęczeć. Zastanawiam się, czy nie ściągnąć pledów z łóżka i nie przykryć go tak jak leży, na podłodze. Jeżeli śpi, za żadne skarby świata nie chciałbym go zbudzić. W pokoju jest ciepło, a dywan gruby, zwłaszcza pod łóżkiem, gdzie nigdy nie był deptany.

Wtedy jednak Tato na nowo zaczyna jęczeć. Zrzucam przepoconą na wylot górę od dresu. Sprawdzam, czy łóżko solidnie opiera się na krześle. Na wszelki wypadek podstawiam jeszcze jedno krzesło. To by dopiero było, gdybyśmy tu razem ugrzęźli: nikt by nie potrafił wyjaśnić, jak do tego doszło. Wczołguję się do Taty.

Przyciskam się ciasno do jego pleców. Oplatam go ramieniem w pasie i zaczynam ciągnąć do tyłu. Cofam się po troszeczku, ciągnąc go za sobą i cały czas uważając na krzesła. Tato się nie wyrywa, tylko jęczy i mocniej kuli się w pozycji embrionalnej. Boję się, czy nie ciągnę za mocno: Tato jest taki kruchy, że wydaje mi się, że mógłbym go z łatwością złamać w pół. Utracił wszelką koordynację ruchów, w każdej chwili może mu się podwinąć ręka albo noga. Po dziesięciominutowych zmaganiach jesteśmy na zewnątrz. Tato dalej się kuli. Oczy ma zamknięte, zaciśnięte.

Obaj jesteśmy cali w kłakach i kurzu. Mama jest chyba najporządniejszą gospodynią na świecie, ale sprężyn pod łóżkiem nie wyciera nawet najporządniejsza gospodyni, a już na

pewno nie taka, która ma siedemdziesiąt lat.

Ściągam z Taty piżamę, manipulując z trudem przez przykurczone ramiona i nogi. Usuwam krzesła podtrzymujące łóżko, a samo łóżko stawiam z powrotem na miejscu. Unoszę Tatę w ramionach: powoli się prostuje. Holuję go do łazienki.

Przecieram go gąbką, usuwam kurz z głowy, rąk i paru innych miejsc. Odprowadzam z powrotem do sypialni, sadzam na skraju łóżka. Oczy ma teraz szeroko otwarte, źrenice jak szpileczki, śledzi bacznie każdy mój ruch. Wyciągam nową piżamę i wtłaczam w nią Tatę. Dokładnie jakbym ubierał gigantycznych rozmiarów oseska.

Potem powoli układam go z powrotem na łóżku i opuszczam mu głowę na poduszkę. Siadam obok i patrzę. Jest niewiarygodnie pobudliwy: wargi i kąciki ust drżą konwulsyjnie, palce rozdygotane, dłonie trą o pościel, którą mu podciągnąłem aż pod brodę. Jest w stanie całkowicie negatywnej antycypacji.

Wyskakuję potem do łazienki, napełniam szklankę wodą i wracam. Tato leży, jak leżał, nie ruszył się. Jedną ręką podtrzymuję mu głowę i wpycham valium w szparę między zębami: jeszcze jedna korzyść z furtki w zębach, poza możliwością plucia na odległość. Wrzucam pigułkę tędy, bo szczęki są mocno zwarte. Tato ssie ją i przełyka jak cukierek. Ostrożnie wlewam mu przez zęby wodę, przełyka. Mam tylko nadzieję, że nie zabijam go tym valium. Jak bym się tłumaczył w śledztwie? To nawet nie jego valium, tylko Mamy. Delikatnie układam mu głowę na poduszce, gaszę górne światło i siadam z powrotem.

Zasypiam tak, półnagi, brudny. Budzę się z głową wtuloną w łokieć oparty na łóżku. Tato śpi. Co za ulga widzieć go rozluźnionego: twarz wygładzona, śpi bezgłośnym, grobowym snem, ale oddycha. Nabieram nadziei. W szpitalu ani rusz nie widziałem, żeby tak spał. Wymykam się po cichutku. Myję się w łazience, a przepocony dres wieszam na pręcie zasłonki prysznica. Wkładam szorty i podkoszulek, po czym gramolę się do łóżka. Jest pierwsza trzydzieści.

Nie wiem, co mnie zbudziło; dochodzi piąta. Postanawiam zajrzeć do Taty. Na palcach przechodzę przez hall i próbuję bezgłośnie pchnąć drzwi sypialni. Nie chcą się otworzyć! Napieram, aż szpara staje się dość szeroka, żebym mógł w nią wsadzić głowę. Tato znów leży na podłodze, przy samych drzwiach, u moich stóp, nagi, skulony, ubabrany kałem! Ma brudną twarz i ręce, i stopy - dosłownie wszystko. Smród ścina z nóg.

Wtedy właśnie czuję, że już chyba dalej nie dam rady. Budzi się we mnie silny zwierzęcy impuls: zatrzasnąć te drzwi i wiać! Chcę uciec najdalej i najszybciej jak się da, wskoczyć do samolotu i znaleźć się w domu. Chcę dzwonić po ratunek do Joan, do szpitala, dokądkolwiek.

Delikatnie otwieram drzwi na całą szerokość. Tato gaworzy, pomrukuje i dygoce. Jest zmarznięty na lód. Nie śpi. Kiedy się nad nim pochylam, patrzy na mnie szklanym wzrokiem, jakby ktoś nagle zapalił nad nim światło - ale bezwiednie. Zdejmuję podkoszulek i podnoszę Tatę z ziemi. Mam, jak już mówiłem, uraz w krzyżu: sam się dziwię, na ile mnie stać. Tato nie jest ciężki, ale swoje sto czterdzieści funtów ważyć musi.

Pakuję go do wanny i puszczam wodę. Mój Boże, jak on wygląda - obraz nędzy i

rozpaczy. We włosach, w owłosieniu łonowym - wszędzie kał. Napełniam wannę po brzegi i szoruję go najstaranniej, jak potrafię. Fetor przenika całą łazienkę. Mama ze dwa razy dostałaby ataku serca. Kiedy go już mniej więcej wyszorowałem, spuszczam brunatną wodę i ponownie napełniam wannę. Spłukuję go czystą wodą, a przy okazji zmywam z własnego torsu i ramion skutki dźwigania go do łazienki.

Tato obserwuje mnie w milczeniu. Spuszczam wodę i wycieram go nie wyjmując z wanny. Błyskawicznie wyskakuję do sypialni po ostatnią czystą piżamę. Jedna jest cała w kurzu spod łóżka, druga w gównie. Następnie wyciągam Tatę z wanny i sadzam na sedesie, na wszelki wypadek. Niech się pozbędzie wszystkiego do końca: nie może tego być dużo, ale ja już nie mam zamiaru ryzykować.

Tym razem wkładamy flanelową piżamę, tę, którą Joan kupiła mu na urodziny.

Wędrujemy z powrotem do sypialni. Łóżko jest, Bogu dzięki, czyste. Musiał najpierw spaść albo zgramolić się na dół. Kładę go tym razem na boku, skulonego w pozycji embrionalnej. Może tak właśnie lubi sypiać. Przykrywam go pledami i obserwuję przez jakieś pięć minut: ani drgnie.

Idę z powrotem do łazienki, napełniam kubeł ciepłą wodą i dodaję trochę płynu do prania. Biorę ręcznik z brudów i pędzę do Taty. Dalej leży spokojnie, ale nie potrafię powiedzieć, czy śpi, czy nie. Fetor jest przerażający. Na ogół dobrze znoszę tego typu świństwa - gówno, śmiecie, rzygowiny - ale to już przekracza nawet moją wytrzymałość. Wymazane jest dosłownie wszystko: ściany, meble, drzwi, a co najgorsze - dywan. Szoruję, trę, skrobię. Mama tak się zawsze bała brudu, ale takiego brudu jeszcze świat nie widział. Mama ma w dodatku szczególną awersję do kału.

Moja osobowość jest, według definicji Freuda, a właściwie każdego, osobowością analną. Lubię przechowywać przedmioty, chomikować, budować gniazda, hołubić i zabezpieczać. I chyba nie bez przyczyny.

Kiedy miałem dwa lata, albo i to nie, zdarzyło się coś bardzo istotnego. Mama do dziś lubi się tym chwalić. Dziwne, właśnie podczas czyszczenia sypialni Taty przypominam sobie to zdarzenie z całą ostrością. Uczciwie mówiąc, sam go nawet chyba nie mogę pamiętać, a jednak wraca do mnie, kiedy kucam na podłodze przy drzwiach szafki: prawdziwe przypomnienie, nie wspomnienie opowieści Mamy, ale moje własne przypomnienie tego, co miało miejsce.

Otwiera jakąś klapkę w mózgu i pozwala mi poczuć nagłą empatię dla Mamy. Zawsze czułem, że powinienem to pamiętać, gdyż musiało we mnie wywołać niebywały szok, a jednak dotąd nigdy sam nie pamiętałem.

Mama “przyuczyła mnie do nocnika", zanim skończyłem półtora roku. Któregoś dnia wystroiła mnie w białe ubranko, bez pieluchy: mieliśmy jechać z wizytą do Południowej Filadelfii do matki Mamy i jej kilku sióstr. Mama chciała się mną pochwalić. “Patrzcie, jakie złote kędziorki; nie do wiary - bez pieluszki!" Matka miała wtedy dwadzieścia lat; powinienem być sprawiedliwy i cieszyć się, że w ogóle żyłem.

Już mnie wyszykowała i wychodzi na chwilę, żeby się wysiusiać albo upudrować. Wraca, a ja stoję na środku czerwony jak burak, roześmiany od ucha do ucha, w rozkroku,

niezwykle z siebie zadowolony. Walnąłem kupę w białe spodenki. W tym miejscu wersja Mamy brzmi, jak następuje: “Mówię ci, sprałam go wtedy jak jeszcze nigdy w życiu. Potem ściągnęłam mu te portki, całe pełne, wsadziłam na głowę i zamknęłam smarkacza w schowku na szczotki".

Właśnie to teraz mi się przypomina. Pewnie z powodu kombinacji smrodu, zapachu drewna, bliskości drzwi i bezradności Taty. Płaczę. Szoruję i płaczę. Może płaczę nad ojcem, ale tak naprawdę chyba nad sobą: nadal opłakuję zdarzenie sprzed pięćdziesięciu lat. Może też płaczę nad Mamą. Mam nadzieję, że tak. Jest w tym płaczu coś z chęci obiecania jej, że już nigdy nie będę.

Wycieram wszystko najstaranniej jak potrafię. Wylewam kubeł do sedesu, myję wannę, wszystko spłukuję i zmywam detergentem. Rozpylam dezodorant sosnowy. Zmieniam szorty i wkładam podkoszulek. Wracam do Taty: dalej leży skulony. Czuję śmiertelne zmęczenie. Jest mniej więcej wpół do siódmej. Brak snu i napięcie zaczynają dawać mi się we znaki.

Tym razem postanawiam zrobić inaczej. Znów blokuję łóżko krzesłami. Układam się w poprzek w nogach łóżka z dłonią na lewej stopie Taty. Nie chcę go przywiązywać. Tak zasypiam, w nogach łóżka. Kiedy się budzę, jest już jasno. Tato leży w łóżku. Patrzę na zegarek - prawie dziesiąta. Tato śpi.

Wszystko dalej śmierdzi. Idę pod prysznic. Nie kąpię się w wannie, mimo że wyszorowałem ją ajaxem. Smród musiał przylgnąć mi do włosków w nozdrzach, bo wciąż go czuję. Myję się błyskawicznie, a wycierając się co chwila wpadam do Taty. Szoruję zęby, ubieram się. Jestem jak matka przy niemowlęciu. Nareszcie rozumiem, co miała na myśli Vron mówiąc, że przez siedem lat nie wyszła do łazienki bez dziecka na ręku.

Około dziesiątej Tato się budzi. Ubieram go. Próbuję podać mu śniadanie jakby nigdy nic. Sadzam go przy drugim końcu stołu. On jednak nie je, tylko bawi się tym, co ma na talerzu. Muszę go nakarmić. Nie stawia oporu: mechanicznie, rytmicznie otwiera usta. Pakujemy w ten sposób dwa jajka, kawałek rogalika i sok pomarańczowy - nie będzie głodny. Obserwuję go uważnie. Ilekroć po coś sięga, trafia obok. Jak półślepy. A kiedy próbuje skorygować ruch, jego ręka wędruje w przeciwnym kierunku.

Nastawiam adapter: tym razem śpiewa Guy Lombardo.

Tato jest w równym stopniu zainteresowany samym jedzeniem co i stołem, nogami od stołu, wzorem na obrusie, no i naturalnie dywanem. Co chwila wychyla się z fotela i usiłuje dotknąć podłogi. Dlatego też na czas zmywania przytraczam go lekko do fotela paskiem od szlafroka. Nic lepszego nie umiem wymyślić.

Ledwie zdążyłem zebrać naczynia ze stołu i wstawić do gorącej wody, widzę, że Tato razem z fotelem leci na ziemię. Podbiegam natychmiast, ale i tak za późno: Tato wali o ziemię z głuchym łoskotem. Podnosi na mnie pytający wzrok - pewnie mu się zdaje, że stanąłem na głowie. Nie czyni najmniejszego wysiłku, żeby się podnieść, tylko cicho pojękuje.

Czuję się jak zbrodniarz. Odwiązuję go i podnoszę. Oglądam dokładnie: na biodrze i

łokciu widzę rozległe, czarnosine ślady. Nie miałem pojęcia, że starzy ludzie tak łatwo doznają urazów. Jeszcze ktoś gotów pomyśleć, że pobiłem własnego ojca.

Dzień jest przepiękny, słoneczny. Kończę zmywanie i wyprowadzam Tatę do ogródka. To jest coś, co oboje z Mamą naprawdę bardzo lubią: siedzieć w ogródku i wystawiać się do słońca. Spełnienie marzeń. Układam Tatę na jednym z sekwojowych leżaków, które sam robił. Włożyłem mu rozpinany sweter, szare spodnie, skarpetki, czarne buty, a także czapkę na głowę. Gdyby tak na niego spojrzeć z boku, nikt by nie poznał, że coś jest nie w porządku.

Sadowię się w leżaku obok i otwieram luźną rozmowę. Usiłuję zgromadzić wszystkie wspomnienia z dzieciństwa związane z Tatą, zadaję mu pytania, a kiedy nie odpowiada, mówię dalej. Opowiadam mu o jego braciach, o siostrach, o rodzicach, o wszystkim, co wiem na temat jego życia. Czuję, że powoli zaczyna słuchać; biernie dostraja się do mojego monologu, ale chyba nic jeszcze nie rozumie. Słucha jak pies albo jak małe dziecko: odbiera tylko nastrój, nie sens wypowiedzi.

Zamykam oczy, wsłuchuję się w dźwięki. Narasta brzęczenie owadów i świergot polnych drozdów. Słyszę, jak zatrzaskują się szklane drzwi: to pewnie Johnny idzie przed pójściem do szkoły nakarmić kurczęta. Muszę się spieszyć na górę z tą wodą.

Po przeszło godzinie Tato porusza się i próbuje coś powiedzieć. Pochylam się do niego jak najbliżej. Mówi głębokim głosem, na przydechu, z silnym zająkiwaniem. Jakby na siłę wyduszał z siebie głos.

- Wściekną się, jak nas tu zobaczą. Kto jest właścicielem tego domu?

Jak bezsensownie, obłąkańczo brzmi to w jego ustach! Ale zawsze to coś, jakieś następstwo słów. Mimo wszystko serce mi się kraje. Sam wybudował ten dom, każdy gwóźdź wbił własną ręką, od ziemi, od fundamentów; framugi, elektryczność, kanalizacja - wszystko sam. A teraz myśli, że to cudzy dom. Odrzuca nawet ten namacalny dowód swojego istnienia.

Niepewnie wyciąga drżącą dłoń i klepie mnie lekko po kolanie; bardzo delikatnie, tak że ledwie czuję - cień dotyku. Znowu dźwiga głowę, patrzy w lewo, w prawo, potem do góry, w niebo. Zupełnie jakby węszył w powietrzu: tak sobie zawsze wyobrażałem węszące świstaki. Znów się do mnie nachyla i szepcze z przejęciem:

- Wyrzucą nas na zbity pysk. Lepiej już chodźmy.

Kładę dłoń na jego dłoni i próbuję zajrzeć mu w oczy: źrenice ma już nieco bardziej rozszerzone, ale nie chce na mnie spojrzeć.

- Spokojnie, Tato, to jest twój dom. Nikt nas stąd nie wyrzuci. Cała parcela należy do ciebie.

Rzuca mi nagłe, pospieszne, ukradkowe spojrzenie, przez jego twarz przelatuje nikły,

drżący uśmieszek. Nie potrafię powiedzieć, czy ma on oznaczać: “Naprawdę? To wspaniale!", czy też: “Chyba zgłupiałeś".

To jedyny kontakt, jaki nawiązaliśmy rano. Przez resztę czasu gadam głównie do siebie. Tato zmajstrował kiedyś mały system głośników połączony z adapterem w salonie, który to system doprowadza muzykę do ogródka. Zakładam na adapter stertę nagrań Binga Crosby'ego, Perry'ego Como i muzyki hawajskiej. Tato i Mama przepadają za pseudohawajską muzyką. Słuchamy, jak Bing Crosby śpiewa “Sweet Lailani", a potem coś o małym zielonym domku. Mam wrażenie, że Tato się odpręża, od czasu do czasu nawet przysypia. Za każdym razem budzi się jednak z nerwową drżączką.

O drugiej przyrządzam lunch: spora porcja piwa i cała kanapka przechodzą Tacie całkiem łatwo. Ja jestem głodny jak pies, więc zjadam dwie kanapki i wypijam jeszcze jedno piwo. Mało nie oszaleję z nudów. Okropne, ale taka jest prawda. Nie wiem, jak wytrzymują ludzie zajmujący się tym zawodowo. To wyjątkowo zniechęcające zajęcie, a ja nie należę do okazów wytrwałości.

O trzeciej zabieram go do domu, żeby spróbował się zdrzemnąć. Znowu zasypia, kiedy leżę przy nim i trzymam go za stopę. Martwię się, co zrobimy, gdy znów nadejdzie noc.

Wieczorem udaje mi się wmusić w Tatę zdrową porcję jedzenia, ale pije niedużo. Obawiam się odwodnienia organizmu. Niechętnie przyjmuje płyny, a ma zdecydowaną biegunkę. Próbowałem podawać mu gorącą czekoladę, ale skończyło się na tym, że o mało nie poparzyłem mu przełyku wskutek jego drżączki połączonej z moim brakiem wprawy w karmieniu płynami.

Znów usadzam go wygodnie w bujaku przed telewizorem. Biegam w tę i z powrotem między zlewem, przy którym zmywam, a Tatą.

Dzisiaj też niepokoi go ten cholerny dywan. Osunął się na ziemię i pełza na czworakach, skubiąc wzory i migotliwe refleksy z ekranu.

Siadam w fotelu Mamy i obserwuję go. Podczołguje się na czworakach, żeby obejrzeć z bliska wazon ze sztucznymi kwiatami stojący na małym stoliku. Jest bardzo uważny, dotyka delikatnie, przypatruje się, usiłuje zrozumieć. Ja komentuję wszystko na bieżąco, objaśniam mu rzeczy, na które patrzy: on jednak nie reaguje.

Potem klęka, kolana na podłodze, ramiona i głowa na kanapie. Klęczy tak przez blisko dziesięć minut: może zasnął. Podkradam się, żeby sprawdzić, czy ma otwarte oczy - tak, szeroko otwarte, powieki nieruchome. Boże, jak to dobrze, że Mamy tu nie ma, że tego nie widzi. Chciałbym, żeby i mnie nie było.

Siadam przy stole jadalnym, skąd mogę mieć na niego oko, i usiłuję napisać list do Vron. Piszę jej, że Tato miał operację, wobec czego muszę przedłużyć pobyt. Piszę, że opiekuję się Tatą po jego wyjściu ze szpitala. I wreszcie nie mogę się powstrzymać: puszczam całą parę. Piszę ten list i na dobrą sprawę płaczę, wiedząc zarazem, że nie powinienem tego robić.

Kończę pisać i dzwonię do Joan. Nie chcę jej martwić, więc mówię krótko, że wszystko w normie, że Tato niewiele się zmienia, ale jakoś sobie radzimy, Joan opowiada, że

Mama gra w serduszka z Maryellen; większej awantury z Mariem jeszcze nie było.

Panicznie boję się nocy. Ubiegłej nocy coś się ze mną stało. Ciemności się nie lękam. Przeciwnie, mam tę przewagę nad większością ludzi, że lubię ciemność. Lubię być sam po ciemku; w ciemności jest dla mnie coś kojącego. Billy boi się ciemności, tak samo Jacky. A Marty to już w ogóle umiera ze strachu.

W młynie długo mieliśmy ubikację w piwnicy. Nie było mowy, żeby Marty poszła tam sama. Kiedy miała czternaście lat, obejrzała film o Draculi i wzięło ją na dobre. Od tego czasu trzymała nawet krucyfiks u wezgłowia łóżka. Nie jest wierząca, ale ma krucyfiks. Założę się, że gdybym dla niej zdobył mały damski pistolecik, spałaby z nim pod poduszką.

Krzyż Marty zrobił wielkie wrażenie na Mamie podczas jedynej wizyty rodziców u nas w Paryżu. Mamę zawsze trapił brak religijności w naszej rodzinie. Nigdy nie było u nas Serca Przenajświętszego ani palemek zatkniętych za święte obrazy, ani żadnych innych parafernalii prymitywnej rodziny katolickiej. Ale Marty miała nad łóżkiem krucyfiks, co znaczyło, że jeszcze nie jesteśmy do końca straceni.

I nagle ja sam zaczynam co chwila widzieć coś kątem oka, tuż poza zasięgiem wzroku. Co chwila znienacka odwracam głowę. Zrobił się ze mnie straszny nerwus.

Rozbieram Tatę i sadzam go na sedesie z nadzieją, że wszystko będzie dobrze. A tu nic. Wkładam mu piżamę i odprowadzam do sypialni. Tato nie ma pojęcia, co się z nim dzieje, jest nieobecny.

Kładę go do łóżka. Co zrobić, żeby uniknąć takiej katastrofy jak poprzedniej nocy? Postanawiam posiedzieć koło niego na krześle i poczytać. W całym domu znajduję tylko jedną książkę: wykaz sposobów na wzięcie się do kupy, kiedy jest się bliskim załamania. To odwieczna biblia Mamy. Roi się od trywialnych, praktycznych dobrych rad, ale nie jest taka zła. Napisana przystępnym językiem, nawet do rzeczy: rodzaj wstępnego elementarza terapii.

Tej właśnie nocy Tato zaczyna błądzić w górze rękami, jakby chwytał fruwające przed oczami motyle. Wyciąga palce, niezwykle ostrożnie, niezwykle delikatnie, usiłując pochwycić coś w powietrzu przed sobą. Ja niczego tam nie widzę, on jednak śledzi coś wzrokiem i starannie zaciska palce, jak dziecko zbierające pyłki ze słonecznego promienia.

Odkładam książkę i kładę głowę tuż przy jego głowie na poduszce. On dalej łowi motyle. Usiłuję zobaczyć to, co on widzi. Czymkolwiek jest to, po co sięga, nie udaje mu się złapać. Pewny niepowodzenia, Tato ponawia ruchy jak ktoś, kto nawleka igłę i stale trafia nitką obok uszka. Nie udaje mu się pochwycić tego, co chce złapać. Nie skarży się jednak, tylko niespokojnie porusza szczękami i ustami: nie mówi nic, wyraża tylko w ten sposób najwyższe osłupienie.

Nakładam dłoń na jego dłoń, która sięga, muska, chwyta.

- Co tam jest, Tato? Co widzisz?

Nie patrzy na mnie; jego wzrok ogniskuje się o dwie-trzy stopy od twarzy.

Kiedy ktoś obok ciebie widzi coś, czego ty nie dostrzegasz, zaczynasz sam czuć się niewidzialny.

Zapalam górne światło - może to coś da, może półmrok budzi w Tacie rodzaj

halucynacji. Tato przerywa na moment i wpatruje się w światło: wtem dostrzega przedmiot swoich łowów i sięga po niego, ostrożnie, cal po calu, wysuwając rękę do góry.

Gaszę górne światło. Tato na chwilę zatrzymuje ruch, ale zaraz zaczyna na nowo.

Gaszę lampkę nocną, żeby się przekonać, co teraz zrobi. Patrzymy na siebie w niezupełnej ciemności. Jest wystarczająco jasno, żebym widział, że Tato już nie łowi. Czymkolwiek jest to, co pragnie złapać, nie fruwa ono po ciemku. Nasłuchuję jego drżenia, bełkotu - “bebebebedebededebgebgebe"...

Oblatuje mnie strach! Przesuwam dłonią po jego czole, po ramieniu i wzdłuż ręki na kocu. Jest tak napięty, jakby miał za sekundę wystartować do biegu na sto jardów. Na jego naprężonym ciele można by z powodzeniem przeprowadzić lekcję anatomii. Kto by się spodziewał takich mięśni u cherlawego staruszka. Inna rzecz, że nieczęsto dotykałem męskich ramion i barków. Poza rysowaniem i malowaniem z modela, nie mam żadnych doświadczeń z męskim ciałem, prócz własnego. Jest zdecydowanie inne w dotyku od ciała kobiety.

Głaszczę Tatę przez jakiś kwadrans, bełkot powoli zamiera. W ciemności nie widzę, czy Tato śpi. Nachylam się nad nim: oddycha płytko, ale trudno mieć pewność.

Sięgam za siebie i zapalam nocną lampkę. Kiedy rozbłyska światło, widzę wlepione w siebie jego oczy. Jakimś cudem dobrze wiedział po ciemku, gdzie ma szukać moich oczu! Wwierca się we mnie nieruchomym spojrzeniem; źrenice jak główki od szpilki. Patrzy na mnie tak, jak teraz patrzy na wszystko, ze swoimi motylkami włącznie. W tym spojrzeniu nie ma rozpoznania, jedynie niejasna ciekawość. Patrzy, jakby głęboko pragnął zrozumieć, czy też poznać, a jednocześnie nie miał nadziei, że to mu się uda. Patrzy na mnie tak, jak ja patrzyłbym w gwiaździstą noc na Drogę Mleczną, niezdolny skojarzyć tego, co widzę, z tym, co wiem.

Uśmiecham się, ale dla niego to nic nie znaczy. Obserwuje i wydaje się zadowolony tak długo, póki nie wykonam jakiegoś gwałtowniejszego ruchu. Po upływie czasu, który jest jak wieczność, kilkakrotnie mruga powiekami. Potem powieki zaczynają mu drgać, na koniec przymykają się powoli, a oczy znikają nad nimi jak słońca zachodzące za pagórki. Kiedy są już wpół przymknięte, źrenice uciekają do góry i Tato wygląda jak martwy. Wsłuchuję się w jego oddech: jest głęboki, spazmatyczny. Wracam do lektury, na krzesło, ale nie mogę się skupić. Mój umysł waha się między nerwową czujnością a zaśnięciem, nie ma dla niego wygodnego miejsca między tymi dwoma biegunami.

Nagle poraża mnie myśl: A jak zasnę? Nie chcę go znowu znaleźć na podłodze. Co robić? Zostawić go nie mogę, a wysiedzieć tutaj całą noc nie dam rady. Decyduję się położyć przy nim na łóżku. Może poczucie bliskości drugiego człowieka dobrze mu zrobi. Całe życie sypiał z kimś; spanie w pojedynkę musi być dla niego potworną zmianą.

Przesuwam go pod ścianę, żeby był zablokowany z mojej strony, wkładam dres do spania, wyciągam się na wznak i wsłuchuję się w jego oddech. Wkrótce zasypiam.

Budzę się z przerażeniem. Budzi mnie jego zapach. Wsparty na dłoniach i kolanach, Tato leży na mnie okrakiem. Leżę płasko na plecach, a on na mnie, z głową dokładnie ponad moją głową. Patrzy mi po ciemku prosto w oczy, prawie dotykając nosem mojego nosa.

Podrywam się tak gwałtownie i szybko, że walę go głową w czoło. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, gdzie jestem, co się dzieje. Ujmuję go za barki i ostrożnie przetaczam na stronę od ściany. Serce łomocze mi po ciemku, czuję, że lada chwila dostanę zawału. Ile napięć potrafi znieść pięćdziesięcioletnie serce? W głowie mi się mąci od tego wszystkiego.

Tato leży obok, cały spięty. Jeszcze raz zapalam nocną lampkę i patrzę na niego. Odwzajemnia moje spojrzenie niewidzącym wzrokiem i natychmiast znów zaczyna łowić motyle. Boże Święty!

Wstaję i wychodzę do łazienki. Wracając do pokoju, czuję nadal odór kału, który wczoraj sprzątałem.

Tato łowi motyle. Kładę się przy nim i oddycham powoli, starając się rozluźnić. I właśnie wtedy, tak leżąc, pojmuję, co on robi: skubie wzór z tapety na ścianie pokoju. Ponieważ w jego percepcji coś szwankuje, widzi kwiatowy wzór tuż przed własną twarzą. Zrywa kwiatki. Przyglądam się jeszcze chwilę i nabieram pewności, że o to właśnie chodzi.

Staczam się z łóżka i wyciągam z komody czyste białe prześcieradło. Drapuję je wokół dwóch niewielkich fotografii, które wiszą na ścianie. Na jednej jest Joan w trzeciej klasie - zdjęcie ze szkoły Świętej Alicji w Filadelfii. Joan z całej siły wciska kciuki w stojącą przed nią ławkę. Na drugim zdjęciu jestem ja, jako siódmoklasista, w tej samej pozie. Zdjęcia te wiszą na ścianie, odkąd rodzice wprowadzili się do tego domu, już przeszło dwadzieścia pięć lat. Zawieszam na nich prześcieradło, przesłaniając w ten sposób całą ścianę. Potem wracam do łóżka i kładę się obok Taty.

Uspokaja się prawie natychmiast. Co jest, u licha, z tym jego wzrokiem?

Opasuję go ramieniem przez pierś. W ten sposób będę wiedział, kiedy się poruszy. Leżę zatem na boku, obejmując go ramieniem. Czuję, jak jego ciało napręża się, drży, podryguje, skacze - jak u śpiącego psa.

Nie mogę zasnąć. Za każdym razem, kiedy on się z pozoru uspokaja, a ja zapadam w sen, podryguje nagle, wierzga nogą albo wymachuje ręką. W końcu jednak musiał się uspokoić, bo jednak zasypiam. Jestem tak zmordowany, że usnąłbym i na gwoździach.

Tym razem budzi mnie cios, w samo oko. Tato gwałtownym ruchem wyrzucił w bok ramię i rąbnął mnie prosto w twarz. Krew leci mi z nosa, mam przeciętą wargę. Dołożył mi solidnie.

Idę do łazienki zobaczyć, jak wyglądam. Istny owoc chuligańskiej burdy. Z nosa już mi nie leci, ale warga jest rozcięta od wewnątrz. Ósma rano. W ogóle nie czuję, żebym spał.

Za to ojciec przeleżał w łóżku dziewięć godzin, z czego większą część przespał i to całkiem nieźle. Kiedy wracam do sypialni, oczy ma już otwarte. Prowadzę go do łazienki. Jakoś się trzyma na nogach, muszę nim tylko sterować. Siada na sedesie, sika i robi kupę. Nie nawykłem do podcierania dorosłego człowieka. Zawód pielęgniarki zdecydowanie nie jest moim powołaniem - powoli się utwierdzam w tym przekonaniu. Prowadzę go z powrotem do sypialni i pomagam się ubrać. Jest w lepszej formie niż ubiegłego wieczoru, bardziej przytomny. Nawet trochę pomaga mi przy wkładaniu rękawów koszuli i unosi się, żebym mógł naciągnąć mu spodnie.

Daję mu śniadanie, potem wyprowadzam do ogródka, sadowię na leżaku i włączam

muzykę. Cały czas mówię, a on mi odpowiada. Moje paplanie znaczy dla niego tyleż mniej więcej co skrzek wiewiórki.

Nagle, tak jakoś po południu - nie mam pojęcia jak i dlaczego - następuje punkt zwrotny: Tato prostuje się w fotelu i zaczyna odbierać otoczenie. Odwraca głowę i patrzy na mnie, prosto w oczy, z dziwacznym błyskiem rozpoznania. Zdumiony pochylam się ku niemu, on zaś wskazuje palcem w głąb ogrodu.

- Mandy polazła w szkodę, Ed.

Co za Ed, co za Mandy, w jaką szkodę? W głowie mi się kotłuje. I to wszystko: potem Tato jeszcze tylko parę razy kiwa głową, jakby sam sobie potakiwał, co jest jego odwiecznym zwyczajem. I z powrotem osuwa się w głąb leżaka. Próbuję coś zrozumieć. Ed to musi być jego o rok starszy brat. Obaj chowali się na wsi w Wisconsin.

Najlepiej poddać się biegowi myśli Taty.

- Nic się nie martw, Jack, wszystko jest w porządku. Chcę go zatrzymać w tym stanie umysłu. Czekam. Po kwadransie pada:

- Jim, podaj no mi klucz francuski, osiemnastkę.

- Już daję.

Zaczyna dopasowywać do siebie dwa przedmioty. W lewej ręce trzyma niewidzialny obiekt i dociska do niego drugi niewidzialny obiekt, trzymany w prawej ręce. Zwiera z całej siły, zaciskając zęby. Próbuje nacisków pod różnymi kątami, postękując z wysiłku w maksymalnym skupieniu.

- Jak ci idzie, Jack?

On jednak dalej mocuje się z niewidzialnymi częściami. Nie odpowiada.

Były to dwie przełomowe chwile tego dnia. Układam go do drzemki, a sam też pakuję się do łóżka razem z nim. Zasypiam, nie wiedząc, czy on też śpi, czy nie. Tym razem nie podbija mi oka ani nic z tych rzeczy: spędzamy obok siebie dwie spokojne godziny.

Potem gotuję obiad, jemy. Po obiedzie włączam telewizor. Światło zostawiam zapalone. Sadzam Tatę w bujaku, a sam sadowię się nieco z tyłu. Kołyszę go jak dziecko w kolebce, tak jak sam to zwykle robił: oglądając program, bujał się nieznacznie całym ciałem. Chciałbym odtworzyć jego dawną rzeczywistość najwierniej jak tylko można.

Nic to jednak nie daje. Tato zaczyna wychylać się z fotela, w końcu opada na czworaki. Znowu zgarnia na kupkę swoje zwidy i skubie wzory z dywanu. Raczkuje w ten sposób do hallu i dalej, do łazienki. Zagląda w głąb sedesu, tak jak to robią psy: tylko czekam, kiedy zanurzy głowę i zacznie pić. Dźwiga się na nogi, opierając ręce o brzegi umywalki i patrzy na własne odbicie w lustrze: nie rusza się, nie robi nic, tylko patrzy. Potem łapie za kurki gorącej i zimnej wody i zaczyna je ciągnąć do siebie. Nie próbuje kręcić, tylko ciągnie. Prowadzę go z powrotem do dużego pokoju i sadzam w fotelu.

Wszystko zaczyna się od nowa. Tato kilka razy powtarza obrządek oglądania framugi drzwi. Obserwuję go i staram się zrozumieć, jak myśli.

Jedwabiste uszka wypełnione ziarnem, z każdego pojedynczego ziarenka sterczy lśniący włosek. Ostrożnie zapuszczam w każde ucho po kropli oliwy. Niektóre kolby mają po cztery i pięć, powinny być piękne plony.

Z nieba praży słońce, ale ziemia pod stopami ciągle jest wilgotna, osłonięta od słońca i wiatru. Wokół mnie unoszą się połyskliwe, pobłyskujące błękitnawo, zielone, rozłożyste liście i ciężkie od pyłku kity. Ostrożnie, powoli, stąpam przez dżunglę, którą sam stworzyłem, otrząsając świeży pyłek w rozwarte krocza wyczekujących liści. Lekki powiew wiatru. Przystaję i nasłuchuję grzechotania i klekotu kłaniających się ku sobie kit i pozwijanych liści.

Co z nim jest? Kim jest ten gigantyczny osesek? Czy taki właśnie był jako dziecko? Czy powrócił w świat dzieciństwa, niepomny całego życia? Nic nie zostało? Czy to możliwe, żeby całe życie człowieka nagle przepadło - ot tak? Jakby ktoś przeciągnął ogromnym magnesem nad taśmami pamięci komputera i wszystko do cna wymazał. I komputer, i taśmy wyglądają tak samo jak przedtem, tylko że już nic w nich nie ma.

Kończy wędrówkę wyciągnięty płasko przed telewizorem jak martwy Indianin z kowbojskiego filmu. Mam zbudzić Tatę? Co robić? Trudno podjąć decyzję. Przynoszę koce i okrywam go. Pod głowę wsuwam mu poduszkę, ostrożnie, żeby nie przerwać snu. Śpi głęboko.

Usiądę w fotelu i będę miał na niego oko. Zamykam wszystkie drzwi na dwór, zaciągam żaluzje. Do hallu ani do kuchni nie ma stąd drzwi, ale mogę przynajmniej pozamykać te, które prowadzą z hallu do innych pomieszczeń. Teraz czuję się bezpieczny, nawet gdybym miał zapaść w drzemkę.

Robię wszystko to, co się robi przy dziecku. Ze stolika do kawy i niskich stoliczków usuwam wszelkie szpargały, którymi mógłby sobie wyrządzić krzywdę. Wracam na fotel bujany, telefonuję do Joan i mówię jej, że wszystko gra. Joan komunikuje mi, że Mama sprawuje się przykładnie. Mario schodzi jej z oczu jak może. Odkładam słuchawkę i po pięciu minutach już śpię.

Kiedy się budzę, Taty znów nie ma! W pierwszej chwili tracę głowę. Próbuję opanować panikę. Przecież nie mógł odejść daleko, na pewno jest w kuchni. Idę do kuchni - pusto. Przeszukuję hall - nie ma go. Drzwi do sypialni i łazienki są dalej zamknięte. Biegam od jednych do drugich, sprawdzam wnętrza. Nigdzie ani śladu.

Co jest, do cholery, przecież to nie pałac, nie ma nawet tysiąca stóp kwadratowych. Pospiesznie sprawdzam drzwi od frontu i od podwórza - pozamykane. Wracam biegiem i zaglądam pod łóżko Taty, za drzwi, do szafy, pod komodę, pod toaletkę. Ogarnia mnie rozpacz. Co powiem Mamie i Joan, jeżeli go nie znajdę?

Idę do środkowej sypialni, sprawdzam pod łóżkiem, w szafie, pod meblami. Chyba zaraz zacznę wyciągać szuflady, żeby sprawdzić, czy tam go nie ma. Wybiegam do kuchni, zaglądam pod stół, do pieca. Wracam do dużego pokoju, szukam za kanapą, za fotelem. Już

wszystko przeszukałem. Oto klasyczna zagadka zamkniętego pokoju. Co stało się z ciałem? Poszło sobie i już - może przeniknęło przez ścianę. Może Tato stał się niewidzialny. Wszystkie te myśli przelatują mi przez głowę. Incydent z “niewidzialnymi motylami" wywarł na mnie silniejsze wrażenie, niż myślałem.

Opadam na bujak. Może należałoby wezwać policję? Nie, muszę rzecz przeanalizować. Biorę kilka głębokich oddechów systemem jogi. Wstaję i jeszcze raz starannie obchodzę wszystkie drzwi. Na pewno nie wyszedł na zewnątrz: haczyk oszklonych drzwi tkwi na miejscu. Nawet gdyby ni stąd, ni zowąd odzyskał siły i rozum, otworzył drzwi, wyszedł sobie jakby nigdy nic i zamknął za sobą, żadną miarą nie mógłby przecież założyć z powrotem haczyka!

Wtem widzę, że nie sprawdzałem jeszcze jednych drzwi. W hallu, po lewej stronie zaraz za kuchnią, a przed drzwiami do łazienki, są żaluzjowe drzwi prowadzące do małego schowka rozmiarów dwie na trzy stopy, z grzejnikiem w środku. Trzyma się tam również odkurzacz i szczotki. Mobilizuję całą swoją odwagę i otwieram drzwi.

Otwieram, nie spodziewając się właściwie, że go tam znajdę. To po prostu jedyne miejsce, które jeszcze zostało do sprawdzenia.

Stoi plecami do mnie, ubrany, przywarty do grzejnika. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zamknął drzwi od środka. Nie mam pojęcia, jak długo już tu stoi - wystarczająco długo jednak, żeby narobić w spodnie. To zdumiewające, że nie poczułem go przez drzwi - chociaż, z drugiej strony, nos mam jeszcze ciągle znieczulony po incydencie w sypialni.

Stoję jak wryty, serce mi wali, łeb mam jak balon.

- Hej, Tato. Co tu robisz?

Odwraca się na dźwięk mojego głosu. Przez kilka sekund patrzy na mnie, po czym odwraca się z powrotem do grzejnika. Łagodnie ujmuję go za ramię i wyprowadzam do łazienki. Nie stawia czynnego oporu, ale wyczuwam w nim niechęć, bardzo słabą, ledwie możliwą do zarejestrowania. Wolałby zostać w schowku.

Jest druga trzydzieści nad ranem. Rozbieram go, doprowadzam do ładu, nalewam wody do wanny i wrzucam do niej brudne ubranie Taty. Wycieram go jak najstaranniej i ubieram w świeżo wypraną piżamę. Odprowadzam do sypialni. Jestem u kresu wytrzymałości nerwowej; jeszcze trochę, a nie wytrzymam.

Trzymam go teraz w ramionach, opartego o ścianę hallu, i boję się otworzyć drzwi do sypialni. Otwarcie jakichkolwiek drzwi staje się dla mnie próbą nerwów. Obiecuję sobie, że do Joan zadzwonię dopiero rano. Potrzebuję czasu, żeby się trochę pozbierać.

W końcu wprowadzam Tatę do sypialni i układam na łóżku; leży sztywno jak kłoda. Mamrocze i postękuje, a od czasu do czasu skamle jak szczeniak. Co robić? Rozważam pomysł skrępowania mu rąk, żeby mi nie mógł przyłożyć tak jak wtedy - twarz mam jeszcze obrzmiałą i obolałą, bardzo bym nie chciał znów oberwać w oko. Przynoszę do sypialni swój nocny dres i przebieram się, cały czas popatrując na Tatę z nadzieją, że zaśnie. Włażę za nim do łóżka. Tym razem układam się tak, jak śpię zwykle z Vron.

Vron na ogół śpi plecami do mnie, a ja przytulam się do niej od tyłu, kolana w kolana, i obejmuję ją ramieniem. W ciągu nocy zmieniam pozycję, ale tak zasypiam.

Bardzo lubię spać z kimś. Spanie z drugim człowiekiem to dla mnie jedna z największych przyjemności - a może konieczności - w życiu. Jestem przekonany, że ludzie dopiero od niedawna wymyślili spanie w pojedynkę. Znerwicowanie naszego świata jest pewnie po części produktem jednoosobowych łóżek i pojedynczych sypialni.

Okrutne jest zwłaszcza zmuszanie dzieci, żeby spały same w ciemności; dla dziecka czas upływa inaczej, wolniej.

A Tato jest teraz jak dziecko. Śpię razem z nim. Jest drobny, a mimo to, kiedy tak leżymy, wydaje mi się ogromny. Nigdy dotąd nie spałem z mężczyzną. Sypiałem, co prawda, metodą “na łyżeczki" pod pałatką albo w okopie, ale każdy miał swój pierdziworek i nie było bezpośredniego kontaktu fizycznego - tłumok-tłumok i tyle. Mężczyzna ma inny niż kobieta zapach, dotyk, szerokość pleców, klatki piersiowej - i ta ogólna twardość, wrażenie gęstości ciała, to coś zupełnie nowego.

W tym ułożeniu, jeżeli zajdzie potrzeba, będę go mógł przytrzymać siłą.

Śpimy. On śpi, ja śpię. Przesypiamy całą noc jak aniołki. Nie ruszamy się, ani ja, ani on. Boże, jak to przyjemnie!

Budzę się o dziewiątej, a Tato dalej śpi, pochrapuje z cicha. Ostrożnie wyłuskuję się z pościeli. Tato leży na boku, skulony w pozycji embrionalnej. Naciągam mu koc aż pod brodę. Niech śpi, ile zechce. Nawet i trzydzieści sześć godzin z rzędu - ja nie mam nic przeciwko temu. Mierzę mu puls: jest wolny, regularny.

Idę do łazienki, a tam w wannie wciąż moczą się zafajdane ubrania. Może czekałem, żeby je krasnoludki wyprały. Nalewam gorącej wody, trę i płuczę, aż woda jest całkiem czysta, bez śladu żółci. Rozwieszam na sznurze za domem. Szoruję ajaxem wannę i napełniam ją prawie po brzegi. Cały czas zerkam, co z Tatą - przestał istnieć dla tego świata. Zanurzam się w wodzie i próbuję rozluźnić ciało.

Moczę się tak z dziesięć minut, jeszcze raz sprawdzam Tatę, ubieram się. Robię śniadanie po swojemu: trzy jajka z plasterkami sera na wierzchu i odrobiną kanadyjskiego bekonu. Przygotowuję dla Taty zestaw leków - i robi się prawie wpół do jedenastej. Co chwila sprawdzam, czy się nie obudził, ale on dalej śpi. Zmywam, z grubsza sprzątam cały dom, zamiatam w salonie, w kuchni, w łazience i w hallu. Omiatam patio. Jest prawie południe.

Zaczynam się denerwować. Może miał wylew. Może jest w stanie agonalnym. Może dawałem mu za mało jedzenia albo za mało płynów, i dlatego umiera.

Obliczam, że śpi od dwunastu godzin. Nie licząc tego, co przedrzemał udrapowany na grzejniku w schowku.

Po cichu wchodzę do sypialni, rozsuwam zasłony, otwieram rolety. Zawsze są szczelnie zamknięte, nawet za dnia pali się tu światło. Resztki mentalności biedoty: w sypialni ma być zawsze ciemno. Może ma to jakiś związek z pracą zmianową w fabrykach? Tato kiedyś sporo pracował systemem zmianowym, zdaje mi się, że przez cały czas, który przemieszkaliśmy w Kalifornii. A może zaciemnianie sypialni to obyczaj irlandzki albo francuski?

A jednak muszę wpuścić do tego pokoju trochę światła i powietrza. Inaczej nigdy nie pozbędę się smrodu. Chcę też wygnać ciemne, podłe duchy, a wpuścić dobre wróżki i słońce.

Siadam w otwartym oknie. Żar leje się z nieba, więc rozpinam koszulę i zapadam w drzemkę, siedząc na krześle z głową opartą o ścianę.

Budzę się, jest druga po południu. Tato już nie śpi, nie wiem od jak dawna. Leży na plecach. Nie drży, nie trzęsie się, oczy ma spokojniejsze. Nagle widzę, że cała jego twarz jest mokra od łez. Leży i płacze. Łzy spływają mu po policzkach. Przysuwam się bliżej. Poduszka przemokła na wylot. Płacze cicho, to nie jest szloch, tylko długi, ciągły, niekontrolowany płacz.

Głaszczę go po głowie, kładę dłoń na jego dłoni. Po raz pierwszy łapie mnie za rękę i przytrzymuje.

- Co się stało, Tato? Przecież wszystko jest dobrze.

Zaczyna płakać jeszcze bardziej. Zanosi się płaczem, szlocha. Nie chce na mnie spojrzeć. Oczy ma rozwarte, wpatrzone w sufit, szlocha spazmatycznie. Cały czas mówię do niego, pocieram dłonią jego dłoń, jego druga ręka zaciska się na mojej.

O co tu może chodzić? Co jest przyczyną? Unoszę go ostrożnie, przesuwam do krawędzi łóżka, tak żebym mógł go ubrać, a on przez cały czas płacze. Rzadko się widzi, żeby mężczyzna tak płakał, tak przejmująco, bez histerii.

Opatulam go i wyprowadzam na patio. Kładzie głowę na oparciu leżaka i płacze. Patrzę na niego przez chwilę, potem wchodzę do domu, żeby zrobić coś do jedzenia. Czuję się kompletnie bezradny. Naprędce przyrządzam kanapkę z serem, nalewam piwa do szklanki. Kiedy wracam, widzę, że nawet się nie ruszył. I wciąż płacze. Odwodni się przez sam ten płacz.

Nie udaje mi się nakłonić go do jedzenia. Nie chce otwierać ust, a kiedy siłą wpycham mu kęs kanapki, nie chce żuć. Nie stawia oporu, tylko po prostu nie zwraca uwagi na jedzenie, nie dostrzega go. Próbuję wlać mu trochę piwa między zęby -krztusi się. Poszło do tchawicy. Jeszcze go wpędzę w chorobę płuc! Siedzę tak z pół godziny, trzymając go za ręce, w nadziei, że to w końcu ustanie, że Tato się wypłacze. Płacz jednak trwa i trwa.

Wskakuję do domu, łapię przenośny telefon, tak żebym mógł rozmawiać siedząc na schodkach i nie spuszczać Taty z oka. Dwonię do Joan. Telepatia czy co - jeszcze nie zdążyłem otworzyć ust, Joan jeszcze nie może być pewna, że to ja, a już woła:

- Co się stało, Jack? Co się dzieje?

- Nie wiem, co się stało, Joan. Tato płacze i nie może przestać. Obudził się z płaczem i cały czas płacze.

- Matko Boska! Co mogę zrobić?

- Może byś tu wpadła, Joan? Ja już wysiadam.

- Oczywiście. Zaraz będę. John i Maryellen powinni lada chwila wrócić, przypilnują Mamy. Dzwoniłeś do doktora Ethridge'a?

Słucham Joan, a patrzę na Tatę. Nie zwraca uwagi ani na mnie, ani na to, co robię.

- Dobra myśl, Joan. Zadzwonię do Ethridge'a. Strasznie mi przykro, że ci zawracam

głowę, ale wyraźnie widzę, że nie nadaję się na pielęgniarkę. Dzięki Bogu, że nigdy nie poszedłem pracować do szpitala psychiatrycznego: myślę, że po miesiącu byłbym największym świrusem na świecie.

- Pamiętaj, Jack, że to jest twój ojciec. Żaden lekarz nie leczy własnej rodziny.

Jak dobrze słyszeć jej spokojny, zrównoważony głos. Nie chce mi się odkładać słuchawki.

- Dobra, Joan. Dzwonię do Ethridge'a i czekam na ciebie. Jak przyjdziesz, zrobię może jakieś zakupy albo przepierkę. Nie mam już czystej bielizny ani skarpetek.

- Przyniosę to, co już wyprałam, jest też trochę twoich rzeczy. Będę koło czwartej, w ten sposób uniknę jazdy w godzinach szczytu.

- Dobra, ale uważaj. Nie potrzeba nam kolejnych ofiar. Oddział nagłych wypadków pęka w szwach.

- Dobra, dobra, ty kwoko. Będę uważać.

Śmieje się cicho, jak wspólnik. W takim łagodnym, pełnym zadowolenia śmiechu jest coś kojącego, dobroczynnego, nawet jeżeli wszystko stoi na głowie. Gdybym tak mógł zamknąć ten śmiech w butelce albo go nagrać na taśmie i odtwarzać po korytarzach zakładów psychiatrycznych, w trzy miesiące opustoszałyby one do połowy. Odkładam słuchawkę.

Wyciągam wizytówkę Perpetual i kręcę numer Ethridge'a. Tato siedzi na wprost mnie i ciągle płacze.

Po zwykłych korowodach łączą mnie nareszcie z Ethridgem. Mówię mu, że Tato jest ze mną w domu, zgodnie z zaleceniem doktora Santany. Odpowiedź jest chłodna; Ethridge jeszcze się dąsa i odgrywa ważniaka.

- Nie wiem dlaczego, doktorze, ale ojciec od dłuższego czasu płacze. Przepłakał cały ranek, odmawia posiłków i nie reaguje. Chwila ciszy.

- Czy wygląda to na stan depresji?

To na pewno logiczne pytanie, ale mnie wydaje się skrajnie głupie. Nie, panie doktorze, nie popadł w depresję, tylko płacze.

- Powiedziałbym, że tak. Nawet bardzo.

- Trzeba mu w takim razie podać trochę elavilu, to go uspokoi. U starszych osób po operacji zdarzają się tego rodzaju silne depresje.

Rozmawiamy jak o szczeniaku, któremu przytrafiła się robaczyca.

- Jeżeli może pan przyjechać do szpitala, zostawię receptę w punkcie aptecznym.

Po głosie sądząc, on już “odłożył słuchawkę". A niech tam. Przez chwilę siedzę ze słuchawką w ręce, niezdolny do najmniejszego wysiłku. Czuję się odcięty od rzeczywistości. Potrzeba mi więcej magicznego śmiechu Joan.

Siedzę z Tatą na patio, trzymam go za rękę. Nastawiłem muzykę hawajską i zdjąłem koszulę, żeby złapać trochę słońca. Niech i ja coś z tego mam - choćby opaleniznę. Trzymam Tatę za rękę i wyobrażam sobie, że to mój miodowy miesiąc i siedzę na pokładzie statku płynącego na Hawaje - szajba, nie ma co!

Joan przyjeżdża z upranymi rzeczami i pieczenią przygotowaną w domu. Przekazuję jej, co powiedział Ethridge. Joan kupuje pomysł i każe mi natychmiast lecieć po lekarstwo.

Siada koło Taty, patrzy na jego zapłakaną twarz i sama zaczyna płakać. Ujmuje go za ręce, próbuje ściągnąć na siebie jego uwagę, on jednak ani na nią nie spojrzy. Dopiero kiedy go całuje, składa usta w ciup, jak to zwykle robił przy pocałunku. Robi to prawie instynktownie, jak noworodek, który włącza odruch ssania, kiedy mu dotknąć ust. Po pocałunku jeszcze z pięć minut trzyma usta w ciup. W jego wyrazie twarzy nie zaszły przy tym żadne zmiany, jedynie to wydęcie ust.

Joan mówi, że sytuacja u nich w domu z Mamą staje się nie do zniesienia. Mama narzuciła Mariowi podwójną rolę przywódcy mafii i Nerona. Mówi o nim “Bógwico" i dyskredytuje go w oczach dzieci. Joan martwi się, że już niedługo zdoła powstrzymać Maria przed wybuchem. Przekonała się, że Mama dąży do zdominowania każdego środowiska, w którym się znajdzie.

- Coś ci powiem, Jack. Gdyby Mama urodziła się trzydzieści lat później, byłaby z niej wzorowa feministka.

Opowiadam jej niektóre przygody z Tatą. Joan wczuwa się w sytuację: w zabawnych miejscach wybucha śmiechem, klepie mnie po ramieniu, płacze, kiedy opowiadam coś smutnego. Tato siedzi obok, bezgłośnie zalewając się łzami. Trudno uwierzyć, że człowiek może płakać tak długo, bez chwili przerwy. Płacze już ponad trzy godziny - tyle przynajmniej ja widziałem.

Pędzę do szpitala, odbieram elavil. Kiedy wracam, Joan siedzi koło Taty. Kręci głową.

- Johnny, to okropne. On nawet na mnie nie spojrzy. Zachowuje się jak dzieciak, który nabroił i czuje się winny. Co się mogło stać?

Rozdrabniam dwie tabletki elavilu do szklanki wody. Pigułkami na pewno by się zadławił. Nie wiem, co powiedzieć Joan. Dla Joan jestem jedyną osobą w rodzinie, która zna się nieco na psychologii. Nie wiem, nie mogę wykombinować, o co tu chodzi. Joan odchyla głowę Taty do tyłu, ja zaciskam mu nozdrza i powoli wlewamy elavil w szparę między zębami. Bogu dzięki, tym razem przełyka.

Siadam i czekam. Nie mam pojęcia, jak szybko ten środek działa. W domu Joan szykuje obiad. Po jakichś piętnastu minutach Tato przestaje płakać. Jakby łzy nagle przyschły mu do oczu. Przestaje szlochać, za to zaczyna na nowo mamrotać i poruszać ustami. Twarz wykrzywiają mu przelotne skurcze, przypominające reakcje na drobne ukłucia bólu. Wołam na głos:

- Joan, chodź tu, popatrz. Niewiarygodne są te dzisiejsze leki. Nie minęło pół godziny, a przestał płakać, jak nożem uciął. Już nie wygląda na smutnego.

Joan wychodzi z domu i nachyla się nad Tatą.

- Na zadowolonego też nie. Wygląda, jakby w jego głowie rozgrywała się potężna wojna.

W jakieś dziesięć minut później Tato staje się... trudno to określić: zdradza nadmierną wrażliwość na każdy dźwięk, każdą zmianę światła, każdy ruch. Nawet własny oddech wprawia go w popłoch. Jest w stanie silnego pobudzenia nerwowego, każda część jego ciała porusza się, wibruje, podryguje, skacze.

Pamiętam, jak kiedyś w Kalifornii pralka zerwała nam się z podłogi, a ja próbowałem

utrzymać ją w miejscu. Pralka skakała jak szalona, a ja mocowałem się z nią i darłem się do Vron, żeby wyciągnęła wtyczkę z kontaktu.

Pochylam się nad Tatą, chcę go przytrzymać. Przecież może się całkiem wyczerpać. Przez cały dzień nic nie jadł, a teraz traci kalorie w zawrotnym tempie.

- Boże święty, Joan! Ale on się ożywił! Może tak właśnie powinien działać elavil, ale dla niego to na pewno niewskazane.

Joan oplata ramionami nogi Taty. Oboje przemawiamy do niego, staramy się go uspokoić, cały czas mocno trzymając w miejscu.

Muszę mu podać środek uspokajający, zanim się całkiem rozsypie; długo tak nie wytrzyma. Pędzę do pokoju Mamy po valium. Rozgniatamy proszek i odrobinę wmuszamy Tacie przez zęby. Mierzę mu ciśnienie: dwieście dwadzieścia na sto dziesięć. Puls jest tak przyspieszony, że nie mogę policzyć: trzepotanie.

Joan trzyma Tatę, a ja dzwonię do szpitala i z trudem przedzieram się do Ethridge'a. Mówię mu, co się dzieje i co dotychczas zrobiłem.

- Kto mierzył ciśnienie pańskiemu ojcu, panie Tremont?

- Ja sam, panie doktorze.

- A pan myśli, że kim pan jest, panie Tremont, lekarzem? Zdaje się, że mierząc Tacie ciśnienie wlazłem mu na ambicję zawodową. I zaraz wyjeżdża z następnym:

- Czy ma pan uprawnienia do przepisywania leków, panie Tremont?

Zdaje mi się, że nadszedł czas na niewielkie oszustwo. Nawet się nad tym specjalnie nie zastanawiam, tylko walę:

- Doktorze Tremont, doktorze Ethridge. Owszem, mam uprawnienia do przepisywania leków. Wystawianie recept wchodzi w zakres moich uprawnień jako członka Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego. A pańska postawa, doktorze, bardzo mi się nie podoba - jest wysoce nieetyczna i niestosowna w sytuacji nagłego wypadku.

W rzeczywistości przeszło dwadzieścia lat temu przestałem być członkiem ATL. Pozwalam sobie niemniej na drobny luksus kłamstwa. Pauza. Daję mu szansę zabrania głosu, ale nie korzysta.

- W tej chwili, doktorze Ethridge, proszę pana tylko o jedno, i to jak najszybciej: o poradę, jak zniwelować skutki działania elavilu, który pan sam przepisał przez telefon.

Tu go mam - wiem o tym. Znów dłuższa pauza. Przysięgam sobie, że jeżeli teraz odłoży słuchawkę, to krew się poleje.

- No cóż, panie Tremont, mnie pańska postawa też nie zachwyca. Co do pańskiego ojca, może powinien pan po prostu odczekać, aż się całkiem uspokoi albo aż depresja się pogłębi, zanim poda mu pan następny elavil. To valium, które mu pan dał, powinno go uspokoić, możliwe jednak, że wtedy znów wpadnie w depresję. Musi pan eksperymentować, aż działania się zrównoważą. Jeżeli to się nie uda, proszę go przywieźć do szpitala.

Mówię dziękuję i odkładam słuchawkę. Lepiej się wyłączyć, zanim powiem głośno, co myślę.

Trwa to dobrą chwilę, ale Tato powoli się wycisza. Joan i ja siedzimy obok, zagadujemy go, rozmawiamy ze sobą. Dochodzimy do wniosku, że dalej tak nie damy rady.

Mama u niej w domu wariuje, Tacie się nie polepsza - jesteśmy przyparci do muru. Tato nie tylko nie zdradza symptomów poprawy, ale fizycznie i umysłowo jest w coraz gorszym stanie. Nie potrafię go nakłonić, żeby stanął prosto na wadze w łazience, ale widzę, że jest coraz bardziej wycieńczony. Jego łokcie i kolana sterczą jak kule w łożysku, mięśnie są jak powrozy.

Postanawiamy oddać go z powrotem do szpitala. Dzwonię tam i informuję, że przyjeżdżamy.

Najpierw jednak musimy doprowadzić Tatę do porządku. Mimo moich starań, zdecydowanie śmierdzi. Śmierdzi tak samo jak moi dziadkowie, kiedy byłem mały i pojechaliśmy do Filadelfii ich odwiedzić. To woń starości: starego potu, zatwardzenia, przyschniętego moczu. Może z Tatą nie jest aż tak źle, ale my z Joan przeszliśmy ostrą szkołę higieniczną Mamy, więc czujemy się w obowiązku wypucować go przed oddaniem do szpitala. Wstyd nam, że cuchnie.

Ściągamy plastikowy pokrowiec z materaca i rozpościeramy go na podłodze w salonie. Rozbieramy Tatę i włączamy ogrzewanie. Tato leży na plecach, obserwuje nas, nie stawia najmniejszego oporu. Joan unosi jedną jego rękę i naciera ją myjką z mydłem i ciepłą wodą. Potem druga ręka. Tato poddaje się biernie, ani nie pomaga, ani nie przeszkadza, nawet specjalnie nie patrzy. Joan myje mu ręce, szoruje dłonie między palcami, czyści paznokcie. Potem je obcina.

Ja robię to samo od pasa w dół. Czyszczę palce stóp i między palcami, podeszwy. Obcinam mu paznokcie u nóg dużym obcinaczem z nocnego stolika. Myję pachwiny, wycieram, zsuwam napletek, żeby mu umyć penisa. Podczas tych zabiegów podnoszę i opuszczam mu nogi zupełnie jak niemowlakowi. Straszne, że coś takiego przyszło mi robić z własnym ojcem.

Ubieramy go w czystą piżamę i szlafrok frote. Do włożenia piżamy potrzeba nas dwojga. Tato stracił koordynację ruchów do tego stopnia, że zupełnie nie jest w stanie pomóc. Nie może też sam iść. Nie stawia stóp na przemian, tylko stoi i kiwa się w miejscu.

Joan ściele posłanie w swoim volkswagenie-furgonetce. Podnoszę Tatę i taszczę go do samochodu. Joan siada z przodu, a ja z tyłu, z Tatą: siedzę na skraju łóżka i staram się go uspokoić. Przez cały czas przygotowań był niespokojny, poruszał ustami, ścigał nas bezradnym wzrokiem, wpatrywał się z natężeniem we wszystko, co znalazło się na wprost jego oczu.

Dojeżdżamy do szpitala. Biegnę po fotel inwalidzki, ale personel, widząc, w jakim stanie jest Tato, daje łóżko na kółkach. Wieziemy go na oddział nagłych wypadków. Natychmiast zajmują się nim dwaj lekarze i pielęgniarka. Robią swoje, a ja wyjaśniam im sytuację. Natychmiast podłączają Tatę do kroplówki. Lekarz jest młody, bardzo przejęty swoją rolą. Okazuje się, że Tato ma kiepski wynik BUN, wyniki analizy krwi też nie najlepsze - wyraźne odwodnienie. BUN, wyjaśnia lekarz, jest to poziom zawartości azotu i mocznika we krwi.

Twierdzą, że Tato musi zostać w szpitalu. Wypełniamy kwestionariusze. Tato dostał tymczasem zastrzyk uspokajający i wydaje się bardziej odprężony. Zostajemy z nim aż do

chwili, kiedy odwożą go na górę. Całujemy go na pożegnanie, ale on śpi.

Po powrocie do domu zjadamy we dwójkę ugotowany przez Joan obiad. Potem jedziemy do Valley, ja za Joan w samochodzie Mamy. Mamie mówimy, że Tacie się pogorszyło i trzeba go było odwieźć z powrotem do szpitala.

To dopiero wywołuje scenę! Wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy pozwolili zająć się Tatą. Tato za nią tęskni.

- W końcu to mój mąż! Wy, dzieci, nie macie pojęcia, jaki to wrażliwy człowiek, on kroku beze mnie nie zrobi. Widzicie, co się stało!

Joan i ja kiwamy głowami, potakujemy - wszystko, byle nie kolejny zawał. Niewiele trzeba, żeby namówić Mamę na powrót ze mną do domu. Pobyt u Joan traktuje jak pokutę, którą przyszło jej odbyć za chorobę serca: pięć razy “Ojcze Nasz", dziesięć “Zdrowaś Maria" i tydzień pobytu u córki.

Bogu dzięki, że Mario jest poza domem, obrywał tu straszne cięgi. Zdołał się chyba jako tako uodpornić, ale nie każdemu można wyperswadować, żeby znosił wszelkie humory.

Żal mi Joan. Na pewno cierpi z tego powodu. Z własnego gorzkiego doświadczenia wiem, że to boli. Wiem też, jak taka trucizna wsącza się na trwałe w stosunki między ludźmi; nigdy nie daje się do końca wymazać. Mama jest bystrym, domorosłym psychologiem, specjalistą od eksponowania drobnych uchybień i słabych miejsc. Powinna się bardziej pilnować. Najlepiej szybko ją stąd zabiorę.

Wiozę ją do domu. Robi się późno, a ona jeszcze nic nie jadła. Samemu nie chce mi się gotować, Mamy też nie wpuszczę do kuchni, więc zabieram ją do jednej z jej ulubionych restauracji, kiczowatego lokalu zwanego Williamsburg Inn. Zawsze potrafię zjeść drugi obiad, szczególnie kiedy jestem zdenerwowany, kiedy się czuję pod presją albo w depresji.

Williamsburg Inn jest to pretensjonalny lokal w stylu kolonialnym na rogu National i Sawtelle w zachodniej części Los Angeles. Ma czerwoną ceglaną fasadę, wszystkie elementy drewniane wzorem kolonialnym białe, oraz smukłe, czysto dekoracyjne, drewniane kolumny przez całą szerokość płytkiego ganku. Ma nawet tradycyjną obrzydliwą statuetkę Murzyna w czerwonej liberii i krótkich portkach, służącą do przytraczania koni. Parodia! W promieniu dwudziestu mil nie uświadczysz ani jednego konia, za to czarnych zatrzęsienie.

Wewnątrz wystrój superpatriotyczny. Wszędzie udrapowane flagi. Na ścianach kopie Deklaracji Niepodległości w pięćdziesięciokrotnym powiększeniu, na przemian z dwudziestoma mniej więcej reprodukcjami George'a Washingtona pędzla Stuarta. Coś obrzydliwego. Kelnerki poubierane a la Martha Washington, z głębokim dekoltem. Dobierają je chyba wedle rozmiarów stanika. Cały lokal przesiąknięty jest nieuchwytnym klimatem rasizmu i patriotyzmu rodem z Wirginii.

Na pewno zestaw niewybrednych metod na zniechęcenie przypadkowo tu zabłąkanego czarnego klienta - drobiazgi, które trudno pokazać palcem: nieco mniejsze porcje, nieco zbyt wiele przypraw, ślamazarna obsługa - tego typu numery.

Mama zawsze wychwalała ten lokal: “Tutaj jadają tacy kulturalni ludzie", mawiała. Albo: “Tutaj jest tak wykwintnie".

Dzisiaj jednak kręci nosem. Nic jej się nie podoba. Wszystko schodzi na psy. Na pewno Żydzi podkupili restaurację. Koktajl przed obiadem - do niczego, ani kropli alkoholu, tylko trochę lodu, woda i sok. Co za nowina? Po to przecież wymyślono koktajle, żeby człowiekowi się zdawało, że pije, a alkoholu w tym tyle, co kot napłakał.

Następny punkt: obsługa. Ta bidula, której biust wpada nam co chwila do talerzy, zdaniem Mamy wszystko robi fatalnie.

Jedzenie jest w najlepszym razie średnie, za to piekielnie drogie. Przy każdym kolejnym daniu wysłuchuję litanii narzekań. Nie przerywam jej: jest zadowolona z siebie, przynajmniej nie myśli o Tacie. Po raz kolejny wysłuchuję szczegółowej opowieści o tym, jak Mama zwiedzała Williamsburg w stanie Wirginia w towarzystwie Barlittle'ów. Musiało to być z dziesięć lat temu, a relację słyszałem już najmniej pięć razy. Williamsburg to miasto-marzenie, urządzone przez Rockefellerów tak, żeby ludzie przestali się domagać zwrotu pieniędzy zrabowanych im w złodziejskich transakcjach naftowych.

Po powrocie do domu mówię Mamie, że idę spać do sypialni ogrodowej. Objaśniam jej działanie systemu alarmowego, który zmajstrował Tato. Mama jest ciekawa, dlaczego nie śpię w domu. Gdybym powiedział, że zanocuję w bocznej sypialni, na pewno kazałaby mi iść spać do ogrodu. Nie jestem wystarczająco elastyczny na przetargi z Mamą.

Jakoś jednak śpię. Mama też przesypia całą noc bez kłopotu. Nazajutrz muszę ją z pięć razy powstrzymywać przed głupimi zajęciami, które mogłyby położyć ją trupem. Absolutnie nie wierzy, że potrafię ugotować obiad.

Mama ma jeden koronny argument, kiedy wszystko jest jej zdaniem nie tak, jak należy - czyli kiedy ktoś inny radzi sobie dobrze bez jej pomocy. Argument brzmi następująco:

- Mój ty Boże! Czego ten mój mały kretynek nie potrafi -ugotował całe jajko! Kto by to pomyślał? Nie przypuszczałam, Jacky, że jesteś taki zdolny. Jeszcze trochę, a będziesz mistrzem w gotowaniu wody na całe Colby Lane, w kategorii powyżej pięćdziesiątego roku życia.

W czasie przygotowywania obiadu wysłuchuję tego tekstu w kilku wersjach.

Potem idzie oglądać telewizję. Mama siada w fotelu Taty, pod stopy podciąga taboret. Ma zwyczaj krzyżować nogi albo stopy, a doktor specjalnie podkreślał, że to fatalnie wpływa na krążenie. Akurat tego chory na serce naprawdę nie powinien robić. Mama wciąż o tym zapomina i muszę jej zwracać uwagę. Więcej patrzę na jej nogi niż na ekran telewizora. Może odgrywam się za sztorcowanie w kuchni.

Przy zmywaniu też zdrowo obrywam. Tak się składa, że dobrze znam szajbę Mamy na punkcie czystych naczyń - jest jeszcze gorsza niż ja, a to już coś. Ale jeszcze nigdy nie musiałem się aż tak cackać z naczyniami - jakbyśmy je przygotowywali do operacji mózgu.

Około jedenastej czuję przypływ śmiertelnego zmęczenia i idę do sypialni. Mama dalej siedzi w fotelu, twierdząc, że jeszcze nie jest śpiąca. Nie mam ochoty się z nią kłócić.

Rozdział 11

Nazajutrz rano Billy jeszcze raz całkiem serio prosi, żebym mu dał prowadzić. Pal diabli, niech wie, że mam do niego zaufanie. Gdybyśmy mieli wypadek, w ostatniej chwili przed śmiercią zamienimy się miejscami.

Dzisiaj zjeżdżamy wschodnią stroną Gór Skalistych; jazda będzie nużąca. Wyruszamy wcześnie rano, ale żeby nie wiem jak wcześnie wyruszyć, szosą ciągnie długi sznur ciężarówek. Niewiele ciężarówek obiera szosę numer 70, z powodu przełęczy, ale wystarczy tyle, ile jest: wściec się można w tym tempie, a szosa jest za wąska na wyprzedzanie.

Umawiamy się: żadnego wyprzedzania bez konsultacji ze mną. Już trochę jeździłem z Billym, wolę być ostrożny. Poza tym: ja wybieram muzykę. Nie zamierzam denerwować się jego obecnością za kierownicą i jeszcze do tego znosić Dylana wyśpiewującego przez nos, jak to jemu jednemu udało się odkryć prawdziwy sens życia.

Dzień jest przepiękny. Przełęcz biegnie na wysokości dwunastu tysięcy stóp; zaczynamy zjeżdżać w dół. Droga wije się w słońcu, pośród tłoczących się na nas drzew i skał; w głębokich szczelinach lśnią cierpkie strumyki. Jedziemy meandrami robiąc zakręty o sto osiemdziesiąt stopni. Co chwila mijamy miejsca przygotowane pod wielką autostradę, która tu kiedyś powstanie.

Nigdy się nie dogadamy w sprawie wyprzedzania. Billy nie widzi dalej niż siedemdziesiąt jardów do przodu, a te kontenerowe ciężarówki mają co najmniej po trzydzieści jardów długości. Ciągną się sznurem przed nami jak okiem sięgnąć.

Kiedy po raz kolejny Billy wrzuca kierunkowskaz, a ja kręcę głową, że nie, mój syn demonstracyjnie cofa fotel i zaczyna prowadzić z wyciągniętymi rękami. Głowę odrzucił do tyłu, jakby patrzył przez lornetkę. Dzięki Bogu, że nie da się tu jechać prędzej niż trzydzieści mil na godzinę.

Muzyka nienadzwyczajna. Zjechaliśmy z zakresu Denver i łapiemy tylko country western z małych miasteczek.

Chciałbym gdzieś znaleźć ośmiościeżkowego Glenna Millera. Ciekawe, czy ponagrywali go na taśmy. Na pewno masa ludzi, ludzi w moim wieku, chętnie posłuchałaby starych kawałków - “Księżycowego koktajlu", “Serenady o wschodzie słońca", “In the Mood"...

Millera potrafię rozpoznać od pierwszego taktu: temat prowadzą instrumenty dęte drewniane, potem wchodzą blachy i perkusja, magicznie wplatając się i podejmując melodię. Widzę to w wyobraźni. To tak, jakby oglądać tancerza albo koszykarza w zwolnionym tempie: unik ramieniem, wyskok, wyciągnięcie skoku na granicy spadania.

Miałem wszystkie płyty Millera. Jako piętnastolatek kupiłem sobie przenośny adapter. Baterie, wielkości akumulatora motocyklowego, miały moc dwunastu wolt. Kosztowało to majątek. Puszczałem Millera ptakom w awiarium. Były to starego typu 78-ki, trzy minuty słuchania po jednej stronie. Połączony koncert orkiestry Glenna Millera i ptaków był niesamowitym przeżyciem - jak w niebie. Napisałem nawet list do Millera, ale mi nie odpisał.

Kiedy byłem w wojsku, rodzina przeniosła się z Filadelfii do Kalifornii. Spakowałem starannie całą kolekcję płyt i powierzyłem ją opiece Joan; miała piętnaście lat.

Joan chciała wieźć płyty na podłodze pod tylnym siedzeniem, przy sobie, ale miejsce to było potrzebne pod walizki, które się wypakowywało i ładowało z powrotem podczas postojów w motelach, więc płyty zapakowane zostały do bagażnika.

Jechali na ukos przez pustynię, był środek lata. Kiedy Joan rozpakowała płyty, okazało się, że zlepiły się w jedną grubą pofałdowaną bryłę - najgrubszą na świecie płytę Glenna Millera.

Śniły mi się te płyty przez całą wojnę. Obiecywałem sobie po przyjeździe do domu puszczać je w kółko przez co najmniej dwa tygodnie, aż wrócę do siebie. Układałem sobie w myślach przeróżne koncerty z tego, co pamiętałem.

No i wróciłem do domu. Po godzinnej chyba ceremonii powitania pytam, gdzie moje płyty. Joan daje mi ręką znak, żebym szedł za nią. Nikt nic nie mówi. Joan prowadzi mnie do swojego pokoju i z dna szafki wyciąga czarną, okrągłą bryłę. Rozpłakałem się. Płakałem wtedy o byle co.

Wiadomość o zaginięciu Millera dotarła do mnie, kiedy leżałem w namiocie na bagnach, w oczekiwaniu na transport do macierzystej jednostki po pierwszej ranie, jaką otrzymałem. Od blisko miesiąca przerzucano mnie ze szpitala do szpitala, z punktu sanitarnego do punktu sanitarnego. W tym punkcie, o którym teraz mówię, regularnie w porze żarcia pojawiał się, jak staromodny stróż od ciszy nocnej, typ, który bombardował namioty z przedpotopowego jednopłatowca. W okolicy nie było obrony przeciwlotniczej, więc wszyscy rzucaliśmy się do broni maszynowej i automatu Browninga, odbywając w ten sposób codzienne wieczorne ćwiczenia w strzelaniu do ruchomego celu.

Wydaje mi się, że ten wariat rzucał bomby ręcznie, przez kadłub, jak w pierwszej wojnie światowej. Były to samopały domowej produkcji, sporządzone z powiązanych granatów ręcznych - co najmniej połowa nie wybuchała. Niemiecka wersja fanatyka z gatunku “Stary człowiek - a może".

Właśnie zakreślił kółko i spuścił dwie bomby. Obie walnęły w błoto, a i my też go nie trafiliśmy. Idę do namiotu po niezbędnik, a tu mija mnie listonosz naszej przewoźnej kompanii, który rozdaje egzemplarze “Stars and Stripes". Otwieram i widzę: “MAJOR GLENN MILLER ZAGINĄŁ W AKCJI NAD KANAŁEM! WYNIKI POSZUKIWAŃ WSKAZUJĄ NA TO, ŻE SAMOLOT ZOSTAŁ STRĄCONY!" Nie chce mi się wierzyć.

Wracam do namiotu, żeby przetrawić tę nowinę w spokoju. Koniec z muzyką, z potańcówkami na plebanii, z całym moim skróconym dzieciństwem - koniec. Czuję się oszukany, odcięty od najlepszej części własnego życia. Wiem, że już nigdy nie będzie tak, jak było.

Jasne, tak bywa ze wszystkimi i ze wszystkim, nawet nie trzeba wojny i tragicznej śmierci. Tyle że ja trzymałem się jako tako wyłącznie dzięki wierze w to, że wrócę - wrócę nie tylko w sensie geograficznym: wszystko będzie tak samo, jak było, zacznę w tym miejscu, w którym przerwałem.

Tego wiosennego wieczora, siedząc w kucki w namiocie, rozklejam się na całego.

Ledwo zdążam na żarcie.

Karygodna jest ta muzyka w radio. Używają najwyżej dziesięciu melodii, tylko słowa się zmieniają. Próbuję wsłuchać się w te słowa - jakby amerykańskie, tylko do góry nogami albo na lewą stronę.

Gaszę radio. Billy się uśmiecha.

- Bóg wam zapłać, litościwy panie. Jeszcze pięć minut, a wyciągnąłbym mój niezawodny sześciostrzałowiec i wpakował mu kulkę w sam środek kapelusza, model Stetson.

Roześmiałem się. Jak dobrze jest się śmiać. Od sześciu miesięcy chyba ani razu nie roześmiałem się na głos. A normalnie jestem bardzo skory do śmiechu, śmieję się rubasznie, z paskudnym gardłowym zapiewaniem. Teraz śmieję się tak strasznie, że sam mam obawy, czy to nie histeria. Billy też się śmieje. Chyba głównie z mojego śmiechu.

- Wiesz, Tato, co jest w tej chwili najbardziej potrzebne światu? Nowe kowbojskie piosenki. Może z tekstami porno, bliższe życia.

Przejeżdżamy przez tunele skalne, przez niebywałe formacje, piękne jak w Bryce. Chyba właśnie gdzieś tutaj przecinamy Linię Podziału Kontynentu.

Coś przecięliśmy, to pewne. Nagle wszystko wygląda inaczej. Zrobiliśmy pierwszy wielki krok na Wschód. Minięcie tego gigantycznego wału to olbrzymi skok w stronę Europy. Ta strona jest bardziej cywilizowana, bardziej oswojona. Życie tutaj jest mniej emocjonujące, to na pewno, za to sto razy łatwiejsze.

Tu zaczyna się strefa oswojonych zwierząt. Ludzie jeszcze nie są oswojeni, rośliny też nie bardzo - trudno to nazwać terenami rolniczymi.

Po tamtej stronie wszystko jest dzikie: dzika roślinność, dzikie skały, dzicy ludzie, dzikie niebo, dzika woda i dzikie zwierzęta. Z wyjątkiem kilku gett cywilizacyjnych jak Los Angeles albo San Francisco.

Będziemy przejeżdżać przez jedną z największych na świecie krain oswojonej zwierzyny, przez całe Kansas - czterysta mil pierwszorzędnych terenów hodowli zwierząt. Dopiero za Missisipi zacznie się prawdziwie oswojona roślinność, a po drugiej stronie Appalachów - oswojeni ludzie.

Zjechaliśmy z gór i jesteśmy na równej ośmiopasmowej autostradzie. Oto nasza nagroda za trudy. Billy jedzie jak zahipnotyzowany. Zerkam na licznik - prujemy osiemdziesiątką. A przecież obowiązuje ograniczenie szybkości do pięćdziesięciu pięciu - Jezus Maria!

- Uważaj na szybkościomierz, Billy; niezłe tempo.

Nie karcę go, mówię to tak, jakbym mówił: “Popatrz za okno, jaka żółta krowa". Billy mimo to zwalnia - do sześćdziesięciupięciu. Po osiemdziesiątce ma się wrażenie, że jedziemy trzydzieści na godzinę.

Za oknami nic specjalnego: szosa nie skręca ani o cal, jest płaska jak pas startowy. Wokół roi się od oswojonych zwierząt - krów, byków.

Billy od paru chwil podśmiewa się i chichocze pod nosem. Od czasu do czasu coś nuci i wystukuje rytm lewą nogą.

- Posłuchaj, Tato. Zaśpiewam ci pierwszą sensowną kowbojską piosenkę od czasu “Nie pochowajcie mnie na pustej prerii".

Zaczyna śpiewać - krzyżówka Johnny Casha, Boba Dylana i Ario Guthrie'ego. Do melodii kowbojskiej numer trzy:

Po dolinach, wądołach i pagórkach lesistych

Żadna piła donośniej niźli Frida nie piszczy.

Każdy drwal w Oregonie chętnie rwie się do draki,

Lecz gdy Frida nadchodzi - wieją wszystkie chłopaki.

- Teraz jest solo na piłę łańcuchową - na gitarze z łatwością bym je wykonał. Nuci i zgrzyta, imitując dźwięk piły.

- Dalej idzie tak... zaraz... już mam!

Nogi ma jak u słonia, jak kajaki ma stopy,

Ludzie mówią, że sika na stojąco, jak chłopy,

Na motylka nie spojrzy, na ptaszynę nie splunie,

Ale nikt tak jak Frida zerżnąć drzewa nie umie.

Znowu brzęczy, buczy, zgrzyta. Następuje dłuższa pauza, podczas której Billy składa następną zwrotkę. Cały czas przytupuje sobie lewą nogą i chichocze.

- Okej, chyba mam.

Dzień był szary, ponury, gdy się z życiem żegnała.

Powiadają, że na raz aż dwa drzewa ściąć chciała.

Coś za lekko jej poszło; patrzy, co to za kłody,

A to drzewa nie były, tylko jej własne nogi.

Jeszcze raz solówka nieartykułowana. Nie przypuszczałem, że Billy umie wydawać tyle dźwięków: teraz brzmi prawie jak gitara. Słyszałem już, jak udawał motocykl, ale to coś zupełnie nowego.

Przerywa na chwilę, ale zaraz rusza znowu, pełną parą. Obaj pękamy ze śmiechu.

Na kikuty opadła, zatoczyła się z bólu,

Powiadają, że jeszcze wystękała: "Matulu!"

Popatrzyła na drzewa kołujące nad głową

I rąbnęła o ziemię. I nie wstała na nowo.

Billy buczy i śmieje się do rozpuku, ledwo może prowadzić. Zapomina nawet o trzymaniu nogi na pedale gazu i po raz pierwszy tego dnia jedziemy przepisową pięćdziesiątką piątką. Mam łzy w oczach, boki mnie bolą - śmiech histeryczny, jak dwa razy dwa. Muszę na siebie uważać.

O jakieś pięć mil dalej zatrzymujemy się, żeby zatankować i coś przekąsić. Bar mieści się w przyczepie ustawionej na kolejowych zderzakach. Lekkie drzwi wahadłowe z aluminium zatrzaskują się za naszymi plecami.

Wzdłuż tylnej ściany biegnie kontuar, a przy ścianie, w której są drzwi, stoją dwa stoliki. Zamawiamy hamburgery, siadamy przy stoliku. Więcej klientów nie ma. Jest prawie druga, trochę późno jak na godzinę szczytu lunchu. Do picia zamawiamy koktajle mleczne.

Amerykański hamburger w Ameryce to coś specjalnego, jak francuski chleb we Francji. Może to klimat, a może rodzaj traw, którymi żywią się krowy - w każdym razie, nie ma jak amerykański hamburger w Ameryce.

A hamburgery, które nam podają w tej przyczepie na kozłach, to istna sensacja. Smarujemy je wszystkim po kolei: chrzanem, musztardą, ketchupem, majonezem. Dosłownie ciekną nam przez palce. Koktajle mają konsystencję solidnych lodów, są tak sztywno ubite, że słomka sama stoi na sztorc. Gdyby istniał amerykański odpowiednik turystycznego *Przewodnika Michelina*, ten bar zasługiwałby na trzy gwiazdki z wykrzyknikiem.

Uwzględniając koktajl, dorzucam sobie za jednym pociągnięciem ze trzy funty wagi. Przez ostatnie pięć miesięcy straciłem dwadzieścia funtów - te dwadzieścia, których już dawno należało się pozbyć. Teraz będę je widocznie odzyskiwał.

Pizze, hot-dogi, hamburgery, koktajle mleczne - nim dojedziemy do Filadelfii, nie będę mógł się wcisnąć za kierownicę.

Ciągle czekam, aż Billy wyjaśni powody, dla których porzucił Santa Cruz. Nawet nie wiedziałem, że rzucił szkołę, dopóki nie pojawił się u Mamy. Zapytałem go wtedy, czy zwolnił się w środku kwartału, a on mi na to, że nawet nie zaczynał.

W Oregonie robił za drwala - żył jak bohater Keseya z *Sometimes a Great Notion*. Mam do niego żal jedynie o to, że mi nie powiedział, chociażby ze względu na podatek dochodowy. Wszędzie wpisuję go jako studenta, mogę mieć kłopoty. Tego tylko potrzeba, żeby urząd podatkowy zaczął mi deptać po piętach!

Wyobrażam sobie Billy'ego w lesie - nie ma za grosz doświadczenia, jeśli chodzi o takie życie, nie mówiąc już o samej robocie, a pracuje jako drwal; zakłada liny na zwalone

drzewa. Mój Boże! To tak samo jak ja, kiedy trafiłem do piechoty, chociaż przedtem nie miałem w ręku nawet głupiej wiatrówki ani kapiszonówki. Wiem, że Billy'ego spotkała jakaś przykrość - tyle mi powiedział.

Jedziemy bokiem, omijając miasta. Wystarczy raz zjechać z autostrady, żeby ugrzęznąć na całego w lokalnym ruchu ulicznym. Właściwie w żadnym z tych miast nie ma nic ciekawego. Jeżeli się ponad piętnaście lat przemieszkało w Paryżu, trudno się na serio zainteresować Abilene w stanie Kansas, nawet jeżeli Dwight D. Eisenhower spędził tam szczęśliwe dzieciństwo. Jeszcze najciekawsze są miasta w rodzaju Denver - złagodzona zachodnia imitacja Chicago, które z kolei imituje Nowy Jork, który imituje Paryż albo Rzym, albo Ateny, albo Londyn.

Na kolację znów jemy pizzę. Już ponad dwadzieścia cztery godziny nie jedliśmy pizzy. Do tego zamawiamy dużą zieloną sałatę, żeby nas nie zatkało. Sałata kosztuje drożej niż pizza, ale obaj mamy zapotrzebowanie na coś zielonego. Potem trafiamy na motel, porządnie oddalony od szosy.

Typowe miasteczko Środkowego Zachodu: domki stoją oddzielnie, każdy z gankiem, wszystko z drewna i kamienia, trotuary.

Po kolacji idziemy się przejść. Mieszkańcy miasteczka siedzą na gankach i gapią się na nas.

Na drzewach gnieżdżą się cykady albo świerszcze, które hałasują na cały głos. Buczenie dobiega ze wszystkich stron naraz - jak w oszalałej elektrowni.

Na peryferiach miasteczka znajdujemy oświetlone pole baseballowe, dookoła którego parkują samochody. Billy nigdy jeszcze nie grał w baseball. Nie zna nawet nazw pozycji. Kiedy wymieniam jakąś fachową nazwę, nie wie, o co chodzi. Dla niego może to być równie dobrze nazwa napoju w puszce albo męskiego dezodorantu.

Ja w dzieciństwie żyłem baseballem, oddychałem baseballem, miałem kręćka na punkcie baseballu. Kto nie grał w baseball, ten się nie liczył. Rok dzielił się u nas nie na wiosnę, lato, jesień i zimę, tylko na baseball, piłkę nożną, koszykówkę i hokej. W przerwach puszczało się latawce, jeździło na wrotkach i pływało.

Już w marcu przesiadywałem w piwnicy szykując piłki i kije. Ledwie śnieg stopniał, ćwiczyliśmy piłkami o schody, żeby sobie wyrobić oko i rękę. Mieliśmy cały zestaw gier piłką tenisową o betonowe schody. Potem przez całe lato grało się w baseball. Od śniadania do dziewiątej wieczór. Graliśmy dopóty, dopóki widać było piłkę na tle nieba.

Codziennie rozgrywaliśmy po trzy, cztery dziewięcioczęściowe mecze. Drugi mecz odbywał się w porze lunchu i wtedy zwykle grywali nie wybrani. Przyniesienie lunchu w torbie uchodziło za przyznanie się do porażki.

Rano ubierałem się w znoszony strój baseballowy, ukoronowany czapką z emblematem Philadelphia A, napełniałem wodą butelkę od mleka, na końcu kija wieszałem rękawicę, w kieszeń pakowałem piłkę i leciałem na boisko. Zawsze znalazła się paczka chętnych do gry. Na ogół dobieraliśmy się do każdego meczu na nowo, stałe drużyny były rzadkością, ale zawsze było nas dosyć na sformowanie dwóch dziewiątek, a przy dobieraniu panowała ostra konkurencja. Wiązał się z tym cały rytuał: trzeba było na przykład złapać kij

po trzykrotnym zakręceniu nim młynka nad głową, a potem przerzucać go w jednej ręce, chwytając na przemian za oba końce. Po wybraniu drużyn przydzielało się zadania tym, którzy nie dostąpili zaszczytu: liczenie punktów, orzekanie fauli i zbieranie przestrzelonych piłek.

Ciekawe były zasady przydziału funkcji w polu. Człowiek odkrywał, gdzie najlepiej mu się gra, zależnie od uzdolnień i warunków fizycznych. Z początku tylko łapałem piłkę, bo nie byłem dość zwinny i szybki na grę w środku pola, a na grę poza polem za słabo serwowałem, nawet z prawej strony.

Ale i na łapacza nie byłem wystarczająco silny. Kiedy do sąsiedztwa sprowadził się Ray Ziggenfuss, szybko zorientowałem się, że moje dni na pozycji łapacza są policzone. Ray był silny, miał refleks i dobrze odbijał. Odbijał tak dobrze, że mógłby z powodzeniem grać poza polem, ale wolał łapać. Drugim łapaczem był niejaki Mickey Mullens, też dobry. Czekało mnie przeszeregowanie na tropiciela fauli i dostarczyciela lunchu.

Zgarnąłem pieczołowicie oszczędzane od Gwiazdki pieniądze i kupiłem autentyczną rękawicę pierwszego bazowego. Tygodniami, dzień i noc, ćwiczyłem stopowanie i wszystkie kombinacje. Nauczyłem się lewą stopą sięgać w tył na długość całego ciała. Chwytałem tą rękawicą tak zwinnie jak jaszczurka chwyta muchy. Tylko na tej pozycji w polu mogłem teraz coś zdziałać.

Szkoda, że nie byłem mańkutem. Mańkut na pierwszej bazie to istny skarb: rękę w rękawicy ma od strony pola, a co za tym idzie - większy zasięg brania piłki. W rzucaniu też mańkuci zawsze wygrywali z praworęcznymi.

Więc i tu mi się nie powiodło. Z trudem awansowałem z faulowego na rejestratora punktów, ale chciałem przecież rozgrywać więcej niż jeden mecz dziennie.

Postanowiłem się przekwalifikować na rzucanie. W naszej okolicy rzucanie było zajęciem dla słabszych. Codziennie trenowałem rzuty do Ziggenfussa albo o ceglany mur, i w końcu nauczyłem się rzucać w miarę celnie z niezłym podkręcaniem. Wtedy mówiło się “ucho" albo “hak". Dzisiaj na hak mówią skręt, a na to, co my nazywaliśmy skrętem - śruba. Nawet baseball się zmienia.

A więc jesteśmy z Billym w małej mieścinie w stanie Kansas, gdzie trwa mecz dwóch drużyn uczelnianych. Zapalam się. Billy zgadza się pójść popatrzeć, ale bez wielkiego entuzjazmu.

Na parkingu ściga się kilka motocykli. Miejscowe osiłki biją rekordy w sprincie na pięćdziesiąt jardów. Ledwo udaje mi się odciągnąć Billy'ego; jakoś zdążamy na początek meczu.

Charakterystyczna woń tytoniu palonego na powietrzu, drutu, świeżej farby, fistaszków i hot-dogów. Klasyczny amerykański mecz baseballowy, nic dodać, nic ująć.

Billy mimo to nudzi się jak mops. Próbuję mu wyjaśnić, co się dzieje na boisku, ale nic nie kapuje. Wszyscy wiedzą, że baseball to finezyjna gra strategiczna. Jeżeli się nie dopuszcza pewnej elastyczności posunięć, gra staje się nudna. Kiedy się nie wie, jak grać, mając w środku pola zawodników na pierwszej i trzeciej bazie, a dwóch na zewnątrz, w

ofensywie, to cała gra sprowadza się do tego, że jeden facet przerzuca piłkę nad drugim facetem przy pomocy kija.

Billy nie może się nadziwić, jakie to głupie.

- O Jezu, Tato, patrz na tamtego, gdzie on stanął tak daleko?

Pokazuje na prawoskrzydłowego.

- Od pięciu lat nikt mu nie podał jednej głupiej piłki. Albo tam sterczy i czeka nie wiadomo na co, albo biega w tę i z powrotem. A ten grubas, co kuca z tym kijem - patrzy, czy mu lewe ucho nie wyrosło koło prawego oka.

Poddaję się i dalej oglądam mecz dla własnej przyjemności. Billy za późno to poznał, za długo siedział w Europie. Po meczu wracamy do motelu. Leżę i myślę, jak bardzo życie Billy'ego różni się od mojego. Prawie całe jego życie przeżyliśmy wspólnie, ale w gruncie rzeczy niewiele mieliśmy z sobą wspólnego. To bardzo źle.

Rozdział 12

Wieczorem niespodziewanie zjawia się Billy. Ja już śpię, ale Mama ogląda jeszcze program Johnny'ego Carsona.

Cud, że nie padła trupem z wrażenia. Budzi mnie brzęczyk przeklętego domofonu. To Mama, w kompletnej histerii:

- Jacky, choć tutaj! NATYCHMIAST! Billy przyjechał!

Nie mogę się połapać.

- Billy? Tutaj? Niemożliwe, Billy jest w Santa Cruz.

Wytaczam się jak pijany w eksdresie, który mi służy do spania - uosobienie przegranego sportowca.

Rzeczywiście - jest Billy. Nie widziałem go od dnia, w którym wyjechał z Paryża na studia. Strasznie się cieszę, że jest. Obejmujemy się niezdarnie. Mój ty Boże, on cuchnie niczym kurewskie buty. Odsuwam się o krok - jak on wygląda! Wymizerowany, cały w pryszczach. Kiedy się nie odżywia jak należy, zaraz marnieje. Ubranie brudne, buty rozpadają się na nogach.

Mama stoi jak wryta, przyciska drobne pięści do ust. Przyznaję, że widok Billy'ego każdemu wycisnąłby łzy z oczu. Wygląda jak przerośnięta kopia rysunku nawołującego do zbiórki darów dla chłopców z ochronki przed Bożym Narodzeniem.

Billy mówi, że Vron napisała mu o chorobie babci. Pyta Mamę, jak się czuje, ale ona jeszcze nie odzyskała mowy.

Wyjaśniam mu, że teraz Tato jest chory i leży w szpitalu. Próbuję jakoś wmanewrować Mamę w fotel. Nie wiem, ile mogę powiedzieć Billy'emu o Tacie w jej obecności.

Kombinuję, gdzie go położyć. Najlepszy byłby pokój w ogrodzie, tam gdzie ja spałem. Przynajmniej nie denerwowałby Mamy swoją bliską obecnością. A ja przeniosę się tutaj, do pokoju bocznego. Dam Billy'emu klucz i przykażę, żeby zamykał drzwi. Jego niechlujstwo, porozrzucane rzeczy, nie posłane łóżko - to mogłoby być dla Mamy zbyt wiele. I tak widzę, że zbiera się do awantury.

Sam jestem lekko zaniepokojony. Nawet dla mnie Billy wygląda kiepsko, a co dopiero dla Mamy. Zanim się obejrzałem, popędziła do łazienki i zaczęła mu szykować kąpiel. Siłą ściągam ją z powrotem na fotel. Proszę, żeby się położyła do łóżka, ale ona ani drgnie.

- Mamo, proszę cię. Już późno.

Wiem, że z każdą minutą patrzenia na Billy'ego zbliża się do grobu. Pomagam jej wstać z fotela i prowadzę do sypialni. Układam w łóżku, podaję szklankę wody i valium. Jedno i drugie stawiam na nocnym stoliku.

Biegnę z powrotem do Billy'ego, każę mu zdjąć ubranie i wykąpać się.

- To, co masz na sobie, i wszystkie ciuchy z worka wrzuć do kosza na brudy. Jutro je wypiorę. Masz tu szlafrok i piżamę dziadka.

Nie będę czekał na Joan, sam zaniosę rzeczy Billy'ego do pralni automatycznej. Jak tu

dłużej poleżą, trzeba będzie przeprowadzić dezynfekcję.

- Billy, wykąp się porządnie, umyj włosy i odpocznij, a ja tymczasem uśpię Mamę. Szampon stoi pod umywalką.

Wracam do sypialni. Mama ma atak. Nie połknęła valium. Trzyma głowę na poduszce, ale co chwila ją unosi, kiedy chce mówić. Siadam na brzegu łóżka i zmuszam ją do zażycia valium.

- Co z nim jest, Jacky? On chyba jest chory. Jak on się odżywia? Czy tak się teraz ubiera młodzież studencka? Wygląda jak jakiś hippis. A może on zażywa narkotyki? Zapytaj go, Jacky, niech ci powie! Nie życzę sobie tu w domu żadnych narkomanów!

Gada i gada.

- Nawet na hippisa jest za brudny, wygląda jak ostatni łachmyta. Że też mu policja pozwoliła w tym stanie chodzić po ulicy!

Słucham i czekam, aż valium zacznie działać. Mama z grubsza ma we wszystkim rację. Tak to już z Mamą jest. Nawet nie zmyśla, tylko chwyta końce luźnych wątków i tka z nich własne fantazje.

Wreszcie się uspokaja. Wymykam się cicho z pokoju. Billy właśnie skończył się kąpać i wychodzi z łazienki, ociekający wodą, w zapasowym szlafroku Taty. Idzie do dużego pokoju, włącza telewizor i zwala się na bujak, zarzucając nogi na drugi fotel. Billy jest specjalistą od czucia się wszędzie jak u siebie w domu.

Idę do łazienki. Wszystko pływa, a w wannie stoi brudna woda po kąpieli. Zdaje się, że kto raz przywykł do prysznica, przestaje umieć korzystać z wanny. Billy na pewno nie zostawił wody specjalnie: po prostu nie pomyślał. Wycieram mokrą łazienkę, wrzucam ciuchy Billy'ego do brudów i szoruję wannę. Nic nie będę mówił. Chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć, co on tutaj robi i dlaczego nie jest w szkole.

Kiedy wracam do dużego pokoju, najpierw ściszam telewizor, żeby nie obudził Mamy. Billy słucha wszystkiego w natężeniu o dwa decybele większym, niż potrafię wytrzymać. W przerwie między programami podnoszę się i wyłączam telewizor.

- Billy, babcia nie jest w najlepszej formie. Miała dwa poważne zawały, ledwo się trzyma. Każdy kolejny przeżyty dzień to dla niej wielki sukces. Przeżyła tak zwaną okluzję. Nie znosi silnych wstrząsów ani wysiłku fizycznego. Ale z babcią to jeszcze mały kłopot, gorzej z dziadkiem.

Opowiadam mu wszystko i widzę, jak blednie. Wszystkie nasze dzieci bardzo Tatę kochają. Tato potrafi się bawić z małymi dziećmi. Zawsze znajdzie dla nich nową zabawę - a to jakąś sztuczkę, a to własnoręcznie zrobioną zabawkę, a to rzutki, ping-pong, wiatrówkę. Dla Mamy był to zawsze dowód, że Tato “ma nierówno pod sufitem". Joan ma to rzekomo po nim: znane wariactwa Tremontów.

Billy przestał się huśtać, siedzi wychylony do przodu. Nie chcę być okrutny, ale muszę go zorientować w sytuacji.

Mówię mu, że Tato nas nie poznaje, że nie mówi, że trzeba go myć i karmić. Billy dopytuje się, dlaczego tak się stało. Powtarzam mu to, co mi powiedzieli Ethridge i Santana: że to nagły przypływ starczej demencji.

Ale zaraz dodaję, co naprawdę sądzę o tutejszej opiece szpitalnej. Nie mówiłem tego jeszcze nikomu, nawet Joan. Wyjawiam swoje wątpliwości zarówno co do sposobu leczenia Taty, jak i samej diagnozy. Mam silne przeczucie, że to jest coś czysto fizjologicznego, bardziej skomplikowanego niż zwykłe zmiany starcze. Biorę też pod uwagę błąd anestezjologa albo blokadę arterii doprowadzającej krew do mózgu - a może w wyniku operacji powstał skrzep? Strzelam na oślep, za mało znam się na tych sprawach.

Spowiadam się ze swoich wątpliwości, z pytań; muszę się w końcu wygadać. Dotychczas nie uświadamiałem sobie, że po Vron i Joan, Billy jest dla mnie najbliższym człowiekiem. Ta świadomość przyszła jakoś niepostrzeżenie.

- Wierz mi, Bill, Tato zdradzał wyjątkowo słabe oznaki starości jak na mężczyznę w swoim wieku. Pewnie że to już nie pięćdziesięciolatek, ale też na pewno nie zramolały staruszek.

W końcu pytam Billa, co tutaj robi. Mówi, że rzucił szkołę, że nic mu ona nie dawała.

W to bym jeszcze uwierzył. Jak człowiek nie wie, czego chce, szkoła może być formą zabicia czasu. Ale Billy był zawsze takim dobrym uczniem.

Pytam, jakie ma plany - pójść do pracy, czy co. Wtedy właśnie bąka coś o powrocie do Francji.

Oczywiście, i Vron, i ja bylibyśmy bardzo szczęśliwi mając go blisko siebie, ale jeżeli nie chce się uczyć, będzie musiał podjąć pracę, nie może się bezczynnie pętać po domu. Billy ma własny styl życia, który pasuje do naszego mniej więcej tak samo, jak moje zwyczaje do życia tu, w Kalifornii. Wyfrunął z gniazda.

Nie rozwijamy tematu; żaden z nas nie ma ochoty się zagłębiać. Rozmawiamy o Tacie, a potem Billy wychodzi do swojej sypialni. Ja idę do bocznego pokoju i zasypiam szybciej, niż bym przypuszczał - chyba podświadomie jestem gotów zrobić wszystko, byle tylko nie myśleć.

Nazajutrz wpada Joan. Przytula Billy'ego na powitanie i tarmosi go za długie włosy. We dwóch wrzucamy brudy Billy'ego do samochodu. Joan mówi, że pod naszą nieobecność wysprząta dom. Przywiozła też jedzenie, zrobi nam kolację.

Po pralni jedziemy do szpitala.

Billy z przerażeniem patrzy na Tatę leżącego plackiem z oczami w słup. Tato nie poznaje ani jego, ani mnie, nawet kiedy Billy obejmuje go mocno i całuje. Billy bardzo chciałby coś zdziałać, jest tak gwałtowny w ruchach, że o mało nie zrywa kroplówki. Tato wpatruje się w niego, głowę i kark trzyma sztywno, porusza ustami.

Znowu założyli mu cewnik. Zaglądam pod kołdrę - to cewnik założony na stałe. Tato zmienił się w chodzący ochłap mięsa. Gdyby nie był istotą ludzką, pozwolono by mu umrzeć. Jest z nim coraz gorzej i nic nie wskazuje na to, aby dało się tutaj coś zmienić, nie przypuszczam, żeby chociaż o dzień dłużej wytrzymał moje amatorskie pielęgniarstwo.

Billy jest roztrzęsiony. Wychodzi na korytarz, ja jeszcze zostaję przy Tacie, głaszczę go po głowie, zagaduję po cichu. Tato przypatruje mi się biernie, bez cienia emocji czy zainteresowania. Billy wraca. Przestał płakać, ale jego bladoniebieskie oczy okolone są

czerwonymi obwódkami. W drodze na dół windą i na parking nie mówimy prawie nic. Na zewnątrz - powódź słońca. Wyjmuję ze schowka ciemne okulary Taty i podaję je Billy'emu.

- Co się stało, Tato? Od czego mu się tak porobiło?

Jeszcze raz opowiadam wszystko od początku. Mówię, że nie znam przyczyny i wcale nie jestem pewien, czy lekarze ją znają.

Zabieramy rzeczy z pralni. We dwóch składamy ubrania Billy'ego, prześcieradła i ręczniki. Nadal nie rozmawiamy.

Po powrocie do domu mówię Joan, że nie ma sensu, by jechała do Taty: Tato nawet nie zauważy, że u niego była. Ale Joan i tak jedzie. Wiem, co czuje. To prawie nie do zniesienia - ale trzeba.

Mama dopytuje się o to, co wszyscy chcielibyśmy wiedzieć:

- Co z nim jest, Jacky? Zwariował?

Próbuję ją przekonać, że nie zwariował. Mama raczy mnie spojrzeniem, które ma być przeciągłe i świdrujące.

- Nigdy nie miał całkiem dobrze w głowie, ja to wiem! Przeżyłam z nim ponad pięćdziesiąt lat. To nie jest normalny człowiek.

Następnego dnia dobija mnie Billy z telewizorem. Może odzywają się lata spędzone w domu bez telewizji.

Billy ogląda bez przerwy. I bez różnicy, co za program. Chyba nawet nie chce mu się zmieniać, patrzy także na reklamy. Ogląda seriale, dyskusje, filmy kowbojskie, kryminały, nawet mecz baseballowy. Jakby brał udział w maratonie na wytrzymałość gałki ocznej.

Mama jest szczęśliwa, że nareszcie ma z kim posiedzieć przed telewizorem. Streszcza Billy'emu dotychczasowe odcinki seriali: kto z kim spał, kto ma dziecko z nieprawego łoża, kto i jak próbuje poderwać cudzego męża lub żonę. Billy patrzy na wszystko, jak leci, nawet okiem nie mrugnie.

Przypominam sobie, gdzie zadekowałem stare pudło z farbami. Wygrzebuję je, czyszczę pędzle terpentyną i przeglądam tuby. Może dzięki malowaniu zachowam resztki zdrowego rozumu. Nie lubię się do tego przyznawać, ale malowanie ma dla mnie aspekt terapeutyczny. Nie powinno tak być u zawodowca, ale jest.

Kiedy mogę kontrolować swój świat, brać rzeczy z zewnątrz i przekształcać je według własnego uznania, działa to na mnie kojąco.

Proszę Billy'ego, żeby uważał na Mamę; idę na tyły domu, wyciągam stare, białe ogrodniczki, podkoszulek i czapkę. Będę malował na tym płótnie, które podarowałem Tacie.

Z pudłem na plecach siadam na motorze - nawet nie zdążyłem sam siebie zapytać, co chcę malować. Całkiem zapomniałem, gdzie jestem. Mógłbym malować choćby i wnętrza garaży. Ale chcę być na dworze, na słońcu; dość mam patrzenia na ludzkie śmietniki. Chcę patrzeć w dal.

Rzędów podmiejskich domków też nie mam ochoty malować. Wiem, że to ważny element amerykańskiego pejzażu, ale nie mam zamiaru utrwalać go na płótnie. Z doświadczenia wiem, że dobrze maluję tylko to, co chcę malować. Kiedy nie ma przymusu z

zewnątrz, zostaje sama robota.

Jest jednak coś, co na mnie podziałało: sklepiki zwrócone frontem do plaży i stare domy w Venice. Jadę tam i parkuję w miejscu, gdzie Rose Avenue wychodzi na plażę. Ustawiam motor na podstawce i ruszam pieszo w ogrodniczkach: głębokie kieszenie na gwoździe, małe kieszenie z przodu na składaną miarkę i płaski ołówek stolarski. Garbię się pod ciężarem pudła na plecach. Kiszki uspokajają mi się z wolna, jak opadająca piana w szklance piwa.

Zatrzymuję się przy starym motelu z cegły, dziwacznej budowli z pochyłym dziedzińcem. Dach wyłożony jest płytkami z zielonej ceramiki, niektórych brakuje. Oszklona wiata osłania dziedziniec od wiatru. Słońce wpadło tu w pułapkę: jest więźniem dziedzińca. Oto coś do namalowania: kalifornijska wersja Neuschwanstein, zamku Ludwika Szalonego z Bawarii - nie groteskowa imitacja w stylu Disneylandu, lecz dzieło podobnego typu wyobraźni, wyobraźni romantycznej, należącej do kogoś, kto chciał wznieść coś więcej niż po prostu hotel.

Fantazja na cegły i glazurę. Z tyłu jest nawet wieżyczka, na którą prowadzą drewniane schodki. Dużo bym dał, żeby zamieszkać w pokoju na szczycie tej wieżyczki; będę tam mieszkał, jak tylko wejdę w swój obraz.

Nie do wiary, jak szybko wraca umiejętność malowania. Jakbym wczoraj odłożył pędzel. Z miejsca idzie po dawnemu, niczego nie zapomniałem.

Kończę malować ostatnie pociągnięcia podkładu, spoglądam do góry - a tu zachód słońca. Nie chce mi się wierzyć. Rany Julek, w domu pomyślą, że dałem nogę!

Pakuję farby i wskakuję na motor. Całkiem jak za dawnych czasów: zapach terpentyny, jazda na motorze ze skrzynką i mokrym płótnem, które trzepie mnie po plecach. W Paryżu mój widok nie zwraca większej uwagi: stanowię część krajobrazu. Tu jednak ścigają mnie klaksony i łajania z przejeżdżających samochodów: ludzie chyba myślą, że mają do czynienia z kolejnym kalifornijskim błaznem. Staję na poboczu i odwracam obraz tyłem na sztalugach.

Billy i Mama nadal siedzą przykuci do telewizora. Idę się przebrać w zwykłe ubranie. Wodą z węża ogrodowego i szczotką usuwani farbę z rąk. Biorę się za kolację: Billy'emu mówię, że może zjeść z nami albo gdzieś pójść, jak mu się podoba. Wręczam mu pięć dolarów i kluczyki do motoru.

Kolacja wychodzi nie najgorzej. Billy zostaje z nami i zachowuje się, jak na niego, wzorowo: nie oblizuje się, nie puszcza bąków - przynajmniej nie za głośno - nie beka. Billy twierdzi, że jeżeli przy jedzeniu co jakiś czas nie beknie i nie puści bąka, dostaje bóli brzucha. Mama też sprawuje się przykładnie. Kolacja mija bez awarii, ale ja i tak od ciągłego czekania na jakiś wyskok dostaję niestrawności.

Po kolacji Billy wychodzi. Zmywam i siadam z Mamą w salonie. Telewizor wyłączony - Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Może mania telewizyjna Billy'ego nawet Mamę doprowadziła do przesytu. Mam ochotę porozmawiać z nią o tym, jak oboje z Tatą byli młodzi, jak się poznali, jakie mieli plany. Wiem, że nigdy się nie dowiem, jak było naprawdę. Wiem też, że Mama nie kłamie, tylko własne fantazje stają się dla niej z czasem bardziej

realne niż prawda.

Interesuje mnie wszystko. Powoli uświadamiam sobie, że zostanę niebawem najstarszą gałęzią po męskiej stronie rodzinnego drzewa genealogicznego. Kiedy Tato umrze, stracę wszelki dostęp do źródeł plemiennej, rodzinnej informacji. Szkoda, że nie rozmawiałem więcej z dziadkiem, żeby się zorientować, jacy byli, co myśleli. Potrzebuję spoiwa. W roli mężczyzny jest coś pokrętnego: nic nie dzieje się w linii prostej, wszystko biegnie zygzakiem. Chcę wyłudzić od Mamy trochę klajstru, żeby posklejać się do kupy.

Zdumiewające, ilu rzeczy Mama nie wie. Nie wie, ile rodzeństwa miała jej matka. O czarnoprotestanckiej rodzinie ojca jeszcze wie coś piąte przez dziesiąte, ale o rodzinie matki - nic a nic. Jak my szybko, jak łatwo znikamy bez śladu z tego życia.

Opowiada mi, jak poznała Tatę pod markizą kantoru Wanamakera w Filadelfii. Miała wtedy piętnaście lat, padał deszcz. Podwędziła tego dnia kapelusz starszej siostry, Maggie, żeby wyglądać strojniej i doroślej. Deszcz zrobił z kapelusza szmatę. Mama płakała. Tato wziął ją pod swój parasol.

Nie wyobrażam sobie Taty z parasolem, szczególnie kiedy miał osiemnaście lat, ale czasy się zmieniają. Przez większą część życia Tato nawet kapelusza nie chciał wkładać na deszcz: mawiał, że deszcz dobrze mu robi na włosy, bardziej się kręcą. Wszystko się zmieniło, kiedy wyłysiał.

Wówczas minął zaledwie rok od wyleczenia Mamy z załamania nerwowego; pracowała w fabryce cukierków. Mama twierdzi, że od pierwszej chwili wiedziała, że Tato zostanie jej mężem. Szkoda, że nie pogadałem z Tatą o tym, co on pamięta.

Mama chodziła wtedy z kimś innym - “przemiłym chłopcem z bardzo zamożnej żydowskiej rodziny" - że zacytuję jej słowa. Nasłuchałem się w życiu o Sidneyu Parkerze! “Nie nosił żydowskiego imienia, ale był Żydem". Pewnie każda kobieta prędzej czy później wygrzebuje z pamięci faceta, którego mogła i powinna była poślubić. Może mężczyźni robią to samo, tylko ja nie zauważyłem.

Mama włącza telewizor. Harmonogram poszczególnych programów zna na pamięć. Transmitują mecz z udziałem Dodgerów, ale Mama nie lubi baseballu. Idziemy na kompromis: wolno mi obejrzeć drugi set, kawałek trzeciego, a potem cały siódmy i ósmy. W ósmym Dodgerzy przegrywają trzy do ośmiu, więc pewnie w końcu przegrali i cały mecz. Zwyciężył ich Johnny Carson ze swoim programem.

Między trzecim a siódmym setem oglądamy film “Wszystko w rodzinie"; Mama upiera się, że główny bohater jest bardzo podobny do mnie. Nazywa się Archie Bunker - twardogłowy, zarozumiały chłystek, wyposażony we wszelkie rasowe i kulturowe uprzedzenia nędzy umysłowej. Zdaje się, że w zamyśle autora miał budzić sympatię.

To prawda, obaj mamy niebieskie oczy - ale Adolf Hitler też takie miał. Obaj też mamy zadarte nosy - a Bob Hope nie ma? Za to Bunker jest siwy, a ja nie. Może bym i posiwiał, gdybym wcześniej nie wyłysiał - kto to wie? Archie Bunker ma przede wszystkim wygląd kretyna - te blisko osadzone świńskie oczka! A może i ja wyglądałbym na półgłówka, gdyby nie postępująca łysina, która robi mi wysokie czoło. Mam nadzieję, że dusza moja jest mniej niezbadana niż tożsamość fizyczna.

- No, popatrz, Jacky, czy on nie jest do ciebie podobny? Jak dwie krople wody! Nawet z profilu, widzisz? Szkoda tylko, że nosisz brodę.

W tym momencie przysięgam sobie w duchu, że nigdy, przenigdy, nie zgolę brody. Rozpoczynam też dietę, od zaraz. Wytrzymuję trzy dni.

Lubię jeść. Raczej przestanę patrzeć do lustra. A co mi tam - pięćdziesiąt dwa lata to pięćdziesiąt dwa lata, muszę wyglądać na swój wiek, całe życie chłopcem nie będę.

Nie do wiary, ile potrafią upchnąć w tych komediach obyczajowych. A z każdego półgodzinnego odcinka jedenaście minut zabierają reklamy i przerwy stacji nadawczych. Wszystko trzeba zmieścić w dziewiętnastu minutach.

I co tu się dziwić, że ludzie stają się nerwowi, że tracą poczucie sensu i ciągłości życia. Wystarczy trochę pooglądać telewizję i już ma się wypaczony obraz świata. Życie w normalnym tempie wydaje się powolne i nudne.

Po programie Johnny'ego Carsona kładę Mamę do łóżka, zostawiając tabletkę valium i szklankę wody na nocnym stoliku. Już dosyć tej lekomanii. Jak nie będzie mogła zasnąć, niech sobie łyknie. To w końcu jej życie - uczę się tej prawdy, ale powoli.

Tymczasem to ja nie mogę spać. Przyłapuję się na kontemplowaniu “numerkowych" portretów Matki Boskiej i Serca Przenajświętszego, które malował Tato. Nie wiadomo, czemu zostały zamienione miejscami. Zwykle Serce Przenajświętsze wiesza się po lewej stronie.

Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek świadomie odnotował tradycyjny sposób wieszania tych obrazów; musiało mi się to bezwiednie wsączyć w pamięć przez dziewięć lat uczęszczania do szkoły parafialnej.

Nie myślę intensywnie, myśli przychodzą same, znikąd. A może to właśnie jest myślenie. Nagle coś przychodzi mi do głowy. Mając tyle lat, ile mam dzisiaj, traktowałbym Jezusa, nawet u schyłku jego trzydziestotrzyletniego życia, jak smarkacza, jak rozhisteryzowanego narwańca. Leżę z tą myślą w półmroku: oj, starzejesz się, Johnny, starzejesz.

Kiedy byłem mały, Jezus, chyba dzięki brodzie, wydawał mi się starszy - jak inny gatunek istoty - poważniejszy jakiś, bliższy postaci dziadka albo ojca.

A teraz właśnie smarkacze noszą brody. Zapuszczenie brody jest równoznaczne z noszeniem adidasów i podkoszulka: tani sposób na wieczną młodość.

Przyglądam się Marii. Kiedy urodziła Jezusa, nie mogła mieć więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Załóżmy, że Archanioł Gabriel rzeczywiście do niej zstąpił, powiedział jej, że ojcem jest Bóg i że dziecko też będzie Bogiem, pouczył, jak je nazwać - ale czy ona nadal w to wierzyła w siedem, osiem miesięcy później?

A Józef - jeżeli rzeczywiście nie sypiał z Marią, to co sobie myślał?

I co się stało z Józefem? Ostatni raz słyszymy o nim, kiedy Jezus ma dwanaście lat - potem cisza. Nawet jeżeli nie był ojcem Jezusa, mogliby przynajmniej powiedzieć, że umarł albo uciekł, albo że go stratował spłoszony osioł - cokolwiek.

A jaki paskudny dzień wybrali na obchodzenie urodzin świętego Józefa - w dwa dni

po świętym Patryku. Ani o jednym, ani o drugim nie wiadomo, kiedy się urodzili, więc można było wybrać dowolne daty. Kiedy Jezus przychodzi na świat, rola Józefa ogranicza się do trzymania na wodzy osłów i krów, potem udziela chłopcu kilku lekcji ciesiołki.

Dalej - wesele w Kanie. Maria ma czterdzieści sześć, może czterdzieści siedem lat - dobry wiek dla kobiety, jest w pełni dojrzała, a jeszcze bez oznak starości. I ta Maria pcha Jezusa w objęcia kariery, chociaż on nie jest jeszcze gotowy - chce się popisać przed znajomymi, jakiego ma supersyna. Ciekawe, czy w domu wykonał parę sztuczek dla wprawy.

A może Maria miała po prostu dość tego, że trzydziestoletni synalek obija się bezczynnie w domu?

Patrzę na te dwa obrazy i w głowie mi się mąci. Zawsze popierałem i popieram fantazję - tyle że to miała być prawda. Cała ta mistyka wsącza się w psychikę człowieka, zmienia go. Ciekawe, ile z niej tkwi nadal we mnie - na pewno niemało. Leżę w łóżku z bluźnierczymi myślami, głowię się, o co tu właściwie chodzi.

Na drugi dzień z rana dzwoni do nas Ethridge. Telefon odebrała Mama; przyciska słuchawkę do piersi i szepcze, przesadnie wyginając usta:

- On chce rozmawiać z tobą, Jacky.

Podnoszę słuchawkę w salonie. Mama może słuchać ze swojego aparatu.

Ethridge przybrał oficjalny, władczy ton. Telefon do nas musiał być jednym z pierwszych na jego liście, jest ledwie kwadrans po dziewiątej.

Ethridge informuje mnie z grubsza o stanie zdrowia Taty, gęsto używając żargonu medycznego. Słucham. Wreszcie dochodzi do sedna sprawy.

- Dzisiaj wypisuję pańskiego ojca ze szpitala. Może go pan odebrać po dwunastej. Zatkało mnie. Nie mogę uwierzyć.

- Czy to znaczy, że doszedł do siebie, doktorze?

- Nie, niezupełnie, ale jego stan nie ulega w tej chwili większym zmianom.

- W takim razie, dlaczego go wypisujecie? W tym stanie poza szpitalem nie ma szans na przeżycie.

- Z punktu widzenia medycyny, stan zdrowia pańskiego ojca nie ulega wahaniom, niewiele możemy dla niego zrobić. W zasadzie wymaga tylko dozoru.

- Co to znaczy, doktorze Ethridge? Co w tym przypadku oznacza termin “dozór"?

- Panie Tremont, nie możemy blokować łóżek szpitalnych pacjentami, którzy nie odnoszą korzyści z leczenia. W dalszym ciągu nie mogę uwierzyć.

- Ależ doktorze, próbowaliśmy opiekować się nim w domu. Spałem z nim, karmiłem go, kąpałem, spędzałem z nim cały czas, a mimo to o mało nie przeniósł się na tamten świat. Kategorycznie wymaga opieki szpitalnej.

Chwila ciszy. Ethridge mobilizuje resztki swojej ograniczonej cierpliwości.

- Pański ojciec, panie Tremont, powinien się zapewne znaleźć w domu dla przewlekle chorych. Potrzymam go jeszcze jeden dzień, aby dać panu czas na znalezienie stosownego miejsca. Tutejsza opieka społeczna będzie chyba mogła coś panu doradzić.

Odkłada słuchawkę.

Siadam i nie wiem, co robić. Słyszę, jak Mama szura kapciami przez hall. Jest

strasznie zdenerwowana, potrząsa pięścią.

- Wiedziałam, że ten Ethridge to sk...syn! Tatuś go lubił tylko za to, że pochodzi z Wisconsin. A ja jestem pewna, że oni popełnili jakiś błąd przy operacji pęcherza!

Prowadzę ją na fotel.

- Nie denerwuj się, Mamo. Twój następny zawał nic tu nie pomoże.

- A kto przez dwadzieścia lat płacił pieniądze, żeby sobie mogli postawić nowy duży szpital? Człowiek płaci i płaci, a kiedy ich potrzebuje, to go wyrzucają. Banda łobuzów i czarnuchów!

Mama płacze.

- Jacky, ja nie chcę, żeby tatuś szedł do domu starców. Pomyśl tylko, tyle lat pracy i oszczędzania, wychowywania dzieci - i teraz miałby tak skończyć?

- To dom opieki, Mamo, taki jak ten na drugim końcu ulicy, a nie dom starców.

- Już ty mi nie tłumacz, wszystko wiem. Tylko nazwa lepiej brzmi. Ile razy tatuś i ja patrzyliśmy na tych biedaków z drugiego końca ulicy i żal nam się robiło! Tak się cieszyliśmy, że przynajmniej mamy kawałek własnego miejsca - a teraz tatusia coś takiego spotyka.

Płacze w głos. Czekam. Chciałbym zadzwonić do Joan, ale najpierw trzeba opanować sytuację tutaj. Właściwie nie mamy innego wyjścia. Nie wiem, czym mógłbym zmusić szpital do zatrzymania Taty. Ja z pewnością nie potrafię się nim należycie zająć, zwłaszcza kiedy Mama jest na miejscu. Tato musi iść do domu opieki. W końcu jakoś uspokajam Mamę i dzwonię do Joan.

Przedstawiam jej sytuację, mówię, jak Mama się zdenerwowała. Joan mówi, żeby dać jej Mamę do telefonu. Rozsiadam się wygodniej.

Po jakichś pięciu minutach kiwania głową i potakiwania, zgłaszania żali i wycofywania się z zarzutów, Mama przekazuje mi słuchawkę.

- Zdaje się, że Mama zrozumiała, Jack. To przede wszystkim kwestia psychiki. Wśród Irlandczyków pokutuje mit przytułku dla ubogich. Przejdzie jej. Wybierz się teraz do Perpetual i porozmawiaj z opieką społeczną.

Tak to się jakoś samo rozwiązuje. Szykuję śniadanie dla Mamy i dla siebie. Mama nadal oscyluje między rezygnacją a uporem. Billy wychodzi od siebie, mówię mu, co się stało. Billy mówi, że pójdzie i podpali ten cholerny szpital. Rożnamiętnia Mamę na nowo. Zza pleców Mamy daję mu rozpaczliwe znaki, żeby spuścił z tonu. I bez tego nie jest nam lekko.

Trzy razy obleciałem cały szpital, zanim znalazłem biuro opieki społecznej w podziemiu. Kobieta, która mnie obsługuje, jest sympatyczna, umie słuchać. Dzwoni i weryfikuje informacje, prosi o kartę choroby Taty. Nie popędza, nie wymusza decyzji. Tłumaczy mi, jaki jest charakter domów prowadzonych przez Perpetual dla członków ubezpieczalni. Podaje nazwy szeregu domów dotowanych przez Perpetual.

Koszta są szokujące. Mamę ściełoby z nóg. Pytam, na jakich warunkach Tato mógłby zostać przyjęty do którejś z filii Perpetual dla przewlekle chorych. Te domy objęte są planem

ubezpieczeń. Czuję się, jak żebrak wyciągający kapelusz po datki.

Urzędniczka uśmiecha się; mówi z lekkim, chyba szkockim akcentem, jest mniej więcej w moim wieku, może trochę młodsza, ma siwiejące czarne włosy, bladoniebieskie oczy.

- Kwalifikowałby się, gdyby wymagał opieki lekarskiej, a nie tylko dozoru pielęgniarskiego. Jeżeli wypiszą go z cewnikiem, nie powinien pan mieć żadnych kłopotów.

Cieszy się ze względu na Tatę, na mnie. Aż mnie ściska w dołku. Czy chcę, żeby zatrzymali Tacie cewnik za cenę trzydziestu, powiedzmy, dolarów dziennie? Czy to ja mam podjąć decyzję?

Dziękuję jej i mówię, że zaraz wracam. Lecę na górę i pętam się po klinice urologicznej, aż wreszcie udaje mi się złapać Sama, kiedy ma chwilę wolnego. Natychmiast mnie sobie przypomina.

- Z pańskim ojcem to bardzo przykra sprawa. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się pacjentowi tak gwałtownie pogorszyło.

Pytam o stały cewnik. Mówi, że Santana na dzisiejsze popołudnie wyznaczył zdjęcie cewnika. Pytam, czy nie można by go zostawić. Sam patrzy na mnie zdziwiony. Wyjaśniam sytuację. Sam kręci głową.

- Musiałby pan pomówić z doktorem Santaną. Zaraz wyjdzie, niech pan spróbuje.

Kiedy Santana się pojawia, robię krok w jego stronę. Na to on daje dwa kroki do tyłu.

- Doktorze, czy mógłby pan jeszcze na tydzień zostawić ojcu cewnik? Patrzy na mnie; wolałby mnie nie widzieć.

- Z punktu widzenia medycyny byłoby to uzasadnione. Czy są jakieś inne istotne powody, panie Tremont?

- Ułatwiłoby to przyjęcie ojca do domu dla przewlekle chorych, gdzie chcę go umieścić.

Nie rozwijam tematu w nadziei, że Santana nie zna szczegółów procedury. Przygląda mi się ponownie. W ręku trzyma papiery, do których co chwila zerka.

- Zgoda, panie Tremont, zostawimy cewnik.

Oddala się. Podchodzę do Sama i zaczynam mu relacjonować rozmowę. Sam stoi oparty o biurko w recepcji urologii, unosi rękę.

- Słyszałem. Okej. Wypisują go jutro, tak?

- Tak. Serdeczne dzięki, Sam. Dziękuję za wszystko. Podajemy sobie ręce i pędzę na dół.

Informuję urzędniczkę, której nazwisko brzmi Trumbull, że cewnik zostaje. Zerka w swoją kartotekę.

- Możliwe, że mają wolne miejsce w Cottage Villa. Zadzwonię do nich.

Przez telefon referuje stan Taty. Spogląda na mnie z uśmiechem i odkłada słuchawkę.

- Jeszcze nie ma, ale wkrótce będzie. Chcą, żeby pan do nich przyjechał na wstępną rozmowę.

Wyciąga kartę z adresem i składa na niej podpis. Cottage Villa stoi o pół mili od szpitala, na szczycie wzgórza w pobliżu zbiegu autostrad San Diego i Santa Monica. Jadę

tam.

Z zewnątrz dom wydaje się olbrzymi. Otwarty fronton w kształcie litery U otacza spory trawnik z kwietnikiem. Tu i ówdzie stoją rozpięte kolorowe parasole i stoliki typu turystycznego. Całkiem jak w klubie golfowym trzeciej kategorii w Palm Springs. Wewnątrz skrzydeł tworzących literę U biegną dwa długie korytarze. Dominuje tu fotel na kółkach we wszystkich wersjach: nierdzewna stal i pełne napięcia twarze, blada pomarszczona skóra, siwe włosy, wszyscy poubierani w szlafroki. Przedostaję się do kancelarii.

Urzędniczka informuje mnie, że 70 procent mieszkańców domów opieki to kobiety - mężczyźni umierają młodo. Mam szczęście, bo jeden z mężczyzn powinien umrzeć w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin i Tato będzie mógł zająć jego miejsce. Pyta, czy chciałbym obejrzeć pokój, ja jednak nie mam odwagi. Pokazuje mi więc inny, identyczny. Wygląda jak pokoik w motelu, z tym że łóżka mają boczne ścianki. Drzwi wychodzą na korytarz, a okno na parking. Przy oknie siedzi mężczyzna w fotelu na kółkach, gra sam z sobą w jakąś grę.

Urzędniczka mówi, że zadzwoni do szpitala i powie, kiedy mogą przywieźć ojca; szpital zapewnia karetkę pogotowia. Mówię jej o cewniku i pytam, czy będą go mogli usunąć jak najprędzej i czy Tato nie straci przez to uprawnień do pobytu w tym domu.

- Proszę się nie martwić, skoro raz się tu znajdzie, możemy robić, co chcemy. Lekarze tutaj są bardzo wyrozumiali.

Właśnie na coś takiego liczyłem.

Jak dobrze znaleźć się na zewnątrz. Patrzę na słońce, przenoszę wzrok na statyczną niemal scenę na trawniku przed domem. Czuję się sprawny, beztroski, silny. Nie dokucza mi żaden ból. Wskakuję do samochodu, zapuszczam silnik i pędem wyjeżdżam z parkingu - nikt z tych, których pozostawiłem za sobą, już nigdy tego nie dokona. W domu Mama od razu spieszy do mnie przez hall szurając kapciami. Jeszcze nie zdążyłem ust otworzyć, a ona już zaczyna. Nigdy się nie pogodzi z tym, że Tato ma iść do domu opieki. Nie moglibyśmy wynająć zawodowej pielęgniarki, która opiekowałaby się Tatą w domu? Można by jej urządzić pokój na tyłach, niech tam mieszka.

O tym istotnie nie pomyślałem. Ledwo poczułem, że wszystko załatwione - a tu znowu coś. Siadam dla złapania tchu, słucham, kiwam głową, próbuję się oswoić z nową myślą.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Joan. To jedyna metoda, żeby Mama dowiedziała się, jak wygląda dom, do którego ma trafić Tato, a nie mogła mi przerywać. Magia telefonu: prawie każdy potrafi bez skrupułów przerwać mówiącemu wprost, ale prawie nikt nie przerwie mówiącemu przez telefon. Wyjaśniam Joan całą sytuację, ze sprawą cewnika włącznie. Joan zgadza się ze wszystkim.

- Pamiętaj, Jack, że to nas do niczego nie zobowiązuje. Jeżeli coś będzie nie tak, możemy go w każdej chwili stamtąd zabrać.

Referuję jej nowy pomysł Mamy o pielęgniarce. Joan chce mówić z Mamą. Przekazuję jej słuchawkę, wychodzę do sypialni, wyciągam się na łóżku, podnoszę słuchawkę

drugiego aparatu i podsłuchuję.

Joan znowu w akcji. Już zdołała co nieco zmiękczyć stanowisko Mamy.

- Zrozum, Mamo, przecież to tak samo jakby leżał w szpitalu, tyle że bliżej domu. Ma fachową opiekę lekarską, której my mu nie zapewnimy. Blisko, można go często odwiedzać. A dopóki tam leży, możemy się rozglądać za stałą pielęgniarką domową. Z dnia na dzień nikogo nie znajdziemy, na to trzeba czasu. Zadzwonimy do Katolickiej Agencji Społecznej.

Odkładam słuchawkę i staram się odprężyć. Cały dzień chodziłem spięty, ciśnienie skoczyło mi zawrotnie. Koło łóżka widzę valium Mamy i szklankę wody. Połykam, wyciągam się na plecach, czekam.

Nie do wiary, jak to szybko działa. Może to tylko sprawa wyobraźni, ale czuję, jak rozwija mi się wewnętrzna sprężyna. Przyczajone na obrzeżach podświadomości niepokoje oddalają się i bledną. Nie chce mi się spać, tylko pozostać w tym stanie spokoju.

Mama po odłożeniu słuchawki przychodzi do mnie. Zdaje się, że w drodze przez hall zdążyła zmienić zdanie. Teraz narzeka na to, że nikt nie dba o starych ludzi.

- Nawet jak człowiek ma pieniądze, tylko patrzą, gdzie by go upchnąć poza domem, z obcymi. Ja taka nie byłam, o nie! Razem z siostrami opiekowałam się matką przez siedem lat, kiedy była na wpół sparaliżowana. A jak umarła, dzieliłyśmy obowiązki przy tatusiu. Na odwiedziny albo telefon od wnuków w ogóle nie ma co liczyć, żeby człowiek przeżył nie wiem ile zawałów i miał umierającego męża w szpitalu. Co ich to obchodzi. Stary człowiek tylko każdemu zawadza.

Nawet nie płacze, tylko punktuje fakty, jakby recytowała litanię. Nie mogę jej zaprzeczyć.

Wciąż jestem rozluźniony po valium. Słucham, co Mama mówi, ale wcale mnie to nie denerwuje, mógłbym powiedzieć, że nawet mi się podoba. Czuję się jak wielki guru, gotów udzielać rad całemu światu.

Na drugi dzień Joan zaczyna się rozglądać za pielęgniarką. Mama gotowa jest płacić do osiemnastu dolarów dziennie, plus pokój i wyżywienie, ale za tę cenę nigdzie nie znajdzie fachowej siły.

Poza tym - te jej wymagania! Pielęgniarka musi być katoliczką, nie pić, nie palić, rozumie się, że czarna, Meksykanka albo Kubanka odpadają. Kubańczycy stanowią u Mamy oddzielną kategorię: Kubańczykiem może u niej zostać właściwie każdy, kto mówi z obcym akcentem. I żeby nie była ani za młoda, ani za stara. Poszukuje się brzydkiej kobiety, wiek między czterdzieści a pięćdziesiąt lat, która chciałaby pójść żywcem do nieba. Cieszę się, że zadanie znalezienia jej przypadło Joan.

Ja będę spędzał jak najwięcej czasu w domu dla przewlekle chorych. Chcę widzieć, jak się tam Tatą opiekują. Nasłuchałem się opowieści o maltretowaniu, przedawkowywaniu leków nasennych, zaniedbywaniu pacjentów. Cały czas mam nadzieję, że Tato poleży tam najwyżej tydzień, dwa, dopóki Joan kogoś nie znajdzie.

Nazajutrz rano dzwonią do mnie z Perpetual: Tato będzie przewieziony do Cottage

Villa jeszcze przed południem. Przekazuję informację Mamie, podaję jej śniadanie i jadę tam.

Tatę wiozą na ruchomym łóżku. Cewnik ma. Wtaczają go do pokoju, ja idę obok. Pomagam pielęgniarce przenieść Tatę na łóżko. Jest niespokojny, gwałtownie rzuca głową na wszystkie strony, superczujny, chociaż nieświadomy. Nie poznaje mnie i nie reaguje.

Salowe roznoszą południowy posiłek. Tato ma zestaw na swojej karcie. Będzie karmiony łyżeczką. Zabiera się do tego śliczna kobieta o jasnobrązowej skórze, z jednym okiem piwnym, a drugim zielonym. Podnosimy podgłówek łóżka do pozycji siedzącej. Tato ma na sobie pas bezpieczeństwa blokujący talię i nadgarstki. Kobieta odkrywa pojemniki z jedzeniem, cały czas przemawiając do Taty cichym głosem. Przeczytała nazwisko na karcie, ale wymawia je “Truman". Poprawiam ją. Wtedy pyta, jak Tato ma na imię, i karmiąc go zwraca się do niego “Jack". Tato nie odrywa wzroku od jej oczu, ale otwiera i zamyka usta na każde dotknięcie łyżki; połyka posłusznie.

- Bardzo dobrze, Jacky, bardzo grzecznie. Teraz trochę marchewki.

Ma słodki głos i piękne ciało. Ciekaw jestem, dlaczego podjęła taką pracę, co czuje, kiedy patrzy na tych starych ludzi. Mam nadzieję, że potrafi znaleźć w sobie współczucie dla nich, że jest to dla niej coś, co warto robić.

Stoję po przeciwnej stronie łóżka, przyglądam się, próbując wyłowić istotę rzeczy. Między jednym a drugim kęsem ona uśmiecha się do mnie, zamieniamy parę słów.

Pakuje Tacie do ust łyżkę kremu.

- Może pan sobie iść. Nakarmię tatusia bez kłopotu, nie sprawia żadnych trudności.

- A wolno popatrzeć?

Odpowiada błyskiem uśmiechu.

- Jeżeli pan chce, nie mam nic przeciwko temu. Mnie to nie przeszkadza.

Karmi Tatę dalej, a ja mówię do niego. Nie zwraca na mnie uwagi. Oczy utkwił w dziewczynie i współpracuje z nią przy karmieniu. Zaczyna nawet otwierać usta tuż po przełknięciu, zanim jeszcze dotknie ich łyżka.

Przyglądam się dziewczynie. Ramiona ma pełne, ale nie pulchne, nie tęgie; biały wykrochmalony mundurek ciasno opina jej ciało. Materiał jest cienki, widać, gdzie został podwinięty na brzegu rękawa, a gdzie jedną warstwą osłania skórę.

Po karmieniu pytam ją, czy mogę zabrać Tatę na dwór, żeby posiedział w patio.

- Myślę, że to mu bardzo dobrze zrobi.

Zdejmujemy pasy bezpieczeństwa, opatulamy Tatę ciasno w szlafrok i przenosimy na fotel inwalidzki, razem z butelką na mocz. Pod siedzeniem fotela jest mała klamra do zamocowania butelki. Na siedząco Tato wygląda lepiej - każda pozycja jest lepsza niż leżenie w łóżku w ciągłym przerażeniu.

Pcham wózek przez korytarz. Tato nabrał zwyczaju trzymania ust otwartych, z obwisłą dolną wargą. Bardzo to do niego niepodobne. Przez całe życie jedną z charakterystycznych cech Taty były zaciśnięte usta i sztywna szczęka. Teraz, z opadłą szczęką, rozchylonymi ustami i zwieszoną głową, spogląda spode łba jak Charles Laughton w roli kapitana Bligha. Wcale nie jest podobny do siebie.

Na dworze wyszukuję stolik z parasolem słonecznym i parkuję Tatę w cieniu. Sam

siadam obok niego na słońcu. Mówię mu, jak dobrze jest się odprężyć, czuć słońce na skórze. Mówię o kwiatach, wymieniam niektóre nazwy. Siedzimy tak blisko godzinę. Rozluźniam się do końca, biernie chłonąc spokój tego miejsca.

Nagle Tato zaczyna mówić. Z początku mówi sam do siebie, mamrocze, głos ma niski i tak schrypnięty, że niczego nie mogę zrozumieć. Nachylam się nad nim od tyłu, żeby go nie rozpraszać. Oczy i głowa poruszają się, coś śledzą. Tato widzi coś po drugiej stronie trawnika, za furtką prowadzącą do dróżki na szosę. Pochylam się jeszcze niżej.

- Wiesz co, Ed, trzeba by chyba zacząć obrywać ogórki.

Patrzy na mnie, poprzez mnie, szukając potwierdzenia. Kiwam głową. Zależy mi, żeby to działo się dalej.

- Masz słuszność, Jack, chyba zaczniemy.

- Fabryka korniszonów płaci siedemdziesiąt pięć centów od beczułki, teraz najlepiej sprzedawać.

- Racja, Jack. Myślisz, żeby je jutro odstawić? Rzuca mi uważne spojrzenie. Jego głos przybiera silny akcent z Wisconsin.

- Pamiętaj, Ed, że jutro mamy pomóc tacie wyszykować stajnię. Nie zapomnij.

- A, rzeczywiście, Jack, całkiem zapomniałem.

- Ale z ogórkami musimy zacząć zaraz potem, żeby skończyć po dojeniu. W sobotę pożyczymy wózek i odstawimy je.

- Dobry pomysł, Jack, tak zrobimy.

Siedzi wychylony do przodu, kręci głową i uśmiecha się. Czekam, ale to już wszystko. Żadnym słowem nie mogę wywołać dalszego ciągu. Kiedy robi się chłodniej, odwożę Tatę do środka i poprawiam mu łóżko. Pielęgniarka mi pomaga. Krzątamy się po przeciwnych stronach łóżka, upychamy prześcieradło pod materac, zapinamy pasy bezpieczeństwa. Dziewczyna ma na imię Alicja.

Mówię jej, że ja nazywam się tak jak Tato. Opowiadam, jak się żyje w Paryżu, jak to jest być artystą, jak przyjechałem tutaj w związku z chorobą Mamy. Wiem, że w tej chwili brzmi to fałszywie, nawet dla mnie samego.

- Jak się pani tutaj pracuje?

Krzywi się, wzrusza ramionami, wzdycha.

- Praca jest przygnębiająca. Przez pięć lat pracowałam w kilku takich domach. Zawsze się przegrywa, na starość nie ma lekarstwa.

Przechodzi w nogi łóżka.

- Ale jak człowiek jest sam i ma dziecko na utrzymaniu, to musi gdzieś pracować, a posadę nie tak łatwo znaleźć. Tu przynajmniej mam ruchomy czas pracy, nie jest tak źle.

Spogląda na zegarek, mówi, że właśnie kończy się jej dyżur.

Obiad poda Tacie inna pielęgniarka. Pytam, czy mógłbym ją gdzieś podwieźć. Rzuca mi szybkie spojrzenie.

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony, ale pani Kessler, kierowniczka ośrodka, zrobiłaby raban na cały dom, gdyby zobaczyła, że z panem wychodzę.

Chichocze, patrzy w podłogę, potrząsa głową. Zdaje się, że źle mnie zrozumiała.

- Chodzi tylko o to, że zamierzam teraz wpaść do domu, zobaczyć, co z matką, i wracam tutaj, pomóc przy obiedzie. Myślałem, że po drodze mógłbym panią gdzieś podrzucić.

Przygląda mi się z głową przechyloną na bok.

- Z pana to naprawdę dobry syn. Tych ludzi tutaj nikt nie odwiedza. Niektórzy od lat nie mieli gości ani listu. Odwraca się, staje w drzwiach.

- Nawet jakby pan był czarny, pani Kessler urządziłaby nam scenę.

Przyjeżdżam do domu; wszystko gra. Billy usadowił się w fotelu Taty, oglądają telewizję. Mówię Billy'emu, że wrócę, jak tylko nakarmię Tatę, i może mieć wolny wieczór. Mama twierdzi, że ma się doskonale i wcale nie potrzebuje, żeby ją ktoś bez przerwy niańczył.

Pomagam Billy'emu zrobić porządek na tyłach. Billy mówi, że nie wie, jak długo wytrzyma. Mama bez przerwy się go czepia: o włosy, o to, że chodzi boso, że ma zapuszczone paznokcie u nóg, że robią mu się pryszcze, że śmierdzi, że puszcza bąki.

Billy mówi mi, że ma tu przyjechać jego przyjaciel z Santa Cruz, i pyta, czy mogą we dwóch nocować w sypialni na tyłach. Obiecuję zapytać Mamę. Chyba nie będzie to proste. Przyjaciel też pewnie chodzi boso, ma brodę i brzdąka te same dwadzieścia kawałków na gitarze. A jemu już nie będę mógł zwrócić uwagi. Wszystko wymyka mi się z rąk, ledwo wytrzymuję.

Na trzeci dzień jadę karmić Tatę w południe. Jest sztywny i spięty. Usta mu drżą, mamrocze coś jak oszalały, oczy ma rozbiegane.

Nie potrafię go nakłonić do jedzenia. Z trudem rozwieram mu usta, a kiedy to już się udaje, on z całej siły zagryza łyżkę. Dokładnie tak jak wtedy po elavilu.

Pytam Alicję, czy podawali Tacie pigułki na ciśnienie - może powinien zażyć valium, cokolwiek, co zmniejszyłoby napięcie. Alicja idzie po kartę Taty i pokazuje mi ją. Ani słowa o lekach. Perpetual nie przekazał wskazań dotyczących terapii i leków!

Idę do kierowniczki ośrodka i proszę, żeby zadzwoniła do szpitala. Pędzę do samochodu, gdzie mam valium kupione właśnie dla Mamy. Ciśnieniomierz też jest w samochodzie. Łapię go i biegnę z powrotem. Tato wygląda, jakby miał za chwilę wyfrunąć z łóżka. Szarpie pasy, próbuje się unieść, pada, zgrzyta zębami, jęczy.

Udaje mi się założyć mu opaskę ciśnieniomierza na ramię, pompuję. Proszę Alicję, żeby podała Tacie valium albo jakiś inny środek uspokajający, wszystko jedno co. Lada chwila może nastąpić wylew. Alicja jednak boi się działać bez lekarza, czeka, aż Perpetual nadeśle papiery.

Lecę do służbowego telefonu i na chama uzyskuję łączność z Ethridgem. Alarm już musiał się rozznieść, bo łączą mnie szybko. Referuję Ethridge'owi, co jest.

- To fatalnie, panie Tremont. Zaraz się tym zajmiemy. Już wysyłam historię choroby.

Dalej się stawia, łajdak - motłoch przeszkadza wodzom w ich dziejowej misji.

- Tego już za wiele, doktorze Ethridge! Nie zajmujecie się moim ojcem, jak należy. O co tu chodzi? Czy liczycie na jego rychłą śmierć, żeby się pozbyć wyrzutów sumienia?

- Spokojnie, panie Tremont, nie histeryzujmy.

- Ja nie histeryzuję, do cholery, próbuję tylko utrzymać ojca przy życiu, a pan i reszta Perpetual niewiele mi w tym pomagacie.

To go bierze. Wybucha na całego. Zaczyna bardzo chłodno, przedstawiając się jako doktor medycyny związany przysięgą Hipokratesa. Przez dwie minuty mniej więcej trzyma kazanie w tym duchu. Przerywam mu.

- Przepraszam, czy mógłby pan doktor na moment przerwać i wypisać mojemu ojcu receptę? Pan mi tu opowiada o swojej wielkości, a on tymczasem może umrzeć.

Cisza. Spodziewam się, że zaraz odłoży słuchawkę.

- Chcę pana oficjalnie powiadomić, panie Tremont, że od tej chwili przestaję być lekarzem pańskiego ojca. Rezygnuję z prowadzenia tego przypadku. Postaram się, aby przydzielono pańskiemu ojcu innego lekarza.

Zanim odkłada słuchawkę, udaje mi się jeszcze wrzasnąć:

- Pan już dawno zrezygnował, panie doktorze! I niech się pan nie troszczy o znalezienie następcy, sam znajdę! A teraz ostrzegam pana, oficjalnie, żeby pan lepiej sprawdził, czy już panu zapłacili za te szarlatańskie praktyki, bo forsa może się niebawem przydać! Pana obowiązkiem było przesłać do ośrodka historię choroby, wpakował się pan w tarapaty!

Odkładam słuchawkę. Pani Kessler wpatruje się we mnie jak sroka w gnat, z zaciśniętymi w linijkę ustami. Nie lubi awantur. Wolałaby żyć w zgodzie z Perpetual. Widać to po jej oczach, po ustach.

No i coś ty narobił, idioto? - karcę się w duchu. Mój Boże! Co to da?

Wracam do Taty, mówię Alicji, żeby się odwróciła i pakuję Tacie do ust dziesięciomiligramowe valium. Chwilę ssie, ale w końcu połyka.

Siedzę, trzymam go za ręce i czekam. Uspokaja się pomału. Nie zdejmuję mu opaski ciśnieniomierza, co pięć minut sprawdzam ciśnienie. Powoli schodzi do stu osiemdziesięciu na sto. Tato zapada w sen, a ja wracam do domu.

Cuchnę od nerwowego przepocenia. Wolałbym zostać przy Tacie, ale muszę załatwić parę spraw. Trzeba znaleźć nowego lekarza w Perpetual, a w razie konieczności w ogóle zmienić szpital.

Wracam do domu, do Mamy. Właśnie przyjechał Tom, kolega Billy'ego - nie mógł wybrać gorszej pory. Jest dokładnie taki, jak się spodziewałem, tyle że Żyd i spokojny. Pryszczy ma jeszcze więcej niż Billy i chce zostać psychologiem.

Mama wpadła w szał. Tu nie dom schadzek i tak dalej. Okazuje się, że Tom przyjechał, stanął w drzwiach, zrzucił plecak i padli sobie z Billym w objęcia.

Czy przypadkiem Billy nie jest homoseksualistą? Z tymi hippisami nigdy nic nie wiadomo. Wszystko u nich poprzekręcane. Słucham jednym uchem.

Postanawiam działać po kolei. Wywołuję Billy'ego i Toma na tyły. Podsuwam im myśl, że wygodniej będzie zamieszkać pod namiotem na czterdziestoakrowej działce w Topanga. Billy martwi się, że zostawia mnie samego z Mamą. Zapewniam go, że sobie poradzę. Przecież może wpaść co jakiś czas, zmienić mnie na popołudnie lub na wieczór.

Proponuję, żeby jeżeli chce, wziął mój motocykl.

Tom przywiózł w bagażniku swojego samochodu namiot i śpiwory. Szkoda, że nie mogę wybrać się razem z nimi.

Z aparatu w sypialni obdzwaniam kolegów lekarzy. Jeden jest szefem medycznym w centrali związków zawodowych. Referuję mu z grubsza, co się stało, i pytam, czy nie zna kogoś godnego polecenia w Perpetual. Nikogo tam nie zna. Zna za to pewną lekarkę w Wadsworth General i radzi mi do niej zadzwonić. Pani nazywa się doktor Smith, jest specjalistką w dziedzinie interny i urologii. Znajomy mówi, że mogę się na niego powołać.

Wykonuję następny telefon do znajomego chirurga w Cincinnati. Max słucha uważnie mojej opowieści. Tłumaczy mi, jakie należy przyjąć postępowanie neurologiczne, i oferuje się przylecieć osobiście, gdyby sprawa przybrała dramatyczny obrót.

Dzwonię do doktor Smith, do Wadsworth. Powołuję się na kolegę ze związków i streszczam sprawę. Pani doktor okazuje wiele współczucia i obiecuje popytać w środowisku o dobrego specjalistę: oddzwoni w ciągu pół godziny.

Po piętnastu minutach, które spędzam na odganianiu Mamy od aparatu, telefon dzwoni. Mama jest szybsza.

- Do ciebie, Jacky. Jakaś kobieta.

To doktor Smith. Znalazła dobrego specjalistę: pracuje w Perpetual i nazywa się Adam Chad. Jest to młody lekarz, ale przez wszystkich głośno rekomendowany. Dziękuję jej i przyrzekam przekazać pozdrowienia Jensowi ze związków zawodowych. Odkładam słuchawkę, biorę głęboki wdech i wykręcam numer Perpetual. Proszę o połączenie z doktorem Chadem. Jego sekretarka mówi mi, że doktor sam zadzwoni do mnie nieco później.

Idę do Mamy i informuję Ją, że wymówiłem Ethridge'owi.

- Matko Boska, Jacky, tatuś tego nie przeżyje. Wiesz, jak lubił doktora Ethridge'a. Przecież Ethridge leczy tatusia od blisko piętnastu lat.

Z Mamą nigdy nic nie wiadomo. Tłumaczę jej, co zaszło w domu opieki. Mówię, że jestem święcie przekonany, że Tato był niewłaściwie leczony. Przyznaję się, że odbyłem właśnie dwie rozmowy międzymiastowe, konsultując się ze znajomymi lekarzami, i że mam już nazwisko dobrego specjalisty z Perpetual.

Mama wypytuje, co takiego Ethridge zrobił, co powiedział. Mówię, że zarzuciłem mu, że pozwala Tacie umierać i wcale temu nie przeciwdziała. To trafia we wrodzoną podejrzliwość Mamy; od razu bierze moją stronę. Dzwoni telefon.

Doktor Chad. Przedstawiam się i wyjaśniam, że mój ojciec jest pacjentem domu dla przewlekle chorych, będącego filią Perpetual. Napomykam Chadowi, jak gorąco polecała mi go doktor Smith. Pytam, czy nie zdołałby zmieścić Taty w rejestrze swoich pacjentów.

Chad pyta, który lekarz opiekuje się Tatą w tej chwili. Mówię, że operację przeprowadził dr Santana, ale stałym lekarzem ojca jest dr Ethridge. Dodaję, że odbyłem już rozmowę z Ethridgem, który wyraża zgodę na zmianę lekarza.

Chad nie chce na razie niczego obiecywać, ale przyrzeka, że zajrzy w kartę choroby Taty i pogada z Ethridgem. Niech będzie. Ethridge mnie obsmaruje, ale chętnie pozbędzie się tego przypadku.

Siadam przy maszynie do pisania w środkowym pokoju. W domu zwykle używam maszyny elektrycznej, więc przez chwilę trudno mi się przestawić na walenie w klawisze starego, wysokiego Underwooda. Najlepiej myśli mi się na drugim końcu szczotki do zamiatania, zaraz potem - na drugim końcu pędzla; trzecie miejsce zajmuje maszyna do pisania.

Próbuję zebrać myśli: to, co się stało z Tatą, moje własne spostrzeżenia. Następnie przestukuję wszystko na czysto, nadając całości jaki taki logiczny porządek. Dobijam do dziesięciu stron, przy pojedynczej spacji między wierszami. Kiedy wykręcam z maszyny ostatnią kartkę i patrzę na to, co napisałem, robi mi się trochę lepiej.

Telefonuję do kolegi z lat studenckich na Uniwersytecie Kalifornijskim. Ma teraz prywatną praktykę w Santa Monica. Umawiamy się na spotkanie.

Przechodzi mi przez myśl, żeby zadzwonić do Joan, ale nie robię tego. Nie jestem teraz gotów do przyjmowania dobrych rad i zajmowania racjonalnego stanowiska.

Nazajutrz idę na spotkanie ze Scottym, niedoszłym absolwentem sztuk pięknych, dziś prawnikiem. Utył, posiwiał, wygląda staro. Pewnie i ja dla niego tak samo - jak łysy Archie Bunker. Czas to łajdak. Mama mawia: “Starość to nie jest wiek dla smarkaczy". Wiek średni też nie. Żaden wiek nie jest dla smarkaczy.

Scotty przegląda to, co napisałem. Zadaje mi parę pytań i coś notuje. Potem zerka na mnie spod przymrużonych powiek i trzaska maszynopisem o blat.

- Dla mnie to oczywisty przypadek zaniedbania obowiązków lekarskich, Jack, ale nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Perpetual jest dużą placówką i zatrudnia kilku prawników, których bardzo trudno zagiąć. Poza tym, dokumenty są w ich rękach; lekarze będą łgać jak psy, żeby ratować własną skórę. Jak w rodzinie - nie będą zeznawać przeciwko sobie.

Kiedy już nabieram pewności, że mi odmówił, Scotty oświadcza:

- Mimo wszystko, wydaje mi się, że możesz wygrać. Rzuca mi zimne prawnicze spojrzenie i uśmiech ostry jak brzytwa. Pomyśleć tylko, co się potrafi zrobić nawet z niedoszłego magistra sztuki.

- Posłuchaj, Jack, pod Santa Monica mieszka para najlepszych prawników specjalizujących się w zaniedbaniach obowiązków. Oboje są lekarzami i prawnikami zarazem, tandem mąż-żona. Jeszcze nigdy nie przegrali. Jeżeli wezmą twój przypadek - wygrałeś. To już mi się bardziej podoba. Jestem nastawiony na walkę.

- Jak można się z nimi skontaktować?

Scotty dzwoni i umawia mnie na spotkanie natychmiast. Dziękuję mu. Nie chce ani grosza.

- Schowaj sobie na “Knight and Knight", Jack, przyda ci się.

Biura “Knight and Knight" mieszczą się w ciemnobrązowym oszklonym biurowcu na Wilshire; zajmują tam sporo miejsca. Przechodzę wzdłuż rzędu sekretarek, brnąc po kostki w dywanie. Wyłożone mahoniem ściany pokrywają malowidła dekoracyjne w najlepszym guście.

W gabinecie para ludzi usadowionych za ogromnymi biurkami o blatach

obciągniętych czarną skórą wygląda jak reklama strojów jachtowych.

Witamy się przez podanie ręki, przekazuję im maszynopis. Ona siedzi, on staje za nią i czyta przez ramię. Oto piękni ludzie z Kalifornii. Nie daj Boże mieć ich za przeciwników. Są superspokojni, gładcy i odporni na wszelkie ciosy.

Ona pierwsza kończy lekturę, spogląda na mnie spośród opalenizny błękitnymi od morza oczami.

- Co właściwie chciałby pan osiągnąć, panie Tremont?

Wydaje mi się to najgłupszym pytaniem na świecie. Zaraz jednak uświadamiam sobie, że to właśnie jest jedyne istotne pytanie, a ja go nie przemyślałem; zanadto byłem wzburzony, żeby myśleć. Ociągam się z odpowiedzią.

- No cóż, przede wszystkim chcę umieścić ojca w szpitalu, gdzie będzie miał zapewnioną należytą opiekę.

Wpatruje się we mnie, spokojna jak myśliwy. Teraz jej mąż podnosi wzrok. Patrzą po sobie. On zabiera głos. - Mamy podstawę do oskarżenia, ale sprawa będzie długa i trudna. Dotychczas osiem razy wchodziliśmy w spory prawne z Perpetual i za każdym razem wygrywaliśmy - pierwsze trzy drogą sądową, pięć pozostałych za porozumieniem stron. Tym razem zechcą zapewne uniknąć sądu z uwagi na statystykę.

Żona spogląda na niego do góry, uśmiechają się do siebie porozumiewawczo - jak partnerzy od brydża z kompletem atutów w ręku. Teraz znów mówi ona. Całkiem jak na seansie czytania w myślach, kiedy drgnienie paznokcia albo powieki zdradza numer karty ubezpieczeniowej i dokładną sumę pieniędzy, które trzymasz w lewej kieszeni spodni.

- Zapewniamy, że ojciec pański otrzyma należytą opiekę, a pan będzie mógł żądać wszelkich koniecznych zabiegów. Czy to wystarczy?

Pospiesznie skreślam w myślach żądanie o odszkodowanie w wysokości pół miliona dolarów - napiętnowałoby matkę, mnie i wszystkich naszych potomków. Nie miałbym spokojnego sumienia. Perpetual zgrzeszył, owszem, ale nie aż tak. Słyszę własny głos:

- Tak, to wszystko, o co mi chodzi.

Ona sięga do małej przegródki ukrytej za stojakiem na ołówki. Opaloną ręką z widocznymi żyłkami i lekkim deseniem plam wątrobowych, ugarnirowaną szmaragdem w srebrze godnym Paulette Goddard, wyciąga jakąś kartę. Składa na niej podpis. On przejmuje od niej pióro, co jest widocznym aktem intymności. Także składa podpis. Ona podaje mi kartę.

- Proszę to oddać doktorowi Bensonowi, dyrektorowi administracyjnemu Perpetual. Proszę mu oznajmić, że zwrócił się pan do nas w związku z ewentualnym oskarżeniem o zaniedbanie obowiązków lekarskich. Proszę też pokazać mu ten dokument, który pan napisał, w tej właśnie formie, informując, że myśmy go czytali. Proszę również sporządzić listę wszystkich zabiegów i konsultacji, jakich życzy pan sobie dla ojca, i przesłać ją listem poleconym do lekarza, który się nim obecnie opiekuje z ramienia szpitala.

Podczas jej monologu mąż przeszedł bezgłośnie spoza biurka i stanął koło mnie. Trudno mi się powstrzymać od patrzenia na niego; wiem, że nie wyciągnie znienacka Lugera z tłumikiem i nie wymierzy we mnie z łokcia, ale coś takiego mniej więcej przez cały czas

chodzi mi po głowie. A jemu po prostu zależy na tym, żeby się jak najszybciej wyrwać swoim maserati na kort tenisowy. Częstuje mnie płytkim, zdawkowym ukłonem.

- Jesteśmy przekonani, że ta karta panu wystarczy, panie Tremont.

Biorę kartę. Ona wstaje. Nie ma wątpliwości, że powinienem już wyjść.

- Serdecznie państwu dziękuję za czas i uwagę. Ile jestem winien? Ona naciąga na plecy ręcznie dziergany irlandzki sweter.

- Rachunek wystawi panu sekretarka. Proszę nas powiadomić, gdyby chciał pan kontynuować sprawę. I zechce pan poprosić sekretarkę siedzącą najbliżej drzwi o sporządzenie dwóch kserokopii pańskiego oświadczenia do naszej kartoteki.

- Do widzenia panu, panie Tremont. Od tej chwili chyba przestajemy być panu potrzebni.

Pospiesznie holują mnie do drzwi, przechodzą dalej, uśmiechnięci, z pustymi rękami - ani żagli, ani rakiet, ani kija golfowego, ani Lugera.

Sekretarka sporządza kserokopie i informuje mnie, że rachunek otrzymam pod koniec miesiąca. Wizytówka okazuje się być warta sto dolarów - sto dolarów wydanych na asa pik, którego mogę na razie schować w rękawie, a potem wepchnąć Ethridge'owi do gardła, niech się udławi.

Wracam do domu i próbuję wytłumaczyć sytuację Mamie.

Teraz Mama boi się, że Perpetual skreśli ich z ubezpieczalni.

- Rozumiesz, Jacky, oni nie muszę nas trzymać. Większą część stawki ubezpieczeniowej płaci związek zawodowy, my dajemy tylko dwadzieścia trzy dolary miesięcznie.

Próbuję ją przekonać, że nie mogą ich wyrzucić za żądanie należytej opieki. Tak czy owak, nie ma to znaczenia. Przy systemie Medicare i tak są prawie w stu procentach objęci ubezpieczeniem. Słucham zrzędzenia Mamy. Ilekroć mam nadzieję, że skończyła, zaczyna na nowo, od samego początku.

Cechą mentalności biedaka jest ciągłe boksowanie powietrza, ciągłe pogróżki - a kiedy trzeba stanąć oko w oko z “szefem", taki człowiek kompletnie się załamuje. Życie tak nimi pomiatało, tak ich upokarzało, że najdrobniejszy sygnał do walki wprawia ich w panikę. Lęk przed utratą jedynego skromnego zabezpieczenia, jakim dysponują, obezwładnia ich doszczętnie.

Jadę karmić Tatę. Wizytówkę cały czas trzymam w zanadrzu. Niech się Ethridge jeszcze trochę pogorączkuje, a ja się zajmę Tatą.

Postanawiam go namalować. W ten sposób siedząc przy nim będę przynajmniej coś robił. Będę go malował na patio. Pani Kessler i inni nie mogą chyba mieć nic przeciwko temu. A przy okazji udowodnię Alicji, że naprawdę jestem malarzem z Paryża, Francja.

Kiedy przychodzę, Alicja już go karmi. Szpital przesłał kartę choroby i dyspozycje co do leków.

- Narozrabiał pan na całego, co? Pani Kessler mało co oknem nie wyszła. Wie pan co,

Jack, ma pan bardzo sympatycznego tatusia, niech mu pan już więcej nie utrudnia życia.

Przejmuję karmienie. Alicja ma jeszcze innych do obsłużenia, a wie już, że ja to umiem robić.

Tato jest znacznie spokojniejszy. Dalej błądzi z dala od rzeczywistości, ale już nie próbuje uciekać. Sprawia nawet wrażenie, jakby mi się przyglądał - a przynajmniej moim rękom, kiedy umieszczam na łyżce kęs jedzenia i podaję mu do ust. Naśladuję sposób Alicji, tak jak się karmi dziecko: na przemian trochę groszku, kawałek budyniu czekoladowego, odrobina mięsa, łyk mleka. Ciągła zmiana smaków daje lepsze rezultaty niż podawanie jednej potrawy po drugiej. Opróżniamy tacę w niespełna godzinę. Mam przy sobie ciśnieniomierz i mierzę Tacie ciśnienie: sto dziewięćdziesiąt na sto. Nadal wysokie, ale już lepiej.

Po jedzeniu wkładam Tacie pod szlafrok lekki sweter i przenoszę go na fotel inwalidzki. Przytroczonego do fotela paskiem szlafroka wytaczam na dwór. Skrzynkę z farbami zostawiłem przy głównym wejściu na patio. Ustawiam przybory, cały czas zerkając na Tatę. Chcę zrobić portret *trois-quatre*, tylko głowę.

Zaczynam szkicować i dopiero wtedy widzę, jak bardzo Tato się zmienił. Jakby ktoś starł mu z twarzy całą powłokę cywilizacji, superego, tak jak aktor zmywa kremem makijaż. To nadal jego twarz, ale znacznie młodsza, mniej używana, nie zamieszkana. Ta twarz nie jest moim ojcem. Chciałbym namalować ją wiernie, wiernie wobec tego, co wydaje mi się, że widzę - i wiernie wobec tego, co czuję.

Właśnie zaczynam kłaść podkład, kiedy słyszę, że Tato mamrocze, coraz wyraźniej. Przysuwam się bliżej. Tato odwraca się do mnie i mówi, bardzo dobitnie:

- Jak uważasz, Ed, co powinniśmy zrobić?

Znów jestem Edem.

- Nie wiem, a ty jak uważasz, Jack?

- Psiakość, nie mogę patrzeć, jak tracimy tę starą farmę; nie pamiętam już innego gospodarstwa. Nie chcę mieszkać w Manata i chodzić do miejskiej szkoły. Wiem, że nie będzie mi tam dobrze.

Czekam.

- Tak, Jack, masz rację.

Rozglądam się, czy nikt nas nie słyszy. W pobliżu nikogo, nikt nie podgląda.

- Co się stało, Ed? Tato przecież tak ciężko pracuje. Wychodzi w pole, nim słońce wstanie, i haruje do nocy. Nawet zimą pracuje dzień w dzień. Nikt nie może powiedzieć, że nasz tato się leni, nikt a nikt.

- To prawda, Jack.

Tato patrzy na mnie, wpatruje się, jakby chciał przejrzeć poprzez mgłę czasu i pamięci.

- Co on złego zrobił, Ed? Dlaczego musi odsprzedać farmę Wujkowi Billowi? Nie rozumiem tego.

Akurat o tej historii coś niecoś wiem. Wiem, że dziadek sprzedał gospodarstwo i otworzył sklep w Manata, ale zawsze mówiono mi, że zrobił to, żeby córki mogły iść do gimnazjum. Nie wiedziałem wcale, że sprzedał ziemię bratu. Próbuję utrzymać się w roli,

potakuję. Końcówkę tego, co mówi, już ledwo słychać, jak zamierającą falę radiostacji.

- Nigdy tego nie zrozumiem, Ed. Tato jest dobrym farmerem; na co mu jakiś sklep? Jako sklepikarz w mieście będzie do niczego.

I to już koniec. Tato siedzi, patrzy na swoje kolana, rozłożył dłonie. Czekam jeszcze chwilę, potem wracam do malowania. Tato wygląda, jakby miał się rozpłakać, ale nie płacze. Ja robię swoje. Kończę podkład i biorę się za impastowanie. Chciałbym, jeżeli zdołam, ukończyć portret za jednym zamachem.

W połowie impastowania, kiedy rozświetlam półcienie, przychodzi Alicja. Ubrana jest po cywilnemu, właśnie skończyła dyżur. Przystaje koło mnie i zagląda przez ramię.

- Ale podobny, naprawdę, panie Tremont. To pan jest prawdziwym artystą! Jeszcze nigdy nie widziałam prawdziwego artysty.

Przerywam pracę, odchylam się w tył i patrzę na nią, do góry. Słońce zachodzi za jej plecami, prześwituje przez nylonową sukienkę między nogami. Alicja nie nosi koszuli. Przyłapuje moje spojrzenie i krzyżuje nogi.

- Chciałby pan mnie namalować?

Śmieje się i zarzuca rękę za głowę.

- Byłabym świetną modelką. Nieczęsto spotyka się dziewczyny z moim kolorem skóry i jednym okiem zielonym, prawda? W świetle zachodzącego słońca jest wspaniała.

- Bardzo chciałbym panią namalować, Alicjo, ale co by na to powiedziała pani Kessler?

Kładę jeszcze jedno pasemko farby na ocienionym skrzydełku nosa Taty.

- Nie tutaj przecież, nie tutaj! Biedna pani Kesslerowa dostałaby białej gorączki, sam pan wie. Musiałby pan przyjść do mnie do domu. Jessica będzie zachwycona, jak zobaczy, że prawdziwy artysta maluje jej mamę.

Znowu się śmieje i krzyżuje nogi w drugą stronę.

Dodaję więcej sieny palonej do tła nad głową Taty. Jestem za bardzo podniecony, żeby malować naprawdę. Spoglądam na Tatę: nie ma pojęcia, co tu się dzieje, ja też nie. Ona musi mnie uważać za kompletną fujarę.

- Ale niech pan nie trzyma tatusia za długo na dworze. Robi się chłodno. Uśmiecham się do niej, prosto w zachodzące słońce.

- Zaraz go odstawię do pokoju, Alicjo. Miłego wieczoru i do zobaczenia jutro. Świdruje mnie tym zielonym okiem.

- Do zobaczenia.

Odchodząc, zerka do tyłu przez ramię. Śmieje się.

- Do zobaczenia.

Patrzę za nią: nawet na płaskim obcasie porusza się ładnym, długim, pewnym krokiem. Odprowadzam ją wzrokiem do zakrętu na parking.

Kończę obraz w pół godziny. Jest w nim tyle smutku, zagubienia, że aż nie mogę na niego patrzeć. A już na pewno nie wolno go pokazywać Mamie. Mimo to, portret jest dobry - za dobry.

W ciągu następnego tygodnia karmię Tatę dwa razy dziennie. Z Mamą układa się nie najgorzej, za to Joan staje na rzęsach, żeby znaleźć pielęgniarkę, która przypadłaby Mamie do gustu. Po wstępnej rozmowie z dwunastą kandydatką, kiedy Mama raz jeszcze obróciła kciuk do dołu, sprawa wygląda beznadziejnie.

Mama z dnia na dzień bierze na siebie coraz więcej obowiązków; mój obowiązek polega głównie na hamowaniu jej. Któregoś dnia zastaję ją na pieleniu w podwórzu za domem. Tłumaczy się, że nie mogła patrzeć, jak kwiaty tatusia zarastają chwastem. Poza tym, piele przecież na siedząco i wyrywa tylko zielsko, które płytko siedzi w ziemi. No i co ja mam robić? Od tego dnia w przerwach między karmieniami zajmuję się pieleniem.

Nie mam pojęcia, czy to dlatego, że pani Kessler zwęszyła niewinny flirt między Alicją a mną, czy to z racji obowiązującego grafiku dyżurów, Alicję przenoszą na nocną zmianę. Może to i lepiej: jej żywotność i wesołość trochę za bardzo na mnie działają. Powiedziała mi któregoś dnia, że wychowywała ją tylko matka, bez ojca, tak jak ona swoją Jessicę. Coś mnie pociąga w kobietach, które nigdy nie przeżyły dominacji mężczyzny.

Ciekawe, jak ja wpłynąłem na stosunek Marty do mężczyzn. Pilnowałem się jak szalony, żeby zanadto jej nie wykoślawić, ale nigdy nic nie wiadomo.

W sobotę wieczorem, o ósmej, mam być na obiedzie z dawnymi przyjaciółmi, Sandy i Patem Mock. Billy posiedzi przy Mamie. Po drodze postanawiam sprawdzić, jak się miewa Tato; przynajmniej mówię sobie, że jedynie po to zaglądam do ośrodka. Karmiłem go o szóstej.

Ledwie wszedłem do pokoju Taty, już widzę, że coś jest bardzo niedobrze. Tato wygląda jak martwy, gdyby nie to, że oddycha, głośno, głęboko, spazmatycznie. Tylko raz w życiu słyszałem odgłosy agonii, było to z górą trzydzieści lat temu, ale takiego dźwięku się nie zapomina. Tato jest blady, zielonkawo-biały, twarz ma zlaną potem. Wybiegam z pokoju, a z drugiego końca korytarza idzie wprost na mnie Alicja i uśmiecha się.

- Alicjo, chodź, zobacz mojego ojca. Coś niedobrze!

Pędzę do biura w poszukiwaniu pani Kessler, ale nie ma jej tam. Pielęgniarka działa akurat w drugim skrzydle, rozdaje lekarstwa. Biegnę po nią.

- Siostro, proszę pójść ze mną, mój ojciec chyba umiera!

Pielęgniarka jest gruba i ma co najmniej sześćdziesiąt lat. Podąża za mną kaczym chodem.

Kiedy docieramy na miejsce, Alicja masuje Tacie nadgarstki. Pielęgniarka mierzy mu puls w jednej ręce, a ja jednocześnie w drugiej: tętno jest słabe, nieregularne. Siostra okręca ramię Taty swoim rękawem ciśnieniomierza, pompuje, czyta wynik. Słupek na skali nie podchodzi wyżej niż pięćdziesiąt. Pielęgniarka podnosi na mnie wzrok.

- Alicjo, dzwoń do szpitala. Wezwij karetkę, szybko.

Zwraca się do mnie.

- Umie pan robić masaż serca?

Kiwam głową. Przypomina mi się, jak uczyłem tego Tatę, jak histerycznie reagował, kiedy zbliżałem usta do jego ust. Ciekawe, dlaczego nie mają tu sali reanimacyjnej.

- Czy ma sztuczną szczękę?

Zaprzeczam ruchem głowy. Już popadam w szok.

Puls przestaje być wyczuwalny. Pora na masaż serca. Pielęgniarka ściąga Tatę za nogi z wezgłowia tak, żebym mógł się nad nim uplasować. Odchylam mu głowę do tyłu i zaczynam oddychanie metodą usta-usta. Równocześnie stosuję masaż serca. Zaciskam Tacie nos i wdmuchuję powietrze z całej siły, po dwa wdechy, w odstępach co jedenaście sekund. Przerywam oddychanie i robię masaż. Uciskam mostek z częstotliwością około sześćdziesięciu razy na minutę. I znów oddychanie.

Wchodzi Alicja z wiadomością, że karetka jest w drodze. Pielęgniarka przydziela ją do masowania Tacie nóg, które są już pokryte plamami i sine z niedokrwienia.

Przypomina mi się obraz sekcji zwłok Rembrandta z muzeum w Amsterdamie - a może w Watykanie? Za wszelką cenę staram się nie myśleć o tym, co teraz robię. Alicja przysuwa się do mnie i pomaga w masażu serca. Skupiam się na oddychaniu. Pielęgniarka co chwila sprawdza ciśnienie i podnosi powieki Taty, żeby obejrzeć źrenice. Mówi, że osiągnęliśmy ciśnienie osiemdziesiąt na pięćdziesiąt; barwa skóry też się chyba poprawiła.

Zaczynam się zastanawiać, jak długo jeszcze tak wytrzymam. Mam na sobie garnitur, koszulę i krawat. Koszula przesiąkła potem. W głowie mi się kręci od przetlenienia. Staram się myśleć o czymkolwiek, poza tym, kiedy wreszcie przyjedzie ta cholerna karetka.

Alicja wsuwa dłonie pod moje ręce oparte na mostku Taty i przejmuje masaż. Mogę się teraz całkowicie skupić na oddychaniu.

Dalej oddychamy metodą usta-usta; usta Taty są śliskie od śliny. Pielęgniarka melduje, że ciśnienie wzrosło do dziewięćdziesięciu na sześćdziesiąt. Zerkam na nią: sama wygląda jak kandydatka na zawał, ale jakoś wspólnymi siłami trzymamy Tatę przy życiu.

Ślina wokół ust Taty wysycha; mnie też robi się sucho w ustach. Między jednym a drugim oddechem biorę kilka wdechów dla siebie, staram się przy tym zgromadzić w ustach trochę śliny. Spociłem się jak ruda mysz, przed oczami krążą czarne plamy, jak pyłki kurzu na rogówce. Pracujemy w milczącym zapamiętaniu, ciągle nikt nie przychodzi. Jest noc z soboty na niedzielę, personel zredukowany, cała reszta pacjentów pozostała bez opieki.

Męczymy się tak dwadzieścia minut, kiedy dobiega nas syrena karetki pogotowia. Karetka podjeżdża pod tylne wejście. Alicja wychodzi i wraca biegiem z pielęgniarzem. Nasza pielęgniarka poleca mu przynieść aparat tlenowy. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy zapadł zmrok, w pokoju nie pali się światło. Nie jest jeszcze całkiem ciemno, panuje niebieskawy półmrok.

Pielęgniarz biegnie z powrotem i wracają we dwóch z aparatem tlenowym. Unoszą głowę Taty i nakładają mu maskę na twarz. Włączają dopływ tlenu i Tato podejmuje oddychanie. Wtaczają nosze na kółkach obciągnięte czarną skórą; przenosimy na nie Tatę, przy czym ja ani na chwilę nie przerywam masażu serca:

Jeden z facetów od karetki ustawia się tuż przy mnie i przejmuje masaż. Pomagam wyprowadzić nosze przez korytarz i zainstalować w karetce. Wracam do pokoju po marynarkę, którą rzuciłem na podłogę.

Pot leje się ze mnie strumieniami. Pielęgniarka już poszła, jest tylko Alicja. Podaje mi

marynarkę i nagle przytula się mocno. Unosi głowę, całujemy się głębokim, nienasyconym, agresywnym pocałunkiem. Moje usta są odrętwiałe i suche; nie czuję nic.

- Chciałabym, żeby ktoś mnie kiedyś kochał tak, jak ty swojego ojca.

Narzucam marynarkę na ramiona. Oblepia mnie warstwa zimnego potu.

- To cudowny człowiek, Alicjo, łatwo go kochać. Ciebie pewnie też.

- Opowiedz mi, jaki on jest, Jack. Wpadnij do mnie kiedyś, co?

Kiwam głową. Wiem, że tego nie zrobię. Myślami jestem gdzie indziej - częściowo w karetce, a częściowo w Paryżu.

Odwracam się i wybiegani korytarzem. Wskakuję do karetki, ruszamy. Światełko na dachu wiruje, a syrena wyje uauauaua. Przejmuję masaż serca, pielęgniarz instaluje aparat tlenowy i przygotowuje kroplówkę z czymś, co wygląda jak zwykły roztwór solankowy. Po zamocowaniu i podłączeniu pojemnika wraca do masażu. Jego czoło ocieka potem. Kierowca daje mi znak, żebym przesiadł się do niego, do przodu; zajmuję fotel pasażera.

- Jak ja się, cholera, mam stąd dostać do Perpetual? Zgubiłem drogę.

Wyglądam przez okienko i widzę, że wcale nie jesteśmy na autostradzie. Jedziemy Washington Boulevard, za bardzo na południe. Naprowadzam kierowcę na właściwy kierunek. Kierowca mówi, że oni nie są stałą ekipą Perpetual, dostali wezwanie do nagłego wypadku. Jestem za bardzo przerażony, zmęczony, wyczerpany, aby robić jakiekolwiek komentarze. Pędzimy przez czerwone światła, patrzę na zegarek - niezłe tempo. Ale gdybyśmy pojechali autostradą, już bylibyśmy na miejscu.

Już tam na nas czekają. Tatę przeniesiono do sali reanimacyjnej w asyście lekarza i dwóch pielęgniarek; dookoła łóżka zaciągnięto zasłony. Polecają mi wyjść do poczekalni. Fachowcy wzięli sprawę w swoje ręce - niech będzie, nie opieram się. Jestem tak wykończony, że czuję się jak wypluty.

Cały czas zadaję sobie pytanie, czy Tato odzyska jeszcze przytomność. Jestem przekonany, że po tak silnym szoku w ogóle nie przeżyje. Zastanawiam się, jak poważne mogą być zmiany w mózgu - nie wiem przecież, jak długo leżał sam w łóżku z ciśnieniem rozkurczowym poniżej pięćdziesięciu, zanim go tak zastałem.

W pół godziny później lekarz wychodzi. Gestem zaprasza mnie do małego pokoiku. Spodziewam się, że tu właśnie chce mnie powiadomić o śmierci Taty. Przygotowałem się na tę wiadomość. W końcu musi przyjść moment, kiedy człowiek jest gotów do kapitulacji.

- Co z nim, doktorze?

Klasyczne pytanie, pytanie idioty.

- Żyje, a był już o włos od śmierci. Czy może mi pan powiedzieć, co się właściwie stało?

Relacjonuję szczegóły, ale co się naprawdę stało - sam nie wiem. Lekarz jest młody, chyba stażysta, notuje wszystko, co mu mówię. Ma przy sobie karty choroby Taty. Podejrzewam, że dyżur w nocy z soboty na niedzielę nie jest tym, co lekarze lubią najbardziej.

W miarę jak streszczam zdarzenia, czuję, że na nowo ogarnia mnie wściekłość. Wracam do tego, że ojciec kategorycznie wymaga opieki szpitalnej, że mówiłem to już

Ethridge'owi, ale zignorowano moje uwagi. Puszczam parę o kierowcy karetki, który zmylił drogę. Lekarz i to notuje, po czym podnosi wzrok.

- Proszę się nie denerwować, panie Tremont, pan jest wyczerpany nerwowo.

Hamuję się z najwyższym wysiłkiem. Nie mam już za grosz odporności. I wtedy właśnie przypominają mi się Mockowie. Patrzę na zegarek: spóźniłem się już przeszło godzinę. Pytam doktora, czy mogę zatelefonować; automat jest w poczekalni.

Dzwonię do Pata i Sandy, mówię, co się stało. Wyrażają wielkie współczucie, którego tak bardzo potrzebuję. Dopiero teraz wszystko zaczyna do mnie docierać. Byłem tak zajęty zmaganiami, że nie miałem czasu pomyśleć.

Dzwonię do Joan. Przekazuję jej wiadomości, najdelikatniej jak potrafię. Z jej strony następuje długa pauza. Kiedy Joan wreszcie się odzywa, mówi przez łzy.

- Mario i ja przyjedziemy do szpitala, poczekaj na nas. Na razie nie dzwoń do Mamy.

Odwieszam słuchawkę, ale nie chce mi się jeszcze wychodzić z budki automatu. Przestrzeń budki telefonicznej to maksimum, co w tej chwili mogę wytrzymać.

W końcu jednak wychodzę i siadam w poczekalni. Nie wiem, na co czekam, poza Joan. Zanim Joan się pojawia, jeszcze raz przychodzi młody lekarz. Widać, że jest zmęczony, ale już nie taki ponury. Przysiągłbym, że przez ten czas, kiedy dzwoniłem, zdążyła mu wyrosnąć południowa broda. Za nic na świecie nie chciałbym być lekarzem. On nie siada, więc ja wstaję.

- No, panie Tremont, życiu pańskiego ojca chwilowo nie zagraża niebezpieczeństwo. Trzeba będzie przeprowadzić dalsze badania dla stwierdzenia, co mu jest. Poziom mocznika we krwi znów się podniósł, organizm jest odwodniony - to wszystko, co na razie mogę powiedzieć. Położymy go na oddziale intensywnej terapii. Pan może z powodzeniem wracać do domu; tutaj w niczym już pan nie pomoże.

Przygląda mi się uważnie. Muszę wyglądać jak nieboskie stworzenie - tak przynajmniej widzę po jego oczach.

- Przyjechał pan karetką, prawda? Czy chciałby pan, żebyśmy wezwali taksówkę? Kręcę głową.

- Dzwoniłem do siostry, lada chwila powinna tu być, ona się mną zajmie. Lekarz przypatruje mi się jeszcze przez parę sekund.

- Dobrze, proszę zostać tutaj, a gdyby się pan poczuł słabo, wezwać którąś z pielęgniarek. O ojca niech się pan nie martwi; już jest dobrze. Doktor Chad zadzwoni do pana jutro rano.

Odwraca się do wyjścia. W ten sposób dowiaduję się, że doktor Chad przejął przypadek Taty.

W około kwadrans później wchodzą Joan i Mario. Joan siada przy mnie, oczy ma czerwone od płaczu. Mario zgrywa bezdusznego samca, ale oddycha płytko, a jego skóra pod południowym zarostem ma sinawy odcień. Opowiadam od początku.

Joan chce widzieć Tatę. Wiem, dlaczego: boi się, że Tato umrze, a ona nie zobaczy go po raz ostatni. Zdumiewający jest sposób myślenia żywego człowieka o śmierci. Joan tak długo molestuje pielęgniarkę, aż ta w końcu wzywa lekarza. Lekarz dzwoni na intensywną

terapię i wyjaśnia sytuację.

- Dwoje najbliższych krewnych może na chwilę wejść na górę, ale pacjent jest nieprzytomny. I tak nie będzie wiedział, że państwo przyszli.

O Boże, myślę sobie, gdzie ty żyjesz, doktorku, przecież on nie wiedziałby o naszej wizycie, nawet gdyby był przytomny.

Idziemy na górę. Muzyka nie gra, nie wiedzieć czemu. Może podczas weekendów dają aparaturze odpocząć. A może grają tylko w porach odwiedzin. Poza tym wszystko jest tak samo, jak było: małe salki wychodzące na wielkie centrum dyspozycyjne.

Charakterystyczna woń, stężona cisza, aparatura. Pokój Taty jest zaciemniony, w ciemności ledwo widzimy jego postać. Wygląda spokojnie, prawie martwo, ale oddycha naturalnie. Kroplówka nadal podłączona, cewnik na miejscu, rurka z tlenem założona na nos. Tato przypomina pasażera kapsuły kosmicznej z filmu “Odyseja Kosmiczna 2001". Jakby już wcale nie istniał na tym świecie. Policzki zapadły mu się wskutek utraty wagi. Jest jak mumia, pożółkła, zabalsamowana przez Nil.

Joan podchodzi, całuje go w czoło, głaszcze po głowie. Kiedy i ja go całuję i głaszczę, czuję, jaki jest suchy, jedwabiście gładki; spierzchnięta skóra sprawia w dotyku wrażenie posypanej pyłem grafitowym. Joan stoi przy mnie i płacze, po chwili odwraca się i wtula w moje objęcia. Trzymam ją mocno, a ona szlocha z głębi serca. Jej płacz odblokowuje mnie, już nie mogę się powstrzymać: patrzę w przestrzeń nad jej głową i też płaczę.

Wchodzi pielęgniarka. Wyrzuca nas z pokoju. Powoli mijamy kolejne lampki u wezgłowi i butelki, przy których widnieją czarne twarze i białe fartuchy. Joan cały czas trzyma mnie za rękę.

Kiedy wracamy do hallu, Joan mówi, że pójdzie do toalety; zamiast stać i czekać bezczynnie, idę do męskiej. W lustrze wyglądam jak wycinanka: jakby wokół mojej głowy biegła pusta otoczka - jestem jakiś niedopasowany, jak kiepsko wykonany fotomontaż. Gapię się w lustro, bezwiednie podstawiając dłonie pod ciepłą wodę. Nadal jestem na wylot przesiąknięty potem.

Mario wiezie nas do domu. Zdążyliśmy już w znacznym stopniu odzyskać kontrolę nad sobą. Joan oferuje się, że to ona powie Mamie. Bardzo chciałbym być nadal przy Tacie, chociaż wiem, że nic więcej tam nie zdziałam.

W domu przemykam się do pokoju Mamy, podkradam jedno dziesięciomiligramowe valium, idę do łazienki i połykam proszek. Jestem wrakiem człowieka. Oby Joan jakoś się trzymała.

Zdejmuję ubranie i napełniam wannę najgorętszą wodą, jaką potrafię wytrzymać, do pełna, aż prawie pływam. Przeraża mnie perspektywa rozmowy z Mamą w salonie. Jeszcze do niej nie dojrzałem.

Jeszcze kiedy siedzę w wannie, valium robi swoje, gorąca woda swoje, i popadam w szok odurzenia. Wchodzę do salonu całkiem spokojny. Mario siedzi w bujaku z rękami założonymi na wysokości mostka i zachowuje neutralność: trzyma się z boku. Joan zagryza wargi, żeby nie płakać. Mama szlocha w głos. Mówię do Joan i Maria, żeby jechali do domu,

już kontroluję sytuację. Joan tylko czeka, żeby wyjść. Teraz przepłacze całą drogę autostradami San Diego i Ventura. Dobrze, że jest z nią Mario.

Kto chce, niech wierzy: Mama jest święcie przekonana, że Tato umiera dlatego, że wymówiliśmy Ethrigde'owi. Ciekawe, czy wygłosiła tę rewelację wobec Joan, czy też zachowała ją wyłącznie dla mnie. Mam silną pokusę wymaszerować do sypialni w ogrodzie, zamknąć drzwi na klucz i zwyczajnie dać sobie ze wszystkim spokój.

Zamiast to uczynić, jeszcze raz opowiadam wszystko od początku. Tłumaczę po kolei, co zostało zaniedbane, przypominam, że to właśnie Ethridge nalegał na wypisanie Taty ze szpitala. Mówię do ściany. Mama musi teraz znaleźć winnego, a logika wskazuje na mnie - nie ujdzie mi płazem. Mówię jej o badaniach neurologicznych, które zdaniem Maxa z Cincinnati powinno się było obowiązkowo przeprowadzić, a których nie przeprowadzono. Aby ją przekonać, podkreślam, że May jest naczelnym neurochirurgiem kliniki uniwersyteckiej, ale dla Mamy to i tak tylko mój kumpel, hippis i dziwadło. Nic się nie da zrobić. Patrzę, jak Mama płacze i miota się z wściekłości.

Nagle coś sobie przypominam. Kiedy byłem mały, ciocia Helena zmarła na zapalenie otrzewnej po operacji wyrostka robaczkowego. To właśnie moja matka, wbrew obiekcjom męża ciotki Heleny, Charleya, oraz jej ojca, a mojego dziadka, nalegała, aby ciotka poddała się tej operacji. Na pogrzebie dziadek powiedział do Mamy:

- To twoja wina, Bess. Gdybyś jej nie namówiła na tę przeklętą operację, byłaby dzisiaj żyła. Spowodowało to u Mamy drugie załamanie nerwowe.

Patrzę teraz na nią i mówię cicho:

- To twoja wina, Bess. Gdybyś nie namówiła Helen na tę przeklętą operację, byłaby dzisiaj żyła.

Podnoszę się powoli i wychodzę do ogrodu. Wiem, że zachowuję się jak świnia i kabotyn - ale jakie to przyjemne! O mało nie wracam natychmiast z przeprosinami - ale nie. Idę do sypialni ogrodowej i zamykam się na klucz.

Wyciągam się jak długi na łóżku, które jest jedną wielką poduchą, i wdycham woń brudnych stóp Billy'ego. Jak on, do cholery, zdołał przesycić smrodem nóg poduszkę, którą mam pod głową? Może sypia z głową w nogach, a stopami na poduszce? Może chce poprawić sobie krążenie? Może mój ojciec wcale nie umiera?

Żeby nie wiem co, załatwię Tacie komplet badań neurologicznych, które już dawno powinni byli mu zrobić. Będzie miał wszelką pomoc lekarską, jakiej mu potrzeba. W końcu zasypiam. W ostatniej chwili przed zaśnięciem myślę o Mamie.

Uświadamiam sobie, że wcale nie szlochałbym z rozpaczy, gdybym nazajutrz rano zastał ją martwą na podłodze w dużym pokoju. To wstrętna myśl, ale przychodzi mi do głowy i nic na to nie poradzę.

Rozdział 13

Ledwie opuszczamy Kansas, zdarzają się dwie rzeczy. Po pierwsze, wjeżdżamy w okolicę malowniczych małych pagórków; nie są to góry ani nawet takie wzgórza jak w

Morvan, ale też i nie jeden wielki, płaski obrus w kratę. Po drugie, wszystko wokół robi się zielone i wilgotne.

Kiedy zatrzymujemy się po benzynę i wysiadam z wozu, powietrze okazuje się tak gęste, parne i ciężkie, że ledwo oddycham. Natychmiast nurkuję z powrotem w rozkoszny klimat powietrza z puszki. Przez chłodne powietrze i przydymione szyby świat zewnętrzny wygląda nawet nieźle. Ten nasz luksusowy czołg nareszcie nabiera sensu.

Jedziemy przez Missouri w stronę St. Louis. Ja za kółkiem. Tato wyciąga notes i zaczyna gryzmolić. Przypuszczam, że podlicza, ileśmy dotąd wydali na benzynę, motele i żarcie. A to się stary zdziwi: taniej by wyszło podróżować samolotem, pierwszą klasą.

Ujechaliśmy może trzydzieści mil, kiedy Tato chrząka znacząco.

- Posłuchaj, Billy, i powiedz mi, co o tym sądzisz. Tytuł brzmi: “Dowcip Pana Boga".

Adam mieszkał sam jeden na folwarku Eden,

Bawił się, myślał, sypiał, jadał - i nic więcej.

Raz, kiedy zrywał kwiatki, Pan Bóg go odwiedził

I do pierwszej modlitwy kazał złożyć ręce.

Adam, nie przeczuwając, że Pan Bóg grzech kleci,

Nie wiedział, jak ma zacząć, a co rzec na koniec.

“Modlić się masz żarliwie", Pan Bóg mu polecił, “O pieniądze, o władzę, o co chcesz - o żonę".

“Żona? Co to takiego?" Adam mierzwi brodę. “Owoc? Czy może jakaś miękka rzecz do spania?" “Zgadłeś!" cieszy się Pan Bóg. “Otrzymasz nagrodę"

Bo już wiedział, jak przywieść do grzechu Adama.

Budzi się Adam z rana z szyciem pod żebrami,

A obok jakaś śmieszna istotka się rusza:

Ma dwa wzgórki i dziurkę pomiędzy nogami.

Imię Ewa - i sposób ma na męską duszę.

Adam ogrodził ranczo, zabrał się do szpadla,

Siał konopie, bawełnę, zboże w równych rzędach,

Ewa Kaina powiła, Kain zabił Abla,

A Pan Bóg patrzył na to i ze śmiechu pękał.

Wybuchamy śmiechem. Tato jest dumny ze swojej wariackiej piosenki: czyta ją raz po raz od początku do końca, poprawia, udoskonala, śmieje się sam do siebie. Całe to udupienie z dziadkami chyba bardzo dało mu się we znaki. Niewykluczone, że odwożę Mamie do domu beznadziejny przypadek.

Przy drodze pojawiają się wielkie reklamy jaskiń. Jedna nazywa się Meramec, druga Onondaga. Tato chce którąś zwiedzić, tylko nie może się zdecydować którą. Tak czy owak, musielibyśmy zboczyć z drogi o dobre pięćdziesiąt mil.

Z piętnaście lat temu rodzice zwiedzali te okolice i byli w jaskini. Od tamtej chwili Tato zawsze twierdził, że jestem za młody, żeby docenić uroki takich miejsc, ale teraz nagle nabrał pewności, że mi się spodobają.

Kiedy Tacie coś takiego strzeli do głowy, żadna siła go nie powstrzyma: pozostaje tylko pytanie, która to ma być jaskinia - powtórka sytuacji z Bryce i Zion. W końcu z jakichś powodów Tato decyduje się na Onondaga. Jestem pewien, że to będzie akurat ta druga. Ale nieważne. Jestem skazany na zwiedzenie jaskini.

Jedziemy przez karbowany zielony wiejski pejzaż. Tato pilotuje według mapy. Wjeżdżamy w boczne szosy i w końcu lądujemy w miejscu urządzonym jak klasyczny park narodowy.

Na przyciętych i spojonych cementem blokach skalnych zwisają na łańcuchach topornie wycięte z drewna tablice. Na tablicach wypalane litery, jak stemple na skórze bydła. Widać, że miało być surowo i topornie. Na wszystkich tablicach strzałki wskazują kierunek do Jaskini Onondaga.

Okazuje się jednak, że to żaden park narodowy. To przedsiębiorstwo prywatne. Ktoś kupił te jaskinie i zrobił z nich atrakcję turystyczną. Wyobrażał sobie zapewne, że ludzie wariują z nudów jadąc przez obszary, których monotonię przerywa jedynie sękacz orzechowy firmy Stuckey, więc przylecą zobaczyć cokolwiek.

Gigantyczny parking jest w trzech czwartych zapełniony: roi się od Amerykanów poubieranych w sztuczne włókno, kraciaste szorty i obwieszonych dzieciakami.

Jeszcze nie zdążyliśmy na dobre zatrzymać wozu i zgasić silnika, a już sunie do nas starszawy jegomość w klasycznym stroju lodziarza i pobiera pięćdziesiąt centów opłaty za parking. W mgnieniu oka wyciąga nie wiadomo skąd samoprzylepną plakietkę z indiańską strzałą i przykleja ją na tylnej szybie. Rzucam się natychmiast zdrapywać naklejkę, ale upał działa wulkanizująco. Nasz mafioso z Filadelfii na pewno zażąda wyjaśnień w sprawie strzały z nazwą Onondaga - ciekawe, jak się wytłumaczymy przed gangiem. Pewnie zalepi to plakietką ze skrzyżowanymi flagami amerykańskimi.

Miejsce, w którym jesteśmy, słynie z dwóch rzeczy. Podobno Jesse James i jego banda ukryli złoto gdzieś w jaskini - samo to załatwia dodatkowy tysiąc turystów rocznie. Po drugie - powiadają, że właśnie ta jaskinia posłużyła Markowi Twainowi za model groty, w której zagubili się Tom Sawyer i Becky.

W pale się nie mieści: trzy dolary za wejście do jamy! Tato jest jednak za doprowadzeniem rzeczy do końca, więc wyciąga forsę.

Skaut wzrostu sześciu stóp zagania nas do jaskini, rozsiewając po drodze perełki wiedzy, na przykład: czym się różnią stalaktyty od stalagmitów. Wierzyć się nie chce, co? Stalagmit może czasami sięgać stropu, stalaktyt odwrotnie, ściśle przywiera do stropu - tyle wykładu z geologii.

Najpierw kryjówka braci James. Nawet Disneyland jest lepszy. Z jednej strony olbrzymie “bryły złota", poręcznie sterczące z ziemi dla wygody publiczności. Mają tu także sektor skał fluorescencyjnych, stale oświetlonych snopem czarnego światła - chyba pozbierali te skały z całej Ameryki.

A jednak sama jaskinia robi wrażenie. Rozumiem, co Tatę tak bierze. Weszliśmy setki stóp w głąb ziemi. Niektóre komnaty są większe niż całe skrzydło Wersalu. Ściany ociekają kalcytem w niebywałej gamie subtelnych kolorów. No i jest chłodno. Warto zapłacić sześć dolarów, żeby się nieco ochłodzić. Panuje tu stała temperatura pięćdziesięciu siedmiu stopni Fahrenheita, lato czy zima, bez różnicy. Czuję, jak chłód wsącza się w moje ciało. Chciałbym przemarznąć do szpiku kości i utrzymać ten chłód do chwili, gdy znów wsiądziemy do samochodu.

Żeby nie to idiotyczne zadęcie! Każdą ciekawszą skałę oświetla kolorowy reflektor, tak że zupełnie nie wiadomo, jaki co naprawdę ma kolor. Dalej: każda formacja geologiczna jest podpisana. Jedna nazywa się Złoty Róg. Jest to stalagmit skąpany w złotym świetle, żeby tym bardziej przypominał sterczący z ziemi olbrzymi, złoty róg. Ludzie szurają karnie, trzymając się sznurów. Nad tłumem zalega cisza, jakbyśmy przechodzili przez Notre-Dame.

Inny element nosi nazwę Organów Olbrzyma. Trochę stalaktytów i stalagmitów zgrupowało się w tym miejscu i rzeczywiście przypomina to gigantyczne piszczały organów. Igrają po nich zmienne kolorowe światła. Coś jak z dawnego wodewilu albo pokazu świateł. Pomyśleć tylko: co by to było za fantastyczne miejsce na koncert rokowy - można by go nazwać Rock Podziemia.

Na koniec lądujemy w wielkim naturalnym amfiteatrze, z drewnianymi ławami dookoła. Przewodnik wprowadza nas, zajmujemy miejsca i czekamy, aż sala się zapełni. Wtedy gasną wszystkie światła.

Z co najmniej dziesięciu megafonów odzywa się głos - głos ten otacza nas zewsząd. Mówi o nieprzeniknionej ciemności i o tym, że przez tysiące stuleci w tych jaskiniach panowała ciemność. Zaczynają grać organy i powoli zapalają się światła, ukazując pyszną amfiladę skalnych łuków, obmywane wodą groty, stalaktyty i stalagmity. To już widziałem, więc siedzę spokojnie.

I wtedy następuje prawdziwy numer: projektor umieszczony za naszymi plecami rzuca na stalaktyty obraz flagi amerykańskiej. Ktoś nim suwa, żeby wyglądało, że flaga powiewa na

wietrze. Mało tego: na ekranie ukazuje się gruba Kate Smith, jedna z odwiecznych ulubienic babci, i śpiewa “Boże błogosław Amerykę".

Wstaję do wyjścia. Wszyscy podnoszą się za moim przykładem. Myślą, że to pewnie hymn. Stoją i gapią się na podrygi monstrualnej flagi. Przeciskam się do przejścia, w górę i na zewnątrz.

Ponowne wejście w wilgotny upał to coś obrzydliwego, ale i to lepsze niż zostać tam w środku. Sam jestem Amerykaninem, i tak dalej, ale co to ma wspólnego z tego typu komercyjnym kitem?

Tato wychodzi z całą resztą towarzystwa. Brnąc przez dwieście jardów lepkiego jak zupa powietrza do samochodu nie mówimy do siebie nic. Tato włącza klimatyzator, który zaczyna pompować wokół nas błogosławione chłodne powietrze. Kiedy mijamy ostatnią kamienną piramidę z indiańską strzałą i tablicą, jest już znośnie. Tato zwraca się do mnie.

- Coś mi się zdaje, Bill, że i tobie, i mnie, czas wracać do Paryża.

Wybucham śmiechem. Przypominamy sobie całą eskapadę od początku do końca i mamy przy tym śmiechu za co najmniej sześć dolarów.

Gdy tak rechoczemy w najlepsze, odzywa się podwójne kaszlnięcie i nasza szalupa na kółkach odmawia posłuszeństwa. Ledwie udaje nam się odholować ją na pobocze. Wskaźnik paliwa pokazuje, że bak jest prawie pusty. Zamierzaliśmy pobrać benzynę w stacji za jaskiniami, ale zapomnieliśmy o tym w ferworze ucieczki.

Mimo to, wydaje mi się dziwne, że paliwo już się wyczerpało. Przy włączaniu zapłonu strzałka zdecydowanie skacze w górę: to o czymś świadczy. Tato jest jednak przekonany, że zabrakło benzyny. Podnosimy do góry gigantyczną klapę silnika i widzę cztery gaźniki Stromberga - największe, jakie w życiu oglądałem. Jedno głupie naciśnięcie sprzęgła jest jak spuszczenie wody w klozecie spłukiwanym benzyną.

Tato wyciąga z bagażnika kanister i upiera się, że wróci po benzynę na piechotę. Jest tak pewny, że to sprawa braku paliwa, że nawet nie chce niczego sprawdzać. Zdaje się, że obaj mamy pietra przed majsterkowaniem przy tym potworze.

Do jaskini będzie stąd ze dwie mile albo i lepiej, ale Tato mówi, że na pewno złapie jakąś okazję. Ruch na szosie jest dość duży, a już z kanistrem w ręku nie powinien mieć żadnych kłopotów. Oferuję się, że ja pójdę, ale Tato mówi, że przyda mu się trochę gimnastyki. Przechodzi na drugą stronę szosy i rusza truchcikiem. Zanim dotrze na miejsce, utonie we własnym pocie.

Z czystej ciekawości zaczynam majstrować przy gaźnikach. Niewiele można zrobić z taką aparaturą, mając do dyspozycji tylko obcęgi i śrubokręt, ale przynajmniej zobaczę, czy paliwo dociera do gaźnika. Może nawaliła pompa paliwowa.

Odłączam ołowiane przewody dopływu paliwa i zapalam silnik. Paliwo napływa, sika przewodami jak z odciętej arterii. Rozglądam się za Tatą, ale już go nie widać, musiał się od razu z kimś zabrać.

Trochę się boję tych sikających przewodów, więc podłączam wszystko, jak było.

Kiedy zapalam na próbę, silnik rusza z kopyta: prawdopodobnie nastąpiło tylko zapowietrzenie z gorąca. W pierwszej chwili chcę jechać za Tatą - ale co będzie, jak się

miniemy po drodze? Tatę na pewno ktoś podrzuci od stacji. Amerykanie są pod tym względem fantastyczni.

W takim razie mam szansę zadbać o opaleniznę; wyciągam się na trawiastym poboczu.

Musiałem przysnąć, bo Tato jest już z powrotem, z pełnym kanistrem, świeżutki i wesoły. Opowiada, że natychmiast złapał okazję, a ze stacji odwiozła go jakaś pani. Leje benzynę do baku. Jest taki z siebie zadowolony, że nie mam serca powiedzieć mu prawdy.

Na stacji kupił też dwie pary okularów słonecznych. Dzień w dzień jedziemy z rana prosto w słońce, które już prawie powypalało nam oczy. Obaj mamy oczy jasnoniebieskie i nie znosimy jaskrawego światła. A te okulary - coś niesamowitego. Wóz, naturalnie, rusza bez kłopotu. Śmiejemy się od ucha do ucha jak wariaci. Okulary mają szkła lustrzane, a do tego jeszcze zawinięte na skroniach, tak że opasują całą szerokość twarzy. W tych okularach, z brodami, przypominamy monstrualne owady z programu “Świat, który zaginął" albo gangsterów, czy innych hippisów-narkomanów.

Ale te szkła naprawdę chronią przed słońcem, na dobrą sprawę przed powietrzem też - byłyby świetne do jazdy motocyklem. Musiał dać za nie majątek. Taki on już jest: niby skąpy jak żydowski bankier, a tu nagle - bach! - i rozrzucałby forsę garściami, ma ten gest.

Reszta dnia schodzi nam na jeździe przez Missouri. Późnym popołudniem docieramy do St. Louis. Udaje nam się zgubić drogę w skomplikowanym labiryncie przejazdów, tuneli i wiaduktów.

Jeździmy w kółko jak na kolejce w wesołym miasteczku, która wiezie donikąd. Nad tym wszystkim króluje najpaskudniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Jest to jakby stalowa tęcza. Leci łukiem w górę na setki stóp i nie widać, gdzie się kończy. Wygląda to tak, jakby mieszkańcy St. Louis chcieli wznieść swój własny pomnik Washingtona, tylko coś poknocili albo cholerna konstrukcja wygięła się wskutek upałów, a czubek wbił się w ziemię. Disneyowskie widzenie świata całkowicie zdominowało amerykański sposób myślenia.

Przejechawszy system pętla-w-pętli co najmniej sześć razy, poddajemy się. Zjeżdżamy z toru kolejki w cień władczej stalowej tęczy i dalej, w najnędzniejsze czarne getto, jakie w życiu widziałem. Nic, tylko obłożone deskami ceglane kamienice, spierzchnięte płyty chodników i setki ludzi sterczących bezczynnie po rogach. Nad nimi rozpina się stalowe obrzydlistwo, warte miliony dolarów, a oni żyją w rynsztoku.

Zatrzymujemy się przy stacji benzynowej i pytamy, którędy wyjechać do głównej trasy na wschód. Po półgodzinnych slalomach po St. Louis znów trafiamy na otwartą szosę. Cała Ameryka to ludzkie kolonie połączone gigantycznymi prostymi liniami autostrad. Przeważająca część obszaru jest praktycznie bezludna.

Po ujechaniu pięćdziesięciu mil od St. Louis w głąb Illinois, zaczynamy się rozglądać za motelem. Stajemy w dwudziestu różnych miejscach, ale wszystkie są pełne. Jedziemy jeszcze ze trzydzieści mil, zbaczając przy byle mieścinie, pchamy się naszą landarą w ciasne uliczki, wypatrując oświetlonych tablic motelowych.

W końcu parkujemy przy szosie, na polu biwakowym. Mam namiot Toma i koc. Jest tak gorąco, że koc się nie przyda: wilgoć dosłownie wsi w powietrzu.

Miałem cichą nadzieję, że zostawimy tę wilgoć w Missouri, ale ciągnie się za nami całą drogę aż po Atlantyk. Nie wiem, jak ludzie to wytrzymują na co dzień. Siebie też zaliczam do ludzi. Przemykają się z klimatyzowanych domów do klimatyzowanych samochodów, którymi jadą do klimatyzowanych kin, hal targowych i restauracji. Kursują od jednej klimatyzowanej puszki do drugiej, jak istoty z Księżyca, albo planety, której atmosfera jest wroga człowiekowi. To nawet bliskie prawdy.

Jest już ciemno, kiedy wypakowujemy namiot, zmięty byle jak i nadziany brudem z Topanga Canyon, z naszych własnych czterdziestu akrów, no i tutejszym, z Illinois. Kilka supłów stanowi doprawdy ambitne zadanie. Składając go ostatnio, po prostu ściągnąłem z palików i zwinąłem w rulon. Tato nie odzywa się ani słowem, tylko po ciemku walczy z supłami.

Nie minęło pięć minut, jak atakują nas moskity. Muszą wyłazić z trawy. Z początku tylko kilka, w towarzystwie jakichś świecących robaczków, ale już po chwili całe roje.

Dla ochrony owijam się w koce. Tato co jakiś czas plaska dłonią, ale węzłom nie daruje.

Nasz namiot to mały szałasik z podłogą. Będzie nam ciasno, ale lepsze to niż spać w samochodzie albo jechać przez całą noc.

Wreszcie wtryniamy się obaj do namiotu, zaciągamy moskitierę i tłuczemy ze dwadzieścia bestii, które zamknęły się razem z nami. Z zewnątrz słyszę ich tysiące: próbują przegryźć się do środka. Jestem cały śliski od krwi porozgniatanych moskitów - od mojej własnej krwi.

Wyciągamy się ramię przy ramieniu. Nigdy dotąd nie zauważyłem, jaki z Taty potężny, barczysty bysior. Sypiałem już w małych namiotach z facetami i zawsze było od cholery miejsca. Rzucam okiem, żeby sprawdzić, czy nie leży za daleko od ściany, ale nie - przywiera do niej tak jak ja.

Teraz docierają do nas odgłosy ciężarówek. Na pewno było je słychać przez cały czas, tylko nie zwróciliśmy na to uwagi. Jadą z częstotliwością mniej więcej jedna na dwie minuty. Kiedy jedna jedzie tuż obok nas, druga warczy jak oszalała od wschodu, a słychać już i trzecią, z zachodu. Jak pech to pech: trafiliśmy na górkę i wszystkie wozy jadące na wschód zmniejszają tu bieg, żeby pokonać wzniesienie, za to te, które jadą na zachód, wrzucają od razu podwójną szybkość.

Leżymy tak z godzinę, nie odzywając się do siebie ani słówkiem - w nadziei, że ten drugi śpi, chociaż wiadomo, że nie śpi.

Podnosi się wiatr. Błyskawicznie przechodzi w prawdziwą środkowo-zachodnią burzę z piorunami. Nie zarobilibyśmy na skautowską sprawność przy ustawianiu namiotu. Te supły, ciemności, moskity - w rezultacie namiot zapada się we wszystkie strony, zwłaszcza na linii głowa-nogi, jak koń na biegunach.

Brrrum! Trach! Błysk! Łubudu! Buch! Grrrurrruuu! Błysk! Błyskawice i grzmoty walą prawie równocześnie, trwa to całe wieki. Teraz przynajmniej nie słychać ciężarówek. A co za ulewa! Co za wicher! Namiot zaczyna osuwać się na nas. Gdzie dotknąć, przesiąka deszcz. Co robią moskity w czasie burzy? Toną? Pływają? Kopią dziurki w ziemi? Latać

przecież nie mogą, to pewne.

Przysuwamy się coraz bardziej do siebie. W końcu kulimy się obaj na boku i układamy jak łyżeczki w pudełku, nie dotykając płótna namiotu. Na zewnątrz świat szaleje, istne piekło. Tato podaje mi coś przez ramię.

- Masz, Bill, połknij to, inaczej nigdy nie zaśniemy.

W mgnieniu błyskawicy widzę, że to “czerwoniec". Seconal. Skąd coś takiego u mojego ojca? I dlaczego nosi to przy sobie?

Zwykle ciężko mi przełknąć pigułkę, nawet z popijaniem. Ale ta jakoś przechodzi. Popijam sokiem jabłkowym stojącym w głowach namiotu. Tato łyka swoją jak urodzony lekoman.

W pale się nie mieści: mój stary łyka czerwońce! To tylko dowód na to, że człowiek nic nie wie o własnych rodzicach.

Rozdział 14

Wstaję wcześnie. Telefonuję do szpitala, gdzie mnie informują, że stan Taty jest krytyczny, ale się nie pogarsza.

Zbieram notatki od Maxa i znowu siadam do maszyny. Wystukuję formalne podanie o przeprowadzenie wszystkich badań neurologicznych, które zdaniem Maxa należało wykonać. Obejmuje to punkcję kręgosłupa, tomografię mózgu, EEG - elektroencefalogram, specjalistyczne badania krwi i konsultację psychiatryczną. Przepisuję podanie na czysto i wysyłam poleconym do dra Chada w Perpetual. Oryginał wpinam do teczki razem z opisem przypadku Taty i wizytówką “Knight and Knight" z ich podpisami.

Na poczcie wykonuję kserokopie wszystkich dokumentów do archiwum. Potem wracam do domu i spisuję na maszynie sprawozdanie z wczorajszego wieczoru w domu opieki. Mama dopytuje się, co takiego robię. Odsuwam ją najdelikatniej jak umiem: sam ledwo się trzymam, brakuje tylko tego, żeby ona mi się rozłożyła.

Jadę do szpitala. Zaglądam na intensywną terapię, do Taty, ale on nadal leży nieprzytomny, w plątaninie kabli i przewodów. Jak żałośnie wygląda! Dodaje mi to sił na doprowadzenie kampanii do końca.

Pytam pielęgniarkę siedzącą za biurkiem, gdzie mieści się administracja. Okazuje się, że na najwyższym piętrze budynku. Jadę windą. Znajduję gabinet dyrektora administracyjnego i oznajmiam sekretarce, że chcę rozmawiać z doktorem Bensonem. Patrzy na mnie, jakbym żądał widzenia z Panem Bogiem.

- Doktor Benson jest bardzo zajęty, proszę pana. Doktor Benson przygotowuje się do udziału w konferencji w Bostonie. Kim pan jest i czego pan sobie życzy?

Idę na całość i streszczam jej pobieżnie całą sprawę. Słucha z zawodowym, przylepionym uśmiechem, ale nie przerywa.

Poznała się na mnie - wariat. Do niczego w ten sposób nie dojdę. Wyciągam ze skoroszytu wizytówkę “Knight and Knight".

- Proszę to podać doktorowi Bensonowi. I proszę go poinformować, że moi adwokaci poradzili mi przedstawić mu tę kartę przed wszczęciem dochodzenia. Będę czekał na dole, na oddziale intensywnej terapii, przy ojcu. Moje nazwisko - doktor Tremont.

Nie czekam, aż doczyta wizytówkę - albo zadziała, albo nie. Wychodzę. Ta część budynku nie pachnie szpitalem. Ma klasyczny biurowy zapach taśmy maszynowej, gumki, zwietrzałych perfum, krochmalu, papieru, z dodatkiem elektronicznej woni komputerów. Zjeżdżam windą do Taty, w dolne rejestry.

Siadam przy nim. Sprawdzam, czy kroplówka, cewnik, monitory i tlen są na swoich miejscach. Utykam prześcieradło pod materac. Wykonuję serię bezmyślnych posunięć, kręcę się w miejscu, byle się jakoś trzymać. Pielęgniarki patrzą na mnie pytająco, ale minę mam tak przygnębioną i wściekłą, że każda natychmiast odwraca wzrok. Nie zdziwiłbym się, gdyby przysłali po mnie uzbrojonego strażnika. Jeżeli tak, będzie musiał użyć przeciwko mnie co najmniej karabinu maszynowego. Patrzę na Tatę: wygląda, jakby przebywał o całe mile stąd,

w innym świecie.

Woda jest gorąca. Nalewam trochę do miednicy i zanurzam w niej pędzel do golenia, żeby go zmiękczyć. Koliście pocieram pędzlem mydło, namydlam twarz. Robię sobie gęstą brodę z mydła, otwieram brzytwę i przejeżdżam nią parę razy po pasku zawieszonym koło lustra. Środkiem lustra biegnie zwariowane pęknięcie: kiedy się dobrze ustawię, mam gruby nos z trzema dziurkami, ciągle obiecuję Bess, że kupię nowe lustro i ciągle zapominam. Zaczynam się golić, czuję pod palcem mydliny i szczecinę.

W dziesięć minut później na oddział wtacza się potężny mężczyzna w tweedach. Widzę, że zatrzymuje się w pokoju pielęgniarek. Nawet gdyby nie obraz nagłej paniki na ich obliczach, poznałbym, że to gruba ryba. Władczość maluje się w każdym calu jego postaci.

Pielęgniarki pokazują mu palcami, gdzie ma iść. Wchodząc do pokoju Taty, zapala górne światło. Mijam go w przejściu i gaszę je z powrotem.

- Myślę, że jest dość światła jak na sprawę, którą mamy omówić, doktorze. Stan ojca jest bardzo delikatny i światło mogłoby mu przeszkadzać.

Dwa zero dla mnie, linia nakreślona. Benson przystaje, raczy mnie jowialnym uśmiechem dobrego wujaszka i wystawia na środek drugie krzesło. Fotel zająłem dla siebie, jemu zostało zwyczajne krzesło. Obraca je oparciem do przodu i siada okrakiem - oto rycerz przemawiający do kmiecia z grzbietu wierzchowca. Krzesło ma rurkową stalową ramę z czarnym siedzeniem i czarnym poduszkowym oparciem. Doskonały rekwizyt do roli Naczelnego Chirurga z reklam Marlboro, ostrzegającego przed szkodliwością palenia tytoniu.

- Sekretarka powiadomiła mnie, że chce pan ze mną rozmawiać. Ach, więc to tak mamy grać? Dobrze, niech będzie.

- Istotnie, proszę pana.

Spokojnie, żadnych grepsów. Czeka, co powiem dalej. Ja milczę.

Zaczynam żałować, że sprawa nie jest mniej ważna - mógłbym się wówczas lepiej bawić całą farsą. Siedzi we mnie jakaś szajba. Za wszelką cenę unikam tego typu bzdurnych konfrontacji: są sprzeczne z moim ideałem życia poczciwego - ale kiedy się już dam wciągnąć, zaczyna mnie to bawić. Benson czeka tak długo, jak się da.

- Panie Tremont, jestem bardzo zajęty, mój harmonogram jest wypełniony co do minuty, a za trzy godziny odlatuję do Bostonu. Czy mógłbym wiedzieć, co skłania pana do rozmowy ze mną?

Odpinam skoroszyt i wyciągam raport, ten, który już pokazywałem u “Knight and Knight". Dołączam sprawozdanie ze zdarzeń ostatniej nocy. Całość podaję Bensonowi, zapalam lampkę przy łóżku i odchylam abażur od strony Taty.

- Najlepiej będzie, jak pan to przeczyta, doktorze. Bierze ode mnie papiery, kartkuje: raport urósł już do trzynastu stron o pojedynczej spacji.

- Wybaczy pan, ale doprawdy brak mi czasu na lekturę całości. Czy mógłby mi pan to

streścić?

- Nie, nie sądzę, doktorze. Jest to najbardziej zwięzły opis sprawy, jakiego zdołałem dokonać. Zapewniam pana, że uczyni pan słusznie czytając całość teraz, na miejscu.

Wzdycha, wyciąga okulary z kieszeni marynarki. Kiedy to robi, wizytówka “Knight and Knight" przemieszcza się w jego kieszeni i rogiem wychodzi na zewnątrz. Benson pospiesznie upycha ją z powrotem, uwalnia okulary. Ten szybki ruch potwierdza reputację “Knight and Knight". Benson zakłada okulary i odchyla głowę do czytania przez podwójne soczewki. Chętnie przysunąłby lekturę bliżej oczu, ale nie może, bo uparł się czytać siedząc okrakiem na krześle.

- To samo oświadczenie, doktorze, przedstawiłem firmie “Knight and Knight"; poradzili mi pokazać je panu.

Strzela znad okularów spojrzeniem bazyliszka. W połączeniu z siwiejącym lokiem na czole nadaje mu to wygląd złośliwego Willa Rogersa.

Ani myślę sterczeć tu przy nim, aż doczyta. Idę pokrzątać się jeszcze koło Taty. Sprawdzam mu czoło - chłodne, puls -nieregularny, przyspieszony. Utykam pościel pod brzegi materaca. Patrzę na monitor, udając, że coś notuję w skoroszycie, - wreszcie ustawiam się w drzwiach i obserwuję pielęgniarki. Wszystkie popadły w stan półkatatonii. Pan doktor Benson we własnej osobie, w pokoju pacjenta, z brodatym dzikusem.

Odczekuję do chwili, kiedy moim zdaniem powinien się zbliżać do końca lektury, i podejmuję krzątaninę koło Taty. Tato oddycha głęboko, usta ma otwarte.

Słyszę, że Benson składa kartki, chrząka. Wracam na swój fotel. Benson oddaje mi raport, a ja wpinam go z powrotem w skoroszyt. Na wierzch wysuwam pismo z listą żądanych zabiegów. Czekam. Benson wyciąga wizytówkę z kieszeni.

- Rozumiem, że zamierza pan zaskarżyć szpital przed sądem, doktorze Tremont?

Czekam patrząc na niego - poprzez niego - dobre pięć sekund.

- Wolałbym tego nie robić, doktorze Benson.

- Moim zdaniem, doktorze Tremont, pańskie zarzuty, jakkolwiek poważne, nie wystarczyłyby za podstawę oskarżenia o zaniedbanie obowiązków lekarskich.

- “Knight and Knight" mają w tej sprawie odmienne zdanie, doktorze Benson. Widzę, że kipi z wściekłości. Dużo bym dał, żeby być przy tym, jak naskoczy na Santanę i Ethridge'a. Znów gapi się w wizytówkę. Czuję, że siłą hamuje pokusę do wezwania strażnika pod bronią i wywalenia mnie stąd na zbity pysk.

- Czego pan się właściwie domaga, doktorze Tremont? Na to pytanie “Knight and Knight" mnie przygotowali, niech pan Bóg błogosławi ich gadzie serca.

- Doktorze Benson, oto kopia listu poleconego, który wysłałem dzisiaj rano do doktora Chada. Zawiera spis niektórych moich żądań.

Podaję mu list. Jest w nie zaklejonej kopercie. Benson czyta go uważnie od początku do końca; patrzy na mnie.

- Pan jest neurologiem, doktorze Tremont? To dosyć specjalistyczne wymagania.

- Nie jestem neurologiem, doktorze Benson.

Świdruje mnie wzrokiem. Niech się piekli: już jest bliski wybuchu, ale zachowuje

urzędniczy chłodek. Perpetual dobrze wie, za co mu płaci.

- Nie widzę przeszkód do przeprowadzenia wymienionych przez pana badań, jeżeli dotąd nie zostały przeprowadzone. Wiele z nich uważam w tym przypadku za zbędne, ale zaakceptuję wszystkie.

Spogląda na Tatę.

- Stan zdrowia pańskiego ojca jest jednak krytyczny; niektóre badania byłyby ryzykowne dla życia.

- To oczywiste, doktorze Benson, że nie życzą sobie prowadzenia tych badań, zanim stan zdrowia ojca nie pozwoli mu ich bezpiecznie znieść. Zakładam, że doświadczenie zawodowe doktora Chada pozwoli mu to należycie ocenić. Doktora Chada wybrałem na podstawie rekomendacji znajomych lekarzy spoza Perpetual.

- Zapewniam pana, panie Tremont, że i doktor Chad, i każdy inny z naszych lekarzy, ma pełne kwalifikacje do podjęcia odnośnej decyzji.

Powinien jeszcze wstać i zasalutować: Za Boga, Perpetual i Amerykańską Akademię Medyczną.

- Nie podzielam pańskiej opinii, doktorze Benson, ale nie o tym teraz mowa. Chodzi o to, czy wniosę pozew przeciwko instytucji Perpetual, doktorowi Ethridge'owi i doktorowi Santanie. Moi adwokaci czekają na decyzję.

Rozpieram się w fotelu. W zagłębieniu między łopatkami zebrał mi się pot - wyczuwam go ze zdziwieniem. Teraz znowu ruch Bensona. Idzie do drzwi, a jedna z pielęgniarek już pędzi w jego stronę.

- Zechce siostra przynieść mi kartę choroby pana Tremonta.

Pielęgniarka wykonuje prawie klasyczny wschodni ukłon z zadarciem tyłka i oddala się biegiem.

Po powrocie na miejsce, Benson odwraca krzesło normalnie i siada, zakładając nogę na nogę. Epizod kowbojski już mamy za sobą.

Wchodzi pielęgniarka. Podaje Bensonowi papiery. Benson kładzie je na kolanach i zaczyna przeglądać od pierwszej strony. Albo czyta wybitnie szybko, albo tylko pierwsze zdania akapitów. Może myśli teraz o czymś całkiem innym. Mnie tam wszystko jedno. Mam tylko nadzieję, że Benson nie przegapi operacji woreczka. Czekam. Zamyka teczkę i podnosi na mnie wzrok.

- Pański ojciec jest poważnie chory. Nie wiem, czy diagnoza doktora Ethrigde'a o nagłym zapadnięciu w uwiąd starczy nie jest tu słuszna. Nie możemy też wykluczyć jakiejś formy porażenia. Czego konkretnie chce pan od szpitala?

Jestem przygotowany. Wczoraj w nocy dwie godziny przeleżałem bezsennie, obracając w głowie to jedno pytanie.

- Po pierwsze, doktorze Benson, to ja podejmę decyzję o tym, kiedy mój ojciec ma wyjść ze szpitala.

Czekam, aż pocisk sięgnie celu. Benson odpowiada niemrawym skinieniem głowy.

- Żądam prawa do odwiedzania ojca o każdej porze dnia i nocy.

Zawieszam głos, ale z jego strony brak reakcji. Wyliczam dalej.

- Domagam się, żeby ojciec pozostał na oddziale intensywnej terapii, dopóki nie będzie absolutnej pewności, że nie jest to już konieczne.

Benson, słysząc to ostatnie, patrzy na mnie wilkiem. Szarżuję do końca.

- Domagam się też przeprowadzenia wszystkich rodzajów badań i terapii, które ja lub lekarz-konsultant uznamy za wskazane.

To też boli, ale Benson potakuje nieznacznym wciągnięciem głowy w ramiona. Nie wie, co go jeszcze czeka.

- Doktorze Benson, straciłem zaufanie do personelu pielęgniarskiego waszej placówki. Czytał pan opis haniebnego incydentu przywiązania mego ojca do krzesła, tu, w tym szpitalu, kiedy to pozostawiono go z poobcieranymi nadgarstkami, spuchniętymi dłońmi i wyrwanym cewnikiem. Nie życzę sobie, żeby powtórzyło się coś podobnego. Jeżeli więc uznam to za konieczne, chcę mieć prawo do sypiania tutaj, przy ojcu, i do sprawowania nad nim opieki osobiście lub przez wyznaczone osoby.

- Doprawdy, doktorze Tremont, obowiązuje nas regulamin szpitalny. Nie zezwala on między innymi na pozostawanie osób trzecich na oddziale intensywnej terapii.

- Pan pozwoli, że skończę, doktorze Benson. O oddział intensywnej terapii jestem spokojny. Macie tu dość personelu. Ale na zwykłych oddziałach oszczędnościowa metoda jednej centrali pielęgniarskiej na dużą liczbę pacjentów nie zdaje egzaminu.

Benson podnosi się z krzesła. Wkłada ręce w kieszenie i kiwa się na palcach, uginając kolana. Na swój sposób demonstruje, że rozmowa skończona. Ja dalej siedzę, z nogą założoną na nogę. Pochylam się do przodu.

- A kiedy uznam, że ojciec może opuścić szpital i wrócić do domu, domagam się wszelkiej pomocy, jaką uznam za konieczną, włączając w to opłacaną przez Perpetual pomoc pielęgniarską.

Demonstracyjnie kręci głową, żeby mi pokazać, że nie może wyjść ze zdumienia. Do tego przybrał sztuczny uśmieszek: “A to ci dopiero!" Może to naprawdę jest Will Rogers.

- Nie jestem pewien, czy wszystko da się załatwić. Pańskie żądania pozostają w sprzeczności z polityką szpitala, zwłaszcza wymóg pozostawania z pacjentem na terenie szpitala.

- Doktorze Benson, będę tu siedział przy ojcu całe przedpołudnie. Jeżeli po skonsultowaniu się i rozważeniu sprawy dojdzie pan do wniosku, że moje żądania są do spełnienia w takiej formie, w jakiej je przedstawiłem, będzie pan uprzejmy dać je do przepisania na maszynie i dostarczyć tu do mnie z własnoręcznym podpisem.

Milknę.

- Jeżeli nie, dałem panu wizytówkę “Knight and Knight". Albo sam się pan z nimi skontaktuje, albo oni zgłoszą się do pańskich adwokatów.

Teraz ja wstaję i po swojemu demonstruję koniec rozmowy: lekki ukłon od pasa w stylu Petera Lorre. Jeszcze chwilę zmagamy się wzrokiem. Nadal mógłby mnie stąd wyrzucić i zakazać wstępu na teren szpitala, ale już widzę, że tego nie zrobi. Nie stać go na to. Mija mnie w przejściu, wychodzi na korytarz i opuszcza oddział.

W godzinę później przybiega truchtem pielęgniarka z podpisaną zgodą na wszystkie

moje żądania.

Przez następny tydzień większość czasu spędzam z Tatą; Billy prawie codziennie przychodzi przypilnować Mamy.

Tato jest cały czas w stanie agonalnym. Co rano widuję się z doktorem Chadem; jest uprzejmy i szczerze przejęty. Ani słowa o konfrontacji z Bensonem. Chad robi Tacie punkcję kręgosłupa: w płynie rdzeniowym wystąpiło trochę czerwonych ciałek, ale ich ilość nie wskazuje na poważne porażenie. Wyniki EEG są niemiarodajne, dopóki Tato jest nieprzytomny. Wszystkie te badania należało przeprowadzić już dawno temu. Tomografia mózgu nie wykazuje ani śladu guza. A jednak Tato nie odzyskuje przytomności. Poziom mocznika we krwi dość wysoki. Oczy zamglone, puls nieregularny. Zdaje się, że tak czy owak musieliby go zostawić na intensywnej terapii.

W czwartek po południu doktor Chad siada koło mnie w pokoju Taty. Wyciąga historię choroby i uważnie studiuje dane medyczne. Podnosi wzrok na mnie.

- Myślę, że pański ojciec umiera. Nie jestem jeszcze pewien, co się naprawdę stało. Przyczyną może być szereg rzeczy, ale stan pańskiego ojca wydaje się nieodwracalny. Jeżeli życzy pan sobie przeprowadzenia jeszcze jednej konsultacji - proszę bardzo.

Patrzę mu w oczy. Trudno mi się pogodzić z tym, co mówi. Patrzę na Tatę. Gdyby odłączyli mu w tej chwili całą aparaturę - kroplówkę, tlen, monitory, cewnik i resztę maszynerii - byłoby po nim w kilka godzin. Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa.

- Powinien pan chyba zająć się załatwianiem spraw związanych z pogrzebem. Wiem, że matka pana jest poważnie chora, może powinien ją pan przygotować na to, co się stanie. Moim zdaniem potrwa to jeszcze najwyżej kilka dni.

Schodzę na dół do hallu i dzwonię do Joan. Przekazuję jej opinię doktora. Jest wstrząśnięta, ale nie zaskoczona - to chyba najlepszy opis również mojego stanu ducha. Joan proponuje, żebyśmy się spotkali u Mamy.

Jadę do domu. Billy majstruje przy motocyklu, za domem. Wywrócił się jeżdżąc po torze strażackim i teraz próbuje naprostować nasady kół i wyklepać bak w paru miejscach. Przedni reflektor i światła kierunkowe zostały stłuczone. Mama ogląda telewizję. Siadam koło niej. Jeżeli program skończy się przed przybyciem Joan, sam jej powiem. Akcja filmu rozgrywa się w szpitalu. Zaczynam myśleć, że już wszyscy na świecie noszą białe, niebieskie albo zielone kitle. Kończy się zatrzymanym kadrem wrzeszczącej kobiety. Zabawa po pachy.

Wstaję i wyłączam odbiornik. Mama jest w szlafroku, wstała po drzemce. Nakręciła włosy na lokówki, twarz nasmarowała kremem. Jest gorącą zwolenniczką teorii, że “nie wolno się opuszczać".

- Mamo, rozmawiałem z doktorem Chadem. Natychmiast wie, o co chodzi.

- Co ci powiedział, Jacky? Czy on umrze?

Zdaje się, że myślami jest nadal w serialu: odgrywamy kolejny odcinek. To ja mam być smutny - tym łatwiej. Biorę na siebie rolę dobrego, kochającego, troskliwego syna.

- Zdaniem doktora Chada, dni Taty są policzone. Radzi, żebyśmy wszczęli przygotowania do pogrzebu.

Brzmi to zgodnie z konwencją gatunku. Czuję, że nie mam z tym nic wspólnego: stary scenariusz. Wtedy Mama zatyka usta pięścią i płacze, naprawdę płacze. Już po serialu.

Zarzuca mi ręce na szyję. Jest taka drobna; nie pamiętam o tym, dopóki nie przyjdzie chwila taka jak ta. Mężczyzna jej budowy byłby na całe życie skreślony jako kurdupel, stale pod wozem. Ciekawe, jak bym sobie radził w życiu mając pięć stóp wzrostu.

Tulę ją w objęciach, dopóki nie dobiega nas odgłos nadjeżdżającej furgonetki Joan. Joan wysiada z wozu i wchodzi do domu. Padają sobie z Mamą w objęcia. Czuję się pusty, obnażony, zimny w środku. Ze zdumieniem stwierdzam, że płakałem. Do mnie jednego to jeszcze nie dotarło. Byłem taki zajęty załatwianiem, sporami, walką, że nie dopuszczałem do siebie znaczenia faktów. Mój ojciec umiera.

Wszystkim nam ciężko o tym mówić, ale coś musimy przedsięwziąć. Rodzice nie mają żadnych zabezpieczeń na wypadek śmierci, tylko polisę ubezpieczeniową. Jak większość ludzi, nie chcieli o tym myśleć. Mama mówi, że oboje z tatusiem są zgodni co do tego, że pogrzeb powinien być jak najskromniejszy, tylko żeby oboje byli pochowani w ziemi, we wspólnym grobie. Niczego więcej nie chcą. Decydujemy się na cmentarz Świętego Krzyża, mniej więcej o dwie mile od domu rodziców. Żadnego wystawiania ciała, nic z tych rzeczy. Mama chce wydać minimum na karty mszalne - czyli na z góry opłacone msze za duszę nieśmiertelną w różnych kościołach.

Jestem gotów walczyć z balsamowaniem. Widzę, że w tych trudnych chwilach potrzebna mi jest ciągła walka z czymkolwiek; to mi pozwala nie myśleć.

Kiedy miałem piętnaście lat, umarł dziadek Tremont. W rodzinie znany byłem jako dobry uczeń, a do tego puściłem parę, że chcę zostać lekarzem. Dziadka mieli balsamować w jego własnej sypialni, przed wystawieniem zwłok. Zajęli się tym przyjaciele domu, Downeyowie, którzy prowadzili za rogiem zakład pogrzebowy. Mnie wytypowano do pomocy przy balsamowaniu.

Zanim jeszcze obejrzałem do końca drenowanie ciemnej, gęstej krwi, wycinanie wnętrzności, wypychanie policzków i oczodołów watą, moja kariera medyczna dobiegła końca. Poprzysiągłem też sobie, że nikt z ludzi, których kocham, nie zostanie poddany takim zabiegom.

Po raz pierwszy musiałem dzisiaj zweryfikować tę przysięgę. Przez trzydzieści siedem lat miałem szczęście, nie musiałem podejmować decyzji w tej sprawie. Ale przyszła na to pora.

Nazajutrz wybieramy się z Joan do “Batesa, McKinleya i Batesa", kostnicy i zakładu pogrzebowego na Culver Boulevard. Smętna to misja, jak na słoneczny kalifornijski dzień, ale dobrze jest robić cokolwiek razem z Joan.

Budynek kostnicy jest z betonu otynkowanego na kolor piaskowy, ma okna z przydymionego szkła, przez które nie widać wnętrza z ulicy. Zatrzymuję się obok licznika na parkingu, żeby wrzucić ćwierć dolara. Kiedy się odwracam, Joan stoi przed samochodem, z uznaniem patrząc na budynek.

- Jak myślisz, Jack, czego oni się boją - że trupy pouciekają?

Wygląda to jak zamaskowany hitlerowski bunkier. Joan otwiera kosmetyczkę, grzebie w środku.

- Psiakość, zapomniałam zapakować moją posrebrzaną dwudziestkę dwójkę z perłową rękojeścią.

Od tej chwili wkraczamy w sytuację.

Drzwi też są z ciemnego szkła, wahadłowe, obramowane metalem. Wystrój wnętrza jest praktycznie bezbarwny: czernie, czyste szarości i biele. Stroje obsługi pod kolor. To musi być niesamowite, spędzać całe dnie w takim miejscu, mieć stale do czynienia ze smutnymi ludźmi, ocierać się o śmierć. Mam chęć odwrócić się na pięcie i wymaszerować z powrotem w zdrowe, zanieczyszczone powietrze i oślepiającą jasność Culver Boulevard.

Za biurkiem recepcji siedzi kobieta. W klapie jej garsonki tkwi mały goździk. Włosy ma barwy stonowanej szarości, ale wygląda młodo, najwyżej na trzydzieści pięć. Joan bierze gadanie na siebie; nie bardzo słucham, co mówi. Kobieta uśmiecha się i każe nam zaczekać. Nachylam się do Joan.

- Chyba farbuje włosy.

W odpowiedzi Joan uśmiecha się i grozi mi palcem.

Prowadzą nas do małego pokoju z przydymionym oknem na ulicę. Widok różowobeżowego automobilu sunącego majestatycznie za szybą przyprawia mnie o szok. Może w tym szkle jest jakaś specjalna substancja, która wywołuje spowolnienie ruchów.

Wewnątrz wszystko jest statyczne. Za biurkiem siedzi młody człowiek o niefarbowanych blond włosach, uczesanych tak, że widać każdy ślad grzebienia. Ma niezwykle białe, niezależne od reszty ciała, dłonie, splecione na blacie biurka. Wita nas najsmutniejszym uśmiechem, jaki zdarzyło mi się oglądać. Jest to uśmiech piegowatego, któremu właśnie zakomunikowano, że słońce już nigdy nie zaświeci.

Siadamy. Teraz ja wkraczam do akcji. Nawet dobrze tu pasuję, w czarnym garniturze, z szarym krawatem. Mama i Joan tak mnie wystroiły. Garnitur przeznaczony był dla teścia Joan do trumny. Teść umierał na rozedmę płuc i ostatnie duszne miesiące spędził na planowaniu własnego pogrzebu. Rzeczony garnitur zaprojektował z myślą o wystawieniu zwłok. Garnitur jest czarny, z połyskliwą podszewką o ledwie widocznym wzorku, lamowany czarnym jedwabiem. Ma wąskie klapy, ukośne patki imitujące kieszenie i trzy guziki w miejscach, gdzie nikt by się ich nie spodziewał. Pan Lazio, teść Joan a ojciec Maria, był Włochem, a ściślej - Sycylijczykiem i lubił rzeczy z fantazją. Do tego miał raptem pięć stóp i siedem cali wzrostu. Spodnie założyłem jako biodrówki, podtrzymywane wyciągniętymi do maksimum starymi szelkami Taty. Mankiety koszuli wystają na dwa cale spod rękawów marynarki, o głębszym oddechu nie ma mowy.

Powodem, dla którego pan Lazio nie został pochowany we wzmiankowanym ubraniu, był fakt, że w ostatnim tygodniu przed śmiercią postanowił zmienić scenariusz widowiska. Zażyczył sobie szarego garnituru, szarej trumny i czarnej poduszki, która by podkreślała siwiznę włosów. Skrojono zatem nowy garnitur, według wymiarów poprzedniego. Carmen, teściowa Joan, podarowała czarne ubranie memu ojcu, który też mierzy pięć stóp siedem cali, ale Tato nigdy nie chciał go założyć. Mówił, że boi się, żeby go ktoś nie postrzelił na ulicy.

Jestem więc pierwszym człowiekiem, który nosi ten garnitur; możliwe, że ostatnim. Do noszenia trumny - jak znalazł.

Informujemy faceta, że chodzi nam o pogrzeb możliwie najtańszy. Staramy się, żeby to zabrzmiało jak oświadczenie wynikające z głębokiej wiary religijnej, ale widzę przecież, że on nas bierze za dusigroszy. Przysuwa sobie z rogu biurka niewielki notesik i zaczyna gryzmolić liczby. Zadaje nam pytania, my odpowiadamy.

- Tak, pochówek, nie kremacja.

- Ależ kremacja kosztuje znacznie taniej.

- Nie szkodzi.

Wykosztujemy się na ten skrawek ziemi.

- Nie, nie mamy własnej kwatery, kupimy, kiedy się z tym uporamy... Nie, zwłoki jeszcze nie są martwe. Ale już w drodze. Dowieziemy sami, proszę się nie kłopotać.

Są jakieś komplikacje w związku z pochowaniem obojga rodziców w jednym grobie, jedno nad drugim. Konieczna będzie betonowa piwnica. Wymagają tego przepisy kalifornijskie. W porządku. Zgadzamy się na podwójny murowany dół, w dalszej perspektywie tańszy i bardziej praktyczny.

Dalej, on podaje cenę balsamowania: niezbyt wygórowana, około siedemdziesięciu pięciu dolarów. Do tej chwili pertraktacje prowadziła Joan, w tonie wielce dystyngowanym, umiejętnie podtrzymując wyważony dystnas. Teraz ja się wtrącam.

- Nie życzymy sobie balsamowania.

Przez gładkie, nieruchome, bierne oblicze przebiega lekki szkwał.

- Ależ to przyjęty obyczaj, proszę pana.

- Nie zamierzamy wystawiać zwłok, więc nie ma powodu, aby je balsamować.

- Ależ proszę pana, tego wymaga prawo stosowane w Kalifornii: zmarły musi zostać zabalsamowany przed pogrzebem.

- A kremowani?

- Oni również. Żąda tego prawo stanowe Kalifornii. Uśmiecha się. Chyba tym nas zażył. Nie zamierzam spierać się godzinami nad nie zabalsamowanym ciałem. Wtedy włącza się Joan.

- Moja znajoma, która jest ortodoksyjną Żydówką, uzyskała pozwolenie na pogrzeb matki bez balsamowania zwłok, ponieważ zabrania tego jej religia. Czy pan to potwierdza?

Facet zaplata palce w odwrotną stronę.

- Tak, to wyjątek od reguły prawnej: kwestia wolności wyznania.

- W porządku. Prosimy o pogrzeb żydowski. Joan odwraca się do mnie.

- Prawda, John?

Kiwam głową. Już widzę, jak się będziemy krzątać po lokalnej bóżnicy, ustawiając krzyże dla zmylenia Mamy! Aj waj! Chwilowo jednak kwestia balsamowania została rozstrzygnięta. Jesteśmy przy trumnach. Urzędnik prowadzi nas korytarzem. Po drodze zerkam na mijane drzwi. Nad każdymi widnieje mała metalowa wizytówka. Zapamiętałem dwie: Sala Wieczystego Spokoju i Sala Prawdy Wieczystej. Ostatni pokój jest od ściany do ściany wyłożony trumnami, w trójszeregu, podwieszonymi na hakach i lekko przechylonymi

do przodu, żeby można było zajrzeć do środka. Przypominają gigantyczne puzderka na biżuterię. Większość jest lamowana pikowanym jedwabiem w bladych kolorach, od bieli, poprzez róż, z powrotem do szarości. Niektóre są z zewnątrz opancerzone jak ciężarówki Brinka.

Nasz człowiek przechodzi wzdłuż szeregu trumien, opisując każdy model, jego wady i zalety, podając ceny. Jego obowiązkiem jest zapewnić nam pełny wachlarz usług, nawet gdybyśmy byli największymi skąpcami.

Drepczemy obok niego, słuchamy, czekamy, kiedy skończy. Robi, co może, byśmy poczuli, że jeżeli nie kupimy trumny wybitej gąbką, żeby Tacie było miękko, obitej z zewnątrz duraluminium przeciwko robactwu, to znaczy, że wcale swojego ojca nie kochamy. Joan patrzy na mnie. Nie wiem, co chciałaby usłyszeć z moich ust.

- Przepraszam, a czy nie dysponują państwo czymś w rodzaju prostej sosnowej skrzyni? Patrzy w dół na swoje wyglansowane buty, potem na nas.

- Nie, najtańsza trumna, jaką dysponujemy, to ta. Sosna, proszę pana, pomalowana na metaliczny szary kolor. Jej cena wynosi zaledwie sto dwadzieścia dwa dolary.

- A czy coś stoi na przeszkodzie temu, żebym ja sam sporządził trumnę? Ojciec był stolarzem, ma wszystkie narzędzia. Z pewnością potrafiłbym w dwa dni, może nawet szybciej, sklecić skrzynkę, jaka by mu się podobała.

Facet podnosi rękę, żeby osłonić kaszlnięcie, a tak naprawdę - skrzywienie albo - oby! - uśmieszek.

- Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pana. My odpowiadamy za pogrzeb, transport zwłok, ceremonię i złożenie do ziemi. W grę wchodzi reputacja zakładu. Nie możemy sobie na coś takiego pozwolić.

Czuję, jaki jestem ordynarny, uparty; może odgrywam się na śmierci. Joan ciągnie mnie za rękę ku drzwiom.

- Wystarczy, Jack - szepcze. - Dosyć zabawy. Wiesz, jaki Tato jest: nie życzyłby sobie niczego, co nie jest przyjęte. Nie ma mowy o żadnym hippisowskim pogrzebie.

Odwraca się i podchodzi do faceta.

- Weźmiemy tamtą.

Pokazuje tę pomalowaną na szary metaliczny kolor.

- Czy można zamówić nie pomalowaną?

Uśmiecha się przy tym i zagląda mu w oczy. Joan prawie zawsze zdobywa to, czego chce. Jest bardzo ładną kobietą. Kiedy się jest bratem, łatwo o tym zapomnieć.

- Naprawdę bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie sądzę, żebyśmy mieli w magazynie nie malowane, a skoro państwo rezygnują z balsamowania to... No cóż, nie wolno długo zwlekać.

A to kawał skurwysyna! Ale niełatwo speszyć Joan, która dalej się uśmiecha i kiwa głową.

- Dobrze, weźmiemy tamtą, jak stoi, z farbą i ze wszystkim.

Bierze mnie pod rękę i idziemy za urzędnikiem z powrotem do biura. Kiedy wchodzimy na korytarz, zostaję trochę w tyle, żeby sobie obejrzeć którąś z sal. Na niewielkim

podeście stoi trumna otoczona wazonami na kwiaty. Trumna, podświetlona pośrednim światłem i małymi punktowcami, jest otwarta. Spoczywa w niej stara dama strojna w orchidee. Wokół unosi się zapach wosku i pasty do podłóg. Wybiegam i doganiam towarzystwo. Siadamy w gabinecie. Urzędnik otwiera notes i zapisuje cenę trumny.

- A gdzie ma być odprawiona ceremonia? Mamy tu w swojej kaplicy piękne pomieszczenia na msze prywatne.

Znowu mnie zatyka. Ta uśmiechnięta stara dama załatwiła mnie doszczętnie, ale Joan i to wytrzymuje.

- Msza żałobna odbędzie się u Świętego Augustyna, a po niej pogrzeb na cmentarzu Świętego Krzyża.

Urzędnik patrzy na nią z niedowierzaniem. To ma być żydowski pogrzeb? Zaczynam się bać, że wróci do tematu balsamowania. Ale on już się poddał: moglibyśmy teraz zażądać wynajęcia pięcioosobowej orkiestry, a on i na to by przystał. Jeszcze krótka rozmowa o karawanie, ilości samochodów i eskorcie policyjnej. Ja już złożyłem broń. Będzie to pogrzeb jak każdy inny i Joan ma rację: Tato życzyłby sobie właśnie takiego.

Ostateczny rachunek opiewa na ponad tysiąc dolarów. To była górna granica, którą ustaliliśmy w rozmowie z Mamą. Zostawiamy dwieście dolarów zaliczki i obiecujemy powiadomić zakład, jak Tato umrze. Urzędnik chce jeszcze, żeby mu jak najszybciej podać lokalizację kwatery na Świętym Krzyżu.

Wychodzimy przez zalew słońca, do samochodu. Licznik na parkingu wykręcił się prawie do końca. Wsiadamy, ale nie ruszam z miejsca, tylko patrzę na licznik.

- Na miłość Boską, co ty robisz, Jack? Na co czekamy?

- Pobieram resztę z licznika. Wydać lekką ręką tysiąc dolarów, ot, tak sobie, jakby je wrzucić do rynsztoka, to dla mnie silny wstrząs. Wiesz, Joan, zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie płaczę. Czuję, że w środku płyną przeze mnie strumienie ciepłej wody donikąd, ale płakać nie mogę.

Joan odwraca się i spogląda na mnie z błyskiem w oku.

- Chciałbyś sobie popłakać, naprawdę? Mogę ci to załatwić. Składa ręce na kolanach, chrząka lekko i zaczyna śpiewać:

- Tato Gdzie jest moja mama? Poszła sobie hen,

Tak mi bez niej smutno, czuję się jak cień,

Tacie serce pęka: poszła po kryjomu,

Jeśli spotkasz moją mamę, powiedz, że czekamy w domu...

Jeszcze zanim doszła do drugiej linijki, wzbiera we mnie szloch, cicho, otwarcie. Płaczę ze strachu i ze wstydu, jakiego dotąd nie znałem. Przez łzy wpatruję się w Joan. Robi

pauzę. Opanowuję się trochę.

- Czy Mama rzeczywiście chowała się przed nami, kiedy byliśmy mali? Czasami zdaje mi się, że to zmyśliłem, aż trudno uwierzyć.

- Tak, chowała się. Mnie też radziła robić to samo z moimi dziećmi. Chowała się za żywopłotem, a czasami wychodziła na kawę do pani Reynolds. Bardzo ją śmieszyło, że może cię zmusić praktycznie do wszystkiego groźbą zaśpiewania tej piosenki. Naprawdę, kiedy to sobie przypominam, myślę, że musiałeś być szurnięty.

- A ty, dlaczego się nie bałaś?

- Jest jedna piosenka, od której ja też płaczę, Jack. Mamie tego nigdy nie zdradziłam, nie wydaj mnie. Może uda mi się zaśpiewać ją bez płaczu:

Dlaczego ja cię kocham, kocham aż do łez?

Nie wiem, dlaczego, ale tak już jest.

Dlaczego drżę, dlaczego właśnie ty?

Nie wiem, dlaczego, wiem, że tak ma być.

A ty mnie nie chcesz, nic cię nie przekona

I tylko w tańcu trzymasz mnie w ramionach.

Podejmuję ton i śpiewamy razem. Płaczemy, jadąc przez Culver Boulevard, pod całym słońcem Kalifornii.

Biorę zakręt i zjeżdżamy na Jefferson Boulevard. Ta część miasta to świat cmentarzy. Na trzech milach kwadratowych mieszczą się aż trzy: protestancki, żydowski i katolicki. Nie mam pojęcia, co robią ze swoimi zmarłymi ateiści i muzułmanie. Ciekawe, czy w Ameryce istnieją jeszcze oddzielne cmentarze dla czarnych? Kiedy byłem dzieckiem, istniały. Mówiło się na nie “kolorowe cmentarze".

Cmentarz katolicki, na który jedziemy, zajmuje teren dawnej ujeżdżalni koni. Ma bramę wjazdową niczym Mount Vernon. Główny budynek administracji jest stylizowanym zlepkiem konstrukcji Howarda Johnsona i kaplicy bawarskiej. Kalifornijczycy wymyślają najcudaczniejsze kompozycje architektoniczne. Poza stylem hiszpańskiej adoby, nic tu nie jest jednorodne, nie boją się mieszania stylów.

Wnętrze zaprojektowane jest bardziej praktycznie. Ze ściany patrzy na nas papież Paweł VI. Ciekawe, czy każą nam przedstawić świadectwa chrztu i komunii świętej. Skąd mieliby wiedzieć, że Tato jest katolikiem?

Kierują nas do kabinki, jednej z szeregu identycznych kabinek. Przychodzi urzędniczka z plikiem folderów pod pachą. Wyjaśniamy, czego nam potrzeba. Znowu idziemy na taniochę, ale ona się tym nie przejmuje. Odkłada na bok dwa foldery oprawne w skórę, a otwiera przed nami te w kartonowych okładkach.

Cmentarz wygląda jak pole golfowe. Nie ma tu nagrobków, tylko płaskie płyty osadzone w ziemi. Urzędniczka wskazuje nam kilka kwater, które są jeszcze do wzięcia. Całkiem, jakbyśmy siedzieli u pośrednika handlu ziemią i wybierali działkę pod budowę w osiedlu domków jednorodzinnych. W pewnym sensie, tak właśnie jest, tyle że działki są malutkie, lokal pod ziemią, a sąsiedzi wyjątkowo spokojni.

Każda część cmentarza ma swoją nazwę. Jest Sektor Niepokalnego Poczęcia, Sektor Komunii Wszystkich Świętych, Sektor Zmartwychwstania, Sektor Ukrzyżowania i tak dalej. Joan zabiera głos.

- Chcielibyśmy z widokiem w stronę Palms.

Urzędniczka przełyka to bez drgnienia powieki. Mogiła z widokiem? A jednak ktoś już ją o to musiał prosić, bo geografię cmentarza ma w małym palcu. Otwiera album nieco dalej i pokazuje parę nie wykreślonych kwater.

- To w Sektorze Zmartwychwstania, Palms leży w tamtym kierunku. - Pokazuje na mapie. - Mogliby państwo obejrzeć to miejsce.

Zakreśla kółko ołówkiem, nie dotykając mapy.

- Sądzę, że to właśnie będzie państwu odpowiadało. Kwatera leży na niewielkim wzniesieniu, więc nie ma problemu z wilgocią. Tu w środku też jest kilka w cenie, którą państwo wyznaczyli - tylko dlatego takie tanie, że dostęp do nich jest znacznie utrudniony.

Wskazuje naznaczone chwiejną linią kółko z kropką pośrodku.

- A to jest drzewo. Te cztery groby wokół niego są trochę droższe. Zasięga danych z karty.

- Pod drzewem jest już tylko jeden wolny; kosztuje sześć i pół, zamiast pięciu i pół, bo dzięki drzewu łatwo do niego trafić.

Notujemy numery kwater i jedziemy je obejrzeć. Po całym cmentarzu wiją się kręte alejki; urzędniczka dała nam plan, żebyśmy się nie zgubili. Przypomina mi to jazdę dziecinnymi autkami w wesołym miasteczku. Białe strzałki pokazują drogę do poszczególnych sektorów. Na Zmartwychwstanie trafiamy bez kłopotu. Parkuję, wysiadamy, lokalizujemy krzyżyk z planu na skraju drogi. Wędrujemy między grobami.

W dzieciństwie uważaliśmy zawsze, żeby, broń Boże, nie nadepnąć na grób, ale tutaj jesteśmy do tego praktycznie zmuszeni. Groby mieszczą się jeden przy drugim, a bez płyt trudno powiedzieć, czy akurat depcze się po mogile, czy tuż obok.

Odnajdujemy kwatery, które nam wskazała urzędniczka, tę pod drzewem też. Drzewo okazuje się być młodą jaracandą i to przesądza sprawę. Tato zawsze kochał kalifornijskie jaracandy. Dopłacimy setkę, nic nie mówiąc Mamie. Siadamy pod drzewem i patrzymy w kierunku, w którym, jak nam się zdaje, stoi dom rodziców.

- Szkoda, że nie wzięliśmy prowiantu na piknik, Joan. Na taki cmentarz aż miło przyjść. Ciekawe, czy pozwoliliby rozbić tu namiot. To w końcu nasza ziemia, kto by nam zabronił?

- Jack, tylko się nie waż powtórzyć tego przy dzieciach. Wiesz, że natychmiast tak zrobią. I na nowo zaczynamy płakać.

Wypłakawszy się, wracamy do biura. Nasza urzędniczka już czeka, prowadzi nas do

tej samej kabinki. Przypominają mi się czasy, kiedy kupowaliśmy z Vron pierwszy nowy samochód w Centrum Chevroleta w Los Angeles. Transakcje toczyły się w identycznych kabinkach. Czekam, kiedy zacznie się rozmowa o możliwości wliczenia w cenę starego wozu.

Oświadczamy urzędniczce, że zdecydowaliśmy się na grób pod drzewem. Jest tym tak uradowana, jakby to ją miano tam pochować. Mówimy, że grobowiec ma być na dwie osoby. Pyta, czy życzymy sobie płytę. Decydujemy się na płytę za siedemdziesiąt pięć dolarów. Daliśmy się wciągnąć w klimat. Podajemy imiona i nazwisko rodziców. Tato będzie wymieniony jako pierwszy, z datą narodzin i śmierci. Podanie roku śmierci - a mamy dopiero początek kwietnia - ma w sobie coś nieodwracalnego. U Mamy podajemy tylko rok urodzenia.

Urzędniczka pyta, czy chcielibyśmy mieć na stałe zainstalowane miejsce na kwiaty. Stanowczo odpowiadam, że tak. Joan patrzy na mnie jak na idiotę, ale nie protestuje. W sumie, zostawiamy na cmentarzu dalsze siedemset pięćdziesiąt dolarów. Wygląda na to, że cały pogrzeb będzie kosztował około dwóch tysięcy. Jednak bardziej opłaca się żyć.

Już w samochodzie, Joan chce się koniecznie dowiedzieć, dlaczego zamówiłem stojak na kwiaty.

- Cholera, Jack, wystarczyłoby przyjść z motyką, wydłubać dziurkę w ziemi i tam wsadzić kwiaty, skoro już się przy nich upierasz. Mama nigdy się tu nie wybierze; nie odwiedza ani grobu swojej matki, ani ojca, ani sióstr. Boi się cmentarzy.

- Wiem o tym, Joan, ale dołek tak czy owak się przyda - może sam przyjdę tu kiedyś pograć w golfa?

Po powrocie do domu relacjonujemy Mamie, co załatwiliśmy. Mama nie chce wiedzieć za wiele.

- Umrze to umrze, i koniec. Można najwyżej dać na mszę i modlić się za niego.

Podejrzewam, że jeszcze nie całkiem dotarło do niej, co się ma stać. Wie, że Tato ma umrzeć, ale nie rozumie, że będzie martwy. Pierwsze - to wydarzenie, drugie - inny stan istnienia. Wielka różnica. Do mnie samego z trudem to dociera. Taty już nigdy nie będzie. Powiedzieliśmy sobie ostatnie słowa. Już nigdy nie zobaczę, jak krząta się po ogrodzie i naprawia sprzęty w swoim warsztacie. Już nigdy nie posadzi kwiatów, nie roześmieje się. Zniknie.

Billy jest cały czas przy rozmowie. Bogu dzięki, że nic nie mówi przy Mamie, dopiero kiedy wychodzimy na tyły, daje upust swoim emocjom. Siadam w bujanym fotelu, on wali się na łóżko.

- Jezu, tato, przecież to barbarzyństwo. Dlaczego nie wynajmiemy łodzi w Santa Monica i nie rzucimy go w morze? Po co komu ten cały zasrany pogrzeb?

- W Kalifornii obowiązują pewne przepisy, Billy. Samo uniknięcie balsamowania kosztowało sporo wysiłku.

Jeszcze nie mówiliśmy Mamie, że balsamowania nie będzie. Wie, że nie będziemy wystawiać ciała; nie było powodu wdawać się w szczegóły.

- Udało wam się wymigać od balsamowania?

- No właśnie. Joan wyciągnęła jakiś zapomniany przepis o żydowskich obyczajach religijnych i Tato będzie miał pogrzeb żydowski, bez balsamowania.

Billy zrywa się z łóżka i zaczyna chodzić po pokoju.

- To fantastyczne, to naprawdę fantastyczne! Będzie jak na porządnym pogrzebie. Pamiętasz, jak umarła Mme. Mathilde i okładaliśmy ją w łóżku lodem, dopóki M. Didier nie załatwił trumny? A potem, jak ją przenieśliśmy do trumny i nieśliśmy pod górę do kościoła, a później na cmentarz? Grabarzami byli M. Perrichot, M. Boule, mer i Maurice. Pomagałem im, bo mieli zapasowy szpadel. W piętnaście minut grób był zasypany i uklepany. To się nazywa pogrzeb.

- Masz rację, Bill, ale dla babci to za mało. Zachowała się wzorowo w tej trudnej sytuacji i musimy jej zadośćuczynić.

- Ja, tato, w ogóle nie mam garnituru, nie mówiąc już o czarnym. Co myślisz?

- Poszukaj w szafie dziadka, może któryś będzie nie ciebie pasował. Ja noszę jego garnitur.

- Chcesz powiedzieć, że wybierasz się na pogrzeb w ubraniu swojego nieboszczyka ojca?

Siada z wrażenia. Jestem już za bardzo zmęczony na wyjaśnianie historii pana Lazio.

- Ja bym nie mógł. To jakieś niesamowite. Może by mi nie przeszkadzało, gdyby to był obcy człowiek, ale tak?

Otrząsa się, zamyka oczy. Czasami zapominam, jaki on jest jeszcze młody. Chłopiec w jego wieku wygląda tak dojrzale, że łatwo o tym zapomnieć.

- No to wybierz się do Armii Zbawienia, Bill. Na pewno znajdą ciemny garnitur, który będzie na ciebie pasował. Masz tu piętnaście dolarów. Może ci się uda trafić też jakieś buty za dolara. Włożysz je raz, na pogrzeb, a potem najwyżej wyrzucisz do śmietnika. I moje buty, i Taty, będą na ciebie za ciasne.

Billy mówi, że zaczeka z zakupami, aż Tato umrze. Znowu przypomina mi się, że daliśmy wyryć na płycie nagrobnej rok zgonu. Nie znoszę być przesądny, ale wszyscy mamy to głęboko zaszczepione przez książki, filmy, telewizję i dziecięce zabawy. Proszę Billy'ego, żeby posiedział z Mamą. Chcę jak najwięcej być przy Tacie.

Pielęgniarki są wyraźnie odmienione. Ktoś dał im cynk, że jestem specjalistą od rozróby. Ale przy tym są grzeczne. Czuję się jak księgowy w banku, do którego przyszedł na inspekcję. Nie przejmuję się: w końcu, nie startuję w konkursie na ulubieńca pielęgniarek.

Tato bez zmian. Wchodzę, całuję go w czoło, mówię do niego, ale on jest cały czas pogrążony w głębokim śnie. Ciekawe, czym się różni koma od snu; może to tylko kwestia nasilenia i czasu.

Ledwie skończyłem zmywać, do kuchni, kolebiąc się na boki, wchodzi Lizbet. W nocnej koszulce, z półprzymkniętymi oczami. Naciągam szelki na ramiona i podnoszę ją do góry. Przytula się do mnie, a ja niosę ją na bujany fotel z klonowego

drzewa, który Gene zrobił dla Bess na ubiegłe Boże Narodzenie. Ten to ma smykałkę do twardego drewna, słowo daję. Siadam, huśtamy się lekko, izba powoli wypełniła się światłem. Lizbet wciska palce stopek między moje uda, a dwa środkowe palce rączki wkłada do buzi. Bess boi się, że wykrzywi sobie zęby, ale ja pozwalam Liz cmoktać palce, wydaje przy tym miły dźwięk, jak ssące wymię cielątko. Przez czerwone złoto jej włosów wdycham woń siana i dzieciństwa.

Pielęgniarki wpadają i wypadają co piętnaście minut. Tato ma teraz królewską obsługę. Pytam jedną z nich, jakie leki podają Tacie. Pokazuje mi kartkę. Udaję, że potrafię rozszyfrować esy-floresy, bazgroły i skróty; uśmiecham się i zwracam kartę. Nie spostrzegłem na liście żadnych narkotyków, a tylko o to mi chodziło. Nie widziałem też hydrochlotrohiazidu ani zaroxoliny, wobec czego uznaję, że przerwano podawanie środków obniżających ciśnienie krwi. Nie wyobrażam sobie, żeby wysokie ciśnienie mogło stanowić problem u człowieka w stanie agonalnym.

Na całym oddziale wyczuwam stan niemiłego napięcia. Dopiero później dowiaduję się, że właśnie tego dnia sprzątaczki, pomoce kuchenne i salowi postanowili zastrajkować. Jeszcze trochę, a dyplomowane pielęgniarki z reanimacji będą miały na głowie cały szpital. Wydaje mi się, że są wściekłe na mnie, a one wściekają się przecież na cały świat, którego jestem tylko podrzędnym reprezentantem.

Doktor Chad przychodzi dwa razy dziennie: o dziesiątej rano i o czwartej po południu. Za każdym razem siada koło Taty, bada tętno, osłuchuje serce, mierzy ciśnienie krwi, sprawdza butelkę cewnika i, za pomocą stetoskopu, słucha oddechu Taty. Wzywa go przy tym po nazwisku, z początku cicho, potem coraz głośniej.

- Panie Tremont? Jak się pan czuje, panie Tremont?

Szczypie Tatę w ramię i klepie go, najpierw lekko, potem mocniej, po twarzy. Brak jakiejkolwiek reakcji. Jak próby obudzenia pijaka.

Po południu trzeciego dnia klepnięcie w policzek wywołuje nieznaczną reakcję: oczy otwierają się na moment, Tato obraca głowę, unosi wolno lewą rękę - i znów wraca do poprzedniego stanu. Doktor Chad poklepuje go jeszcze, woła, ale nic więcej się nie dzieje. Chad wygląda jak Jezus wywołujący Łazarza z martwych, szczególnie że ma gęstą, czarną brodę.

Chad codziennie tłumaczy mi bieżącą sytuację i wyjaśnia, co robi. Prowadzi stały sprawdzian krwi, moczu, plwociny i kału. Zaczyna podejrzewać, że istotną przyczyną mogą być problemy metaboliczne. Nie wie, co je spowodowało, ani jak przywrócić funkcje życiowe. Kiedy pytam go o szansę, mówi, że w dalszym ciągu nie może mi dać żadnej nadziei: robi, co może, ale wygląda to na końcówkę.

Z chęcią opowiada mi o wszystkim, czego próbuje: jest urodzonym nauczycielem. Czuję, że moje zainteresowanie sprawia mu przyjemność, że chce, żebym i ja wiedział to, co on wie.

Bardzo istotne jest, że przemieścił kroplówkę z ramienia Taty na główną *vena cava*

szyi. Podaje azot jako hydrolizator białka, plus sto pięćdziesiąt kalorii na każdy gram azotu. Mówi o tym do mnie, jakby było dla niego oczywiste, że znam temat. Czuję, że on naprawdę coś tu robi, a jego wyjaśnienia brzmią sensownie.

Po kilkudniowych przymiarkach decyduje się na 165 gramów odwodnionej dekstrozy, plus 860 mililitrów dekstrozy pięcioprocentowej w pięcioprocentowym hydrolizacie fibrynowym. Do tego dodaje 30 miliekwiwalentów chlorku sodu, 50 miliekwiwalentów chlorku potasu i 8 miliekwiwalentów siarczanu magnezu. Tłumaczy mi, że są to proporcje bardzo trudne do utrzymania. Tłumaczy - chociaż cały czas powtarza, że działa w ciemno.

Mimo to, ponawia próby, a ja daję mu poznać, że bardzo to doceniam. Szkoda tylko, że Tato nie od początku miał taką opiekę. Pielęgniarki muszą sporządzać płyn do kroplówki metodą filtracji-sterylizacji, gdyż wysokie temperatury są tu szkodliwe. Dla pielęgniarek jest to znaczne dodatkowe obciążenie i nie są z tej racji szczęśliwe.

Ja jednak nie daję za wygraną, Chad nie daje za wygraną, a co najważniejsze - Tato nadal nie daje za wygraną.

Rozdział 15

Rano nie ma na nas suchej nitki. Namiot zapadł się i dosłownie leży nam na plecach. Wyczołgujemy się z niego jak robaki, wijąc się w trawie.

Niebo jest błękitne i ciepłe, szybują po nim duże chmury, ale trawy i drzewa są ciężkie od wody; przy każdym ruchu otrząsamy z nich krople.

Tato przeciąga się i o mało nie traci równowagi. Jest po wpół do dziesiątej: czerwonoskórzy skutecznie nas przytrzymali. Na płótnie namiotu, tam gdzie najbardziej się pozapadał, widnieją spore sadzawki. Ostrożnie wyciągamy śledzie, opuszczamy słupki i próbujemy zlać największe kałuże nie mocząc całej płachty. Bierzemy każdy za jeden róg, wyżymamy, rozpościeramy płachtę na dachu samochodu. Samochód jest już tak nagrzany, że płachta paruje.

W drugim końcu polany stoi chatka turystyczna, której wczoraj nie zauważyliśmy. Idziemy tam, myjemy się, szorujemy zęby i starannie rozklejamy powieki. Nadal chwiejnie stoimy na nogach. Ubrania są mokre i wymięte, więc zakładamy czyste z walizki. Ciocia Joan tuż przed wyjazdem zrobiła nam pranie; rzeczy pachną czystością, suchością i Kalifornią.

Kiedy wracamy z chatki, namiot jest już prawie suchy, ale z kocem jeszcze potrwa. Składamy płachtę i upychamy ją w worku. Tato starannie zwija wszystkie linki. Koc rozpościeramy na worku z namiotem w bagażniku.

Tato wiesza nasze mokre ciuchy na wieszakach, które wyciągnął ze swojej walizki. Wieszaki zaczepia na haczykach przy tylnych oknach wewnątrz samochodu. Powoli nabieramy wyglądu zarośniętych birbantów na rocznym tournée reklamowania czystej bielizny.

Zanim ruszamy, robi się wpół do jedenastej. Tato siada za kierownicą. Włączam taśmę z Dylanem, ale cicho. Nadal chce mi się spać, więc rozkładam oparcie fotela i zamykam oczy. Zdumiewające, o ile lepiej człowiek słyszy z zamkniętymi oczami.

Udaje nam się minąć dwie pizzerie, jemy dopiero za Vandolią, stan Illinois, w barze mieszczącym się w baraku z falistej blachy. Pieczony kurczak z pierożkami. I jeszcze jakieś małe grudki, które wyglądają jak frytki z kulek na mole.

Wypada po pół kurczaka na głowę. Zamieniam się z Tatą na skrzydełko zamiast udka. Tato zje wszystko z kurczaka, nawet serce, płucka i szyję. Ja tak naprawdę lubię tylko białe mięso. Wszyscy w domu, poza Tatą, jadamy tylko białe mięso. Dziobiemy do ostatniego włókienka, Tato obżera się udkami.

Kończymy o trzeciej, po czym ruszamy w stronę Indianapolis. Mam ochotę wypróbować trasę Indy 500, ale Tato uparł się włączyć w ruch uliczny. Ja teraz prowadzę, ale on jest szefem.

Ujechaliśmy może z dziesięć mil poza granice Indiany, kiedy natykamy się na grupę samochodów sprowadzonych na pobocze. Ludzie wyskakują z wozów, niektórzy biegną. Na pasie zieleni między pasmem wschodnim a zachodnim zebrał się tłum. Po stronie zachodniej

zdarzył się wypadek. Roztrzęsiony, zjeżdżam na bok i zatrzymuję samochód. Gorszego wypadku w życiu nie widziałem; musiał się zdarzyć tuż przed chwilą. Przednie koło przewróconego do góry wozu jeszcze się obraca. Jest tylko ten jeden samochód: rozwalił się o bandę w miejscu, gdzie autostrada przecina niewielkie wzniesienie.

Wzdłuż szosy leży cała rodzina. Ojciec najdalej, najbardziej na zachód. Mniej więcej w wieku Taty, krzepki, z niewielką, jak u Taty, tonsurką łysiny. Musiał przejechać ze czterdzieści jardów po asfalcie, jest cały poobcierany. Nawet nie bardzo krwawi, ale na plecach i ramionach widać nagie kości. Koszulę zdarło, spodnie w strzępach, pas ściągnięty na pośladek; stracił buty, palce stóp ma spiłowane do cna. Wygląda raczej na ofiarę kraksy motocyklowej. Dwóch facetów klęczy przy nim, ale on się nie rusza.

Kobietę, mniej więcej w jego wieku, rzuciło na nasyp, z jedną nogą nienaturalnie podwiniętą pod ciało. Leży na plecach, ma prawie urwaną jedną rękę, cała we krwi, krwawi dalej. Troje ludzi usiłuje zatamować krew. Pozycja, w jakiej leży, wskazuje na złamanie kręgosłupa.

Z tyłu, w kierunku na wschód, widać trójkę małych dzieci i psa. Pies opiera się na dwóch łapach i kręci w kółko, całkiem jak tamten, któregośmy potrącili, tylko że nie szczeka, ani nie warczy: skomląc cicho, wiruje wokół własnej osi.

Jednym z dzieci jest chudy, mały chłopczyk, może w wieku Jacky'ego. Jelita wypruło mu na szosę, leżą poskręcane w pętle, jakby mały wstał i wszystko się z niego wytrzęsło. W słońcu wyglądają jak z plastiku. Chłopczyk ma na sobie szorty i pasiastą koszulkę, jest cały pokrwawiony. Leży płasko na plecach, wyraźnie widać krawędzie wgniecionych żeber. Oczy ma otwarte. Akurat kiedy na niego patrzę, ktoś przykrywa ciało.

Jest i dziewczynka, która nie wydaje się bardzo poturbowana. Krwi nie widać. Ludzie stoją wokół niej, ale mała się nie rusza. Podchodzę bliżej: na skroni, tuż nad prawym okiem, widnieje głębokie wklęśnięcie.

Najdalej na wschód stoi mały berbeć. Nie może mieć nawet czterech lat. Zdarło z niego całą skórę. Zostało czerwone, surowe, krwawiące mięso. Mały płacze i wrzeszczy do matki. Ludzie klęczą wokół niego, próbują go przytulać, tamują krew w najgorszych miejscach.

Odwracam się i rzygam kurczakiem, pierogami i kulkami na mole. Tato, blady jak ściana, biega między ludźmi, dopytując się, czy ktoś wezwał karetkę. Po śladach na ziemi widzę, że nie ja jeden pozbyłem się obiadu. Tato wraca.

- W porządku, Billy?

Kiwam głową. Tato jest całkiem rozdygotany.

- Zdaje się, że nikt jeszcze nie wezwał pogotowia. Podjedźmy kawałek, może gdzieś tu mają telefon. Ten mały może by i przeżył, gdyby go prędko przewieźć do szpitala.

Widzę, że jacyś ludzie biorą dziecko do swojego samochodu, ale nic nie mówię. Chcę stąd wiać. Karetka potrzebna będzie tak czy owak, chociażby do stwierdzenia, czy wszyscy pozostali, na pewno nie żyją. Włażę na siedzenie pasażerskie i wlepiam wzrok w okno. Jak to możliwe, żeby coś tak paskudnego wydarzyło się pod takim cudnym niebem?

Tato pędzi jak wariat. Ma misję do spełnienia, nic go nie powstrzyma. Gna blisko

dziewięćdziesiątką. Jakieś trzy mile dalej natrafiamy na kilka sklepów. Tato hamuje, wyskakuje, wbiega do sklepu monopolowego. Czekam w samochodzie. Po trzech minutach Tato wychodzi.

- Ktoś już dzwonił, są w drodze. Powiedziałem, że moim zdaniem leży tam pięć osób, poważnie rannych, prawdopodobnie nie żyją.

Pakuje się do wozu. Siada, ale nie zapala silnika. Patrzę na niego: jest biały jak kreda i płytko oddycha. Wygląda fatalnie, poszarzały, zlany potem.

Słyszymy syrenę. Pędzi ze wschodu i mija nas z charakterystycznym iiaaaiiaaiiaaiiaa, jakie wydaje syrena dla ucha osoby siedzącej na zewnątrz. W chwilę potem wyje następna. Tato patrzy za nimi, aż znikają w oddali. Włącza silnik.

- Zdaje się, Bill, że nic tu więcej nie możemy zrobić.

Wrzuca bieg i czeka z wyjechaniem, aż szosa będzie pusta jak okiem sięgnąć. Teraz jedzie najwyżej trzydzieści pięć mil na godzinę, ale ani myślę go poganiać. Rozważam, czy nie byłoby lepiej przebyć resztę drogi na piechotę.

Zatrzymujemy się przy najbliższej stacji benzynowej, tankujemy. Na stacji jest mały barek, więc wstępujemy na kawę. Mój żołądek jest tak pusty, że przykleja się do kręgosłupa. Kupuję kawałek placka z jagodami. Już mi lepiej. Tato jednak dalej jest blady.

- Billy, może byś chwilę poprowadził?

Kiwam głową.

- Tylko pomału, proszę cię. Mnie już starczy. Ze skrytki na rękawiczki wyjmuje fiolkę valium i łyka pigułkę.

- Cholera, Bill, serce mi pracuje jak pompa hydrauliczna.

Ciągnę równo pięćdziesiątką piątką, a stary leży na bocznym siedzeniu, rozłożonym tak, jak je zostawiłem. Wcale nie patrzy na drogę, po prostu leży na plecach, gapiąc się w lamowanie podsufitówki. Po raz pierwszy nie ma oczu utkwionych w krajobraz. To niesamowite, jakby nagle przestał o wszystko dbać.

- Jak myślisz, Bill, jak to się mogło stać? Innego samochodu nie było. Jest środek dnia, nie wierzę, żeby facet zasnął za kierownicą. Opony sprawdziłem: nie było przebicia. Co się, cholera, mogło zdarzyć, że facet w jednej chwili załatwił wszystko - żonę, dzieci, nawet psa? Gdzie on, do diaska, popełnił błąd?

Wzdycha głęboko, patrzę na niego: ma łzy w oczach. Chyba zaraz pęknie, ale jeszcze nie skończył.

- Może dzieciaki go zdenerwowały i odchylił się do tyłu, żeby je trzepnąć, stracił kontrolę... Boże święty, mam nadzieję, że to nie było to, to okropna myśl na ostatnie sekundy życia. Może złamał się trzon kierownicy albo wysiadły hamulce? Pomyśl, ile się może zdarzyć, żeby człowiek nie wiem jak uważał. Mam tylko nadzieję, że nie zdążył obejrzeć się za siebie i zobaczyć tego wszystkiego: żony poskręcanej na precel, syna z wyprutymi bebechami, córki z dziurą w czaszce i najmłodszego, który stoi na środku drogi i płacze, jak chodzący kawał hamburgera, w otoczeniu obcych ludzi. To wystarczy, żeby w człowieku obudzić nadzieję, że może jednak nie ma żadnego życia pozagrobowego. Jak tu do diabła żyć, wszystko jedno jakim życiem, z czymś takim w pamięci?

O Boże, niech on się wreszcie zamknie, bo inaczej wyrzygam i ten placek jagodowy, i kawę.

- Ale psiakrew, Bill, nie da się nie używać samochodu. To mnie właśnie przeraża. Nienawidzę wsiadać w te blaszane puszki i za każdym razem, jak wysiadam, cieszę się, że uszedłem z życiem. Wiem, że prowadząc za bardzo się spinam, ale ja bez przerwy widzę takie wypadki, tyle że z nami w rolach głównych. Widzę, jak umieramy na oczach ludzi, na rozpalonym albo mokrym, albo oblodzonym asfalcie, a obcy ludzie miętoszą łapami to, co z nas zostało.

Jezu, myślałby kto, że to człowiek z żelaza, spec od załatwiania trudnych spraw, nie do zdarcia - a tak się łamie!

Bezwiednie zwolniłem do czterdziestu pięciu! Podciągam do sześćdziesiątki. Nawet nie zauważył, tylko jeszcze bardziej zawzięcie wpatruje się w podsufitówkę.

- To przeznaczenie, Tato, i tyle. Wypadek to sprawa pecha. Nic się już nie da zrobić. I nie ma sensu roztrząsać takich historii, bo ze zmartwienia można przegapić całą frajdę w życiu.

Ani drgnie. Może nie słucha. Robi się ciemno, więc włączam światła. Nie jest jeszcze późno, ale wiatr nawiał między nas a słońce, duże, czarne chmury. Żebyśmy tylko minęli Indianapolis i znaleźli jakiś motel. Mąci mi się w głowie. Ostatniej nocy niby spaliśmy, ale co to było za spanie. Ja tylko wyłączyłem świadomość; jakąś częścią siebie całą noc walczyłem z deszczem, grzmotami, błyskawicami i ciężarówkami.

Tato znowu zaczyna.

- Ja też tak kiedyś myślałem, Bill, to cecha młodości. Niefrasobliwość. Pamiętam, sprawdzałem w słowniku, czy naprawdę jest takie słowo “frasunek". To znaczy kłopot albo troska. W miarę upływu lat, człowiek staje się coraz bardziej “frasobliwy". Złe doświadczenia, nieszczęścia, ocieranie się o śmierć - coś takiego jak to przed chwilą - wszystko to odkłada się w umyśle. Z roku na rok człowiek ma coraz więcej “frasunku"; przeżycie, przetrwanie, staje się coraz większą sprawą. Zmienia się także sam umysł. Niektóre zdolności intelektualne i fizyczne zaczynają obumierać już w siedemnastym roku życia. Obserwowałem, Bill, jak tracę pewność siebie, jak coraz większy mam kłopot z podejmowaniem decyzji. Kiedy prowadzę samochód, czuję się rozdarty między niefrasobliwość dwudziestolatka, a niekompetencję pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatka, któremu w razie nagłej potrzeby może nie wystarczyć umiejętność. I nic nie poradzę na to, że poczucie własnej niedoskonałości przenoszę na innych - na przykład na ciebie, Bill. Nie umiem czuć się bezpiecznie, kiedy ty prowadzisz tak, jak ja bym nie potrafił.

Wcześnie zapada zmrok, nagle słyszę pierwsze krople deszczu. Tu, na obrzeżach Indianapolis, szosa roi się od wielkich ciężarówek na półgąsienicach. Mijam się z nimi co ćwierć mili. Bogu dzięki, że Tatę całkiem załamała tyrada na temat schyłku i upadku zwierzęcia zwanego człowiekiem. Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż jego pomoc w wyprzedzaniu tych olbrzymów.

Włączam wycieraczkę przedniej szyby, a tu tylko szum. Zerkam na deskę rozdzielczą,

czy wcisnąłem właściwy guzik. Włączam i wyłączam jeszcze kilka razy.

Ludzie, to dopiero będzie zabawa: ciemno, deszcz, ciężarówki i odgłosy sądu ostatecznego nad uchem. Tato wychyla się do przodu, nie prostując oparcia. Majstruje przy włączniku - zdechł pies, nie ma co. Szczerze się cieszę, że ten kufer śrubek nie jest mój: człowiek musiałby harować bez przerwy tylko po to, żeby go utrzymać w stanie zdatnym do jazdy.

Leje jak z cebra. Trzymam się tylnych świateł ciężarówki, która jedzie przed nami; poza tym naprawdę nic nie widzę. Nie rozróżniam ani białych linii, ani krawędzi szosy. Tylko te dwa czerwone światła, powtarzane na szybie w stu odbiciach z każdym chluśnięciem wody. I boję się zatrzymać.

- Czy ty w ogóle coś widzisz, Bill? Bo ja nic a nic. Może byśmy lepiej zjechali na bok?

- Widzę świetnie, Tato, będę się trzymał tej ciężarówki. Dopóki widzę jej tylne światła, jesteśmy w domu.

Tato milknie. Wiem, że wolałby dalej nie jechać, ale co innego możemy zrobić? Szosa nie ma pobocza z prawdziwego zdarzenia, już zaczyna podmakać brzegami.

- Słuchaj, Tato, ty wyglądaj zakrętu. Jak zobaczysz zakręt, to krzycz.

Skręca okienko ze dwa cale w dół, żeby móc wyjrzeć na zewnątrz. Deszcz wlewa się strugą do środka i obryzguje całe wnętrze. Nawet przez otwarte okienko Tato nic nie widzi, a dzięki jadącej z przodu ciężarówce każdy znak drogowy jest starannie zasłonięty, dopóki nie znajdzie się praktycznie za nami.

Siedzę na oponie tej ciężarówce, o niecałe pięćdziesiąt stóp. Jeżeli zwiększę odległość - zgubię ją. Tak czy owak będę cały mokry, więc skręcam i swoje okienko. Nabieramy wody jak łajba w filmie o rozbitkach: w sekundę przemakam do cna. Wystawiam głowę na zewnątrz, żeby się przekonać, czy w ten sposób coś zobaczę, ale deszcz chłoszcze mnie po oczach i jest jeszcze gorzej niż przez rozmazaną szybę. Wciągam głowę do środka i zamykam okienko.

Nagle widzę z tyłu oślepiające światło. Zaciskam dłonie na kierownicy i liczę na szczęście. Widać kierowcy nie spodobało się, że rozłożysty lincoln ciągnie się jego kumplowi na ogonie. Mija mnie w chmurze spalin i wtedy już zupełnie tracę widoczność. Ciężarówka chlapie do góry brudną wodą i błotem, szybciej niż deszcz jest w stanie to spłukiwać. Trzymam kurczowo kierownicę, nie zmniejszam prędkości i czekam, aż znów zobaczę znajome tylne światła. Pęd powietrza przejeżdżającej ciężarówki zarzucił naszym wozem. Ja ciągnę czterdzieści pięć, a on pewnie z sześćdziesiąt. Przez blisko pół minuty jadę na ślepo, z przednią szybą umazaną brunatnym błotem, aż wreszcie na nowo ukazują mi się światła mojej ciężarówki.

Zaczynam się załapywać. Kiedy tamten wciska hamulce, zapalają się światła hamulcowe, wtedy ja też hamuję. Najgorsze, że te dwa światła zaczynają mnie hipnotyzować. Odbijają się migotliwie w nawierzchni szosy i w przedniej szybie; żaden hipnotyzer nie wymyśliłby lepszej sztuczki.

Nagle Tato wrzeszczy, a raczej zachłystuje się radosnym okrzykiem. O milę stąd

będzie zjazd z szosy. Wrzucam kierunkowskaz i przesuwam wóz na prawo. Żebym tylko nie przegapił zakrętu. Teraz już leje jak słoń do szaflika. Dach naszego karawanu dosłownie wyje od uderzeń deszczu.

Tato w samą porę zauważa znak zakrętu, zjeżdżam. Z tyłu żadnych świateł, więc zwalniam do piętnastu. Na skraju szosy bocznej od autostrady widnieje niewyraźne znakowanie. Skręcamy raz jeszcze i zatrzymujemy się. W poprzek drogi biegnie napis. Wrzucam długie światła i turlam się na wstecznym, żebyśmy mogli go odczytać: “BROWNYILLE PIĘĆ MIL". Zjeżdżam ostro na prawo i ruszam w tamtą stronę. Szosa jest wąska, wysklepiona, białej linii prawie nie widać. Jadę samym środkiem: gdyby ktoś teraz nadjechał z drugiej strony bez przednich świateł - to po nas.

Wjeżdżamy do miasta i wytężamy wzrok przez zapaćkane szyby. Wypatrujemy tablicy hotelowej. Mam nadzieję, że glina czy szeryf, czy kogokolwiek tu używają do ochrony prawa, siedzi teraz w domu. Niemożliwe, żeby się zachwycili lincolnem bez wycieraczek, węszącym tam i z powrotem po głównej ulicy.

Już mamy się poddać, kiedy nagle dostrzegamy tablicę “HOTEL" na samym końcu miasta. O Jezu, żeby tylko mieli wolny pokój, jakoś dziwnie nie mam ochoty na spędzenie nocy we dwóch pod mokrym kocem.

Budynek jest ceglany, z gankiem w stylu kolonialnym. Po obu stronach drzwi tkwią lampy wozowe z żółtymi żarówkami. Tato wyskakuje i daje nura w deszcz. Już i tak bardziej nie może zmoknąć, ale kuli się w naturalnym odruchu człowieka na deszczu. Wiem, że jeżeli mają wolny pokój, Tato go weźmie, nawet za pięćdziesiąt dolarów.

Wraca po pięciu minutach, otwiera drzwiczki i uśmiecha się do mnie.

- Wynająłem fantastyczny pokój. Właściciel jest przekonany, że obrabowałem bank i mam bagażnik nafaszerowany złotem, więc spróbujmy zachować się stosownie do roli. Przynajmniej załóż buty.

Tato wrócił do formy. Może po prostu cieszy się, że żyje, że ma w perspektywie ciepłą kąpiel i suchą noc. Daję mu kluczyki. Otwiera bagażnik i z trudem wydobywa swoją walizkę i mój worek żeglarski. Taszczy je na ganek, a ja tymczasem wycofuję wóz na parking za hotelem.

Idę wolno przez ciepły deszcz. Uśmiecham się, jakby nocny spacer w strugach wody był najzwyklejszą rzeczą pod słońcem. Pod gankiem rosną krzewy hortensji, pochylam się, żeby powąchać kwiaty - nie pachną. Tato kiwa głową w przód i w tył, w butach kląska mu woda. Ale się śmieje.

- Wystarczy, Bill, nie przesadzaj. Ten kurdupel i tak już pewnie postawił na nogi wszystkich szeryfów w okręgu.

Suniemy do hallu, kapiąc oryginalną deszczówką z Indiany czy tam Ohio po fioletowych dywanach. Wnosimy bagaże do pokoju. Rzeczywiście szał: dwa ogromne podwójne łoża.

Na zmianę wyżymamy ciuchy i kąpiemy się pod prysznicem. Mnie się już całkiem skończyły suche rzeczy, więc pożyczam koszulę i spodnie od Taty. Także slipy i tenisówki.

Schodząc na dół, wyglądamy prawie jak ludzie: ubranie Taty wisi na mnie jak na haku, za to stopy mam przykurczone w jego tenisówkach numer osiem, ale przynajmniej jesteśmy czyści.

Niesamowite: zbliża się do nas właściciel hotelu i jakby nigdy nic przedstawia faceta w białym półstetsonie. Tak jest, to on we własnej osobie, szef miejscowej policji. Oderwali go od kolacji, żeby obejrzał zamaskowanych bandytów bez masek. Zagaja uprzejmie, skąd i dokąd jedziemy, jak tam samochód. Nawet gdybyśmy wysiedli z tego wozu gładko wygoleni i we frakach, właściciel hotelu i tak zawołałby swojego kumpla szeryfa.

Tato patrzy mu prosto w oczy i pyta, czy w miasteczku jest niejaki pułkownik Sanders. Genialne! Szeryf kręci głową, przykro mu bardzo, ale nie. Teraz ja pytam, dla draki, czy może mieszka tu Taco Bell. Znowu kręci głową, uśmiecha się. Wygląda, jakby z lekka kapował, co jest grane.

- Ale za to jest Pizza Hut, panowie, na drugim końcu miasteczka, jakby jechać na 80.

Zadowolony z siebie, kiwa głową i uśmiecha się. Prowadzi nas na ganek i wskazuje ręką jedyny kierunek, gdzie cokolwiek mogłoby się znajdować; w każdą inną stronę widać tylko ciemności. Najlepszy dowód, jak strasznie musiało lać, skoro minęliśmy pizzerię i nawet się nie zatrzymaliśmy.

Gniemy się w ukłonach, dziękujemy szeryfowi, który dotyka na naszą cześć ronda kapelusza: istny Spade Cooley salutujący swojemu koniowi.

Wsiadamy w Philadelphia Express i dajemy się ponieść na ślepo do pizzerii. Jak w domu. Zamawiamy po wielkiej pizzy i po pół litra piwa. Jak szaleć, to szaleć. Kufle są ze szkła, z wygiętymi szklanymi uchami jak przy wielkich kubkach, i z dzióbkiem. Pijemy piwo prosto z nich. Zmiatamy pizzę i włoską sałatkę. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu jedzenie tak mi nie smakowało.

Dwie sympatyczne kelnerki mają niezły bal patrząc, jak pijemy z dzbanków. Gdybym nie był z ojcem, tylko z obcym facetem, na pewno dałoby się je namówić na pójście z nami do hotelu. Właściciel miałby nareszcie prawdziwy powód do zmartwienia.

Rozdział 16

Następnego dnia wybucha strajk. Dyplomowane pielęgniarki i lekarze pracują na okrągło całą dobę, na dwie zmiany. Obowiązuje stan pogotowia. Szpital nie przyjmuje nowych pacjentów; wielu obecnych wypisuje się albo przenosi do innych szpitali.

Pielęgniarki muszą słać łóżka i wykonywać całą brudną robotę należącą normalnie do sprzątaczek i salowych. Zgłaszam się do pomocy, gdzie tylko mogę: Taty nie ma przecież jak przenieść.

Martwię się, że go zaniedbają w tym zamieszaniu, więc sprowadzam się do jego pokoju i śpię przy nim. I tak ponad połowa łóżek na intensywnej terapii stoi pusta. Mała ruda pielęgniarka pokazuje mi, na co trzeba uważać przy Tacie. Zmieniam mu pościel, niańczę go, sprawuję obowiązki salowego. Zabiegi lecznicze kończą się właściwie na wymianie butelek w kroplówce. Chad załatwił mi pozwolenie na przebywanie przy Tacie, więc nikt nie robi kłopotów.

Kiedy Mama dowiaduje się o strajku, zaraz chce przenosić Tatę do innego szpitala. Joan i ja odwodzimy ją od tego pomysłu. W Perpetual znają stan Taty, a doktor Chad wygląda na szczerze nim przejętego. Sama zmiana miejsca mogłaby Tatę zabić.

Mama siedzi w domu. Billy nocuje w sypialni ogrodowej, żeby mieć na nią oko. Dziwnie jest mieszkać w szpitalu nie będąc chorym, a szczególnie spać na oddziale intensywnej terapii. Większość pozostałych w szpitalu pacjentów jest w stanie ciężkim, zbyt ciężkim, żeby przeżyć zmianę miejsca, a zatem granica między zdrowym a chorym jest tu teraz bardziej dobitna niż zwykle.

Po kilku dniach, które spędziłem w szpitalu, nikomu jakoś nie urywając łba, pielęgniarki okazują mi nieco więcej sympatii. Czasem nawet proszą mnie o pomoc, o podtrzymanie pacjenta przy zakładaniu kroplówki albo podczas słania łóżka. Pomagam też karmić chorych.

Wczesnym rankiem piątej doby budzi mnie, jak zwykle, podzwanianie szkła i metalu - dominujące odgłosy szpitala. Przez okno sączy się bladoszare światło. Wsłuchuję się w poranny ruch uliczny, ruch ludzi spieszących do pracy. Zwykle o tej porze nachodzą mnie najbardziej depresyjne myśli. Leżę w łóżku, na wpół przytomny, w stanie zawieszenia.

Zerkam na Tatę. Ma szeroko otwarte oczy i patrzy prosto na mnie! Naprawdę patrzy na mnie, nie na moją sylwetkę, nie poprzez mnie, nie gdzieś obok! Patrzy mi w oczy!

Ześlizguję się z łóżka po jego stronie i podchodzę ostrożnie. Z początku przychodzi mi na myśl, że pewnie umarł w nocy, ale te oczy żyją, wędrują za mną, ogniskują się na mnie. Zbliżam się do krawędzi łóżka. Usta Taty otwierają się dwukrotnie, suche, wyblakłe wargi, jak z papieru. A jednak Tato wydobywa z nich głos, cienki, wysoki, prawie falset:

- Gdzie ja jestem, Johnny?

Nie wierzę własnym uszom. Tato cały czas patrzy mi w oczy i czeka na odpowiedź.

- Jesteś w szpitalu, Tato, jesteś chory.

Kiwa głową, powoli. Mierzy łóżko wzrokiem i uśmiecha się.

- Tyle to sam widzę, Johnny. Ale co ty tu robisz? Ty też jesteś chory?

W jego głosie jest coś czystego, młodzieńczego. Wyciągam rękę i kładę mu dłoń na głowie.

- Spokojnie, Tato, nie forsuj się. Jest coraz lepiej.

Unosi jedną rękę, prawą, przebarwioną ukłuciami kroplówki i śladami po plastrach. Jego ręka jest taka chuda, że mięśnie przypominają liny oplatające kości tuż pod skórą. - Zdaje się, że nie wyglądam jak okaz zdrowia, Johnny. A co się w ogóle stało? Trzęsienie ziemi, kraksa samochodowa, czy co?

Nie wiem, co mu powiedzieć, ile wyjaśnić. W tym właśnie momencie wchodzi pielęgniarka z rannej zmiany. Znowu ta ruda. Tato patrzy na nią i uśmiecha się. Pielęgniarka robi wielkie oczy, doznaje takiego szoku jak ja, ale zaraz się opanowuje.

- Dzień dobry, panie Tremont. Jak się pan dzisiaj czuje?

Tato przenosi wzrok na mnie.

- Jaka ładna, co Johnny? Zawsze chciałem mieć rudą córkę: leworęczną, jak twoja matka, i rudą.

Pielęgniarka patrzy na mnie, nic nie rozumie. Trudno sobie wyobrazić bardziej drastyczny przeskok ze śmierci w życie.

- Siostro, należałoby chyba wezwać doktora Chada.

Tato zamyka oczy. Boję się, że był to tylko chwilowy przebłysk przytomności umysłu przed ostatecznym, nieodwracalnym, zejściem w śmierć, ale nie chcę interweniować. Przysuwam swoje krzesło do łóżka.

Tak trwamy, kiedy wchodzi Chad. Tato jednak nie spał, bo otwiera oczy na gwałtowne wtargnięcie lekarza i siostry do pokoju. Patrzy na Chada z uśmiechem.

- Mój Boże, toż to istny zastęp cherubinów! Chad patrzy na mnie oczami jak spodki.

- Tak się obudził, doktorze. Co pan sądzi?

Chad mierzy Tacie puls, wkłada mu termometr do ust. Tato nie spuszcza z niego oka; w jego oczach, wokół ust, igra drżący uśmieszek. Chad mierzy ciśnienie i patrzy na mnie.

- Sto dwadzieścia na siedemdziesiąt pięć. Sprawdza termometr.

- Nie ma gorączki. Witam, panie Tremont, jak się pan czuje?

- Sam nie wiem. A jak powinienem się czuć? Powiedziałbym, że czuję się piekielnie zmęczony.

Chad pochyla się do przodu, uważnie zagląda Tacie w oczy, dotyka skóry. Patrzy pod łóżko na butlę cewnika.

- No cóż, panie Tremont, był pan bardzo chory, ale teraz wygląda na to, że wszystko jest jak najlepiej. Co możemy zrobić dla pańskiej wygody?

Tato patrzy po sobie wzdłuż łóżka.

- Może na początek usunąłby pan trochę tych rurek i kabli, a potem... Mógłbym dostać coś do jedzenia? Jestem głodny.

Unosi zwiotczałe ręce.

- Widzę, żeście mnie morzyli głodem w tym szpitalu. Wyglądam, jakbym co najmniej

z miesiąc nie jadł przyzwoitego posiłku.

Biorę go za rękę. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił, kiedy był zdrowy. Wobec ciężko chorych pozwalamy sobie na wielkie poufałości.

- To było coś gorszego, Tato.

Tato cofa rękę, zaplata palce, przygląda się własnym dłoniom, obraca je.

- Rzeczywiście musiałem być trochę chory.

Doktor Chad wstaje i wycofuje się do drzwi. Oczami daje mi znak, żebym szedł za nim. Siostra układa Tatę w łóżku; przyniosła miskę z wodą, żeby mu umyć twarz i ręce. Chad ma minę, która odzwierciedla krzyżówkę zakłopotania i cielęcego zachwytu.

- Proszę nie żądać ode mnie wyjaśnień, panie Tremont. Nigdy się z czymś podobnym nie spotkałem. To mogła być od samego początku sprawa metabolizmu.

- To coś więcej, doktorze. On jest inny. Jest jasny, spokojny, jakiś młodszy niż przed operacją. Co to może znaczyć? Czy już tak zostanie?

Chad kręci głową, podchodzimy do biurka. Długo notuje coś w karcie choroby Taty. W końcu podnosi wzrok na mnie.

- Ja naprawdę nic nie wiem, panie Tremont. W każdej chwili może znów zapaść w komę. Będziemy się trzymać diagnozy o metabolizmie i pilnować diety. Nie chciałbym zbyt szybko zdejmować przetoki szyjnej. Damy mu jeść, ale potem utrzymamy kroplówkę.

Ubrałem się i zabieram się do podawania Tacie zupy. Odbiera mi łyżkę i je sam. Kontroluje ruchy jak młodzieniec: jest słaby, ale w pełni opanowany. Wypija trochę soku pomarańczowego i dalej jest głodny. Znowu narzeka na cewnik i kroplówkę. Tłumaczę, co powiedział Chad. Tato dopytuje się, co mu właściwie jest.

Ostatnia rzecz, którą pamięta, to przyjazd do szpitala na operację. Nie chce wierzyć, że od tamtego dnia minęło sześć tygodni. Pamięta o zawałach Mamy i pyta, jak Mama się czuje. Mówię, że dobrze. Opowiadam o strajku w szpitalu i jak doszło do tego, że sypiam przy nim w pokoju.

Wszystko przyjmuje do wiadomości. Dopytuje się, kiedy Mama i Joan będą go mogły odwiedzić, kiedy będzie mógł wrócić do domu. Mówię, że Mama i Joan przyjdą najszybciej, jak tylko się da, ale on musi pozostać w szpitalu do czasu, aż naprawdę mocno stanie na nogi.

Pielęgniarki bez przerwy zaglądają do pokoju. Są nie mniej rozradowane niż Tato i ja. Ładniutka siostra, Japonka, bierze Tatę za rękę, a on kładzie drugą dłoń na jej dłoni.

- Ojejku, jak pan świetnie wygląda, panie Tremont!

W kącikach oczu ma łzy. Tato spogląda na mnie.

- A może ja bym w ogóle tu został, Johnny? Tu wcale nie jest tak źle.

O dziewiątej dzwonię do Joan. Próbuję ją przygotować na radosny szok i każę natychmiast przyjeżdżać. Joan zjawia się przed upływem godziny.

Przytula się do Taty z całej siły i płacze jak bóbr. Tato patrzy na mnie ponad jej ramieniem: nie rozumie, dlaczego Joan aż tak płacze.

To samo wydarza się, kiedy przywozimy Mamę: płacze tak strasznie, że trzeba ją natychmiast odstawić z powrotem do domu. Tej nocy zostaje przy niej Joan.

W trzy dni później Chad zdejmuje kroplówkę. W pięć dni później - koniec z cewnikiem. Tato nienawidzi basenu i kaczki, więc noszę go do toalety i z powrotem. Koło sedesu jest niewielka poręcz: Tato czepia się jej i nalega, żebym wyszedł z łazienki, kiedy on “robi swoje". Zaczęliśmy mu podawać lekkie potrawy w stanie stałym, wspomagane lekami i systemem kuracji opracowanym przez Chada. Chad ciągle kontroluje ciśnienie krwi, które, odpukać, utrzymuje się na stałym poziomie. Mówi, że wolałby nie podawać na razie leków na ciśnienie, dopóki nie będzie to absolutnie niezbędne. Zamierza dopuścić nawet do skoku do stu sześćdziesięciu czy stu siedemdziesięciu na sto. Chce być pewien właściwej cyrkulacji krwi w mózgu. Nadal też prowadzi pomiary ilości substancji przyjmowanych i wydalanych. Przyznaje, że cały czas działa po omacku, zgaduje, nie potrafi racjonalnie wytłumaczyć tego, co się stało, ani tego, co teraz się dzieje. Strajk trwa, więc zostaję w szpitalu.

Tato powoli przybiera na wadze, ale nie doszedł jeszcze do stu funtów. Już kiedy leżał jak kłoda w łóżku, wyglądał bardzo kiepsko i mizernie; teraz, kiedy zrobił się taki czynny, przypomina żywy szkielet i to jest przerażające. Ale cera mu się poprawia i jest bez przerwy głodny.

Mniej więcej dziesiątego dnia, kiedy wnoszą jedzenie do pokoju, Tato węszy jak pies, który złapał trop.

- Wiesz, Johnny, czuję zapach jedzenia. Przez ponad dwadzieścia lat nie czułem żadnych zapachów.

Odbieram tacę od siostry i umieszczam ją przed Tatą. Tato schyla głowę i wącha wszystkie potrawy po kolei.

- Czuję nawet szpinak: pachnie trochę jak Ocean Atlantycki. Zapomniałem, jak rzeczy potrafią świetnie pachnieć.

Zaczyna od kotleta cielęcego, żując starannie i długo przed połknięciem. Jest jak telewizyjna reklama obżarstwa.

- Dokładnie tak samo było, kiedy rzuciłem palenie, John: jedzenie miało nagle taki niesamowity smak, taki dobitny. Każda, potrawa była inna.

Na drugi dzień pyta o doktora Ethridge'a. Mówię mu, że zmieniłem lekarza, bo do Ethridge'a straciłem zaufanie. Patrzy na mnie uważnie.

- Czyli złamałeś mu karierę?

- No, niezupełnie, Tato, spowodowałem tylko, że nie zajmuje się twoim przypadkiem. Nadal pracuje w Perpetual. - Ale Johnny, on był moim lekarzem przez piętnaście lat. On, widzisz, pochodzi z Wisconsin.

- Wiem, Tato, ale przekonałem się, że nie zajmuje się tobą należycie. Gdybyśmy nie zmienili lekarza, pewnie byś już dzisiaj nie żył. Doktor Chad rozgryzł chyba problem twojej choroby - przynajmniej jesteś z nami.

Przerywa jedzenie, patrzy mi w oczy, uśmiecha się, kręci głową i na nowo bierze się do jedzenia.

- W porządku, Johnny, ty jesteś szefem. Nie wiem tylko, czy to takie przyjemne mieć

syna za szefa.

- Jesteś na to skazany, trudno. Za kiepsko z tobą było, żebyś mógł ze mną wojować, więc przejąłem ster. Zawsze, jeżeli zechcesz, będziesz mógł wrócić do Ethridge'a.

Tato zamiera z widelcem szpinaku przy ustach.

- O, nie. Wierzę ci. Od początku czułem, że Ethridge nie ma racji z tą operacją woreczka. Nie musieli mi wycinać woreczka.

Cieszę się, że tak mówi. Zabiera się do krojenia kotleta. Wspaniale jest widzieć jego złote ręce mechanika przy pracy.

- Ale żeby tak dać kosza doktorowi! Mnie by na to nigdy nie było stać.

- Pamiętaj, Tato, że oni są tutaj, żeby tobie służyć. Płacisz im tak samo, jakbyś płacił mechanikowi za naprawę samochodu.

Grozi mi ostrzegawczo nożem.

- O nie, nie ja, to Douglas im płaci i związek zawodowy.

- Właśnie, że ty płacisz, Tato. Pieniądze, które oni wpłacają do Perpetual, skądś przecież pochodzą. Pochodzą z tego, co zrobiłeś dla Douglasa, z forsy, którą zbili na tobie i twojej pracy. To nie jest towarzystwo charytatywne, ty te pieniądze zarobiłeś, co do centa. Przez te lata zbili majątek na twojej pracy, nie zapominaj.

- Dobrze już, dobrze, Johnny. Wykopiemy Ethridge'a, może nawet opanujemy cały szpital. Ja się zgadzam.

Z przyjemnością patrzę, jak Tato je. Po karmieniu łyżeczką, otwieraniu mu ust siłą, szarpaninie, łowieniu tego, co wypadło z ust, obraz tego, jak sam szufluje jedzenie, zakrawa na cud.

Zawsze lubiłem patrzeć, jak Tato je. Napięte mięśnie u nasady szczęki pracują przy każdym kęsie w sposób, jakiego u nikogo innego nie obserwowałem. Kurczą się pod cienką skórą w twardy, kulisty, orzeszkowaty węzeł. To samo dzieje się, kiedy Tato w napięciu dokręca albo odkręca śrubę czy mutrę. Pamiętam, że jako dziecko chciałem sobie wyćwiczyć ten mięsień, ale nigdy mi się to nie udało. Tato ma jeszcze drugi taki mięsień; od młotka.

- Tato, pokaż, masz jeszcze mięsień od młotka?

Odkłada widelec i patrzy na zwiotczałą, pomarszczoną prawą dłoń, upstrzoną plamami wątrobowymi, jak porzucona skóra żmii. Nawet włoski starły się prawie do cna. Ale kiedy Tato zgina przegub, mięsień się pokazuje. Pośrodku przedramienia wznosi się zgrubienie wielkości szklanej kulki do gry. Tato uciska je wskazującym palcem lewej ręki.

- Miękki jak świńskie sadło. Teraz już nigdzie nie przyjmą mnie do pracy, z takim nędznym gruzełkiem od młotka.

Zerka na mnie spod przymrużonych powiek i uśmiecha się filuternie.

- Ale coś ci powiem w sekrecie, Johnny: ja już nie szukam pracy. Jestem na emeryturze. Mam własny dom, pieniądze w banku i rentę z ubezpieczalni. W ogóle nie muszę już pracować! Rany Julek!

Chwyta łyżkę i wyskrobuje do czysta załomki naczyń. Zdaje się, że potrafiłby zjeść drugie tyle.

Tato przed ślubem pracował w Filadelfii jako samodzielny cieśla. Razem z braćmi robił u ojca, który załatwiał im wszystkim umowy o pracę. Czasami trafiała im się większa fucha i wynajmowali ludzi do pracy. Tato mówił mi, że jego ojciec nigdy nie pytał kandydata o papiery rzemieślnicze ani o referencje. Interesowało go wyłącznie, czy facet ma guzek od młotka. Jeżeli miał, ojciec Taty dotykał guzka tak jak Tato teraz i jeżeli guzek był twardy, gość dostawał robotę.

Dziadek nigdy nie płacił dniówki. Każdy, kto u niego pracował, był wolnym strzelcem. Oferował na przykład taką pracę jak pokrycie dachu za określoną sumę, pod warunkiem, że zrobione będzie porządnie i w wyznaczonym terminie. Tato powiada, że kto ostro zasuwał i był zdolny, mógł zrobić u dziadka grubą forsę, ale kto się obijał, temu się tam całkiem nie opłacało pracować.

Tym sposobem wokół dziadka kręcili się najlepsi cieśle w Filadelfii, znany był z tego, że robotę kończy szybko i solidnie.

Jedyny mankament, że z powodu braku ustalonej gaży, firma nie mogła się rozwijać i robili przeważnie ciesiołkę na zlecenia. A poza tym, właśnie kiedy interes zaczął się rozkręcać i dziadek stawiał sześć domów naraz z myślą o korzystnej sprzedaży, przyszedł Wielki Kryzys. Dziadek stracił wszystko, co miał, przez dziesięć lat pracował na spłacenie długów, a w rok po ich spłaceniu zmarł.

Mnie nigdy nie wykształcił się guzek od młotka. Przebudowałem trzy domy, osiągając wynik ogólny sześciu sypialni i dwóch łazienek, jak również garażu na dwa samochody, a guzka od młotka ani śladu. Kiedyś, pomagając Tacie przy budowie jego domu, zapytałem go o to. Miał wtedy mniej więcej tyle lat, co ja teraz: ja miałem może ze dwadzieścia pięć, zaraz po studiach.

- Na to trzeba pracować latami, Johnny. Osiem godzin dziennie walić młotkiem. Nic się nie przejmuj, ty swoje guzki od młotka masz w głowie.

Było to w dniu, kiedy mocowaliśmy dachówki. Tato pokazał mi, jak ustawić płytkę i gwóźdź, żeby szło do góry. Zaczął od prawej strony, ja od lewej. Po jakiejś godzinie patrzę, a on zrobił mniej więcej cztery razy tyle co ja. Przerwałem pracę i patrzę, na czym polega jego sekret.

Tato trzyma w ustach wiązkę gwoździ do dachówek i w miarę potrzeby przesuwa je samymi ustami, ostrym końcem do przodu. Prawą ręką przykłada dachówkę, nie wypuszczając młotka, lewą sięga do ust, bierze gwóźdź, przypasowuje i uderza dwa razy, raz dla ustalenia miejsca, drugi raz mocno, żeby siedział. I już przesuwa w ustach kolejny gwóźdź, nie robiąc pauzy, i sięga ręką po następną dachówkę. Coś takiego: pauza - łup-ŁUP - pauza - łup-ŁUP. A u mnie było tak: długa pauza -wyciągnięcie gwoździa z puszki, ustawienie dachówki, przykładanie gwoździa - łup-łup-łup-ŁUP-ŁUP - i od nowa to samo.

Obserwuję cykl pracy Taty, a potem napycham sobie usta gwoździami. Trochę oszukuję, układając od razu trzy gwoździe w gotowości. Ręką, w której trzymam młotek, przykładam dachówkę i próbuję wpasować się w rytm Taty: łup-ŁUP -gwóźdź-dachówka - łup-ŁUP. Usiłuję skupić się na wbijaniu gwoździa, a jednocześnie przesuwać językiem następny gwóźdź. Gwoździe mają elektryczny, galwaniczny posmak. Gwóźdź-dachówka -

łup-ŁUP - gwoździ-dachówka - łup-ŁUP - AUUU-UUU!

Z rozmachu walnąłem się w kciuk! Prostuję się i o mało nie spadam z krzywizny dachu. Tato ogląda się na mnie. Wrzeszcząc, powypluwałem wszystkie gwoździe. Vron i Mama wypadają z domu, gdzie malowały ściany. Udaje mi się jakoś zejść po drabinie i wsadzić kciuk pod zimną wodę. Paznokieć jest zmiażdżony, już zaczął odchodzić. Do dziś mam guzek pod paznokciem lewego kciuka. Guzek od młotka mi się co prawda nie wyrobił, ale guzek na kciuku uzyskałem za jednym zamachem: dwadzieścia lat noszę na sobie memento, że do końca życia pozostanę cieślą-amatorem.

Tato z każdym dniem nabiera sił. Stał się ulubieńcem pielęgniarek. Strajk się kończy, personel wraca na stanowiska, a ja przenoszę się ze spaniem do Mamy. Billy, który już ledwo wytrzymywał nerwowo, wraca na czterdziestoakrową działkę.

Mimo to, prawie co drugi dzień przyjeżdża do szpitala odwiedzić Tatę. Tato został przeniesiony na zwykły oddział i ma cały sztab nowych pielęgniarek do flircików. Dali mu stelaż do chodzenia i codziennie po troszeczku wstaje z łóżka. Billy'emu mówi, że stelaż chroni go przed atakami pielęgniarek. Billy spędza z Tatą długie godziny i, jak mi wyznaje, nie może wprost uwierzyć, że to ten sam człowiek, jego dziadek. Billy nigdy nie znał ojca w takiej formie; ja sam ledwo go takim pamiętam.

Któregoś dnia siedzę z Tatą, żartujemy sobie, i nagle Tato mówi:

- Wiesz co, Johnny, może ja jednak nie pójdę do piekła.

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi; może znów zmienia biegi.

- No, Tato, jak ty tam nie idziesz, to ja też nie.

- Poważnie, John, pamiętasz, jak się martwiłem, że pójdę do piekła, bo nie mogę wykrzesać z siebie miłości do czarnuchów? Rozmawialiśmy o tym któregoś dnia, zanim wpadłem w tę kołomyję. Pamiętasz?

- Tak, Tato, coś sobie przypominam. O rany, znów to samo!

- Powiem ci, John, że odwiedza mnie tutaj jedna z najsympatyczniejszych osób na świecie, a jest ona prawie czarna, no, powiedzmy - umiarkowanie brązowa - ale to zdecydowanie Murzynka.

- Musisz przyznać, Tato, że niektóre tutejsze pielęgniarki są dla ciebie wyjątkowo miłe, bez względu na kolor skóry.

- Ta osoba, o której mówię, nie jest pielęgniarką, Johnny. Ale czymś w tym rodzaju. Czasami przychodzi w mundurku, ale tutaj nie pracuje.

Dalej nie chwytam. Podejrzewam, że Tacie coś się pokręciło.

- Mówi, że jest twoją znajomą, John, ma jedno oko zielone. Kto by pomyślał, że kobieta może być taka ładna z jednym okiem innym, a drugim innym.

Czuję, jak oblewa mnie rumieniec, ale Tato niczego nie zauważa.

- Powiada, że była pielęgniarką w jakimś szpitalu, w którym leżałem, a którego w ogóle nie pamiętam. To ona mi przyniosła te afrykańskie fiołki; sama je wyhodowała ze szczepków. Ma siedemnaście różnych odmian samego fiołka afrykańskiego; mnie się udało wyhodować tylko osiem. Podlewasz moje kwiaty i ogródek, co, Johnny?

Kiwam głową.

- Podlewam, Tato, i staram się plewić na bieżąco. Alicja to wspaniały człowiek, zgadza się, kiedyś w nocy razem ze mną ratowała ci życie.

- Opowiadała mi o tym, John. Nie chciało mi się wierzyć. Ona ciebie uważa za ósmy cud świata, mówi, że byłeś lepszy niż doktor. Wiesz, dziwnie to zabrzmi, ale ta dziewczyna przypomina mi matkę, twoją babkę, Mary Duheme, i to bardziej niż ktokolwiek na świecie. I dlatego, John, wiem już, że nie pójdę do piekła: potrafię kochać tę kobietę, czarna nie czarna, tak jak potrafiłem kochać swoją matkę.

Uśmiecha się do mnie, a ja mu odpowiadam uśmiechem. Przychodzi mi do głowy, żeby zapytać, o jakich porach ona tu bywa, ale się powstrzymuję. Przed odejściem proszę tylko Tatę, żeby ją ode mnie pozdrowił, gdyby znów się zjawiła.

Tato oznajmia pielęgniarkom, że nie życzy sobie więcej golenia. Pielęgniarki powtarzają to Chadowi, a on przychodzi do mnie. Rozmawiam z Tatą.

- Już raz przez to przeszliśmy, Tato. Znasz opinię Mamy na temat brody. Ma już brodatego syna, trzech brodatych wnuków, nie sądzisz, że brodaty mąż to byłoby już trochę za dużo dobrego?

- Nic się nie martw, Johnny, ja to z nią załatwię. Bądź co bądź, o mało nie przeniosłem się na tamten świat: coś mi się od życia należy. Jestem stary, starcy powinni mieć prawo do noszenia brody, jeżeli chcą. Poza tym, mam bardzo delikatną cerę. I skoro nie mogę hodować włosów na głowie, to wyhoduję sobie chociaż trochę na brodzie.

Nie ma na niego mocnych. Mówię Chadowi, że ja się zgadzam. Uśmiecha się z chaszczy własnego zarostu. Dla niego jest to jedno z najzabawniejszych wydarzeń w szpitalu. Przekazuje swoją opinię pielęgniarkom, a one nie oponują. Golić starca z gęstym zarostem i fałdami zmarszczek na szyi to żaden bal. Idę do domu przygotować Mamę.

- Mówię ci, Jacky, on kompletnie zwariował. To nie ten sam człowiek. Robi się z niego jakiś Don Juan. Mnie się zdaje, że to zdziecinnienie starcze, drugie dzieciństwo. Poczekaj, zabiorę go do domu, to pogadamy o tej brodzie: mnie żaden brodacz całować nie będzie, tyle ci powiem!

Staram się ją uspokoić. Dzwonię do Joan: jest przekonana, że to ja podpuściłem Tatę. Jedzie do szpitala, omawia sprawę z Tatą i w drodze powrotnej wpada do Mamy.

Kiedy zajeżdża przed dom, Mama jeszcze szaleje. Joan wchodzi roześmiana. Daje Mamie całusa i przytula ją. Nie pozwala Mamie dojść do słowa, tylko trajkocze jak katarynka.

- Trudna rada, Mamo, będziesz musiała jakiś czas wytrzymać ze Świętym Mikołajem. Postanowił, że zapuści brodę i jest w tym uparty jak dziecko.

Joan rzuca torebkę na kanapę i pada obok. Cały czas chichocze.

- Tyle z nim wskórałam, co z Jeffem albo z Tadem. Jest święcie przekonany, że ci się spodoba, Mamo.

- Joan, czy tobie się nie wydaje, że on zbzikował? Powiedz mi, zwariował?

Joan rozpościera ramiona na oparciu kanapy, rozrzuca nogi, skopuje buty. Patrzy na mnie.

- Nie większy z niego wariat niż ten tutaj albo Billy, Jeff czy Teddy. Pokazuje nam po

prostu, że stać go na to, żeby się zachować “po męsku".

Wstaję i wychodzę z pokoju po muszkatel. Nalewam po szklance i rozdaję.

Mama zaczyna dostrzegać humorystyczny aspekt sprawy.

- Boże święty, Joan, jak ja się wytłumaczę przed sąsiadami? Pomyślą, że mam dobiegacza-hippisa.

Joan pociąga łyk zimnego wina.

- Może to i prawda, Mamo, on się tak zmienił. Jest jak siedemnastolatek. I nie chcę przez to powiedzieć, że zdziecinniał: ma młody umysł. Żartuje, wszystko go bawi, uśmiecha się do wszystkich w szpitalu.

Pociąga jeszcze łyk, spogląda na mnie.

- Będzie miał o co dbać, rozumiesz? Zawsze miał duszę ogrodnika, teraz może hodować ogród na twarzy. Mama śmieje się, o mały włos nie rozlewa wina.

- Ty też jesteś wariatka, Joan. Ta przeklęta krew Tremontów!

Wiem, Mama śmieje się tylko dlatego, że wierzy, iż w końcu zdoła wyperswadować Tacie brodę.

Odprowadzam ją do sypialni na drzemkę. Razem z Joan wychodzimy posiedzieć na patio. Dzień jest piękny, słoneczny, niezbyt upalny, ale z silnym słońcem i łagodnym wietrzykiem. Mgły właściwie nie ma. To taka pogoda, o której się mówi, że zawsze panuje w Los Angeles. Rozłożyłem dwa leżaki z czerwonej sekwoi. Na jednym wyciąga się Joan, ja zajmuję drugi.

- Powiedz mi, Jack, co na to lekarz? Tato jakby wsiadł w machinę czasu: ja się czuję starsza od niego.

Zasłania oczy przed słońcem wierzchem dłoni. Zabiera dłoń i pochyla się do przodu.

- Zdaje mi się, że Tato łączy tę brodę z powrotem do zdrowia. Ma chyba wizję wyjścia z tej całej historii jako zupełnie nowy człowiek.

- Możliwe, że w znacznej mierze o to chodzi. Może duma z tego, że zapuścił brodę, przypomniała mu o prawdziwym życiu, skrywanym pod powierzchnią pozorów.

Nagle - olśnienie!

- Rany Boskie, Joan! Co zrobimy z datami na nagrobku? Joan sztywnieje w leżaku.

- Matko Święta! Zapomniałam. Trzeba będzie zadzwonić i powiedzieć, żeby nie ryli daty śmierci.

- Ostatniej siódemki, czy obu siódemek?

- Wiesz, przy jego postępach należałoby się dobrze zastanowić nad jedynką i dziewiątką.

Kiedy decyduję się zabrać Tatę do domu, waży sto dziesięć funtów, a brodę ma już silnie zaawansowaną: gęstą, ciemną, szpakowatobrązową.

Chad godzi się na wszystkie moje prośby. W tym na luksusowy pneumatyczny materac do leczenia odleżyn, fotel inwalidzki, stelaż do chodzenia i laskę. Dostajemy także specjalny chemiczny basen i aparat tlenowy z maską. Nawet jeżeli Tacie tlen się nie przyda, Mama może go używać podczas drzemki. Perpetual płaci cały rachunek, a do tego jeszcze raz

dziennie będą przysyłać do Taty pielęgniarkę dla kontroli. Od doktora Coe biorę zlecenie zezwalające pielęgniarce na badanie również Mamy.

Muszę przyznać, że trochę szarżuję z tymi wymaganiami, ale to wszystko skromna zemsta.

Kusi mnie, żeby się wybrać z byłym zdziecinniałym trupem do Ethridge'a, ale nie byłoby to chyba wskazane dla Taty. Po Ethridge'u i tak by spłynęło: dopóki kabza pęcznieje i nie spóźnia się na golfa, nic go nie załamie.

Tato wraca do domu, a Joan przyłącza się do prac związanych z jego zainstalowaniem. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś się tak cieszył z powrotu do domu - ale Tato cieszy się teraz ze wszystkiego. Zasiada w bujanym fotelu z nogą podwiniętą pod siebie i natychmiast zwraca uwagę na afrykańskie fiołki kwitnące w skrzynce na oknie. Dodałem nowe, te ze szpitala; Alicja podarowała Tacie pięć odmian. Modlę się, żeby Mama nie zapytała od kogo to: w razie czego będę kłamał.

Tato chce obejrzeć swój ogród i szklarnię. Razem z Billym pielęgnowaliśmy cieplarnię i ścinaliśmy trawę. Ogród jest w tej chwili poniżej standardu Taty, ale przynajmniej nie zamienił się w dżunglę.

Mama obserwuje Tatę jak obcego, który nie wiadomo jakim cudem wtargnął do jej domu. Tato już radzi sobie o lasce, jeżeli ktoś mu podtrzyma drugie ramię, więc wyprowadzamy go na patio i pomagamy usiąść w fotelu. Znów jest ładny dzień, ale trochę cieplejszy, z domieszką smogu. Mimo to, dzięki zieleni i świeżo podlanej trawie w ogródku jest pięknie.

Tato zadziera głowę do góry.

- Bardzo łatwo zapomnieć, jakie wspaniałe jest niebo. Dawno nie miałem okazji popatrzeć do góry i zobaczyć błękit. Ale muszę przyznać, że tutaj, w Kalifornii, brakuje mi chmur. W Filadelfii i w Wisconsin mieliśmy piękne chmury.

Mama siedzi w sekwojowym leżaku. Wiem, że kipi ze złości. Ta broda, uwaga wszystkich skupiona na Tacie, jego gadatliwość. Dużo tych zmian, za dużo.

- Zapominasz, Jack, że te chmury niosły pełno deszczu. Pamiętasz, jak w Filadelfii potrafiło padać ciurkiem przez dwa tygodnie, nawet w lecie? Nie zapominaj o deszczu.

- Masz słuszność, Bess, ale jest dobry dla roślin.

Od chwili wyzdrowienia, Tato mówi na Mamę “Bess". Nie wiem, czy robi to specjalnie, czy bezwiednie, czy też zapomniał, że Mama każe się nazywać Bette? Od trzydziestu lat, odkąd przenieśli się do Kalifornii, była Bette, a teraz Tato wrócił do Bess! Pełne imię Mamy brzmi Elizabeth, ale nigdy się go w tej postaci nie używa. Na razie jeszcze Mama nic nie mówi o tej “Bess", ale wiem, że ją to drażni.

- Pamiętasz, Jack, jak na dwa tygodnie twojego urlopu pojechaliśmy do Wildwood i lało przez cały czas? Dwa tygodnie siedzieliśmy zamknięci we wspólnym pokoju, z dwoma łóżkami i dwójką dzieci. Do końca życia tego nie zapomnę.

Tato dalej wpatruje się w niebo szeroko otwartymi oczami, błękitnymi tak samo jak to niebo, ale bardziej promiennymi. Twarz rozjaśnia mu się w uśmiechu.

- Coś takiego, uszy z gumy!

Patrzy po nas. Mama zerka na Joan, potem na mnie, w jej oczach maluje się paniczny lęk. Podnoszę się z miejsca, podchodzę do Joan i ciągnę ją za ucho.

- Coś takiego, uszy z gumy!

Joan odskakuje do tyłu i parska śmiechem. Nachyla się do Taty i jego z kolei targa za ucho.

- Coś takiego, uszy z gumy!

Pochyla się jeszcze głębiej i całuje Tatę w policzek.

- Całkiem zapomniałam, Tato. To wtedy tak strasznie padało? Akurat te wakacje w Wildwood wspominam jak najlepiej.

Mama krzywi się z niesmakiem.

- Banda wariatów. Uszy z gumy!

Ale zaraz wybucha śmiechem.

- Gdyby was ktoś zobaczył, jak się we trójkę targacie za uszy, pomyślałby, że jesteście niespełna rozumu. A wszystko się wzięło z komiksów. Ojciec czytywał wam komiksy na różne niesamowite głosy, nawet jak Jack już umiał sam czytać. Wesoły Marynarz powiedział tak do Fistaszka ciągnąc go za ucho, a wyście to natychmiast podchwycili, wszyscy troje. Nie mogłam na chwilę usiąść, żeby któreś zakradło się z tyłu i nie wytargało mnie za ucho.

Mama tak się zaśmiewa, że aż przykłada rękę do piersi.

- Cud, że już wtedy nie dostałam zawału albo pomieszania zmysłów, żyjąc z taką bandą pomyleńców.

Przed upływem kolejnego tygodnia Tato zaczyna się poruszać tylko z pomocą laski; taki z niego chojrak, że w marszu sprawdza laską, jak rosną sadzonki! Cały czas chodzi uśmiechnięty, podśpiewuje albo mruczy coś do siebie. I stale kręci się po kuchni, czym doprowadza Mamę do szału. Wciąż o coś pyta, jak dziecko. Znalazłem się między młotem a kowadłem: Tato nie chce, żeby Mama zajmowała się kuchnią, a Mama nie chce, żebym ja gotował. Obiecuję Tacie, że będę uważał na Mamę, żeby się nie przemęczała. Tato nie odstępuje Mamy na krok; chętnie chodziłby za nią nawet do łazienki.

I jeszcze coś: on całe życie taki wstrzemięźliwy w okazywaniu uczuć, teraz co chwila podchodzi do Mamy, a to, żeby ją pogłaskać po karku czy po plecach, a to, żeby pocałować w policzek. Mama nie wie, jak się ma zachować. Kilka razy, kiedy Tato wstaje z fotela, żeby ją pocałować, posyła mi spojrzenie mówiące: “No, szurnięty!" Jest w tym spojrzeniu także lęk.

Któregoś dnia Tato pyta, czy nie moglibyśmy pojechać do kantorku Armii Zbawienia, tylko we dwóch. Demonstruje mi zawartość portfela: trzy dwudziestki i dziesiątaka. Nie pamiętam, żeby Tato kiedykolwiek w życiu nosił przy sobie więcej niż pięć dolarów.

Mama drży z niepokoju, dopytuje się o nasze zamiary. Tato mówi jej, że to sekret i że wszystkiego się dowie, kiedy wrócimy. Proponuję, żeby się zdrzemnęła pod naszą nieobecność. Skarżyła się przecież, że Tato ciągle na niej wisi i że nie ma chwili dla siebie, więc, korzystając z tego, że Tato przebiera się w wyjściową czapkę pilota bombowca i sweter, szepczę jej do ucha:

- Masz okazję pobyć trochę sama. Odpocznij i naciesz się samotnością.

- Jak ja mogę odpocząć, Jacky, kiedy on się tak zachowuje? Dokąd wy się wybieracie, co on znowu wymyślił?

- Nie wiem, Mamo, nie chce mi powiedzieć. Nic się nie martw, będzie dobrze, cały czas będę przy nim. Wrócimy przed piątą; postaraj się dobrze wypocząć.

Zajeżdżamy przed budynek Armii Zbawienia na Jedenastej Ulicy w Santa Monica. Tato węszy jak pies myśliwski wystawiający kaczkę. Wracamy do naszej dawnej tradycji wypraw w poszukiwaniu rzeczy, które jeszcze da się uratować i naprawić. Tato wierzy, i zawsze wierzył, że ludzie wyrzucają całkiem dobre rzeczy tylko dlatego, że im się znudziły albo mają jakąś drobną usterkę, której właściciel nie umie naprawić.

Pół godziny spędzamy w rupieciarni. Tu leży najgorszy chłam, którego nawet Armia Zbawienia nie ma już ochoty naprawiać. A jednak Tato znajduje dla siebie parę adidasów. Adidasy są bez sznurówek, a lewy but ma dziurę na nosku, ale pasują na Tatę, który je bierze za dwadzieścia pięć centów. Są jasnoniebieskie, z trzema granatowymi paskami po bokach. Tato szczęśliwy, jakby go kto ozłocił. Już te adidasy powinny były dać mi do myślenia.

W sklepie właściwym z trudem odwodzę go od zamiaru zakupienia olbrzymiej kanapy barwy palonego złota. Kanapa kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów. Przecież gdybyśmy zajechali pod dom z czymś takim przypiętym pasami do dachu, na drugi dzień możemy spokojnie planować pogrzeb Mamy.

Kiedy wreszcie udaje mi się odciągnąć go od kanapy, buszuje chwilę w damskich torebkach, potem w bluzkach, następnie podnosi oczy i dostrzega kolekcję futer Armii Zbawienia. Wyglądają na produkcję kłusownika z zeszłorocznych łowów. Tato sadzi wprost do nich z płonącymi oczami.

- Mama zawsze uwielbiała futra, Johnny.

Przez następne dziesięć minut zdejmuje futra z wieszaków, ogląda je, obraca. Dwa wkłada na siebie, gładzi włos, patrzy do lustra. Dzięki Bogu, żadne jakoś nie przypada mu do gustu.

Holuję go do działu swetrów. Sweter nie powinien wiele kosztować, a Mama może go później gdzieś schować albo oddać. Nikt nie umie kupić dla Mamy. Mama odnosi do sklepu nawet połowę tego, co sama sobie kupiła.

Informuję Tatę, że idę obejrzeć spodnie i kieruję się do odpowiedniego działu. Szukam czegoś w miarę przyzwoitego, rozmiar 33 albo 34 na 30, cena do półtora dolara. Kiedy człowiek nie dba przesadnie o styl, może się tu obkupić, że hej. Tato podąża za mną. Wyciąga fioletowe sztruksy i przykłada do siebie, spodnie mają rozmiar 38 na 34.

- Nie za duże, John?

Staram się nie parsknąć, nie chcę wejść w rolę Mamy.

- Chyba jednak trochę za duże. Jaki ty, Tato, nosisz rozmiar?

Tato patrzy na swoją talię. Schudł tak bardzo, że spodnie trzeba było pozakładać pod paskiem, a nogawki majtają się luźno wokół piszczeli. Już odzyskał piętnaście funtów, ale mimo to nie waży nawet stu dwudziestu. Rozpina pasek i zagląda pod spód. Zerkam na wszywkę w talii: 32□.

- A teraz masz najwyżej dwadzieścia osiem na dwadzieścia dziewięć. Chociaż nie

wiadomo, ile będziesz ważył za trzy miesiące. Przy tym apetycie może być z ciebie drugi Tony Galento.

Tato zaciska pas, sprawdza, czy koszula nigdzie nie wychodzi, i uśmiecha się.

- Pamiętasz tamtą drakę, John?

- Jasne, że pamiętam. Pamiętam nawet, gdzie to było -pierwszy raz byłem wtedy tak daleko od domu. Pojechaliśmy do Upstate New York, z Irą Taylorem i jego żoną Kay.

- Zgadza się, Johnny, sam prawie o tym zapomniałem. To dopiero była wycieczka, rany Julek! Pamiętam, obiecałem ci, że zobaczysz góry. Przejechaliśmy samochodem przez małe wzniesienia, a ty pytasz, czy to już była ta góra! Wtedy jeździliśmy fordem 29.

Tato ściąga z wieszaka portki w stylu picassowskim, w czerwone, niebieskie i fioletowe paski. Mają rozmiar 28 i kosztują tylko dolara. Tato przykłada je do siebie: słowo daję, w tych spodniach i z tą brodą wygląda jak Cezanne u schyłku życia. Brakuje mu tylko skrzynki z przyborami do malowania w plenerze.

- Mnie się podobają, Tato, ale czy myślisz, że za tydzień będą jeszcze na ciebie dobre?

- Wszystko jedno, jak nie będą, to je komuś oddam. Wiem, że będę się w nich dobrze czuł: będę się czuł jak ktoś wyjątkowy, ktoś, kto się rzuca w oczy. Wszyscy bogaci ludzie ubierają się dziwacznie, widziałem w telewizji. Nie muszą się nikomu podobać, tylko sobie, i nie obchodzi ich, co ludzie powiedzą - przecież i tak są już bogaci. Ja też niczego od nikogo nie potrzebuję. Wezmę te spodnie. Czuję się, jakbym kupował Bałtyk w grze w Monopoly: kolor fioletowy, tanio - nie mogę stracić na tym interesie.

- Dobra, Tato. Moim zdaniem, wyglądasz w nich świetnie. Jak myślisz, co powie Mama?

- Będzie się śmiała. Powie, że jestem wariat, ale będzie się śmiała. W tym domu jest ostatnio stanowczo zbyt mało śmiechu.

Przez następną godzinę Tato trudni się komponowaniem niesamowitych zestawów spodni i koszul. Udziela mi się jego zapał i pomagam dobierać kolory. Tato zaśmiewa się przy tym do rozpuku. Komponowanie kostiumów bardzo go bawi, wcale nie ma dość.

Wbrew moim ostrzeżeniom, kupuje za dwa dolary jedwabną koszulę z metaliczną nitką. Wiem, jak trudno jest uprać taką koszulę nie niszcząc połysku. Tato mówi, że jak się ubrudzi, to ją wyrzuci. Jest urzeczony dotykiem tkaniny i zmianą kolorów w zależności od kąta padania światła.

W sumie wydajemy niecałe dwadzieścia dolarów. Nie pamiętam, żebym miał kiedyś taką frajdę z zakupów. Nawet ja kupuję dla siebie dwa dość niesamowite komplety. Boję się myśleć, co powie Mama, kiedy nas zobaczy z tą stertą ciuchów.

W drodze do domu ustalamy, w co ubierzemy się najpierw. Tato decyduje się na spodnie narciarskie w kolorze złocistej ochry, plus jedwabna koszula, w której nitka przeplata się z ciemnoniebieską. Dokupujemy jeszcze sznurówki do adidasów.

Kiedy wracamy, w domu jest Joan. Ciekawe, czy Mama wpadła w panikę i zadzwoniła po nią, czy Joan po prostu wstąpiła po drodze. Szmuglujemy torby z ciuchami przez boczne drzwi do sypialni na tyłach. Wchodzę do dużego pokoju, żeby oznajmić Joan i

Mamie, że damy im pokaz mody. Mama całkiem zgłupiała i już nie wie, jak ma reagować.

Wkraczamy, ja pierwszy, w koszuli barwy lodów pistacjowych, portkach golfowych firmy Jack Nicklaus i zielono-białych tenisówkach od Staną Smitha. Joan gwiżdże na palcach; sztukę tę opanowała nie mając jeszcze pięciu lat, a ja zawsze tylko jej tego zazdrościłem.

Tato kroczy za mną, bez laski. Wychodzi na środek pokoju, wolno, ostrożnie i obraca się w miejscu, luźno dyndając ramionami. Joan i Mama kompletnie wysiadają. Chodzę w kółko dookoła Taty, wirując wokół własnej osi. Joan śpiewa: “Ładna dziewczyna jest jak piosenka", a Mama podchwytuje ton. Klaszczę w takt melodii. Chichoczemy wszyscy, Tato wycofuje się do sypialni. Składam ukłon.

- Zechcą panie pozostać na swoich miejscach. To dopiero początek rewii. Dopiero teraz zobaczycie!

Znikam w hallu, nie czekając, co powiedzą.

Tato zaśmiewa się i chichocze. Ręce mu drżą, więc pomagam zapinać guziki. Tym razem Tato wkłada picassowskie spodnie i ciemnoniebieską, prawie granatową bluzę na wierzch z rękawami trzy czwarte. Jeszcze tylko beret i mógłby iść malować na Montmartre. Ogląda się w lustrze, obraca głową na wszystkie strony.

- Oto strój artysty-emeryta.

Bierze szczotkę z toaletki i sczesuje brodę w szpic, podkręca końce wąsów. Rzeczywiście wygląda jak artysta, o wiele bardziej niż ja.

Zakładam włoskie spodnie w prążki, bez paska, i brązową koszulę zapinaną na mankietach na trzy guziki. Koszula ma nawet monogram z lwem na kieszonce. Wyglądam jak książę, któremu księżniczka się spiła i uciekła z lokajem. Tato patrzy na mnie z podziwem.

- Stary, to rewelacja!

Gwiżdże przez zęby: tej sztuki też nigdy nie opanowałem.

- Powinieneś stale tak chodzić, Johnny. Wyglądasz jak facet, który nigdy w życiu nie zhańbił się pracą.

Ostatni rzut oka w lustro. Czy takie combo nie będzie już lekką przesadą? Zaglądam do salonu zza framugi.

- Szanowne panie, teraz zobaczycie, co się nosiło w Paryżu przed piętnastu laty. Czas nikogo nie oszczędza. Wchodzę, Tato za mną. Mama nie wytrzymuje.

- No nie! Joan! No nie! Dwa półgłówki! O mój Boże!

Nie wie, czy ma płakać, czy śmiać się. Tym razem ja staję na środku z rękami nad głową, a Tato okrąża mnie w koło podnosząc i opuszczając chude ramiona, tak że rękawy za każdym razem zjeżdżają powyżej łokci. Joan klaszcze, Mama podchwytuje. Znów śpiewają “Ładną dziewczynę", przy akompaniamencie której odmaszerowujemy do sypialni.

Ja nie mam już więcej kostiumów, ale Tato ma jeszcze dwa. Ani jego koszule, ani spodnie na mnie nie pasują. Pomagam mu się rozebrać i przebrać. Tym razem zakłada rozszerzane spodnie z grubego płótna w prążki, w subtelnej gamie brązów i beżów, a do tego marynarską koszulę w poprzeczne białe i brązowe pasy, z niewielkim białym kołnierzykiem. Wygląda szczupło i schludnie, jak podstarzały chłopiec okrętowy. Pośpiesznie wskakuję w czarny garnitur do trumny pana Lazio i białą koszulę z krawatem. Wychodzę z wielką

powagą. Joan i Mama zachłystują się śmiechem. Czekam, aż im przejdzie. Czekając, kłaniam się zdawkowo i ślę im sceniczne, fałszywe uśmieszki.

Tato przepycha się na pierwszy plan spoza moich pleców.

- Co jest, John? Co się dzieje?

Jedną ręką nakazuję mu pozostać z tyłu, a nawet wychodzę na środek pokoju.

- Panie i panowie, firma nasza zaprezentuje teraz gwiazdę programu, byłego umarlaka, prawie *corpus delicti*, tuż po powrocie z udanego tournée po Wyspach Karaibskich. Oto - proszę państwa - Niezrównany Jack!

Wyciągam ramię w jego kierunku, a Tato mija mnie szurając, cały w uśmiechach, żadnego zasłaniania ust. Tym razem Mama aż pieje ze śmiechu. Nie może się opanować.

- Joan, każ im przestać! Ja tu skonam. Chcą mnie zabić! Każ im przestać, bo się posikam w majtki!

Joan kiwa się rytmicznie na kanapie, zanosząc się śmiechem.

- Jeszcze nie słyszałam, Mamo, żeby ktoś skonał ze śmiechu, ale to piękna śmierć.

Tato podchodzi do Mamy, pochyla się i całuje ją. Jej policzki są mokre od łez śmiechu.

- Nic ci nie jest, Bess? To przecież tylko zabawa.

- Jesteście dwaj wariaci. Skąd wy, na miłość boską, wytrzasnęliście te ubrania? Musiały kosztować majątek, Jacky. Jaki normalny człowiek sprzedał je dwóm zhippisiałym półgłówkom?

Odchyla się na oparcie roześmiana, żeby przyjrzeć nam się jeszcze raz.

- W tych strojach i z tymi brodami wyglądacie tak, że ludzie będą na wasz widok przechodzić na drugą stronę ulicy. Zamkną was, zobaczycie!

Znowu wybucha śmiechem. Tato prostuje plecy, kładzie dłoń na piersi.

- To mój kostium do jazdy rowerowej wzdłuż plaży w Venice. Może być i na wrotki.

Mówiąc to, zagryza usta, żeby nie parsknąć śmiechem, a zarazem realnie przymierza się do własnego pomysłu. Mama odwraca się do Joan.

- Z nim nigdy nic nie wiadomo, z tym drugim zresztą tak samo. Odkąd wyszedł ze szpitala, zachowuje się tak, że wszystko jest możliwe.

Tato upiera się, że założy jeszcze ostatni strój. Mnie każe zasiąść na widowni. Nie pamiętam, co tam zostało. Oglądaliśmy tyle wariackich kostiumów, że wszystko mi się pokręciło. Po kilku minutach Tato wystawia głowę zza framugi.

- Oto strój kibica baseballowego. Będę go nosił głównie po domu, oglądając w telewizji mecze Dodgerów z Angelami, co nie oznacza, że od czasu do czasu nie wybiorę się na stadion, jakkolwiek nie w tym stroju.

Wchodzi i - czy to dlatego, że występuje teraz solo i tak znakomicie się bawi - śmiejemy się wszyscy troje do utraty tchu. Ja kulam się na plecach po podłodze, z kolanami pod brodą, próbując złapać powietrze. Joan padła plackiem na kanapę, a Mama buja się jak najęta w fotelu. Chwilami pochyla się do przodu tak mocno, że prawie dotyka głową kolan.

Tato założył białe flanelowe spodnie w cieniutkie jasnoniebieskie prążki. Koszula ma krótkie rękawy i odwrotne proporcje kolorów: białe prążki na niebieskim tle. Na głowę Tato

założył czapkę pilota, którą mu dałem na urodziny, z daszkiem przekręconym nieco na lewo. Wygląda jak sześćdziesięcioletni urwis. Rzecz w tym, że na pewno nie widać po nim siedemdziesięciu trzech lat. Choroba dziwnym trafem wydobyła z niego chłopięcą sylwetkę i wdzięk, pokonując wiek i wędzidło samokontroli. Mama pierwsza odzyskuje dech.

- Mój Boże, Jack, Lawrence Welk to przy tobie zniedołężniały starzec.

Tato uśmiecha się, próbuje wykonać na sucho manewr baseballowy, traci równowagę - ale sam ją odzyskuje.

Nie ma rady: uparł się, że zostanie w tym stroju aż do wieczora. O szóstej w telewizji transmitują mecz Dodgerów. Tato zamawia piwo i słone precelki. Ostrzega, że będzie, być może, głośno kibicował, więc żebyśmy się nie wystraszyli.

Joan dzwoni do siebie do domu. Mario obiecuje zabrać dzieci na obiad do McDonalda. Joan przyrządza na chybcika hot-dogi i sałatkę z kartofli. Świetnie się bawimy oglądając mecz. Tato wycisza fonię i naśladuje sprawozdawcę radiowego w dawnym stylu, relacjonującego mecz baseballowy ze wszystkimi detalami: początek meczu, oczekiwanie na sygnał - nawet to, co dzieje się poza boiskiem. Joan i ja zaśmiewamy się do rozpuku, ale Mama siedzi cicho. Boi się go. Zbyt długo go nie było i zbyt gwałtownie wrócił. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

Rozdział 17

Po raz pierwszy rejestrujemy ten odgłos na Rozjeździe Pensylwańskim. Z początku myślę, że zatarły się biegi albo spadł poziom płynu przewodzącego. Tato każe mi przerzucić na dwójkę, potem na jedynkę. Na wszystkich biegach odgłos jest ten sam. Tato jest zdania, że to przekładnia. Skąd on, do diabła, wie takie rzeczy? Jak na mechanika, jest całkiem niezłym malarzem. Ale co to jeszcze może być?

- Bill, trzymaj go na dwójce, dowleczemy się jakoś do najbliższego warsztatu.

Przez następne piętnaście mil czołgam się równo dwadzieścia pięć na godzinę. Zgrzyty są coraz głośniejsze, hałasujemy jak betoniarka. Tato, podminowany jak kocica, nasłuchuje, otwiera okno, wystawia głowę na zewnątrz, przykłada ucho do osłony skrzyni biegów. Przełazi nawet na tylne siedzenie, podnosi je do góry i wtyka głowę pod spód.

Zastanawiam się, czy nie byłoby roztropniej wezwać wóz techniczny z holem. Przecież i tak za wszystko płaci ten cały Scarlietti, któremu mamy dostarczyć samochód.

Wleczemy się zrywami do warsztatu, czyniąc taki harmider, że wszystko staje w miejscu. Zawsze jest śmiesznie, jak się rozkraczy na szosie taka landara, a nasze pudło, sądząc po odgłosach, jest już istną kołatką śmierci.

Tato idzie szukać mechanika. Boję się zgasić silnik, ale trzymam go na jałowym biegu, żeby stłumić hałas. Tato wraca z mechanikiem. Sygnalizują mi rękami, żebym przejechał na kanał. Kiedy wrzucam jedynkę i ruszam, odgłos jest taki, jakby za moment miało odpaść podwozie. Może trzeba będzie zadzwonić do pana Scarliettiego z informacją, żeby położył krzyżyk na tej kupie złomu. Tylko że jak to zrobimy, pan Scarlietti może nasłać kogoś, kto położy krzyżyk na nas.

Wysiadam, mechanik wciska guzik hydraulicznego podnośnika. Siup - do góry - jak słoń w windzie. Mechanik kręci głową.

- Sądząc po odgłosach, przekładnię diabli wzięli. Módlcie się tylko, żeby to było wszystko.

Kiedy samochód jest już w górze, mechanik zatrzymuje lewar i włazi pod spód. Wędruje wzdłuż podwozia, naciskając po drodze różne części; kręci przy tym głową i mamrocze. Jestem przygotowany na najgorsze. Nawet jeżeli to nie jest nic poważnego, ten błazen zedrze z nas majątek. Widząc nas w takiej karecie, myśli na pewno, że jesteśmy milionerami na wakacjach.

Bierze klucz francuski. Lekarze i mechanicy lubią zachowywać się tajemniczo. Odkręca cztery śruby i zaczyna się mocować z wałem napędowym. Udaje mu się go zdjąć, opuszcza na ziemię, przeciera ręką szczelinę dyferencjału i demonstruje nam dłoń gęsto oblepioną drobnymi, srebrzystymi opiłkami metalu. Następnie wyciąga resztki wału, taszczy go na warsztat i odbija przegub uniwersalny, całkiem zapieczony, wybłyszczony i ogólnie rzecz biorąc do niczego. Przeciera go naoliwioną szmatą, która mu wystawała z tylnej kieszeni.

- No, tak to wygląda. Daleko nie zajedzie.

Obaj z Tatą wybałuszamy oczy. Przegub przypomina niesamowity kawał rzeźby w metalu, jest jak gigantyczna para dziecięcych portek, złączonych kulistą soczewką.

Po krótkich targach, ustalamy koszt naprawy na sto pięćdziesiąt dolców. Facet musi kupić nowy przegub w New Stanton. Co prawda miejsce na rozjeździe, w którym właśnie jesteśmy, nosi nazwę New Stanton, ale do miasta New Stanton jest stąd prawie dziesięć mil. Nie mamy innego wyjścia.

Idziemy do hotelu przy warsztacie i przez pół godziny usiłujemy się dodzwonić do właściciela samochodu, ale nikt nie odpowiada. Mechanikowi musimy dać odpowiedź już, żeby jeszcze dzisiaj zdążył zakupić część. Tato idzie do niego i mówi, żeby się brał do naprawy; musimy ryzykować.

Następny motel w stylu kolonialnym: znów cegła i białe drewniane kolumny. Przy hotelu działa restauracja. Mechanik mówi, że nie ma siły, żeby skończył wcześniej niż jutro rano.

- Pójdę się dowiedzieć o ceny, Bill. Coś mi się zdaje, że czeka nas kosztowna noc. Ty tu uważaj, jak rozbierają to pudło, żebyśmy na drugi raz mogli zaoszczędzić trochę grosza.

Wracam do warsztatu i przysiadam na starej puszce po oleju. Dwóch mechaników, mniej więcej w moim wieku, odkręca pozostałe śruby. Czyszczą i naoliwiają osadę wału napędowego pod poprzeczkę i przegub.

Wraca Tato. Wynajął pokój: dwadzieścia pięć dolców. Siedzimy w warsztacie, przyglądamy się naprawie i sam nie wiem, kiedy Tato zaczyna swoje.

Najpierw oświadcza coś w tym stylu, że bardzo się cieszy, że nie jest mechanikiem. Uwaga brzmi dość niewinnie, ale we mnie już budzą się podejrzenia. Tato stoi oparty o ścianę, ja dalej siedzę na bębnie olejowym. Przed nami uwijają się ci dwaj młodzi faceci. To cholernie paprackie zajęcie. Olej kapie, okruchy z podwozia sypią im się w oczy.

- Ale przynajmniej robisz coś pożytecznego i dobrze ci płacą, Tato.

To czysta przekora z mojej strony, nigdy bym nie został me chanikiem, nie mam drygu do tych rzeczy. Wystarczy popatrzeć, jak pracuje prawdziwy mechanik, i już się to wie.

- Założę się, że żaden z tych facetów nie zarabia więcej niż siedem dolców za godzinę. Czterdzieści godzin tygodniowo, pięćdziesiąt tygodni w roku - razem niecałe piętnaście tysięcy, po odliczeniu podatków i ubezpieczenia, na rękę najwyżej dwanaście. Za te pieniądze nie utrzymasz dzisiaj rodziny w Ameryce, Bill. Dopóki człowiek nie otworzy własnego warsztatu, niewielkie ma szansę, żeby się dorobić. Kiedy otworzy - z miejsca staje się biznesmenem. Wiecznie chodzisz brudny: i to jest taki brud, który się nigdy nie domyje, tkwi na zawsze w załomkach skóry i pod paznokciami, włazi w pory skóry. Palce i dłonie masz wiecznie poodbijane, a wieczorem, powiadam ci, walisz się z nóg. Mój Tato, kiedy pracował w General Electric, wracał do domu wieczorami brudny jak świnia i kompletnie pijany ze zmęczenia.

Stało się. Czy ja coś zrobiłem albo powiedziałem, żeby uruchomić ten temat? Chyba nie. Może on się od początku czaił wewnętrznie na stosowny moment.

- Bill, co zamierzasz robić we Francji w tym roku? No to jesteśmy w domu. OK.

- No, wiesz, Tato, będę jeździł do domu, wykończę go, potem coś popiszę...

- Z czego będziesz żył? Masz odłożone pieniądze? Mówię mu o tych stu pięćdziesięciu.

- To jest nic, Bill: sto pięćdziesiąt dolarów nie wystarczy nawet na dwa tygodnie.

Więc mówię, że może przyjedzie Debby.

Milczy dłuższą chwilę. Koncentrujemy się na obserwowaniu nieszczęsnych mechaników, którzy czyszczą ręce z tego, co zdarli z przekładni. Tato nie jest zachwycony tym, co powiedziałem, ale nie wie, z której strony ugryźć problem.

- Rany Boskie, Bill, za sto pięćdziesiąt dolarów na dwoje możecie najwyżej umrzeć z głodu.

- Jej ojciec trochę dołoży. Nie jest szczęśliwy, że Debby rzuca szkołę, ale forsę jej da, żeby nie głodowała.

Tato znowu milknie. Mam nadzieję, że to koniec rozmowy. Jeżeli nie zamierza proponować mi forsy, ja na pewno nie będę żebrał. Chwilę gapimy się w milczeniu, po czym on znów się odzywa. Z żalem, ale stanowczo, jakby wyciągał drzazgę spod paznokcia.

- Widzisz, Bill, masz dziewiętnaście lat, jesteś pełnoletni, wobec czego będziesz musiał znaleźć jakiś sposób zarobkowania we Francji. Nie wiem, co ci poradzić. Bez papierów trudno jest znaleźć we Francji jakąkolwiek robotę. Naprawdę sobie nie wyobrażam, jak ty to zrobisz.

- Jeden facet z Huerz, który najmuje ludzi do zbierania buraków, obiecał, że mnie weźmie. Mogę zarobić cztery tysiące franków w dwa miesiące. Razem z pieniędzmi Debby, starczy nam na życie.

Na tym powinienem był poprzestać, ale nieopatrznie brnę dalej:

- Oczywiście, nie zaszkodziłoby na dodatek to, co mi przysyłałeś do Santa Cruz. Będę doskonalił warsztat pisarski; pisanie to szacowne zajęcie.

Podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy.

- Bill, to chyba nie jest zdrowo siedzieć z założonymi rękami, czekając, aż pieniądze same przyjdą. Mamy przyjaciół, którzy całe życie przebąblowali na forsie rodziców. Zdeprawowało ich to do cna. Skutkiem jest dziecinne uzależnienie połączone z wyzywającą ignorancją. Nigdy nie weszli na dobre w świat realny.

Na tym kończymy. Nie dam się obrażać.

Kiedy zamykają warsztat, jest prawie szósta. Zjadamy kolację po paskarskich cenach i walimy na górę, do pokoju. Słychać tylko samochody z wizgiem prujące przez rozjazd. Oglądamy film pod tytułem “Jak dzisiaj wtorek, to jesteśmy w Amsterdamie", czy coś takiego. O wycieczce po Europie. Nawet śmieszny. Po ciężkiej rozmowie dobrze się trochę pośmiać.

Film kończy się po jedenastej i obaj padamy jak podcięci. Ten *Sturm und Drang* wypompował mnie do cna. Światło zgaszone, głos Taty dobiega znikąd:

- Słuchaj, Bill, nie gniewasz się, mam nadzieję, o tę forsę?

Milknie. Ja nic nie mówię. Niech myśli, że śpię. Nie chcę mi się więcej gadać.

- Martwię się, Bill, żebyś nie poszedł na łatwiznę. To teraz takie modne: “Nie przejmuj się", “spokojnie", “luz-blues". Bardzo bym nie chciał, żebyś został dyletantem dwudziestego wieku. Dla mnie nie ma gorszego wroga. Myślę, że poradziłbym sobie i z komunistami - czy to Ruscy, czy Chińczycy, czy Kuba - i z faszystami, i z kalwinistami, i z baptystami, i z katolikami, i z Ku Klux Klanem - z każdą szeregową grupą dogmatyków. Ale wrogiem rzeczywistym, niebezpiecznym, są dla mnie zblazowani, uprzywilejowani dyletanci, którzy zdominowali i zablokowali machinę twórczości i wynalazczości na długie stulecia.

Ciekawe, czy spodziewa się, że coś powiem. Lepiej ugryzę się w język.

- Jeszcze coś ci powiem, Bill. Trzeba by położyć w naszym młynie nowy dach. Gdybyście razem z Debby zdjęli stare dachówki, ponaprawiali krokwie w przegniłych miejscach i położyli dachówki z powrotem na odwrotną stronę, zapłaciłbym wam pięćset dolarów, plus materiały. Jeżeli weźmiecie się ostro do roboty, nie powinno wam to zająć wiele czasu, a tego rodzaju zajęcie może stanowić miłą przerwę w pisaniu. Introspekcja bywa bardziej męcząca, niż ci się zdaje: łażenie po dachu to wobec niej kaszka z mleczkiem. W ten sposób przebiedujecie zimę, a ty zgromadzisz może coś niecoś do rozesłania po wydawnictwach.

Taki numer! Wie, że panicznie boję się wysokości. Pewnie natychmiast bym zleciał z tego zbutwiałego, spadzistego dachu, i skręcił sobie kark. Nic nie mówię. On gada dalej.

- Jeszcze coś, Bill. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie kłuł wszystkich dookoła w oczy tym, że ty i Debby jesteście razem. Nie trzeba gwałcić poczucia stosowności, dobra?

Naturalnie odpowiadam, że dobra. Teraz już wie, że nie spałem.

Już mi się zdaje, że mogę się wyłączyć, ale Tato odwołuje mnie z samej krawędzi snu:

- Bill?

Nie odpowiadam.

- Bill, te historie z rodzicami były dla mnie bardzo ciężką przeprawą. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przez ostatnie trzy, cztery miesiące właściwie nie wychodziłem z szoku.

Czekam, co będzie dalej.

- Bardzo długo to trwało, zwłaszcza że ja nie bardzo sobie radzę z tego typu sytuacjami. Daruj mi, że byłem dla ciebie zbyt surowy.

Dalej milczę, mając nadzieję, że wreszcie skończył.

- Paskudnie się czuję z racji tego, że zostawiłem rodziców samych. Ale nie widzę już wystarczającego usprawiedliwienia dla dalszej rozłąki z twoją matką i Jackym. Im też było ciężko. Muszę wracać do domu.

Cholera, co ja mam mu powiedzieć? Twardo udaję, że śpię. Leżę cicho i nasłuchuję jego głosu w ciemności. Nie śpi, poznaję to po oddechu. Nie ruszam się, nadstawiam ucha. Zastanawiam się, co to właściwie znaczy - żyć?

Rozdział 18

Przez cały następny dzień Tato zmienia stroje. Program Dinah Shore ogląda w kostiumie tanecznym. Do krzątaniny po szklarni zakłada strój cyklistyczno-wrotkarski. Co więcej, po każdym przebraniu starannie wiesza stroje z powrotem w szafie. Często zachodzi do sypialni, tylko po to, żeby zerknąć do szafy.

W dwa dni później namawia nas wszystkich na wypad do Armii Zbawienia.

Porobił jakieś notatki na luźnych fiszkach przypiętych klipsami do tabliczki. Pokazuje mi je tuż przed wyjściem, kiedy Mama jest w łazience.

Każda kartka ma nagłówek, wypisany drukowanymi literami z kropką nad “I". Są to jego pomysły nowych strojów. Jest “Strój idącego do spowiedzi", “Strój spożywającego podwieczorek z królową", “Strój joggera". Jest także strój zwany “Do śpiewu, tańca i różnych innych wygłupów". Poniżej figurują opisy poszczególnych strojów. Na “Strój do spowiedzi" składają się: czarna koszula, czarne spodnie i peleryna. Dopisek głosi: “Coś w stylu Draculi". Trudno powiedzieć, czy to wszystko żarty, czy na poważnie.

- Nie pokazywałbym tych kartek Mamie, Tato.

- Jasne, że nie, John. Chociaż Bess też zawsze lubiła sobie pożartować. Ostatnio było tu u nas za poważnie. Rzecz w tym, że zaczęliśmy się nawzajem traktować jak staruszkowie. Życie stało się nudne, a myśmy tego nawet nie zauważyli.

Patrzy na mnie, w jego oczach falują świetlne pasma: wpatrują się we mnie z powagą, ale na granicy tego swojego nowego, nieustającego śmiechu.

- Chyba masz rację, Tato. Pamiętaj tylko, że Mama nie jest całkiem zdrowa. Przeszła dwa poważne zawały i trzeba z nią postępować ostrożnie.

Kiwa głową i spuszcza wzrok.

- Słusznie, John. Będziemy ostrożni.

Milknie. Mama zbliża się do nas przez hall.

- Ale coś zdziałamy, mówię ci.

Tato wstaje o lasce i idziemy do samochodu. Wóz już stoi na podjeździe, grzeje się. Tato pomaga Mamie wsiąść na tylne siedzenie. Tak naprawdę niewiele może pomóc, sam ledwo stoi, ale wsuwa rękę pod jej ramię, a potem pomaga ustawić stopy na podłodze. Mamę to irytuje: nie ma dla niej nic gorszego, niż czuć się jak inwalidka. Ja się nie mieszam, siadam za kierownicą. Tato pakuje się koło mnie, z przodu.

- Nie gniewaj się, Bess, że siadam tutaj, ale chciałbym się przekonać, czy obudzi się we mnie z powrotem żyłka kierowcy. Jak już całkiem stanę na nogi, chcę pójść na ten egzamin. Fajnie byłoby znowu prowadzić: wpadłby człowiek do kręgielni, tu, ówdzie. Wyciąga notatki.

- Rany Julek, o tym jednym zapomniałem. Muszę koniecznie zdobyć strój do gry w kręgle, coś w czarno-białe pasy na górę, do tego spodnie - jak ważna osobistość na meczu baseballowym.

Notuje. Zerkam w lusterko, odchylam się trochę i łapię twarz Mamy. Mama nie gra:

przecież nikt na nią teraz nie patrzy. Twarz ma zaciętą. Jest zmartwiona, przerażona, niezadowolona. Nie wie, co mówić, co robić.

Tato obraca się bokiem, wciągając kolano na fotel, jak to ma we zwyczaju. Trudno pogodzić niektóre jego gesty z wiekiem i kondycją fizyczną.

- Wiesz co, Bess, ty też powinnaś sobie skombinować parę strojów. Nie chodzi o nowe szmatki, tylko o prawdziwe kostiumy. Może perukę - mają tam sporo świetnych peruk. Sam chcę kilka przymierzyć. Ostatnim razem za bardzo się wstydziłem, ale dzisiaj, we dwójkę, mielibyśmy śmiechu co niemiara.

Nie patrzę do tyłu. Zapada długa cisza. Muszę kategorycznie pomówić z doktorem Coe albo przynajmniej odbyć dłuższą rozmowę z Mamą. Mama jest śmiertelnie przerażona. Nawet przy idealnym stanie zdrowia nie umiałaby sobie z tym poradzić.

- Dobrze, Jack, pójdę z tobą, tylko pamiętaj, że, bądź co bądź, jesteśmy już oboje po siedemdziesiątce.

Ta to podrywa się gwałtownie na oba kolana i przechyla przez oparcie fotela. Wygląda, jakby całkiem zapomniał, że są na świecie rzeczy, których dorosłym robić nie wypada. Może to się częściowo bierze z jego obecnej lekkości i szczupłości; może w Tacie odżyły fizyczne doznania trzynasto-, czternastolatka.

- Jak Boga kocham, Bess, dla mnie ty cały czas jesteś dziewczyną. Nikt by ci nie dał nawet czterdziestki. Możesz nosić, co chcesz, i we wszystkim wyglądasz świetnie. Trzeba przestać myśleć, że z nas już staruszkowie, i nie przejmować się, co ludzie powiedzą. Przecież młodzi nas nie pytają, jak się mają ubierać, do jasnej cholery!

Zatkało nas, i mnie, i Mamę. Nie tyle to, co powiedział, nie tyle siła i młodzieńczość głosu, co ta “jasna cholera". Zerkam pospiesznie w lusterko. Mama wygląda nieźle, lepiej niż kiedy patrzyłem ostatnim razem. Komplement z ust mężczyzny, który nigdy nie prawi komplementów, całkiem ją rozbroił. Ma łzy w oczach. Czuję, że moja obecność tutaj jest zawadą. Z tego, co wiem, Tato przez ostatnich czternaście lat ani razu nie użył słowa “cholera", chyba że jako nazwy choroby. A teraz pewnie nawet nie zauważył, że mu się wyrwało.

Mama nagle postanawia, że czas zająć twarde stanowisko wobec “Bess". Może wydaje jej się, że skoro przyłapała Tatę na brzydkim słowie, to nadszedł stosowny moment.

- Jack, czy nie mógłbyś mnie z powrotem nazywać Bette? Wiesz, jak nie znoszę “Bess". Co się stało? Przecież odkąd sprowadziliśmy się do Kalifornii, zawsze mówiłeś Bette, a teraz, ni stąd, ni zowąd, znowu nazywasz mnie Bess.

Zapada długa cisza. Tato dalej klęczy w fotelu. Powadzę wóz przez Sepulveda Boulevard, w stronę Olympic.

- Widzisz, Bette, poślubiłem cię jako Bess i tamte imię zawsze mi się podobało. Rzadko się je słyszy: to jest mocne imię, takie jak ty. Za każdym razem, kiedy mówię Bette, boję się, że odpowie mi ktoś obcy.

Ukradkiem zerkam w lusterko. Mama też w nie patrzy, łapie mój wzrok. Moja rodzona matka, w lusterku, w którym widać tylko jej oczy, demonstruje całą gamę uczuć: przekazuje mi, że się boi, że nie rozumie, że nie wie, co ma robić. To się nazywa wyraziste

spojrzenie! Tato ciągnie swój wywód.

- Ale oczywiście, Bess, jeżeli wolisz być Bette, to w porządku. Będę się starał o tym pamiętać. Ja do ciebie Bette, a ty do mnie Jake. To mi się podoba! Brzmi jak imiona gangsterów z lat prohibicji albo handlarzy narkotyków. Fajnie! Bette i Jake! Mam prawo do imienia Jake. Może z powrotem zacznę palić: kupię parę tych małych cygar, które zawsze palił Edward G. Robinson.

Odwraca się do mnie.

- Myślisz, że w Armii Zbawienia znajdzie się jakiś stary melonik?

Patrzę na niego uważnie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zgrywa Makiawela. Nie, on się tylko wspaniale bawi. Spodobał mu się pomysł Bette i Jake'a - dwojga podejrzanych typów. Nie zdaje sobie sprawy jedynie z tego, że za jednym zamachem obnażył intencje Mamy. Nawet chyba nie wie, jak celnie zadziałała groźba o powrocie do palenia. Bawi się na całego. Demonstruje egocentryzm i zapał dwudziestolatka.

Przez resztę drogi do Armii Zbawienia Tato przerzuca fiszki i usiłuje zainteresować Mamę swoimi planami i kostiumami. Zwraca się do niej “Bette", a ilekroć Mama powie “Jack", poprawia ją cicho, ale stanowczo - “Jake".

Nie wiem, czy mam podzielać rozpacz Mamy, czy pękać ze śmiechu. Teraz już rozumiem, dlaczego Mama strawiła całe życie na zdobywaniu władzy nad ojcem. W młodości musiał być nie do odparcia. Nic dziwnego, że jego siostry ostrzegały Mamę przed małżeństwem. Tato jest gorszy niż wuj Orin, a nawet niż wuj Pete. Jego silne, diablikowate, rabelaisowskie *id* było przez trzydzieści czy czterdzieści lat skutecznie tłamszone. Co też mogło wysadzić korek z butelki?

W Armii Zbawienia nie pozwalam Tacie wejść do rupieciarni. Widzę, że Mama lada chwila wybuchnie: solidnie oberwała. Tato daje mi znaki zza jej pleców, żebym ją koniecznie poprowadził obok złotej kanapy. Pamiętał o niej cały czas. To bardzo do niego niepodobne: zwykle nie zwraca uwagi na meble stojące w domu i nie przywiązuje do nich żadnego znaczenia.

Powoli manewrujemy Mamę w pobliże kanapy. Jest ciągle zanadto zszokowana, żeby zwracać uwagę na otoczenie. Już prawie minęliśmy kanapę, kiedy Tato się zatrzymuje.

- Johnny, na pewno męczymy Mamę tym ciągłym dreptaniem. Siądźmy sobie tu, na tej sympatycznej kanapie, odpoczniemy chwilę.

I z tymi słowy zajmuje miejsce na końcu kanapy. Pomagam Mamie usiąść i sam siadam przy niej. Tato z władczą miłością gładzi meszek obicia. Mama zaciska zęby, wykończona nerwowo.

- Pół godziny przesiedzieliśmy w samochodzie. Czuję się świetnie.

Tato całuje ją lekko, ukradkiem, w szyję. Mama odwraca się szybko, czy nikt nie widział.

- Popatrz tylko na tę kanapę, Bette. Wiesz, że zawsze chciałem, żebyśmy właśnie taką mieli w salonie?

Mama patrzy, na czym siedzi. Z początku tylko po to, żeby dał jej spokój, ale po

chwili już uważniej, jak zawsze kiedy szacowała meble. Z wysiłkiem podnosi się na nogi. Ja dalej siedzę. Tato obserwuje rozwój sytuacji. To trochę jak obserwacja niezwykle rzadkiego ptaka, trzepoczącego się tuż nad sidłami. Mama obchodzi kanapę od tyłu, sprawdza wytrzymałość stelaża. Odnajduje kartkę z ceną, czyta.

- To chyba pomyłka, Jacky, tu jest napisane siedemdziesiąt pięć dolarów.

Obaj wstajemy, żeby spojrzeć na cenę. Tato ogląda ją uważnie, patrzy na mnie i uśmiecha się.

- Może to miało być siedemset pięćdziesiąt. Mnie ta kanapa wygląda na siedemset pięćdziesiąt. Może przez pomyłkę zgubili zero.

Mama obchodzi kanapę, po kolei podnosząc i oglądając od spodu wszystkie poduszki. Z poduszkami na oparciu robi to samo. Ani Tato, ani ja, nigdy byśmy o tym nie pomyśleli. Przecież w każdej poduszce mogła być dziura, a my kupilibyśmy kanapę jak stoi, z dziurami i Bóg wie, czym jeszcze. Mama nachyla się do mnie i mówi konspiracyjnym szeptem:

- Jacky, idź do tej tam czarnej i zapytaj, jakby nigdy nic, ile ta kanapa kosztuje. Tylko nie daj po sobie poznać, że jesteś zainteresowany kupnem. - Pochyla się i zaczyna obwąchiwać kanapę. Nie wiem, co chce wywęszyć. Idę spytać kobietę za kontuarem o cenę; podchodzi ze mną do kanapy i ogląda metkę.

- Tak, proszę pani, siedemdziesiąt pięć dolarów. To piękna kanapa, prawda?

Mama oddaje się teraz pełnym namaszczenia rozważaniom. Trzeba wziąć pod uwagę każdy aspekt salonu. Do dywanu pasuje - dobrze; do zasłon - pasuje, stelaż jest z ciemnego drewna, w stylu mebli stołowych Chippendale'a. Kiedy dochodzi do lamp, Tato wymyka się chyłkiem. Jest już pewien, że Mama kupi kanapę. Ta część jego misji została spełniona. Zostaję z Mamą. Kiedy już Tato znajdzie spodnie, pójdę mu pomóc dobrać koszulę.

Mama zastanawia się teraz, co zrobić z wersalką, która stoi w salonie.

- Może wzięliby ją Jeffowie? Urządzają się właśnie, a nie mają za dużo gotówki.

Mama chrząka z zadowoleniem, uśmiecha się i kiwa głową. Załatwione. Co dalej?

- Jak my to przewieziemy do domu, Jacky? Mają tu jakiś transport? Idę zapytać. Owszem, ale to kosztuje dwadzieścia dolarów.

- Nic się nie martw, Mamo, ja to zrobię.

- Porysujesz dach, a wiesz, jak tatuś uważa na samochód.

Obiecuję jej, że umieszczę kanapę na dachu do góry nogami, pojedziemy okrężną drogą, pomału, dadzą mi tu liny do przymocowania, ktoś mi pomoże władować kanapę na dach; nie, dach się na pewno nie zapadnie, poduszki damy od środka, nie, nie zanosi się na deszcz, zmieścimy się na pewno, przy wyładunku pomoże sąsiad albo Billy, nic się nie martw, mam przy sobie książeczkę czekową. Uff. To już wszystkie pytania.

Twarz Mamy rozjaśnia się w uśmiechu. Jak miło widzieć ją uśmiechniętą. Wyszło szydło z worka. Od dziesięciu lat marzyła o zamianie tej wielkiej, starej wersalki, tylko nie mogła znaleźć nic, co by jej przypadło do gustu. Tatuś zawsze żałował pieniędzy na meble. Mama siada raz jeszcze, rozpościera ramiona, gładzi obicie.

- Śliczna, prawda, Jacky?

Przyznaję jej rację. Kanapa jest naprawdę piękna - i pięknie jest widzieć uśmiechniętą

twarz Mamy. Mama pochyla się i spontanicznie całuje mnie w policzek.

- Jaki z ciebie dobry chłopak, Jacky. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. Cała Mama. Lęk, niezadowolenie, niepewność - wszystko poszło w niepamięć. Zdaje się, że z radości zapomniała nawet o swoim sercu. Jestem szczęśliwy, że się udało. Opada mnie tylko irracjonalny strach, że przy ładowaniu kanapy odkryję w niej jakieś istotne wady - na przykład sterczące sprężyny, pęknięcie ramy albo brak nogi. Sprawdzam gorączkowo, ale chyba wszystko jest w porządku. Idę wypisać czek. Pozwalają mi podjechać samochodem pod same drzwi. Mamie każę pójść z Tatą, dopóki jestem tu zajęty.

Pakujemy kanapę na dach i mocujemy linami. Kawał mebla, nie ma co. Pięć poduch mieści się do bagażnika, a trzy układam w stertę na tylnym siedzeniu. Cholerna kanapa wystaje z przodu i z tyłu po parę stóp poza maskę. Będę się trzymał bocznych uliczek. Jak nas zatrzyma policja, powiem, że Mama jest chora na serce i musimy zawsze wozić kanapę, na wypadek, gdyby jej się pogorszyło i musiała się położyć.

Zanim wracam do działu ubrań, mija pół godziny. Już od wejścia słyszę ich śmiechy. Mama pozwala sobie na śmiech, który zawsze nazywałem wulgarnym: głęboki, gardłowy, soczysty - śmiech, jaki człowiek spodziewa się usłyszeć z okna burdelu w Nowym Orleanie. Śmiech, który następuje po opowiedzeniu świńskiego dowcipu.

Idę do nich. Porozkładali na kontuarze najcudaczniejsze stroje. Zestawiają pary kostiumów pod hasłem “on i ona". Mama temperuje co dziksze impulsy Taty, ale nie zanadto. Wybrali już stroje do spowiedzi. Jeżeli je kiedyś założą, będą wyglądali jak w drodze na publiczną egzekucję. Tato ma wyobraźnię gotycką, w stylu Hawthorne'a albo Poe'a. Wybrali też szereg strojów lekkich, pastelowych - wielkanocnych. Mama zaraziła się entuzjazmem i dyryguje doborem strojów do gry w kręgle, dla niej i dla niego. Zwraca się do mnie scenicznym szeptem:

- W sumie, Jacky, będzie nas to kosztować nie więcej niż dwadzieścia pięć dolarów. Sam materiał jest tyle wart, a Tatuś tak wspaniale się bawi, że nie chcę mu psuć nastroju.

Ona też bawi się nieźle. We trójkę dobieramy sobie kostiumy na podwieczorek u królowej. Zaprosimy Joan i będziemy udawać, że to ona jest królową. Dodajemy do strojów nowe elementy, kapelusze, buty. Zaśmiewamy się do rozpuku na myśl o reakcji Joan.

Zaczynam mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży, że Mama polubi nowego, “szurniętego" męża.

Nazajutrz dzwoni Joan, mówiąc, że wpadnie po południu. Wyciągamy najlepszy serwis i srebra. Stół w jadalni przykrywamy białym obrusem, ręcznie haftowanym. Ze złotego papieru, wygrzebanego z pudła z dekoracjami na choinkę, robię królewską koronę. Nowa kanapa już stoi na miejscu i prezentuje się okazale. Starą wersalkę wyniosłem na razie do sypialni od ogrodu.

Kanapa sprawia, że cały pokój rozświetla się na złoto. Cieszymy się wszyscy jak dzieci. Do spółki z Tatą odwodzimy Mamę od pomysłu przypięcia na oparciu i bokach kanapy małych szydełkowanych serweteczek.

- Pal diabli, Bette, jak się zabrudzi, kupimy sobie nową.

Tato ćwiczy nowo nabytą rozrzutność i wzbogacone słownictwo.

Śmiejąc się i wygłupiając, zakładamy nowe kostiumy. Gdyby tak mogło być zawsze, przeniósłbym się z powrotem do Ameryki. Tato zakłada dopasowaną jasnoniebieską kamizelkę z aksamitu, zapinaną na srebrne guziki, i szare flanelowe spodnie. Koszula, rzecz jasna, niebieska ze srebrną nitką. Pod kołnierzyk Tato wkłada ciemnoniebieski fular, który Mama zawiązuje lekko w luźny węzeł. Ze swoją ciemną brodą, Tato wygląda w tym przebraniu jak jeden z trzech muszkieterów.

Mama ubrała się w bladożółty kostium typu piżama. Do tego złoty naszyjnik i wisiorek. Na głowie ma kasztanowatoblond perukę z loczkami po bokach. Peruka pasuje na nią idealnie. Starannie chowamy pod spód wszystkie włosy Mamy i pięknie ją czeszemy. W czesaniu pomaga Tato i przypominają mi się czasy dzieciństwa, kiedy strzygł nas w piwnicy. Tato przestępuje z podziwu z nogi na nogę.

- Jak Boga kocham, Bette, jakaś ty piękna!

Mama siedzi przed lustrem toaletki, uśmiecha się do siebie, dyryguje czesaniem peruki. Kłopot w tym, że ma czarne brwi, kruczoczarne, przetykane siwizną. Mama rozwiązuje ten problem, wcierając w brwi puder w kremie, dzięki czemu stają się brązowe.

Ja ubieram się w jaskrawoczerwony żakiet, kupiony za trzy dolary, ze spodniami w czerwone i białe prążki. Niezła z nas trupa. Wyskakuję do Lucky Market po lody. Mama jest zbulwersowana, że idę po zakupy w stroju na podwieczorek z królową.

- Zamkną cię, Johnny, zobaczysz!

Ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. W końcu jesteśmy w Kalifornii, krainie szajbusów. Kupuję lody, precelki i rożki cukrowe. Rozglądam się jeszcze za Susłem i Zwariowanym Kapelusznikiem, żeby ich też zaprosić na podwieczorek z królową.

W końcu, po nieznośnych oczekiwaniach i wyglądaniu na każdy przejeżdżający samochód, słyszymy Joan. Witamy ją w drzwiach, dygając i kłaniając się nisko. Obchodzimy ją dookoła. Joan śmieje się histerycznie, całkiem nie po królewsku, ale w końcu wchodzi w rolę i demonstruje stosowną wyniosłość, kiedy eskortujemy ją do tronu u szczytu stołu i koronujemy. Joan dopiero wtedy dostrzega nową kanapę i okazuje królewski entuzjazm, siadając na niej i rozkładając ramiona, a my otaczamy ją kołem. Z łaskawą wyniosłością podziwia nasze stroje, tłumiąc przy tym chichot, skłania głowę i uśmiecha się na “Wasza wysokość". Zupełnie, jakbyśmy urządzali bal, na którym podaje się pączki z błota upieczone w piaskownicy, i zaprosili rodziców.

Dochodzę do wniosku, że wszystko układa się nieźle i że można na trochę zostawić rodziców samych. Chciałbym pobyć u Marty.

Marty mieszka w pobliżu Muzeum Okręgowego w Los Angeles, więc przy okazji zwiedzamy muzeum. Wspaniale jest po dłuższej przerwie oglądać obrazy: człowiek łatwo zapomina, jakie życie jest ciekawe, kiedy przytłoczą go drobne, fasadowe kłopoty. W Sali Impresjonistów czuję, jak wracają mi siły.

Po powrocie Gary'ego z pracy idziemy wszyscy do restauracji koreańskiej i przy jedzeniu wymyślamy imiona dla dziecka. Na razie chłopiec ma się nazywać Will, a

dziewczynka - Nicole. Składam pobieżne sprawozdanie z sytuacji u rodziców. Marty i Gary pilnie poszukują nowego mieszkania. Warunki wynajmu obecnego wykluczają dzieci i zwierzęta domowe. To bardzo cicha okolica, zamieszkała przez starych ludzi.

Wspominam im o Venice; dziecku byłoby bardzo dobrze blisko plaży. Odnoszą się do tego z entuzjazmem. Męczy ich tutejszy smog, którego nad oceanem praktycznie nie ma. Postanawiamy, że nazajutrz po południu Marty pojedzie ze mną rozejrzeć się w Venice. Dzwonię do domu: wszystko gra. Mówię rodzicom, że zanocuję u Marty i Gary'ego. Zasypiam na kanapie w salonie z nadzieją, że nic złego się nie zdarzy.

Rankiem wpadam na chwilę do rodziców. Dom jest jak odmieniony. Tato wychodzi mi na spotkanie, obejmuje mnie lekko i pociera brodą o moją brodę. Mama nadstawia buzię w ciup do całusa. W dalszym ciągu widać po niej, że się boi, ale jest zarazem ożywiona: szepcze, że koniecznie musi ze mną pomówić. Tato wychodzi do szklarni popodlewać i popracować przy roślinach, a ja z Mamą wycofujemy się do dużej sypialni na tyłach, która teraz, dopóki Tato cierpi jeszcze na odleżyny, jest sypialnią Mamy. Mama siada na łóżku.

- Jacky, z tym koniecznie trzeba coś zrobić. Niech z nim porozmawia ktoś rozsądny, może doktor Ethridge. On zbzikował. Słowo ci daję, że zbzikował. Jest gorszy od ciebie. Wiesz, co on robił dzisiaj rano, kiedy się obudziłam?

Odczekuje chwilę, jakby naprawdę chciała, żebym zgadywał.

- On teraz dzień w dzień wstaje o siódmej i wyśpiewuje te swoje wariackie piosenki. Dla mnie to zawsze była najlepsza część dnia, ale teraz przestałam wstawać tak wcześnie. Sam sobie wyciąga ubranie z szafy i szuflad, idzie do łazienki, bierze prysznic. Wyobrażasz sobie - siedemdziesięciotrzyletni mężczyzna, który regularnie o siódmej rano bierze prysznic? Jeszcze się kiedyś poślizgnie i zabije.

Jaką ona ma wyrazistą twarz: żal, ciekawość, pragnienie, przelotny uśmieszek. Patrzę i czekam.

- No, a dzisiaj rano, Jacky, skończył się kąpać i przez dobrą chwilę nic nie słyszę, więc idę sprawdzić, co robi. Wiesz, nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze nie widziałam, żeby się ktoś tak zmienił, w takim tempie. Z początku szukam go po całym domu, potem wyglądam oknem, czy nie poszedł do szklarni. I nagle widzę go na patio, jak powłócząc nogami okrąża od zewnątrz ceglany murek, odziany w ten idiotyczny dres i niebieskie tenisówki w paski. Zdaje mi się, że wyłazi z niego indiańska krew: odbywał chyba jakiś taniec wojenny, tylko czekałam, aż przyłoży rękę do ust i wrzaśnie “Juhuuu!"

W tym miejscu Mama nie potrafi, mimo wszystko, opanować uśmiechu. Kładzie dłoń na mojej dłoni, spoczywającej na łóżku.

- Wiesz, Jack, ja się go boję. Jeszcze mnie kiedyś oskalpuje! Nie wiedziałam, czy dzwonić po ciebie, czy nie. W końcu otworzyłam drzwi i pytam, jak najgrzeczniej: “Co ty tam robisz, Jack?" A ten się uśmiecha, pot spływa mu po twarzy, sapie jak parowóz i mówi: “Jake, zapomniałaś, Bette? Jake". Wyrzuca ramiona nad głowę. “To tylko mała gimnastyka, dochodzę do formy, uznałem, że będę biegał tutaj, żeby nie przeszkadzać sąsiadom. Ale jutro wyjdę tam, na trawę. Ten beton jest nieznośny i nielitościwy dla kolan". Przyznasz, Jacky, że

to śmieszne. Mówi tak do mnie nie przerywając swojego dreptania, cały czas szura w kółko. Ledwie podnosi stopy nad ziemię, ale jest święcie przekonany, że uprawia jogging. A tuż przedtem, pamiętaj, brał prysznic. Sam widzisz, Jacky: czy człowiek zdrowy na umyśle uprawiałby biegi po prysznicu?

Staram się zachować powagę. Przyrzekam, że pomówię z doktorem Chadem.

- Jeszcze coś, Jacky...

Mama rozgląda się, jakby sprawdzała, czy przypadkiem nie jest obserwowana przez CIA albo KGB.

- On w nocy przychodzi do mnie do łóżka. Nie daje mi chwili spokoju! Męczy mnie całe noce. Zawsze miał spore potrzeby seksualne, ale to już istne wariactwo! Bez przerwy chciałby się pieścić, nawet wczoraj po południu, tu, na patio - a ja po dwóch zawałach!

Nie wytrzymuje, parska śmiechem.

- Nikt by nie uwierzył, że ten człowiek ma siedemdziesiąt trzy lata i parę tygodni temu stał nad grobem. Może jemu się coś pomieszało w hormonach, Jacky. Musisz z kimś porozmawiać, przecież on mnie zamęczy!

Słyszymy Tatę, jak śpiewając nadchodzi przez patio.

- Już nam deszczyk nie popada

Nie popada, nie!

Jak umyję sobie szyję,

Gdy nie pada, nie?

To jedna z jego ukochanych piosenek. Inna piosenka, od której biedna Mama zaczyna chodzić po ścianie, brzmi tak:

- Zamkniesz drzwi

- To wlezę ci przez okno.

Zamkniesz okno

- wlezę ci przez drzwi.

Śpiewa się to na okrągło, różnymi głosami, w różnych intonacjach i gwarach, raz głośno, raz cicho, z lekkim poświstywaniem między zwrotkami. Tato wchodzi do sieni bocznymi drzwiami. Idzie do łazienki, znów bierze prysznic.

Czekamy na niego z Mamą w salonie, niewiele przy tym rozmawiając. Kiedy wychodzi z łazienki w stroju “artysty-malarza na emeryturze", wygląda całkiem nieszkodliwie.

- Wiesz co, John, skoro już tu jesteś, mógłbyś udzielić mi lekcji prowadzenia samochodu. Czuję, że raz-dwa zacznę na nowo jeździć.

Mama rzuca mi błagalne spojrzenie.

- Ani mi się waż, Jacky! Nie mam zamiaru z nim jeździć. Już przedtem jeździł za szybko, a co by było teraz - boję się pomyśleć.

Tato podchodzi do niej.

- Niech cię o to śliczna główka nie boli, Bette: kiedy za kółkiem siedzi stary Jake Tremont, jesteś bezpieczna jak we własnym łóżku. Będziemy sobie jeździć wolniutko, podziwiać krajobrazy. Obecny tu pan John pokazał mi drogę na plażę bez jednego czerwonego światła na trasie. Całkiem jak przejażdżka po wsi. Wyjeżdża się wprost na plażę, gdzie jest kupa miejsca do parkowania.

Całuje ją w kark i drugi raz w usta.

Całe szczęście, że nie wspomniał o motocyklu.

- Wiesz, Mamo, Tato ma rację. Powinniście częściej jeździć nad morze. Kiedy oboje poczujecie się lepiej, a ja już wyjadę, możecie zawsze wziąć taksówkę i przejechać się na plażę.

Tato kładzie się na podłodze przed telewizorem. Wyciąga się na brzuchu.

- Jack, na litość Boską, czego ty tam szukasz?

- Jake, Bette. Chciałem tylko sprawdzić, czy potrafiłbym jeszcze ćwiczyć pompki.

Stara się wypchnąć korpus do góry na słabych ramionach, ale nie daje rady. Wobec tego wygina się w pasie, unosząc tors i głowę aż do wyprostu ramion. I opuszcza się.

- To będą “pompki dziadka".

Pompuje tym sposobem kilka razy. Mama wychodzi do łazienki.

- Johnny - stęka Tata między jedną pompką a drugą. - Ja nie chcę jeździć nad morze taksówką; na pewno zawsze lądowalibyśmy w Santa Monica, a tam jest jak na wybiegu przed domem starców: ludzie ruszają się jak muchy w smole, bez celu łażą po sklepach albo czekają na kolejny posiłek. Co krok to bank albo gabinet lekarski. Ja bym chciał pojechać do Venice, tam, gdzie byliśmy we dwóch, pamiętasz, albo połazić po Molo Washingtona. Szczerze mówiąc, najchętniej wziąłbym ten twój motocykl, ale za stary jestem, bałbym się. Chętnie połowiłbym też ryby z molo. Kiedyś lubiłem chodzić na ryby. Sam nie wiem, kiedy przestałem robić to, co lubię.

Z wysiłkiem zbiera się z podłogi i opada na bujany fotel, podkulając nogę pod siebie.

- Powinniśmy jeszcze z Mamą zaznać trochę radości, póki czas. Gdybyśmy naprawdę poczuli się na siłach, bardzo bym chciał przejechać się do Filadelfii: zobaczyć stare śmiecie, rodzinę, znajomych. Nie było nam tam źle.

Mama wraca z łazienki: umalowała się, ale jest na granicy płaczu; w zagłębieniach pod oczami widać wilgoć. Namawiam ich na wspólną przejażdżkę, ja prowadzę.

Powoli turlamy się przez Cheyiot Hills, gdzie stoją piękne duże domy ze wspaniałymi ogrodami. To jest coś, co Mama uwielbia. Te domy ucieleśniają jej pojęcie godnego życia i Mama lubi sobie od czasu do czasu przypomnieć, że mieszka w pobliżu. Lubi też pośmiać się

z dziwactw architektonicznych. Wciąż powtarza, jak to dobrze mieć mały domek, w spokojnej okolicy, taki, o który człowiek sam może zadbać. Żałosne są te jej przeskoki z dumy w zawiść. Ale wiem, że to jej dobrze robi.

Tato znów usiadł z przodu i naśladuje ruchy moich rąk i nóg. Wciska nie istniejący hamulec i kręci wyimaginowaną kierownicą. Mama chichocze, krzywi się i mówi, żeby przestał pajacować. Ale jemu spodobało się błaznowanie dla niej. Przy automatycznym układzie kierowniczym, samochód właściwie prowadzi się sam. Tato na pewno dałby sobie radę jako kierowca. Po co miałby sobie zawracać głowę jakimiś egzaminami? Co mu zrobią, jak go złapią - wsadzą do więzienia?

Odwożę ich do domu i proponuję, żeby się zdrzemnęli. Mama jest nie w humorze. Szepcze mi do ucha:

- Każ mu iść do swojego pokoju, Jacky. Powiedz mu, że ja muszę odpocząć.

Jak ja mogę Tacie powiedzieć coś takiego? Delikatnie napomykam, że Mama jest zmęczona, powinna się spokojnie przespać.

- Ja się w ogóle nie kładę, Johnny. Wykopię dołek w podwórzu, wpuszczę tam starą puszkę po konserwach i trochę popukam w golfa. Zawsze chciałem grać w golfa, wiesz, John? Mam w garażu stary kij golfowy i kilka piłek. Wykopię dołek i zatknę w nim chorągiewkę. Nareszcie będę mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że dłubię w ziemi.

Nagle przypomina mi się jego grób.

Tato, chichocząc, schodzi po schodkach na patio, mija furtkę i wchodzi do ogrodu. Wskakuję w samochód i jadę z powrotem do Marty. Jest sobota, Marty ma wolne, więc możemy zapolować na nowy dom.

Ciąża Marty zaczyna być widoczna. Marty nadal szuka lekarza, który odebrałby poród metodą Leboyera - to ten Francuz, od narodzin bez gwałtu. Jak wyglądałby świat, gdyby wszyscy ludzie rodzili się w zminimalizowanym szoku, gdyby wkraczali w życie z uczuciem, że są tu oczekiwani i z pamięcią stanu prenatalnego? Może nie baliby się śmierci aż tak bardzo, gdyby pamiętali, jak to jest nie być jeszcze narodzonym. Mam głębokie przekonanie, że nieszczęścia tego świata biorą się w dużej mierze z lęku przed śmiercią.

Jedziemy samochodem rodziców: jest wygodniejszy od starej toyoty Marty. Jedziemy przez Wilshire do Santa Monica, i dalej na południe, w kierunku Venice. Wypatrujemy tablic “DO WYNAJĘCIA". Chcielibyśmy, jeżeli to będzie możliwe, uniknąć pośrednika. Za swoje obecne mieszkanie Marty płaci dwieście; są skłonni płacić do dwustu pięćdziesięciu, a nawet trzystu, jeżeli dom okaże się tego wart.

Po kilku rozmowach w domach nadal zamieszkałych przez obecnych lokatorów i po serii telefonów, pod którymi odzywają się pośrednicy, zaczynamy tracić nadzieję. Domy są albo za małe, albo bez podwórka, albo właściciele nie życzą sobie dzieci.

Około trzeciej namawiam Marty na szklankę wina i sery w restauracji Suzanne na deptaku. Marty tam nigdy nie była. Suzanne podchodzi do naszego stolika. Przypomina sobie jak tu malowałem, i siada z nami. Wina odmawia, ale wypija do towarzystwa filiżankę ziołowej herbaty. Opowiadam jej o naszych kłopotach. Bardzo się przejęła ciążą Marty.

Pyta Papa, pomywacza-transwestytę, czy Gerry Lynn spuściła już komuś swoją chatę. Pap nie wie, ale zna numer telefonu. Suzanne mówi, że sama zadzwoni.

Marty odwraca się do mnie.

- Jaka ona jest miła, Tato. Dlaczego tak się przejmuje, przecież nas wcale nie zna?

Przypomina mi się, co kiedyś powiedział Tato: prawie tymi samymi słowami.

Nadal mam mętlik w głowie. Nie umiem pogodzić postaci cichego, nieśmiałego człowieka, który tu ze mną kiedyś przyjechał na motocyklu, z człowiekiem-rośliną, balansującym na krawędzi życia w szpitalu, i z obecnym Jake'em, budującym jednoosobowe, jednodołkowe pole do gry w golfa.

Wraca Suzanne. Ma wspaniałe, opalone, lśniące ramiona i nogi, od góry jest lekko okryta cienką bawełnianą bluzką, bez stanika, do tego nosi zakładaną spódnicę, na nogach sandały. Ma wąskie stopy, z długimi palcami. Niektórzy naturyści, te wieczne dzieci, są jak chodzące memento tego, jak mieli naprawdę wyglądać ludzie.

- Gerry mówi, że nikomu niczego nie obiecywała, a wie na pewno, że właściciel chciałby dalej wynajmować ten dom. Czynsz wynosi dwieście trzydzieści. Tylko że ona się nie wyniesie wcześniej niż za miesiąc. Gdybyście chcieli tam teraz zajrzeć, to jest w domu. Macie tu adres, proszę.

Podaje Marty małą karteczkę.

Dom stoi o pięć przecznic od plaży. Zatrzymujemy się przed nim jak wryci. Jest to staromodna, drewniana, jednopoziomowa chata, ze spadzistym dachem z okapem i z daszkami chroniącymi drzwi i okna. Większość domów w tej okolicy jest murowana.

Jeszcze silniejsze wrażenie robi na nas czerwona sekwoja, rosnąca w podwórzu przed domem. Wszystko wydaje się wobec niej skarlałe, a sam domek jest przez to jak z bajki.

Próbujemy rozgryźć mechanizm otwierania furtki, kiedy w drzwiach domu staje kobieta. Na biodrze niesie malutkie dziecko, a drugie, może trzyletnie, czepia się jej dżinsów.

- Chwileczkę, ja to zrobię.

Przeskakuje dwa stopnie ganku i odplątuje łańcuch z haczyka.

- Państwo na pewno w sprawie domu, od Suzanne? Marty wybałusza oczy na dom.

- Przepiękny jest ten pani dom, zupełnie jak w Niemczech, wcale nie kalifornijski.

- Wejdźcie do środka.

Odwraca się i prowadzi nas po schodkach: ładny, jędrny tyłek, ciasno opięty dżinsami. Fakt, że kobiety zaczęły nosić dżinsy, jest jednym z najdonioślejszych osiągnięć dwudziestego wieku.

Drzwi otwierają się wprost na salon z dwoma dużymi oknami. Od jadalni oddziela go szeroki łuk. Z tyłu mieści się duża kuchnia, z wyjściem na ganek kuchenny i podwórko za domem. Po prawej stronie domu są dwie sypialnie, jedna za drugą w głąb korytarza, przedzielone łazienką. Podwórko jest małe, obrzeżone krzewami i murem. Marty całkiem oniemiała.

- Jaki to cudny dom, Gerry.

- Podoba ci się? To bierz. Ja się wyprowadzam za miesiąc. Czynsz opłacony.

Oprowadza nas wokół domu. Sprawdzam, czy nie ma termitów, czy fundamenty nie

siadają i czy dach nie przecieka -słowem, wszystkie te parametry domu, które mogą nastręczać kłopotów. Gerry częstuje nas sokiem z jabłek i miodowym piernikiem. Marty dzwoni do Gary'ego do pracy, żeby tu natychmiast przyjechał.

Gary przyjeżdża i oglądają wszystko po raz wtóry. Patrzę na nich z rozbawieniem. To jeszcze takie dzieciaki w porównaniu z Gerry. Gerry i ja siadamy w salonie. Gerry pyta, czy jestem jeszcze żonaty. Opowiadam jej o Vron, o Billym, o Jackym, o życiu w Paryżu. Nie przerywając rozmowy, daje niemowlęciu piersi.

Chcę patrzeć, jak dziecko ssie, a jednocześnie nie chciałbym krępować Gerry. Strasznie lubię patrzeć na rumiane oblicze niemowlęcia ssącego ciepły, nabrzmiały sutek.

- Może pan patrzeć, mnie to nie przeszkadza.

Marty i Gary wracają z oględzin domu. Postanowili, że go biorą. Gary dzwoni do właściciela i ustala termin spotkania. Gerry odstawia niemowlę od piersi. Na końcu jej sutka, tuż przez opadnięciem podkoszulka na pierś, tworzy się perełka wodnistego mleka.

- Możecie wstawić swoje rzeczy do garażu, kiedy wam tylko będzie wygodnie. Gdybym mogła w czymś pomóc, dajcie znać.

Żegnamy się i wracamy na parking. Gary wsiada w swój samochód i wraca do pracy.

Marty i ja jedziemy do rodziców.

Rodzice siedzą na patio, opalają się. Marty nie widziała Taty od czasu jego rezurekcji. Przygotowywałem ją na to spotkanie, jak mogłem. Ani rusz nie mogła sobie wyobrazić Taty z brodą, ale uprzedziłem ją, że broda to jeszcze nic. Marty całuje Mamę i podchodzi do Taty. Tato składa buzię w ciup i całuje Marty w same usta.

- Słowo daję, Marty, wyrosłaś na piękną kobietę - blond wersja matki.

Marty przegina się do tyłu, zadowolona, zmieszana taką przemową z ust cichego i nieśmiałego zazwyczaj mężczyzny.

- Dziękuję, dziadku. Właśnie tak chciałabym wyglądać: jak mama.

Mama podnosi łokieć, żeby osłonić twarz przed słońcem.

- Masz naprawdę ładną sukienkę, Marty, do twarzy ci w tych kolorach. Tato mruży oczy i uśmiecha się swoim pirackim uśmiechem.

- Ale co ty tam chowasz pod tą sukienką? Piłkę futbolową? Mama chichocze nerwowo.

- Nie przejmuj się nim, Marty. Jest ostatnio nie do wytrzymania.

Tato dźwiga się na nogi i podchodzi do Marty. Daje jej jeszcze jednego całusa i kładzie rękę na jej brzuchu.

- Pomyśl tylko, co tam siedzi, Bette: następny członek naszej rodziny, ktoś, kogo jeszcze nie znamy: zlepek ciebie i mnie, Gary'ego i jego rodziców, Johnny'ego i Vron. Wszyscy jesteśmy w nim, obrastamy kolejną warstwą bytu. Jeszcze raz całuje Marty.

- Dzięki ci, wnuczusiu, to najpiękniejszy prezent na świecie.

Marty nie wytrzymuje, wybucha płaczem. Jest delikatną, wrażliwą osobą, nienawykłą do takich manifestacji, takiej otwartości uczuć. Nikt z nas nie jest do tego przyzwyczajony.

Mama też ma łzy w oczach.

- Nic się nie bój, Marty. To największe wydarzenie w życiu kobiety. Na pewno będziesz wspaniałą matką. Marty pochyla się nad Mamą, obejmują się i całują.

- Teraz uwaga! Pora odbić szampana! Czy w lodówce jest jeszcze piwo?

Wszyscy próbujemy sprowadzić rozmowę na poziom bardziej neutralny. Opowiadamy rodzicom o nowym domu w Venice. Marty napomyka, że chciałaby rodzić metodą naturalną, używając przy tym terminu “narodziny bez gwałtu". Mama jest przekonana, że to nonsens, w dodatku niebezpieczny.

- Zobaczysz, Marty, jak cię złapią bóle parte, sama poprosisz o zastrzyk. Wspomnisz moje słowa.

Marty nic sobie z tego nie robi. Nieświadomie depcze oto jedną z ukochanych działek martyrologicznych Mamy. Żadna, ale to absolutnie żadna kobieta nie powinna rodzić bez strachu, bólu i gwałtu. To świadczy o kobiecości.

Odwożę Marty do domu i zjadam u nich kolację. Są strasznie przejęci nowym domem. Kładziemy się dopiero po północy. Dla nich jest to okres wielkich przemian: nowy dom, dziecko. Chętnie uczestniczę w ich radości.

Nazajutrz, po śniadaniu, bumelujemy jeszcze trochę; rodzicom powiem, że byłem na mszy. Właśnie mam zamiar do nich dzwonić, sprawdzić, jak się mają, kiedy odzywa się telefon. To Mama.

- Jacky, musisz tu natychmiast przyjechać. On naprawdę kompletnie zwariował. Przyjeżdżaj w tej chwili! Strasznie się boję i już muszę kończyć, pospiesz się!

Odkłada słuchawkę.

Cholera jasna! To się nigdy nie skończy! Mama już czuje, że zbieram się do domu i kombinuje, jak by tu mnie zatrzymać. Wiem, że to nieprawda, że sam się w ten sposób usprawiedliwiam, ale taka myśl przechodzi mi przez głowę.

Ledwie staję w drzwiach domu rodziców, Mama zaczyna mi dawać gwałtowne znaki. Tym razem naprawdę chce ściągnąć moją uwagę tak, żeby Tato tego nie dostrzegł. Sprawa musi być poważna.

Tato jest czymś przejęty, przybity; ciekawe, co się stało. Mama prowadzi mnie przodem do swojej sypialni na tyłach i zamyka drzwi. Tato spaceruje w kółko po ogrodzie, bez celu, niespokojnie.

- Jacky, to wariat!

Wybucha płaczem. Przytulam ją.

- Co się stało, Mamo?

Przez dłuższą chwilę nie może wydobyć głosu, tylko tuli się do mnie kurczowo. Wreszcie uwalnia się z moich objęć i siada na łóżku. Nogami nawet nie sięga podłogi. Jest jeszcze w koszuli nocnej, szlafroku i rannych pantoflach. Włosy ma na lokówkach, twarz grubo posmarowaną kremem. Sprawa musi być bardzo poważna, skoro Mama pozwala komukolwiek oglądać się w takim stanie.

- Jacky, on opowiada o ludziach całkiem mi nie znanych albo o takich, o których

wiem na pewno, że już nie żyją. Upiera się, żebyśmy wyjechali do Cape May w New Jersey, zobaczyć, co tam słychać u znajomych. Wyobrażasz sobie coś podobnego?

Znowu płacze.

- I z powrotem nazywa mnie Bess!

Zerka za okno. Tato plewi wzdłuż murku okalającego patio.

- Jacky, on chodzi po całym domu, otwiera i zamyka drzwi, zagląda w szafy, do kredensu i cały czas kręci przy tym głową. Jakby szukał czegoś, co mu zginęło.

Knebluje usta wierzchem dłoni.

- Mnie się wydaje, że zginęła mu piąta klepka. Potrafi gapić się na mnie, jakby w ogóle nie wiedział, kto ja jestem. To straszne! Potrafi być miły i dobry - a nagle spojrzy na mnie wzrokiem szaleńca i tylko czekam, aż zapyta: “A coś ty za jedna?"

Przez okno patrzę na Tatę w ogrodzie. Przemierza go tak, jak tygrys albo lew przemierza nadto znaną klatkę - i, jak zwierzę w klatce, bez nadziei wypatruje mimo wszystko jakiejś szparki, jakiegoś otworu albo zakamarka, którego jeszcze dotąd nie odkrył.

- On jest silny, Jacky, ja go znam. Boję się, kiedy nocą przychodzi do mnie do pokoju. Przychodzi po cichutku, skrada się, jakbyśmy wcale nie byli małżeństwem i jakby miał z tego powodu nieczyste sumienie. Kiedy się pieścimy, cały czas do mnie mówi i nazywa mnie Bess. Mówi nawet o tym, co akurat robi. On nigdy taki nie był, Jacky, nigdy głośno nie mówił o tych rzeczach. Ja się go boję!

Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Muszę pomówić z Tatą. Może to nic wielkiego, tylko upodobanie Mamy do dramatyzowania sytuacji - a może jednak coś tu nie gra. Może Tato znowu cofa się w chorobę i to są pierwsze tego oznaki.

Tato jest w szklarni. Troskliwie oporządza sadzonki i rośliny. Może to bzdura z gadaniem do roślin, ale jestem pewien, że one czują, komu na nich naprawdę zależy. Istnieje jakiś rodzaj telepatii między człowiekiem a rośliną. Fakt, że rośliny nie mówią, nie oznacza niemożności porozumienia.

Kiedy wchodzę do oranżerii, Tato natychmiast się do mnie odwraca. Patrzy mi prosto w oczy. Mama nie przesadziła: on rzeczywiście jest jakiś obcy; jakby próbował ustalić, czy może mi zaufać.

- Co ona ci mówiła, John?

Nachylam się, pod pozorem bliższego obejrzenia zielonej rośliny o grubych, kaktusowatych liściach i z małym żółtym kwiatuszkiem na czubku.

- Mówiła, że się boi, Tato. Boi się, że straciłeś rozum.

Tato patrzy pod nogi, potem bierze pustą torebkę, przygotowaną na któryś z kwiatków.

- Przejedźmy się gdzieś, John. Chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy, tak, żeby nikt nam nie przerywał.

Wychodzimy z oranżerii. Kiedy już jesteśmy na dworze, Tato wraca jeszcze na chwilę do środka i nastawia czasomierz automatycznego nawilżacza. Delikatna mgiełka kropel wody rozpyla się po szklarni z cichym sykiem. Ciekawe, czy Tato sam wymyślił ten system nawadniania, czy też jest to standardowe wyposażenie oranżerii. Z Tatą nigdy nic nie

wiadomo: czasami potrafił zmajstrować jakieś urządzenie usprawniające życie i ani słowem o tym nie napomknąć. Dopiero od kilku tygodni widzę, jaki był zawsze zamknięty w sobie.

Zapuszczam silnik. Tato idzie po sweter i czapkę. Nie mam pojęcia, jak się tłumaczy przed Mamą. Czuję, że sytuacja wymyka się spod mojej kontroli. Tato wsiada do samochodu.

- Możemy się przejechać do Venice, John? Takie dziś piękne słońce, chciałbym popatrzeć na morze.

Właśnie skręciłem w Beethoven Street, kiedy Tato częstuje mnie swoją rewelacją jak obuchem w głowę. Nie patrzy przy tym na mnie, wbił wzrok w przednią szybę.

- Johnny, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że mam żonę i czworo dzieci w Cape May, New Jersey?

W pierwszej chwili myślę - zwariował. Mama miała rację od samego początku. Drugim impulsem jest strach, a po nim przychodzi kompletny zamęt. Skupiam się na kierownicy. Chcę gdzieś zaparkować, zanim rozwiniemy ten temat.

- Myślę, że prawdopodobieństwo tego jest znikome, Tato. Usiłuję mówić tonem neutralnym, konkretnym, walczę z paniką.

- O ile wiem, od przeszło trzydziestu lat mieszkasz w Kalifornii, a przedtem przez dwadzieścia pięć lat mieszkałeś w Filadelfii. Dwadzieścia pięć lat przepracowałeś u Douglasa i noc w noc sypiałeś w jednym łóżku z Mamą, za wyjątkiem nocy spędzonych w szpitalu.

Staram się zachować zdrowy rozsądek, grać psychologa, panować nad sytuacją.

- Ja, oczywiście, ostatnimi laty niewiele tu bywałem, więc może nie mnie należy pytać o zdanie, a raczej Joan albo Mamę.

Chcę stworzyć pozory, że pytanie było logiczne. Nie wiem, z czym mam do czynienia, a wiem, jak często niechcący wszystko psuję ze strachu.

Zaczyna mi grać w kiszkach. To pewna oznaka szoku, nawet jeżeli jeszcze nie całkiem dotarł do głowy. Najgorszą cechą starzenia się jest dla mnie stopniowa utrata odporności nerwowej, zdolności spokojnego myślenia, analizowania, planowania w sytuacji, kiedy jestem wytrącony z równowagi, zmęczony albo zaniepokojony.

Tato płacze. Z początku są to tylko ciche łzy i głębokie westchnienia, bez szlochu. Nie wiem, co robić. Kieruję wóz na parking, gdzie będziemy mogli chwilę spokojnie posiedzieć. Staję przodem do oceanu, z widokiem na rozległą plażę, aż po falochrony. O jakieś siedemdziesiąt jardów w prawo grupa surferów wciąga na siebie mokre kombinezony i wyładowuje z samochodów deski z żaglem, ale więcej ludzi w pobliżu nie widać. Tato odwraca twarz do mnie.

- Więc uważasz, że to niemożliwe, żebym miał dom w Cape May, w sąsiedztwie Billa Sullivana i Iry Taylora, po drugiej stronie od brata Eda i Gene'a Michaelsa, żebym w tym domu miał ogród warzywny i czwórkę dzieci: ciebie, Joan, Hanka i małą Lizbet?

W jego twarzy jest tyle udręki, tyle nadziei, że jednak się pomyliłem...

- Zrozum, Tato, ja naprawdę nie wiem. Wiem na pewno, że jestem tutaj, że mam pięćdziesiąt dwa lata, że Joan ma czterdzieści dziewięć. O Hanku i Lizbet - pierwsze słyszę. Jeżeli jednak chcesz, polecimy samolotem do Cape May. Pójdziemy w to miejsce.

Może jestem okrutny - nie wiem. Tato słucha mnie z natężeniem, kręci głową, zagląda mi bacznie w oczy.

- Ale, Johnny, to jest najlepsze, co mam w życiu! Jakże to ma nie być prawdą? Jeszcze chwilę świdruje mnie wzrokiem, potem spuszcza oczy.

- Wiem, że masz rację. Przecież ty i Joan nie możecie być w dwóch miejscach jednocześnie. Teraz, jak tu siedzę z tobą, sam nie mogę w to uwierzyć.

Siedzimy dalej w milczeniu.

- Ale muszę ci to powiedzieć. Moje życie tam jest dla mnie równie realne jak tutejsze, jak to, że siedzimy teraz w samochodzie i patrzymy na ocean.

Sięga wzrokiem daleko za szybę samochodu.

- Dotychczas nie łączyłem tych dwóch światów. W tamtym spędziłem przynajmniej połowę ostatnich trzydziestu lat, tak myślę. Ale jeden z drugim nigdy nie miał nic wspólnego. Wiem, że przez cały czas byłem tutaj. Wiem, że masz rację. Tylko że często, bardzo często, duchem byłem gdzie indziej, i to nie tylko we śnie. Wiele czasu spędziłem gdzie indziej.

Psycholog dyżurny jest zaintrygowany. Przerażony syn ustępuje z placu boju.

- Może wymyśliłeś to wszystko w chorobie, Tato. Bardzo długo byłeś nieprzytomny. Może to Wtedy zrodził ci się w głowie ten świat, a teraz wraca.

Czekam. Tato dalej wpatruje się w ocean. Mogę jedynie czekać, aż zbierze myśli. Siedzimy w milczeniu blisko pięć minut. Moje opinie, z prędkością dziesięciu na sekundę, oscylują między hipotezą Mamy o “szajbie" a niepewnością, czy aby nasza obecna rzeczywistość nie jest tylko fantazją, a ta, o której mówi Tata - prawdziwą rzeczywistością. Może Tato się lada chwila ocknie i wszystko zniknie: niebo, ocean, samochód, Tato, ja, wszystko.

- John, to jest tak jak ten ocean. Powierzchnia wody, fale, przypływ, piana - to my, tutaj, teraz. Nazywamy to rzeczywistością, ponieważ to widzimy. A moje życie w Cape May jest samą wodą, jest tym, co pod powierzchnią, tym, na czym wszystko się trzyma. Czuję, że gdybym przestał w tym uczestniczyć, wszystko inne zapadłoby się w głąb.

Znowu milknie.

- Mama pewnie ma rację, Johnny: ja zwariowałem. Możliwe nawet, że to rodzinne, tak jak ona twierdzi. Mój Tato miał indywidualistyczny stosunek do życia, zdecydowanie dziwaczny. Kto by zestawiał razem trzy domy w centrum Południowej Filadelfii tylko po to, żeby uzyskać prawdziwą wiejską kuchnię w dawnym stylu? Przyznasz, że to nie jest normalne. Zdaje mi się, że mój Tato duchem nigdy nie wyniósł się z Wisconsin. Pamiętasz obrazy z psami myśliwskimi na ścianach i tę olbrzymią głowę niedźwiedzia, która wisiała razem z głowami łosia i jelenia w pokoju jadalnym? Albo ten wielki stół, który Tato zrobił własnoręcznie, żeby cała rodzina mogła równocześnie zasiąść do posiłku, z wbudowanymi dookoła dwudziestoma czterema szufladami na naczynia, sól, pieprz, noże, widelce? Trzeba być trochę stukniętym, żeby coś takiego zrobić.

Kiwam głową. Z przykrością słucham, jak krytykuje dziadka. Chociaż Tato nie chce krzywdzić jego pamięci: szuka tylko usprawiedliwienia dla siebie. Dziadek zawsze bardzo mnie cieszył: stanowił dowód na to, że są jeszcze na świecie ludzie prawdziwi.

- A weź wuja Orina i wuja Pete'a: nigdy nie przywykli do miasta, do końca życia pozostali wiejskimi parobasami. Ani jeden, ani drugi, nie poszedł nigdy na stałą posadę. A te ich żony - popatrz: duże, grube kobiety, które nie potrafiły prowadzić domu. W ich domach tak śmierdziało, że nawet wy jako dzieci nie chcieliście tam chodzić.

Mówi bez ogródek. Nie odgrywa roli, którą sam sobie narzucił - ani nieśmiałego pantoflarza, ani Jake'a - rozrzutnego hulaki. Czuję się prawie, jakbym słuchał samego siebie albo któregoś z nielicznych bliskich przyjaciół, rozpaczliwie usiłującego się przebić przez mur samotności, szukającego okruchów porozumienia.

- Mnie się zdaje, Johnny, że nigdy do końca nie opuściłem Wschodniego Wybrzeża. Duża część mnie została właśnie tam, a inna, mniejsza cząstka, nawet nie wyprowadziła się z Wisconsin. Nienawidziłem pracy w General Electric w Filadelfii ani tu, u Douglasa w Kalifornii, dlatego pomału wyniosłem się do Cape May i zająłem prowadzeniem własnego gospodarstwa, tak jak to robiliśmy w Wisconsin. Głupio to brzmi, prawda? A jednak myślę, że tak właśnie było.

Patrzę na Tatę. Jest odmieniony, to nie ulega wątpliwości. Dlaczego musiałem czekać aż tak długo, żeby pojąć, że mój ojciec jest taki sam jak ja, bardziej niż ktokolwiek inny ze znanych mi ludzi? To genetyczna oczywistość, bo przecież nie mam braci. Fakt, że obsadził mnie w roli swojego brata Eda, nabiera teraz sensu. Głęboko pod maskami czasu i nią, mamy wspólną tożsamość. Co sprawia, że ojcowie i synowie tak się od siebie oddalają?

- Nie zwariowałeś, Tato. Wszyscy mniej lub bardziej robimy to samo co ty. Każdy przecież marzy, a któż to wie, co się dzieje w najgłębszych snach. Nie wiedzą tego nawet najwybitniejsi psychiatrzy. To nie szaleństwo: ty po prostu robisz to, co wszyscy, tylko lepiej.

Chcę sprawdzić, jak to przyjmie, jak dalece potrafi rozmawiać o swoim świecie fantazji. Mam nadzieję, że może to jest właściwa metoda.

- Powiedz mi, Tato, co ty robisz w tym świecie marzeń, w Cape May? Jak zarabiasz na życie?

Kiedy mówię “świat marzeń", Tato wzdryga się gwałtownie. Patrzy mi w oczy i z całej siły mruga powiekami. Nie jest pewien, czy może mnie dalej wtajemniczać w swoje sprawy. Słyszę, jak ważą się szale jego decyzji.

- Nie jestem pewien, czy można to nazwać “światem marzeń", Johnny. Jedno tylko wiem na pewno: że tu, w tym świecie, tamtego nie ma. Sądzisz, że to możliwe, żebym jeszcze przed śmiercią połowę życia spędzał w niebie? Słyszałeś kiedyś o czymś podobnym?

Patrzy na mnie z powagą. Kręcę przecząco głową. Chcę, żeby mówił dalej. Boję się popełnić następny głupi błąd. Tato milknie i spuszcza wzrok na własne ręce. Obraca na palcu obrączkę, obrączkę z inicjałami JHT.

- Wiesz, John, że w tamtym domu noszę nawet tę samą obrączkę?

Po raz pierwszy użył sformułowania “tamten dom".

- Wybudowałem dom dokładnie taki sam jak ten, który mamy tutaj, tylko że tamten postawiłem najpierw, a ten jako drugi, z pamięci. Nie wiem jednak, dlaczego w tamtym domu wszystko robiłem na odwrót: L odwrócone w złą stronę, pokoje nie po tej stronie hallu,

wszystko w złą stronę, jak u mańkuta. Wszystko na opak. Tamten dom stoi na wzgórzu i na stryszku też ma sypialnie. Gospodarzymy na siedmiu akrach ziemi. Hoduję warzywa i dostarczam je na rynek do Filadelfii. Wożę je starym fordem z dwudziestego dziewiątego roku, przerobionym na furgonetkę z platformą. Na targ jeżdżę we wtorki i w piątki. Dziwne, że ci to opowiadam, Johnny, bo ty też tam jesteś, tylko o wiele młodszy: masz najwyżej piętnaście lat.

Milknie i kręci głową.

To mi się nawet podoba. Chętnie cofnąłbym się w czasie do piętnastego roku życia i zamieszkał na małej farmie w Cape May, blisko morza. Ciekawe, czy hodują tam też kury - wspaniałe Plymouth Rock w czarno-białą szachownicę, składające brązowe jajka, albo Rhode Island Reds.

- Hodujecie tam kury, Tato?

Gram teraz Lenniego z *Myszy i ludzi*.

- Jasne, że tak, Johnny. To ciekawe, że właśnie o to pytasz, bo to właśnie ty opiekujesz się kurami. Bill Sullivan pokazał nam, jak się buduje kurnik, i teraz mamy sto niosek. Za każdym wyjazdem do Filadelfii biorę na sprzedaż dwadzieścia, trzydzieści tuzinów jaj. Kray, żona Iry Taylora, nauczyła Joan i Mamę robić osłony na doniczki, je też sprzedają. Wychodzimy na swoje.

To czyste szaleństwo, ale czuję, że bardzo chciałbym wejść w ten jego świat. Siedzimy tak dwie godziny, morze toczy fale, a Tato opowiada mi o sobie. Ma potrzebę mówienia. Tyle lat trzymał to wszystko w sobie, a teraz chce się podzielić. Uwierzył, że go nie wyśmieję, że mnie się to też podoba - teraz może mi powiedzieć wszystko.

Skonstruował niebywale spójną, dopracowaną w szczegółach fantazję. Potrafi podać nazwy ulic, nazwiska sąsiadów; zasiedlił swój świat najbliższymi przyjaciółmi, ludźmi, których kochał. Tamtejsze życie ma wszystkie zalety życia na wsi i na sielskim przedmieściu. Jest w nim też coś z dwutygodniowych wakacji letnich nad morzem. To życie zawiera wszystkie dobre chwile z życia Taty i ani jednej złej. Słucha się go jak Laury Ingalls Wilder, według opowieści Lewisa Carrolla, w reżyserii Walta Disneya.

Słońce już zachodzi: dopiero teraz uświadamiam sobie, jak jest późno. Nie chcę Tacie przerywać, ale wiem, że Mama na pewno się denerwuje.

- I co my z tym zrobimy, Tato? Mama tego nie zniesie, bardzo się martwi. Co ty jej właściwie powiedziałeś?

- Pokręciło mi się, John. A to się dotąd nigdy nie zdarzało, nie mieszałem jednego z drugim. Ale odkąd wyszedłem ze szpitala, było mi tak dobrze, coraz trudniej było rozdzielać te dwa domy. Zdaje się, że wspomniałem Mamie coś o tym, jak pięknie dojrzewa zboże. I wtedy zobaczyłem, że ona nie wie, o czym mówię, więc zmieniłem temat. Później znowu przestałem się pilnować i zacząłem mówić o wyjeździe do Cape May. Chodziło mi o wyjście do miasta wieczorem, nic więcej. Kiedy się zorientowałem, co mówię, obróciłem całą rzecz w propozycję przeniesienia się z Kalifornii do Cape May i tym Mama bardzo się przejęła. A ja naprawdę nie potrafiłem na poczekaniu wymyślić nic, co by nie brzmiało jak wierutne brednie.

O rany, wyobrażam sobie reakcję Mamy! Nic dziwnego, że po mnie dzwoniła. Najpierw mówi coś o zbożu, parobek się w nim odezwał, potem chce się przeprowadzać na Wschód - a przecież dla Mamy jednym z koronnych powodów do dumy jest fakt, że wyrwała się ze Wschodu. Powrót tam byłby kapitulacją.

- Musisz uważać, Tato. Najlepiej jeszcze raz gruntownie wszystko przemyśleć.

- Słusznie, John. Muszę to przemyśleć. Pewnie masz rację, tamto życie chyba nie jest prawdziwe, ale ja i tak nie mogę go porzucić. Wydaje mi się, że nie mógłbym tego zrobić, nawet gdybym chciał. Muszę po prostu znaleźć sposób na połączenie jednego z drugim albo na rozdzielenie ich raz na zawsze. A wiesz, John, że to byłby wcale niegłupi pomysł, przenieść się do Cape May. Bylibyśmy tuż nad morzem, tak jak tutaj. Dwaj bracia Bess, George i Will, mieszkają niedaleko, w Wildwood, a nasza Gertruda też jest w New Jersey, w Haddon Field. Bylibyśmy blisko rodziny i przyjaciół. Nie uprawiałbym zboża ani nic, za stary jestem, ale czułbym, że znów stanowię jedną całość.

Zwalniam i wjeżdżam w Rose. Mama już pewnie dzwoniła na policję. Nie ufa mi ani odrobinę bardziej niż Tacie, a już z całą pewnością nie ufa nam obu, kiedy jesteśmy razem.

- Posłuchaj, Tato, nie chciałbyś, żeby ktoś ci pomógł rozwikłać ten problem? Mogę popytać znajomych, znaleźlibyśmy jakiegoś specjalistę od tych rzeczy.

Tata nie daje się nabrać. Przymyka oczy, zakłada ręce i milczy. Skręcam w Palms.

- Masz rację, John. Chyba powinienem iść do psychiatry czy kogoś takiego. Dowiedziałbym się przynajmniej, czy jestem wariatem. Wątpię, czy sam się w tym wszystkim połapię; nie wyobrażasz sobie, jakie to ma potężne rozmiary. To jest cały świat. Czyli tak, jakbym umierał, albo musiał zabić jakąś część siebie - a tego nie chcę. Dobrze, John, znajdź mi kogoś, koszty nie grają roli.

- To nie powinno drogo kosztować, Tato. Jesteś ubezpieczony. W tej sytuacji chyba żaden lekarz nie ma prawa odmówić pomocy. W Perpetual też mają psychiatrów. Jeżeli chcesz, zapiszę cię do któregoś z nich; wtedy w ogóle nic nie zapłacisz.

- Nie. Znajdź mi dobrego psychiatrę, Johnny. Poszukaj kogoś, kto się zna na starych ludziach i na snach starych ludzi. To po części ma związek ze starzeniem się, tak czuję.

Wjeżdżamy w Colby, parkuję na podjeździe.

- Mamie powiem tylko tyle, że miałeś sen, i to tak sugestywny, że wszystko ci się pomieszało. To w zasadzie nie będzie kłamstwo, a taką wersję mogę jej przedstawić bez ryzyka.

Odwraca się do mnie z uśmiechem. Jak on się ładnie uśmiecha: prosto w moje serce.

- Okej, John. Ty jesteś szefem. A ja spróbuję być od tej chwili bardziej ostrożny.

Tak jak się spodziewałem, Mama odchodzi od zmysłów. Dzwoniła już do Joan. Ale z radości na nasz widok przełyka bajeczkę o śnie bez większych oporów. Można by nawet powiedzieć, że współczuje Tacie: obejmuje go za szyję. Zdaje mi się, że złe sny to jest coś, na czym Mama się zna. Nie sposób dorobić się dwóch załamań nerwowych bez pomocy nocnych koszmarów.

Wieczorem obdzwaniam znajomych. Marshallowie podają mi nazwisko młodego gerontologa z Santa Monica. Przed śmiercią ojca Joe sami mieli tego typu kłopoty; bardzo mi

polecają swojego lekarza. Próbuję się do niego dodzwonić, ale odpowiada automat. Zostawiam wiadomość, że zatelefonuję rano. Dzwonię z budki na rogu, w czasie kiedy rodzice oglądają telewizję. Tato nie przebrał się w żaden ze swoich kostiumów i sprawia wrażenie nieobecnego. Martwi się bardzo, to widać.

Leżę już w łóżku, kiedy ze zdumieniem słyszę, że drzwi się otwierają: wchodzi Mama. Patrzę na zegarek, jest pierwsza w nocy. Mama przyszła z latarką, ale zapalam lampkę nocną. Siadam w pościeli.

- Jacky, muszę z tobą pomówić. Wydaje mi się, że tracę rozum.

Przysiada na krawędzi łóżka i zanosi się płaczem. Sięgam po jej dłoń. Ma niewiarygodnie drobne dłonie, tak samo jak Joan. Nie do wiary, ile one potrafią zrobić tymi małymi rękami.

- Musisz coś zrobić, Jacky. On przyszedł do mnie do łóżka i znowu zaczął opowiadać o przeprowadzce do Cape May. Przecież to nie ma za grosz sensu. On żyje przeszłością, Jacky. Mówi o swoim bracie Edzie, o Irze Taylorze, o Genie Michaelsie, o Kenie Barlittle. Tam na nas nikt nie czeka, Jacky. Jesteśmy za starzy, za późno na przeprowadzki, zwłaszcza z moim sercem. Nie mogę zostawić Perpetual i doktora Coe, tylko to trzyma mnie przy życiu. Wiesz przecież.

Boże, co za młyn! Więc jednak nie utrzymał języka za zębami. Jest tak przepełniony swoim “światem", że chce się z kimś podzielić. To wszystko z miłości, ale boli. Nie wiem, co mówić.

- Jacky, musisz mu się postarać o psychiatrę. W Perpetual przyjmuje psychiatra. Może specjalista przemówi mu do rozumu. Mnie się zdaje, że on kompletnie zbzikował, jak Boga kocham, Jacky. Jest taki dziwny.

- Już dzwoniłem do specjalisty, Mamo. Umówiłem się na jutro rano. Tato sam mnie o to prosił. Twierdzi, że nie chce korzystać z pomocy psychiatry z Perpetual, więc załatwiłem mu wizytę u lekarza, który zajmuje się zdrowiem psychicznym starszych ludzi. Trudno przechytrzyć starego lisa, ale tym razem się udało, Mama przestaje płakać i wpatruje się we mnie zdumiona. Jej oczy mówią: “Cuda się zdarzają". To jedno z rzadziej używanych “znaczących spojrzeń" Mamy.

- Więc to tym się zajmowałeś w czasie programu Mary Tyler.

Kiwam głową.

- Ależ to będzie kosztowało majątek, Jacky. Co brakuje lekarzom z Perpetual?

- Tato sobie tego życzy. Całe leczenie jest objęte systemem ubezpieczeniowym, więc zapłacicie tylko dwadzieścia procent. Kto zasługuje na lepszą opiekę niż Tato?

Nie ma na to odpowiedzi. Wytrąciłem jej broń z ręki.

- A teraz, Mamo, wracaj do łóżka. Wszystko będzie dobrze. Trzeba tylko trochę cierpliwości i jakoś się sprawy ułożą.

Wychodzi, nie mówiąc więcej ani słowa. Leżę w ciemności i nie mogę zasnąć.

Rozdział 19

O dziesiątej trzydzieści schodzimy do warsztatu zapłacić rachunek za naprawę. Dostajemy pisemne pokwitowanie zakupu części w Filadelfii. Samochód jest gotowy: biedne chłopaki zasuwały na całego, kiedy my jeszcze spaliśmy w najlepsze.

Tato spokojniejszy, chyba dobrze mu zrobiło to, że się tak wyzłościł po ciemku.

Suniemy przez piękny krajobraz Pensylwanii. Tato wspomina, jak będąc w szkole średniej marzył o studiach na Penn State, uniwersytecie położonym niedaleko od szosy, którą teraz jedziemy.

Chcemy dojechać bez zatrzymywania się aż do samej Filadelfii. Tam zajedziemy do przyjaciół rodziców, nazwiskiem Hill. Ich dom stoi na przedmieściu, zwanym Bala-Cynwyd.

Późnym popołudniem docieramy na miejsce, czyli do Filadelfii, ale zanim udaje nam się trafić do Hillów, jest już siódma wieczór. I nikogo w domu. Ściemnia się, a my nie mamy dokąd pójść. Hillowie byli uprzedzeni o naszym przyjeździe, spóźniliśmy się najwyżej o jeden dzień. A jutro powinniśmy dostarczyć krypę szefowi gangu.

Tato raz jeszcze wyciąga list od Hillów. Są w nim wskazówki, co mamy robić, gdybyśmy nie zastali ich w domu. Piszą, że klucz jest schowany na półeczce po lewej stronie tylnych drzwi balkonowych, od wewnątrz.

Obchodzimy dom od tyłu. Istotnie, są tam oszklone drzwi, ale zamknięte od środka na staromodny haczyk. Zaglądamy, ale z zewnątrz nie widać, czy klucz leży tam, gdzie miał leżeć, czy nie.

Dom jest szpanerski jak diabli i położony w szpanerskiej dzielnicy. Wszystkie okoliczne domy są klasy co najmniej stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Nie zdziwiłbym się, gdyby nadjechał tu teraz wóz opancerzony z oddziałem wąsatych herosów i przypuścił na nas szarżę z użyciem broni i gazów łzawiących.

Wokół roją się świetliki; w Los Angeles ani w Paryżu nigdy się ich nie spotyka. Co mi któryś zaświeci z boku, myślę, że to punktowiec i że już po nas. Tato patrzy na mnie pytająco.

- Trzeba się będzie włamać, Billy. Oni się nas spodziewali, po prostu przez pomyłkę musieli zamknąć oszklone drzwi.

Tata jest jednak nieobliczalny: jakby nigdy nic, pakuje nas na piętnaście do dwudziestu lat do pudła za włamanie na teren prywatnej posesji. Znajduje piwniczne okienko z pękniętą szybą. Manipulujemy szybą tak długo, aż wykrusza się kit. Wyjmujemy oba kawałki szkła, otwieramy okienko i spuszczamy się do piwnicy. Idziemy na górę, do szklanych drzwi. Klucz leży, gdzie miał leżeć. Tato schodzi z powrotem do piwnicy i wpasowuje połówki szyby na miejsce. To już trochę przesadził. Nie chce, żeby Hillowie się połapali, że dali plamę i zamknęli nam drzwi przed nosem. Nigdy nie zrozumiem tego pokolenia.

Na stole w jadalni leży kartka z wiadomością, że w lodówce jest piwo i kanapki. Hillowie wiedzą, że Tato jest pies na włoskie kanapki z kupą sera, ostro przyprawionego mięsa, pomidorów, sałaty i czego się da na dokładkę. Zawsze to jakieś urozmaicenie po pizzy.

Jest jeszcze dopisek, że poszli do znajomych i wrócą późno.

Rozprawiamy się z kanapkami. To chyba filadelfijska wersja *tacos*. Zalewamy piwem. Potem przechodzimy do salonu. O rany, jaki to piękny dom! Na ścianach wiszą trzy obrazy Taty. Siadamy w niskich pufach, w salonie wyłożonym od ściany do ściany rubinowym dywanem. Jakby siedzieć we wnętrzu serca. Tato opowiada mi o Hillach.

Pat jest fizykiem, a Rita, jego żona, matematyczką. Mają czwórkę dzieci, dwoje mniej więcej w moim wieku. Jedna córka studiuje na Harvardzie, druga w MIT. Młodsze dzieci też są genialne.

Tato nie ma właściwie przyjaciół artystów. Wszyscy jego kumple to naukowcy: biochemicy, fizycy, astronomowie, matematycy albo lekarze i dentyści. Może minął się z powołaniem. Zdecydowanie tkwi w nim żyłka naukowca. Ma mnóstwo pseudonaukowych koncepcji i pytań. W kółko czyta wariackie książki o czarnych dziurach albo o inżynierii genetycznej. Próbuje wyjaśniać zjawisko grawitacji albo opracowuje na pół serio wszechogarniające teorie pola wszechświata.

Z drugiej strony, naukowiec byłby z niego żaden. Zanadto bagatelizuje dane i sprawy pamięciowe. Brak mu nieodzownych naukowcowi klapek na oczach; zawsze dostrzega zbyt wiele aspektów, najczęściej więcej, niż ich jest w istocie.

Po domu pęta się mnóstwo zwierząt. Po pierwsze, pies imieniem Natasza zbiega na dół, kiedy gramolimy się do piwnicy. Nie szczeka, tylko zawołany po imieniu podchodzi do Taty i obwąchuje go. Jest to przerośnięty, szarawy pudel. Spomiędzy mebli wyślizgują się dwa czy trzy koty. Mrucząc ocierają się o nas, po czym odchodzą do swoich spraw. Na górze odkrywamy średniej wielkości boa-dusiciela, dwa myszoskoczki, trzy akwaria z rybkami, sześć czy siedem jaszczurek, zwierzątko o wyglądzie młodej wiewiórki, bandę chomików. Istne domowe zoo.

W salonie stoi wielki fortepian, w rogu wiolonczela, przy kominku leży róg francuski, a na fortepianie sterta nut. Gotowa scenografia do sztuki telewizyjnej “Oto twoje życie, Albercie Einsteinie".

Temperatura wyższa niż w piekle. Duża wilgotność powietrza towarzyszy nam stale w tej podróży. Zasiadamy w przylegającym do kuchni małym barku. Odkrywamy tam elektryczny wentylator i puszczamy go w ruch, żeby trochę przepompować powietrze. Jest tu i mały telewizor. Włączamy go i oglądamy program jednej z lokalnych stacji. Nie do wiary, jak ten filadelfijski akcent wyłazi, nawet w telewizji.

Około dziewiątej pod dom zajeżdża samochód. Gospodarcze pasują do swojego domu: Pat jest wysoki, chudy, łysy jak kolano. Gdyby ktoś chciał sobie wyobrazić środkowo-zachodniego Oppenheimera - oto on: cichy, o niskim głosie, wolno cedzący słowa, ostrożny w sądach. Tato opowiadał mi o niesamowitym dzieciństwie Pata, tak niesamowitym, że nie chciałem wierzyć. Pat jest dzieckiem pary głuchych rodziców, urodzonym na odludnej farmie w Południowej Dakocie. Do piątego roku życia w ogóle nie słyszał ludzkiej mowy. Z domu wyniósł język migów i w jego angielszczyźnie nadal tkwią ślady palcówki. Kiedy mówi,

brzmi to jak symultaniczne tłumaczenie na sesji ONZ.

Upewniam się, czy to prawda. Tato potrafi zmyślać niesamowite historie. A jednak prawda.

Pat twierdzi, że ma ogromną przewagę nad większością ludzi, ponieważ może zgodnie z własnym życzeniem włączać albo wyłączać język mówiony.

Rita jest drobna, gładka, energiczna i ładna. Jest to pierwsza przyjaciółka rodziców, która rzeczywiście na mnie działa. Nie wiem, z czego to się bierze: czy z ruchów, czy z głosu, czy z witalności. W ogóle nie wydaje się stara. Ma zmarszczki śmiechowe na policzkach i koło oczu. Kiedy się raz widziało takie zmarszczki na twarzy kobiety, twarze młodych dziewczyn wyglądają jak puste mapy, nie odkryte tereny, czekające, aż coś się zdarzy. Duża część wieczoru upływa mi na ukradkowej obserwacji Rity.

Córek, o których była mowa, nie ma w domu. Obie odwalają jakieś prace wakacyjne, żeby częściowo spłacić astronomiczne sumy za studia. Jedna pracuje w stadninie koni; uczy się na weterynarza. Druga kelneruje gdzieś w kurorcie w Atlantic City. Tu nie mówią “nad morzem", tylko “w kurorcie". Młodsi, Sandy i Kim, siedzą cicho, oczy im błyszczą, wszystkiego słuchają z ogromną uwagą. Spędzamy fantastyczny wieczór.

Rita rozpala intelektualne iskierki, a Pat dmucha w nie delikatnie, podsycając żar. Rozmawiamy o wszystkim. W połowie wieczoru mniej więcej, Tato zaczyna opowiadać o zdarzeniach w Kalifornii. Poznaję wreszcie wersję nie ocenzurowaną. Jeżeli mówi prawdę, to nie mam pojęcia, jakim cudem tak długo wytrzymał. Mam nadzieję, że nie oczekuje tego samego po mnie, jako swoim synu.

Wieczorem znowu zastanawiam się nad sprawą uniwersytetu. Co ma fizyka albo matematyka do tego, czy rozmowa będzie interesująca, czy nie? Nie widzę związku. A jednak ci ludzie są interesujący, i to bez względu na to, o czym mówią. Do każdego tematu podchodzą z zainteresowaniem, mają oryginalny, osobisty punkt widzenia na każdą sprawę. Opanowali sztukę myślenia. Są oczytani, znają się na muzyce i malarstwie ale i to nie jest najistotniejsze.

Trudno to zdefiniować: są jakby dobrze nastrojeni, mają prawidłowo ustawione anteny. Opanowali rytm słuchania i zabierania głosu. Gadamy do trzeciej nad ranem.

Rita pokazuje nam sypialnie na górze i pokoje starszych córek. Wszystko, co wisi na ścianach, jest interesujące. Człowiek się uczy już od samego rozglądania się po ścianach. Na suficie nad każdym łóżkiem tkwi przyklejona tablica pierwiastków chemicznych. Na ścianach wiszą mapy nieba. Także drzewa genealogiczne zwierząt, owadów, roślin, dosłownie wszystkiego, w pięknych kolorach. Na parapetach kolekcje minerałów i muszli. Każde biurko wyposażone jest w mikroskop klasy zawodowej. Można by się tu nieźle wyedukować nie wychodząc z łóżka i po prostu wodząc wzrokiem po pokoju. Ci ludzie tkwią w nauce po uszy. Nie wiem, czy długo bym tu wytrzymał.

Kładę się pod tablicą pierwiastków. Może jednak popełniłem omyłkę, może to wszystko stąd, że czułem się traktowany jak szczeniak. Może gdybym studiował na poważnym uniwersytecie jak UCLA lub Berkeley, czułbym się w tym domu jak u siebie.

Kiedy się budzę, Tato jest już na nogach. Zszedł na dół. Na dworze leje jak z cebra. Przy takim deszczu wilgotność staje się nieznośna. Całe Wschodnie Wybrzeże jest jedną wielką cieplarnią.

Tato i Rita siedzą w kuchni, piją kawę i zajadają pączki. Pogrążeni w poważnej, intymnej rozmowie, ledwo zauważają moje wejście. Tato pewnie dalej wylewa swoje wspomnienia z Kalifornii.

Siadam i biorę się do żarcia. Nigdy w życiu nie widziałem takich pączków. Niektóre z dziurką, lukrowane i cukrowane jednocześnie, inne okrągłe, z galaretowatym nadzieniem - pełno w nich tej galaretki, jeszcze inne fantazyjne - na przykład nadziewane klonowym syropem.

Rita dopytuje się, jak mi przyrządzić jajka i nalewa sok pomarańczowy. Od tygodni nie miałem w ustach takich pyszności. Tato milknie. Mam głupie uczucie, że przerwałem ważną rozmowę. Ale ani mi w głowie rezygnować z takich pączków, bez względu na to, jak ojciec potrzebuje w tej chwili wsparcia tego szczupłego, silnego, gładkiego ramienia.

Jem właśnie czwarty pączek, a drugi z tych lukrowanych okrągłych z galaretką, kiedy do kuchni wchodzi Pat. Już ubrany na wykład. Świetnie go sobie wyobrażam na zajęciach - to idealny typ wykładowcy wyższej uczelni: łysina połyskuje w świetle lamp, wystudiowane opanowanie, klarowność wywodu, a studenci robią w portki ze strachu wobec otaczającej go aury niezmierzonej wiedzy i umiejętności, ukrytych za tymi łagodnymi oczami, pod tą łysą czaszką.

Pat bierze sobie szklankę soku pomarańczowego i kawę. Spośród pączków wybiera postny, glazurowany, z dziurką. Rita podaje mi dwa sadzone jajka z niesamowitą w smaku przyprawą o nazwie “scrapple".

Tato wyciąga dokumenty wozu z adresem, pod który mamy go dostarczyć, a Rita rozkłada mapę Filadelfii. Oboje nie chcą wierzyć, że samochód przeznaczony jest pod ten właśnie adres: jest to dzielnica przeludnionych, nędznych slumsów murzyńskich, jedna z najniebezpieczniejszych dzielnic Filadelfii. Hillowie mówią, że nie wjechaliby w te okolice nawet czołgiem. Patrzymy po sobie z Tatą: tego nie przewidzieliśmy.

Rita wręcza mi także list, o którym wczoraj zapomniała. List jest od Debby. Lecę na górę, żeby go przeczytać bez świadków.

Debby przyjedzie do Paryża i spotka się ze mną w tym miejscu na wyspie, gdzie się umówiliśmy. Przyjedzie dziesiątego lipca, chce razem ze mną świętować Dzień Bastylii. W liście pisze - “świętować także moją ucieczkę z więzienia". Czytam ten list od początku do końca z dziesięć razy. Kurczę, spełniają się wszystkie moje marzenia! Będzie, jak chcieliśmy. Uświadamiam sobie, że przegapiliśmy z Tatą Czwartego Lipca, wcale tego nie zauważając - to by wyjaśniało wzmożony ruch na szosie za St. Louis.

Próbujemy uruchomić samochód, ale on ani rusz. Wygląda na to, że w ogóle nie dostarczymy go na miejsce. Piłujemy silnik, aż akumulator wysiada do końca. Pat ma zasilacz, więc taszczymy akumulator do garażu na szybkie podładowanie.

Zdaje się, że deszcz i wilgoć spieprzyły system elektryczny. Tato, nie wiedzieć czemu, jest pewien, że to gaźnik. Pat stoi na werandzie i podpowiada nam, co powinniśmy sprawdzić. Słyszę prawie, jak klapki pstrykają mu w mózgu. W dalszym ciągu leje pierońsko, jesteśmy przemoczeni do nitki. Rzecz w tym, że jeżeli nie dostarczymy wozu dzisiaj, umowę na pięćdziesiąt dolarów diabli wezmą, nawet po doliczeniu tych dwóch dni ekstra.

Wyciągam i czyszczę świece. Tato przedmuchał gaźnik i śmierdzi jak połykacz ognia. Wóz jest nie tylko olbrzymi: ma też wszystkie części poumieszczane w najmniej prawdopodobnych miejscach. Z pomocą Pata odszukuję styki przerywacza i czyszczę je. Montujemy z powrotem akumulator i ponawiamy próbę uruchomienia wozu. Dalej nic. Piłujemy silnik aż do chwili, kiedy staje się oczywiste, że świece znowu zamokły.

Tato dzwoni do Scarliettiego, żeby go powiadomić, że samochód jest w Filadelfii, ale nikt nie odbiera telefonu. Jak zwykle, wszystko się sprzysięga przeciwko nam.

Na ganek wychodzi Rita pod parasolem w białe i niebieskie pasy. Razem z nami zagląda pod maskę. Zastanawiamy się, czy to przypadkiem nie synchronizacja. Ale jak to możliwe, żeby synchronizacja nawaliła przez jedną noc? Rita mówi, że czytała gdzieś, że jeżeli samochód nie chce zapalić z powodu zawilgocenia, należy wymontować wszystkie części elektryczne i osuszyć je przez podgrzewanie w piekarniku na wolnym ogniu.

Patrzymy na nią jak na głupią. Trudno się przekonać do pomysłu umieszczenia części samochodowych w piekarniku, gdzie normalnie piecze się ciasto czy mięso.

Ale może coś w tym jest. Poza tym, nasze pomysły już się wyczerpały. Znowu wykręcamy wszystkie świece, odwijamy kabel, połączenia świec z dystrybutorem, sam dystrybutor, kondensator i szczotki generatora. Zdejmujemy pokrywę dystrybutora i rotor. Wszystkie te części rozkładamy na arkuszu folii aluminiowej i ładujemy do piekarnika.

Pieczemy w niskiej temperaturze przez piętnaście minut: zdaniem Rity, powinno to trwać tyle, co pieczenie kruchych ciasteczek. Po kwadransie wyjmujemy ładunek. Części są więcej niż suche: są rozgrzane do czerwoności. Czekając aż przestygną, wypijamy jeszcze po kawie. Bardzo mi się to wszystko podoba. Pat nie poszedł na uczelnię. Mówi, że to ciekawsze niż zajęcia w laboratorium.

Tato jest odprężony jak nigdy od miesięcy. Znalazł się w swoim rodzinnym mieście - może geografia, geologia, wszystkie tego typu czynniki, działają na filozofię w ten sposób, że człowiek najswobodniej czuje się tam, gdzie dorastał. Może syndrom *coriolis* u dziadka też ma z tym coś wspólnego: ciało ludzkie jest, bądź co bądź, czymś w rodzaju systemu hydraulicznego. Powinniśmy zapytać o to Pata.

Pat wyjaśnia nam tymczasem motywy decyzji w sprawie grawerunków na złotych płytkach, które mają zostać wysłane najbliższym satelitą jako wiadomości do istot w przestrzeni kosmicznej. To, co mówi, jest skomplikowane, ale przywodzi mi na myśl butelki z listami, które w dzieciństwie rzucaliśmy do morza.

Kiedy już części wystygły, montujemy wszystko z powrotem, kończymy ładowanie akumulatora i włączamy starter. Wóz ożywia się za pierwszym podejściem, jakby nigdy nic mu nie dolegało. Wszyscy po kolei tańczymy w kółko z Ritą i składamy jej gratulacje. Każdy pretekst jest dobry. Rita musi się przebrać, bo wysmarowaliśmy jej całą sukienkę na plecach.

Przestało padać, wyszło słońce, znowu jest gorąco i parno.

Tato i ja myjemy się, zakładamy czyste koszule i ruszamy z misją. Rita obiecuje, że wrzuci nasze brudne rzeczy do pralki i po powrocie odbierzemy je suche.

Jedziemy przez Fairmount Park, w kierunku na północ. Im dalej na północ, tym bardziej robi się nieprzyjemnie. Kiedy mijamy Broad Street i Tempie University, na ulicach widać już tylko czarne twarze. Ludzie stoją i tępym wzrokiem śledzą przejeżdżające auto-monstrum. Wiem, że jeżeli natychmiast nie zwiększymy prędkości, ktoś wskoczy nam na maskę. Niemal jednocześnie wciskamy z Tatą blokady drzwi. Tato uśmiecha się: ciekawe, czy ma pietra tak jak ja. Szczerze mówiąc, gdybym był z tych, co tu mieszkają, też na widok takiej limuzyny na swojej ulicy rzucałbym w nią czym popadnie.

Nad ulicą biegną tory kolejki napowietrznej, jak paryskie Metro na odcinku z okolic Bir-Haheim przez Passy. Ale daleko mu do paryskiego: jest kompletnie zdewastowane. Cała okolica wygląda jak po wojnie. Nie chodzi tylko o brud i nędzę. Przy krawężnikach spalone samochody, wszędzie widać śmiecie, stare meble, lodówki, pogięte i pordzewiałe pralki. Chodniki są zagracone jak wysypiska, a rynsztoki przy krawężnikach tak zagnojone, że tworzą obłe wały między chodnikami a jezdnią.

Im dalej brniemy w tę dzielnicę, tym mniej widać kobiet, a mężczyznom coraz gorzej z oczu patrzy. Niektórzy zstępują do nas z krawężników, dwa razy ktoś czymś w nas rzuca. Żebyśmy przynajmniej nie wyglądali jak Kapitan Haddock i brodaty Tin Tin.

Wszystkie domy w tej okolicy są połączone szeregowo. Szyby w oknach powybijane, a poręcze schodków połamane, wiszą byle jak. Na mini-trawniczkach przed domami gromadzą się tylko zwały śmieci pokryte kraterami dziur, a dookoła jeszcze więcej śmieci.

Z okien wychylają się dzieciaki i kobiety, z tych okien z wytłuczonymi szybami, ale mimo to domy sprawiają wrażenie niezamieszkałych. Nigdzie nie widać firanek ani zasłon. Po trawnikach i dróżkach sterczą wraki samochodów, nadające się tylko na złom. Boże święty, naprawdę nie miałem pojęcia, jak wyglądają prawdziwe murzyńskie slumsy. W Kalifornii ani w Paryżu niczego takiego nie ma.

Owszem, byłem w Watts, ale tam przynajmniej stoją pojedyncze domki, nie ma tych długich ścian ze ślepymi oknami. Tam nędza wygląda na stan przejściowy, tutaj - jakby tak było zawsze i na zawsze miało tak pozostać.

Na jezdniach i chodnikach leżą ludzie, jak paryscy clochardzi - tyle że tutaj są to młodzi, niektórzy w dżinsach, podkoszulkach - i nikomu to jakoś nie przeszkadza.

Teraz już trzeba jechać jak na sygnale, bo ilekroć zwalniamy albo hamujemy, na samochód zwala się rój ludzi. Wskakują na maskę, walą w okna, bombardują drzwi pięściami albo otwartymi dłońmi. Wystarczy, żebyśmy się zatrzymali na dwie minuty - i żegnaj autko, żegnajcie błotniki, żegnaj emblemacie na karoserii - cokolwiek da się zerwać, zostanie zerwane. Dlatego uważnie, ale zdecydowanie prujemy do przodu, trzymając się z dala od ścian wozu. Biedzę się nad mapą, próbując ustalić miejsce, do którego odnosi się adres. Tato jak zwykle leży na kierownicy.

Najbardziej niesamowite jest to, że prawie wszyscy się śmieją. Zdaje się, że nie ma dla

nich nic komiczniejszego, niż dwóch białych w niebieskich strojach wlokących się automobilem jak z filmu przez ich teren. Chyba nie mieści im się to w głowach. Może chcą nam jedynie okazać zainteresowanie i wcale nie są groźni, ale wyglądają dosyć groźnie i obaj z Tatą mamy pełne portki strachu. W samochodzie zaczyna śmierdzieć strachem mimo klimatyzacji.

Jeszcze jedna niesamowita rzecz: wszyscy ubrani są tylko w podkoszulki albo w ogóle bez koszul, a słońce po deszczu piecze niemiłosiernie. Chodniki i jezdnie parują, para unosi się znad otworów kanałowych, wszystko jest jakieś obmierzłe i niechlujne. A my siedzimy sobie w gładkich, obciągniętych skórą fotelach. Otacza nas czyste, konserwowane, samochodowe powietrze, radio nadaje program stereo z cichym podkładem muzyki klasycznej. Trudno pogodzić te dwa światy. Jesteśmy astronautami przedzierającymi się przez wrogi człowiekowi świat: jedynie wewnętrzny system pojazdu umożliwia nam utrzymanie się przy życiu. Wystarczy jedna mała awaria, jeden błąd - i po nas.

Podobnych uczuć musieli kiedyś doznawać królowie Francji - na przykład biedny staruszek Henryk IV, któremu jakiś wariat wskoczył do powozu w Place des Vosges i załatwił go na miejscu. Nic dziwnego, że Ludwik XIV wybudował pałac aż w Wersalu - był prawdopodobnie jednym z pierwszych, którzy się wynieśli na przedmieścia w ucieczce przed miejskim szaleństwem.

Nareszcie docieramy pod adres podany na dokumentach. Ulica się zgadza, numer domu też, niby wszystko gra - tylko że to nie może być tutaj. Trudno wyobrazić sobie coś nędzniejszego niż ulica Montgomery'ego 2007. Okolica jest nie do opisania. Prawie wszystkie domy zabite deskami. Ludzie chodzą po ulicy praktycznie nago. Po drugiej stronie tkwi złamany hydrant przeciwpożarowy, wokół którego skaczą dzieciaki z gołymi tyłkami. Istna dżungla w samym sercu Filadelfii.

Trzykrotnie objeżdżamy ciąg domów, nie wiedząc, co mamy robić. Za drugim razem już na nas czekają. Dzieciaki podbiegają tuż do samochodu z ustami pełnymi wody, plują w szyby i zaśmiewają się. Dom pod podanym numerem wygląda na kompletnie opuszczony.

Kończymy trzecią rundę i już mamy dać sobie spokój, ale zatrzymujemy się dla ostatniego baczniejszego sprawdzenia, czy jest chociaż cień szansy, żeby ktoś tu mieszkał. Dwoje dzieciaków wdrapuje się po masce na dach wozu; ich bose stopy dyndają na tle przedniej szyby.

Ku naszemu najwyższemu zdziwieniu jedne z drzwi otwierają się i wybiega z nich ku nam biała kobieta. Ubrana jest w żółtą sukienkę bez rękawów, ma ciemne, niemal granatowe włosy. Podbiega do bocznego okienka i przyciska do szyby jakieś papiery. Jest to kopia dokumentów dostawczych ze zdjęciem Taty przypiętym spinaczem u samej góry. Odblokowuję drzwiczki, kobieta otwiera i wślizguje się na fotel koło mnie. Zajeżdża od niej whisky i perfumami. Otwarcie drzwi równa się otwarciu rozgrzanego piekarnika. Od wyjazdu z Bala-Cynwyd nie otwieraliśmy okien ani drzwi.

- Pan Tremont?

Tato sięga po papiery do schowka na rękawiczki.

- Tutaj mam napisane, że samochód odbiera niejaki pan Scarlietti. Pokazuje jej

dokument z tym nazwiskiem.

- Ja przyjmę za niego. Pan Scarlietti chwilowo wyjechał z miasta. Podpiszę kwit i wypłacę panom pięćdziesiąt dolarów. Tyle miało być, prawda?

Tato patrzy na mnie, a ja wzruszam ramionami. Co innego możemy zrobić - przesiedzieć resztę życia w tym gracie? Dobrze, że przynajmniej cholerne gnojki zgramoliły się z dachu. Stoją teraz całą kupą wzdłuż krawężnika po drugiej stronie ulicy. Tato wyciąga rachunki za naprawy: w sumie opiewają na ponad trzysta dolców. Kobieta patrzy podejrzliwie na nie, a potem na nas. Tato wyjaśnia jej, że dzwonił z Los Angeles i pan Scarlietti wyraził zgodę na wymianę regulatora napięcia; przegub uniwersalny robiony był już tu, w Pensylwanii, ale wtedy nie mogliśmy się dodzwonić do pana Scarliettiego.

- Jeżeli mi pani nie wierzy, proszę zadzwonić do warsztatu, telefon jest podany na rachunku, miejscowość nazywa się New Stanton.

Pokazuje palcem numer telefonu, kobieta jeszcze chwilę czyta rachunki, w końcu uśmiecha się.

- Niekiepskie autko. Nie mam przy sobie takiej forsy, któryś z was będzie musiał wejść ze mną do środka i ją wziąć. Cztery setki pokrywają wszystko, prawda?

Tato kiwa głową. Trudno mi powiązać w myślach takie sumy i taki wóz z okolicą, w której się znajdujemy. To trudno nawet nazwać okolicą. Tato mówi, żebym ja szedł, a on zostanie w wozie.

Czuję się, delikatnie mówiąc, nieco zdenerwowany. Kobieta jest ładna, trochę nawet za ładna, lat może ze trzydzieści pięć, błyszczące oczy, gładkie ramiona, niezłe nogi na wysokich obcasach z pogrubioną podeszwą.

Przebiega przez spękaną betonową ścieżkę między tak zwanymi trawnikami, a potem wbiega po kilku obtłuczonych stopniach na nie pomalowany ganek. Na zewnątrz samochodu dopada mnie z całą mocą nie tylko żar słońca; także zapachy, będące mieszaniną woni tlącego się śmietniska i zgniłych pomarańczy.

Wchodzę za nią do środka i nie mogę uwierzyć własnym oczom ani innym zmysłom. Po pierwsze - mieszkanie jest klimatyzowane. Ale to jeszcze nic. Jesteśmy w olbrzymim pokoju. Powybijali ściany działowe chyba dziesięciu sąsiadujących domów i zrobili jedno wielkie pomieszczenie. Ściany są obite krwistym brokatem i wszędzie wiszą lustra z delikatną różano-pomarańczową poświatą. Ciemne dywany mają barwę wina burgundzkiego. Jak z ostatnich trzydziestu dziewięciu stronic *Wilka Stepowego.* Pałac Cezara wyglądałby przy tym jak prowincjonalna drogeria. Stoję z rozdziawioną gębą. Kobieta gdzieś się ulotniła.

W każdej chwili spodziewam się ciosu w tył głowy owiniętą aksamitem pałką. To jakaś szulerska melina na większą skalę albo burdel, a może i jedno, i drugie razem.

Najlepiej wiać stąd, póki czas, i kazać Tacie ruszać pełnym gazem. Samochód porzucimy gdzieś w pobliżu, tam gdzie zaczną się normalne krawężniki. Zadzwonimy, powiemy, gdzie stoi, i hop w samolot. I lecimy. Robi mi się autentycznie zimno pod dżinsową kurtką. Może dostałem szoku i zwolniło mi się krążenie.

Rozglądam się po pokoju. Pozostały w nim schody ze wszystkich zagarniętych

domów; pną się szeregiem jedne za drugimi.

Chociaż z tymi lustrami i przyćmionym światłem w ogóle trudno stwierdzić, co się naprawdę widzi. Pod każdymi schodami wbudowano mały drewniany barek, a wzdłuż ścian stoją obite skórą albo pluszem kanapy. Na pewno burdel, nie ma wątpliwości. Nigdy nie byłem w burdelu, ale tak go sobie zawsze wyobrażałem.

W końcu, właśnie kiedy postanawiam spieprzać, wraca ta kobieta. Już się tak nie spieszy, a w przyćmionym świetle jej sukienka ma kolor pomarańczowy. Uśmiecha się do mnie kącikami ust i odlicza cztery studolarowe banknoty, a kiedy mi je wręcza, przytrzymuje je palcami jak szczypcami, tak jak to robią w banku. To na pewno podrabiane banknoty, są nowiuteńkie - chociaż, z drugiej strony, jaką cyrkulację ma taki studolarowy banknot?

Nie mówię nic, chcę tylko wydostać się stąd jak najprędzej. Jestem tak skołowany, że na pożegnanie wyciągam do niej rękę francuskim obyczajem. Odpowiada silnym, zdecydowanym uściśnięciem dłoni. Nie sądzę, żeby tego typu damę cokolwiek mogło zdziwić. Podchodzi do drzwi, ale zanim je otwiera, ja opamiętuję się nieco.

- Czy mamy przynieść pani kluczyki tutaj, czy zostawić je w samochodzie? Uśmiecha się.

- Niech go panowie lepiej zamkną i przyniosą mi kluczyki, musimy jeszcze podpisać dokumenty dostawcze.

Chciałbym, żeby Tato obejrzał to mieszkanie. Na słowo nigdy mi nie uwierzy - i wcale mu się nie dziwię. Wystawiam głowę przez drzwi i drę się do niego. Nie słyszy mnie ze środka samochodu, więc daję znaki ręką. Otwiera drzwiczki i wystawia głowę.

- Zamknij wóz, Tato, i przynieś tu kluczyki. Dokumenty też.

Dzieciaki i sąsiedzi ustawili się szpalerem wzdłuż ulicy. Nikt się nie rusza. Tato zatrzaskuje drzwiczki i sprintem wbiega na schodki. Odsuwam się, żeby go wpuścić.

Zamiera w pół kroku, jakby mu ktoś nagle przysunął w potylicę woreczkiem z piaskiem. Patrzy na mnie, patrzy na kobietę. Wolno obraca głowę, chłonie wnętrze. Ogląda się na drzwi.

Kobieta wyciąga rękę po kluczyki. Bawi się nie gorzej niż ja.

- Da mi pan w końcu te kluczyki? Już mu zapłaciłam.

Pokazuje palcem na mnie, a ja kiwam głową. Tato wrzuca kluczyki w jej otwartą dłoń. Kobieta wkłada je do kieszeni sukni na biodrze. Sięga po dokumenty.

- Co mamy podpisać?

Tato podaje jej papiery. Ręce mu się trzęsą. Kobieta prowadzi nas do najbliższego barku, gdzie jest lepsze światło. Tato idzie przede mną, ja zamykam pochód. Wymykają mi się dwa niegłośne pierdnięcia: zawsze pierdzę, jak się zdenerwuję.

Załatwiamy ceremonię podpisania. Ona zatrzymuje swój egzemplarz, Tato swój chowa do kieszeni. Chce jej oddać resztę, około pięćdziesięciu dolarów, ale ona tylko macha ręką.

- Kto wy właściwie jesteście - bracia, ojciec i syn, czy co? Widzę was jak przez kalkę.

Nie mogła powiedzieć Tacie większego komplementu, za to ja mam już po dziurki w nosie bycia kopią wyplutą przez biologiczną machinę czasu.

- To mój syn, Bill. Niesamowity dom tu macie, kto by się spodziewał?

- Podoba się, co?

Uśmiecha się jeszcze raz tak samo, bardziej oczami niż ustami.

- W głowie się nie mieści.

- A chciałby pan wiedzieć o nim coś więcej?

Nie robi nic złego, po prostu delikatnie go wciąga.

- Tak, nawet bardzo. Na przykład, ciekawi mnie, jak zamierzacie korzystać w tych okolicach z dostarczonego przez nas samochodu. I skąd, w samym środku tej degrengolady, takie gniazdo rozpusty?

- Zgadł pan, panie Tremont. To właśnie jest dom rozpusty.

Przynajmniej bez ogródek. Proponuje nam po kieliszku, a kiedy skinieniem głowy wyrażamy zgodę, wyciąga lód z lodówki, sypie go w rżnięte szklanki i zalewa Ballantine Scotch. Jak u Jamesa Bonda, nie chce się wierzyć, że to się naprawdę dzieje. W dalszym ciągu spodziewam się lada chwila bezgłośnego ciosu w tył głowy - albo tutaj, albo kiedy przekroczymy próg. Smakuję, czy w alkoholu nie ma środka unieszkodliwiającego.

- Jak chcecie, możecie zostać i trochę się zabawić. Nie ma teraz wielkiego ruchu. Kosztowałoby jednego żołnierzyka z tego, co właśnie zarobiliście.

Ja chromolę! Stary reaguje na to tak, jakby całe życie przyjmował popołudniowe zaproszenia od pięknych kurtyzan. Uśmiecha się i mówi, że niestety, ale oczekują nas znajomi; czy jest tu gdzieś w pobliżu przystanek autobusowy albo tramwajowy, z którego dojechalibyśmy do Bala-Cynwyd?

- Jak słowo daję, nie mam zielonego pojęcia. Ja tu w ogóle nie wychodzę z domu. Nawet nie mieszkam na stałe w Filadelfii; pochodzę z Newark. Przepraszam, nie mogę wam pomóc, ale zdaje się, że zaraz za rogiem jest bar. Może tam będą wiedzieli.

Skoro widzi, że nie ma z nami dalszych interesów, z uśmiechem, cały czas paplając, ale stanowczo, odprowadza nas do tych samych drzwi, którymi weszliśmy. Wszystkie pozostałe drzwi są pozabijane i przesłonięte lustrami albo brokatem. Przed tymi wiszą od strony pokoju ciężkie zasłony, tak że w ogóle trudno się ich domyślić.

W jednej chwili stoimy wyrzuceni na zewnątrz, w oślepiającym słońcu. Upał, wilgoć i smród; tłum czarnych gapiących się na nas z przeciwnej strony ulicy. Z hydrantu przeciwpożarowego wciąż tryska woda. To dziesięć razy gorsze niż wyjść z kina po dziennym seansie: oczy bolą mnie tak, jakbym połknął pół litra lodów w trzy minuty. Nad wszystkim zaś unosi się tak przytłaczające uczucie nienawiści, że mróz przeszedłby mi po plecach, gdybym miał w sobie jeszcze chociaż odrobinę chłodu. Pot dosłownie spływa ze mnie strumieniami pod dżinsową kurtką.

Idziemy krokiem spacerowym, żadnych biegów, do końca uliczki i skręcamy za róg. Rzeczywiście, jest tam coś, co od biedy można by nazwać barem. Słowo “BAR" widnieje na szczątkach potłuczonej kolorowej witryny, a przed wejściem snują się czarni faceci o ponurych minach. Jeden leży rozciągnięty w rynsztoku, krwawiąc z nosa i z ust. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Jakiś ulizany, chudy typas, któremu krew ścieka po koszulce na

piersiach, zagradza sobą wejście do tak zwanego baru.

Nikt nie krzyczy, nikt nawet nie okazuje nam zainteresowania. Mój pieprznięty stary mija typa w drzwiach i sunie wprost do grubasa za barem. Wszędzie leży pełno stłuczonego szkła. Czekam na ulicy. Wszystkie oczy śledzą Tatę, jakby był Kleopatrą zstępującą ze swojego statku na rzece Nil. Czekam, kiedy się odwrócą frontem do baru. Na scenę zaczynają wylegać kolejne szczury podziemia. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że mogę skończyć gwałtowną śmiercią w Północnej Filadelfii.

Jakieś rozrośnięte byczysko zbliża się wyraźnie w moją stronę. Na głowie ma czarny skórzany kapelusz, tors opięty cienką, żółtą jedwabną koszulą. Tato dalej rozmawia z grubym barmanem.

- Hej tam, synek, czego wy tu szukacie?

- Dostarczyliśmy samochód z Kalifornii jednemu facetowi za rogiem, szukamy autobusu do miasta. Ten w barze to jest mój stary.

- Kurwa, synek, to żeście naprawdę głupio trafili. Zostało wam może z pięć minut życia, jak się w te pędy nie zmyjecie. Chodźta lepiej za mną, ale już. Zabieraj starego i trzymaj dupę blisko mnie.

Facet musi mieć sześć stóp sześć cali z górą, a w barach co najmniej trzy stopy szerokości. Wygląda jak muskularny koszykarz, któremu noga się powinęła i zszedł na psy, albo obrońca drużyny Pittsburgh Steelers. Przemawia chłoszczącym, dobitnym półszeptem.

Tato wychodzi z baru. Mówię mu, że ten facet odprowadzi nas do autobusu. Po minie Taty widzę, że w barze nie najlepiej mu poszło. Podejrzewam, że w tym barze nikomu za dobrze nie idzie. Ustawia się za moimi plecami i maszerujemy gęsiego za osiłkiem w czarnym skórzanym kapeluszu i żółtej koszuli.

Niewykluczone, że prowadzi nas w jakiś zaułek na prawdziwe lanie - nie mielibyśmy szans nawet we dwóch przeciwko niemu jednemu. Ale wyboru też nie mamy. Olbrzym co chwila sprawdza, czy nie zostajemy za daleko w tyle. Za jeden jego krok musimy stawiać po dwa, sadzi do przodu jak niedźwiedź kodiak. Za nami podąża procesja czarnych jak ławica rekinów. Jakieś trzy ulice dalej olbrzym prowadzi nas do drzwi z napisem SETON HALL. Z zewnątrz wygląda to na jeszcze jedną obskurną ruderę, ale w środku okazuje się, że działa tu miniaturowy kantorek Armii Zbawienia. Na stołach leżą koce i sterty ciuchów, jeszcze więcej starych ciuchów wisi na wieszakach. Olbrzym podchodzi do osoby siedzącej za stołem koło drzwi. W pokoju roi się od much.

- Able, przypilnuj, żeby ci dwaj odjechali stąd spokojnie autobusem. Nie puszczaj ich na ulicę. - Uśmiecha się i wychodzi, nie oglądając się już na nas ani razu. Tu też pracują sami czarni. Ten przy stole podnosi na nas wzrok.

- Siedźcie spokojnie. Powiem wam, kiedy wyjść. Tędy jeździ miejski autobus.

Siadamy, rozglądamy się po wnętrzu. Tu się odplamia, ceruje i prasuje ubrania - w takim gorącu! Nie wiem, jak oni to wytrzymują. To jakaś katolicka służba dobroczynna. Na ścianie wisi obraz Jezusa z sercem na wierzchu, nakłutym cierniami i ociekającym krwią.

W końcu facet każe nam się szykować. Wychodzi na krawężnik i machaniem ręki

zatrzymuje autobus. Cholera, nigdy bym się nie domyślił, że to autobus: wszystkie okna ma zabezpieczone siatkami. Wygląda jak wóz opancerzony, tylko nieco dłuższy. Facet osłania nas, kiedy idziemy przez chodnik, po czym wskakujemy na stopień autobusu. Kierowca siedzi zamknięty w klatce. Wsuwamy po pięćdziesiąt centów przez otworek w siatce do obrotowego metalowego licznika. Kierowca wciska guzik i przez ruchomą barierkę wpuszcza nas do środka. Poza nami nie ma tu bladych twarzy, a my naprawdę wyglądamy blado, chociaż dopiero co przyjechaliśmy z Kalifornii. Możliwe, że powinniśmy przejść na koniec autobusu, ale jedyne wolne miejsca są tuż przy wejściu.

Nie mamy pojęcia, dokąd jedzie ten autobus. Tato mówi, że dopóki będzie jechał na południe, to jedziemy. Wysiądziemy, jak zobaczymy za oknem twarze, które nie będą ani czerwonawobrązowe ani sinobrązowe, ani brązowoczarne.

Autobus jedzie do Środkowej Filadelfii: wyrzuca nas przy City Hall. Tato mówi, że stąd do Bala-Cynwyd można dojechać kolejką. Proponuje, żebyśmy poszli coś przekąsić i oblać wielką przygodę.

Zbliża się trzecia. Dostarczenie samochodu zajęło nam ponad cztery godziny. A dla mnie trwało tyle, co trzy lata na Diabelskiej Wyspie. Naprawdę czuję się jak zbiegły więzień. Przez sentyment, kierujemy się do najbliższej pizzerii. Okazuje się ona regularną włoską restauracją, gdzie podają prawdziwą pizzę, a nie jakiś amerykański gniot z ketchupem i amerykańskim serem o smaku mydła. Smakuje jak w Europie. Kiedy zamykam oczy, czuję niemal smak Francji.

Cały ten dzień był jak wisienka na torcie. Czuję, że pora wracać do domu. Czas na odrobinę staroświeckiej cywilizacji; nie nadaję się do zmagań z wielkim amerykańskim eksperymentem na polu demokracji.

Pociąg dla dojeżdżających do pracy dowozi nas o jakieś trzy ulice od Hillów. Jakże inaczej chodzi się po takich ulicach. Ocieniają je wielkie, rozłożyste drzewa, stykające się koronami nad jezdnią jak rozpięte parasole. Potężne korzenie wzdymają chodnik w małe pagórki. Mimo to, chodniki nie są spękane: łagodne krzywizny pozalewano betonem. Domy wybudowane są z surowego lub szlifowanego kamienia, trzypoziomowe, z wdzięcznymi ganeczkami. Dookoła hałasują utrzymujące ład terenu kosiarki, trzaskają szklane drzwi. Damy za kierownicami dużych samochodów-furgonetek krążą po ulicach z prędkością dwudziestu mil na godzinę - robią zakupy.

Aż trudno uwierzyć, że o pięć czy sześć mil stąd kłębi się ludzka dżungla. Co będzie, kiedy ludzie stamtąd przypuszczą tutaj szturm? Wzdragam się na samą myśl: za żadne skarby świata nie chciałbym być tu wtedy obecny.

Rozdział 20

Z samego rana dzwonię do psychiatry. Jego nazwisko brzmi Delibro. Próbuję chociaż częściowo naświetlić sytuację przez telefon. Doktor pyta, czy mógłbym przyjść do niego na rozmowę.

Wizytę z Tatą ustalamy na drugą, ale ja mam przyjść zaraz. Nie wiem, czy wywnioskował z mojego tonu, że sprawa jest pilna, czy po prostu nie cierpi na nadmiar pracy - ale wszystko jedno, cieszę się, że mogę działać natychmiast. Delibro prosi mnie, żebym zadzwonił do Perpetual i wyciągnął historię choroby Taty. W Perpetual informują mnie, że mogę odebrać kartę po południu.

W cztery oczy zawiadamiam Tatę, że zamówiłem mu wizytę u lekarza, a teraz idę na wstępne rozeznanie.

Już przed dziesiątą pukam do gabinetu doktora Delibro na Santa Monica Boulevard. Przychodnia jest sympatyczna, urządzona w kalifornijskim stylu “na luzie". Całe ściany wyłożono czymś, co przypomina listwy ze skrzyń do transportu okrętowego, z drukowanymi ostrzeżeniami “OSTROŻNIE, KRUCHY TOWAR" i “TU GÓRA" - trochę to niesamowite w poczekalni u psychiatry.

Delibro jest młody, około trzydziestu pięciu lat, niski, z puszystymi bakami i szerokim wąsem. Typ urody francuskiego policjanta. Uśmiecha się sympatycznie, rękę podaje w sposób neutralny.

W gabinecie nie ma kanapy. Mogłoby to równie dobrze być biuro ubezpieczeniowe. Delibro nie siada za biurkiem, tylko w wygodnym, czarnym, skórzanym fotelu, ustawionym pod kątem czterdziestu pięciu stopni do drugiego fotela, który zajmuję ja. Siedzimy nie całkiem twarzą w twarz: ja patrzę na niego przez swoje lewe ramię, a on na mnie przez swoje prawe. Całkiem wygodna pozycja. Czuję, że nic tu nie jest przypadkowe.

Podprowadza mnie pytaniami, a ja relacjonuję wszystko najlepiej, jak potrafię. Pytania zadaje ostrożnie i wyraźnie widzę, że moje zaangażowanie w sprawę interesuje go nie mniej niż stan Taty. Dopiero po dłuższej chwili wciąga się w to, co usiłuję mu przekazać.

Pyta, dlaczego tak bardzo się przejmuję. Sam sobie zadawałem to pytanie. Może to rzeczywiście, jak mówią, typowa oznaka starczego zdziecinnienia, rzecz niewarta zachodu, ale chciałbym mimo wszystko zasięgnąć opinii fachowca. Dodaję, że Tato sam mnie prosił o zaaranżowanie wizyty.

Dalszy ciąg godzinnej rozmowy przebiega bez zakłóceń. On rzeczywiście słucha, nie udaje. Zadaje wnikliwe pytania. Mam nadzieję, że ten nieco “hippisowski" wystrój gabinetu nie zrazi Taty. Trochę się bałem, że trafię na jakiegoś kaznodzieję albo rabina, który się minął z powołaniem, w złoconych okularkach i z przylepionym na stałe uśmiechem. Delibro zaś wygląda na człowieka, z którym Tato zdoła nawiązać porozumienie. Nie emanuje postawą “szefa", nie wysyła żadnych niepokojących sygnałów. Tato będzie się czuł, jakby rozmawiał z siostrzeńcem albo z wnukiem.

Wracam do domu. Mamie mówię, że po południu wybieramy się z Tatą na wizytę do

gerontologa. Mama, która nie odróżnia gerontologa od ginekologa, znowu wpada w rozpacz. Tłumaczę jej, że gerontolog jest to lekarz specjalizujący się w dolegliwościach wieku starczego. Słowa “psychiatra" w ogóle nie wymieniam, nie trzeba podsycać koncepcji Mamy o “wariactwie".

Mówię Tacie, jaka jest moja opinia o Delibro. Słucha i kiwa głową.

- Wiesz, Johnny, trochę się nad tym zastanawiałem. Najtrudniej jest mi rozdzielić te dwa światy. Czasami muszę się zatrzymać i uważnie pomyśleć, gdzie ja tak naprawdę teraz jestem. Bywa, że robię coś w oranżerii, a myślami jestem w Cape May. Za dnia bywam tam najczęściej właśnie wtedy, kiedy pracuję w szklarni. Szklarnia to inny świat, odizolowany, tam jestem sam ze swoimi roślinami i myślami, myśli wędrują, gdzie chcą. Ale nie przejmuj się, John, ja pracuję nad sobą. Jeszcze rozgryzę ten problem, zobaczysz.

Do Santa Monica dojeżdżamy tuż przed drugą. Bez trudu doprowadzam Tatę do gabinetu, ponieważ parking jest wewnątrz budynku, a z parkingu na górę jeżdżą windy. Historię; choroby Taty z Perpetual oddaję sekretarce. Tato chłonie wnętrze.

- Jak na psychiatrę, to musi być bardzo biedny facet: zrobił sobie boazerię ze skrzyń okrętowych, widziałeś? Może biurko ma ze skrzynki po pomarańczach.

W tej samej chwili wychodzi do nas Delibro. Uśmiecha się krzepiąco i natychmiast całą uwagę poświęca Tacie. Tato patrzy mu w oczy i nabieram nadziei, że wszystko będzie dobrze. Widzę, że Tato próbuje ustalić, czy siedzący przed nim facet jest szefem, czy nie. Ma gabinet, owszem, jest doktorem, ale chodzi ubrany w miękki ciemnoniebieski sweter z golfem.

Wszyscy trzej przechodzimy do gabinetu. Podczas naszej rannej rozmowy Delibro powiedział, że mogę być obecny przy wizycie, ale na jego sygnał będę musiał natychmiast wyjść. Pokój jest tak urządzony, że jedno krzesło wypada akurat przy drzwiach: uznaję, że to jest właśnie moje miejsce. Tato siada w tym samym fotelu, który ja zajmowałem rano.

Delibro bardzo taktownie prowadzi rozmowę z Tatą jednocześnie przeglądając dokumenty ze szpitala.

Wypytuje o Mamę, o jej zawały, o operację Taty. Potrafi okazywać szczere współczucie. Widzę, że penetruje sytuację, ustala zasady kontaktu z Tatą, ale nie jest przy tym ani trochę obcesowy. Tato kiwa głową, uśmiecha się, słucha pilnie. Przy czym nie jest to potakiwanie: “Tak jest, szefie", tylko coś całkiem nowego; Tatę cieszy, że znalazł się w centrum czyjejś uwagi.

Jak na sto dolców za godzinę, rozmowa jest wyjątkowo banalna, ale wiem, że nie wolno szarżować; Tato natychmiast by się speszył. Wreszcie Delibro strzela z grubej rury:

- Panie Tremont, pański syn mówił mi, że czuje się pan uczestnikiem drugiego, równoczesnego życia. Czy mógłby mi pan powiedzieć o tym coś więcej?

Uśmiecha się i milknie wyczekująco. Tato patrzy na mnie.

- Oczywiście, Tato, powiedz panu doktorowi. Opowiedz mu o Cape May i o tym wszystkim, o czym mówiłeś.

Tato zaczyna nieśmiało, ale rozkręca się, kiedy wyczuwa skupione, życzliwe zainteresowanie doktora. Przeplata opowieść wtrętami w rodzaju: “Wiem, że to głupio

zabrzmi, ale..." albo: “Na pewno trudno w to uwierzyć, ale..." I jakoś wyrzuca wszystko z siebie.

Modlę się, żeby Delibro nie kazał mi właśnie teraz wyjść do poczekalni. Tato mówi rzeczy, o których przedtem nie wspominał. Jest w tej chwili znacznie bardziej przekonany o tym, że przebywa w dwóch miejscach jednocześnie, niż podczas rozmowy ze mną. A to godzi w jego poczucie realizmu. Gwałci perfekcjonistyczny, logiczny instynkt inżyniera.

Z początku Delibro stosuje ograne psychologiczne odzywki - “Taaak", “Naturalnie, naturalnie...", “Proszę mówić dalej...", “Hmmmm...", itepe, ale już po pięciu minutach Tacie nie potrzeba żadnej zachęty. Ma w sobie cały gotowy świat, niecierpliwie oczekujący narodzin; żadne kleszcze tu niepotrzebne. Nie wiem, czy mam słuchać Taty, czy obserwować Delibro, czy śledzić tok własnych myśli. Delibro jest tak zafascynowany historią Taty, że aż rozdziawił usta.

Opowieść jest niesłychanie drobiazgowa: szczegółowy opis szycia butów, skrzynka do mierzenia obuwia, którą Tato sam zaprojektował, zszywanie kawałków skóry; sadzenie ziemniaków, oczekiwanie, aż wzejdą, zbiory, wiązanie cebuli w supeł, żeby rodziła zdrowe bulwy. Szczegół za szczegółem. Widać, że Tato chciałby ujawnić wszystko. Dotychczas był rozdarty między przyjemność, jaką znajdował w tym świecie, a poczucie winy.

To tak, jakby malarz przez trzydzieści lat malował w pustej sali fresk-arcydzieło i nie mógł go nikomu pokazać, ponieważ malował kradzionymi farbami, ukradkiem, w cudzym domu i bez zgody właściciela.

Tato zwierza się doktorowi Delibro jeszcze swobodniej niż mnie. Nagle Delibro mruga do mnie okiem: czas wyjść. Próbuję wymknąć się bezszelestnie, ale Tato jest czujny.

- Dokąd ty się wybierasz, Johnny? Trzeba już iść?

- Idę się napić wody, Tato. Będę za drzwiami, w poczekalni. A ty możesz tu jeszcze chwilę porozmawiać z doktorem.

Tato przyjmuje to bez zastrzeżeń. Wychodzę. Siadam w poczekalni. Czytam wszystkie czasopisma po kolei, a oni siedzą w gabinecie jeszcze prawie dwie godziny. Dzięki Bogu, że facet nie uskarża się na nadmiar pracy. Zamieniam parę słów z sekretarką: jest to Japonka, studiuje psychologię na UCLA. Z niektórymi jej wykładowcami sam miałem do czynienia dwadzieścia lat temu. Uniwersytet to miejsce, gdzie czas wydaje się stać w miejscu.

Ciągle mam ochotę wstać i zacząć się przechadzać od ściany do ściany jak przyszły ojciec pod salą porodową. Nie mogę się nadziwić brakowi innych pacjentów. Może to pora sjesty dla czubków?

Samo wynajmowanie gabinetu w tym budynku musi kosztować majątek, a do tego jeszcze sekretarka. Przy takich wydatkach w tydzień trafiłbym do domu wariatów.

Wreszcie wychodzą obaj, zagadani, roześmiani.

- Powiem panu, panie Tremont, że mało słyszałem w życiu takich ciekawych historii jak opowieść pańskiego ojca. Z ręką na sercu, myślę, że dla większości ludzi świat codzienny jest mniej rzeczywisty niż dla niego życie w Cape May.

Zatkało mnie. Sekretarka siedzi i słucha sobie w najlepsze, a przecież zawsze wpajano mi wizję psychiatry jako nadczłowieka potajemnie drążącego ukryte działania

podświadomości. Delibro opowiada o fantazjach Taty, jak gdyby obaj właśnie wyszli z dobrego filmu. Dopiero za trzecim nawrotem skołowanych myśli uświadamiam sobie, że w przypadku Taty trudno było obrać lepsze podejście. Najważniejsze to wydobyć wszystko na jaw, żeby się mogło swobodnie rozwiać. Potraktowanie Taty jako szeregowego przypadku, być może interesującego, oryginalnego, ale nie budzącego powodów do paniki, jest prawdopodobnie jedynym słusznym zabiegiem.

Delibro lekko otacza Tatę ramieniem. Robi to sympatycznie, bez wyższości. Są z Tatą jednego wzrostu.

- Porozmawialiśmy sobie. Pański tato doskonale rozumie, że to są wszystko fantazje; w tej kwestii nie ma dla niego dwóch zdań. Jest to nie kończący się długi sen, który sam sobie stworzył.

Zdejmuje rękę z pleców Taty i uważnie patrzy mi w oczy.

- Chciałbym ponownie spotkać się z pańskim ojcem, jak najszybciej. Musimy popracować nad rozdzieleniem jawy i snu, tego, co możliwe, od tego, co niemożliwe. Trzeba przede wszystkim znaleźć sposób na to, żeby mógł przenieść w życie codzienne najlepsze partie snu.

Tato nachyla się ku mnie, bacznie śledzi moją reakcję. Jest z siebie dumny - to widać po jego postawie, po uśmiechu -artysta, który odsłonił dzieło. Delibro uśmiecha się szeroko do nas obu.

- Nie wiem, dlaczego pan Tremont nie miałby z powodzeniem połączyć snu i jawy. W życiu codziennym od lat znajduje zbyt mało przyjemności, toteż przeniósł je sobie w świat marzeń. Po chorobie wszystko się zmieniło. Od kilku tygodni ojciec pana jest szczęśliwy, mur runął, a on wnosi w codzienność radość życia, którą tak długo ukrywał.

Delibro prosi Tatę, żeby posiedział chwilę w poczekalni, ponieważ chce zamienić ze mną dwa słowa. Tato z uśmiechem rozpiera się w fotelu. Sekretarka też się uśmiecha. Wiem, że ledwie znikniemy za drzwiami gabinetu, Tato zacznie ją zagadywać. Pytam Tatę, czy mogę go śmiało zostawić samego.

- Oczywiście, świetnie się czuję. Może doktor zdoła pewne rzeczy lepiej wytłumaczyć tobie niż mnie. To wszystko jest takie skomplikowane; ja właściwie dalej nie rozumiem, co się dzieje. Posłuchaj, co ci doktor powie, a potem wszystko mi powtórzysz.

Siadamy w gabinecie. Delibro zaplata dłonie na piersiach. Pyta, czy znam się trochę na metodzie analitycznej, czy konsultowałem się kiedyś z psychiatrą albo czytałem coś na ten temat. Widzę, że nie ma co się dalej wykręcać. Delibro wygląda na tak rozgarniętego, że nie powinno to odegrać między nami większej roli.

- Jestem, jakby to powiedzieć, niedorobionym psychologiem. Ponad dwadzieścia lat nie praktykowałem, ale mam stopień naukowy z psychologii nauczania. O analizie trochę czytałem, ale sam nigdy się jej nie poddawałem.

- Czyli mogę używać języka fachowego. Sądzę, że pański ojciec reprezentuje pozytywny przypadek schizofrenii. Zna pan prace R.D. Lainga?

Kiwam głową. Jego akurat czytałem, a przynajmniej *Politykę doświadczenia*.

- Podpisuję się pod jego koncepcją schizofrenii jako alternatywnego systemu zmagania się ze światem. Przypadek tak klasyczny, jak u pańskiego ojca, jest rzadkością. Na ogół ludzie nie potrafią pogodzić alternatywy, a w rezultacie przestają funkcjonować w społeczeństwie lub też kryją iluzję w sobie do końca życia, nigdy jej nie ujawniając. Przeżycia szpitalne wydobyły sekret pańskiego ojca na światło dzienne. Jest on typowym przykładem człowieka, który radzi sobie ze schizofrenią. Literatura notuje kilka przypadków połączenia doświadczeń alternatywnych: Jonathan Swift, William Faulkner, z bardziej współczesnych - Tolkien. Wymaga to niezwykłej inteligencji, siły woli i wyobraźni. Pański ojciec cały swój ogromny potencjał twórczy ulokował w tym śnie, całkowicie oderwanym od życia codziennego. Widocznie na co dzień nie znalazł dla niego zastosowania. Skonstruował, stworzył sobie model życia, który odpowiada mu bardziej niż życie realne. Stworzył intymny, zamknięty i chyba szczęśliwy świat.

Delibro osuwa się głębiej w fotel i gładzi palcami poręcze. Na jego twarz wypełza powoli mimowolny uśmieszek.

- Chwilami aż trudno mi było zachować dystans do opowieści pańskiego ojca. Jego fantazje są tak spójne, tak bogate w szczegóły - a zarazem idylliczne - że działa jak średniowieczny mag objaśniający naturę raju. Konstrukcja jego fantazji przypomina powieść, powieść będącą spełnieniem najskrytszych pragnień autora. Większość ludzi uczestniczy w cudzych światach wyobraźni poprzez filmy, książki i telewizję, a pański ojciec ma swój własny, prywatny świat - a nawet coś więcej, bo wbudował go w rzeczywistość. Nie wiem, czy mógłby, a nawet czy powinien, całkowicie z niego rezygnować.

Waham się, czy mu zadać dręczące mnie pytanie. Ale to w końcu psychiatra, za to bierze pieniądze.

- Doktorze, wiem, że to zabrzmi jak pytanie z Księżyca, ale czy nie wydaje się panu możliwe, że Tato funkcjonuje w innej ciągłości czasu albo że gdzieś po drodze przełączył biegi i naprawdę doświadcza tego, o czym mówi?

Delibro przygląda mi się ze zdwojoną uwagą. Trzeba było trzymać język za zębami. Jednym zdaniem przekreśliłem resztki swojej wiarygodności jako fachowca.

- Rozumiem pana, trudno uwierzyć, że on to wszystko zmyślił. Sam miałem niesamowite wrażenie, że po prostu odsłania kurtynę, pozwalając mi ujrzeć to, co sam doskonale widzi - coś w pełni realnego.

Zawiesza głos, wpatruje się w końce własnych palców.

- Ale nam nie wolno przyjąć takiej hipotezy, panie Tremont. Musimy bazować na tym, co wiemy, jeżeli w ogóle mamy mu pomóc. Doraźnie nie ma to większego znaczenia, czy wszystko to jest tworem wyobraźni, czy zjawiskiem wynikłym z odkształcenia czasu. Nie róbmy z pańskiego Taty kolejnego Brideya Murphy'ego, zgoda?

Patrzy mi w oczy z uśmiechem. Ma rację.

- Moim zdaniem, powinniśmy przede wszystkim stwierdzić, co szwankuje w jego codziennym życiu, stwarzając potrzebę budowania świata alternatywnego.

Szybko trafia w sedno. Próbuję nie obnażać zanadto stanu swoich uczuć.

- Z początku myślałem, że mogą to być tylko przejściowe iluzje, wynikłe z

traumatycznych doświadczeń szpitalnych, stanu agonalnego, który ojciec przeszedł, i lęku przed rakiem. Czy on mówił panu, jak panicznie boi się raka? Doświadcza wizji raka graniczących z psychozą. Pochodzę z rodziny katolickiej: w niektórych jego wizjach rozpoznaję projekcje zła, diabła. Rak przybiera dla niego cielesną postać wroga dybiącego na jego życie, pożerającego wszystko, co kocha.

Widzę, że Tato rzeczywiście z niczym się nie krył. Niezły jest ten Delibro, skoro wyciągnął z niego nawet zwierzenia na temat raka.

- Ale w tej chwili jestem przekonany, że jego “sen" trwa od dawna, od trzydziestu lat, może i dłużej. Stał się motorem jego życia wewnętrznego. A jego życie wewnętrzne nie ma nic wspólnego z życiem na zewnątrz. To bardzo niebezpieczny stan, panie Tremont: zdumiewające, że on w ogóle potrafił w tym stanie funkcjonować. Nic dziwnego, że choroba żony, szok pooperacyjny, wyrwanie z naturalnego otoczenia, wiadomość o raku spowodowały, że wycofał się w “tamten" świat, który tylko na niego czekał.

Zaczynam się niepokoić o Tatę pozostawionego samotnie w poczekalni. Zbyt dobrze pamiętam jego nagłe zniknięcia.

- Pański ojciec to uroczy człowiek. Rzadko spotyka się mężczyznę po siedemdziesiątce, który miałby w sobie tyle cech chłopięcych, tyle rozmaitych zainteresowań i ciekawość świata. Spotykam wielu starych ludzi i stwierdzam, że jedną z głównych cech starości jest wzmożona surowość, sztywność, utrata witalności i ogólna degeneracja poczucia ciekawości i humoru. W przypadku pańskiego ojca nie ma o tym mowy. Najbardziej interesuje mnie, co go zmusiło do budowania świata fantazji. Co mu się aż tak bardzo w życiu nie udało?

- Chciałbym, doktorze, żeby pan porozmawiał z moją matką. Przypuszczam, że to pozwoliłoby panu lepiej zrozumieć Tatę.

- Zamierzałem właśnie zapytać, czy byłoby to możliwe. Ze słów pańskiego ojca wywnioskowałem, że łączą go z żoną silne więzy i że matka pańska mogłaby mi naświetlić pewne sprawy.

Powiedzieć mu? A może niech się sam przekona? Muszę go jednak przynajmniej ostrzec.

- Doktorze, moja matka jest osobą bardzo trudną. Nie ręczę, czy zdołam ją nakłonić do przyjścia tutaj.

Wychyla się na siedząco do przodu: Sherlock Holmes, który właśnie usłyszał psa, chociaż ten nie szczekał.

- Proszę powiedzieć mi o niej wszystko, co zdaniem pana powinienem wiedzieć.

Co za wspaniałe postawienie sprawy. To na pewno klasyczna podręcznikowa formuła: zachęcająca, a zarazem pozwalająca na dużą dowolność. Raz kozie śmierć, przecież chcę pomóc Tacie.

- Matka przeszła w życiu dwa poważne załamania nerwowe. W sytuacji zagrożenia atakuje, a przestraszyć ją można byle czym. Ma głębokie przeświadczenie, że wychodząc za ojca popełniła największy błąd w swoim życiu, a jednak jest emocjonalnie całkiem od niego zależna. Wiem, że to, co mówię, brzmi jak typowe narzekania syna w średnim wieku na

matkę, ale takie są moje odczucia. Mówiąc zwięźle: matka jest osobą trudną we współżyciu, wymagającą, nienasyconą i bezwzględną.

Poszło. Delibro wciska paznokcie obu kciuków między przednie zęby. Może czuje się gorszy, bo nie ma furtki w zębach. Czekam. Jest tak cicho, że słyszę tykanie zegara. Jezus Maria, ta konsultacja trwa już ponad trzy godziny; trzeba będzie sprzedać dom na pokrycie rachunków za samego psychiatrę.

- Jeszcze jedno, doktorze: moi rodzice nie są zbyt zamożni, ja też nie. Nie wiem, czy będzie ich stać na dłuższe leczenie psychiatryczne. Przykro mi o tym mówić, ale jak ocenia pan czas i koszty konieczne dla uzyskania poprawy? Jeżeli włączymy w to Mamę, nie wystarczy panu czasu na zarabianie pieniędzy u innych pacjentów.

Delibro rozpiera się w fotelu, uciska dłońmi poręcze, przy czym palce ma sztywne, lekko uniesione do góry. Spogląda na palce jednej, potem drugiej ręki: przypomina mi pianistę tuż przed atakiem na klawiaturę.

- Oboje pańscy rodzice będą na pewno dotowani przez Medicare. Resztę uda mi się może wyciągnąć od Perpetual albo Medical. Proszę o tym nie myśleć. Jeżeli nie będą mogli wyłożyć tych dwudziestu procent, załatwimy sprawę jakoś inaczej. Nie zgadzam się z teorią Freuda, że leczenie musi kosztować, żeby pacjent je docenił. To typowa wiedeńska sadomasochistyczna bzdura. Proszę się nie martwić o pieniądze: nie ograbię pańskich rodziców z dorobku całego życia. Szczerze mówiąc, dlatego między innymi obrałem sobie za specjalizację gerontologię. Dzięki Medicare mogę dobierać sobie pacjentów w zależności od ich potrzeb, a nie możliwości płatniczych. Osiemdziesiąt procent należności całkiem mi wystarcza.

Obaj się uśmiechamy. Trudno o większą szczerość. Tato i Mama będą leczeni, jak przystało na przedstawicieli zamożnej klasy średniej. Wizyty u doktora Delibro staną się na całe lata kluczowym punktem tygodnia, przebiją nawet seriale. Zaczynam mieć nadzieję, że może jednak kiedyś wrócę do własnego domu.

Delibro patrzy na zegar i wstaje z fotela. Może jednak przyjmuje czasami innych pacjentów. Ja też wstaję, wchodzimy do poczekalni. Taty nie ma! Bliski paniki, widzę go nagle w małej wnęce, u sekretarki. Siedzi przy maszynie do pisania. Sekretarka pochyla się nad nim. Tato trzyma palce na klawiszach. Na nasze wejście odrywa wzrok od maszyny i uśmiecha się przepraszająco.

- Wiesz, Johnny, zawsze chciałem się nauczyć pisania na maszynie. Ta dziewczyna marnuje się jako sekretarka, powinna być nauczycielką. Spójrz, umiem już napisać “to jest on" bez patrzenia na klawisze.

Aby nam to zademonstrować, patrzy w sufit i mozolnie wciska klawisze. Jego palce czają się niepewnie nad właściwymi klawiszami. Patrzy na kartkę.

- Widzisz, znowu mi się udało!

Obaj pochylamy się nad kartką. Na stronicy, upstrzonej pojedynczymi f, d, g, j, kil, króluje trzykrotnie wystukane magiczne zdanie Taty. Tato wstaje, ale aż do pełnego wyprostowania się trzyma palce na klawiszach maszyny. Dziewczyna podtrzymuje go i wręcza mu kapelusz. Podają sobie ręce; Tato przykrywa drugą dłonią dłoń dziewczyny.

- Bardzo ci dziękuję, Junko, kiedyś napiszę na maszynie książkę i ty też w niej będziesz.

Wychodzi zza biurka. Na najbliższy tydzień ustalamy z doktorem dwie wizyty: jedną w środę, drugą w piątek. Jeżeli uda mi się pod jakimkolwiek pretekstem ściągnąć Mamę - to bardzo dobrze. Jeżeli nie - obie wizyty będą dla Taty.

Jedziemy do domu. Parkuję samochód, wchodzę do środka. Tato wraca do oranżerii; zdaje się, że nadal unika Mamy. Nie chce rozmawiać o tym, co się dzieje. A może idzie tam, żeby przenieść się z powrotem do Cape May?

Próbuję przekazać Mamie stanowisko lekarza. Opowiadam o wyimaginowanym świecie Cape May, o tym, że Tato nazywa ją tam Bess i dlatego teraz czasami się myli. Usiłuję nakreślić jej obraz tamtego świata, w którym oboje są młodzi i mają oprócz nas jeszcze dwoje dzieci, w którym Tato hoduje pomidory i zboże na targ w Filadelfii. Im dalej brnę w opowieść, tym bardziej widzę, że nic z tego.

Mama znów obiema rękami zasłania usta. Powoli, z niedowierzaniem, kręci głową. Na dolnych krawędziach jej oczu zebrały się łzy. Może to istotnie za wiele dla niej, ale nie ma innej metody. Trzeba było poradzić się Delibro, jak postąpić.

- Od początku wiedziałam, że on zwariował, Jacky. Mówiłam ci. Nie powiesz mi chyba, że człowiek, któremu się wydaje, że żyje w Cape May, gdzie jego noga nigdy nie postała, nie jest wariatem! Jak ja mogę mieszkać sam na sam z człowiekiem, który wymyśla takie rzeczy?

Ale po pierwszym szoku nieco się uspokaja. Zatrudnienie fachowca do przypadku Taty odpowiada jej koncepcji prawidłowego działania, już nie czuje się taka bezradna. Gwiazdy filmu i telewizji mają swoich psychiatrów, a więc i ona należy teraz do wielkiego świata - jej mąż chodzi do psychiatry. Raz jeszcze streszczam wszystko od początku, podkreślając, że to tylko fantazja, która minie. Też czuję się spokojniejszy. Cieszę się, że jej powiedziałem.

Billy wraca z wybrzeża, gdzie odwiedzał jakichś kolegów w Santa Cruz. Przejechał w tę i z powrotem na moim motocyklu.

Proszę go, żeby, jeżeli może, posiedział teraz trochę u rodziców, a ja wybiorę się do Venice pomalować. Czuję, że muszę teraz dopuścić do głosu własne *id*, dla wzmocnienia słabnącego *ego*.

Kiedy maluję, parę razy mija mnie Gerry, ta dziewczyna z nowego domu Marty. Dzieci prowadzi z sobą.

Siadamy na plaży, bawię się z dzieciakami. Turlam się w piachu i udaję niedźwiedzia. Coś we mnie broni się jeszcze przed rezygnacją z roli rodzica. A może po prostu nie mogę się już doczekać, aż zostanę dziadkiem? Czuję się uwięziony, wyrzucony na brzeg między dwoma prądami: dawnym, ojcowsko-mężowskim i nowym: starzenia się-umierania.

Dzięki dzieciom Gerry, moje poczucie istnienia strzela w górę o parę pięter. Dzieciaki tarzają się, zaśmiewają i skaczą po mnie. Może to także sprawa kontrastu ze smutkiem i

uczuciem końca drogi, którego doświadczam przy rodzicach. A może to Gerry?

Gerry tak ładnie ze mną flirtuje, jest w niej coś z dorosłej córki, która drażni się z ojcem, ale jest i kobieta, która widzi we mnie potencjalnego partnera. Z przyjemnością podejmują grę. Moje dotychczasowe życie tak się układało, że tego typu stosunek z kobietą - wszystkie chwyty dozwolone, nie oczekujmy zbyt wiele, żadnych zobowiązań - jest dla mnie wyjątkowo pociągający. Wiem, że nie muszę przynosić orchidei i zaproszenia na bal abiturientów, nie muszę kupować zaręczynowego pierścionka, szukać cedrowej komody na toaletkę, gonić za meblami do salonu, wykazywać się szacowną posadą, samochodem, kontem w banku; nie potrzeba zawodowych fagasów z urzędu miasta i kościoła, którzy zaświadczą o naszych poważnych zamiarach. Jesteśmy tylko we dwoje, na plaży, niezobowiązująco szczęśliwi. Mężczyźnie w pewnym wieku może się od tego zakręcić w głowie.

A jednak ja nie jestem psychicznie gotowy. Czuję podniecenie, ale i boję się. W moim życiu nie ma miejsca na coś takiego. Mimo to, udaje nam się miło porozmawiać. Temat - ojciec. Może to jej dyżurny temat do rozmów z mężczyznami, a może mój wiek - chyba jednak to drugie.

Ojciec Gerry jest człowiekiem sukcesu, w jej mniemaniu niezwykle władczym. Gerry twierdzi, że postać ojca tkwiła w podtekście wszystkich jej przyjaźni z mężczyznami: w każdym szukała albo jego cech, albo ich zaprzeczenia. Uczęszczała na sesje grupowej terapii i tam opanowała stosowny żargon. Słucham, co mówi, bawię się z jej dziećmi, współczuję ojcu. Sam się zapędził w kozi róg myślenia, że postępuje słusznie w każdej sytuacji. Zawsze starał się podtrzymać wobec córki złudzenie, ze skutecznie i łatwo radzi sobie ze światem, że niczego się nie boi, że nic go nie martwi - a przecież jak wszyscy doświadczał codziennych lęków i zwątpień.

Podtrzymywanie iluzji niezłomności to błąd, który ojcu bardzo łatwo popełnić. Bywa, że ludzie nigdy nie przebijają tej fasady, nigdy nie traktują własnych rodziców jak zwykłych śmiertelników, we wszystkich innych widzą ludzi drugiej kategorii, siebie nie wyłączając. Słucham, co mówi Gerry, i myślę sobie, że mnie i Vron chyba udało się szczęśliwie rozegrać tę partię życia.

Dwa obrazy kończę w restauracji u Suzanne. Jeden przedstawia widok od frontu przez całą restaurację aż do kuchni. Drugi maluję z kuchni: na pierwszym planie widać piec i garnki, w planie środkowym stoły, za frontowym oknem - ocean.

Suzanne podaje tylko śniadania i kolacje, w środku dnia wypada kilkugodzinna przerwa. Mogę spokojnie popracować. Suzanne ma mieszkanie nad restauracją i kilka razy zaprosiła mnie na górę. Zwykle siedzi tam sześć-siedem osób. Palą.

Któregoś popołudnia, po skończeniu pracy, pociągam parę razy. Nie wiem dlaczego, ale trawka nie budzi we mnie euforii: wszystko staje się tylko bardziej wyostrzone i odległe. Trudno to nazwać niemiłym doznaniem, tyle że kłóci się z tym czymś, co mi pozwala malować.

W środę znowu zawożę Tatę do psychiatry. Mama krąży po domu jak chmura gradowa. I cały czas na coś narzeka. Narzeka na Billy'ego, na Tatę, a wobec nich na pewno narzeka na mnie.

Jej zdaniem, ja wcale nie wiem, jaki jest naprawdę Tato. A on jest niebezpiecznym wariatem: w ciągu kilku ostatnich dni kilka razy chciał jej zrobić krzywdę. Mówi, że raz uderzył ją laską, a innym razem wpadł na nią z rozpędu, o mało jej nie przewracając.

Tato nie odzyskał jeszcze pełnej koordynacji ruchów. Zdarzają mu się odruchy niemal spastyczne. Słucham i staram się uspokoić Mamę, mówię, że musiała się pomylić co do intencji Taty - przecież Tato nigdy celowo by jej nie skrzywdził.

Znowu siedzi u Delibro dwie godziny.

Wracając do domu rozmawiamy w samochodzie. Pytam Tatę, czy nadal miewa swoje fantazje; odpowiada, że tak, nadal bywa tam nocą i to wcale nie jest jak we śnie.

- Ja potem wszystko dokładnie pamiętam, John, lepiej niż wczorajszy dzień. Poza tym, to się zdarza nie tylko nocą. Czasami siedzę w fotelu, nie myśląc o niczym konkretnym, swobodnie - i nagle przenoszę się tam. Jakaś duża część mnie odpływa do Cape May. Nie potrafię nawet powiedzieć, na jak długo. To się zdarza zawsze, kiedy jestem odprężony, szczególnie w oranżerii.

Unosi laskę między kolanami. Patrzy w dół, potem przenosi wzrok na mnie. Odpowiadam mu szybkim spojrzeniem znad kierownicy. Podjeżdżamy właśnie do wlotu na autostradę przy Lincoln Boulevard.

- Powiedziałem to doktorowi, John: to niesamowite, ale świat stąd wszedł w tamten. Powiedziałem o nas tutaj Bess w tamtym, moim świecie: teraz i ona wie już wszystko. Uwierzyła mi. Doktor Delibro mówi, że to dlatego, bo chcę, żeby ona uwierzyła, ale nie jestem tego taki pewien. Bess jest bardzo ciekawa naszego życia tutaj. Dziwi się tylko, gdzie się podziali Hank i Lizbet. Jest przekonana, że widzę przyszłość. Każe mi opowiadać, jak ona sama wygląda na starość i nie może uwierzyć, że ty jesteś łysy i nosisz brodę. Nie mówiłem jej, że ja też noszę brodę.

O cholera! Znowu się poczułem przezroczysty! Współcześni fizycy twierdzą, że strukturę podatomową dowolnego przedmiotu - na przykład samochodu, który właśnie prowadzę - da się przemieścić w ramy przestrzeni i czasu. Słowa “substancja" i “materia" zostały pozbawione znaczenia. Fotel, w którym siedzę, wynika z niczego, przemieszcza się tylko przez nie-medium w wielowymiarowej nie-przestrzeni. Tak zwana przez nas rzeczywistość jest nagle kwestionowana; czas to wytwór ludzkiego umysłu.

Możliwe jest nawet to, że przyszłość ma taki sam wpływ na tak zwaną teraźniejszość jak przeszłość. Logika przyczynowo-skutkowa już nie wystarcza. Kręci mi się w słabnącej łysej głowie: może, sam o tym nie wiedząc, stworzę kilka nowych systemów słonecznych?

- Co na to doktor, Tato?

- Kazał mi ze trzy razy powtarzać wszystko od początku i zadawał tysiące pytań. Zaczął nawet notować to, co mu mówię. Mnie się wydaje, John, że on mi wierzy.

Znowu milknie.

- Ale zaczynam podejrzewać, że uważa mnie za wariata. Niewykluczone zresztą, że

ma rację. Twoją matkę z pewnością by to uradowało, ona tak twierdzi od lat. Jest lepsza niż wszyscy psychiatrzy do kupy i tańsza.

To mówiąc, przechyla się do tyłu i zanosi najbardziej niewariackim śmiechem, jaki znam. Przyłączam się do niego. Dobrze, że tego odcinka autostrady Santa Monica nie patrolują gliny. Niechby tak zobaczyli dwóch brodatych starców, którzy jadą samochodem i pękają ze śmiechu - zaraz by nas zatrzymali.

- Opowiadałem tamtej rodzinie o tobie, o Mamie, o Joan, o operacji, o tym, że chodzę do psychiatry. Wszyscy bardzo się śmiali, a Hank zapytał, co to jest psychiatra. Uczciwie mówiąc, Johnny, boję się przy nich jak diabli. No, bo co ja mogę powiedzieć małemu Hankowi i Lizbet - przecież im nie powiem, że tatuś ich sobie po prostu wymyślił. To straszne. Jak uważasz, co powinienem robić?

O mój Boże, to ci pytanie! Jeżeli zacznę mu radzić, co ma robić w tamtym świecie, tamten świat stanie się automatycznie jeszcze bardziej realny, a ten z kolei - mniej prawdziwy. Chcę wracać do domu, do swojej rodziny, do Vron i Jacky'ego. Uświadamiam sobie, że Paryż stał się dla mnie mniej wiarygodny, mniej realny, niż ten szalony świat snu Taty. Wydaje się taki odległy, taki miniony. Sam ledwo wierzę, że mieszkam w domku na wodzie, na Sekwanie pod Paryżem, że jestem właścicielem starego młyna wodnego w środkowej Francji, że maluję. To dopiero brzmi jak senna fantazja, a na dodatek i to wyjątkowo naciągana.

- Poradź się lepiej doktora, Tato. Ja nie wiem. Czy powiedziałeś im, że oni są snem, a twoje prawdziwe życie toczy się tutaj? Powiedziałeś im to?

- A skąd, Johnny, nie mógłbym tego zrobić! Sam nie jestem do końca pewien, co jest co. Powiedziałem im tylko, że to, co się dzieje tutaj, jest jak sen. Nie skłamałem, tak jest. Kiedy jestem tutaj, tak jak teraz, snem jest tamto, ale kiedy jestem tam - snem staje się to, i to snem trudnym do uwierzenia. Powiem ci szczerze, John: tam jest lepiej. Gdybym miał do wyboru, to naszym prawdziwym życiem uczyniłbym tamto.

Po powrocie siedzimy trochę w salonie. Chwilami nabieram pewności, że Tato przeniósł się w swój inny świat. Korci mnie, żeby go zapytać, ale się krępuję. To tak, jakby pytać kobietę, czy ma okres, bo zachowuje się inaczej niż zwykle. Jedynym usprawiedliwieniem takiego pytania byłaby prosta ciekawość, a to już oznacza pogwałcenie cudzej intymności.

Z Mamą ciężko wytrzymać. Billy na szczęście wyniósł się z powrotem na działkę. Mama snuje się po domu jak Lady Macbeth z Colby Lane, co irytuje Billy'ego ponad wszelką miarę. Trudno mu się dziwić. Mama jest niemożliwa, kiedy się boi: atakuje wtedy na wszystkie strony, próbuje uczynić strach bardziej namacalnym. Kto na drodze, ten nieprzyjaciel.

Teraz też zaczyna swoje. Tato siedzi w bujaku, Mama na krześle obróconym bokiem do stołu, a ja w fotelu przy drzwiach. Dzielą nas odległości najwyżej paru stóp.

A Mama, jakby nigdy nic, zaczyna snuć opowieść o szaleństwie Taty. Wykuła na pamięć litanię odchyleń od normy w rodzinie Tremontów na przestrzeni czterech generacji.

Wylicza je jak różaniec, tych pięć niesławnych zagadek. Słucham i aż się we mnie gotuje. Widzę, że Tato nie wie, czy ma udawać, że nie słyszy, czy też słuchać otwarcie. Jest jak subtelna dama, którą okoliczności pchnęły pod budkę z piwem.

Perora Mamy nie ma końca. Wiem, że Mama czeka, żebym się z nią pokłócił, ale nie mam na to ochoty. W końcu jednak nie wytrzymuję. Jeżeli jednak człowiek myśli, że jako dorosły może rozmawiać z własnymi rodzicami logicznie i rozsądnie, to sam siebie oszukuje: z tego się nie wyrasta.

- Tato - mówię. - Dlaczego ty jej pozwalasz tak sobą pomiatać? Dlaczego się na to godzisz? Przecież te plugastwa ani jej, ani tobie nie wyjdą na dobre. To ona zachowuje się jak wariatka.

Na początku mojej wypowiedzi Mama jeszcze tokuje, ale zaraz milknie. Gdybym się zwrócił bezpośrednio do niej, mówiłaby dalej, tylko głośniej. Strzał rykoszetem, przez zwrócenie się do Taty, zabił jej klina.

- Oczywiście, wiemy, że Mama zachowuje się tak, bo się boi, ale kąsanie wszystkich naokoło niewiele pomoże. Powinieneś pomóc jej przestać.

Odwracam się do Mamy.

- A ty, Mamo, powinnaś mieć więcej rozsądku. Naprawdę wierzysz w te bzdury, które tu wygadujesz, czy tylko klepiesz jak papuga, żeby wszyscy wiedzieli, jaka z ciebie mądrala i wzorowa męczennica? Tato robi, co może. Jest pod opieką lekarza-specjalisty. Ten specjalista twierdzi, że Tato nie jest wariatem. Więcej: jest zdumiony, że Tato zdołał przetrzymać ostatnie trzydzieści lat i nie zwariować. Jeżeli jesteś taka pewna, że Tato stracił rozum, możesz mi to powiedzieć w cztery oczy, zawsze coś wymyślimy. Możemy, na przykład, umieścić Tatę, albo ciebie, w domu opieki, są różne sposoby. Ale, na miłość Boską, nie gadaj takich rzeczy przy nim, jakby to był, nie przymierzając, pies, który nie rozumie ludzkiej mowy!

Tato pobladł jak ściana. Wychyla się w fotelu i niepewnie wstaje na nogi. Instynktownie ustawiam się obok niego. Nie mam pojęcia, co zamierza zrobić: może chce dać mi w zęby, a może Mamie?

Zostawia laskę i sunie, powłócząc nogami, w naszą stronę. Mama też wstała. Wygląda na jeszcze bardziej przerażoną niż ja. Tato rozwiera chude ramiona; wtulamy się w nie oboje. Przyciąga nas do piersi i tuli z całych sił. Drży na całym ciele. Żadne z nas się nie odzywa. Stoimy jak zapaśnicy, tylko że prosto, twarzami do góry, przyciśnięci do siebie nawzajem na różnych wysokościach.

Tato całuje nas po kilka razy; nie pamiętam, żeby mnie całował od dnia, kiedy poszedłem do pierwszej klasy. Odzywa się pierwszy, niskim, załamującym się głosem.

- Nie rób tego, Johnny. Proszę cię, nie mów matce takich rzeczy. Ty jesteś za mądry, za dużo wiesz. Jesteśmy rodziną, tylko to się liczy. Kochajmy się i zapomnijmy o reszcie. Kochać kogoś, to przede wszystkim pozwalać mu na to, żeby był, jaki jest. Ty, Johnny, mieszkasz w Paryżu, bo tak widocznie musi być. Mama też ma swoje wewnętrzne przymusy, i ja także. Jest, jak jest. Nie buntuj się, proszę, twoje słowa wbijają mi nóż w serce.

Wybucha gwałtownym płaczem. Mama zaczyna szlochać. Ja też płaczę. Teraz stoimy jak zespół “Mieszczanie z Calais", w strugach własnego deszczu. Może już pora rozerwać uścisk, odgwizdać i łapać piłkę. Jakie głupie myśli chodzą człowiekowi po głowie! Nie bardzo sobie radzę z silnymi emocjami; w sferze uczuć mam w sobie ze dwadzieścia kordonów obronnych.

W końcu wracamy na miejsca. Tato wzdycha głęboko i podejmuje monolog. Nie mogę się skupić: kim ten facet naprawdę jest?

- Może ty nie o wszystkim wiesz, Johnny. Kiedy poznałem Bess, miała ledwie piętnaście lat. Leczyła się z poważnego załamania nerwowego. Do szkoły wrócić już nie mogła. Ja miałem lat osiemnaście i pracowałem na Hog Island jako cieśla. Nie byłem szczęśliwy. Szczerze mówiąc, byłem bardzo nieszczęśliwy. Źle się czułem w mieście, tęskniłem za farmą. Zdawało mi się, że każdy widzi we mnie parobasa, że wszyscy się ze mnie śmieją. To był inny świat, John. Na farmie, widzisz, czy to zima, czy lato, żadne z nas, dzieci, nie nosiło na stałe butów. Do szkoły szliśmy z butami na szyi i zakładaliśmy je dopiero przed wejściem do budynku. Własnych butów nie miałem aż do czasu, jak przenieśliśmy się do Filadelfii. Zwykle brałem buty Orina. Te buty były zawsze jak nowe: zakładało się je tylko do szkoły i do Kościoła. Nie masz pojęcia, co to znaczyło przeprowadzić się do miasta z Wisconsin, gdzie znałem wszystkiego ze dwadzieścia osób, z czego połowa była moją rodziną. Nagle znalazłem się w Filadelfii, mówiłem śmiesznym akcentem parobczaka z Wisconsin, bałem się usta otworzyć. Tłoczyłem się w trolejbusach między ludźmi, którzy nic o mnie nie wiedzieli i wcale o mnie nie dbali. Zdawało mi się, że każdy wie, dokąd ma iść i co ma robić, tylko ja jeden nie. Ludzie potrącali mnie na ulicach, bo nie umiałem nawet ustąpić z drogi. Nie wiedziałem, jak się używa spłuczki sedesowej ani telefonu, nie umiałem tańczyć.

Mamę poznałem w deszczowy dzień, w bramie koło Johna Wanamakera. Weszła w tę bramę spłakana jak bóbr. Płakała, ponieważ bez pytania pożyczyła wyjściowy kapelusz starszej siostry, Maggie, a deszcz zrobił z niego ruinę.

Miałem ze sobą wielki, staromodny parasol, który mi moja matka wcisnęła na siłę. Rozpostarłem go nad nią. Pomyśl tylko, Bess, gdyby matka nie zmusiła mnie wtedy do wzięcia parasola, pewnie nigdy byśmy się nie poznali.

No tak... Bess była ładna i bardzo wystraszona. Nigdy nie spotkałem osoby, która tak by się wszystkiego bała. Chodziło nie tylko o kapelusz: bała się grzmotów i błyskawic, bała się, że trolejbus nie przyjedzie, bała się, że jest późno, i bała się mnie. Coś we mnie chciało jej pomóc, żeby przestała się tak bać. I wiesz, Johnny, Mama już na zawsze taka pozostała. Czasami lubi tupnąć i porozstawiać ludzi po kątach, ale w głębi duszy jest wciąż przestraszona. Musisz zawsze o tym pamiętać. W końcu jednak pozwoliła mi odwieźć się trolejbusem, a kiedy wysiadła, szedłem za nią, osłaniając kapelusz parasolem. Doprowadziła mnie w ten sposób pod dużą kamienicę i powiedziała, że tutaj właśnie mieszka, do widzenia. Stanąłem po drugiej stronie ulicy, żeby zobaczyć, czy bezpiecznie weszła do środka, a wtedy od drzwi rzuciły się z ujadaniem dwa wielkie psy. Bess puściła się pędem, nie bacząc na deszcz; to wcale nie był jej dom.

Tak ona właśnie postępuje, Johnny, a to ze strachu. Goniłem ją, śmiejąc się w głos, ale ona była naprawdę wściekła i pomyślałem, że może jest pomylona, ale już byłem zakochany.

Patrzę na Mamę. W oczach ma pustkę, jej twarz jest jak maska: zamurowało ją.

- A ty, Johnny, wdałeś się w matkę. Nigdy nie widziałem takiego wrzaskliwego niemowlaka. Przez pierwsze trzy miesiące płakałeś bez chwili przerwy. Cud, że twoja nieszczęsna matka całkiem od tego nie zwariowała. A potem wyrosłeś na największego tchórza i mazgaja w okolicy. Czasami myślałem, że zaraziłeś się tym od matki. Bałeś się ciemności. Bałeś się hałasu. Na meczu baseballowym zatykałeś uszy palcami, a w każde święto Czwartego Lipca kładłeś watę do uszu. Bałeś się jeździć na rowerze, na wrotkach, pływać też się bałeś. Pływania nauczyłeś się chyba gdzieś dopiero w czternastym roku życia.

Bałeś się też wszystkich dzieciaków z ulicy. Czasami przylatywałeś do domu, bo gonił cię jakiś smarkacz, o połowę mniejszy. W ten sposób nauczyłeś się biegać: uciekając przed innymi.

Byłem pewien, że nigdy nie nauczysz się samodzielności, że całe życie spędzisz przy nas. Pamiętam, jak się strasznie wstydziłem, że jesteś jednym z najgorszych na świecie graczy w baseball.

I bardzo szybko rosłeś. Przez jakiś czas, kiedy miałeś dziesięć, może dwanaście lat, byłeś o głowę wyższy od reszty dzieci w klasie. To tylko pogorszyło sprawę. Kurduple lali cię na zmianę, żeby się potem przechwalać, że jednym palcem rozłożyli wielkoluda-maminsynka. Wakacje spędzałeś na ukrywaniu się w piwnicy albo siedzeniu z książką na werandzie, a później przy tych swoich ptakach. Teraz, jak czasem patrzę na ciebie, trudno mi uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Chodzi mi o to, John, że jesteś bardzo podobny do matki. Cały czas się szamoczesz, tyle że po swojemu. Może dlatego mieszkasz we Francji, zamiast w Ameryce. Nie chcesz współzawodniczyć, chcesz trzymać się z boku.

Ale pod pewnym względem różnisz się od Bess. To jedno masz po mnie. We mnie jest coś dzikiego, jakby z dzikiego zwierzęcia. To samo miał mój ojciec, bracia i dwie z moich sióstr: jesteśmy nie do końca uczłowieczeni, nie do końca cywilizowani. Jest w nas coś zwierzęcego, coś, co może się ujawnić w dowolnej chwili. Sam się dziwię, że jak dotąd nie mieliśmy jeszcze w rodzinie mordercy.

Nie wiem, skąd to się bierze: może z tych długich lat mieszkania w lasach, a może z indiańskiej krwi.

Wiesz, Johnny, twój pradziadek był traperem. Od trzynastego roku życia ani dnia nie przemieszkał pod dachem. Poślubił pełnej krwi Indiankę z plemienia Oneida. Twoja prababka, matka mojego ojca, miała ponad sześć stóp wzrostu. Była silniejsza niż chłop. Mówiła tylko po indiańsku i po francusku.

Ja sam nie słyszałem z jej ust ani słowa. Pradziadkowie żyli jak ludzie z epoki prehistorycznej. Osiedli dopiero, kiedy mój ojciec miał siedem lat. Żyli wśród Indian i nie wyznawali w zasadzie żadnej religii. Ślubu, zdaje się, nie brali nigdy - przynajmniej nie w kościele.

Tato opowiadał mi często, jak wędrowali, sprawdzając po drodze wnyki, skupując

futra i zwożąc je canoe. Byli zwierzętami, Johnny, i to w nas tkwi. Tkwi we mnie, w tobie też i wciąż musimy z tym walczyć.

Mama kiwa głową: z tym, owszem, chętnie się zgadza. Kuba Rozpruwacz, Tarzan z Północnej Ameryki, chłopiec-małpa.

- Z Bess ożeniłem się między innymi dlatego, że lubiła piękne przedmioty. Zawsze mieszkała w mieście. Cała jej rodzina od niepamiętnych czasów żyła w miastach. Bess lubi ładne meble, utrzymuje dom w czystości, żyjemy jak przyzwoici ludzie.

Widzisz, ja nie jestem już taki jak moi bracia ani nawet jak ojciec: jestem cywilizowany. Piję niewiele, nie szwendam się. Wszyscy moi bracia, oprócz Eda, są niebezpieczni. Ed, tak jak ja, miał szczęście, znalazł dobrą żonę. Ciotka Mary świetnie go oswoiła. Ojca ani braci nigdy nie można było być pewnym: nigdy nie wiedziałeś, co myślą, co zamierzają. Żaden z nich nigdy w życiu nie pracował na posadzie. Pete, Orin i Caleb ciągle tylko pili albo uciekali do lasu polować. Zimą zwijali się w kłębek i hibernowali jak niedźwiedzie.

Moja mama nieźle sobie z tatą poradziła. Przynajmniej zaciągnęła go do kościoła, nauczył się troszczyć o dzieci. Ale nigdy się nie ubierał ani nie zachowywał tak jak inni ludzie. Wiesz, Johnny, że on nigdy nie wpłacił złamanego centa na ubezpieczenie społeczne, nigdy w życiu nie zapłacił podatku dochodowego? Żył poza nawiasem. Mieszkając w południowo-zachodniej Filadelfii, żył jak na farmie albo w sercu puszczy. Budynki, samochody, ulice, nie miały dla niego żadnego znaczenia.

Ja nie chciałem tak żyć. Patrz: jestem cywilizowanym człowiekiem. Patrz, jakie mam ręce - czyste, z wszystkimi palcami. Patrz na ten dom, na te piękne meble, na dywany, na to wszystko. Żyjemy jak prawdziwi ludzie z miasta, a to wszystko zasługa twojej matki. Pamiętaj o tym.

Co ja mogę na to powiedzieć? Wiem, że Tato mówi poważnie, chce mnie przekonać. Szkoda, że Delibro tego nie słyszał. Mama siedzi i dalej płacze. Pociąga nosem i zerka na mnie, a jej oczy mówią: “A widzisz, Jacky, a widzisz?" A przecież słowa Taty brzmią tak rozsądnie. Czuję się paskudnie, jak szczeniak. On to wszystko dawno już przejrzał, tylko nic nie mówił, pozwolił rzeczom dziać się dalej, ponieważ nas szanuje.

- Wiem, John, że i ty czasami musisz się martwić o Billa i o małego Jacky. Ojcowie nie umieją czekać. Ale musisz dać chłopcom czas, oni dojrzewają powoli. Ojcowie martwią się o synów, ponieważ większość mężczyzn żyje w ciągłym lęku: ojcowie drżą o lęk swoich synów. Ja się już o ciebie, Johnny, nie martwię i nie chcę, żebyś ty się martwił o mnie albo o Mamę. Niech każdy cieszy się swoim życiem. Nikomu z nas niczego nie brakuje. Do tego psychiatry będę chodził, dopóki mi się wszystko nie wyprostuje. Ty, Johnny, jedź już do domu, do Vron i Jacky'ego. My tu sobie z Mamą poradzimy. Musimy się tylko wszyscy przestać tak zamartwiać.

Po tej długiej przemowie Tato opada na oparcie i bujając się, rozdaje nam uśmiechy: uśmiecha się, jakby prawa obowiązujące od lat w naszej rodzinie nie zostały dopiero co rozbite na tysiąc kawałków. Dziwna rzecz: Tato wcale nie zachowuje się tak, jakby nasza

rozmowa odbiegała od normy. Przez piętnaście minut mówił więcej, powiedział więcej, niż przez ostatnie piętnaście lat - i buja się uśmiechnięty w fotelu, jakby nigdy nic.

Zaczynam współczuć Mamie. Boi się nie tyle agresji fizycznej, co psychicznej. Tato jest teraz zdolny powiedzieć wszystko, zdruzgotać wszystkie nietykalne świątynie myśli i uczuć wzniesione przez pięćdziesiąt z górą lat wzajemnej hipokryzji. Pogwałcił wszelkie prawidła ich związku.

Tato znów wstaje, wypychając się z fotela rękami, ale tym razem bierze laskę. Wychodzi przez hall i uśmiecha się do nas przez ramię. Spogląda na zegar nad telewizorem.

- Idę się przebrać w strój baseballowy. Za chwilę mecz Dodgerów.

Szurając kapciami, wędruje przez hall do sypialni na tyłach. Mama patrzy na mnie.

- Jacky, ta jego gadanina nie jest normalna. Nigdy w życiu tak nie mówił. Coś się stało: to jest inny człowiek.

Już nie płacze. Nareszcie widzę przed sobą prawdziwą matkę. Jest tak przestraszona, że nie udaje i nie stara się grać. Po raz pierwszy w życiu odnoszę wrażenie, że możemy naprawdę porozmawiać.

- Myślę, Mamo, że to właśnie jest prawdziwy John Tremont. Ukrywał się ponad pięćdziesiąt lat. Myślę, że w głębi duszy jest właśnie taki: to bystry człowiek, który sam siebie nie znał. Skąd miał wiedzieć, że jest inteligentny? Wszyscy korzystali na wmawianiu mu, że taki nie jest. Założę się, że Douglas i General Electric zbili na jego pomysłach z dziesięć milionów dolarów. Mieli interes w tym, żeby go tłumić, wyciągnąć od niego, ile się da właściwie za frajer. Przez całe życie wszyscy chodzili mu po głowie, z nami włącznie. Psychiatra twierdzi, że nie miał jeszcze tak inteligentnego i pełnego fantazji pacjenta jak Tato. Zamierza zrobić Tacie testy na inteligencję, które nie bazują na wykształceniu szkolnym. Tato jest prawdopodobnie swego rodzaju geniuszem.

Mama rozpiera się w pozie “Bujać to my, ale nie nas" i wytrzeszcza oczy.

- E tam, daj spokój, Jacky. Bystry to on może i jest, ale co z niego za geniusz? Przeżyłam z nim całe życie. To perfekcjonista, ale jedyne, co zdołał wymyślić, to zabawki dla was, kiedy byliście mali, albo drobne usprawnienia domowe. Urodzona “złota rączka". W życiu nie zarobił więcej niż sześć tysięcy dolarów rocznie. Jeżeli ten psychiatra uważa go za geniusza, to pewnie sam jest półgłówkiem.

- Powinnaś się sama zobaczyć z doktorem Delibro, Mamo. Może przedstawiłabyś mu inny punkt widzenia na Tatę. Sama mówisz, że znasz go lepiej niż ktokolwiek inny. Doktor Delibro stara się pomóc Tacie w dojściu z sobą do ładu; nikt nie może tu zrobić więcej niż ty.

Fizycznie wręcz czuję, jak w Mamie wzbiera paranoja. Nie życzy sobie, żeby ją ktokolwiek obrabiał. W czasie wojny nie podjęła pracy w fabryce produkującej na potrzeby obronności tylko dlatego, że bała się prześwietlenia klatki piersiowej: jeszcze odkryją, że ma gruźlicę. Przez ponad trzydzieści pięć lat cierpiała na zespół gruźliczy. Kiedy prześwietlono ją w Perpetual podczas badań wstępnych, fakt, że w ogóle ma płuca, był dla niej istnym szokiem. Czekam, co wyniknie z mojej sugestii.

- On pewnie dojdzie do wniosku, że to ja jestem wariatką. Skoro uważa twojego ojca za geniusza, mnie z pewnością uzna za niespełna rozumu. A kiedy się dowie, że przeżyłam

dwa załamania nerwowe, gotów mnie natychmiast zamknąć i wyrzucić klucz.

- Jesteś absolutnie normalna, Mamo, ale doktorowi na pewno pomogłaby rozmowa z tobą na temat Taty. Potrzeba mu jak najwięcej danych.

Zaczynam żywić pewną nadzieję. Muszę się tylko ustrzec od wszelkich fałszywych posunięć. W tej samej chwili w hallu pojawia się Tato: w czapce, pasiastej koszulce, z tabelą wyników w dłoni. Tato prowadzi ciągły zapis wyników oglądanych meczy. W połowie hallu zatrzymuje się i skręca do łazienki. Mama nachyla się do mnie i mówi scenicznym szeptem:

- Dobrze, pójdę, jeżeli to ma mu pomóc odzyskać zmysły.

Czekam, aż mecz rozkręci się na dobre, wymykam się do pokoju na tyłach i telefonuję do Delibro. Informuję go, że Mama przyjdzie w piątek. Wdepnęliśmy w psychiatrię po uszy; ciekawe, co z tego wszystkiego wyniknie. Wracam do salonu i mówię Mamie, że wszystko ustalone. Nie ma sensu utrzymywać tajemnicy przed Tatą, więc zapowiadam mu, że Mama też idzie do psychiatry. Odwraca się od ekranu i rzuca mi przelotne spojrzenie. Ponieważ jednak mecz trwa, obaj wracamy do kibicowania Dodgerom, którzy kiwają Phillies, jak chcą.

Później, w oranżerii, mówię Tacie, żeby się nie martwił, że psychiatra wygada Mamie cokolwiek z ich rozmów w cztery oczy; psychiatra, mówię, to coś jak ksiądz na spowiedzi. Tato rozpyla na rośliny ciekły nawóz. Podnosi wzrok i uśmiecha się.

- Nie, John, ja nie o to się martwię. Myślę, czy to aby dobry pomysł, żeby ona szła do psychiatry.

Nie mam czasu na odpowiedź, bo w tej chwili zjawia się Billy. Jest niemal tak brudny, jak za pierwszym przybyciem. Biwakował na plaży w Ensenada.

Pakuję go pod prysznic, a potem pytam, czy nie zostałby nazajutrz w domu, żebym ja mógł wpaść do Marty. Spędzam z nią stanowczo za mało czasu. Billy właściwie nie ma jak odmówić, a i Mama jest chyba zadowolona, że Billy zostaje aż tak bardzo boi się Taty.

Dzwonię do Marty i umawiamy się na następny dzień w ogródku francuskiej kawiarenki na plaży. Zjemy razem śniadanie.

Billy przenocuje w sypialni ogrodowej. Ja śpię w bocznej, a Mama i Tato w swojej sypialni na tyłach. Wieczorem, mijając mnie w nocnej koszuli, Mama rzuca mi spojrzenie westalki ofiarowanej Minotaurowi. Zamykam drzwi bocznego pokoiku i udaję, że nie zauważyłem.

Rozdział 21

Tato obudził się i poszedł do Marty, jeszcze zanim wstałem. Na tym łóżku w sypialni od ogrodu śpi się jak w talerzu z owsianką.

Leżę, już obudzony, i czuję, że muszę się odlać. Wymykam się z gołym tyłkiem na zaplecze domu i sikam pod ścianą. I wtedy właśnie widzę, że samochód zniknął. Nie mam ochoty paradować goły przez cały dom, więc pędzę dookoła, wskakuję z powrotem do łóżka i długo, miękko, zapadam się w puch.

Jeszcze nie zdążyłem zasnąć, a tu babcia ładuje się do pokoju. Ciekaw jestem, za czym węszy tym razem.

Jedno dobre, że nie zachowuje się jak zjawa. Maszeruje prosto do mnie i szarpie mnie za ramię. Powoli otwierani oczy. Babcia jest blada jak trup i cała się trzęsie. Podciągam się i siadam oparty plecami o poduszkę.

- Co jest, babciu? Siadaj, wyglądasz strasznie.

Pada na łóżko koło mnie i wybucha płaczem. Łapie mnie za rękę. Ja to mam szczęście: ledwie Tato się wyrwał na parę godzin, a tu trup. O kurwa! A w dodatku dalej jestem goły.

- Billy, musisz mi pomóc. Nie wiem, co robić. On się zachowuje jak kompletny wariat, boję się nawet do niego odezwać.

- Ale co on takiego robi, babciu, powiedz mi. Co się stało? O co chodzi?

- On jest niespełna rozumu. Szkoda, że ten psychiatra nie może go teraz zobaczyć, zmieniłby zdanie.

O mój Boże! Dlaczego nie ma tu twojego ojca! Teraz już na pewno trzeba go będzie zamknąć, ja z moim sercem dłużej tego nie zniosę!

Jezu, niechże ona wreszcie powie, o co chodzi, albo niech wyjdzie z pokoju, żebym mógł się ubrać i sam sprawdzić, co się dzieje.

- Powiedz mi, babciu, co jest? Co dziadek robi? Powiedz mi!

- Nie uwierzysz. On jest w łazience. Siedzi tam od samego rana. Zaniepokoiłam się i poszłam sprawdzić, co on tam robi - nigdy byś nie zgadł!

Milknie i daje mi ze dwie sekundy do namysłu. Mając dwie sekundy więcej, powiedziałbym, że dziadek siedzi na klozecie i próbuje na osobności zrobić kupę. No, bo co tu można wymyślić?

- Billy, on puszcza w umywalce małe łódeczki z zapałek i papieru. Mało trupem nie padłam! Chyba mnie nie zauważył, więc stałam cicho i przyglądałam się. Napełnia umywalkę, puszcza łódeczki na wodę, wyciąga korek, woda spływa. Robi nawet fale ręką, żeby łódki pływały w kółko - jak dzieciak. Nikt mi nie powie, że to normalne, Billy, on doszczętnie sfiksował!

- Dobrze, babciu, i co dalej? Zapytałaś go, co robi? Może chciał po prostu przepłukać umywalkę?

Patrzy na mnie, jakbym i ja był wariatem. Gram na zwłokę: co to, u diabła, może

znaczyć?

- No, więc! Zebrałam w końcu odwagę i weszłam do łazienki, tak żeby mnie zobaczył. A on się odwraca i uśmiecha jakby nigdy nic. Staram się mówić najnormalniej w świecie, żeby go nie zdenerwować. “Co ty tu robisz, Jack?", pytam, a boję się śmiertelnie. Nigdy nie wiadomo, z czym on wyskoczy. Bredzi mi coś o jakiejś Carol Alice, potem przebiega palcami w powietrzu, mamrocząc, że świat się kręci, a potem, całkiem trzeźwo, zagląda mi w oczy i mówi: “Od tej chwili możesz się chyba przestać bać trzęsień ziemi, Bess".

Jezu! Jeżeli w słowach babci jest choć połowa prawdy, to dziadek rzeczywiście dostał kota! Ostatnio w ogóle zachowywał się dziwacznie, ale żeby do tego stopnia!

- I to koniec?

- Wiesz, Billy, tak się przelękłam, że wycofałam się rakiem z łazienki i przyszłam ciebie obudzić. Może powinniśmy zadzwonić do Marty i opowiedzieć wszystko twojemu ojcu? Nie wiem, kto to jest ta cała Carol Alice, ale z imienia wygląda mi na czarną; może to któraś z tych pielęgniarek, z którymi flirtował w szpitalu. Zawsze mówię: nie ma gorszego bałwana jak stary bałwan.

- Słuchaj, babciu, jeszcze przez jakiś czas nie możemy się skontaktować z Tatą: jest z Marty na plaży, a co robią później - też nie wiem. Wyjdź na chwilę z pokoju, to się ubiorę i sam zobaczę, co z dziadkiem. Potem możesz poodpoczywać tutaj: położysz się i uspokoisz.

W końcu wyganiam ją do ogrodu, ubieram się, wołam ją z powrotem i układam w łóżku.

Wychodzę z pokoju gotów na wszystko. Nigdy nie miałem do czynienia z wariatami, poza jednym przypadkiem na uniwerku, kiedy dwie dziewuchy się przećpały. A i wtedy efekt był chwilowy, a dookoła kupa ludzi.

Włażę ukradkiem przez boczne drzwi. Łazienka jest nadal otwarta, a dziadek, dokładnie tak jak babcia mówiła, stoi pochylony nad umywalką i puszcza zapałczane łódeczki. Opiera się o armaturę, laska stoi z boku. Zauważa mnie natychmiast.

Postanawiam działać jakby nigdy nic, dopóki nie stwierdzę, o co tu chodzi.

- Puszczasz łódki, dziadku?

Spogląda na mnie i uśmiecha się. Niewielu ludzi na świecie ma taki ładny uśmiech jak on. Może to z szajby człowiek uczy się tak sympatycznie uśmiechać.

- Billy, wiesz coś o efekcie Coriolisa?

Przyznam się, że tu mnie zagiął. Pamiętam coś piąte przez dziesiąte z lekcji oceanografii, ale, Jezu! co to za pytanie, z samego rana, na pusty żołądek!

- Niewiele, dziadku, to chyba coś w związku z wodą, która spływając do rury tworzy wir w jedną stronę na półkuli północnej, a w przeciwną stronę na półkuli południowej.

- W zasadzie tak, Billy. Większość ekspertów twierdzi, że efekt Coriolisa jest zbyt słaby, aby go można było stwierdzić w takiej małej umywalce jak ta.

Znowu wyciąga korek. Obserwuję razem z nim. Jak słowo daję, woda wiruje zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tak jak powinna. Łódeczki pływają w kółko, łapią się w wir, a dziadek wyławia je tuż przy odpływie.

- Teraz uważaj, Billy.

Napełnia umywalkę po brzegi i znów puszcza łódki na wodę. Tym razem przed wyciągnięciem korka miesza wodę w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. Dopiero wtedy wyciąga korek. Łódeczki chwilę pływają w stronę odwrotną do ruchu wskazówek zegara, ale woda stopniowo odwraca wir i łódki podążają za nią.

- Widziałeś, Billy? To był dwudziesty szósty raz. Za każdym razem to samo.

- Prawidłowo, dziadku. Na tym przecież polega efekt Coriolisa.

Dziadek odpycha się od ściany i ujmuje laskę. Nie powiedziałbym, że wygląda na wariata. I skąd on, u diabła, wie o efekcie Coriolisa?

- Problem w tym, Billy, że efekt przyspieszenia Coriolisa wynosi zaledwie zero, przecinek, zero zero pięć, czyli pięć tysięcznych centymetra na sekundę na sekundę, podczas gdy siła grawitacji ziemskiej wynosi około dziewięćset osiemdziesiąt pięć centymetrów na sekundę. Innymi słowy, siła grawitacji ma wartość prawie dwieście razy większą niż siła Coriolisa. Dlatego naukowcy są tacy pewni, że efekt Coriolisa nie występuje w misce wody: siła przyciągania ziemskiego powinna tu całkowicie zniweczyć efekt Coriolisa. Jak by nie liczyć, to się nie powinno dać stwierdzić w takim małym zbiorniku. A jednak po dwudziestu sześciu próbach należy uznać, że współczynnik błędu jest u mnie bardzo mały. Coś tu się nie zgadza.

Dziadek znowu się schyla i zaczyna lać wodę do umywalki. Podchodzę bliżej: to prawie tak, jakby człowiek wrócił do szkolnego laboratorium.

- Wiesz, Billy, dlaczego woda spływa z umywalki ruchem okrężnym? Bo tarcie wywierane na nią przez grawitację koncentruje się przy ściankach umywalki. Tuż przy ściankach tarcie jest najsilniejsze; woda będąca w środku strumienia, z dala od ścianek, łatwiej ulega nadanemu kierunkowi. Czyli że woda w umywalce spływa z niejednakową prędkością: pośrodku szybciej, po brzegach wolniej. Szybkość rośnie w miarę zwiększania się powierzchni spływającej wody. A więc wir spływającej do rury wody zachowuje się dokładnie tak, jak tego oczekujemy. Ale nie to jest najważniejsze: chodzi mi o kierunek, zawsze zgodny z ruchem wskazówek zegara. Wymyśliłem, że może nasza umywalka ma gwintowany odpływ, żeby woda spływała szybciej ruchem spirali - może to stąd.

Nie zadzwoniłbyś, Billy, do zakładu hydraulicznego na Sepulveda z pytaniem, czy robią umywalki i wanny ze skrętem w odpływie? Sam bym to zrobił, ale nienawidzę telefonu.

Odpowiadam, że bardzo chętnie - wszystko, byle go odwieść od tego idiotycznego zajęcia. Kurczę, gdzie on się tego wszystkiego wyuczył - o przyspieszeniu, o sile ciążenia, o współczynnikach błędu? Podobno skończył tylko osiem klas.

Numer hydraulików znajduję w książce telefonicznej i za czwartym podejściem łączą mnie z jakimś gościem od produkcji, który przysięga się, że wszystkie ich umywalki, zarówno stalowe jak i porcelanowe, wytwarzane są według standardowych projektów. Pewnie myśli, że chcę składać reklamację na niesprawny zlew albo coś w tym stylu. Przekazuję informację dziadkowi. Kręci głową z niedowierzaniem.

- To nam likwiduje jedną hipotezę. Może trzeba by wypróbować inne umywalki? Czy znasz w pobliżu miejsce, gdzie byłoby dużo umywalek?

Wszyscy mi tutaj zadają pytania i sami na nie odpowiadają, zanim zdążę otworzyć usta.

- Już wiem. Kręgielnia. Zaraz za wzgórzem. Byłem tam kiedyś czekając na pranie: mają z dziesięć umywalek.

Jezus Maria, odrywa się od umywalki - chyba rzeczywiście chce iść do tej kręgielni:

- Ale, dziadku, Tata zabrał samochód. Nie mamy jak się tam dostać, piechotą za daleko.

- Motor stoi za domem. Możemy wziąć motor. Ja już na nim jeździłem z twoim ojcem, a poza tym - nie będzie kłopotu z parkowaniem.

On mówi serio! Jak się babcia dowie, że zabieram dziadka motocyklem do kręgielni, żeby mógł tam sobie popuszczać w kiblu papierowe łódeczki - wezwie gliny, jak amen w pacierzu. Dziadek wyciąga kaski motocyklowe, w których każdy normalny człowiek wygląda jak debil. Gotowy do drogi. Raz kozie śmierć - skoro naprawdę tak chce... Zresztą, mnie też sprawa zaczyna ciekawić.

Odprowadzam motor aż na sam koniec ulicy i dopiero tam zapalam silnik. Dziadek drepcze koło mnie; dobrze, że chociaż nie wziął laski. Mam tylko nadzieję, że babcia nas nie usłyszy. Dziadek gramoli się na tylne siedzenie, kopie w dół podnóżki i chwyta mnie w pół z całej siły. Co odbiło mojemu staremu, żeby się ciągnąć ze swoim starym na tej jednośladowej kupie złomu? Z Tatą nigdy nic nie wiadomo; czasami zachowuje się podejrzanie.

Dojeżdżamy na kręgielnię, mijamy tory i kierujemy się wprost do ubikacji. Z boku musi to wyglądać na randkę superpedałów. Bogu dzięki, że jest jeszcze wcześnie i nie widać żywej duszy: mamy cały teren dla siebie. Najpierw robimy zatyczki z papierowych ręczników i napełniamy wodą wszystkie umywalki. Zabiera nam to około dziesięciu minut. Co powiemy, jak nagle przyjdzie kierownik? Twardo postanawiam, że gdyby ktoś przyszedł - wyjaśnienia składa dziadek.

Wypuszczamy wodę z wszystkich dziesięciu umywalek: wszędzie spływa zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Po raz drugi napuszczamy wody, ale tym razem przed wyciągnięciem zatyczek nadajemy jej ręką przeciwny kierunek. To samo: zwrot - i spływa zgodnie z zegarem. Dziadek musiał coś pokręcić z matematyką i fizyką. Swoją drogą, ciekawe, skąd mu się w ogóle wziął taki pomysł.

Jedziemy do domu. Wysadzam dziadka na rogu, a sam odprowadzam motor Taty pod dom. Dziadek wchodzi frontowymi drzwiami, a ja okrążam dom od tyłu, żeby sprawdzić, czy babcia nie wyzionęła ducha na tym puchowym łożu. Nie ma jej w pokoju.

Wchodzę dalej - siedzi z dziadkiem w salonie. Dziadek kończy jej właśnie opowiadać, jak to spacerowaliśmy sobie po ulicy. Szczęście, że kaski zostały na motorze. Babcia patrzy na mnie, ciekawa, co ja mam w tej sprawie do powiedzenia - wcale nie przestała się bać. Ale ja nic nie powiem, chyba żeby dziadek mi kazał.

Tak siedzimy, jedno z dala od drugiego, czekając, aż ktoś coś powie albo zrobi. Żeby już Tato wrócił, jakoś się bardzo niezręcznie porobiło. Nagle dziadek wstaje.

- Chodź do warsztatu, Billy, coś ci pokażę.

Babci bardzo się to nie podoba, ale nie protestuje. Wychodząc, odwracam się do niej i wzruszam ramionami, żeby okazać, że właściwie to jestem po jej stronie - chociaż wcale nie jestem.

W warsztacie dziadek wyciąga jeden ze swoich superwynalazków, z gatunku tych, które robił dla nas, kiedy byliśmy mali. Jest to kijek z nacięciami po jednej stronie i małym śmigiełkiem na czubku. Nazywaliśmy to urządzenie “młynkującym kijkiem". Ten jest nowiutki, z ręcznie rzeźbionym śmigłem zakończonym szpikulcem.

- Pamiętasz, Billy, jak to działa?

Podaje mi zabawkę razem z drugim, krótkim i gładkim, patyczkiem. Błyskawicznie przeciągam patyczkiem w górę i w dół po nacięciach, aż śmigiełko zaczyna się obracać. W dzieciństwie było to dla nas nie lada zagadką: do dzisiaj nie wiem, co wprawia śmigło w ruch.

- Zauważyłeś coś w sposobie obracania się śmigła?

Pochyla się do przodu wspierając na lasce i palcem zatrzymuje ruch. Znowu pocieram kijek w tę i z powrotem. Kiedy śmigło kręci się już na dobre, dziadek zatrzymuje je ręką.

- Teraz patrz uważnie. Spostrzeżesz, że zawsze obraca się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Tym razem mocno rozkręca śmigło zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Pocieram patyczkiem, śmigło zatrzymuje się na moment, po czym zmienia kierunek obrotu.

- Od czterdziestu lat robię te młynkujące kijki i nigdy nie udało mi się zrobić takiego, który by się kręcił w inną stronę. Nacinałem pod różnymi kątami, w różnych odstępach, robiłem lewostronne i prawostronne, ze śmigłami rozmaitej grubości i osadzonymi pod różnym kątem - a one się ciągle kręcą w jedną stronę.

Milknie, spogląda na mnie i znowu się uśmiecha. Palcem napędza śmigło w odwrotną stronę i patrzymy, jak ono samo zmienia kierunek, kiedy pocieram patyczkiem.

- Dlaczego tak się dzieje, dziadku? Jak sądzisz, co to powoduje?

- Nie wiem, Billy. Naukowiec może by to wyjaśnił, ja nie umiem. Ciekawe, że kierunek ruchu jest przeciwny do efektu Coriolisa w umywalce. Chodź, pokażę ci coś jeszcze.

Prowadzi mnie do oranżerii. Od nawadniacza odwiódł mały szlauch, który podłączył do lejka, lejek zaś przymocował do starego wiadra. W lejku tkwi mała zatyczka ze sznurkiem. Najpierw dziadek napuszcza w lejek wody, aż do pełna. Następnie umieszcza na krawędzi lejka podstawę ponacinanego kijka i zaczyna pocierać go drugim patyczkiem, aż powierzchnia wody w lejku wibruje i drga.

- Teraz, Billy, wyciągnij zatyczkę i patrz, co się dzieje.

Wyciągam i patrzę, jak woda spływa przez lejek do wiadra. Dziadek cały czas pociera młynkujący kijek. Woda spływa odwrotnie do ruchu wskazówek zegara - wbrew Coriolisowi!

- I co ty na to, Billy?

- Co zmieniło kierunek, dziadku? Wibracja?

- To kolejne pytanie dla uczonych, Bill. Tylko skoro ani nie wierzą nawet w to, że woda spływa do rury zgodnie z ruchem wskazówek zegara, to jak mieliby wiedzieć o młynkujących kijkach?

Odrzuca głowę do tyłu i zaśmiewa się. To nie jest śmiech wariata!

Numer z młynkującym kijkiem i wodą powtarzamy jeszcze z dziesięć razy - efekt jest zawsze ten sam. Po ostatnim eksperymencie, dziadek zasiada w starym wyplatanym fotelu, który stoi pośrodku oranżerii. Fotel pleciony jest od środka w sześć stron. Dziadek podobno zrobił go własnoręcznie, ponad dwadzieścia lat temu, z pędów rosnących w korycie rzeki Topanga. Siadam na ławeczce, na której dziadek zwykle trzyma wolne doniczki.

- Jeszcze coś ci powiem, Billy, i to jest o wiele ważniejsze niż umywalka i patyczki. Słuchaj pilnie.

Patrzy na mnie podejrzliwie, jakby się bał, że mu nie uwierzę. Zakłada nogę na nogę. Takie cienkie ma te nogi, że zwisają do ziemi jak suche gałęzie, nawet nie widać, że są skrzyżowane. Gotów jestem uwierzyć we wszystko, co mi powie: powoli dochodzę do wniosku, że mój dziadek to jakiś szalony nie odkryty geniusz.

- Widzisz, Billy, efektem przyspieszenia Coriolisa zainteresowałem się trzydzieści lat temu, pracując u Douglasa. Szukaliśmy metody na wmontowanie automatycznego korektora Coriolisa w system nawigacyjny bombowców. Wszystko było ściśle tajne, a ja pracowałem nad tym przeszło rok. W końcu trzeba było zaniechać prób. Przyczyną występowania efektu Coriolisa jest wirowanie Ziemi, ale Ziemia wiruje z różną prędkością, zależnie od odległości dzielącej wybrane miejsce od równika. My tutaj, w Los Angeles, obracamy się z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu mil na godzinę, ale w Bostonie jadą zaledwie jakieś sześćset mil na godzinę - nie muszą w ciągu doby przebyć tak długiej drogi, jak my. Sprawa tak się pokomplikowała, że wysiadłem umysłowo i musieli mnie przenieść do pracy nad czymś innym. Okazało się, że nie ma rady, tylko piloci muszą nadal sami wprowadzać korekty. A wyobraź sobie, że bez korygowania efektu Coriolisa, samolot lecący z Seattle do Nowego Jorku lądowałby, dajmy na to, w Brazylii.

Cały czas popatruje na mnie spod oka, jakby sprawdzał, czy wierzę.

- Ale ten Coriolis, Billy, nie dawał mi spokoju. Stałem się maniakiem od umywalek. Ile razy wypuszczałem wodę z umywalki, śledziłem do końca, jak spływa. I zawsze spływała zgodnie z ruchem wskazówek zegara. I nagle, w pięćdziesiątym trzecim, pamiętam jak dziś, tuż przed narodzinami twojej siostry Marty, zaczęła spływać w odwrotną stronę. Spływała tak na odwrót przez trzy dni - i zaraz potem mieliśmy to niesamowite trzęsienie ziemi w Bakersfield. Po trzęsieniu woda spływała na odwrót jeszcze przez sześć dni. Nic nikomu nie mówiłem. Co ma piernik do wiatraka? Wyglądało to na zbieg okoliczności, bez znaczenia, zwłaszcza że jedno ze zjawisk w ogóle nie miało prawa mieć miejsca - jeżeli wierzyć ludziom nauki. W 1971 mieliśmy poważne trzęsienie ziemi w Newhall, jakieś dwadzieścia mil stąd. Niczego zawczasu nie zauważyłem, niespecjalnie, przyznam się, obserwowałem, ale po tym trzęsieniu woda spływała na odwrót przez pięć dni. Tym razem powiedziałem o tym Joan, bo oni mieszkają jeszcze bliżej Newhall niż my. Joan sprawdziła i powiedziała, że u nich woda też spływa w złą stronę. Od tamtego czasu oboje z Joan pilnujemy wody w umywalce. Dwa lata temu, mniej więcej o tej porze, u Joan woda zaczęła spływać na odwrót i Joan dała mi znać. Sprawdziliśmy w domowej umywalce - rzeczywiście, spływała w drugą stronę.

W dwa dni później było trzęsienie ziemi na pustyni, którego tutaj nie odczuliśmy, ale

które w skali Richtera wyniosło pięć koma trzy.

Siedzi i opowiada mi takie rzeczy spokojnym, beznamiętnym tonem. Odkrył coś niesamowicie ważnego i bawi się tym jak dziecko.

- Dziadku, przecież to fantastyczne odkrycie! Trzeba o tym powiadomić jakichś naukowców, niech rozpracują sprawę!

- Mam lepszy pomysł, Billy. Wiem, jak to sprawdzić na własną rękę i jeszcze mieć z tego niezłą zabawę. Wiesz, jak babcia kocha Kalifornię, ale trzęsień ziemi bała się zawsze jak diabła. Kiedy zdarzyło się to trzęsienie ziemi w Newhall, rzucało nas z łóżkiem po całym pokoju, w tę i z powrotem. Myślałem, że ona umrze ze strachu. Wystarczy głupi grzmot i już jest cała w nerwach. Teraz, kiedy ma te sercowe ataki, dobrze by było zmontować taki przepowiadacz trzęsień ziemi. Co ty na to?

- Świetny pomysł, ale jak to zrobić?

- Chyba wiem, Billy, ale potrzebowałbym twojej pomocy. Wyciąga rękę przed siebie.

- Te ręce już nie są takie pewne jak kiedyś, ani takie mocne. Zróbmy zwiastuna trzęsień ziemi we dwóch. Będziemy to trzymać w sekrecie, aż skończymy. To będzie niespodzianka dla babci.

- A co powiemy babci i Tacie? Będą się dopytywali, co robimy.

- Powiemy im, że to sekret. Mamy prawo do małych tajemnic. Kiedy już skończymy i urządzenie będzie działać - wtedy im pokażemy.

- Tak, dziadku, tylko że babcia już dostaje histerii, bo puszczasz łódeczki w umywalce. Co mam jej powiedzieć? Co ona sobie pomyśli?

- Wszystko będzie dobrze, Billy. Powiem jej, że przeprowadzamy badania naukowe. Porozmawiam z nią, chociaż nie myślę, żebym wiele wskórał. Babcia, widzisz, i tak od dawna uważa mnie za wariata.

Uśmiecha się i kręci głową, jakby to był najlepszy dowcip pod słońcem.

- Trzymaj, Billy, ołówek i papier, pisz, co mamy kupić. Po pierwsze, duży, przezroczysty plastikowy lejek, największy, jaki będzie, co najmniej dwa razy większy od tego tutaj. Dalej: słój na rybki o średnicy szyjki około dziesięciu cali. Potrzebna będzie też rurka plastikowa o zewnętrznej średnicy pięciu milimetrów, reflektor na baterie, żarówka, dzwonek do drzwi i klej, ten nowoczesny, epoksydowy. Jeszcze mała pompa elektryczna, taka jak do spuszczania wody z akwariów, ale nie do powietrza, pamiętaj, tylko do wody. Pompę, akwarium i rurkę dostaniesz w sklepie zoologicznym. Kup też zielonego barwnika do jajek wielkanocnych. Tu, w warsztacie, znajdę starą rurkę szklaną - i to chyba wszystko.

Sięga do tylnej kieszeni i wyciąga portfel. Wręcza mi banknot dziesięciodolarowy i jeszcze piątkę.

- Jeżeli to nie starczy, dam ci więcej.

Przeglądam listę zakupów. Zestaw przedmiotów jest tak niecodzienny, że obym nie musiał tłumaczyć babci, ani nawet Tacie, po co idę do miasta.

Wracamy do domu. Babcia, szurając kapciami, wychodzi z sypialni na tyłach. Dziadek przytula ją mocno i całuje. Babcia jest wystraszona nie na żarty. Daje mi desperacki

znak, żebym szedł za nią do sypialni. Puszczam oko do dziadka i idę.

- No i co jest, Billy? Dlaczego on się zachowuje jak wariat? Widziałeś, jak mnie pocałował na twoich oczach? Nigdy w życiu czegoś podobnego nie zrobił.

- Nie przejmuj się, babciu, on jest w porządku. Ta historia z umywalką i łódeczkami ma swój sens. Dziadek szykuje dla ciebie niespodziankę, a ja mu pomagam. Nie martw się, nie zwariował.

- Jezus, Maria, Józefie Święty! Ty jesteś taki sam głupi jak twój ojciec i ten psychiatra. Co on takiego robi - buduje dla mnie stateczek do zabawy? Wcale bym się nie zdziwiła: on mnie już niczym nie zdziwi. Jeżeli nie postradał rozumu, to znaczy, że ja zwariowałam, a przynajmniej wkrótce zwariuję na pewno. Ja tego nie wytrzymam!

Nawet gdybym powiedział jej prawdę, niczego to nie zmieni. Wsiadam na motor i jadę do centrum handlowego Culvera. Parkuję za sklepem zoologicznym i w piętnaście minut kupuję wszystko oprócz pompy. Nikt mi nie umie powiedzieć, gdzie można ją dostać.

Kiedy wracam, dziadek urzęduje w warsztacie. Rozebrał jakiś przedmiot i porozkładał części na stole. To stara maszynka do golenia. Pokazuję mu, co kupiłem, i mówię o kłopocie z pompą.

- Nie szkodzi, Billy, spodziewałem się tego. Małą pompkę można zrobić z tego silniczka.

Pokazuje silniczek leżący na stole. Jak on, do licha, zamierza zrobić pompę z silniczka od maszynki do golenia?

- Większość roboty należy do ciebie, Billy. Ale zobaczysz, raz dwa będziemy mieli pompę, że palce lizać.

Pracujemy całe popołudnie. Dziadek kazał mi pociąć karbowaną rurkę na małe odcinki, które sklejamy razem klejem epoksydowym, a następnie przyklejamy do rurki przewodzącej. Pokazuje mi, jak podwiązać je do silniczka - i rzeczywiście, po zamontowaniu do rurki, która pobiera wodę, urządzenie pracuje jak szalone.

Następnie, mniej więcej w połowie wysokości lejka, wiercimy mały otworek. Od wewnątrz lejka naklejamy na niego skrawek rurki w postaci ruchomej klapki. Dopóki woda płynie w jedną stronę, klapka jest zamknięta, ale kiedy zmienia kierunek, klapka uchyla się i woda wypływa przez otwór.

Potem montujemy z rurek przewód w kształcie litery T, do którego wpadać będzie woda. Kiedy woda dostanie się w T, zamknie obwód prowadzący do baterii, uruchamiając tym samym jednocześnie dzwonek i lampkę.

Robimy skrzyneczkę na pompę, którą dziadek maluje na czarno. Potem umieszczamy lejek w wylocie słoja na rybki. Jeden koniec rurki zwisa nad lejkiem na osłoniętym żyłką haku z wieszaka na ubrania; drugi koniec przechodzi przez pompę i wraca do akwarium. Akwarium napełniamy wodą zazielenioną barwnikiem do jaj. Woda pompowana jest w górę i spływa do lejka, powodując ciągły odpływ wirowy w myśl efektu Coriolisa. Dziadek umieszcza w akwarium wodoszczelną lampkę, która pali się przez cały czas. Urządzenie działa idealnie. Woda ciągłym strumieniem spływa do lejka, wiruje, przechodzi do akwarium,

skąd znów pompowana jest w górę. Efekt jest hipnotyczny - jakby się patrzyło w wizjer pralki automatycznej albo w tę, jak jej tam - lampę wulkaniczną. Coś pięknego -wszystko jedno, czy ostrzega przed trzęsieniami ziemi, czy nie. I tak pewnie nigdy nie dowiemy się, jak jest naprawdę.

Tymczasem Tato wrócił do domu i babcia wylewa na niego swoje żale. Tato bierze mnie na rozmowę, więc opowiadam mu, jak to we dwóch z dziadkiem konstruujemy wynalazek i że to ma być niespodzianka dla babci. Tatę przeraża głównie babci reakcja. Obiecuję mu, że przed nocą skończymy i wszystko będzie OK. Tato mówi, że po Marty już widać, że jest w ciąży i że powinienem wybrać się do nich w odwiedziny. Marty w ciąży - to niesamowite. Czuję się od tego jakiś stary, a ona staje się czymś więcej niż siostrą.

Obiad przebiega w koszmarnym nastroju, babcia cała w nerwach. Tato albo milczy, albo stara się prowadzić niezobowiązującą konwersację. Dziadek i ja nie możemy się doczekać powrotu do warsztatu.

Kończymy około ósmej. Farba na skrzynkach jeszcze trochę się lepi. Pakuję całą maszynerię w kartonowe pudło i taszczę do salonu. Dziadek drepcze za mną, uśmiechając się od ucha do ucha. Fantastycznie było pracować z nim przez cały dzień.

Tato z babcią oglądają *Domek na prerii*; zdaje się, że ogląda tylko babcia, a Tato dotrzymuje jej towarzystwa. Stawiam pudło na podłodze koło małego stolika do kawy i rozglądam się za gniazdkiem. Ustawiamy aparat. Klaszczę w ręce.

- Panie i panowie, za chwilę zademonstrujemy wam największy wynalazek dwudziestego wieku - jedyny i niepowtarzalny Zwiastun Trzęsień Ziemi. Mamy szczęście gościć tu dzisiaj wieczorem wynalazcę we własnej osobie - Herr Doktor John Tremont!

Dziadek, cały w uśmiechach, zasiada na kanapie. Widzę, że babci bardzo nie w smak jest brudny karton na podłodze w salonie.

- Powiadam ci, Jacky, ci dwaj to takie same półgłówki jaki i ty. Co ty tam masz w tym pudle, Billy? Nie życzę sobie w domu żadnych zwierząt: tylko świnią, a do sprzątania jestem ja jedna.

- Nie obawiaj się, Mamo. Mówią, że to wynalazek, czyli nie zwierzę. Przyznaj no się pan, Tomie Swift, jakie są szansę, że to coś na nas wybuchnie?

- Urządzenie jest bezpieczne, Johnny. Bess, chciałem powiedzieć - Bette, pamiętasz, jak się zawsze bałaś trzęsień ziemi?! Ten oto wynalazek przepowiada trzęsienia ziemi: jest to zwiastun trzęsień. Dopóki pracując nie nadaje żadnych sygnałów możesz spać spokojnie. Gdyby się zanosiło na trzęsienie ziemi włącza się dzwonek i światełko. Masz wtedy parę dni na schowanie się pod łóżko albo w inne równie bezpieczne miejsce.

Dziadek podnosi się ostrożnie, podchodzi do babci i znów daje jej całusa. Babcia patrzy na mnie ponad jego ramieniem. Przygotowuję zwiastuna do pracy. Pompę wsuwam pod kanapę, żeby nie było jej widać. Całą resztę urządzenia wykonaliśmy tak, że wygląda na produkt fabryczny. Mogę podłączać. Dziadek rozkłada ramiona jak dyrygent orkiestry symfonicznej.

- Panie i panowie, proszę trzymać kapelusze - ruszamy!

Daje mi znak, włączam machinę do kontaktu. Światełko w wodzie rozbłyskuje, pompa

rusza, woda przelewa się i wiruje! tak samo jak w warsztacie. Tato i babcia wybałuszyli oczy. Dziadek objaśnia.

- Patrzcie, woda spływa w tym kierunku. Kiedy trzęsienie ziemi będzie blisko, zmieni kierunek i uruchomi system alarmowy. Co o tym sądzicie?

Nie wytrzymuję.

- Uważam, że to absolutnie genialny wynalazek, a w dodatku dzieło sztuki! To dzieło geniusza!

Babcia wierci sobie palcem dziurę w policzku, chichocze, ale minę ma zaniepokojoną.

- Wyście obaj rozumy postradali. To rodzinne. Żaden normalny człowiek nie wpadłby na pomysł zrobienia takiej wariackiej maszynki.

Tatę ciekawi, jak to działa. Nachyla się nad urządzeniem, a dziadek tłumaczy mu sprawę Coriolisa i młynkujących kijków. Gaszę telewizor. Zwiastun działa jak szatan: całkiem jakby mieli na stoliku mini-fontannę albo wodospad. W każdym domu przydałoby się coś takiego, niezależnie od trzęsień ziemi. Ćpaczom na pewno bym opchnął z łatwością. Babcia wciąż wytrzeszcza oczy i zielenieje ze strachu.

- Billy, nie znam się na trzęsieniach ziemi, ale jedno ci powiem: ta machina nie ma prawa stać na stoliku w salonie. Od samego bulgotania dostałabym szału - to jak z Bucka Rogersa. Jack, może byś to zainstalował w oranżerii, a gdyby zaczęło dzwonić, po prostu mi powiesz?

Czyli po zabawie. Dziadek patrzy na mnie i uśmiecha się. Chyba wszyscy oczekiwaliśmy takiej właśnie reakcji babci. Uczciwie mówiąc, nawet mnie to cieszy. Zabieram zwiastuna do siebie, do sypialni, i stawiam na komodzie przy łóżku. Tej nocy zasypiam wpatrując się w niego. Powoli zamykam oczy i wyobrażam sobie, że słucham szumu wodospadu. To by dopiero było, gdyby mechanizm rozdzwonił się w środku nocy!

Rozdział 22

Cieszę się, że to już piątek i mogę zawieźć Mamę do Delibro. Zwiastun trzęsień ziemi przekonał ją ostatecznie, że Tato jest szaleńcem.

Mama tak się odsztyftowała, że gdyby nie krótkie postoje dla zaczerpnięcia tchu, nikt by nie odgadł, ile ma lat i jaką poważną chorobę za sobą.

Delibro uprzedził mnie, że chce zbadać wyłącznie jej stosunek do Taty: zdaje się, że coś przeczuwa.

W poczekalni Mama jest czujna jak lis. Dokładnie lustruje wszystko; na widok japońskiej sekretarki pogardliwie pociąga nosem.

Delibro pojawia się w znanej mi już roli dobrego syna. Mamie to pochlebia. Nie zauważyłem wcześniej, że jak na mężczyznę niskiego wzrostu, Delibro jest całkiem przystojny. A może wcale nie jest, tylko dokonuje na nas jakiejś hipnotycznej sztuczki? Mama od razu wali z grubej rury.

- Czy pan naprawdę nazwał mojego męża geniuszem, czy to tylko wymysł Jacky'ego? Z nim też nigdy nic nie wiadomo.

Posługując się terminologią natarcia frontalnego, uderzyła z miejsca bronią maszynową i miotaczami ognia. Wtrącam się pospiesznie.

- Mama jest zaniepokojona, ponieważ Tato skonstruował wczoraj wynalazek, który nazwał zwiastunem trzęsień ziemi. Może sam panu o tym opowie przy najbliższej okazji.

Sygnalizować nie ma jak. Mama tak nas przyparła do muru, że obaj jesteśmy objęci polem rażenia. Mam słabą nadzieję, że złagodziłem jej pierwszy manewr, chociaż to wcale nie jest takie pewne.

- Niech pan sobie tylko wyobrazi: puszcza zieloną wodę przez lejek do podświetlonego akwarium i twierdzi, że w ten sposób potrafi przewidzieć trzęsienie ziemi. Naukowcy całego świata, dysponujący milionami dolarów, nie zdołali tego osiągnąć, a on uważa, że jemu się udało za pomocą garści rupieci wartych dziesięć dolarów. Niech pan to sobie nazywa geniuszem, jak pan chce, ale dla mnie to czyste wariactwo.

W porządku, wyszło szydło z worka. Popatrzymy teraz, jak pan Delibro zarabia na życie.

- To bardzo interesujące, pani Tremont. Zechciałaby pani przejść ze mną do gabinetu i opowiedzieć dokładnie, jak to było? Jestem pewien, że kosztowało to panią wiele nerwów, zwłaszcza teraz, kiedy musi pani tak bardzo uważać na serce.

Szczerzy się przy tym w uśmiechu jak domokrążny sprzedawca z Piątej Avenue. Wygląda, jakby chciał objąć Mamę ramieniem, ale jakoś bez dotykania wmanewrowuje ją do gabinetu.

Niezły jest, bez dwóch zdań: skąd mógł wiedzieć o Mamy nerwach? Ja mu nie mówiłem, chociaż Mama trąbi mi o swoich nerwach bez przerwy, odkąd skończyłem sześć miesięcy.

Dopiero mając dwanaście lat zrozumiałem, że nerwy to nie jest coś takiego jak na przykład palce, coś odstającego, czym można, dajmy na to, kiwać. Do tamtej chwili żyłem w przekonaniu, że Mama cierpi na jakieś bóle.

Doktorowi udaje się puścić do mnie ukradkiem oko na znak, żebym został w poczekalni. Siadam z książką, którą sobie przyniosłem; Rex Stout i jego bohater Nero Wolfe.

Po godzinie wychodzą. Mama ciągle paple, jakby ani na chwilę nie przestawała. Tak pewnie było. Delibro nie wygląda już tak szałowo jak przedtem - jest nieco złachany, a może minął po prostu efekt hipnozy. Na gwałt daje mi jakieś znaki. Chce, żebym został, ale przecież nie mogę uwolnić się teraz od Mamy, bo wszystko weźmie w łeb. Delibro usiłuje poza tym dawać mi znaki pod sokolim okiem Mamy, a to przecież sprawa beznadziejna.

Wymanewrowuję Mamę na zewnątrz. W windzie Mama dokładnie ogląda wszystkie zakamarki, żeby się upewnić, czy nie ma podsłuchu, po czym nachyla się do mnie z chichotem:

- Wiesz co, Jack - chi-chi-chi - moim zdaniem to też jest wariat. Zadawał mi najintymniejsze pytania na świecie, jeszcze nikt mi takich pytań nie zadawał - nawet o pożycie seksualne. Co to, na miłość Boską, ma wspólnego z bzikiem Taty? Powiem ci, że jeżeli go interesuje seks w życiu twojego ojca, to nie wie nawet połowy. Kiedy pierwszy raz powiedziałam Fanny Hogan, co robimy w łóżku, kazała mi natychmiast zawiadomić policję i odejść od niego, bo to zboczeniec, a wszystkiemu winna ta indiańska krew. Potem powiedziałam to księdzu na spowiedzi, a on mi na to, że będzie się za mnie modlił. Akurat dużo dały te modlitwy! Kiedy twój ojciec się podnieci - nic go nie powstrzyma: ani policja, ani ksiądz, ani modlitwy.

Milczę. Poczekam do rozmowy z doktorem Delibro. Uśmiecham się, kiwam głową i zachowuję tak, jakby mi opowiadała o kolorze swoich nowych butów.

- A ten doktor to po prostu jeszcze jeden hippis, Jacky. Widziałeś te jego wąsy? Żadna rozsądna kobieta nie chciałaby mieć do czynienia z chłopem, który nosi takie wąsy. On wygląda jak mors! Założę się, że nawet nie jest żonaty.

Może to obraz morsa, może coś w związku ze stanem kawalerskim, a może po prostu nerwy - dość, że Mamę znowu ogarnia chichot. Nigdy dotąd dużo się nie śmiała, a teraz zanosi się najbardziej nieprzyzwoitym chichotem, jaki w życiu słyszałem. Zachowuję kamienną twarz, pakuję ją do samochodu i jedziemy do domu.

Ulokowawszy Mamę na miejscu, pędzę do budki telefonicznej i wykręcam numer Delibro. Łączą mnie natychmiast. Delibro pyta, czy mógłbym zaraz do niego przyjechać. Mówię, że tak zaraz byłoby trudno, ale mogę trochę później. Umawiamy się na piątą. Powiem, że idę malować: Mama godzi się z tym moim dziwactwem. Ale Delibro nie wytrzymuje, widać, że musi sobie ulżyć:

- Czy pańska matka zawsze taka była? Taka napastliwa?

- Odkąd pamiętam, to zawsze, doktorze. Zapada chwila ciszy. Czuję, że trudno jest mu rozmawiać ze mną przez telefon; wolałby jednocześnie czytać z mojej twarzy.

- To wyjątkowo podejrzliwa kobieta: podejrzliwa w stosunku do mnie, do pańskiego ojca, do pana, do pańskiej siostry. Wydaje się, że nikomu nie ufa. Ta kobieta żyje w głębokim

lęku.

Nic nie muszę mówić, tylko słucham.

- Czy pan wie, że ona jest przekonana, że pański ojciec chce jej zrobić krzywdę, a nawet ją zabić?

- Tak, wiem, to jeden z jej ostatnich pomysłów. Wyjątkowo przykry dla ojca. Potrafi mu też prosto w oczy powiedzieć, że jest wariatem, a jego świat fantazji traktuje bez cienia tolerancji.

Powiedziałbym więcej, ale sam nie jestem pewien swoich obserwacji. Tato tak szybko się zmienia, ukazuje coraz to nowe oblicze - nigdy nie mam pewności, kim akurat jest ani gdzie przebywa. W końcu umawiamy się na rozmowę po wizycie ostatniego pacjenta, żeby nas nikt nie poganiał. Kto wie, czy to nie będzie sesja całonocna.

W sklepiku obok kupuję piwo. Wypijam je powoli, oparty o budkę.

W domu Mama dopytuje się, dokąd chodziłem. Mówię, że skoczyłem do baru na piwo. Wiem, że taka informacja to dla Mamy szok - dlaczego ja to robię? Podchodzi bliżej i wącha mój oddech.

- Ty rzeczywiście śmierdzisz piwem! Naprawdę poszedłeś do baru? Co by na to powiedziała Veronique? Piwo mamy w domu, w lodówce, to wyrzucanie pieniędzy! Nie musisz pić w tajemnicy.

- Jestem dorosłym człowiekiem, Mamo. Jeżeli mam ochotę wstąpić do baru na piwo i chwilę się odprężyć, to jest to wyłącznie moja sprawa. Powiem ci, że ten bar za rogiem jest wyjątkowo sympatyczny, sama powinnaś się tam wybrać.

Kompletnie zgłupiała. Tak ją zażyłem tym barem i piwem, że już całkiem nie pamięta o moim wyjściu z domu samopas. Szczęściem, w tej właśnie chwili wkracza Tato w stroju joggera.

- Witajcie, moi piękni! Dzień jak marzenie, jedziemy wszyscy nad morze!

Biega między nami, zataczając małe kółeczka po całym pokoju. Rozluźnia ramiona jak bokser przed wyjściem na ring.

- Może pobiegam sobie trochę po ścieżce rowerowej? Powinniśmy korzystać z Johna, dopóki jest u nas, Bette.

Teraz dla odmiany próbuje biec unosząc kolana pod brodę - “pod brodę", czyli na taką wysokość, jak większość ludzi przy normalnym chodzeniu. Założył jasnoniebieskie adidasy z Armii Zbawienia, z dziurą w miejscu dużego palca. Niemożliwe, żeby nie wiedział, że doprowadza Mamę do szału - a może bawi się tak świetnie, że tego nie dostrzega? Zerkam na Mamę.

- Nigdzie nie jadę! Nie pokażę się publicznie z parą głupkowatych brodaczy, a co dopiero z nim, w tym idiotycznym kostiumie! Powinieneś go tak kiedyś zabrać do tego psychiatry, Jacky, nareszcie by zrozumiał, co tu się dzieje.

Nie odpowiadam. Jednak się czegoś uczę, chociaż powoli. Tato też udaje, że nie słyszał, dalej zatacza kółka, coraz bliżej środka pokoju. Ręce trzyma zgięte w łokciach i przywarte do boków.

- Świetna myśl, Tato. Dzień jest piękny, szkoda go marnować w domu. Jedźmy do

Venice. Na pewno nie wybierzesz się z nami, Mamo?

Mama robi wielkie oczy i z pogardą pociąga nosem.

- Wy dwaj każdego byście wyprawili do domu wariatów. Dlaczego ty go sobie nie weźmiesz do Paryża? Mieszkalibyście sobie pod mostem, razem z innymi włóczęgami i hippisami. Wynoście się! Niedobrze mi się robi, jak na was patrzę!

Wyprowadzam samochód i wolniutko jedziemy do Venice. Dzień jest bezchmurny jak z kalifornijskiej pocztówki. Ze szczytu Palms widać góry w kanionie Topanga. Po układach zapór przeciwpożarowych staram się rozpoznać nasze czterdzieści akrów działki. Patrzę na zegarek: ledwo po drugiej.

- Tato, a może byśmy się przejechali do Topanga, rzucić okiem na działkę? Billy biwakował tam kilka razy z kolegą, ale ja jeszcze nigdy tam nie byłem.

- Niezła myśl, Johnny. Pobiegam sobie po ścieżce przeciwpożarowej. Mój Boże, od dziesięciu lat z okładem nie byłem w Topanga. Zawsze mnie kusiło, żeby tam postawić mały domek, taką kryjówkę.

Przecinam drogę na skróty, zjeżdżam na szosę Santa Monica, a potem na autostradę Pacific Coast. Na plaży tłumy ludzi: dzisiaj nie ma nawet mgły nadbrzeżnej. Tłumy kończą się, kiedy mijamy Sunset, a nim docieramy do zjazdu w stronę Topanga, ruch zamiera prawie całkiem.

Ujechaliśmy może z milę w głąb kanionu, i już wszystko jest inne. Jak w innym kraju. Powietrze jest bardziej suche, lżejsze, wyższa temperatura i nowe zapachy - bylicy, karłowatego dębu, surowej ziemi i skał wystawionych na operację słońca.

Droga jest stroma i kręta, z jednej strony mijamy spore nawisy, z drugiej - głębokie jary. Powoli biorę zakręty, żeby nie przestraszyć Taty, chociaż on wystawił głowę przez okienko jak dzieciak i nie boi się nic a nic. Wyciąga rękę pod wiatr, macha nią w górę i w dół, zgodnie z ciśnieniem powietrza, zmienia kąt ustawienia, jak ptak zmienia ustawienie skrzydła w locie. Oczy ma zaciśnięte.

Przejeżdżamy przez osadę Topanga i zjeżdżamy w kierunku szkoły. Nasza działka leży przy drodze na grani, a droga zaczyna się na tyłach szkoły.

Około mili i ćwierć dalej, w miarę jak pniemy się pod górę, po jednej stronie zaczyna się wyłaniać ocean, a po drugiej olbrzymia połać doliny San Francisco. Pomiędzy nimi, dookoła nas, widnieją niewielkie kaniony, prowadzące do głównego. Widzialność jest niebywała: nawet dolinę widać prawie całkiem ostro.

- Rany Julek, John, zapomniałem, jak tu pięknie na górze. Powinieneś postawić tu sobie dom, hodować avocado i pomarańcze.

Wychyla się tak daleko, że aż się boję, żeby nie wypadł. Klęczy na fotelu. Sprawdzam zabezpieczenie drzwi.

Ze szczytu mamy widok na 360 stopni.

Parkuję samochód. Wolno wspinamy się na szczyt naszej góry, gdzie znajdujemy namiot Billy'ego. Wyciągam z niego koce, żebyśmy mogli usiąść.

Siadamy i pozwalamy oczom błądzić swobodnie. Nad samym dnem naszego kanionu

wisi nikła mgiełka, słońce odbija się jaskrawo od lustra odległego oceanu. Widzimy cały pas zatoki, aż po Redondo Beach.

Dlaczego ja tutaj nie mieszkam? pytam sam siebie. Nie znam piękniejszego miejsca. Moglibyśmy patrzeć, jak dorasta dziecko Marty, mógłbym rzeczywiście założyć sad i nieźle zarabiać na życie. Jacky chodziłby do szkoły, tylko kawałek z górki, pieszo, w dobrym dawnym stylu; zejście jest bezpieczne.

Wiem już, że jest tu co malować. Tak długo byłem z dala od tego, iż widzę wszystko bardzo ostro. Mógłbym z powodzeniem malować tu latami, nie schodząc wcale na dół. Malowałbym kaniony, plaże, bodaj i wnętrza garaży. Kiedy już raz się wezmę do malowania, tematów zawsze jest dość.

Może Tato ma rację. Może ukrywam się w Paryżu, żeby uniknąć współzawodnictwa.

Tutaj, w górach, w otoczeniu natury, pomysł powrotu do Ameryki wygląda bardzo logicznie, ale na myśl, żeby to rzeczywiście zrobić, wrócić, coś się we mnie wzdraga.

Po części dlatego, że zbyt wiele osób wtykałoby tu nos w moje sprawy. Trudno uwierzyć we własne życie wewnętrzne, kiedy jest się zmuszonym widzieć siebie samego jako jeden z wielu przedmiotów-podmiotów wielkiej iluzji, stale porównujący, stale porównywany. Trudno szukać swojej prawdy, kiedy najbliższa prawdy jest statystyka jednomyślności.

Uświadamiam sobie nagle, że prowadzę w myślach dialog z Tatą. Usiłuję mu wyjaśnić, dlaczego żyję gdzieś tam daleko, dlaczego nie mogę tu wrócić i zostać. Siedzimy w milczeniu chyba od kwadransa. Ja przez ten czas błądziłem po meandrach myśli, a on w jakimś sensie był ze mną, we mnie. Tato patrzy w dal, jak zagłębiony w medytacji, co jakiś czas nieznacznie kiwa głową.

- Tak, tak. Zapuściłbyś studzienkę i stawiam dolary przeciwko pączkom z marmoladą, że do głębokości pięciuset stóp trafiłbyś na wodę. A z wodą i przy tym słońcu można tu sadzić, co się chce.

Patrzy na mnie z ukosa i uśmiecha się.

- Ale tobie i Vron na pewno lepiej jest w Wesołym Paryżewie.

Mimowolnie wymierzam mu kuksańca w ramię, tak że o mało się nie przewraca. Robi unik, śmiejąc się i chichocząc, zapiera się ręką o ziemię. Nigdy dotąd nie tknąłem ojca w ten sposób - to był taki kuksaniec, jaki się wymierza kumplowi. A on naprawdę się śmieje, nie kryje śmiechu, nie zasłania ust, śmieje się na całego jak koń, kiedy rży do słońca.

Siedzimy tak z pół godziny. Potem Tato wstaje i rusza truchtem wokół szczytu, młynkując ramionami. Zaczyna nawet unosić stopy, już tak nie szura.

O czwartej ruszamy w dół. Przez całą drogę mamy ocean przed sobą, a słońce z prawej. Czuję się jak jastrząb, który po wycieczce w obłoki wolno szybuje z powrotem ku ziemi.

Zostawiam Tatę w drzwiach: niech sam przebrnie przez trudy wyjaśnień. Tato obiecuje powiedzieć Mamie, że pojechałem do Marty. Robi się z niego kłamca pierwszej klasy. Może to właśnie daje terapia psychiatryczna: swobodę radosnego łgarstwa. Jakże

inaczej mógłby człowiek sam siebie oszukiwać? U Delibro melduję się tuż przed piątą.

Delibro wypytuje o moje uczucia wobec Mamy. Usiłuję mówić szczerze. Wyjaśniam, że trudno jest odróżnić to, co naprawdę się czuje, od tych uczuć, które się sobie narzuca dla samoobrony. Ni stąd, ni zowąd, zaczynam opowiadać o Joan.

- Jesteśmy z siostrą bardzo zżyci. Tak było zawsze, odkąd pamiętam, zawsze łączyło nas poczucie intensywnej bliskości. Wiem, że wszystkie kobiety, z którymi miałem do czynienia, przyrównywałem do siostry, co się łączyło po pierwsze z odruchem opiekuńczym, którego się wobec niej do dzisiaj nie pozbyłem, a po wtóre - z wielkim podziwem. Myślę, że w pewnym sensie wyeliminowaliśmy Mamę z naszego życia. Może to nieprawda, a nawet niemożność, ale tak mi się teraz wydaje.

Milknę.

- Proszę mówić dalej. Właśnie tego chciałem się dowiedzieć. Pańska matka jest kobietą wrażliwą, inteligentną. Musiała to czuć i buntować się przeciw temu; taki stan w znacznym stopniu tłumaczyłby jej postawę obronną, jej opór wobec miłości.

- Teraz, kiedy jest taka chora, mam wyrzuty sumienia. Nie potrafię jej kochać tak, jak ona chciałaby być kochana. W głębi duszy czuję, że ona zawsze celowo usuwała Tatę w cień. Myślę, że tym, co mnie trzyma z dala od niej, jest strach. Tato był zawsze takim cieniem w oślepiającym blasku Mamy, że i dla niego straciłem stopniowo prawie całe uczucie. Przez trzydzieści z górą lat był jak mumia. Czasami wręcz niewidzialny. Dopiero kiedy pobyliśmy sami, podczas gdy Mama leżała w szpitalu, poznaliśmy się naprawdę jak dorośli mężczyźni. Dla Mamy było to kolejne odrzucenie. Wydaje mi się teraz, że miała swoje powody, żeby nas rozdzielać.

- Musi pan zrozumieć, panie Tremont, że to nie tylko jej wina. W pańskim ojcu i w panu jest widocznie coś, co prowokuje ją do takich reakcji. Przecież pańska matka to też tylko człowiek, może bardziej zalękniony, bardziej skłonny do dominacji niż większość ludzi, może człowiek o słabym *ego* - ale człowiek. Za to przypadek pańskiego ojca jest wyjątkowy.

- Możliwe. Ale Tato uciekł w świat wyobraźni, ja uciekłem do Paryża, a Joan poślubiła mężczyznę, którego Mama nie potrafi rozgryźć - ludzką zaporę. Z drugiej strony, możliwe, że ja tylko racjonalizuję.

Zapada dłuższa cisza. Popełniłem niewybaczalny błąd: sam podsumowałem analizę. Teraz on na pewno myśli, że rozumuję kategoriami typów jak klasyczny niedorobiony psycholog, który naczytał się powieści i podręczników psychologii typu zrób-to-sam. Może i ma rację, chociaż ja naprawdę staram się tylko przekazać mu swoje widzenie spraw. Następne pytanie jest jak kubeł wody na głowę:

- Czy matka pana groziła kiedykolwiek samobójstwem albo usiłowała je popełnić? Jak mam mu na to odpowiedzieć?

- Przez całe życie wygłaszała pogróżki i aluzje na ten temat. “Czy żyję, czy umrę - wam wszystko jedno" - to jej ulubione powiedzonko. Ale w gruncie rzeczy nie powiedziałbym, że ma skłonności samobójcze. Samobójstwo nie licuje z jej obrazem własnej osoby.

Delibro patrzy na mnie. Nie gapi się, tylko patrzy spokojnie, wyczekująco. Można się

poczuć diablo niepewnie, siedząc twarz w twarz z człowiekiem o szeroko otwartych, zasłuchanych oczach. Wreszcie opuszcza wzrok na papiery leżące na biurku.

- Będę z panem absolutnie szczery. Pański ojciec funkcjonuje prawidłowo. Ma pewien mętlik w głowie na skutek swoich urojeń, ale, ogólnie rzecz biorąc, radzi sobie nieźle. Bardziej niepokoi mnie pańska matka. Jest to osoba głęboko nieszczęśliwa. Jako psychiatra, z nakazu zawodu, czuję się w obowiązku jej pomóc.

Patrzę na niego i zastanawiam się, jak zareaguje na to, co mu zaraz powiem.

- Doktorze, może to zabrzmi okrutnie, ale, moim zdaniem, szkoda wysiłku. Wątpię, czy zdoła pan pomóc Mamie w tym życiu, nawet gdyby poświęcił pan temu zadaniu cały swój czas. Mama, po swojemu, potrafi sobie zorganizować życie. Samobójstwa nigdy nie popełni, bo koleiny, którymi myśli i porusza się, są już zbyt głębokie, zanadto stały się częścią niej samej. Wolałbym, żeby się pan skupił na pomocy Tacie - żeby mógł jakoś dojść z sobą do ładu. Nie chcę, żeby się wyrzekł świata fantazji, ale proszę zrobić coś, żeby nie żył w ciągłym poczuciu winy.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, panie Tremont: nie jestem w stanie pomóc pańskiemu ojcu, dopóki trwa obecna sytuacja. Sądzę, że on nie potrafi opierać się naciskom ze strony matki pana.

No i tkwimy w podwójnym albo i potrójnym nelsonie. Cały czas omijałem ten problem, odsuwałem go od siebie, wiedząc, jak silne kryją się za nim emocje.

- Czy istnieje możliwość, żeby pańscy rodzice przez jakiś czas mieszkali oddzielnie? Dla ojca byłoby dobrze, gdyby znalazł się teraz w środowisku, które go chroni i akceptuje - dla wzmocnienia *ego*.

Karta-stół. Nie ma wyjścia. Tłumaczę mu niewykonalność takiego projektu. Tłumaczę, że nie chcę się tutaj sprowadzać i że nie mogę zabrać do siebie ani Taty, ani Mamy, których wiąże z tym miejscem opieka medyczna Perpetual.

- Mama nie może sama mieszkać, a u Joan robi piekło. Próbowaliśmy zaangażować domową pielęgniarkę, ale Mamie nie sposób dogodzić. Jak w tej starej zagadce o kurze, lisie i ziarnie: dla Taty miejsca nie ma.

Jeszcze chwilę o tym gadamy, ale nie dochodzimy do żadnych konkretnych wniosków. Mówię mu, że zdaniem Mamy on nie jest żadnym doktorem, tylko hippisem. Nie obraża się. Miałbym ochotę zapytać go, czy jest żonaty, ale gryzę się w język.

W domu zastaję niewyraźną atmosferę. Napięcie zdecydowanie wzrasta. Informacja, że byliśmy z Tatą w Topanga i siedzieliśmy na szczycie góry, wcale nie poprawia sytuacji, tylko potwierdza nasz status hippisów.

Nie wiem, skąd Mama bierze swoje opinie, ale ta najnowsza to już bzdura do kwadratu: wymyśliła sobie, że psychiatra chce umieścić Tatę w zakładzie. Naturalnie, wygłasza tę rewelację w obecności Taty. Nie wątpię, że przez złośliwość. Mama jest za bystra, żeby coś podobnego zrobić przypadkiem. Próbuję obrócić to w żart, ale ona brnie coraz dalej. Udaje, że to najlepsze wyjście z sytuacji. Rozwodzi się nad tym, jak to Tato nie umie zadbać o siebie, a ona ma przecież chore serce, a wszyscy inni sobie bimbają.

Dalej już zwyczajowo: że Tato był dla nas całe życie takim wspaniałym ojcem, a teraz, kiedy potrzebuje opieki, żadne z nas się nie kwapi, i tak dalej.

Siedzę, słucham i korzystam z każdej okazji, żeby uśmiechnąć się do Taty. Mniej więcej w trzech czwartych wykładu Tato wymyka się do oranżerii. Widzę, że planuje błyskawiczny wypad do Cape May. Zaczynam już rozumieć, że Tato działa jak alkoholik, wymykający się chyłkiem do schowka, gdzie czeka zadołowana butelka.

Słucham. A słuchając uświadamiam sobie, że może właśnie teraz nadarza się okazja, żeby ich trochę rozdzielić. Robię w myślach plany i czekam. Trzeba utrafić w odpowiedni moment. Nie wolno jej przerywać. Wiem przecież, że kiedyś się wygada. Jak aktor, który przerywa kwestię w środku i zerka przez rampę na widownię, żeby się upewnić, że istotnie ktoś tam siedzi, ponieważ jego najlepsza kwestia nie wywołała żadnej reakcji - tak właśnie działa Mama.

Rzecz w tym, żeby zachować kompletne milczenie, nie wysyłać żadnych sygnałów, nawet nie patrzeć jej w oczy. Skupiam uwagę na pieprzyku, który ma po lewej stronie podbródka. Mama pieczołowicie usuwa rosnące na nim włoski. Co chwila próbuje pochwycić mój wzrok i dzięki temu wiem już, że ją mam: niedługo skończy. O, właśnie skończyła.

- Masz absolutną rację, Mamo. Niezłe wejście, co?

- Nie możecie być tutaj razem. Występować o rozwód też nie byłoby sensu: wasze małżeństwo trwało przecież tyle lat, a poza tym, byłoby to wbrew naukom Kościoła.

Niech się tego trzyma. To działa prawie tak szatańsko, jak wykłady o desperacji w szpitalu.

- Może byś tak wzięła mały urlop, Mamo? Niezbyt forsowny, nie za daleko od szpitala, taki, żebyś mogła odpocząć. Pojechałabyś sobie do Gorących Źródeł Gilmana albo wynajęlibyśmy ci pokój z widokiem na ocean w hotelu Miramar w Santa Monica. Pospacerowałabyś sobie po molo w Santa Monica i miałabyś prawdziwe wakacje - także od małżeństwa.

Ostatnie słowa dorzucam celowo: pasują, jak ulał, do telewizyjno-serialowej wizji świata Mamy. Teraz czekam na jej reakcję.

- Ty chyba oszalałeś, Jacky! Jak ja mogę coś takiego zrobić? Przecież on by mnie zakatrupił!

- Dajże spokój, Mamo. Zostałby tutaj ze mną. Wiem, jak bardzo się o ciebie martwi - to by było dla niego najlepsze. Też miałby czas na pozbieranie się w samotności. A kiedy wrócisz - będzie nowym człowiekiem.

Tego właśnie nie należało mówić. Mama przecież chce, żeby on był starym człowiekiem. Trudno, stało się. Wiem, że i tak nigdzie nie pojedzie.

- Jacky, czy ty chcesz rozbić nasze małżeństwo? Małżeństwo własnych rodziców? Widać, że za długo siedziałeś w Paryżu. Za żadne skarby świata nie opuszczę twojego ojca!

- Rozumiem, Mamo. Wobec tego, może przynajmniej przeniesiesz się na mały wypoczynek do Joan? Ciągle powtarzasz, że boisz się Taty, że on chce cię zabić, i tak dalej. Przenieś się do Joan, a ja z nim tutaj zostanę.

Złapałem ją w pułapkę. Wie, że jeżeli się nie zgodzi, będę jej to wypominał za

każdym razem, jak znów zacznie opowiadać o wariactwach Taty. Istotnie, będę to robił. Mama siedzi, nic nie mówi, mózg jej pracuje na takich obrotach, że oczy o mało nie wyjdą z orbit. Zakłada nogę na nogę, zmienia nogi. Przypominam jej, że ma nie zakładać nogi na nogę. Wciska palec w policzek koło ust: kiedyś śmiałem się z niej, że w ten sposób robi sobie dołeczek.

- Ja nie wytrzymam z tym makaroniarzem. Zresztą, on mnie i tak nie przyjmie tam do domu. Ostatnim razem, jak tam byłam, dobrze mu się przyjrzałam: on ją traktuje jak służącą!

Pora na wielką blagę. Wiem, że niedługo zdołam wesprzeć swoje kłamstwo faktami, a więc nie jest to żadne kłamstwo, tylko deklaracja a priori:

- Ja już rozmawiałem z Joan, Mamo. Mario buduje ogródek jordanowski i pracuje poza domem codziennie do szóstej po południu. Daliby ci pokój chłopców, z własną łazienką i oddzielnym wejściem - właściwie odrębne mieszkanie. Nie musisz nawet z nimi jadać, jeżeli nie masz na to ochoty. W zasięgu jednej przecznicy masz trzy restauracje i bar McDonalda. Poza tym, Joan zawiezie cię, gdzie będziesz chciała. Możesz być sama, ile ci się spodoba. W pokoju jest nawet drugi telewizor - nikt ci nie każe oglądać meczy baseballowych ani innych programów, których nie lubisz. Będziesz miała prawdziwe wakacje.

Widzę, jak się łamie.

- Tygodnia nie wytrzymam w tym gorącu i smogu doliny. A idzie lato, Jacky, pamiętaj o tym.

- W upały możesz siedzieć w domu, jest klimatyzowany. Samochód też ma klimatyzację. A przypomnij sobie, jak tam jest przyjemnie wieczorami.

- Będzie mi brakowało własnego ogrodu. Wiesz, jaki on jest, ten mafioso: nikt nie ma prawa tknąć jego ogrodu.

- Pomyśl inaczej, Mamo. Będziesz mogła cieszyć się ogrodem, nie mając tak uciążliwych obowiązków jak pielenie czy podlewanie. Jak królowa, która zatrudnia pałacowego ogrodnika, sympatycznego Włocha.

To było chytre zagranie! Mario jako nadworny włoski ogrodnik bardzo Mamie odpowiada. Wije się i kryguje, szuka dziury w całym, w końcu jednak ulega. Obiecuję, że zawiozę ją tam nazajutrz.

Telefonuję do Joan, żeby wszystko ustalić. Joan przyznaje, że roboty będzie niemało, ale skacze z radości. Właśnie kiedy odkładam słuchawkę, wraca Tato - z oranżerii czy z Cape May, nie wiadomo.

Mama naprawdę się niepokoi, co Tato powie. Mówię mu, że Mama potrzebuje solidnego wypoczynku i w związku z tym przeniesie się na jakiś czas do Joan. Tato słucha z uwagą, przytakuje ruchem głowy. Broda wygląda przy jego twarzy tak, jakby się z nią urodził. Zdumiewające, ile życia nabrały dzięki niej oczy. Nigdy nie zauważyłem, jakie niebieskie, błękitne oczy ma Tato. Ciekawe, czy byłbym innym człowiekiem, gdyby Tato zawsze nosił brodę - takie drobiazgi potrafią wiele zmienić. Mówię Tacie, że zostanę z nim tutaj, będę gotował i zajmował się domem. Kiwa głową, patrzy na mnie, potem na Mamę. Mama siedzi w fotelu spięta do granic, gotowa w każdej chwili wyskoczyć w górę albo dać

nura.

- Będzie dobrze. Nic się o nas nie martw, Bette, poradzimy sobie. Johnny świetnie gotuje i dba o dom, ja mu będę pomagał, natrę uszu, jak będzie trzeba. Jestem z dnia na dzień silniejszy; kto wie, czy w końcu nie zostanę szefem, należy mi się. A ty wypoczywaj, dbaj o serce i staraj się niczym nie martwić. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiecha się i kiwa głową. Mama węszy jakiś podstęp, ale już za daleko zabrnęła. Może spodziewała się, że Tato z wściekłości przebije głową sufit, że będzie wrzeszczał, przeklinał?

Wracamy do programu Lawrence'a Welka. W środku programu Tato ni stąd, ni zowąd wstaje, wyciąga Mamę z fotela i upiera się, żeby z nim zatańczyła walca, którego właśnie grają. Mama sygnalizuje mi wzrokiem znad jego ramienia swój lęk i poczucie zagrożenia, ale ja tylko siedzę wygodnie oparty i uśmiecham się. Tato niezbyt pewnie stawia długie kroki, ale rytm trzyma jak należy. Mama wspina się na palce, a ja po raz kolejny zachodzę w głowę, dlaczego ona na co dzień tak szura i powłóczy nogami. Tato nie mógł wymyślić nic lepszego, żeby przekonać Mamę, że powinna się natychmiast zacząć pakować do wyjazdu.

W poniedziałek rano odwożę Mamę do Joan. Billy zostaje z Tatą. Joan tak urządziła sypialnię Mamy, że wygląda jak pokój w prywatnym motelu. Zabarykadowała drzwi dla reszty domu, klucz jest od środka. Mrugając do mnie, pokazuje Mamie, że nikt nie będzie mógł ni stąd, ni zowąd do niej wejść i przeszkadzać. Z pokoju jest bezpośrednie wyjście na ogród, gdzie czeka wygodny fotel przy stoliku z drzewa sekwoi. Mama może też zawsze oglądać telewizję w salonie, gdzie jest kolorowy odbiornik, wszyscy będą bardzo radzi.

Joan daje mi wymowny znak, więc wymykam się dyskretnie. Jadę do domu przez Topanga. To okrężna droga, ale chciałbym się jeszcze raz nawąchać tamtych zapachów i spojrzeć w czyste niebo. Potem zjeżdżam wzdłuż wybrzeża do Venice i przez Palms - do Taty.

Tato ma się dobrze. Patrzy poza mnie, jakby sprawdzał, czy Mamy rzeczywiście nie ma. Zmajstrowali z Billym prosty zegar słoneczny, tuż koło wanienki dla ptaków w ogrodzie. Starą lutownicą wypalili na kawałku deski maksymę:

OBYŚ BYŁ JAK TE PSZCZOŁY I ROŚLINY:
LICZYŁ TYLKO SŁONECZNE GODZINY.

Billy z przejęciem wyjaśnia mi system działania zegara. Jeszcze mocniej utwierdził się w przekonaniu o genialności Taty. Nigdy bym nie uwierzył, że tak łatwo jest zrobić zegar słoneczny: deszczułka wbita pod kątem w ziemię, a w niej szpikulec tkwiący pod innym kątem. Godziny wypalili na desce rzymskimi cyframi.

Przyrządzamy sobie grzanki z serem i wypijamy po dwa piwa, wykańczając sześciopuszkowy karton, kiedy wylegujemy się na patio i patrzymy, jak słońce pełznie po zegarze słonecznym. Opowiadam Tacie, jak świetnie Joan wszystko urządziła, jak Mamie

będzie tam wygodnie, jaka to dla niej okazja, by naprawdę wypoczęła. Tato pyta, czy wiemy, co to jest gnomon. Obaj robimy wielkie oczy. Tato podnosi się, podchodzi do zegara słonecznego i wskazując na sterczący z tarczy szpikulec, uśmiecha się szeroko.

O czwartej Tato ma kolejną wizytę u Delibro. Billy chce nocować w górach i pożycza ode mnie motor. Po wizycie u Delibro pojadę z Tatą do Venice i trochę pomaluję.

Korzystając z tego, że Tato siedzi u lekarza, jadę do sklepu artystycznego Braci Aaron, gdzie nabywam trzy nowe płótna, kilka kolorów, które mi się kończą, i dwa sobolowe pędzle. Kiedy wracam, Tato siedzi w poczekalni. Mówi, że wizyta przebiegła jak najlepiej. Zaczynamy popadać w rutynę - nie powiem, żeby mnie to specjalnie martwiło.

Kiedy wychodzimy od lekarza, Tato wyciąga z portfela jakąś kartkę. Spogląda najpierw na kartkę, potem na mnie.

- John, ta ładna Murzynka z zielonym okiem, ta, co mnie odwiedzała w szpitalu, co mi dała fiołki afrykańskie, zapisała mi tutaj swój numer telefonu i mówiła, żebym zadzwonił i żebyś ty mnie może do niej podrzucił. Chce mi pokazać oranżerię.

W jego spojrzeniu z ukosa czytam połączenie niewinności i wstydu. Zawsze ma w zanadrzu jakąś niespodziankę!

- Dobrze, Tato. Mogę zadzwonić stąd, z budki, albo później z domu, jak wrócimy z malowania.

- Zadzwoń teraz, Johnny, bo znowu zapomnę. Co raz o tym myślę, potem zapominam - a obiecałem jej.

Zatrzymujemy się przy warsztacie, gdzie mają automat, wykręcam numer, który dał mi Tato, mając przy tym pewność, że Alicja jest na dyżurze, a nie w domu. Może to zresztą nie pewność, tylko nadzieja. Ktoś odbiera.

- Halo, Alicja?

- Tak, słucham, czy to ty, Jack? Jak tam tatuś?

Słowo daję, poznała mnie po głosie!

- Dziękuję, Alicjo, całkiem nieźle. Prosił mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Jest teraz fantastyczny, nie uwierzyłabyś, ile ma siły i pogody ducha.

- Bardzo bym chciała go zobaczyć, pokazać mu moje rośliny. Ciebie też, Jack, chciałabym zobaczyć.

Taka banalna grzecznościowa odzywka, a na dobrą chwilę odbiera mi mowę.

- Kiedy byłoby ci wygodnie spotkać się z nami, Alicjo? Gdzie mieszkasz?

- Mam teraz nocne dyżury, czyli wolna jestem codziennie rano od... powiedzmy... dziesiątej. Może jutro?

Tato nachyla się do słuchawki, też chce wiedzieć. Oddaję mu ją na chwilę, żeby sięgnąć po kartkę i ołówek, no i trochę wziąć się w karby. Dźwięk jej głosu, jego siła i ton wytrąciły mnie nieco z równowagi.

Tato słucha, kiwa głową, uśmiecha się, szczęśliwy, że rozmawia z Alicją, ale sam niewiele się odzywa. Widzi, że trzymam już kartkę i ołówek, więc przekazuje mi słuchawkę. Alicja podaje adres w pobliżu Cloverfield, w Santa Monica. Umawiamy się nazajutrz na

dziesiątą.

Odkładam słuchawkę i jakby nigdy nic idziemy sobie do samochodu, zupełnie jakby umawianie się na zbiorowe randki było dla nas chlebem powszednim.

Strój do malowania i przybory mam w bagażniku, więc przebieram się na parkingu. Zabezpieczamy samochód i oddalamy się drewnianym chodnikiem.

Umówiłem się z Tonym i Shelly, że namaluję ich chatę. Będę ją malował od zewnątrz, poprzez stoliki zastawione owocami i jarzynami, a potem zrobię widok z okna na plażę, z niebem w kolorach zachodzącego słońca.

Ustawiam sztalugi i od razu biorę się do rysowania. Tony wystawia fotel dla Taty. Tato obserwuje wszystko, cieszy się ludźmi, moim malowaniem, owocami, zachodem słońca. Nie pilnuję go specjalnie.

Po jakimś czasie patrzę, a Taty nie ma! Rozglądam się po całym lokalu. Tony stoi przy ziołach.

- Tony, nie widziałeś Taty?

- Widziałem, poszedł z Suzanne. Nie martw się, Tato jest facet pierwsza klasa.

Stoję z pędzlem w ręku. Najchętniej poleciałbym za nim od razu, ale postanawiam najpierw dokończyć gruntowanie płótna. Suzanne przypilnuje Taty. Mija pół godziny, a on nie wraca. Płuczę pędzle w terpentynie.

Idę do Suzanne; jest po szóstej. Venice to piękna miejscowość, ale nie najbezpieczniejsza: roi się tu od chuliganów, pijaków i narkomanów, człowiek nie zna dnia ani godziny, szczególnie starszy człowiek jak Tato.

Dochodzę do Suzanne. Pap wygląda przez okno. Jest w swoim ulubionym pedalskim stroju: przetykana fioletową nitką wieczorowa suknia i strzępiaste boa wokół szyi. W połączeniu z jego piaskowobiałą bródką Ho Chi Minha, efekt jest niesamowity. Kiwa głową i gestem zaprasza mnie do środka.

Obchodzę dom i wchodzę od tyłu po schodkach przeciwpożarowych; drugie wejście jest przez restaurację. W pokoju jest gęsto od narkotycznych wyziewów. Tato leży wyciągnięty na trzech jedwabnych poduszkach.

Suzanne kuli się na sąsiedniej poduszce i pociera policzek o brodę Taty.

- Nic się nie martw o swojego tatusia, John. Tatuś jest pierwsza klasa. To jeden z najsympatyczniejszych ludzi na świecie.

Co ja nawyrabiałem? Sam się trzymam jak najlepiej od maryśki, a tu - proszę uprzejmie, mój rodzony ojciec, były wróg hippisów, rozwala się na podłodze, ciągnie trawę i uśmiecha się do mnie jakby nigdy nic.

Wchodzę głębiej do pokoju i siadam w pozycji lotosu - ta cała joga jednak od czasu do czasu się przydaje.

- Jak się masz, Tato?

- Trudno lepiej, Johnny. Nie myślisz, że po tych małych skrętach będzie mnie znowu ciągnęło do papierosów? Przez całe lata, pamiętasz, kurzyłem jak komin, nie chciałbym znowu zacząć.

- To chyba bez związku, to nie to samo co palenie papierosów. Dobrze się czujesz?

- Powinni to dawać wszystkim starym ludziom, Johnny. Szkoda, że się marnowało w rękach młodzieży. Cały czas im powtarzam, że marnują życie, siedząc tu i paląc bezczynnie, kiedy tam czeka na nich cały świat. Ale dla takiego starego kapcia jak ja to jest wymarzona rzecz.

Sięga do Papa po skręta, zaciąga się i wolno wypuszcza dym.

- Wiesz, Johnny, że ta marihuana pozbawia człowieka lęku? I zauważam rzeczy, których wcześniej nie zauważałem. Wiedziałeś, na przykład, że na granicy światła i cienia unosi się błękitne pulsujące pasmo?

Patrzę na Suzanne. Odbiera skręta od Taty i przekazuje go z powrotem Papowi. Całuje Tatę w policzek, podchodzi do mnie i kuca obok płasko, na bosych stopach, w powiewnej i właściwie przezroczystej sukni.

- Nie martw się, Johnny. On jest w porządku. Wracaj do malowania i nie martw się nic a nic. On się tutaj świetnie czuje.

Pal sześć. Przecież nie będę szarpał się z Tatą. Krzywdy sobie nie zrobi. Wracam do sztalug.

Około siódmej pojawia się Tato w błogim nastroju. Macha do mnie już od drzwi, podchodzi bliżej, siada na krześle i patrzy na zachód słońca - mój ojciec, ludzki zegar słoneczny. Do siódmej trzydzieści kończę impastowanie i pakuję skrzynkę. Jedziemy do domu.

W drodze postanawiamy zajrzeć na mecz. Dodgersi grają z Phillies w Chavez Ravine. Jeżeli pojedziemy od razu, zdążymy na początek gry. Na kolację zjemy sobie hot-doga przy stadionie.

Podrzucam Tatę do kasy, a sam parkuję wóz. Kiedy wracam, Tato ma już bilety, i to w dobrym miejscu, na linii trzeciej bazy. Ciągle nie mogę przywyknąć do Taty: nigdy przedtem nie kupiłby sam biletów, przynajmniej przez ostatnie trzydzieści pięć lat.

Między drugim a trzecim wrzuceniem piłki kupuję po dwa hot-dogi na głowę i kilka piw. Tato kibicuje obu drużynom naraz. Właściwie kibicuje zawsze tej, która akurat jest przy piłce. Po każdym celnym uderzeniu zrywa się z miejsca, wznosi okrzyki i wymachuje pięściami. Nareszcie może sobie powrzeszczeć i nikt go nie ucisza. Trzeba przyznać, że ma sporo wrzasków do nadrobienia.

Wygrywa drużyna Dodgerów dzięki mistrzowskiemu zagraniu na własną bazę Steve'a Garveya i Tato postanawia, że jednak pozostanie ich kibicem.

Radzę mu następnym razem wybrać się na mecz w towarzystwie Maria: przynajmniej iść z kimś, kto się naprawdę zna na, grze, a Mario przecież sam kiedyś grywał w baseball.

- Masz słuszność, Johnny. Wiesz, że ja go jakoś nigdy bliżej nie poznałem, chociaż chciałem. Jak wpada do nas z Joan, tylko siedzi cicho albo śpi, albo wychodzi do innego pokoju. Trudno mu wytrzymać napaści Mamy.

Właśnie szykujemy się do łóżek, kiedy dzwoni telefon. Moja pierwsza myśl - to na pewno Joan, Mama dostała ataku serca i umarła, kiedy my tu sobie w najlepsze poszliśmy w

tango. Ale to nie Joan, to Mama. Dopytuje się, dlaczego nie było nas w domu. Mówię, że wybraliśmy się na mecz.

- Dzwonię do was od szóstej po południu. Mecz tak długo nie trwa. Chcę rozmawiać z ojcem.

Już mam jej powiedzieć, że ojciec śpi, ale uświadamiam sobie, że na pewno dzwoniła co pół godziny, więc Tato nie miałby kiedy zasnąć.

Tato podchodzi do mnie. Zakrywam dłonią mikrofon i mówię, że to Mama. Odbiera mi słuchawkę z uśmiechem młodego szefa, który przejmuje telefon od sekretarki. Niech się dzieje, co chce, niech się gruntuje grunt pod rozwód - a może już gotowy? Teraz odbędzie się decydujący sprawdzian: czy Tato znów się złamie, czy nie?

Tato rozsiada się wygodnie w bujanym fotelu, po swojemu, niezbyt pewnie, przytrzymując słuchawkę: nie przykłada jej do skroni, tylko trzyma w pewnej odległości jak węża. Jeszcze daleko mu do szefa klasy międzynarodowej. Siadam w drugim fotelu.

- Zgadza się, Bette, byliśmy na meczu. Wygrali Dodgersi, w dziewiątej rundzie, przez rzut na własną bazę. Jedliśmy hot-dogi, piliśmy piwo,

Pauza. Tato starannie omija wzrokiem telefon.

- Nie. Jedliśmy w pizzerii, tu, za rogiem. Wiesz, że powinniśmy tam razem chodzić od czasu do czasu? To parę kroków od domu.

Pauza.

- Do pizzy dawali dużo zieleniny, nie martw się.

Puszcza do mnie oko. Wiem, że jesteśmy na dobrej drodze. Wychodzę do sypialni i rozbieram się. Jestem wykończony. To był wyjątkowo długi dzień. Nagle słyszę, że Tato mnie woła.

- John, Mama cię prosi!

Trzyma słuchawkę na wyciągnięcie ręki.

- Tak, Mamo?

- Jacky?

Przeszła na swój słynny szept sceniczny.

- Musisz mnie stąd wydostać. Ten Mario mnie wykończy!

- Nie rozumiem, Mamo. Czy Mario nie był dzisiaj w pracy?

- Przyszedł na obiad do domu.

- Przecież nie musisz z nimi jadać, Mamo. Mówiliśmy o tym, pamiętasz? Niepotrzebnie się denerwujesz.

- Jeżeli temu makaroniarzowi się wydaje, że mnie powstrzyma od jedzenia posiłków z moją córką i wnuczętami, to się grubo myli. Zapewniam cię!

Cholera, zaczęło się. Słucham, jak Mama brnie w najdrobniejsze detale, nie wyłączając zarzutu, że po obiedzie Mario przed nią poszedł do łazienki. Ma telepatycznie odczytywać stan jej pęcherza, czy jak? Zresztą, dali jej tam przecież własną łazienkę. Słucham dalej. A właściwie staram się nie słuchać, tylko czekam, kiedy skończy. Tato zakłada piżamę. Wychodzi do łazienki. Słyszę, jak szoruje zęby. W końcu Mama milknie.

- Czego ty właściwie chcesz, Mamo? Nie wytrzymujesz z Mariem, nie wytrzymujesz

z Tatą - więc z kim wytrzymujesz? Powiedz mi, a postaram się sprawę rozwiązać.

Niezbyt to grzeczne, przyznaję. Ale pora jest późna, ja jestem zmęczony, a ona zachowuje się tak nierozsądnie. Zapada długa, głucha cisza, po czym Mama odkłada słuchawkę. Idę zobaczyć, jak Tato sobie radzi. Leży w łóżku. Patrzy na mnie w ciemności bez okularów.

- Nie przejmuj się, John, przejdzie jej. Zawsze jest taka, jak się zdenerwuje.

- Dobranoc, Tato. Śpij spokojnie. Już mam się kłaść, kiedy telefon dzwoni ponownie. Nie chce mi się odbierać, ale odbieram. To Joan.

- Jak się masz, nędzny, parszywy, brodaty hippisie, zakało, rodziny? Jak tam sprawy?

- Domyślam się, że pierwsza część wypowiedzi była cytatem.

- Mniej więcej, w złagodzonej wersji. Oryginału nie powtórzę z uwagi na wrodzoną wrażliwość. Coś ty jej, na litość Boską, powiedział? Zamknęła się w pokoju, chodzi, tupie i nie otwiera.

- Nic specjalnego. Zapytałem ją tylko, gdzie chciałaby mięszkać. Tuż przedtem ona przeleciała się przez Maria jak przez czarną dziurę w kosmosie.

- Jack, ja już nie wiem, co myśleć. Wygląda na to, że ona chce wszystkim zaszkodzić, wszystkich unieszczęśliwić, tylko dlatego, że sama jest nieszczęśliwa. Nie wiem, co my tu możemy zrobić. Nie wiem, jak długo ja to wytrzymam.

- Może ucieszy cię wiadomość, że my z Tatą mieliśmy dzisiaj fantastyczny dzień. Nie uwierzysz, cośmy wyprawiali. Zaczynam na serio myśleć, że trzeba by go jakimś sposobem wyrwać z łap Mamy.

- Jasne, tylko jak? Przecież jej nie zamordujemy. Jak jej dogodzić? Ja się nie zgrywam, naprawdę już robię bokami. Trzeba ją było widzieć dzisiaj. Jeżeli ci się zdaje, że wyjątkowo ostro napadła na Maria, to szkoda, że nie słyszałeś, co wygadywała o tobie i o Tacie. W jej oczach jesteście piracką parką spod ciemnej gwiazdy. Chwilami aż chciało mi się śmiać, chociaż tak naprawdę to tylko miałam ochotę raz a dobrze jej dołożyć. Żeby przynajmniej powiedziała swoje i skończyła - ale nie, powtarza po kilka razy to samo, jakby uczyła się roli na pamięć.

- Dzisiaj po południu Tata leżał na jedwabnych poduszkach w otoczeniu haremu ślicznotek i popalał maryśkę. Rzecz miała miejsce w Venice. Więcej: na jutro załatwiłem mu randkę z piękną Murzynką.

- Przestań, Johnny! Przestań pleść. Ona właśnie od takich rzeczy dostaje białej gorączki.

Joan chichocze. Czy powinienem na tym poprzestać? W końcu przecież jej powiedziałem. Zawsze mogą się na to powołać. Ale to byłoby nieuczciwe.

- Joan, ja się nie wygłupiam. Byłem zajęty malowaniem na plaży, a on sobie poszedł i tak go właśnie zastałem. Twierdzi, że wszyscy ludzie powinni palić trawkę i że szkoda ją marnować dla młodzieży. Murzynka, o której mówię, to ta sama, która podarowała fiołki afrykańskie; jedziemy obejrzeć jej oranżerię.

- Zmyślasz, Jack. Nie, ty nie zmyślasz, nawet taki wariat jak ty nie zmyśliłby czegoś podobnego. Mama ma rację: wam dwóm nie można ufać.

Wybucha śmiechem, ale ten śmiech w słuchawce brzmi tak, jakby się mógł lada chwila przemienić w płacz. Nie zdawałem sobie sprawy, że Joan jest tak bliska histerii.

- Nie przejmuj się, Joan. On nie wygada. Dzisiaj wieczorem łgał przez telefon jak z nut. Opowiadał, że jedliśmy pizzę i sałatę, chociaż nie mieliśmy w ustach nic oprócz hot-dogów i piwa na stadionie. Kłamstwo przychodzi mu coraz łatwiej: niedługo będzie mógł się przyłączyć do naszej brygady Piotrusia Pana jako Dzwoneczek.

Na koniec postanawiamy przytrzymać Mamę u Joan tak długo, jak się da. Joan mówi, że będzie wypychała Maria do kina i trzymała go z dala od Mamy. Chcemy dać Tacie czas.

- Tylko uprzedzam cię, Jack, że jeżeli ona nie przestanie za mną wszędzie latać, wszystko poprawiać i zrzędzić na temat brudu i hańby, to ją chyba zakatrupię gołymi rękami.

- Dobra, Joan, masz moje pozwolenie. W razie czego wpłacę kaucję, załatwię ci najlepszego adwokata i wesprę każde alibi.

Dobrą chwilę śmiejemy się z tego pomysłu, potem Joan odkłada słuchawkę.

Rano, po śniadaniu, jedziemy do Alicji. Obaj staramy się zachowywać tak, jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem: w końcu jedziemy tylko w odwiedziny do znajomej, pooglądać rośliny.

Domek stoi na tyłach bliźniaka. Przechodzimy przez furtkę i wąska ścieżka prowadzi nas do zadbanego ogródka przy małym, płaskim, malowanym na biało domku z drewnianym belkowaniem. Farba na ścianach pęka i łuszczy się, dzięki czemu widać tyleż surowego drewna, co bielenia. Po dwóch schodkach wchodzimy na chwiejny ganek i pukamy do drzwi. W ogóle na siebie nie patrzymy. Jak para piętnastolatków, którzy przyszli zabrać dziewczyny do kina, z tym że dziewczyna jest tylko jedna, ma jedno oko zielone, złocistobrązową skórę i więcej niż piętnaście lat.

W oknach widać białe marszczone firanki i skrzynki pełne kwiatów. Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę oranżerii. Widzę za to wanienkę dla ptaków, pełną wody, a obok karmnik. Zięby, drozdy, gołębie, turkawki, szpaki i jaskółki polatują dookoła i skubią ziarno z karmnika albo z ziemi pod karmnikiem.

Drzwi otwierają się i staje przed nami Alicja, w dżinsowym staniku i levisach.

- Już się bałam, że nie przyjedziecie. Wejdźcie.

Omija mnie wzrokiem, patrzy na Tatę. Pokoik jest mały, ale piękny i słoneczny, pełen powietrza i wygody. Alicji udało się w niewytłumaczalny sposób połączyć hippisowski naturyzm z zasadami nowoczesnej dekoracji wnętrz: pokój ma piękny, indywidualny styl.

- Panie Tremont, Boże mój! Pana widok to balsam na zbolałe oczy!

Mówiąc to, podchodzi do Taty i pierwsza ujmuje go za ramiona silnymi, szczupłymi rękami. Tato uśmiecha się, patrząc jej prosto w oczy. Wtedy ona impulsywnie ujmuje w obie dłonie jego twarz i całuje go mocno w same usta. Tato nie zdążył nawet złożyć ich w ciup. To prawdziwy pocałunek, nie tak prawdziwy, jak tamten nasz w nocy, ale bardzo blisko. Tato stoi jak zamroczony, z tym samym uśmiechem co przedtem, kręci głową i obiema rękami wspiera się na lasce.

- Dobrze, że mam przy sobie ten kij, bo chyba bym już leżał plackiem na ziemi,

Alicjo. Taki stary człowiek jak ja całkiem traci przy tobie dech.

- Ejże, panie Tremont, jeszcze pan nie jest taki stary. Jest pan w najbardziej odpowiednim wieku, jest pan mężczyzną, któremu kobieta może zaufać, prawda Jack?

Kiwam głową. Tato zerka na mnie, potem znów na Alicję.

- W takim razie, Alicjo, może byś mi zaczęła mówić po imieniu? Na niego mów Johnny, tak jak ja. Matka woła go Jacky, ale on chyba nie lubi. Szczerze mówiąc, nie lubi chyba też, jak ja mu mówię Johnny; spróbuj John.

Alicja bierze się pod boki i patrzy na nas z uznaniem, wydymając usta.

- Dobrze, ty będziesz Jack. Wskazuje palcem na Tatę.

- A ty będziesz Jack Junior, zgoda?

- Ja się zgadzam.

Bierze nas obu pod ręce, przyciąga do siebie. Stanik jest luźny i przy każdym ruchu Alicji ukazuje piękne, jędrne, średniej wielkości piersi.

- Chodźcie, pokażę wam moje rośliny.

Ciągnie nas przez cały dom, przez kuchnię i tylnymi drzwiami na zewnątrz. Drzwi kuchenne otwierają się bezpośrednio na prywatną dżunglę, mniej więcej rozmiarów oranżerii Taty, ale bardziej rozbuchaną, bardziej tropikalną. Więcej tu kwiatów i silnych, obezwładniających zapachów.

Stajemy z Tatą jak wryci, jak w transie. Alicja uwalnia nasze ręce, odchodzi na dwa kroki i odwraca się do nas z rękami na biodrach. Słońce filtrowane przez paprocie i liście rysuje na jej skórze światłocienie. Przypominają mi się obrazy Gauguina, Renoira, słynne sceny ogrodowe Moneta - już teraz wiem, co chcieli osiągnąć.

- Wszystko to moje dzieło. W tym miejscu nie było nic, tylko zapadnięta weranda, sama to urządziłam. Okna wzięłam z rozbiórki domu na Dwudziestej Trzeciej. Sprzedali mi trzydzieści pięć okien za głupie dwadzieścia dolarów, z tym że musiałam je tu sama przytachać. W takich chwilach człowiek prawie żałuje, że ma chłopca w domu.

Oniemieliśmy. Całą podłogę wysypała tłuczniem krystalicznym. Wzdłuż ścian ciągną się piętrami półki na kwiaty. Oranżeria Taty to przy tym wprost nędza. Kwitną tu egzotyczne kwiaty wszelkich kolorów, od prawie czerni, poprzez płomienną czerwień, jaskrawe żółcie, po olśniewające błękity. Barwne płatki znaczone cętkami i prążkami, długie pręciki zwisające jak bicze albo wijące się, albo poskręcane w ciasne spirale - marzenie topologia.

- Podoba się?

Alicja nie zmieniła pozycji. Tato wolniutko postępuje do przodu, jakby bał się upadku. Alicja wyciąga ręce i chwyta go w objęcia; Tato oplata ją ramionami. Żadne z nas się nie odzywa. Czuję się zażenowany, może powinienem wyjść? Tato składa buzię w ciup i całuje Alicję w usta.

- Nigdy nie widziałem nic piękniejszego, Alicjo. To piękniejsze niż Hawaje. Teraz już rozumiem, skąd masz to zielone oko.

- A ty, Jack Junior, artysto paryski, co ty sądzisz?

- To miejsce jest prawie tak piękne jak ty, Alicjo. To świat jakby stworzony dla ciebie. Chyba trudno się z nim rozstawać na całe dnie.

- Nazywam to Rajem, nawet jak wszystko układa się źle, wiem, że będę mogła przyjść tutaj sama i poczuć się szczęśliwa.

- Wiesz, Alicjo, ja u siebie, w Cape May, też zbudowałem oranżerię ze starych okien, ale sadzę tam tylko kartofle, sadzeniaki na wiosnę.

- Nie wiedziałam, że mieszkasz w Cape May, Jack.

Masz ci los, wyszło szydło z worka. Musiało mu się pokręcić przez tę oranżerię. Już - już mam go wyprzedzić na zakręcie, ale Tato jest szybszy.

- Tak naprawdę to chyba nigdy tam nie mieszkałem, Alicjo - chichocze - ale czasami wyobrażam sobie, że tak jest i układam rozmaite historie. Oranżeria jest świetnym miejscem do takich marzeń. A czasami wyobrażam sobie, że sam jestem rośliną, piję słońce, nurzam się w wilgoci i czuję, jak wrastam w ziemię. Rozkwitam, otwieram się...

Dobry Boże, dobrali się w korcu maku. Alicja patrzy Tacie głęboko w oczy i oboje są gdzieś w innym świecie.

- Pokażesz mi, co tu masz, Alicjo? Niektórych roślin nigdy jeszcze nie widziałem. Bardzo bym się cieszył, gdybyś mi mogła dać szczepki. Nie znam nikogo innego, kto by hodował takie wspaniałości.

I już znaleźli wspólny język. Jack Junior stał się niewidzialnym człowiekiem. Idę za nimi, przysłuchuję się rozmowie o przeszczepianiu, o kształtowaniu liści, o kłączach. Ponieważ nie bardzo mnie to ciekawi, opuszczam towarzystwo i wracam do pokoju. Nie będą za mną tęsknić, mają siebie. Znajduję plik pism “Scientific Americans" i udaje mi się do ich powrotu przejrzeć aż trzy numery. Tato dźwiga wilgotny jutowy worek pełen poowijanych korzonków, łodyżek, liści, a przypuszczam, że i nasion, bulw oraz zarodników. Usta im się nie zamykają, chichoczą i zaśmiewają się w głos.

- Przepraszamy cię, że tak długo, Jack Junior, ale ledwo zaczęliśmy. Nareszcie znalazłam mężczyznę, z którym mogę porozmawiać. Innym mało zależy na gadaniu.

Tato stoi z kapiącym workiem, patrzy na mnie wstydliwie, ale promienieje.

- Ta Alicja mnóstwo wie, John. Potrafi mówić o roślinach jak o żywych stworzeniach, człowiek ma wrażenie, że widzi, jak one się ruszają, jak nadstawiają ucha.

- Jack Junior, czy ty jesteś pewien, że Jack to zwyczajny, pełnej krwi biały człowiek? Spójrz na jego cerę, spójrz na te usta.

Tato śmieje się, podnosi i opuszcza worek.

- Powiem ci, Alicjo, że moja żona od przeszło pięćdziesięciu lat żyje w przekonaniu, że jestem częściowo czarnuchem, jak również, że jestem wariatem - kto wie, czy nie jesteś na dobrym tropie?

Na dobrym tropie? Chryste Panie, trzeba go stąd czym prędzej zabrać, zanim uderzy w tam-tamy.

Przy wyjściu dostajemy obaj po solidnym całusie. Alicja szepcze mi do ucha:

- Nie pomyliłeś się wtedy w nocy ani trochę, mówiąc, że twój tata da się kochać. Drugą część też pamiętam. Może byś kiedyś do mnie zajrzał? Mógłbyś mnie namalować w Raju; byłabym bardzo cierpliwą modelką.

Żegnamy się. Przemierzam ścieżkę na miękkich nogach i niezbyt pewnie prowadzę

samochód do domu - dobrze, że nie mylę głównej szosy. Tato nie może się nacieszyć szczepkami, nasionami i zawiązkami roślin.

Nazajutrz po południu porządkujemy warsztat Taty. W trakcie porządkowania Tato oświadcza, że po jego śmierci wszystkie narzędzia przejdą na mnie.

- Ale nic się nie bój, Johnny. Mam zamiar jeszcze przez parę lat sporo nimi zrobić - może nic wielkiego, jakieś drobne naprawy, zabawki dla prawnuczątka...

Dzwoni telefon. Ledwo go stąd słyszę. Nie wiem, jak długo już tak dzwoni, więc pędzę na przełaj przez trawnik i patio, przez boczne drzwi, do sypialni. Podnoszę słuchawkę, przysiadam na brzegu łóżka i staram się złapać oddech.

Czekam, kto się odezwie: mam wrażenie, że to Mama, ale nie zgłasza się nikt, słyszę tylko sapanie. Nie sądzę, żeby ktoś robił nieprzyzwoity dowcip; nabieram pewności, że to jednak Mama. Kładę się na łóżko i czekam. Głos, który do mnie dociera, jest cichy, słaby, przerywany szlochem.

- Ja już nie mogę, Johnny, poddaję się, mam dosyć. To Joan! Siadam z wrażenia. Joan wybucha konwulsyjnym płaczem.

- Co się stało, Joan? Co ci jest?

Jeszcze przez chwilę słyszę szloch i głębokie wdechy, jakby próbowała wyrównać oddech.

- Cicho, Joan, nie płacz. Powiedz mi, co się stało. Na pewno nie jest aż tak źle.

- Zabieraj ją sobie, Johnny, nie żartuję. Powiedziałam, że więcej się do niej nie odezwę, jak Boga kocham. Ona się nawet nie da lubić, a co dopiero kochać. To też jej powiedziałam.

- Jeżeli chcesz, przyjdę po nią zaraz. Będę za pół godziny.

- Nie, niech sobie zostanie. Będę jej gotować, będę po niej sprzątać, zrobię wszystko, żeby pomóc Tacie. Zrobię, co do mnie należy, ale włożę korki w uszy. Nie zamierzam całymi dniami wysłuchiwać, jak ona obsmarowuje po kolei wszystko i wszystkich, których kocham. I póki żyję, nie odezwę się do niej ani słowem. Jak Boga kocham!

To drugie “jak Boga kocham" daje mi cień nadziei. Joan od dzieciństwa mówi “jak Boga kocham", kiedy za chwilę ma skapitulować. Nawet jej dzieci o tym wiedzą.

- Pomyliłaś scenariusz, Joan. Wygłaszasz moją kwestię. Przecież to ty masz być ta spokojna, trzeźwa i opanowana. Chyba jesteś na złej stronie albo co? Kładziesz całe przedstawienie. Musisz na przyszłość uważać, bo nas zdejmą z afisza.

Zawieszam głos. Joan znowu płacze. Kiedy się odzywa, słyszę prawie śmiech, ale podszyty łzami.

- Nie uwierzyłbyś, co ona zrobiła, Jack. Mnie samej nie chce się w to wierzyć.

- Słuchaj no, Joan, tylko bez testów. Jeżeli chodzi o Mamę, uwierzę we wszystko. Uwierzę, że ekskomunikowała papieża, zastrzeliła prezydenta, zgasiła słońce i poobcinała sobie palce u stóp, żeby się zmieścić w ciasne buty. A teraz powiedz mi co ona takiego zrobiła?

- Nie chce mi przejść przez gardło, Jack. To takie przykre i obrzydliwe... Byłam na

dworze, grabiłam liście i wyrównywałam krawędź trawnika, bo Mama stale narzeka, jaki tam mamy gnój. Ciągle zrzędzi, że w ogóle nie dbamy o własny dom. Przyznaję, jesteśmy flejtuchy, ale żeby ją zadowolić - chociaż naprawdę powinna mieć więcej taktu - biorę się za tę robotę. Wracam do domu, a jej nigdzie nie ma. Zerkam w końcu do naszej sypialni - jest. Wertuje albumy rodzinne. Po całej podłodze walają się podarte fotografie. Schylam się, żeby je pozbierać, a jest ich ze trzydzieści, porwanych na strzępki, nie tam porozdzieranych na pół! Na strzępki, Johnny! Słowo ci daję: w tym momencie byłam pewna, że ona do końca sfiksowała. Mówi mi spokojnie, że przeglądała stare albumy i podarła kilka swoich zdjęć. “Ten Mario - mówi - zawsze mnie złapie w najgorszej pozie. Chcę, żebyście mnie pamiętali taką, jaką byłam, a nie podobną do małpy, albo z zezem, albo z rozdziawioną gębą i językiem na wierzchu". Demonstruje kolejno wszystkie miny, kładąc palce w usta, ciągnąc się za uszy, zezując - jak zawsze, kiedy się wygłupia. O mało jej na miejscu nie udusiłam! Ale nic, zbieram kawałki i nie odzywam się. Ona nie była sama na tych zdjęciach. Na niektórych jest z dziećmi, kiedy były niemowlętami, na innych z tobą albo z Tatą, albo ze mną. I tylko dlatego, że nie na każdym wyglądała jak Elizabeth Taylor, podarła je na kawałki. Zabrałam jej album i ochrzaniłam ją jak jeszcze nigdy w życiu. Kiedy sobie teraz przypomnę, co mówiłam, wiem, że już nigdy nie będę mogła się do niej odezwać, nawet gdybym chciała. A nie chcę. Jak Boga kocham, nie chcę jej więcej słyszeć, nie chcę z nią więcej rozmawiać. Gdyby mi chciała coś przekazać, niech to zrobi przez ciebie. Na razie kiedy się tylko do mnie zbliża, zatykam uszy palcami i odchodzę.

- Dobra z ciebie koleżanka. To znaczy, że będę wysłuchiwał dwa razy tyle. Może jednak lepiej od razu przyjadę i zabiorę ją, zaoszczędzimy na telefonach i może przynajmniej część z nas nie skończy w domu opieki społecznej, a druga część w domu wariatów. Joan znowu zaczyna płakać.

- Czuję się jak szmata, Jack. Jak ja mogłam powiedzieć coś takiego siedemdziesięcioletniej kobiecie, w dodatku własnej matce? Ja chyba rozum tracę.

- Tak jak wszyscy, mała. Pamiętam, że pewna osoba przepowiadała nam to od lat. Osobiście uważam, że do tej konkretnej siedemdziesięcioletniej damy można mówić, jak się chce: kto wie, czy to nie była jedyna normalna rzecz, jaka ją w ciągu ostatnich lat spotkała. A powiedz mi, co ona w tej chwili robi - bieli sufit, czy może pozdejmowała z siebie wszystkie ciuchy i sterylizuje je w piekarniku? Czekam na ostatnie doniesienia.

- Zamknęła się w swoim pokoju, to jest, w pokoju chłopców. Nie myślisz, Jack, że ona sobie coś zrobi? Zaczynam być niespokojna.

- “Czy żyję, czy umrę, wam wszystko jedno" - o to ci chodzi? Zdaje się, że tak właśnie brzmi cytat ostatnich notowań. Chcesz zrejterować? Ja bym wytrzymał.

- Nie, ja nie mogę. Pójdę do niej, zapukam i przeproszę. Parę porwanych zdjęć to przecież w końcu nic takiego, a ona szczególnie nas teraz potrzebuje. Naprawdę, chętnie bym zjadła niektóre słowa, jakimi ją obrzuciłam. Byłam potworna.

- Burzy się w tobie indiańska krew, Joan, w głębi duszy jesteś krwiożerczą dzikuską. Ale poważnie: nie poddawaj się. Jestem z tobą na całej linii. Żałuję tylko, że to nie ja miałem odwagę tak ją obtańcować. Gdyby mi się to raz udało, mógłbym wyrzucać na śmietnik

ciśnieniomierz, przestać zażywać leki, skończyć z jogą - a może nawet i zrezygnować z noszenia okularów. Kto to wie? Mówię ci, nie rób niczego wbrew sobie.

- Nie, już mi lepiej. Nie przyjeżdżaj. Dam sobie radę. Porozmawiam z nią albo przynajmniej spróbuję.

- Pewna jesteś?

- Niczego nie jestem pewna, Johnny, poza tym, że potrafię być czasem okropna. Mam nadzieję, że zapamiętam tę lekcję: dałam plamę, że aż hej. I mam nadzieję, że prędzej mnie diabli wezmą, niż zalezę wszystkim za skórę tak jak ona. : Joan mówi “dałam plamę"? Dopiero to przekonuje mnie, że sytuacja musiała być naprawdę poważna.

Dzięki talentowi Joan, Mama zostaje u nich jeszcze przez trzy dni. Kategorycznie odmawia jeszcze jednej wizyty “u tego psychiatry-hippisa", a kiedy Delibro do niej dzwoni - rzuca słuchawkę.

Ale zatrzymać ją dłużej u Joan nie sposób. Przyjęła nową linię ataku: zabija ją przebywanie w domu, w którym nie jest chciana ani kochana, woli umierać pod własnym dachem. Ubzdurała sobie poza tym, że wypłakała już wszystkie łzy i oczy jej wysychają. Joan zabrała ją nawet do okulisty, ponieważ Mama zaklinała się, że ślepnie od wysuszenia gałek ocznych. Lekarz przepisał jakieś krople, a do Joan powiedział, że niczego nie stwierdza, ale krople nie zaszkodzą. Teraz Mama co chwila przerywa tyrady, żeby zapuścić sobie łzy do oczu.

Zabieram ją do domu. Tato właściwie już wyleczył odleżyny i nie chce spać w szpitalnym łóżku w bocznej sypialni, tylko razem z Mamą. Mama twierdzi, że skoro tak czy owak nie daje jej spokoju, to mogą równie dobrze spać razem. Moim zdaniem, biedakowi należy się jakaś przyjemność z jej strony.

Jak tylko potrafię, staram się stworzyć wokół nich wrażenie, że znów są zdani wyłącznie na siebie. Sypiam w pokoju ogrodowym. Muszę się jakoś stąd wyrwać i wrócić do domu.

Przez cały następny tydzień Mama sprawuje się przykładnie - przynajmniej w mojej obecności. Tato z zapałem pracuje nad poprawą kondycji. Zaczął gimnastykować się razem z Mamą. Mama nawet po zawałach nie zaniechała przysiadów, skłonów i innych ćwiczeń, które uprawia od czterdziestu lat.

Tato, ubrany w dres i naśladujący każdy jej ruch, przyprawia Mamę o białą gorączkę. Zwłaszcza że Tato z trudem wykonuje dwa przysiady jeden po drugim i nadal trenuje “pompki dziadka". Fakt, że nie jest w stanie oderwać klatki piersiowej od podłogi, rozśmiesza go do łez.

Kiedy oni się gimnastykują, ja szykuję śniadanie. Tato zaprasza mnie do wspólnych ćwiczeń, ale zdaje się, że tego by już było dla Mamy zbyt wiele. Salon w godzinach dziewiąta-dziewiąta trzydzieści przypomina salę gimnastyczną w zakładzie geriatrycznym. Mama odrzuca serdeczne zaproszenie Taty do wspólnych biegów na powietrzu. Tato jogguje już nie tylko po patio, ale i wokół ogródka za domem. Mama zapowiedziała, że z chwilą kiedy pierwszy raz wybiegnie na ulicę, ona od niego odejdzie.

Siódmego dnia po powrocie do domu Mama zaciąga mnie do sypialni na tyłach. Płacze i mówi, że dłużej tak nie wytrzyma.

- Tak się starałam, Jacky, tak się starałam. Nie chcę wszystkim sprawiać kłopotu, ale jak to dłużej potrwa, czeka mnie następny zawał.

Tato, okazuje się, doprowadza ją do rozstroju nerwowego; boi się zostawać z nim sam na sam. Drażnią ją jego głupie piosenki, kwiaty, gimnastyka, jogging, próby kulinarne, mini-pole golfowe, zegar słoneczny, nawet nowa wanienka dla ptaków.

- Widziałeś go przed chwilą: tańczy po pokoju do muzyki z radia. On ma nierówno pod sufitem, Jacky!

Muszę przyznać, że kiedy Tato tańczy w jednym z tych swoich niesamowitych kostiumów i z tą brodą, wygląda rzeczywiście jak satyr, żywcem z Rubensa. Mama zawsze wtedy wpada w panikę. Wciska się w oparcie fotela, zakrywa dłońmi twarz i tylko zerka z przerażeniem przez rozcapierzone palce. Tacie się zdaje, że sprawia jej przyjemność, że ją oszałamia swoim tańcem. Są ludzie, którzy po alkoholu nabierają w tańcu niezwykłej gracji - Tato tak właśnie tańczy. Jest pijany, że hej, Pijany życiem.

Mama upiera się, że to jeszcze jeden dowód jego szaleństwa.

- Człowiek w jego wieku nie tańczy sam, to nienaturalne. Już nie chcę jej wymawiać, jak zawsze zachwycała się starym Lawrencem Welkiem, kiedy robił dokładnie to samo. Słucham i czekam, aż się wygada. Rzeczywiście, nerwy ma w strzępach. Nie wiem, co jej powiedzieć.

- Co możemy zrobić, Mamo? Chcecie mieszkać oddzielnie? Ten dom można by pewnie sprzedać, dostając tyle, że wystarczyłoby na małe samodzielne mieszkanko dla każdego z was. Nie wiem, co tu jeszcze można zaproponować. Tacie nic nie dolega, on się po prostu świetnie czuje, a to przecież jeszcze nie szaleństwo. Opiekuje się nim najlepszy specjalista w okolicy. Tato stara się tylko jak najpełniej wykorzystać czas, który mu jeszcze pozostał.

I na tym trzeba było poprzestać.

- Przyznam ci się, Mamo, że czasami wydaje mi się, że to ty zachowujesz się nienormalnie, ciągle robisz z igły widły. Tego jej było trzeba.

- Ja? Zdaje się, że to ty nosisz brodę, mieszkasz w Europie i nie pozwalasz moim wnukom spotykać się ze mną. Wiem, że kochasz ojca bardziej niż mnie i nie mam o to pretensji. Ja się nie nadaję na matkę. Zawsze mi wszystko wychodziło na opak, żebym się nie wiem jak starała.

Rozpłakała się. Nie pozwala się dotknąć, odpycha mnie.

- Nawet wnuki mnie nienawidzą. Nigdy do mnie nie zadzwonią, nigdy nie zajrzą. I ja dobrze wiem, dlaczego. Wy mnie z Joan ciągle obgadujecie za plecami, urabiacie dzieci przeciwko mnie!

Sama poczuła, że z tym ostatnim to już trochę przeholowała. Odczekuję chwilę, żeby mieć pewność, że to koniec.

- A może, Mamo, ty zostałabyś tu ze mną, a Tato pójdzie mieszkać do Joan? Joan będzie mogła obserwować, czy rzeczywiście coś z nim jest nie tak. Może ty masz rację: ci

psychiatrzy nie wszystko wiedzą, a ty z nim przecież przeżyłaś wiele lat. Będziesz mogła odpocząć, uspokoić serce, nie będziesz się przejmowała Mariem. Obiecuję nie wchodzić ci w paradę. Będę twoim kuchmistrzem i pomywaczem.

Wybałuszyła oczy: nie wie, czy mówię poważnie, czy się zgrywam. Już nie płacze.

- Chyba bym wolała zamieszkać w hotelu.

- To też nie jest zła myśl, Mamo. Przenieś się do hotelu, a Tato zostanie w domu ze mną. Przecież chciała, żebym się zmartwił!

- Nie, Jacky, to by kosztowało majątek. Za takie warunki, w jakich chciałabym mieszkać, trzeba by płacić najmniej czterdzieści dolarów dziennie.

- Ależ Mamo, tak właśnie powinno się wydawać pieniądze. Po to są pieniądze, żeby człowiek mógł robić, na co ma ochotę. Nie będziesz żyła wiecznie, a należy ci się przecież coś od życia. Znajdź sobie wygodny pokój z widokiem na morze, z obsługą do pokoju - wynajmiemy go i odpoczniesz sobie jak królowa.

- O nie! Nie zamierzam w ten sposób roztrwonić tych paru groszy, które nam zostały. Nigdy nie wiadomo, kiedy się nagle przydadzą. Już ja dobrze wiem, że jak przyjdzie co do czego, pies z kulawą nogą się mną nie zajmie. Nikt mnie nie kocha, czy żyję, czy umrę, wam i tak wszystko jedno. Człowiek musi mieć odłożonych parę groszy, żeby sobie w razie czego jakoś poradzić.

Stara śpiewka chyba dobrze jej zrobiła: zaczyna wracać do formy. Jeszcze chwilę gadamy, przy czym ja zręcznie omijam znajome pułapki.

Mama w końcu się zgadza, żeby Tato przeniósł się do Joan, a ona sama została w domu. Będziemy się opalać na patio i udawać, że odbywamy rejs na pełnym morzu. Mama zachowuje się, jakby mi wyrządziła nie wiem jaką łaskę - ładna mi łaska! Przewiduję, że z końcem pierwszego tygodnia będę się kwalifikował do lobotomii czołowej i potrójnego kaftana bezpieczeństwa. Może tydzień lub dwa z Mamą w jej obecnym stanie to jest właśnie to, co mi pomoże przekroczyć granice wytrzymałości. My, artyści, jesteśmy, bądź co bądź, znani z braku równowagi psychicznej.

Wychodzę na drugą ulicę do budki telefonicznej i dzwonię do Joan. Mówię jej, że Mama jest gotowa wyekspediować Tatę do nich i zostać ze mną.

- Na pewno?

Streszczam jej rozmowę z Mamą. Joan jest ciekawa, co Tato o tym sądzi. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nawet go nie spytałem o zdanie. I tak wiem, że na myśl o przeprowadzce do Joan będzie skakał do sufitu. Nacieszy się Maryellen i Johnem, pogada sobie z Mariem. Reszta dzieci albo jest w szkołach, albo pozakładała już własne rodziny. Joan w dalszym ciągu nie jest przekonana.

- Czy jesteś pewien, że Mama się zgadza?

- Tak mi się wydaje, Joan. Nie powiem, żeby była szczęśliwa z tego powodu, ale przecież jej nic nie jest w stanie uszczęśliwić. W hotelu Miramar też nie byłaby szczęśliwa, nawet za darmo.

Zapada dłuższa cisza.

- Jack, ty po trzech dniach oszalejesz. Przyjdę i znajdę cię wiszącego na sznurze od bielizny na drzewie cytrynowym za domem. Może Mama ma rację, że z ciebie też niezły wariat.

- Odetniesz mnie, co?

Joan zniża głos.

- Posłuchaj. Idź zaraz do swojej sypialni, spakuj się po cichu, wymknij przez płot i wskakuj w najbliższy samolot do Paryża. Nie pisz, nie dzwoń, niech Vron po paru dniach przyśle telegram, że zginąłeś w katastrofie lotniczej. A ja wynajmę na poczcie skrytkę i będziesz mógł do mnie pisywać od czasu do czasu pod fikcyjnym nazwiskiem. Przysięgam, że nikt się nie dowie, nawet Mario. Cześć!

Z tymi słowy Joan odkłada słuchawkę. Na nowo wykręcam jej numer.

- Halo?

- Słuchaj, Joan...

- Przepraszam, kto mówi?

- To ja. Nie wygłupiaj się, Joan. To ja, twój starszy brat, Jack, Johnny, Jacky, John Tremont.

- Przykro mi, ale to pomyłka. Mój brat pięć minut temu zginął w katastrofie lotniczej.

Znowu odkłada słuchawkę.

Skończyły mi się dwudziestki piątki na automat. Wchodzę do sklepu monopolowego i kupuję piwo, żeby wesprzeć barowe alibi dla Mamy i raz jeszcze zadzwonić do Joan za dwudziestkę piątkę z reszty.

- Joan, do cholery, nie odkładaj już słuchawki, cały majątek rodzinny rozmieniam na ćwiartki!

- Dobra, Johnny, tylko żebyś później nie mówił, że nie dałam ci szansy. Żadnego mrugania okiem i takich tam numerów, jak cię będę odcinała z suchej gałęzi.

- W porządku, głuptasie, obiecuję.

- Czyli Tato sprowadza się do mnie, a ty zostajesz - hmhmhm - z kochaną mamusią. O kurczę!

Klamka zapadła.

Joan i Mario przyjadą po Tatę samochodem. Wyjaśniam cały plan Tacie. To naprawdę ma ręce i nogi.

Po powrocie do domu idę się położyć do ogrodowej sypialni, żeby wszystko przemyśleć i wyszukać słabe ogniwa. Następnie idę do Mamy i mówię jej, że chciałbym teraz zadzwonić do Joan i sprecyzować plany. A powinienem od początku wiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie.

- Ona się na pewno zgodzi, zawsze, nawet jak była jeszcze całkiem mała, próbowała odciągnąć ojca ode mnie.

Udaję, że nie słyszałem: kładę te słowa na karb zdenerwowania Mamy, przejęcia się sytuacją. Idę do Taty, który siedzi w salonie, i mówię mu wszystko po kolei. Tato gotów jest przystać na każde nasze rozwiązanie.

Dzwonię do Joan i odtwarzamy poprzednią rozmowę. Jako tandem szpiegowski, zrobilibyśmy międzynarodową karierę.

W sypialni wyciągam z szafy walizkę dla Taty. Mama przydreptała za mną. Diabli ją nadali: co włożę do walizki, ona wyciąga. W końcu kapituluję. Ważne w końcu jest tylko to, żeby Tatę wyekspediować z tego domu wariatów. Mama wrzuca rzeczy do walizki, zaraz je wyciąga, i tak w kółko. Cały czas przy tym gada, że w dolinie dnie są cieplejsze, a noce chłodniejsze, więc Tacie na dzień potrzebne będą cienkie skarpetki, a na noc ciepłe piżamy. Upiera się też przy kocu elektrycznym. Wiem, że Joan ma u siebie koce elektryczne. Mówię to Mamie, ale ona mnie ignoruje. Wyciąga z cedrowej komody wełniane pledy i je też każe zapakować. W rezultacie bagaż wygląda tak, jakby Tato miał się wspinać na Mount Everest bez Szerpów.

Idę do Taty i relacjonuję mu przebieg pakowania. Jest tak pogodzony ze wszystkim, że nie mam pewności, czy to, co mówię, na pewno do niego dociera. Chce tylko wiedzieć, że Mama wyraziła zgodę. Kiedy mu powtarzam, że Mama właśnie go pakuje, uśmiecha się i opowiada, jak to będzie przyjemnie, bawić się z Johnem i Maryellen.

Potem oglądamy głupi program w telewizji. Mama ciągle nie wychodzi z sypialni.

Wokół sercowca zawsze panuje klimat lęku, niepewności. Wstaję w końcu, żeby sprawdzić, co z Mamą.

Mama klęczy przy łóżku. Walizka jest nadal otwarta, spakowana do połowy, wszystko wylewa się na zewnątrz. Całe łóżko zasłane jest ubraniami i kocami.

- Co się dzieje Mamo? Źle się poczułaś?

Spogląda na mnie z ukosa jak na natręta.

- Odwołuję się do jedynego przyjaciela, jaki mi pozostał, do jedynego, któremu chociaż trochę na mnie zależy - do Boga. Pobożnie składa głowę na krawędzi łóżka i mamrocze w kapę.

- A więc opuszcza mnie nawet mąż, po pięćdziesięciu latach pożycia.

Jak Boga kocham, że ledwo odpędzam pokusę wymierzenia jej tęgiego kopniaka w ten pobożny, wypięty tyłek.

- Doskonale wiesz, Mamo, że to nieprawda. To tylko twoje wymysły. Przecież to ty nie mogłaś wytrzymać z Tatą, tobie potrzebny jest urlop. Nie zapominaj o tym. To dla ciebie wymyślamy coraz to nowe plany, w nadziei, że w końcu coś cię zadowoli. Tato cię nie opuszcza: to ty wysyłasz go z domu na pewien czas, żeby samej odpocząć.

Ale Mama nie słucha. Może otrzymuje bezpośrednie komunikaty od Pana Boga, ale mnie nie słyszy.

- On mnie nie kocha, nikt mnie nie kocha. On tylko czeka, żeby ode mnie odejść. Jemu zależy tylko na tym, żeby ode mnie uciec, wszystko jedno dokąd.

- Bzdury, Mamo, świetnie o tym wiesz. Tato zrobi wszystko, czego zażądasz. Chce, żebyś była szczęśliwa. Dla wszystkich będzie dobrze, jak się tam na chwilę przeniesie. A my we dwójkę odpoczniemy sobie tutaj.

- To twoja opinia. Dla niego będzie dobrze, ale dla mnie nie. Ja tu zostanę sama jak

palec, a on sobie będzie mieszkał z Joan i jej rodziną, będą się śmiać, wygłupiać i dobrze bawić. Po tygodniu w ogóle o mnie zapomni, zobaczysz!

- Przestań, Mamo, to śmieszne! Przecież ja tu z tobą zostaję, będzie nam dobrze.

Pomagam jej podnieść się z kolan. Siada na brzegu łóżka. Usiłuję upchać jakoś rzeczy w walizce, ale na cały ten chłam i trzech walizek byłoby mało.

- Daj spokój, Jacky, resztę rzeczy dowieziesz mu innym razem. On tu przecież nie wraca. Wszystko, co do niego należy, dostarczysz mu później.

Teraz mam szansę: szybko domykam walizkę, zanim zmieni zdanie. Przenoszę bagaż do salonu i czekam na Joan. Mama już teraz za żadne skarby świata nie wyjdzie z sypialni: jest wściekła na Tatę.

Tato szybko się połapuje, w czym rzecz, i idzie do niej. Aż tu w salonie słychać, jak Mama szlocha i robi scenę. Po kilku minutach Tato wraca i staje w wejściu koło telewizora.

- Nigdzie nie jadę, Johnny. Pomyliłeś się. Mama nie chce, żebym tam jechał. Zostaję w domu. Zadzwoń do Joan i powiedz jej.

W porządku, jestem gotów rozpakować walizkę, pochować rzeczy do szafy i zadzwonić do Joan. Tato sadowi się w bujaku i wbija wzrok w telewizor, chociaż nie sądzę, żeby naprawdę oglądał program. Możliwe, że jest znowu w Cape May.

Odnoszę walizkę do sypialni. Zaczynam się czuć jak ten niedojda z filmu braci Marx. W połowie hallu natykam się na Mamę, która władczo wyciągniętym palcem kieruje mnie z powrotem do salonu. Idzie z odrzuconą w tył głową, w oczach ma ogień i łzy. Zatrzymuję się i cofam pod jej naporem.

- Ani mi się waż wnosić te rzeczy do mojej sypialni. Nie życzę sobie, żeby on pozostawał w tym domu choćby chwilę dłużej niż to konieczne. Jeżeli nie chce być ze mną, to nie musi. Jeżeli znudziło mu się być moim mężem tylko dlatego, że jestem chora i mam słabe serce - to w porządku.

Wycofuję się rakiem, z walizką w ręku, aż do salonu. Tato pobladł jak ściana, jest ogłuszony. Siedzi w bujanym fotelu z podwiniętą pod siebie nogą. Mama szaleje.

- Przestań w tej chwili, Mamo! Co ty wygadujesz? Co ty nam tutaj próbujesz wmawiać?

Mama wybuchła płaczem na całego. Stoi w drzwiach oparta o framugę i zakrywa twarz rękami. Gapię się na nią i nie wiem, co powiedzieć. Nagle Mama robi w tył zwrot, przemierza hall z głośnym szuraniem, wchodzi do sypialni i trzaska drzwiami. Stawiam walizkę na podłodze i podchodzę do Taty. Jestem skołowany na amen. W pewnym sensie dostrzegam nawet groteskową śmieszność całej sytuacji. Może to histeria, a może jestem po prostu twardym chamem.

- Moim zdaniem, Tato, ona jednak chce cię wysłać do Joan. Nie przejmuj się, wszystko się jakoś ułoży, wiesz, jaka Mama jest.

Tato patrzy przed siebie szklanym wzrokiem, za szkłami okularów widzę łzy. Ostrożnie zdejmuje okulary i ociera oczy knykciami, ale nie odzywa się ani słowem.

Z braku lepszego zajęcia zmieniam kanały telewizora i łapię film z Johnem Waynem. Jeżeli w ogóle cokolwiek jest w stanie nas uspokoić, to tylko John Wayne z tym swoim

męskim, aksamitnym głosem.

Udajemy, że oglądamy film, chociaż żaden z nas tak naprawdę go nie ogląda. Może stąd wynika w dużej mierze sukces telewizji: że można robić coś wpólnie, kiedy się już zupełnie nie wie, co robić - rodzaj wspólnoty ochronnej.

Po kwadransie Joan i Mario zajeżdżają pod dom furgonetką.

Wyjaśniam, co się zdarzyło od naszej ostatniej rozmowy. Joan przystawia sobie krzesło z jadalni i siada obok Taty.

Jak ty byś chciał, Tato? Jak możemy ci najlepiej pomóc? Tato kręci głową i usiłuje coś powiedzieć, ale nie może. Spuszcza głowę i płacze. Płacze z rękami założonymi na podołku. Joan spogląda na mnie, po czym nachyla się do Taty i bierze go w objęcia. Przyciąga Tatę do siebie, fotel przechyla się do przodu i Tato wtula czoło w ramię Joan, tuż przy szyi.

Siedzimy tak we trójkę, Tato płacze. Mario stoi z założonymi rękami na tle zamkniętych drzwi. Po dłuższej chwili Tato odzyskuje mowę. Mówi, że pragnie tylko jednego: żeby Mama była zadowolona. Jest gotów zrobić wszystko. Bardzo mu przykro, że Mama zamknęła się w sypialni, ale teraz już boi się do niej iść. Wściekłość Mamy kompletnie go sparaliżowała. W jego oczach widać lęk myszy, która dostała się między kocie łapy: miota się między Joan, mną, Mariem, a drzwiami sypialni w drugim końcu hallu. Nie wiem, jak długo potrafi znosić taki silny stres. Jeszcze nie odzyskał formy. Ja sam już słabnę.

Joan idzie pogadać z Mamą. Ledwie otworzyła drzwi, Mama wypada z dzikim rykiem.

- Zbierajcie się stąd do diabła! Nie chcę go więcej oglądać na oczy! On mnie nie kocha, zawsze bardziej kochał dzieci niż mnie. Zabierajcie go sobie! Nie chcę go więcej widzieć! Pięćdziesiąt lat z górą małżeństwa, a teraz, kiedy jestem chora, on ode mnie odchodzi!

Tato stoi przed swoim bujakiem. Stoi lekko wychylony do przodu, tylną stroną ud wsparty o fotel, z rozwartymi ramionami.

- Ależ Bess, to znaczy, chciałem powiedzieć, Bette, to nieprawda, co ty mówisz. Ja nie chcę nigdzie odchodzić. Zostanę. Chcę zostać tutaj, z tobą.

- Wynoś się! Niedobrze mi się robi na twój widok! Doprowadzasz mnie do szału! Co z ciebie za pożytek dla mnie czy dla kogokolwiek!

Jezus Maria! Pójdzie - źle, nie pójdzie - jeszcze gorzej. W podwójnym nelsonie Mama jest mistrzem jakich mało. We mnie niektóre jej chwyty wpiły się bardzo głęboko, jak drut, którym w młodości opleciono drzewko i który wrósł mu w pień. Zaowocowały chronicznym, nie do zwalczenia, poczuciem winy. Trudno odczuwać winę z konkretnego powodu, kiedy jest się stale przesiąkniętym nieuchwytnymi skrupułami.

Joan i ja wymieniamy spojrzenia. Sparaliżowało nas. To znana czarna magia Mamy. Mario daje dwa kroki w głąb pokoju. Pochyla się nad Tatą.

- Chodź, Tato, wsiadamy do samochodu. Odwraca się do mnie.

- Jack, ty bierz walizkę. Ty, Joan, spróbuj porozmawiać z Mamą.

Joan przechodzi przezhall.

- Uspokój się, Mamo. Robisz wielki szum bez powodu. To był przecież twój pomysł, żeby Tato przeniósł się na trochę do nas. Miałaś dzięki temu wypocząć i odzyskać spokój. Tato wróci, jak tylko poczujesz się lepiej, a i on sam odzyska równowagę.

Ale Mama już nie słucha. Przeszła na jednostronne nadawanie bez odbioru.

- I ty też! Myślałam, że chociaż córka mnie kocha. Zabierasz mi męża. Już ja cię znam: weźmiesz go do siebie i tak przekabacisz, że wcale do mnie nie wróci.

Tymczasem Mario zdołał wyprowadzić Tatę na ganek. Na ostatnie słowa Mamy Tato odwraca się i chce wejść z powrotem. Mama zagradza mu drogę.

- Nie waż się tutaj wchodzić, Johnie Tremont! Wychodząc przez te drzwi, wyszedłeś z mojego życia. Nie chcę cię tutaj więcej widzieć!

Wyciąga władczy palec. Tato błaga wzrokiem o pomoc, o radę.

Patrzy Mamie prosto w oczy. Patrzy tak, zdawałoby się, całą wieczność, chociaż mija nie więcej niż dziesięć sekund. Kręci głową, odwraca się i wychodzi. Mario pomaga mu przejść przez ganek i pokonać trzy schodki w dół.

Właśnie przecinają trawnik, kiedy Mama szarżuje z ganku, a za nią Joan. Mama łapie Tatę za ramię i ciągnie ku sobie. Tato nie stawia najmniejszego oporu. Mario trzyma Tatę z drugiej strony - właściwie bardziej go podtrzymuje niż trzyma. Tato idzie jak ranny, zatracił wszelką wolę działania. Sprawia wrażenie obojętnego na wszystko, co się wokół niego dzieje. Mama wrzeszczy histerycznie.

- Jack, nie opuszczaj mnie! Jezus Maria, Józefie Święty, własne dzieci porywają mi męża! Policja! Niech ktoś wezwie policję! Matko Boska, dopomóż mi! Zabierają mi męża!

Żeby tylko sąsiedzi nie powypadali z domów i nie włączyli się w akcję, a przynajmniej nie wezwali glin. Na szczęście, jesteśmy w Kalifornii: wszyscy pewnie zerkają przez szpary w roletach i świetnie się bawią na naszym przedstawieniu - to lepsze niż kanał 9 w telewizji.

- Nie dajcie im go zabrać! To mój mąż! Ja go kocham! Chcę, żeby był tu ze mną!

Padła na kolana - szczęściem, na trawę. Tato wpatruje się w nią bez słowa. Biorę go pod drugie ramię.

- Idziemy, Tato, wszystko w porządku. Mama trochę zanadto się przejęła, wiesz, jaka jest.

Razem z Mariem wpychamy Tatę na tył furgonetki. Wyszykowali mu tam miejsce do leżenia. Podchodzę do Mamy i ujmuję ją za ramię, żeby mogła wstać. Daje mi solidnego kuksańca w żołądek. Cofam się o krok. Silna z niej baba, nie ma co. Lata pompek, przysiadów i skłonów zaowocowały niewąską siłą w łokciu.

- Daj spokój, Mamo. Robisz z siebie widowisko. Co sąsiedzi powiedzą?

To do niej trafia. Pozwala się podnieść, po czym strząsa z siebie moje ramię. Mario wycofuje wóz, skręca, ruszają. Joan ogląda się i macha ręką.

- Posłuchaj, Mamo, wypuść Tatę tylko na dzisiaj, żeby się zdołał uspokoić. Zobaczysz, że wszystkim to wyjdzie na dobre. Spędzimy spokojną noc bez Taty, a jeżeli jutro będziesz chciała, żeby wrócił, pojadę do Joan i przywiozę go.

Mama wyrywa mi się i szurając pospiesznie wchodzi po schodkach do domu. W

takich chwilach nikt by nie poznał po jej ruchach, że kiedykolwiek przeszła atak serca. Zostaję jeszcze chwilę na trawniku, żeby się starannie rozejrzeć i sprawdzić, czy nikt nie podgląda, a także żeby odzyskać oddech. Nie widzę nikogo. Kiedy wchodzę do domu, Mama siedzi w swoim fotelu.

- Zatrzymaj się, nie idź dalej. Ty też możesz się stąd wynosić.

Jeżeli się nie spakujesz i nie wyniesiesz w dziesięć minut, wezwę policję. Ten dom jest własnością prywatną, nie życzę sobie twojej obecności.

Pokusa, żeby ją złapać za słowo, jest przeogromna, ale nie ulegam jej, tylko siadam w fotelu Taty. Rozpościeram ramiona i nogi w namiastce relaksu. Zastanawiam się, czy jestem sadystą, czy masochistą, czy też może jednym i drugim do kupy.

- Dobrze, Mamo, nie krępuj się, dzwoń na policję. Chętnie wyjaśnię jakiemuś platfusowi w mundurze, co się tutaj dzieje. Może w ten sposób sam coś niecoś zrozumiem. Proszę bardzo, oba telefony wolne, dzwoń po gliny, dzwoń po straż pożarną, dzwoń po księdza, po kogo chcesz - urządzimy wielki bal. Może któryś z nich wyjaśni mi nareszcie, co się, u Boga Ojca, dzieje w twojej głowie. Bo ja nie wiem. Uważam, że powinniśmy jak najszybciej udać się do psychiatry. Ty się powinnaś leczyć!

Minuta ciszy. Nawet nie patrzę na Mamę. Nie mam ochoty. Mama zaczyna płakać.

- Teraz mi będziesz mówił, że zwariowałam. Wykradłeś mi męża i mówisz, że jestem wariatką. Wszyscy byście się cieszyli, gdybym umarła. Szkoda, że nie umarłam wtedy przy pierwszym zawale, byłoby dla wszystkich dużo lepiej. Gdyby nie to, że jestem wierząca, odebrałabym sobie życie!

Przypomina mi się Delibro i jego pytanie o samobójstwa. Ileż to razy Mama wygłaszała takie pogróżki, kiedy chciała postawić na swoim! Teraz wstaje i wychodzi do sypialni na tyłach. Nie mam siły iść za nią. Beznamiętnie zadaję sobie pytanie, czy byłaby w stanie się zabić. Czy ma w sypialni odpowiednie narzędzia i środki? Kto to może wiedzieć? Może magazynuje gdzieś dwa litry cyjanku, skrzynkę TNT i automat Stena - taka jest przecież skryta, ciągle coś chowa. A potem myślę sobie: pal licho, ma rację, lepiej, żeby już nie żyła, wszystkim byłoby łatwiej, a najbardziej Tacie. Posiedzę tutaj i spróbuję nie myśleć.

Włączam mecz i sięgam po butelkę piwa. Szkoda, że nie mam na sobie stroju Taty do oglądania baseballa i jego tabeli wyników pod ręką. Tato wiedział, co robi: wszystko, byle zagłuszyć Mamę. Powiem uczciwie, że po jakichś piętnastu minutach gra wciąga mnie bez reszty. Dobry mecz. Przypuszczam, że sekret tkwi w ograniczonej pojemności ludzkich nerwów: chcę za wszelką cenę wyeliminować ze swoich myśli Mamę i jej problemy. W półtorej godziny później, w szczytowym momencie jedenastej rundy - wynik wciąż niepewny - Mama wychodzi z sypialni. Najpierw idzie do łazienki, a później podchodzi do mnie.

- Tobie wcale nie zależy, co?

Podnoszę wzrok i pociągam przy tym łyk piwa; to trzecia butelka.

- Zależy mi, Mamo, ale z naszego gadania jakoś nic nie wynika. Pomyślałem chwilę w ciszy, takie myślenie dobrze człowiekowi robi. Może siądziesz ze mną, popatrzysz na mecz, trochę się uspokoisz.

Dalej stoi i patrzy na mnie z góry. Nie zdziwiłbym się, gdyby się nagle na mnie rzuciła z zębami i pazurami, ale nie, powoli zasiada w fotelu.

- Co byś, Mamo, powiedziała na szklankę piwa albo kropelkę wina?

Trzy bity ciszy.

- Ty jesteś pijany. Widzę to. Jesteś taki sam jak bracia twojego ojca. Oni zaczęli pić na poważnie właśnie w twoim wieku. Ja ciebie już od dawna obserwuję. Któregoś dnia policzyłam, że wypiłeś trzy butelki piwa i dwie szklanki wina - tyle wypiłeś w domu, na moich oczach. Bóg jeden wie, ile jeszcze dopijałeś po barach. Właściwie jesteś już alkoholikiem.

Osuwam się głębiej w fotel i próbuję skupić uwagę na grze. To coś nowego. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał mnie alkoholikiem - matka musiała zrobić to pierwsza. Mając matkę za przyjaciela, człowiek nie potrzebuje już wrogów. Może nie po raz ostatni słyszę ten zarzut, ale ważne, że po raz pierwszy - to kamień milowy w moim życiorysie.

- No cóż, Mamo, nie uważam się za alkoholika, ale jeżeli masz ochotę liczyć, to to jest moje trzecie piwo. Nie chcesz pić ze mną - powiedz, ale proszę, bez części artystycznej.

Kolejna chwila brzemiennej ciszy. Nie uważałem na mecz i ktoś zdążył zdobyć punkt - nie widziałem nawet ripleja.

- Skoro jesz moje jedzenie i pijesz moje piwo, to i ja napiję się wina, zanim przejesz i przepijesz wszystko do końca.

Proszę uprzejmie; idę do kuchni i nalewam jej trochę tego obrzydliwego, zimnego, słodkawego wina. Gram serial *Wszystko w rodzinie*, w domu własnej matki. Z każdym dniem coraz bardziej upodabniam się do Archie Bunkera. Zanim się obejrzę, będę się zwracał do ludzi per “kochany".

Z kuchni wołam do niej, czy chce kanapkę z serem. Nie odpowiada, więc robię jedną kanapkę dla siebie, a drugą dla niej. Jak nie będzie chciała, zjem obie. Zapiekam grzanki. Idę do pokoju, podaję Mamie kanapkę. Bez słowa wgryza się w nią i popija łykiem wina.

- Dzisiaj będę spała sama. Ja, mężatka, która tyle wycierpiała, jestem zmuszona sypiać sama w pustyni łóżku.

Czego ona chce - żebym spał z nią? Wstrzymuję się z odpowiedzią, powtarzam sobie, że Mama jest na granicy obłędu z powodu frustracji i zmartwień.

- Przecież mówiłaś, Mamo, że Tato niepokoi cię w łóżku, że ciągle cię budzi i w ogóle nie możesz wypocząć. Teraz masz okazję porządnie się wyspać.

W odpowiedzi otrzymuję tylko fuknięcie.

Tak mija cały wieczór. Trochę patrzymy w telewizor i Mama już nic nie mówi, poza wygłaszaniem kąśliwych komentarzy o każdym programie i wszystkich biorących w nim udział. Ja milczę. Poszedłbym chętnie z książką do łóżka, ale byłaby to gruba zniewaga, więc staram się skupić na telewizji.

Do czasu pójścia spać Mama nieco ochłonęła. Całe szczęście, że nie potrafi konsekwentnie utrzymać żadnej pozy, musi się wciąż zmieniać.

Nabieram nadziei, że wszystko się jakoś ułoży: zrobiła scenę, określiła swoje stanowisko, teraz uspokoi się i będzie obcinała kupony. Mimo to postanawiam nocować w

pokoju bocznym, w szpitalnej koi z materacem przeciwko odleżynom, tlenem i tak dalej. Ciągle się trochę boję o Mamę: potrafi się doprowadzić do stanu takiej rozpaczy!

Po dzienniku o jedenastej oświadczam, że idę do łóżka. Brak reakcji. Wychodzę do bocznego pokoju, rozbieram się, włażę do łóżka i podciągam boczne ścianki. Eksperymentuję chwilę z aparatem tlenowym, żeby się przekonać, jak to jest. Patrzę na Marię i Jezusa. Oddycham nosem, wsysam tlen i przebiegam w myślach swoją mantrę. Moje zszargane nerwy domagają się ukojenia. Musiałem się zdrzemnąć, bo nie słyszałem nawet, jak Mama przechodziła przez hall do swojej sypialni. Zasypiam, podłączony do butli tlenowej, dryfując w powietrzu jak Jules Verne w drodze na Księżyc.

Budzę się, patrzę na zegarek: jest druga nad ranem. Obudził mnie terkot telefonu: znak, że Mama wykręca numer z aparatu w salonie.

Wciąż jestem na wpół przytomny: to ten tlen. Odłączam się i zakręcam butlę. Do kogo ona, u diabła, może dzwonić o tej porze? Może na Wschód, z myślą o przeniesieniu się do któregoś z braci? Ale przecież na Wschodnim Wybrzeżu jest dopiero piąta rano. Ostrożnie podnoszę słuchawkę.

Dzwonek powtarza się z dziesięć razy, nareszcie ktoś odbiera - to Joan. Na pewno śmiertelnie się przeraziła, telefon musiał ją wyrwać z głębokiego snu.

- Jack, czy to ty? Coś się stało?

Mama przez chwilę się nie odzywa: chyba nie tego oczekiwała. O mało się nie wtrącam, ale chcę usłyszeć, co ona ma do powiedzenia.

- Nie, to tylko ja, twoja matka. Chcę rozmawiać z moim mężem, i to natychmiast. Znów cisza.

- Chwileczkę, Mamo, jest druga w nocy, Tato śpi. Nie mogę go budzić. I tak ledwo udało mu się zasnąć.

- Słyszałaś, co powiedziałam? Chcę rozmawiać z moim mężem.

- Mamo, proszę cię, zadzwoń za dnia. Cokolwiek masz mu do powiedzenia, na pewno może to trochę poczekać. Nic ci nie dolega? Gdzie jest Jack?

W słuchawce rozlega się fuknięcie.

- Czy chcesz zabronić mojemu mężowi rozmowy ze mną?

Jestem jego żoną, nie zapominaj o tym. Jesteśmy małżeństwem od przeszło pięćdziesięciu lat i chcę z nim mówić natychmiast.

Cisza. Może powinienem się włączyć? To wariactwo. Do rozmowy włącza się Mario.

- Słuchaj, Mamo...

Mario zaczął mówić do Mamy “Mamo" jeszcze przed ślubem z Joan.

- Zachowajmy zdrowy rozsądek, dobrze? Tato śpi. Wiesz, jak trudno mu zasnąć, kiedy jest zdenerwowany. Dajże ty temu chłopu trochę odetchnąć!

Teraz kolej na Mamę.

- Wyłącz się, ty śmierdzący makaroniarzu. Rozmawiam z moją córką.

Chciałbym widzieć teraz minę Maria! Znów słyszę Joan.

- Dobrze, Mamo. Mario obudzi Tatę. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Dłuższa pauza. Słyszę, jak Mama doprowadza się do płaczu. Łatwiej słuchać tego

przez telefon niż otworzyć drzwi i rzeczywiście usłyszeć jej płacz - teraz jest jak w telewizji, nie do końca realnie. Słychać jakieś manipulacje ze słuchawką. Wyobrażam sobie, jak Tato stoi w piżamie, na bosaka, bez okularów i wpatruje się w mikrofon słuchawki.

- Halo, Bess?

Głos jest odległy, brzmi, jakby słuchawka znajdowała się w odległości dwóch stóp od ust mówiącego. Mama krzyczy przez łzy, prosto w mikrofon.

- To ja, Bette, Bette, pamiętasz, twoja żona! Tato nie od razu odpowiada. Chyba przybliżyli mu słuchawkę do ucha.

- Ach, to ty, Bess, chciałem powiedzieć, Bette. Jak się czujesz? Skąd dzwonisz?

- Na pewno nie z Cape May! Jestem w domu, w naszym domu, tu właśnie jestem: w naszym domu, gdzie i ty powinieneś być. Stąd właśnie dzwonię.

Znów dłuższa pauza. Potem dobiega mnie głos Taty, tak cichy, że ledwo słyszalny, i to chyba nie dlatego, że Tato oddalił słuchawkę.

- Chcesz, żebym wrócił do domu, Bess? Jeżeli chcesz, zaraz się ubiorę i przyjadę. Joan albo Mario na pewno mnie podrzucą, za chwilę będę.

Gdyby Mama kazała mu popełnić harakiri, spędziłby resztę nocy na poszukiwaniu odpowiedniego noża.

Po raz kolejny mam ochotę się włączyć i kazać Mamie natychmiast odłożyć słuchawkę. Chciałbym jakoś pocieszyć Tatę.

Dzielny stary “Jake" już nie istnieje: został John zwany Jackiem, Jack-Złota Rączka, facet, który ponad pięćdziesiąt lat przepracował za frajer, który stale się cofał. Stało się coś okropnego.

Na płacz mi się zbiera, kiedy słucham, jak Mama opowiada mu, że tylko ona go zawsze kochała. Tato w kółko powtarza, że już jedzie do domu, żeby się nie denerwowała, on się już wybiera - a ona gada i gada. Wreszcie, kiedy go już całkiem zmieszała z błotem, każe mu wracać do łóżka, zezwalając łaskawie, żeby do domu przyjechał rano. Bez uprzedzenia odkłada słuchawkę.

Odczekawszy, aż minie mój pokój i wejdzie do siebie, wykręcam numer Joan. Mówię jej, że cały czas podsłuchiwałem. Joan szlocha.

- Trzeba go było widzieć, Jack. Przy każdym jej słowie truchlał, kulił się, jak pies, którego stale biją. Mario poszedł z nim teraz do sypialni, przypilnuje, żeby może jakoś zasnął. Tato zrywa się raz po raz, chce się pakować.

Tym razem żadne z nas nie widzi w tej sytuacji nic śmiesznego. Joan mówi, że spakuje rzeczy Taty i jutro odwiezie go do domu. Boi się spotkania z Mamą, żeby znów ją nie poniosło, więc nawet nie będzie wchodziła do środka. Błaga mnie, żebym, w miarę możności, przemówił Mamie do rozsądku i spróbował się dowiedzieć, czego ona naprawdę chce. Odkładam słuchawkę i wracam do swojej koi. Na nowo podłączam sobie tlen do nosa i odkręcam butlę. Jeszcze zostanę jakimś tlenomanem i będę paradował po ulicy z butlą tlenową na grzbiecie. Długo nie mogę zasnąć. Słyszę, jak Mama szura kapciami i mamrocze coś sama do siebie.

Rano udaję przed Mamą, że nic nie wiem o nocnym telefonie do Taty. Wstaję

odświeżony - może sen pod tlenem to odpowiedź na problem starczej demencji: dotlenianie mózgu podczas snu.

Mama nie kładła się co najmniej do trzeciej, więc wstaje dopiero o dziesiątej rano. Szykuję dwa solidne śniadania i serwuję je na patio.

Włączam muzykę, stół jest nakryty, świeci słońce. Piękny dzień. Mama uczesała włosy do góry z myślą o scenie wielkiego pojednania, założyła też swój fikuśny peniuar - wygląda jak wamp gotowy do akcji.

Nie bardzo wie, jak ma przyjąć to wystawne śniadanie. Jeszcze cały czas jedzie na żelaznej sile woli, odgrywa własny scenariusz. A ja, jakby nigdy nic, mówię o kwiatkach, o pogodzie i zachowuję się jak steward na jej prywatnym jachcie, nalewający herbatę jedynej pasażerce pierwszej klasy. Odpowiadam tylko na to, co chcę usłyszeć.

Po śniadaniu wyciągamy się na leżakach owinięci słońcem. Pozbierałem ze stołu, pozmywałem, zmieniłem płytę w gramofonie i jestem z powrotem. Nastawiłem muzykę hawajską. Ściągam koszulę i pozwalam słońcu wsączyć się w ciało. Czuję się skażony, zanieczyszczony aż po sam rdzeń istnienia.

- To jest dopiero życie, Jacky. Nie rozumiem, jak możesz mieszkać w tym ponurym, brudnym Paryżu, wśród cudzoziemców.

Nie odzywam się. To jej stara śpiewka - przynajmniej ostatnie zdanie.

- Miałeś rację, Jacky. Potrzeba mi wypoczynku i słońca, muszę uspokoić nerwy. Kiedy on się tutaj kręci, nie mam chwili spokoju.

Czekam. Wstrzymuję oddech. Do czego ona zmierza?

- Dzwoniłam do nich wczoraj wieczorem i prosiłam Joan, żeby przywiozła ojca dzisiaj do domu, ale teraz już nie jestem taka pewna, czy tego chcę. Ja muszę odpocząć, Jacky, nikt nie może ode mnie wymagać, żebym grała pielęgniarkę przy człowieku tak chorym, jak on. Nie stać mnie na to po dwóch zawałach.

Wczoraj wieczorem? Ładny mi wieczór, druga nad ranem! Ciągle nic nie mówię. Jeszcze czekam.

- Jacky, może byś zadzwonił do Joan i powiedział jej, żeby go jednak nie przywoziła? Niech tam posiedzi jeszcze parę dni. Na razie nie jestem w stanie z nim przebywać. To by mi tylko nadwerężyło serce i zabiło mnie - a co on by wtedy zrobił? Trudno, będzie musiał przez parę dni obejść się bez swojej darmowej pielęgniarki. Joan też korona z głowy nie spadnie, jak się nim trochę pozajmuje, i tak nic więcej nie robi.

- Dobrze, Mamo.

Podnoszę się wolno, żeby nie popsuć nastroju, ale do telefonu prawie biegnę - chcę złapać Joan, zanim wyjedzie z Tatą do nas. Udaje się. Joan odbiera telefon.

- Alarm odwołany, Joan. Nie jedźcie. Siedzimy na ganku, opalamy się i Mama nie chce już być siostrą miłosierdzia, więc niech Tato siedzi u ciebie.

Przez blisko pół minuty Joan nie odpowiada. Potem słyszę jej śmiech, na granicy płaczu, na granicy histerii.

- Nie żartujesz, Jack? Jeżeli to dowcip, to cię zabiję.

- Słowo honoru, Joan. Naprawdę się opalamy. Królowa Saba zażywa poranną dawkę

Ra, Króla-Słońce. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale korzystajmy z okazji. Tacie na pewno da się wytłumaczyć. Powiedz mu może, że to w nocy mu się przyśniło. Jeżeli chcesz, to ja z nim porozmawiam.

- Nie, wszystko załatwię. Tato jest taki skołowany, że nie wie, co się wokół niego dzieje. Poświęcę mu cały dzień, posiedzimy, pogadamy, uspokoi się. Na razie strasznie go nosi, chodzi po domu, wszystko ogląda, co chwila dopytuje się, kiedy jedziemy. Spakowałam już jego bagaż, ale on ciągle chodzi go sprawdzać. Zajmę się nim, jak umiem, a do ciebie mam tylko jedną prośbę: ubłagaj jej Królewską Mość, żeby łaskawie nie dzwoniła o drugiej w nocy. Jestem u kresu wytrzymałości nerwowej.

Odkładam słuchawkę i wracam do Mamy z wiadomością, że sprawa załatwiona. Przyjmuje oświadczenie z zamkniętymi oczami, ja dalej gram swoją rolę. Rozwalam się na leżaku, myśląc, jak by to było wspaniale przejechać się do Venice i jeszcze trochę pomalować. To grzech tracić takie dobre światło. Nie mam pojęcia, gdzie się podział Billy, ale lepiej, żeby się tutaj na razie nie pokazywał: może tylko zaszkodzić.

Kilka następnych dni mija bezboleśnie. Mama nie czyni żadnych starań, żeby się skontaktować z Tatą, nawet o niego nie pyta. Z niewiadomych mi powodów, Tato całkiem zszedł z afisza. Dochodzi nawet do tego, że odbywamy z Mamą kilka sensownych rozmów. Któregoś wieczoru zabieram ją do Kurnej Chaty - ale okazuje się, że to nie był dobry pomysł. Następnego dnia po południu wybieramy się razem do Williamsburg Inn - i to jest już prawie katastrofa. Na trzeci dzień śniadanie jemy w francuskiej kawiarence przy plaży w Venice. Mama dochodzi do wniosku, że siedzący opodal podstarzały hippis przystawia się do niej i każe mi go spławić.

Tego samego dnia po południu korzystam z drzemki Mamy w sypialni na tyłach i dzwonię do Delibro. Pyta, dlaczego Tato nie stawił się na ostatnią wizytę. Wyjaśniam sytuację. Usiłuję streścić mu zdarzenia, przekazać irracjonalną postawę Mamy. Delibro słucha.

- To brzmi dosyć poważnie, panie Tremont. Powinienem się jak najszybciej zobaczyć z pańskim ojcem. Te przeżycia musiały go bardzo wiele kosztować. Cała jego radość życia, cały jego udział w tym życiu, pozostają w ścisłej zależności od aprobaty pańskiej matki.

Robi pauzę.

- Powiem panu szczerze, panie Tremont - nie wiem, co mamy robić. Martwi mnie pańska matka, która zdecydowanie zagraża równowadze psychicznej pańskiego ojca. Nie sądzę jednak, żeby matka pana kwalifikowała się do szpitala: jest zbyt logiczna w swojej irracjonalności. To trudna kobieta, panie Tremont.

Też mi odkrycie, za sto dolarów na godzinę! Dopiero po fakcie uświadamiam sobie, że mówiąc o szpitalu dla Mamy miał na myśli coś w rodzaju domu wariatów. Chyba nie jest aż tak źle - o mój Boże! Ale dobrze przynajmniej, że Mama za bardzo przy nim nie gra.

Delibro pyta, czy zdołamy przez jakiś czas utrzymać stan obecny, zapewnić Tacie spokój i ciszę w atmosferze miłości, a Mamie dać szansę na wyładowanie się. Pyta, czy Joan mogłaby przywozić Tatę na wizyty do niego, przynajmniej raz w tygodniu. Prosi też, żebym

za wszelką cenę ściągnął do niego Mamę.

Na tym poprzestajemy. Siadam i piszę kolejny list do domu z odroczeniem daty powrotu. W liście tym obiecuję Vron - a także, co ważniejsze, i sobie samemu - że skończę z tym w ciągu najbliższego tygodnia, góra dwóch. Na litość Boską - ile można? Przecież to beznadziejna sprawa.

W dwa dni później dzwonią nasi znajomi, Bud i Cam Wilkes, z zaproszeniem na pogawędkę i kolację z rożna. Mam wielką ochotę przyjąć ich zaproszenie. Tak wielką, że konsultuję sprawę z Mamą. Mama z początku nie chce o tym słyszeć, ale ostatecznie pozwala mi wyjść, acz niechętnie.

- Ja i tak jestem dla was tylko ciężarem. Idź, zabaw się z przyjaciółmi, póki możesz, niedługo będziesz stary i samotny jak ja.

Obiecuję wrócić na jedenastą; razem obejrzymy ostatni program w telewizji. Notuję numer telefonu Wilkesów i kładę przy aparacie. Potem dzwonię do Joan i mówię jej, dokąd się wybieram. Więcej z tym zachodu niż z uzyskaniem całonocnej przepustki w wojsku.

Wilkesowie mają ładny dom na wzgórzu, skąd widać całe Los Angeles. Mają też nieduży podgrzewany basen. Kiedyś pływałem w tym basenie nago, sam, przy pełni księżyca odbijającej się w wodzie. Było to prawie jak nocne pływanie w moim młynie.

Bud na powitanie podaje mi gin z tonikiem. Rozmowa szybko się rozkręca. Wilkinsowie dzwonili do mnie już wcześniej, więc z grubsza znają sytuację - od razu zaznaczam, że wolałbym dzisiaj nie poruszać tego tematu.

Siedzimy na patio przy basenie. Za moimi plecami Bud obraca na rożnie małe kurczaki - czuję, że to jest właśnie prawdziwa Kalifornia, ta ze sloganów reklamowych. Na dzwonek telefonu włos mi się jeży - mam już psychozę telefoniczną. Przecież to dom Wilkesów, ich telefon, to do nich ktoś dzwoni, spokojnie.

Cam mówi, że to do mnie. Koniec spokoju. Przechodzę do salonu i przejmuję słuchawkę od Cam. Dzwoni Joan. Spodziewam się najgorszego, nie mając pojęcia, czym to najgorsze może być.

- Jack, musisz natychmiast przyjechać! Z Tatą coś się dzieje. Przyjeżdżaj zaraz.

- Ale co jest, Joan!

- Błagam, pospiesz się. Pospiesz się! Nie mogę o tym mówić. Płacze. Nie odkłada słuchawki, tylko płacze w telefon.

- Dobrze, Joan, już jadę. Będę u was za pół godziny.

Joan nadal płacze, nie odkładając słuchawki. Czekam z minutę, czy jeszcze coś powie, po czym delikatnie się rozłączam. W całym ciele czuję narastający dygot. Sprawa musi być poważna, skoro Joan aż tak płacze. Ciekawe, czy Mario jest w domu. Może Tato nie żyje, może się pokaleczył albo popełnił samobójstwo? Chętnie zadzwoniłbym z powrotem, zapytał o to Joan, ale nogi mam jak z ołowiu, a wiem, że trzeba się spieszyć.

Cam podchodzi do mnie. W ręku trzyma moją szklankę. Stawia ją obok na stoliku.

- Czy coś się stało, Jack? Jesteś blady jak ściana. Co się dzieje? Coś z matką?

- Nie, z Tatą. Nie wiem, o co chodzi, ale Joan, moja siostra, prosiła, żebym

natychmiast do nich przyjechał. Ogromnie mi przykro, Cam, ale muszę już iść, natychmiast.

Z trudem docieram do drzwi. Cam całuje mnie na pożegnanie.

- Tylko uważaj, Jack, jedź ostrożnie.

Bud podchodzi do samochodu i upiera się, że mnie zawiezie. Bez słowa wycofuję wóz z podjazdu. Nie chcę być nieuprzejmy, ale myślami jestem już daleko stąd. Truchleję na myśl o tym, co się mogło zdarzyć.

Ruch na szosie jest nieduży. Nad górami wisi słońce, niebo stanowi niesamowity koktajl błękitu i czerwieni. Branie zakrętów w odpowiednich miejscach i trafianie we właściwe pasy wymaga ode mnie nadludzkiej wprost koncentracji uwagi.

Pod dom Joan zajeżdżam w dwadzieścia minut po rozstaniu z Wilkesami. Maryellen wygląda mnie już z ganku. Z płaczem pędzi przez trawnik. Jest w histerii, szlocha gwałtownie. Ostatni raz dotknęła mnie, kiedy miała może z dziesięć lat, ale teraz pada mi w objęcia, na samym środku trawnika, pod brzozami.

- Och, wujku, to okropne! Nie mogę na to patrzeć! To takie okropne!

Brnę dalej przez trawnik, holując ją za sobą. Drzwi się otwierają, staje w nich Joan.

- Dzięki Bogu, że już jesteś, Jack. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie modliłam, byłam pewna, że rozbijesz się na szosie.

Maryellen odsuwa się i Joan zajmuje jej miejsce w moich ramionach. Twarz ma całą w plamach, czerwone cętki na białym tle, oczy spuchnięte od płaczu, chociaż w tej chwili nawet nie płacze.

- Co się stało, Joan? Powiedz, co się stało?

Wchodzę za nią do salonu. Maryellen podąża za nami.

- Siadaj, Jack. Mario tam z nim jest. Na razie jest spokój. Siadaj.

Siadam koło niej na kanapie. Ujmuje obie moje dłonie. Chwilę popłakuje, potem zaczyna mówić.

- Spróbuję zacząć od początku.

Już przy obiedzie był jakiś dziwny. Wiesz, taki jak kiedyś. Jakby nie pamiętał, do czego służą różne przedmioty. Chciał, na przykład, nabrać groszku filiżanką i zalał kawą cały stół. Podnosił widelec albo łyżkę, wpatrywał się w nie albo bez końca obracał w palcach. Albo wpakował głowę w talerz i próbował jeść mięso prosto z talerza, jak pies. Kazałam dzieciom przejść z talerzami do salonu. Biedna Maryellen, o mało nie zemdlała. John też nie mógł jeść. Usiadłam koło Taty, żeby mu pomóc i założyłam mu serwetkę pod brodę. I - Jack! On miał w oczach to, co wtedy: dzikość i pustkę. Jakaś część jego patrzy na mnie jak na obcą osobę, to przerażające. A zarazem wiem, że jego tu już nie ma, że to już nie Tato. Dolne partie mózgu dalej załatwiają sprawy cielesne - i to wszystko.

Mario przysiadł się do niego z drugiej strony, oboje coś mówiliśmy, chcąc mu dodać otuchy, przywrócić go do życia. Ale on tylko wpatrywał się w ruchy naszych ust i rejestrował melodię głosu. Kiedy podniosłam do jego ust filiżankę z kawą, dał się napoić, ale jego oczy patrzyły w moje bez wyrazu, pusto.

Rozpłakałam się, Jack. Nie mogłam się powstrzymać. Nie mogłam spokojnie patrzeć, jak on osuwa się w to z powrotem - przecież tak świetnie się ostatnio czuł. Co jakiś czas jakby

na chwilę wracał do siebie: na krótko, na parę sekund, znów stawał się sobą. Zauważał, że robi głupstwa - że drąży stół łyżeczką albo gniecie obrus - i wtedy uśmiechał się po swojemu, wstydliwie, i przestawał. Gdyby nie te jego oczy, można by myśleć, że udaje, że się wygłupia. Postanowiliśmy z Mariem, że damy mu valium i jak najszybciej położymy go do łóżka. Bardzo się przejął tą awanturą z Mamą. Mieliśmy nadzieję, że to za jakiś czas minie, że wszystko wróci do normy. Nie chciałam cię tak od razu alarmować, a tym bardziej nie chciałam, żeby Mama dowiedziała się, co się dzieje.

Joan bierze długi, drżący oddech, jakby znów miała się rozpłakać. Ściskam jej dłonie, a ona odwzajemnia uścisk.

Cały czas jednym uchem nasłuchuje, co tam z Mariem, co z Tatą. Nasłuchujemy oboje.

- Po obiedzie wzięłam się za zmywanie, a Mario usadowił Tatę w jego ulubionym fotelu, z którego widać, co się dzieje w całym domu i można oglądać telewizję; to jest normalnie fotel Maria. Mario wychodzi do garażu, coś tam naprawić w samochodzie. Staramy się zignorować incydent, rozpędzić koszmar siłą woli. W pięć minut potem patrzę - Taty nie ma. Przypuszczając, że wyszedł do łazienki, zerkam w głąb hallu. Drzwi do łazienki są otwarte, zaglądam do środka, ale jego tam nie ma. Idę na sam koniec hallu, do pokoju chłopców. Maryellen i John oglądają telewizję, ale Taty i tutaj nie ma. Po drodze zerknęłam jednym okiem do pokoju Maryellen, ale niczego nie zauważyłam. I w tym momencie, Jack, zaczęłam się bać na dobre. Idąc z powrotem przez hall, słyszę jakieś dźwięki dobiegające z pokoju Maryellen. Wchodzę po cichu, drzwi szafy są uchylone, zaglądam tam - a Tato siedzi skulony na dnie szafy plecami do mnie. I w zapamiętaniu szarpie na strzępy ubrania Maryellen! Bierze w zęby brzeg jednej sukienki po drugiej i rwie rękami! Jak Boga kocham, John, o mało nie zemdlałam. Podeszłam powoli i kucnęłam obok niego. Tato odwraca głowę i patrzy na mnie jak dziecko, które się zlało w majtki, albo jak pies, który pogryzł pantofel. Trzyma w zębach rąbek sukienki Maryellen z balu maturalnego, w garściach ściska skrawki satynowej podszewki i tiulu. Czuję, że nie wie, kim ja jestem; chyba nic nie wie.

Teraz już Joan szlocha w głos i chowa twarz w dłoniach.

- Jack, chciałam pomóc mu się podnieść, a on zamachnął się z całej siły i rąbnął mnie na odlew! Pięścią! Z całej siły. Upadłam do tyłu i uderzyłam głową o łóżko Maryellen.

Nie wiem, co robić. Powinienem iść do Maria i zastąpić go, ale jeszcze mnie na to nie stać. Siedzę nieruchomo, a Joan wypłakuje się w swoje i moje splecione dłonie, jej ciepłe łzy przeciekają nam przez palce.

Przede wszystkim należy zadzwonić do Delibro: potrzebujemy jego pomocy. Mam w portfelu jego adres domowy, który mi podał na wypadek nagłej konieczności. Wstaję, zostawiam Joan na kanapie i przechodzę do kuchni, gdzie jest telefon naścienny.

Wykręcam numer, odbiera jakaś centrala. Mówię że sprawa jest pilna i natychmiast mnie łączą. Okazuje się, że Delibro ma gości. Opisuję mu sytuację najdokładniej, jak umiem. Pyta, czy mogę przewieźć Tatę do Perpetual, on tam będzie już na nas czekał. Odwieszam słuchawkę i wracam do Joan.

- Błagam cię, Jack, zajmijcie się tym we dwóch z Mariem. Na widok Maryellen i mnie

on wpada w dziki szał. Boję się.

Daję znak Maryellen, żeby została z Joan i idę do pokoju, gdzie jest Tato. Mario klęczy na podłodze przed szafą. Rzuca mi spojrzenie przez ramię. Tato siedzi w kucki na dnie szafy, z twarzą wciśniętą w najodleglejszy kąt.

Kucam obok.

- Rany, Jack, z nim się teraz dzieje coś nowego. Kompletny brak kontaktu. Nie mogę go stamtąd wyciągnąć. Nie szarpie się ze mną tak jak z Joan, ale kiedy mu próbowałem wetknąć do ust valium, o mało mnie nie pogryzł. Jest nadspodziewanie silny jak na swój wiek.

Mario waży ze sto dziewięćdziesiąt, dwieście funtów, a większość z tego to mięśnie. Wciskam się przed niego, on wstaje. Oglądam się przez ramię.

- Dzwoniłem do psychiatry. Czeka na nas w Perpetual. Musimy tam jakoś doholować Tatę.

- Ciężko będzie, Jack, ostrzegam cię. Odwracam głowę do Taty.

- Hej, Tato, to ja, Johnny, co tam robisz? To ja, Johnny, słyszysz?

Żadnej reakcji. Jeden but zsunął mu się z nogi, a skarpetka jest ściągnięta do połowy. Zlał się w spodnie, dno szafy zalane jest moczem, który wsiąka w buty Maryellen i w ubrania pościągane przez Tatę z wieszaków.

- Daj spokój, Tato, co ty tam robisz, szukasz czegoś?

Nic.

- Mario, spróbujemy wyciągnąć go we dwóch? Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Musimy go jakoś przewieźć do Perpetual.

- Dobra, Jack, spróbujmy. Bierz z tej strony, ja z drugiej. Uważaj tylko, żeby cię nie pogryzł. I strasznie wierzga. Joan zarobiła czarnoniebieskiego siniaka wielkości kalarepy.

Zachodzimy Tatę z obu stron, dla równowagi zapierając się o szafę. Tato wciska się w kąt jak może, ale wyłuskujemy go. Nie broni się, za to zwija się w kulkę jak jeż albo przestraszony żuk. Tak skulonego przenosimy go przez hall do pokoju chłopców. Prosimy Joan, żeby wyszła i, sadowimy Tatę w fotelu. Może “sadowimy" to niezbyt trafne określenie; raczej drapujemy go w fotelu.

- Rozgnieć valium, Mario, i rozpuść w wodzie, dobrze?

Zostaję sam z Tatą, który już całkiem odciął się od świata: nie chce otworzyć oczu ani odjąć dłoni od twarzy. Kciuki wepchnął w uszy, palcami wskazującymi przyciska powieki, środkowymi zatyka nos, a usta zasłania palcami serdecznymi i małymi, na krzyż. Wygląda jak statuetka trzech małp do stawiania na biurku: nie widzieć zła, nie słyszeć zła, nie mówić zła - z tym, że w przypadku Taty wszystkie trzy postacie wcieliły się w jedną.

Słyszę, jak Bess krząta się na górze. Po skrzypieniu podłogi poznaję, że ściele łóżko. Wiem nawet, że tylko zdjęła pościel, przetrzepała ją i zasłała z powrotem. Chwila ciszy oznacza, że Bess się ubiera. Schodzi po schodkach tak cicho, że dopiero kiedy staje przede mną, orientuję się, że od dobrej chwili jest na dole.

- Patrzcie no, patrzcie! Kto to sobie znalazł kryjówkę u tatusia na kolankach!

Bess podchodzi bliżej, przeciąga dłonią po główce Lizbet i delikatnie wyjmuje jej paluszki z buzi. Lizbet chowa twarzyczkę w mój tors, a Bess nachyla się, żeby mnie lekko pocałować w policzek.

- Z rana nie ma nic lepszego jak świeżo ogolony mężczyzna.

- Bess, może byś umyła włosy tej małej. Sądząc po zapachu, znowu się tarzała w stodole.

Lizbet prostuje się gwałtownie. Wcale nie spała, czort jeden, tylko udawała, żeby się trochę poprzytulać.

- Dopiero co wczoraj miałam myte, tatku.

- Nie bój się, malutka, tatuś żartował. Chciałem sprawdzić, czy cię tym obudzę, bo teraz muszę się spod ciebie wydostać i iść doić krowy.

Podnoszę się powoli, a Lizbet ześlizguje mi się z kolan między nogami. Bess bierze ją za rączkę.

- Nie musimy myć włosów, Lizbet, ale trochę czystości nie zawadzi, chodź.

Bess nalewa do miski gorącej wody. Biorę spod drzwi bańki na mleko i ruszam do obory. Nie jest zimno: wiosenne powietrze jest łagodne, wilgotne. Kurczaki piskiem domagają się wypuszczenia na dwór, więc zbaczam jeszcze do nich. Niech sobie Johnny pośpi chwilę dłużej przed pójściem do szkoły.

Obracam drewniany skobel w drzwiach kurnika. Kury gapią się na mnie, gdaczą i podziobują. Zachodzę je od tyłu i wypędzam na dwór. Rozglądam się i prawie we wszystkich gniazdach widzę jaja, same jasnobrązowe. Zostawię je, niech Johnny pozbiera, taki jest zawsze dumny z kurzych rekordów. Parę kur jeszcze wysiaduje i te zostawiam w spokoju. Wychodzę i z powrotem zamykam drzwi na skobel. Kiedy zrobiłem ten mały obrotowy skobelek, był szorstki i kanciasty, a teraz, po paru tysiącach obrotów, wygładził się tak, że na powierzchni drewna widać ziarninowanie.

Piękne jest to stadko Johnny'ego, naprawdę piękne. Niosłyby może więcej, gdyby John zamienił kilka Plymouth Rocks i Rhode Island Reds na białe leghorny, ale John mówi, że białe jajka są brzydkie, wszystkie jednakowe.

Rzucam kurom parę garści ziarna, tyle tylko, żeby miały się czym zająć, nim Johnny przyjdzie je nakarmić. Biorę bańki i idę do obory.

Milly już na mnie czeka. Spóźniłem się dzisiaj, jakiś leniwy dzień. Przyciągam

zydel, biorę czystą ścierkę i przecieram jej wymię. Milly ogląda się na mnie. To jedyna znana mi krowa, która lubi dojenie. Mógłbym ją pewnie zostawiać na noc w polu z cielakiem, ale boję się bezdomnych psów. Poza tym, rano łatwiej ją wydoić w oborze.

Nachylam się nisko, tak że ramieniem zapieram się o jej bok. Większość ludzi siedzi prosto przy dojeniu, ale ja lubię czuć dotyk ciała Milly, takiej dużej, ciepłej, lubię słyszeć, jak bulgocze jej w brzuchu. Wydaje mi się wtedy, że słyszę, jak powstaje mleko. Nachylam się do zapachu siana, gnoju i mleka: wszystko to takie ciepłe, takie żywe. Potrafiłbym chyba zasnąć przy dojeniu.

Kończę, odlewam trochę mleka dla Kitty, cielaka, i zanoszę do sąsiedniego boksu. To dopiero będzie piękna krowa: pół-Guernsey, pół-Jerseyka. Ten byk rasy Guernsey, do którego ostatnio prowadzałem Milly, żeby miała jakąś odmianę, był ogromny jak chałupa i dobrze wiedział, jak się brać do rzeczy. Szliśmy z Milly blisko dwadzieścia mil w jedną stronę, głównie po twardej nawierzchni ulic - ale się opłaciło.

Czyszczę boksy i spłukuję je paroma kubłami słonej wody. Milly i Kitty wylizują wodę. W New Jersey bydłu nie potrzeba wystawiać brył solnych do lizania. Prowadzę Milly na pastwisko, Kitty idzie z tyłu. Kitty to strasznie głupie imię dla cielaka, ale tym razem była kolej na Lizbet w nadawaniu imion, więc musi zostać Kitty.

Kiedy wychodzę z obory, Johnny już sprząta kurnik i karmi kury. Zdążył nawet wymieszać i podgrzać karmę. Macham do niego przechodząc obok.

- Hej, tato, jeszcze dwie kury złożyły jajka, to razem osiem. Dzisiaj rano było w sumie pięćdziesiąt siedem jaj.

- To pięknie, Johnny. Ani się opamiętamy, a będzie więcej kurcząt niż jajek.

Szturcham Milly patykiem, nie za mocno, żeby nie zjadała ślazu ogrodowego, który wyrasta poza płot. Milly co rano podskubuje te liście i co rano obrywa kijem pod żebro.

Otwieram bramkę na pastwisko i zaganiam krowy. Nie trzeba im dwa razy powtarzać, same chcą iść, bo są głodne. Bardzo żałuję, że to nie jest moje własne pastwisko. W tej chwili wypasanie krów kosztuje mnie dwadzieścia pięć dolarów rocznie. Nie ma rozmowy, żeby pani Praline sprzedała to pastwisko taniej niż za osiemset dolarów. Nie ma co się żalić: i tak nigdy się nie dorobię takich pieniędzy, a z pastwiska mogę przecież korzystać - mam gdzie wygonić dwie krowy i konia od pługa.

Słyszę, że Bess woła Johnny'ego na śniadanie; zaraz będzie wołać mnie.

- Idę, idę, Bess, już idę!

Idąc patrzę na nasz dom i nie utwardzoną drogę, która do niego prowadzi. Właśnie taki dom zawsze chciałem mieć: duży, ale nie za duży. Od większości okolicznych domów różni się tym, że zbudowałem go na planie litery L. Ed pukał się w czoło - to przecież nie farmerski dom. Było trochę dodatkowej pracy i dodatkowych kosztów, ale przyjemnie mieć zamknięty dziedziniec po słonecznej stronie. Przy ładnej pogodzie Bess siaduje tam, łuska fasolę, obiera ziemniaki albo po prostu siedzi i odpoczywa.

Kiedy wchodzę, wszyscy już siedzą za stołem. Koło Johnny'ego, Joan i Hanka leżą na podłodze szkolne książki. Do szkoły chodzą pieszo całą milę, a lekcje zaczynają się o dziewiątej, więc muszą się pospieszyć. Bess usmażyła dla dzieci omlet na bekonie, z mlekiem, a dla nas dymią na stole dwa kubki kawy. Kawa z kubka smakuje dwa razy lepiej niż z filiżanki. Dzieciaki biegną do szkoły, ledwie Joan zdążyła poustawiać talerze i kubki przy zlewie. Rano zmywanie należy do Bess, po kolacji zmywa Joan albo Johnny. Zaczyna się najprzyjemniejsza część dnia. Chwilę siedzimy z Bess i gawędzimy przed przystąpieniem do codziennych zajęć. Mówię, że dobrze by było wybrać się na jagody; Bess, okazuje się, też o tym myślała, Lizbet zniknęła gdzieś w domu, szukając kodaka, któremu chce dać mleka. Leniuchujemy przy kawie dobre dziesięć minut.

Kiedy już naczynia są pozmywane i kuchnia sprzątnięta, wyciągam wiaderka na jagody. Bess i Lizbet już są gotowe. Na naszym terenie prawie nie ma jagód, za to między nami a oceanem, w zasolonych dolinach, rośnie ich pełno. Jedzie się tam co najmniej dziesięć minut. Po drodze zatrąbimy na Irę i Michaelsów - może zechcą się przyłączyć.

Słońce pali przez dach, kiedy jedziemy szosą wschód-zachód. Koło domu Iry zwalniam i naciskam klakson. Krzyczę do Kay, że jedziemy na jagody, może by pojechali z nami. Przybiegają w niespełna pięć minut. Kay zabrała swoją małą, Mary. Iry nie ma: poszedł nad morze zbierać wodorosty na nawóz. Kay i Mary wskakują na platformę z tyłu. Potem zatrzymujemy się koło Michaelsów i zabieramy Gene'a i Peg. Zebraliśmy sporą ekipę, ale nie ma obaw, jagód wystarczy dla wszystkich, tylko samo zbieranie jest uciążliwe. Na gąbczastej ziemi zbierać trzeba boso.

Dojeżdżam do najlepszego miejsca, hamuję, wszyscy wyskakują z wozu. Zbieramy tu już od kilku lat, każdy ma swoje upatrzone miejsce. Bess i Liz ruszają pod cherlawy krzak czarnego bzu, gdzie zawsze zbierają jagód w bród. Ja lubię zbierać wzdłuż drogi - tam jagody dojrzewają najwcześniej i są najsłodsze. Dziesięć pierwszych jak zwykle zjadam, potem co dwudziestą. Złapałem się na tym, że zawsze liczę jagody przy zbieraniu. Co jakiś czas komuś trafia się miejsce wyjątkowej obfitości i wtedy wszyscy przyłączamy się do szczęściarza.

Zbieramy aż do chwili, kiedy słońce zaczyna się chylić na drugą stronę.

Ostatniej nocy spadł deszcz - tego właśnie było potrzeba: nasączył ziemię, ale nie aż tak, żeby przyhamować wzrost roślin. Zdaje się, że przy okazji powstało kilka kałuż i sadzawek, z których wyrodziła się cała chmara nowych moskitów. Będę musiał połatać siatki, zanim zacznie się prawdziwa pora moskitów.

Kiedy wracamy, Johnny, Joan i Hank już są w domu. Joan nakryła do stołu, a Johnny kręci masło na ganku od podwórza. Hank siedzi na górze, pewnie zajmuje się swoją kolekcją motyli.

Zanim wyjechaliśmy na jagody, Bess postawiła na wolnym ogniu bigos z cebulą i marchwią - garnek od razu ląduje na stole. W drodze ze szkoły Joan kupiła chleb u piekarza w miasteczku. Zmiatamy cały bochenek i bigos w piętnaście minut milczącego pałaszowania. Taki chleb, nasączony sosem z bigosu, to pycha.

Na deser Johnny przynosi ze schowka w studni kwaterkę świeżej zimnej śmietany. Polewamy nią leśne jagody. Jagody są jeszcze ciepłe od słońca, zapadają się w gęstą śmietanę. Zjedliśmy chyba z jedną czwartą porannych zbiorów - ale w końcu po to są jagody.

Johnny, Hank i Joan wracają do szkoły na poobiednie lekcje, a Bess układa Lizbet w pokoju na tyłach, żeby się przespała. My we dwoje też idziemy do sypialni na pięterku - na godzinkę do łóżka. To straszliwe lenistwo kłaść się do łóżka w ciągu dnia, ale robimy tak od lat, chyba że coś wypadnie. Najprzyjemniej jest właśnie tak, kiedy człowiek jeszcze nie czuje się zmęczony - a przecież życie ma się jedno. Po to między innymi ludzie się pobierają.

Jest już prawie trzecia, kiedy wstaję do pomidorów. Deszcz poprzyginał niektóre do ziemi. Trzeba powiedzieć, że w tym roku pomidory wyjątkowo się udały. Niektóre już teraz są wielkości piłek tenisowych. Na pewno mam z miesiąc wyprzedzenia w stosunku do innych hodowców. Don Ambrogi z głównego targu obiecał, że podniesie mi cenę o dolara, jeżeli mu dostarczę dojrzałe na słońcu pomidory przed połową czerwca.

Posadziłem te pomidory w szklarni jeszcze w początkach marca. Szklarnię zbudowałem sam, z okien uzyskanych z rozbiórki starego hotelu “ Wybrzeże" w Cape May. Hotel miał duże okna od strony oceanu i na werandzie, a rozebrali go całkowicie. Zdobyłem w ten sposób ponad pięćset stóp kwadratowych szyb. W chłodne noce i pochmurne dni ogrzewam rośliny rozpalając w chatce koło szklarni mały piecyk. Z końcem kwietnia, ośmiocalowe, palczaste pędy były już gotowe do przesadzenia.

Pierwszego maja pomodliłem się i przesadziłem je na pole. Późnych przymrozków, dzięki Bogu, nie mieliśmy. No i teraz mam piękne, gęste krzewy, obwieszone sowicie nową odmianą pomidorów, “befsztykiem", która prawie nie ma

pestek. Przyjmę każdy zakład, że w tym roku będzie tego paręset buszli i że uwinę się z pomidorami, zanim nastanie czas na duże żniwa. Zanosi się na podwójne, dochodowe plony, jedne po drugich.

Wynoszę z domu sznurek i dwie wiązki palików. Szkody na razie nie są wielkie, ale będą, jeżeli zaraz nie podwiążę pomidorów. Ciężar owocu, plus dodatkowy ciężar wody deszczowej - to już ponad wytrzymałość łodyg. Pomidory, które mają plamki od leżenia na ziemi, są bezwartościowe, najwyżej na przecier i sok do fabryki przetworów.

Winduję łodygi do góry, otacza mnie cierpka, zielona woń pomidorów. Łatwo jest złamać łodygę zesztywniałą od wody i objuczoną ciężkim owocem. Ręce robią się zielone od tarcia o łodygi i liście. Ciekawe, na co im te drobne, białozielone włoski - może dla ochrony przed owadami. Pomidor zawsze był dla mnie rośliną erotyczną, pamiętam to uczucie jeszcze z dzieciństwa w Wisconsin. Jest to owoc jakby za dobry dla zwykłego człowieka, jak z rajskich ogrodów.

Stoję na prostych nogach, pochylam się tylko w pasie. Tej metody Tato wyuczył Eda i mnie przy zbieraniu ogórków. Kiedy trzeba się bardziej zniżyć, lepiej kucnąć, naprawdę kucnąć, na płaskich stopach. W ten sposób człowiek nie nabawi się zesztywnienia w krzyżu. Tato po dziś dzień trzyma się jak świeca, a ma już blisko siedemdziesiąt lat. Przy pracach stolarskich pochyla się i kuca tak samo jak na polach w Wisconsin.

Kiedy podwiązuję ostatni krzak, słońce stoi już bardzo nisko. Upiłem się zielonym zapachem pomidorów. Odnoszę sekator i ostatni palik do szopy, czuję woń drewna i trocin. Zapach pomidorów wyostrza wszystkie inne zapachy. Wiem, że w drodze do domu będę teraz czuł każdą woń, nawet kurzu na drodze i kamieni.

Schodzę do sadzawki i nabieram wody, żeby się umyć. Piję zimną jak lód wodę z wnętrza dłoni. Osuszam ręce we włosach. Okropnie zarosłem, trzeba się będzie wieczorem podstrzyc; całej rodzinie przydadzą się postrzyżyny. Nikt się przed nimi nie broni, odkąd zmajstrowałem fotel fryzjerski ze starego siedzenia samochodowego i złamanej śruby obrotowego taboretu, znalezionej na śmietnisku za miastem. Strzygę wszystkich po kolei, Bess także, a potem ona strzyże mnie, przy czym ja trzymam lustro i trochę jej pomagam.

Jadamy po francusku, tak jak w moim domu rodzinnym, a więc: duży posiłek w porze lunchu, a wieczorem zupa i chleb. Bess gotuje najlepsze zupy na świecie, każda inaczej smakuje.

Rozglądam się za Hankiem - pewnie znów gania za motylami. Wszystkie szuflady i całe ściany w pokoju chłopców pełne są ponabijanych na szpilki motyli - to kolekcja Hanka. Johnny twierdzi, że w nocy wygląda to niesamowicie, szczególnie

kiedy świeci księżyc, ale tak naprawdę wcale nie ma pretensji do brata. John jest dobrym bratem, a Hank to kawał dziwaka. Zbiera co się da, odkąd samodzielnie stanął na nogach. Ale te motyle ciągną się wyjątkowo długo, już ponad trzy lata. Bess mówiła mi, że Hank trzyma w szafie na ubrania kokony, żeby motyle wylęgały mu się w domu. W tym roku nie chciał na Gwiazdkę nic innego, tylko nowe książki o motylach, szpilki, przybory do konserwacji, chemikalia i gablotki. Potrafi zamęczyć człowieka na śmierć swoim gadaniem o motylach. Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo, ale takiego oryginała jak Hank nigdy się nie spodziewałem.

Lizbet już mnie dojrzała i pędzi na spotkanie. Rzuca się na mnie z rozpostartymi rączkami, a ja łapię ją w powietrzu. Albo ja się starzeję, albo ona jest naprawdę coraz cięższa - pewnie jedno i drugie. Któregoś dnia przeleci mi przez ręce, muszę uważać. Sadzam ją sobie na ramieniu i tak przemierzamy ostatni kawałek drogi do ganku. Stawiam Lizbet na schodkach.

Bess woła na kolację. Hank schodzi z góry, a Johnny przybiega z podwórka. Wiele gadania nie ma, każdy jest głodny. Czekam, aż cała rodzina zasiądzie do stołu i Bess wejdzie z kuchni z dymiącą wazą. Skłaniam głowę i odmawiam modlitwę. Trochę po protestancku, bo nie mówię jak zwykle "Pobłogosław, o Panie..." tylko - "Dzięki ci, Panie, za pomidory. Amen".

Mario wraca z ugniecionymi na papkę proszkami. Przytrzymuje głowę Taty, a ja łyżeczką rozchylam mu usta, tylko odrobinę, żeby wepchnąć papkę przez furtkę między zębami. Całkiem jakby karmić na wpół żywe pisklę, którego szyja jest wygięta i blokuje drogę pokarmu w dół. Zatykam Tacie nos, żeby musiał połknąć. Zdaje się, że prawie wszystko poszło.

- Mario, ja zostanę tutaj, ty przygotuj samochód z leżanką, tym go zawieziemy.

Mario wychodzi, a ja siadam przy Tacie. Widzę, jak się powoli odpręża. Prostuje korpus, zdejmuje dłonie z oczu przechodzi do normalnej pozycji siedzącej. Oczy są jednaki dalej bez wyrazu, twarz-maska. Tato wpatruje się intensywnie, nie wiadomo w co. Co jakiś czas porusza ustami, manipuluje przy rozporku.

Kiedy Mario wraca, proszę go, żeby przyniósł czyste slipy i, spodnie. Przebieramy Tatę bez kłopotu, jest posłuszny, nie wyrywa się. W pewnej chwili przez szparę w drzwiach zaglądała Joan. Na jej widok Tato natychmiast zakrywa twarz dłońmi i podkula nogi. Daję Joan znak, żeby odeszła. Głaszczę Tatę po łysinie, aż w końcu odmyka jedno oko, potem drugie, popatrując niepewnie w stronę, gdzie przed chwilą stała Joan. Ostrożnie zabiera ręce od twarzy i opuszcza nogi.

Zostawiam Tatę z Mariem i idę poprosić Joan, Johna i Maryellen, żeby na czas przeprowadzania Taty do samochodu nie wychodzili z kuchni. Wracam do Taty. We dwóch z Mariem stawiamy go na nogi, ale Tato jest całkiem bezwładny. W drodze przez hall ciągniemy go jak martwy ładunek. Każdy z nas przerzucił sobie przez plecy jedno jego ramię.

Doholowujemy go w ten sposób do furgonetki, przenosimy na leżankę. Tato wbija wzrok w sufit. Otulam go pledem. Joan przynosi mi papierową torbę z piżamą Taty. Mario siada za kierownicą i ruszamy. Joan ma zadzwonić do szpitala z wiadomością, że już wyjechaliśmy. Przez całą drogę siedzę koło Taty. Nie daje znaku życia. Zamknął się w sobie doszczętnie.

W miarę jak zbliżamy się do szpitala, działanie valium słabnie. Najpierw Tacie zaczynają drgać usta, po chwili już wymachuje rękami i wyrywa się z leżanki.

Kiedy wjeżdżamy na szosę San Diego, muszę się na nim położyć całym ciężarem, żeby go utrzymać w pozycji leżącej.

Mario ogląda się co chwila: twarz ma znowu sinobladą ze strachu i szoku. Szczęka pociemniała mu od zarostu. Mario jest z tych mężczyzn, którzy wieczorny cień zarostu na podbródku noszą już od obiadu. W tej chwili wygląda jak ofiara wypadku. Żeby nas tylko policja nie zatrzymała i nie żądała wyjaśnień.

Podjeżdżamy pod izbę przyjęć. Salowi, widząc jak szamoczę się z Tatą, pędzą po nosze z pasami bezpieczeństwa. We czterech przenosimy Tatę na nosze i przypinamy pasami.

Delibro już czeka. Wytrzeszcza oczy, sam nie wierzy w to, co widzi. Chad też tu jest. Zrobiło się już po dziesiątej, to bardzo uprzejmie ze strony Chada, że tu przyszedł - chyba że akurat i tak ma dyżur. A może Joan zadzwoniła do niego - wiem, że ma numer.

Wiozę Tatę do gabinetu. Chad natychmiast przeprowadza wszystkie badania: krew, mocz, ślina, praca narządów wewnętrznych. Kładą Tatę pod kroplówkę. Trochę się uspokoił, Przynajmniej już się nie szarpie. Delibro gestem ręki odwołuje mnie na bok.

- Do diabła, co się stało? Ostatnio był w świetnej formie. Jak mogło do tego dojść?

Staram się streścić mu przebieg ostatniego tygodnia: pobyt Mamy u Joan, “porwanie" Taty, jego przenosiny do Joan, nocny telefon - wszystko, Delibro słucha. Niektóre fakty już znał, innych nie. Czuję się, jakbym streszczał komuś odcinek serialu, którego nie oglądał - to, co opowiadam, wydaje mi się teraz mniej więcej tak samo realne.

Delibro przygląda mi się bacznie, jakby niepewny, czy mówię prawdę. Może to wszystko moja fantazja. Mam poczucie winy z dziesięciu rozmaitych powodów. Głównie z powodu tego, co wiem, że niebawem uczynię. Moje nogi rwą się do ucieczki. Szarpią sercem, myślą, całą resztą ciała. Już nie chcę być tutaj, nie chcę brać w tym udziału.

- Wygląda to na ostrą reakcję na presję ze strony pańskiej matki. Ojciec chyba cofnął się do stanu poprzedniego. Zapewne większa część jego kory mózgowej pracuje teraz na usługach świata fantazji.

- Co można zrobić, doktorze? Jak możemy zatrzymać ten proces?

- Dzięki zabiegom metabolicznym ojciec być może odzyska przytomność umysłu, potem powinien odpocząć i uspokoić się. Ale w jego wieku nie jest to pewne. Na radykalną terapię jest za stary. Nie mogę w jego przypadku zalecić ani silniejszych środków chemicznych, ani metody elektrowstrząsowej. Uważam, panie Tremont, że trzeba zachować cierpliwość i czekać.

W tej samej chwili Chad wychodzi od Taty. Wygląda tak, jakby - podobnie jak ja, nie widział już żadnej nadziei.

- Śpi. Puls dość słaby. Ale nie ma oznak osłabienia pracy serca ani wylewu. Moim

zdaniem, przyczyną są połączone czynniki psychologiczne i metaboliczne - które są stymulujące, nie wiadomo.

Krótko mówiąc, nie wiedzą, co Tacie jest i co w związku z tym mieliby zrobić.

Postanawiają zatrzymać go w szpitalu na dalszą obserwację i badania. Wchodzę po cichu do pokoju, gdzie leży, i całuję go w czoło. Śpi głęboko, chrapie, na czole i głowie znać cienką warstewkę potu.

W głębi duszy mam pewność, że tym razem to koniec. Tato przez chwilę był z nami, ale nie byliśmy go warci. Wrócił do lepszego świata, z dala od tutejszych kłopotów. Wiem też, że gdyby wyszedł ze szpitala tak jak poprzednim razem, nie przeżyje.

Co się wtedy stanie z jego drugim życiem?

Jedziemy z Mariem do nich, żebym mógł zabrać samochód. Jest po północy. Joan i Mario parzą kawę, żebym nie padł w drodze powrotnej. Wspólnie postanawiamy powiedzieć Mamie tylko, że Tato źle się poczuł i jest w szpitalu na badaniach. Nie możemy powiedzieć jej prawdy, i bez tego będzie dość kłopotów.

Do domu docieram nieco po pierwszej. Mama usnęła w fotelu przed telewizorem; kolorowe błyski ekranu igrają po jej twarzy jak światełka choinkowych lampek. Wślizguję się cicho, wyłączam dźwięk i jakoś udaje mi się nie obudzić Mamy. Mój Boże, jak ona samotnie wygląda, jak bezbronnie - całkiem jak kosztowny, niechciany prezent spod choinki, z którego wypada się na siłę ucieszyć. Siadam w drugim fotelu, próbuję myśleć. Mój umysł nie chce pracować, chce się zdematerializować. Zasypiam. Budzę się, bo Mama szarpie mnie za ramię.

- Jacky! Zbudź się! Jacky, czy ty jesteś pijany? Wiesz, która godzina?

Otwieram oczy i patrzę na nią bezmyślnie. Telewizor ciągle nadaje, bez fonii. Spoglądam na zegar - jest trzecia nad ranem, najniebezpieczniejsza godzina dla istot ludzkich. Ujmuję dłonie Mamy.

- Siadaj, Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

Cofa się o trzy kroki i siada na bujaku. W tej chwili czuję dla niej ogromne współczucie, litość, miłość, dla niej i dla Taty, i dla nas wszystkich - dla wszystkich ludzkich stworzeń, które muszą przebyć narodziny, życie, umieranie, dla całej naszej szamotaniny z życiem, walki z ostatecznym, nieuchronnym upadkiem.

Mama to właśnie robi: walczy z życiem takim, jakim je odbiera, walczy swoją metodą. Musiałem być ostatnim durniem, żeby tego wcześniej nie rozumieć. Wstaję i podchodzę do niej, biorę ją w ramiona, przytula się do mnie.

- On nie żyje. Umarł, prawda? Dlatego tak długo nie wracałeś. O Matko Przenajświętsza, co ja teraz zrobię?

- Nie, Mamo, Tato żyje, ale jest w szpitalu. Coś mu się stało, jeszcze nawet lekarze nie wiedzą, co - jest taki jak przedtem. Zatrzymali go w szpitalu na obserwację i badania.

Tulę ją. Jest napięta, całym jej ciałem wstrząsa szloch. To musi być straszne - tak mocno kochać i nie umieć tego okazać. Mama jest jak silnik diesla wmontowany w canoe.

Tak trwamy, bez słowa, mocno przytuleni. Jej ciało jest zdumiewająco miękkie, chociaż wydaje się taka twarda.

- Wiedziałam, że tak będzie! Nikt go tak nie zna jak ja! Nikt nie potrafi się nim lepiej

zająć.

Ona musi tak myśleć. Co ma zrobić kobieta, która nie nadaje się ani na żonę, ani na matkę, a jest na te role skazana przez całe życie? Co ona ma robić? Należy jej się wiele wyrozumiałości i za samo to, że wytrwała - niektórzy nie wytrzymują, rzucają wszystko. Przecież to, na Boga, nie jej wina - to tylko kwestia złego obsadzenia roli.

Obejmuję ją mocno i pozwalam się wygadać. Po raz pierwszy w życiu słucham jej słów bez protestu - słucham jak ktoś, kto ją kocha, tak jak zawsze słuchał Tato. Ten scenariusz ma sens, kiedy się zajmie jej stanowisko. Ma wiele argumentów na poparcie swoich łez. Z pewnego punktu widzenia, Tato jest życiową fujarą - nie radzi sobie z tym światem, z ludźmi tego świata, bez Mamy do niczego by nie doszedł. To prawda, że ani Joan, ani ja, ani wnuczęta, nie okazujemy jej dostatecznie dużo szacunku i miłości. To jeden z problemów Mamy: nie umie zaskarbić sobie ludzkich uczuć, tak samo jak niełatwo jest jej okazywać własne uczucia. Ona naprawdę nie ma po co żyć: jednemu Tacie zależało na tym, żeby żyła.

Wszystko to okropne, ale nie ma sensu się spierać. Słucham, co Mama mówi. Nie zmieniam pozycji, niech się wygada do końca. Patrzę na ekran telewizora: widzę tylko układy barw, ruch, wcale nie to, co powinienem widzieć, za to słyszę to, co już dawno powinienem był usłyszeć.

Dopiero po czwartej układam Mamę w łóżku i usypiam dziesięcioma miligramami. Siadam przy łóżku i trzymam ją za rękę, dopóki nie zaśnie. Potem idę do sypialni środkowej i gramolę się do szpitalnej koi.

Następne tygodnie to piekło. Po czterech dniach szpital informuje nas, że Tato wymaga stałej opieki. Wiem, że mają rację, drugi raz nie będę z nimi walczył. Ja go już pielęgnowałem i drugi raz nie jestem w stanie. Wspólnie z Joan postanawiamy umieścić Tatę w porządnym domu opieki. Żadne z nas tak naprawdę tego nie chce, ale nie ma innego wyjścia. W szpitalu nie mogą go dłużej trzymać, a w domu z Mamą tym bardziej zostać nie może.

Mama okazuje względną bierność. Trochę marudzi na temat “przytułku" i tego, że własnego ojca wydajemy na pastwę losu - stara śpiewka - ale chyba sama nie bardzo wierzy w to, co mówi.

Dręczy mnie dotkliwe poczucie winy. Wiem, że go opuszczam. Może gdyby zrobić jeszcze jeden nadludzki wysiłek, dałoby się przywrócić go do stanu normalnego. Ale nie wiem, co byśmy z nim zrobili, kiedy - jeżeli - wróciłby do przytomności. Wszystkim stał się zawadą. Nie ma już dla niego miejsca na tym świecie.

Próbujemy ponownie umieścić go w Cottage Villa, ale tam nie ma komu go karmić i Tato po pięciu dniach ląduje z powrotem w szpitalu. Nawet Alicja nic nie może pomóc.

Kiedy go wypisują po raz drugi, udaje nam się szczęśliwym trafem znaleźć wolny pokój w domu dla obłożnie chorych, o jedną tylko przecznicę od Mamy. Dom jest nieduży, na trzydzieści zaledwie łóżek, a opieka pełniejsza niż w Cottage Villa. Bliskość domu dobrze działa na Mamę. Będzie mogła pójść pieszo w odwiedziny, kiedy tylko zbierze dość odwagi.

Doktor Chad obiecuje raz w tygodniu zaglądać do Taty i regulować metabolizm. To najlepszy możliwy układ. Joan nalega, żebym wracał do domu, żebym się ulotnił, dopóki jeszcze nie jest tak źle, wracał do Paryża, do Vron, do Jacky'ego. Już się nie bronię. Joan znajduje pielęgniarkę, która dwa razy na tydzień będzie przychodziła do Mamy, a sama Joan też zajrzy dwa razy w tygodniu. Lepiej nie dało się urządzić.

Stan Taty nie ulega zmianie. Całkowicie stracił kontakt z otoczeniem, od ataku u Joan nikogo z nas nie poznaje. Utracił kontrolę nad pracą kiszek i pęcherza, trzeba go karmić jak dziecko. W oczach ma ten sam co kiedyś, zwierzęcy wyraz. Odszedł od nas, chyba na zawsze. Łudzę się tylko nadzieją, że w swoim Cape May - czy gdziekolwiek się teraz znajduje - jest szczęśliwy.

Na tym etapie Billy okazuje się bardzo pomocny. Wiele czasu spędza z Mamą, robi dosłownie wszystko - tylko odwiedziny u Taty przerastają jego możliwości.

Kategorycznie postanowił wracać ze mną do Francji. Zapłacę za jego przejazd. Żeby przejechać przez Stany, załapiemy się na dostawę samochodu, a potem, w Nowym Jorku, będziemy polować na zniżkę czarterową albo stand-by. Nie mogę przyjąć od Joan oferty opłacenia podróży Billy'ego. Mają nie więcej forsy od nas.

Telefonuję do AAA CON. Facet informuje mnie, że nazajutrz będą ekspediować trzy wozy, możemy sobie wybrać. Prowadziłem już dla nich samochody, mają mnie w spisie.

Samochodem Mamy jadę do Marty, żeby się pożegnać. Proszę, żeby dzwoniła do Mamy raz, dwa razy na tydzień, ale żeby nie chodziła odwiedzać Taty. Widok Taty jest bardzo przygnębiający, a Marty jest teraz taka wrażliwa.

Ostatnią noc Billy przesypia w sypialni ogrodowej, a ja w koi. Z wielkim trudem pacyfikuję Mamę, która bez przerwy wstaje, udaje, że coś robi, krząta się po domu.

Ma mi za złe, że wyjeżdżam, boi się zostać sama. A z drugiej strony, w chwilach zdrowego rozsądku, rozumie, że nie mogę zostać dłużej. Po drugiej w nocy tracę kontrolę nad jej krzątaniną - zasypiam.

Rozdział 23

Skręcamy w drogę prowadzącą do domu Hillów. Kita stoi w drzwiach. W ręku trzyma telegram. Przypomina mi się Jacky, jak pędził do mnie z telegramem w ręku pod mroźny wiatr w Morvan. Jestem teraz tak samo bezbronny jak wówczas. Chce mi się biec - biec po telegram albo odwrócić się na pięcie i wiać w drugą stronę.

Zatrzymuję się w miejscu, Billy, który stąpał tuż za mną, o mały włos na mnie nie wpada. Ruszam dalej, bardzo wolno.

- Przyszedł zaraz po waszym wyjeździe, to z Kalifornii.

Nie wiem, dlaczego otwieram go natychmiast, na schodach. Rita cofa się w głąb domu bocznym wejściem, Billy stoi obok mnie. Telegram jest bardzo czytelny: na żółtym, a nie na niebieskim blankiecie. I wydruk komputerowy, zamiast pisma odręcznego.

7 LIPCA TATO ZMARŁ DZISIAJ STOP POGRZEB PIĄTEK STOP TELEGRAFUJ NUMER LOTU STOP CAŁUJĘ JOAN

Podaję telegram Billy'emu.

- Umarł dzisiaj, Billy. Musimy jechać z powrotem.

Nic więcej nie potrafię wykrztusić.

Przechodzę przez cały dom, mijając po drodze Ritę, i tylnymi drzwiami wydostaję się na podwórko. Płaczę. Chyba nigdy w życiu tak nie płakałem. Mężczyźni w ogóle nie umieją płakać, a ja jestem co najmniej tak samo kiepski, jeżeli nie gorszy, niż większość z nich. Płaczę bezmyślnie. Stoję pod tylnym murem podwórka i szlocham aż do wymiotów.

Płaczę z wielu powodów, ale głównie z kilku rodzajów żalu nad sobą. Płaczę jak ten chłopak z opowiadania Hemingwaya *Bimini*, ten, któremu wymknęła się Wielka Ryba, kiedy już ją prawie miał. Tato tak właśnie mi się wymknął. Zabrakło mi siły woli, odwagi, uporu, wielkoduszności na tych kilka ostatnich szarpnięć, którymi mogłem go jeszcze przeciągnąć na dobrą stronę.

Płaczę także dlatego, że będzie mi go brak, jego głosu, jego wyrazistych ruchów, zapachu, dotyku. Jego już nie ma.

Płaczę, bo się boję. Boję się śmierci. Boję się zostać sam. W logicznym następstwie czasu i zdarzeń, teraz kolej na mnie.

To są te przyczyny, które sobie uświadamiam, ale są i inne - nie wszystkie tak egoistyczne. Płaczę za Mamę, za Joan, za Jacky'ego, który nigdy Taty nie pozna, który będzie pamiętał tylko imię i nazwisko, ale nie żywego człowieka. Płaczę za Vron, która bardzo Tatę kochała. Ale przede wszystkim płaczę, bo duża część mnie samego, mojej tożsamości, przestała istnieć razem z Tatą.

Słyszę coś za plecami: stoi za mną Rita. Odwracam się, padamy sobie w ramiona. Rita jest taka drobna, jeszcze drobniejsza od Joan i od Mamy - ale silna, taka silna, że obejmuje mnie mocniej niż ja ją. Zapadam w katatonię. Nie chcę wychodzić z tego raju, z tego niejasno

erotycznego źródła siły i pocieszenia. Role się odwróciły: siły żywotne Rity przepływają we mnie, jestem wyschniętym drzewem, które czerpie pokarm z jemioły.

Wypłakałem się wreszcie. Rita prowadzi mnie do domu, do kuchni. Siadamy, lekko zażenowani, wyczerpani. Pat jest jeszcze na uczelni, Billy na górze. A jednak ja dalej nie potrafię wydobyć głosu. Ilekroć próbuję - zaczynam płakać. Rita proponuje, że zadzwoni do rezerwacji lotów w Los Angeles. Kiwam głową na znak zgody. Teraz nasza jazda samochodem już zupełnie straciła sens.

Samolot odlatuje o siódmej. Rita obiecuje odwieźć nas na lotnisko. Telegrafuje też do Joan, z podaniem numeru naszego lotu. Pakujemy się z Billym, nie mówiąc prawie nic. Billy widzi, że ze mną kiepsko, zamknął się w sobie. Jest teraz moim najbliższym krewnym w linii męskiej, nie wolno mi go urazić.

Rita przywozi nas do portu lotniczego TWA z półgodzinnym wyprzedzeniem. Zaparkować nie ma gdzie, więc zostawia nas i odjeżdża. Pospiesznie wyjmujemy z auta bagaże, machamy jej na pożegnanie i kierujemy się na lotnisko. Czuję się oderwany od rzeczywistości, zdjęty z haka, bezmyślnie wykonuję różne czynności i nic więcej.

Dopiero w kolejce po bilety uświadamiam sobie, że Billy wyraźnie się ociąga, coś go martwi. Zbieram się w sobie na tyle, żeby go zapytać, o co chodzi. Kręci głową, mówi, że nic takiego. Ale w miarę posuwania się kolejki, jego niepokój rośnie. Wreszcie wyrzuca z siebie, o co chodzi.

- Jak uważasz, Tato? Za trzy dni od dzisiaj Debby ma na mnie czekać w Paryżu. Czy powinienem poczekać, aż będziemy w Kalifornii, czy lepiej stąd wysłać telegram do American Express albo dzwonić do jej rodziców - myślisz, że podadzą mi adres? Umówiliśmy się pod wierzbą płaczącą na Ile de la Cite. Parszywie się czuję na myśl, że ona tam będzie stać i czekać, a ja nie przyjdę.

Przed nami w kolejce zostały trzy osoby.

- Zależy ci na tym pogrzebie, Billy?

Patrzy mi w oczy, po raz pierwszy od nadejścia telegramu.

- No coś ty, Tato? To twój ojciec, jasne, że mi zależy! Nikt by mi nie wybaczył nieobecności na pogrzebie dziadka.

- Ja bym ci wybaczył, Bill, i matka tak samo. Pogrzeb mojego ojca to nie twój problem. Będę cię krył w Kalifornii. Już tylko dwie osoby.

- Nie chcę ci sprawiać takiego zawodu, Tato.

- Nie w tym rzecz. Ja na twoim miejscu nie szedłbym na pogrzeb, tylko poleciałbym się spotkać z dziewczyną pod umówionym drzewem. Zaraz nasza kolejka, decyduj się.

- Ale jesteś pewien?

Kiwam głową. Billy uśmiecha się i wyciąga do mnie rękę. Wymieniamy uścisk dłoni. Po raz pierwszy w życiu. Jakie podobne są jego ręce do moich, jakbym sam sobie podawał dłoń. Odwracam się do urzędniczki za kontuarem i kupuję jeden bilet. Ze skasowaniem rezerwacji Billa nie ma kłopotu. Za piętnaście minut odlot. Idziemy oddać bagaż.

- Masz tu, Billy, czterysta dolarów. Tyle kosztowałoby przewiezienie cię do Kalifornii

i z powrotem. Zobacz, może trafi ci się zniżka czarterowa albo stand-by - na pewno, jak się dobrze rozejrzysz, znajdziesz coś poniżej stu dolarów, zwłaszcza że jesteś studentem. W ten sposób zaoszczędzisz parę groszy.

Daję mu te same cztery studolarowe banknoty, które dostaliśmy od kobiety z burdelu. Billy odprowadza mnie do bramki dla pasażerów i po raz drugi wymieniamy uścisk dłoni. Obaj działamy pospiesznie, chcemy się rozstać, zanim wszystko na dobre do nas dotrze.

Przemierzam długie, wyłożone czerwonym chodnikiem, wąskie korytarze o niskich stropach. Jakoś mi lepiej. Raz udało mi się ulec w odpowiednim momencie.

Dzieciństwo Billa dobiegło końca. Może jako uprzywilejowanemu widzowi wolno, mi snuć prognozy na jego przyszłość, ale nic więcej. Moja epoka z Tatą też dobiegła końca, nasze wzajemne stosunki dopełniły się, zamknęły i zapieczętowały na zawsze.

Odbywam rytualny, pseudoastronautyczny, sztuczny, kontrolowany rytuał zajmowania miejsca w samolocie: ształowanie bagażu ręcznego, przeciskanie się na fotel przy oknie, zapinanie pasa bezpieczeństwa. Rozdają słuchawki; chętnie się do nich podłączę. Chcę zniszczyć najbliższe pięć-sześć godzin, niech się dzieją beze mnie. Chcę się stać przedmiotem, ludzkim ładunkiem przenoszonym za ciężkie pieniądze na wielką odległość. Siedzę w strefie dla niepalących, przy oknie, tuż przed skrzydłem. To moje ulubione miejsce. Tylko połowa miejsc w samolocie jest zajęta. Koło mnie nikt nie siedzi.

Startujemy. Samo oderwanie się od ziemi to bardzo przyjemne uczucie. Po chwili wstępnego przyspieszenia nabieram uczucia dystansu do wszystkiego, nieważkości, umierania w zwolnionym tempie. Jest coś szczególnego w oderwaniu się od ziemi, coś wyzwalającego.

Patrzę w dół. Szczytem gór biegnie Rozjazd Pensylwański. Jeszcze tak niedawno przejeżdżaliśmy tamtędy z Billym, mila za milą, posuwając się wolno i co chwila ryzykując życiem, w poczuciu najwyższej koncentracji, niepewności, odpowiedzialności. Teraz, kiedy lecę, szybuję, wznoszę się i opadam nad tymi samymi miejscami, jest to jak śmierć w porównaniu z życiem. Czuję się odsunięty od wszystkiego, dryfuję bez wysiłku, bez kontroli.

Przykładam czoło do podwójnego plastikowego okienka. W moich słuchawkach rozlega się Pierwsza Symfonia Mahlera. Słyszę ją z tak bliska, chociaż Mahler skomponował ten utwór, kiedy nawet Taty nie było jeszcze na świecie.

Piję, kiedy dają mi pić, jem, kiedy przynoszą tacę z jedzeniem, ale naprawdę jestem gdzieś tam, w chmurach, jestem elementem kunsztownych wariacji Gustava Mahlera na temat francuskiej piosenki dla dzieci. Kiedy zaczynają wyświetlać film, ulegam życzeniu stewarda i zasłaniam okno, ale zostawiam sobie szparkę do wyglądania. Patrzę na deseń ziemi w dole, długie cienie wskazują do tyłu, tam, skąd przybyliśmy, tam, gdzie na koniec mam nadzieję powrócić.

Aluwialne brzegi Wschodniego Wybrzeża przechodzą w Apallachy, Apallachy ześlizgują się w Środkowy Zachód - równiny, bezkresne bruzdy, labirynt dróg irygacyjnych,

prostokątne pola uprawne. Niewiele z tego widzieliśmy prąc z furią do przodu, otoczeni z obu stron wyrośniętą na wysokość człowieka kukurydzą, żytem i pasącym się bydłem.

Lecimy nad masywem Gór Skalistych: strzeliste różowe skały śmiało nacierają na nas od ziemi. Po drugiej ich stronie wchodzimy w silne drgania powietrza i gęste chmury. W dole pada deszcz.

Próbuję jakoś uporządkować myśli, sporządzić plan działania. Nie czuję się na siłach stawić czoła temu, co mnie czeka za bramą Międzynarodowego Portu Lotniczego w Los Angeles - w terminologii powietrznej - LAK. Skróty to charakterystyczna cecha stylu Los Angeles.

Mam pięćdziesiąt dwa lata, jestem zdrowy. Mam inteligentną, rozsądną, kochającą żonę i troje udanych dzieci. Zajmuję się zawodowo tym, co lubię, i jestem dobry w swojej robocie. Dlaczego w takim razie nie tańczę i nie szaleję z radości bez chwili przerwy?

Miałem szczęście: moja rzeczywistość jest bardzo zbliżona do marzeń osnutych na podstawie dostępnych mi możliwości. Tato budował swój świat marzeń w tajemnicy, rozszczepiając życie na pół. Możliwość, jaką obrała Mama, jest w ogóle nie do zrealizowania. I na tym polega Mamy tragedia.

Z rozpaczą myślę o Tacie, o jego życiu. Czuję ogromną wdzięczność za ten krótki, jasny okres, którego żaden z nas nie oczekiwał. Cieszę się, że wtedy byłem przy Tacie, mam nadzieję, że wiele skorzystałem.

Może nadszedł czas, żebym się zaczął uczyć, jak być starym człowiekiem. Jeżeli szczęście dopisze, mam na to ze dwadzieścia lat.

Muszę się jakoś przygotować do znoszenia własnej słabości, bólu, niesprawności umysłowej, roztargnienia, obniżonej wrażliwości, obniżonej czujności, konserwatyzmu w myśleniu i zwyczajach, nietolerancji - tego wszystkiego, czego zawsze starałem się uniknąć.

Muszę się przygotować na nieuchronne mury, które powoli wyrosną między mną a innymi ludźmi, na akceptację tego, że dzieci coraz mniej mnie będą kochały, aż w końcu - w najlepszym razie - zaczną mnie tylko tolerować. Muszę nauczyć się bez protestu przyjmować fakt, że moje dorosłe wnuczęta uznają te wartości, które dla mnie są najświętsze, za zamach na swoją wolność, podczas gdy ich poglądy dla mnie będą oburzające.

Muszę się przygotować na śmierć przyjaciół z lat młodości, krewnych, na to, że w moim życiu będzie coraz więcej pogrzebów. Trzeba będzie żyć z tymi, którzy zostali, nawet jeżeli okażą się nudni, nieciekawi. Będę patrzył, jak Vron, Joan, Mario - całe moje pokolenie - ulega fizycznej degeneracji.

A wszystko to będzie dotyczyło także mnie. Ja też stanę się dla innych nudnym starym ramolem, zawalidrogą w rozmowach, będę się powtarzał, będę z opóźnieniem łapał sens, będę opacznie rozumiał, zatracę zdolność logicznego budowania wypowiedzi. I sam nie będę tego dostrzegał. Nie będę świadom własnej degrengolady, która pełznąć będzie jak żmija, nie stawiając kroków.

Każdego ranka obudzę się o dzień starszy. Zmieni się moja miara czasu. Będzie mi się zdawało, że to świat uległ zmianie że zmienia się szybciej niż kiedyś, że jest brzydszy, mniej

ciekawy, mniej rozsądny - ogólnie rzecz biorąc, nie do przyjęcia. Rzeczy łatwe staną się trudne, a trudne - niewykonalne.

Z drugiej strony, powinienem się nauczyć wykorzystywać fakt, że jestem stary. Tato dał mi tego dobry przykład. Zapewne nie będę musiał pracować, robić tego, czego nie będzie chciało mi się robić. Mogę się wycofać z wyścigu o dominację, kobiety, pracę, władzę, pozycję społeczną. Na dobrą sprawę, nikt już nie będzie ode mnie zależny. Po raz pierwszy od dzieciństwa zaznam wolności, wolności bycia sobą, na własną rękę. Będę pewnie mniej sypiał, będę miał więcej czasu na bezproduktywne rozrywki, na marzenia, na myślenie, na - jeżeli oczy i umysł pozwolą - czytanie.

Będę miał czas na wędrówki po meandrach własnego życia, na powtórne przeżywanie dobrych chwil, odtworzenie i próby oswojenia chwil złych. I mam nadzieję, że będę spokojnie myślał o śmierci, że zrozumiem jej pozorną nagłość, nieodwołalność, że zobaczę śmierć jako źródło i przyczynę życia takiego, jakim je znamy.

A jednak, znając siebie, wiem, że stanę na rzęsach, żeby to wszystko jak najbardziej oddalić w czasie. Ja tak łatwo nie popuszczam, nie poddaję się. I to mi może utrudnić starość, umieranie. Moja nieokiełznana determinacja, mentalność “wkładania nogi w uchylone drzwi", jeszcze nie raz stanie mi na drodze. Uprawiam już medytację i jogę. Po powrocie do Francji wezmę się za jogging i biegi. Muszę koniecznie przestrzegać diety.

Wiem, że można tylko albo się zestarzeć, albo umrzeć młodo, trzeciego wyjścia nie ma. A na to drugie też nie jestem gotowy. Muszę się jakoś nauczyć starzeć, zanim będę za stary na naukę.

Tereny pustynne mają kolor różowy i fioletowy. Długie cienie żłobią w pustce błękitne dziury. Myślę o Egipcie, krainie faraonów i królewskich grobowców. Kiedy patrzę w dół na ten milczący, bezwolny krajobraz, łatwo mi myśleć o śmierci, jak nigdy dotąd.

Wyrastają pod nami zwaliste góry Sierra Nevada. Zaczynamy obniżać lot. Ściąga nas w dół. Ton silników się zmienia, schodzimy w długie, posuwiste lądowanie. Widzę skupiska domów układające się w proste obrzeżone wstęgami dróg. Tafle basenów połyskują turkusowo w zbitkach domów i domków.

Gdzieś tam, daleko, jest ocean. Ogarnia mnie obezwładniający spokój. Czuję, że jestem gotów na wszystko.

No - prawie wszystko.